

NORA ROBERTS

BŁĘKITNY DYM

ŹRÓDŁO ZAPŁONU

Dokładne miejsce, w którym narodził się ogień

Zły plon bezprawia

Nowym się tylko bezprawiem poprawia.

William Szekspir

przeł. Józef Paczkowski

PROLOG

Ogień narodził się w żarze, dymie i blasku. Niczym nadprzyrodzona bestia, torująca sobie szponami drogę z łona, wyrwał się do życia z rechotem, który przeistoczył się w ryk.

I odmienił wszystko w jednej wspaniałej chwili.

Jak owa bestia prześlizgnął się wężowym ruchem po drewnie, żłobiąc potężnymi, usmolonymi palcami wszystko, co było dotąd czyste i jasne.

Ogień miał oczy, czerwone i wszystkowidzące, a umysł tak błyskotliwy, tak kompletny, iż znał na pamięć każdą z otaczających go rzeczy.

On postrzegał tę bestię jako żywą istotę, złocistego, karmazynowego boga, który pojawił się tylko po to, żeby siać zniszczenie, i pochłaniał wszystko, co chciał, bez skruchy i bez litości, z wielką żarłocznością.

Wszystko przed nim padało na kolana jak błagalnicy oddający mu cześć nawet wtedy, gdy ich pożerał.

Ale to on tego dokonał, on go stworzył. A więc był bogiem ognia. Potężniejszym niż płomienie, sprytniejszym od żaru, bardziej odurzającym niż dym.

Bestia nie istniała, dopóki nie powołał jej do życia.

Patrząc, jak się rodzi, zakochał się w niej.

Blask płomieni igrał na jego twarzy, lśnił w pełnych zachwyty oczach. Wypił łyk piwa, delektując się mrozącym zimnem spływającym przelykiem, podczas gdy skórę oblewały fale żaru.

Czuł podniecające mrowienie w brzuchu, zachwyty przepelniał mu umysł. W miarę jak ogień piał się smugami po ścianach, wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe możliwości.

Ogień był piękny. Ogień był potężny. Ogień był przezabawny.

Patrząc, jak rośnie, rósł sam. Oto dopełniało się jego przeznaczenie, odciskając się piętnem w sercu i duszy.

Baltimore 1985

Dzieciństwo Catariny Hale skończyło się pewnej parnej sierpniowej nocy, kilka godzin po tym, jak na stadionie Memoriał Orioles rozgromili Rangersów, kopiąc ich tekkańskie tyłki - jak to określił tata dziewczynki - dziewięć do jednego. Jej rodzice rzadko brali wolny wieczór, żeby zabrać całą rodzinę na mecz, ale wtedy zwycięstwo ich drużyny było podwójnie słodkie. Przeważnie wieczorami jedno z nich, a najczęściej oboje pracowali długie godziny w Sirico's, pizzerii, którą przejęli od ojca matki Catariny. Tam właśnie przed osiemnastu laty spotkali się jej rodzice. Jak głosiła rodzinna opowieść, matka, tryskająca życiem i energią osiemnastolatka, była w lokalu, kiedy do środka wmaszerował dumnie dwudziestoletni Gibson Hale.

- Wszedłem na pizzę - zwykł mawiać - a spotkałem wioską boginię.

Jej ojciec często używał dziwacznych zwrotów, ale Reena bardzo lubiła go słuchać.

Gibson przejął pizzerię po dziesięciu latach, kiedy Poppi i Nuni doszli do wniosku, że już najwyższy czas wyruszyć w świat. Bianca, najmłodsze z pięciorga ich dzieci i jedyna dziewczyna, dołączyła do swego Giba, zwłaszcza że żaden z jej braci nie był zainteresowany prowadzeniem lokalu.

Dziadek Reeny uruchomił pizzerię w baltimorskiej Ma - Italii ponad czterdzieści trzy lata temu. Sirico's była więc starsza nawet od Gibsona, co dziewczynkę niezmiernie zdziwiło. Obecnie jej ojciec, który nie miał w żyłach nawet kropli włoskiej krwi, prowadził Sirico's razem z żoną - Włoszką z krwi i kości.

W pizzerii prawie zawsze panował duży ruch i było mnóstwo pracy ale Reena nie miała nic przeciwko temu, nawet jeśli musiała pomagać rodzicom. Jej starsza siostra Isabella skarżyła się, że czasami musi tam pracować nawet w sobotnie wieczory, zamiast iść na randkę lub spotkać się ze znajomymi. Ale Bella nieustannie na coś narzekała.

Najbardziej złościło ją to, że ich najstarsza siostra, Francesca, miała własną sypialnię na drugim piętrze, podczas gdy ona musiała dzielić pokój z Reeną. Własny pokój miał też Xander, ponieważ był jedynym chłopcem, choć najmłodszym z rodzeństwa.

Dzielenie pokoju z siostrą nie przeszkadzało Reenie, a czasami bywało nawet fajne, dopóki Bella nie stała się nastolatką. Doszła wtedy do wniosku, że jest już wystarczająco dorosła, żeby rozmawiać wyłącznie o chłopakach, przeglądać magazyny z modą oraz poświęcać dużo czasu swoim fryzynom.

Reena miała jedenaście lat i dziesięć miesięcy. Oznaczało to, iż za czternaście

miesiący sama zostanie nastolatką. Ostatnio było to jej prawdziwą obsesją, która zdominowała wcześniejsze marzenia - na przykład, żeby zostać zakonnice lub poślubić Toma Cruise'a.

Owej gorącej i parnej sierpniowej nocy, kiedy Reena miała jedenaście lat i dziesięć miesięcy, w ciemności obudziły ją silne i bolesne skurcze brzucha. Skuliła się w kłębek niczym kuleczka i zagryzła wargi, żeby powstrzymać jęk. Po drugiej stronie pokoju, w ustawionym najdalej jak się dało łóżku, spała Bella. Miała już czternaście lat i bardziej niż młodsza siostra interesowały ją wymyślne fryzury. Teraz lekko pochrapywała.

Reena pomasaowała bolący brzuch i pomyślała o tych wszystkich hot dogach, popcornie i cukierkach, które spałaszowała podczas meczu. Mama uprzedzała ją, iż może tego żałować.

Czyjej mama nie mogłaby choć raz się pomylić?

Próbowała złożyć ból w ofierze, jak zawsze mawiały zakonnice, żeby jej cierpienia pomogły jakiemuś biednemu grzesznikowi. Ale wciąż bolało i bolało!

A może to nie od hot dogów? Może to od ciosu w brzuch, jaki zadał jej Joey Pastorelli. Za uderzenie, którym przewrócił ją na ziemię, porwanie bluzki i nazwanie słowem, którego nie rozumiała, znalazł się później w niezłych tarapatach. Pan Pastorelli i Gibson wdali się w kłótnię, gdy jej tata udał się do jego domu, aby „przedyskutować sprawę”.

Słyszała, jak na siebie krzyczeli. Jej ojciec nigdy tego nie robił... no, bardzo rzadko. Za to matka wrzeszczała często, gdyż była stuprocentową Włoszką i miała temperament.

Ale tym razem to on się wydzierał na pana Pastorellego. A po powrocie do domu bardzo mocno przytulił córkę do siebie.

Później poszli na mecz.

Niewykluczone, że ból był karą za to, że cieszyła się, iż Joey Pastorelli zostanie ukarany. I może za to, iż była trochę zadowolona, że przewrócił ją na ziemię i podarł bluzkę, ponieważ później poszli na mecz i na własne oczy widziała, jak Orioles rozgromili Rangersów.

A jeśli doznała jakichś wewnętrznych urazów?

Z ulubionych przez nią i Xandra programów *Emergency* wiedziała, że to się zdarza, a człowiek może nawet w ich wyniku umrzeć.

Na samą myśl o tym dostała jeszcze silniejszego skurczu, aż do oczu napłynęły jej łzy. Wstała z łóżka - chciała pójść do mamy - a wtedy poczuła między udami wilgoć.

Pociągając nosem, zawstydzona, że mogła sobie zmoczyć majtki jak dzidzius, cichutko wyszła z sypialni i ruszyła korytarzem do łazienki. Weszła do pomieszczenia z

różową wanną i kafelkami, po czym podciągnęła do góry koszulkę z napisem *Ghostbusters*.

Na widok zakrwawionych ud dziewczynkę oblała gorąca fala przerażenia. Umierała. Zadzwonilo jej w uszach. Gdy poczuła kolejny skurcz w brzuchu, otworzyła usta do krzyku.

I wtedy pojęła, co się dzieje.

Nie umieram - pomyślała. To nie żadne wewnętrzne urazy. Miała po prostu okres. Swój pierwszy okres.

Mama już jej wszystko wyjaśniła: o jajeczkach, o cyklach i o stawaniu się kobietą. Obie siostry przechodziły okres co miesiąc, podobnie jak Bianca.

W szafce pod urny walką były podpaski. Mama pokazała jej, jak ich używać, a Reena zamknęła się kiedyś w łazience, żeby wypróbować. Teraz więc bardzo dokładnie się umyła, czując się już kobietą. Sam widok krwi wcale nie wzbudzał obaw dziewczynki, najbardziej trapiło ją to, skąd ona płynęła.

Ale była już dorosła - w każdym razie na tyle, żeby poradzić sobie z czymś, co jak mama powiedziała, jest naturalną, kobiecą sprawą.

Ponieważ całkowicie się wybudziła i stała się prawdziwą kobietą, postanowiła zejść do kuchni i napić się imbirowej oranżady. W domu panował upał: kanikuła - mawiał o takich dniach tato. Poza tym miała tyle do myślenia o tym, kim się teraz stała. Wyszła ze szklanką na zewnątrz i przysiadła na marmurowych stopniach, pijąc napój.

Panowała taka cisza, że słyszała astmatyczne poszczekiwanie psa Pastorellich. Palily się uliczne latarnie. Wszystko to sprawiało, że czuła się, jakby tylko ona jedna na całym świecie nie spała. Bo przecież tylko ona jedna na całym świecie wiedziała, co stało się wewnątrz jej ciała.

Pociągnęła ze szklanki łyk napoju i pomyślała, jak to będzie, gdy za miesiąc wróci do szkoły. Ile innych dziewcząt dostało tego lata pierwszego okresu?

Teraz powinny zacząć jej rosnąć piersi. Popatrzyła na klatkę piersiową, zastanawiając się, jak to będzie. Co będzie czuła. Człowiek nie czuje, jak rosną mu włosy lub paznokcie, ale może czuje rosnące piersi.

Ciekawe, bardzo ciekawe.

Jeśli zaczną rosnąć teraz, będzie już je miała do czasu, gdy w końcu zostanie nastolatką.

Siedziała na marmurowych schodkach - wciąż jeszcze dziewczynka o płaskiej piersi i z obolałym brzuchem. Jej blond włosy o miodowym odcieniu skręcały się w wilgotnym powietrzu. Podłużne powieki żółto-brązowych oczu robiły się ciężkie. Nad kącikiem górnej wargi z prawej strony miała pieprzyk, na zębach aparat korekcyjny.

Tej parnej, gorącej nocy teraźniejszość wydawała jej się całkowicie bezpieczna, ale przeszłość była mglistym marzeniem.

Ziewnęła i zamrugła sennie oczami. Wstała, zamierzając już wrócić do domu, i wzrokiem pobiegła w stronę Sirico's, która stała tam, jeszcze zanim urodził się ojciec. W pierwszej chwili błysk światła w wielkim, frontowym oknie wzięła za jakieś odbicie. Ładne - pomyślała.

Ściągnęła usta, z uwagą spoglądając w tamtą stronę, i uniosła głowę ze zdumieniem. To wcale nie wyglądało ani na refleks świetlny, ani na pozostawione przez kogoś przez nieuwagę zapalone światła wewnątrz lokalu.

Zaciekawiona, ściskając w dłoni szklanke, wyszła na chodnik przed domem.

Zbyt zaintrygowana, aby myśleć o tym, że matka dałaby jej w skórę za pałętanie się w środku nocy nawet po ich ulicy, ruszyła chodnikiem.

Serce zaczęło dziewczynce walić jak młotem, gdy do jej omroczonego snem umysłu dotarło, co naprawdę widzi. Z otwartych drzwi frontowych buchały kłęby dymu. A światło, które widziała, to były płomienie.

Pożar - szepnęła z początku, po czym krzyżąc to na całe gardło, wbiegła do domu.

Do końca życia już nie zapomni, jak stała ze swoją rodziną i patrzyła na płonąca Sirico's. Ryk ognia wypluwanego przez rozbite okna i wzbijającego się do góry złocistymi słupami dudnił jej w uszach. Wycie syren, chlust wody lejącej się strumieniami z ogromnych sikawek, ludzkie szloch i krzyki. Ale nad tym wszystkim górował przerażający huk ognia.

Jej brzuch czuł teraz huk płomieni jak bolesne skurcze. Pulsował zdumieniem i grozą, chłonąc straszliwe piękno pożogi.

Jak jest tam w środku, gdzie weszli strażacy? Gorąco i ciemno? Duszno i jasno? Płomienie przypominały ogromne jezory, wysuwające się i zwijające znów do środka; zupełnie jakby smakowały tego, którego pożerały.

Kłęby dymu wznosiły się pióropuszcami. Łzawiły jej oczy, kręciło w nosie, choć taniec płomieni olśniewał. Wciąż była boso i asfalt parzył jej stopy niczym rozgrzane węgle. Ale nie mogła ruszyć się z miejsca, nie potrafiła oderwać wzroku od szalonego, nieujarzmionego widowiska.

Coś eksplodowało, znów rozległy się krzyki. Strażacy w hełmach i umorusanych sadzą twarzach krążyli w oparach dymu jak duchy. Przypominają żołnierzy - pomyślała Reena. Jakby oglądała wojenny film.

A jednak nawet bijące powietrze strugi wody rzucały urokliwe świetliste błyski.

Zastanawiała się, co się dzieje w środku. Co ci mężczyźni tam robią? Jak się

zachowuje ogień? Jeśli toczył wojnę, to czy krył się, żeby ponownie zaatakować znieca, jasny i złocisty?

Z nieba spadały spopielone drobiny jak czarny śnieg. Jak zahipnotyzowana dała krok do przodu. Matka natychmiast chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie, przytulając jeszcze mocniej.

- Stój tutaj - mruknęła. - Musimy trzymać się razem.

A ona chciała tylko popatrzeć. Z uchem przy sercu matki, słyszała, jak ono bije mocno i gwałtownie. Odwróciła głowę i popatrzyła w górę. Chciała zapytać, czy mogą podejść bliżej. Tylko troszeczkę.

Ale w twarzy matki nie dostrzegła żadnego podniecenia. W jej oczach próżno szukała zachwyty, widziała tylko błyszczące łzy.

Była piękną kobietą; wszyscy to mówili. Ale teraz twarz Bianki wyglądała jak wykuta z twardego kamienia, z głęboko wrytymi liniami. Jej oczy poczerwieniały od łez i dymu. We włosach miała szary popiół.

Obok stał Gibson, obejmując ją ramieniem. Reena ze zgrozą spostrzegła, że i w jego oczach lśniły łzy. Odbijał się w nich blask pożogi, jakby sam ogień dostał się do jego wnętrza.

To nie był film; wszystko działo się naprawdę. Coś, co do nich należało przez całe życie, na jej oczach znikalo w ogniu. Poprzez hipnotyzujące światło ruchliwych płomieni dostrzegala czarne smugi na ścianach Sirico's, widziała warstwę mokrej sadzy pokrywającej schodki z białego marmuru, odłamki potrzaskanego szkła.

Na ulicy i chodnikach stali sąsiedzi; większość ich w nocnych strojach. Z dziećmi na ręku lub obok siebie. Niektórzy płakali.

Nagle Reena przypomniała sobie, że w niewielkim mieszkanku nad pizzerią mieszkał Pete Tolino z żoną i maleńkim dzieckiem. Serce jej się ścisnęło, gdy spojrziała w górę i zobaczyła dym bijący z okien.

- Tato! Tato! Pete i Theresa!

- Nic się im nie stało. - Wziął córkę na ręce, gdy odsunęła się od matki, tak jak to robił, gdy była małą dziewczynką, i przytulił twarz do jej szyi. - Nikomu nic się nie stało.

Zawstydzona, wtuliła twarz w ramię ojca. Nie pomyślała wcale o ludziach, nie pomyślała nawet o tych wszystkich rzeczach: o obrazkach na ścianach i taboretach, o serwetach na stołach i wielkich piekarnikach.

Myślała jedynie o ogniu, o jego blasku i ryku, jaki wydawał.

- Przepraszam - chlipała z twarzą wtuloną w nagie ramię ojca. - Przepraszam.

- Już cicho, wszystko doprowadzimy do porządku - odparł chrapliwym głosem, jakby

krztusił się dymem. - Ja sam to wyremontuję.

Pocieszona, popatrzyła spod ramienia ojca na otaczające ją twarze i na pożar. Ujrzała przytulone do siebie siostry i matkę trzymającą na rękach Xandra.

Stary pan Falco siedział na stopniach swego domku i w sękatych palcach przesuwiał różaniec. Mieszkająca w sąsiednim domu pani DiSalvo otaczała ramieniem plecy swojej matki. Z ulgą dostrzegła też Pete'a; siedział na krawężniku jezdni z twarzą w dłoniach. Obok żona tuliła dziecko.

Potem dostrzegła Joeya. Stał, kołysząc biodrami, z kciukami wsuniętymi w przednie kieszenie spodni, i gapił się na ogień. Na jego twarzy malowało się jakieś radosne uniesienie, jak na jej świętych obrazkach męczenników. Mocniej przytuliła się do ojca.

W tej samej chwili Joey odwrócił głowę, spojrzął na nią i szyderczo wyszczerzył zęby.

- Tato - szepnęła, ale w tej samej chwili pojawił się jakiś człowiek z mikrofonem i zaczął zadawać pytania.

Kiedy ojciec postawił ją na ziemi, nie chciała się od niego oderwać. Joey wciąż się na nią gapił i szczyrzył zęby. Było to bardziej przerażające niż sam ogień. Ale Gibson popchnął ją w stronę siostr.

- Fran, zabierz brata i siostry do domu! - polecił.

- Ale ja chcę zostać z tobą. - Reena uczepliła się jego ręk. - Muszę zostać z tobą.

- Wracajcie do domu! - Przykucnął, tak że jego zaczerwienione oczy znalazły się na wysokości twarzy córki. - Już prawie po wszystkim. Dogaszają ogień. Powiedziałem, że wszystko doprowadzę do porządku, i dotrzymam słowa. - Pocałował ją w czoło. - Wracaj do domu. My też tam niebawem wrócimy.

- Catarmo! - Matka przyciągnęła ją z powrotem do siebie. - Pomóż siostrom przygotować kawę i coś do jedzenia dla ludzi, którzy nam pomagali. Tylko tyle możemy zrobić.

Przygotowywanie jedzenia to dla dzieci nic nowego. Termosy z kawą, dzbany z mrożoną herbatą, wielkie kanapki. Ale tym razem w kuchni nie było żadnych sprzeczek między siostrami. Bella nieustannie chlipała, ale Fran nie miała o to do niej pretensji. A kiedy Xander oświadczył, że zanieśie jeden dzbanek, nikt nie zwrócił mu uwagi, iż jest za mały.

W powietrzu unosił się odór, który Reena zapamiętała na zawsze. Światła latarni przesłaniała brudna zasłona dymu. Ale dzieci rozstawiły na chodniku przed domem stół na termosy z kawą, dzbanki z herbatą i kanapki. Wsuwały w usmolone dłonie kubki i chleb.

Część sąsiadów wróciła do domów, odgradzając się w ten sposób od dymu i smrodu spalenizny, od unoszącego się w powietrzu popiołu, który osiadał cienką warstwą na

samochodach i ziemi niczym brudny śnieg. Nie było już jasnego ognia i nawet z daleka Reena widziała poczerniałe cegły, czarną sadzę i ciemne dziury, które były kiedyś oknami.

Donice z kwiatami na białych stopniach, które wiosną pomagała mamie sadzić, teraz leżały potłuczone, zdeptane, martwe.

Rodzice stali ze splecionymi dłońmi na ulicy przed Sirico's. Ojciec miał na sobie tylko dzinsy, które wciągnął, kiedy ich obudziła, matka jasnoczerwony szlafrok. Dostała go na urodziny zaledwie w zeszłym miesiącu.

Stali tak jeszcze, nawet gdy wielkie wozy odjechały. Podszedł do nich mężczyzna w strażackim hełmie i rozmawiał z obojgiem przez dłuższy czas. Następnie rodzice odwrócili się i trzymając się ciągle za ręce, ruszyli w stronę domu.

Mężczyzna w hełmie poszedł w stronę tego, co zostało z Sirico's. Włączył ręczny reflektor i zniknął w ciemnościach wypalonego budynku.

Wspólnie przenieśli do domu resztki jedzenia i napojów. Reena pomyślała, że wszyscy wyglądają jak ocaleni bohaterowie z wojennych filmów: brudne włosy, zmęczone twarze. Kiedy już schowano jedzenie, matka zapytała, czy ktoś chce spać.

Bella znów wybuchnęła płaczem.

- Jak możemy spać? Co my teraz zrobimy?

- To, co zwykle. Jeśli nie chce ci się spać, idź się umyć. Ja zajmę się śniadaniem. No, idź. Kiedy się umyjemy i coś przekąsimy, nasze myśli będą jaśniejsze.

Jako trzecia pod względem wieku Reena była zawsze trzecia w kolejce do kąpieli. Poczekala więc do chwili, aż usłyszała, że łazienkę opuszcza Fran, a jej miejsce zajmuje Bella. Wtedy wyslizgnęła się ze swego pokoju i zapukała do sypialni rodziców.

Ojciec skończył właśnie mycie włosów, były jeszcze wilgotne. Włożył czyste dzinsy i koszulę. Ale jego twarz wyglądała tak jak wtedy, gdy przechodził ciężką grypę.

- Siostry okupują łazienkę? - zapytał z lekkim uśmiechem, który jednak nie pojawił się w jego oczach. - Tym razem możesz skorzystać z naszej.

- Reena, a gdzie twój brat? - zainteresowała się matka.

- Zasnął na podłodze.

- Ach. - Założyła opaskę na wilgotne włosy. - No dobrze. Idź pod prysznic. Przyniosę ci czyste ubranie.

- Dlaczego ten strażak wszedł do środka, kiedy wszyscy inni już wyszli?

- To inspektor - wyjaśnił ojciec. - Będzie się starał ustalić przyczynę pożaru. Gdyby nie ty, przybyliby znacznie później. Ale najważniejsze, że Pete'owi i jego rodzinie nic się nie stało. Reena, a co ty robiłaś na ulicy w środku nocy?

- Ja... - Zaczerwieniła się po czubki uszu na wspomnienie okresu. - Muszę coś powiedzieć mamie.

- Nie będę się gniewał.

Spuściła głowę i wbiła wzrok w czubki stóp.

- Proszę, to osobista sprawa.

- Gib, czy mógłbyś zacząć przygotowywać wędliny? - zapytała od niechcienia Bianca.

- Za chwilę do ciebie dołączę.

- Dobrze, dobrze - burknął i przetarł dłońmi oczy. - Ale ja bym się nie gniewał - powtórzył i zostawił je same.

- O czym nie chciałaś rozmawiać z ojcem? Dlaczego ranisz jego uczucia w tak trudnej chwili?

- Nie chciałam... Obudziłam się, bo... strasznie bolał mnie brzuch.

- Jesteś chora? - zapytała Bianca, odwracając się w stronę córki, i przyłożyła jej dłoń do czoła.

- Zaczął mi się okres.

- Och, moja mała dziewczynko! - Bianca przyciągnęła Reenę do siebie i mocno przytuliła. Zaczęła szlochać.

- Mamo, nie płacz.

- Nie... Ja tylko tak, chwilę. Tyle rzeczy, wszystko naraz. Moja mała Catarina. Tyle strat, tyle zmian. Moja *bambina*. - Lekko się odsunęła. - Dzisiejszej nocy zmieniłaś się i dzięki temu uratowałaś innym życie. Dziękujemy Bogu za to, co zdołaliśmy ocalić, a ze stratami damy sobie radę. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Ucałowała Reenę w oba policzki.

- Czy brzusek ciągle cię boli? - Kiedy dziewczynka skinęła głową, matka znów ją uściskała. - Weź teraz prysznic, a później ciepłą kąpiel w mojej wannie. Od razu poczujesz się lepiej. Czy chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

- Wiem, co robić.

Bianca uśmiechnęła się, ale w jej oczach malował się cień smutku.

• Idź teraz pod prysznic, pomogę ci. Mamo, nie mogłam tego powiedzieć przy tatusiu.

- Oczywiście, że nie. Masz rację. To sprawy kobiece. Sprawy kobiece. Słyszac te słowa, poczuła się kimś lepszym, a ciepła kąpiel sprawiła, że boi ustąpił. Kiedy zeszła na dół, cała rodzina była już w kuchni. Gdy ojciec delikatnie pogłaskał ją po włosach, Reena zrozumiała, że też już wie o wszystkim.

Przy stole panowała posepna atmosfera, cisza wynikająca ze zmęczenia. Ale

przynajmniej Bella najwyraźniej - jak na razie - wyplakała już wszystkie łzy.

Ojciec wyciągnął rękę i położył na dłoni mamy. Ścisnął ją i zaczął mówić.

- Musimy poczekać na wiadomość, że pogorzelnisko jest już bezpieczne. Wtedy zaczniemy sprzątanie. Nie znamy jeszcze rozmiaru zniszczeń, nie wiemy też, ile czasu upłynie, zanim ponownie otworzymy naszą pizzerię.

- Będziemy teraz biedni. - Usta Belli zdrząły. - Wszystko zniszczone, a my nie mamy pieniędzy.

- Czy nie miałaś kiedyś dachu nad głową, jedzenia na stole i ubrania na grzbiecie? - zapytała gniewnie Bianca. - Tak się zachowujesz, kiedy spadły na nas kłopoty? Płacz i skargi?

- Cały czas płakała - zauważył Xander, bawiąc się grzanką.

- Nie pytałam cię o to, widzę sama. Wasz ojciec i ja pracowaliśmy codziennie przez piętnaście lat, żeby uczynić z Sirico's miejsce miłe i ważne w najbliższym otoczeniu. A mój ojciec i matka budowali to miejsce przez więcej lat, niż sobie wyobrażacie. To boli. Ale przecież nie spaliła się rodzina, tylko lokal. Odbudujemy go.

- Ale co my zrobimy? - zaczęła znów Bella.

- Cicho bądź, Isabello! - zgromiła siostrę Fran.

- Chodzi mi o to, co zrobimy najpierw - ponownie odezwała się Bella.

- Sirico's jest ubezpieczone. - Gibson popatrzył na stojący przed nim talerz jakby zdziwiony, że jest na nim jedzenie. Ale natychmiast sięgnął po widelec i zaczął jeść. - Za te pieniądze wszystko odbudujemy i wyremontujemy. Mamy własne oszczędności. Nie będziemy biedni - dodał, patrząc surowo na średnią córkę. - Ale dopóki nie skończymy, musimy żyć bardzo oszczędnie. Nie będziemy mogli pojechać we wrześniu na weekend na plażę, jak zamierzaliśmy. Jeśli ubezpieczenie nie wystarczy, sięgniemy do naszych oszczędności lub nawet weźmiemy pożyczkę.

- Nie zapominaj też - stwierdziła Bianca - że zatrudnieni u nas ludzie stracili pracę, przynajmniej do chwili, aż ponownie uruchomimy lokal. Niektórzy z nich mają rodziny. Nie tylko nas dotknęło to nieszczęście.

- Pete, Theresa i ich dziecko - odezwała się Reena. - Zostali bez niczego. Bez ubrań, bez mebli. Moglibyśmy im coś dać.

- Tak. To dobrze, że o nich pomyślałaś. Alexander, jedz jajka - dodała.

- Wolałbym kulki kakaowe.

- A ja wolałabym futro z norek i brylantowy diadem. Jedz. Czeka nas wiele pracy. Każdy będzie miał swój zakres obowiązków.

- Ale nikt, absolutnie nikt - oświadczył Gibson, wskazując palcem Xandra - nie wchodzi do środka bez pozwolenia.

- Poppi - bąknęła Fran. - Musimy mu powiedzieć.

- Jeszcze za wcześnie, żeby telefonować do niego z takimi wiadomościami - wtrąciła Bianca, przesuwając jedzenie na talerzu. - Ale wkrótce to zrobię. Zadzwoń też do moich braci.

- Jak mogło do tego dojść? - spytała Bella. - Jak oni to wykryją?

Nie wiem. To ich sprawa. My musimy poskładać to wszystko z powrotem do kupy. - Gibson podniósł kubek z kawą. - I poskładamy.

- Drzwi były otwarte. Gibson skierował wzrok na Reenę.

- Co takiego?

Frontowe drzwi były otwarte.

- Jesteś pewna?

- Widziałam. Na pewno się nie mylę. Było jasno... z okna buchał ogień. Może to Pete zapomniał je zamknąć.

Tym razem to Bianca chwyciła męża za rękę. Ale zanim zdążyła się odezwać, zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- Otworzę. - Podniosła się z miejsca. - Mamy dziś przed sobą długi dzień. Kto jest zmęczony, powinien się przespać.

- Skończcie jedzenie - polecił Gibson. - Pozmywajcie naczynia.

Szesnastoletnia Fran wstała razem z nim, obeszła stół i przytuliła się do ojca. Była szczupła i miała dużo wdzięku, a także kobiecości, którą Reena dostrzegała i zazdrościła siostrze.

- Wszystko będzie dobrze. Urządzimy to jeszcze lepiej niż przedtem.

- Cała moja córka. Liczę na ciebie. Na was wszystkich - dodał. - Reeno, pozwól ze mną na chwilę.

Gdy razem wyszli z kuchni, usłyszeli, jak Bella warknęła:

- Święta Francesca.

Gibson westchnął w duchu i poprowadził Reenę do pokoju telewizyjnego.

- Hm, posłuchaj dziecko. Jeśli źle się czujesz, zwolnię cię z kuchennych obowiązków.

W pierwszej chwili chciała podskoczyć z radości, ale poczucie winy wzięło w niej górę.

- Nic mi nie jest.

- Ale jeśli coś... będzie, po prostu powiedz.

Z roztargnieniem poklepał ją po ramieniu i wyszedł przed dom.

Reena patrzyła na ojca. Zawsze wydawał jej się taki wysoki, ale teraz miał przygarbione ramiona. Chciała zrobić to samo, co Fran - objąć go, powiedzieć coś rozsądnego - ale było już za późno.

Zamierzała być grzeczna tak jak Fran i natychmiast wrócić do kuchni. Ale usłyszała Pete'a i wydało jej się, że młody mężczyzna płacze. Do Reeny dobiegł też głos ojca, ale nie mogła rozróżnić poszczególnych słów.

Cichutko ruszyła w stronę salonu.

Pete nie płakał, choć wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć płaczem. Siedział z pochyloną nisko głową, patrząc na zaciśnięte dłonie, które trzymał na kolanach, a długie włosy opadały mu na twarz.

Niedawno skończył dwadzieścia jeden lat. Wyprawili na jego cześć niewielkie przyjęcie, tylko w gronie rodzinnym. Zaczął pracować w Sirico's, gdy skończył piętnaście lat, należał więc do rodziny. Kiedy Theresa zaszła w ciążę i musieli się pobrać, rodzice Reeny wynajęli mu za symboliczną kwotę mieszkanie na piętrze.

Dziewczynka wiedziała o tym, gdyż podsłuchiwała rozmowę swojej matki z wujem Paulem. Za takie „przestępstwo” musiała zawsze odprawiać dużą pokutę, ale uważała, że warte jest to dwóch dodatkowych zdrowasiek.

Zauważyła teraz, że matka siedzi obok Pete'a, trzymając dłoń na jego kolanie. Ojciec przysiadł na stoliku do kawy - coś, co było im kategorycznie zabronione - i patrzył na chłopaka. Mówił tak cicho, że Reena wciąż nie mogła dosłyszeć jego słów a Pete cały czas kręcił głową.

Po chwili uniósł głowę, oczy mu błyszczały.

- Przysięgam, wszystko pozamykałem. Przypominałem sobie to już z tysiąc razy. Każdy swój krok. Boże, Gib, przyznałbym się, gdybym coś schrzanił. Musisz mi uwierzyć, że niczego nie ukrywam. Theresa i dziecko... gdyby coś im się stało...

- Na szczęście wszystko jest w porządku. - Bianca ujęła jego dłoń.

- Tak się wystraszyła. Wszyscy się wystraszyliśmy. Kiedy zadzwonił telefon... - Popatrzył na Biancę. - Gdy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że się pali i musimy uciekać, myślałem, że to zły sen. Złapaliśmy tylko dziecko i w nogi. Gib, nie czułem nawet dymu, dopóki się nie pojawiłeś, żeby nam pomóc w ucieczce.

- Pete, chcę, żebyś sobie dokładnie wszystko przypomniał. Czy zamknąłeś drzwi?

- Oczywiście, ja...

- Nie - potrząsnął głową Gibson. - Nie tak, mówisz odruchowo. Pomyśl po kolei. Często rutyna sprawia, że człowiek działa automatycznie, a później nic nie pamięta. Wróćmy więc jeszcze raz. Ostatni klienci?

- O Boże! - Pete przeciągnął dłonią po włosach. - Jamie Silvo z dziewczyną. Nową. Zjedli pepperoni i wypili po piwie. I Carmine. Został prawie do końca i próbował namówić Toni, żeby się z nim umówiła. Lokal opuścili mniej więcej o tej samej porze - około jedenastej trzydzieści. Toni, Mike i ja dokończyliśmy sprzątanie. Zrobiłem kasę... Boże wielki, Gib, koperta bankowa została na piętrze. Ja...

- O to się teraz nie martw. Czy ty, Toni i Mike opuściliście pizzerię razem?

- Nie. Pierwszy wyszedł Mike. Toni jeszcze chwilę została, czekając, aż skończę porządku. Dochodziła północ, a ona woli, żeby ktoś patrzył, jak wraca do domu. Wyszliśmy na zewnątrz i pamiętam... pamiętam, jak wyciągnąłem klucze, a ona powiedziała, że kółko do nich jest po prostu milusie. Theresa włożyła do niego zdjęcie Rosy. Mówiła, że jest słodkie, właśnie jak zamykałem drzwi. Zamknąłem drzwi! Gib, naprawdę je zamknąłem! Możesz zapytać Toni.

- W porządku. O nic cię nie obwiniam. Gdzie się zatrzymałeś?

- U moich rodziców.

- Czy czegoś potrzebujesz? - zapytała Bianca. - Może pampersów dla dziecka?

- Moja mama przechowuje takie rzeczy dla naszej małej. Wstąpiłem, żeby chwilę z wami porozmawiać. Chciałbym wiedzieć, co mam robić. Przechodziłem tamtędy. Nie można wejść do środka. Wszystko zablokowane. Ale wygląda to okropnie. Chciałbym jednak wiedzieć, co mam robić. Z pewnością do czegoś się przydam.

- Kiedy dostaniemy się w końcu do środka, będzie co robić. Zaczniemy od sprzątanania. A teraz wracaj już do żony i dziecka.

- Jeśli będziesz czegokolwiek ode mnie potrzebował, dzwoń do matki. O każdej porze. Zawsze okazywaliście mi - nam - tyle serca. - Mocno ucisnął Giba. - Zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

Gib poszedł w stronę drzwi, odwracając się jeszcze do Pianki.

- Muszę tam iść, rzucić na wszystko okiem. Reena wpadła do pokoju.

- Pójdę z tobą. Pozwól mi pójść.

Gib otworzył usta i Reena już wyczytała w jego twarzy odmowę. Ale Bianca potrząsnęła głową.

- Dobrze, idź z tatą. A kiedy wrócicie, porozmawiamy o podsłuchiowaniu cudzych rozmów. Poczekam na was, a potem dopiero zadzwonię do rodziców. Może będziemy wiedzieli coś więcej. A nuż nie wygląda to aż tak źle, jak myślimy.

Wyglądało jednak o wiele gorzej - przynajmniej w oczach Reeny. W świetle dnia poczerniałe cegły, potłuczone szkło, przesiąknięte wilgocią rumowisko sprawiały koszarne

Wrażenie. A jeszcze gorszy był smród. Wydawało się wręcz niewiarygodne, żeby ogień mógł w tak krótkim czasie dokonać tylu zniszczeń. Ogrom szkód ujrzała przez roztrzaskane wielkie frontowe okno, gdzie przedtem na szybie widniała wymalowana farbą pizza. Zwęglone rumowisko jaskrawopomarańczowych ławek i starych stolików, poskręcane z żaru, spalone krzesła. Zniknęła słonecznej barwy farba, którą wymalowano pomieszczenie, a także wielka tablica z jadłospisem wisząca przy wejściu do otwartego pomieszczenia kuchennego, gdzie, ku uciesze gości, jej ojciec i czasami matka ugniatali ciasto.

Ze środka wyłonił się mężczyzna w strażackim hełmie i z masywną latarką. W ręku trzymał też jakąś skrzynkę z narzędziami. Był starszy od ojca Reeny; poznała to po jego twarzy porytej głębokimi zmarszczkami i wysuwających się spod kasku prawie siwych włosach.

Zanim wyszedł, obrzucił ich baczny spojrzeniem. Gibson Hale był wysoki i szczupły - jak ludzie, którzy raczej nie tyją. Miał gęste, kędzierzawe włosy w kolorze piaskowym, jaśniejsze na końcach. Lubił przebywać na słońcu i nie wkładał nic na głowę. Po ciężkiej nocy wyglądał gorzej niż zwykle.

John Minger nie tylko badał przyczyny pożaru, ale również przyglądał się osobom, które miały z nim związek.

Dziewczynka — mimo zapuchniętych od niewyspania oczu - była śliczna jak obrazek. Włosy miała ciemniejsze niż jej ojciec, ale również kręcone. John ocenił, że pod względem wzrostu i budowy zapewne pójdzie w ślady ojca.

Widział ich minionej nocy, kiedy przybył na miejsce pożaru. Cała rodzina trzymała się razem - jak grupa rozbitków ocalałych z katastrofy statku. Żona Gibsona miała klasę. Piękność, jaką rzadko spotyka się poza ekranem. Według niego najbardziej przypominała matkę najstarsza córka. Średniej tylko niewiele brakowało do tej doskonałości. Chłopiec też był urodziwy, choć nie wyszedł jeszcze z wieku dziecięcego.

Towarzyszająca ojcu dziewczynka miała długie nogi pokryte zadrapaniami i siniakami. Zapewne więcej czasu spędzała na uganianiu się z bratem po dworze niż na zabawie lalkami.

- Panie Hale, niestety, nie mogę pana jeszcze wpuścić do środka.

- Chciałem tylko popatrzeć. Czy pan... czy ustalił pan, w którym dokładnie miejscu było ognisko pożaru?

- O tym właśnie chciałbym najpierw porozmawiać z panem. A to kto? - zapytał, z uśmiechem wskazując na Reenę.

- To moja córka, Catarina. Przepraszam, wiem, że pan już mi się przedstawił, ale...

- Jestem Minger. Inspektor John Minger. Wspomniał pan, że to jedna z pańskich córek

zauważyła ogień i obudziła was.

- To ja - pisnęła Reena. Zdawała sobie sprawę, że grzeszy, pyszniąc się swoimi zasługami. Ale zapewne był to grzech wybaczymy. - Ja pierwsza zobaczyłam płomień.

- O tym też chciałbym porozmawiać. - Spojrzał w stronę policyjnego radiowozu, który właśnie zatrzymał się przy krawężniku. - Proszę chwileczkę poczekać - rzekł i nie czekając na odpowiedź, podszedł do samochodu, gdzie przez chwilę rozmawiał o czymś z siedzącymi w środku policjantami. - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy w spokoju porozmawiać? - zapytał po powrocie.

- Mieszkamy tuż obok.

- Świetnie. Jeszcze tylko chwila. - Podszedł do innego auta, gdzie ściągnął z siebie strój roboczy. Pod spodem miał zwykłe ubranie. Wrzucił kombinezon, kask i skrzynkę z narzędziami do bagażnika, po czym zamknął samochód i skinął głową w stronę policjanta.

- Co jest w tej skrzynce z narzędziami? - chciała wiedzieć Reena.

- Różne rzeczy. Jeśli chcesz, kiedyś ci pokażę. Panie Hale, mogę pana poprosić na chwilę? Zaczekasz tu na nas, Catarino?

I znów, nie czekając na odpowiedź, odszedł kilka kroków.

- Jeśli ma pan mi coś do powiedzenia... - zaczął Gibson.

- Dojdziemy i do tego. - Wyciągnął paczkę papierosów i zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko dymem i wsunął zapalniczkę z powrotem do kieszeni. - Muszę porozmawiać z pańską córką. To naturalny odruch, że próbowałby pan odpowiadać za nią, naprowadzać. Lepiej, żeby tak nie było.

Dlatego prosiłbym, żeby pozwolił mi pan porozmawiać z nią samą.

- Jasne, nie ma sprawy. Reena jest bardzo spostrzegawcza.

- Doskonale. - Inspektor wrócił do dziewczynki. Zauważył, że ma oczy bardziej bursztynowe niż brązowe. Choć były podkrążone, patrzyły bystro. - Czy zauważyłaś ogień z okna swojej sypialni? - spytał, idąc teraz z nią.

- Nie, ze schodków. Siedziałam na schodkach mojego domu.

- Już trochę po tym, jak wszyscy poszli spać, co? Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią tak, żeby nie ujawnić krępujących spraw prywatnych, a jednocześnie nie skłamać.

- Panował upał. Obudziłam się, bo nie najlepiej się czułam - powiedziała. - Nalałam sobie w kuchni szklankę imbirowej oranżady i wyszłam przed dom. Usiadłam na schodkach i piłam.

- W porządku. Czy możesz mi pokazać dokładnie miejsce, w którym siedziałaś w

chwili, gdy dostrzegłaś pożar?

Dobiegła do domu i posłusznie usiadła na białych marmurowych stopniach, tam gdzie siedziała w nocy. Patrzyła w ulicę i czekała, aż obaj mężczyźni podejną.

- Tutaj było chłodniej niż na górze. Ciepło zawsze ucieka do góry. Uczono nas o tym w szkole.

- To prawda. A więc - Minger usiadł obok niej i tak jak ona popatrzył w ulicę - siedziałaś tu, popijając imbirową oranżadę i zobaczyłaś ogień?

- Zobaczyłam światła. Właściwie blask świateł na szybie. Nie wiedziałam, co to takiego. Pomyślałam, że może Pete zapomniał zgasić w środku, ale to wcale tak nie wyglądało. Te światła się ruszały.

- Jak?

Wzruszyła ramionami, czując się trochę głupio.

- Jakby tańczyły. To było śliczne. Ciekawiło mnie, co to może być, więc trochę podeszłam w tamtą stronę. - Zagryzła usta i popatrzyła niepewnie na ojca. - Wiem, że nie powinnam tak robić.

- O tym porozmawiamy później - mruknął Gib.

- Chciałam tylko zobaczyć. Jestem zbyt ciekawska, żeby dbać o własne interesy, jak mówi babcia Hale. Musiałam się przekonać, co to takiego.

- Jak daleko zaszłaś? Możesz mi pokazać?

- Jasne.

Podniósł się wraz z dziewczynką i idąc obok niej, próbował sobie wyobrazić, co by czuł, gdyby był dzieckiem wędrującym w upalną noc ciemną ulicą. Ekscytacja. Zakazany owoc.

- Zabrałam ze sobą oranżadę i trochę popijałam, idąc w stronę światła. - W skupieniu zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie każdy krok. - Myślę, że doszłam chyba do tego miejsca, jakoś tutaj, bo widziałam, że drzwi były otwarte.

- Jakie drzwi?

- Drzwi frontowe sklepu. Widziałam, że są otwarte, i w pierwszej chwili pomyślałam, że to ta święta krowa Pete zapomniał ich zamknąć, za co dostanie solidną burę od mojej mamy. W naszym domu to ona łoś skórę. Ale za - — zobaczyłam ogień i dym. Buchały przez otwarte drzwi. Przestraszyłam się. Wrzasnęłam z całych sił i pędem wróciłam do domu. Wbiegłam na piętro, wciąż chyba krzycząc, bo tata zdążył już wstać i wkładał spodnie, a mama sięgała po szlafrok. I wszyscy wrzeszczeli. Fran pytała na okrągło: „Co, co się pali? Nasz dom?”. Ale ja mówiłam: „Nie, nie, pali się sklep”. My tak przeważnie nazywamy

Sirico's.

Sklep.

Ona to wszystko dokładnie przemyślała - stwierdził John. Poukładała sobie w głowie wszystkie zapamiętane szczegóły.

- Bella zaczęła płakać. Ona dużo płacze, bo tak robią wszystkie nastolatki - oprócz Fran. Tata wyjrzał przez okno i kazał mamie zadzwonić do Pete'a - on mieszka nad sklepem - i powiedzieć mu, żeby natychmiast uciekał z całą rodziną. Pete ożenił się z Theresą i w czerwcu urodziło im się dziecko. Kazał, żeby powiedziała Pete'owi, iż sklep się pali i ma natychmiast uciekać z mieszkania, a potem zadzwonić po straż pożarną. Mówiąc to, już zbiegał na dół po schodach. I powtórzył, żeby zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście, ale mama już to zrobiła.

- Bardzo dobry raport.

- Pamiętam więcej. Pobiegliśmy wszyscy w stronę pożaru, ale tata był najszybszy. Biegł przez całą drogę. Ogień stawał się coraz większy. Widziałam to. Trzasnęły szyby w oknach i wydobył się na zewnątrz. Ogień. Tata ominął jednak front budynku. Bałam się, że tam pójdzie i może mu się stać coś złego, że go poparzy, ale on pobiegł do tylnych schodów, prowadzących do mieszkania Pete'a.

Umilkła na chwilę, zaciskając wargi.

- Żeby pomóc im się wydostać - pomógł jej John.

- Bo oni są dla niego ważniejsi niż sklep. Pete trzymał dziecko, a tata ciągnął za rękę Theresę. Zbiegli po schodach. Ludzie zaczęli wychodzić z domów. Wszyscy wrzeszczeli i krzyczeli. Myślę, że tata chciał jeszcze biec do środka, tam gdzie był ogień, ale mama chwyciła go mocno za ramię. „Nie! Nie!” - wrzasnęła i pozostał na miejscu. Stanął obok niej i powiedział; „O Chryste, kochanie”. Tata czasem tak nazywa mamę. Później usłyszałam wycie syren i przyjechały wozy strażackie. Wskoczyli z nich strażacy i zaczęli rozwijać sikawki. Tata powiedział im, że w środku nikogo nie ma. Ale i tak kilku z nich tam weszło. Nie wiem, jak oni to zrobili, w tym ogniu i dymie, ale weszli. Wyglądali jak żołnierze. Jak żołnierze - zjawy.

- Wszystko zapamiętałaś!

- Mam pamięć słonia.

John zerknął w stronę Giba i wyszczerzył zęby w pełnym uznania uśmiechu.

- Ma pan tu prawdziwy karabin maszynowy, panie Hale - powiedział.

- Gib, po prostu Gib. Tak, to prawda.

- W porządku. Reena, czy mogłabyś mi powiedzieć, co jeszcze widziałaś, gdy

siedziałaś na tych schodach, zanim zobaczyłaś ogień? Usiądź znów na stopniach i spróbuj sobie wszystko przypomnieć.

Gib popatrzył w stronę sklepu i ponownie skierował wzrok na Johna.

- Czy to nie czysty wandalizm?

- Dlaczego tak twierdzisz? - zapytał John.

- Drzwi. Otwarte drzwi. Rozmawiałem z Pete'em. Zeszłej nocy on zamykał sklep, gdyż ja z rodziną wybraliśmy się na mecz.

- Nasze ptaszki sprawiły baty Rangersom.

- Ha! - Gib zmusił się do uśmiechu. - Pete zamknął lokal w towarzystwie innego mojego pracownika. Doskonale to pamięta, gdyż w tym czasie rozmawiał z Toni - Antonią Vargas - o kółku, na którym trzyma klucz. Nigdy zresztą nie zdarzyło mu się nie zamknąć drzwi. Skoro więc później były otwarte, ktoś musiał je wyłamać.

- O tym też porozmawiamy. - Ponownie przysiadł się do Reeny. - Tak, to sympatyczne miejsce. Wymarzone na zimny napój w upalną noc. Może pamiętasz, która była wtedy godzina?

- Hm, mniej więcej dziesięć po trzeciej. Wiem, bo gdy brałam z kuchni imbirową oranżadę, zerknęłam na zegar.

- Przypuszczam, że o tej porze wszyscy w sąsiedztwie już spali.

W żadnym z domów nie paliło się światło. Jedynie w ogrodzie Castosów świeciła się lampa, ale oni prawie zawsze zapominają ją zgasić. Małe światełko zauważyłam też w oknie pokoju Mindy Young. Zawsze sypia przy włączonej nocnej lampce, choć ma już dziesięć lat. Słyszałam też szczekanie psa. Myślę, że był to Fabio, pies Pastorellich. Chyba był czymś zaniepokojony, ale szybko przestał czekać.

- Czy ulicą przejeżdżały jakieś samochody?

- Nie, ani jeden.

- O tak późnej godzinie, w takiej ciszy z pewnością usłyszałybyś, gdyby gdzieś dalej w ulicy ruszał samochód lub trzasnęły zamykane drzwi.

- Było całkiem cicho. Tylko parę razy zaszczekał ten pies. Słyszałam nawet cichutki szum klimatyzatora w sąsiednim domu. Dobrze pamiętam, że nie było żadnych innych hałasów. Nawet później, kiedy już szłam w stronę sklepu.

- W porządku, Reeno. Sprawiałaś się na medal. Otworzyły się drzwi i John ponownie zachwyił się urodą gospodyni.

- Gib, czemu rozmawiacie na zewnątrz? Nie zaproponujesz panu chłodnego napoju? - zapytała z uśmiechem Bianca. - Prosimy do środka. Przygotowałam świeżą lemoniadę.

- Dziękuję. - John w jednej chwili zerwał się na nogi. Bianca była z tych kobiet, które budzą respekt w mężczyznach. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby wypić coś chłodnego i zająć państwu jeszcze trochę czasu.

Salon był pełen kolorów. John pomyślał, że ostre barwy bardzo pasują do takich kobiet jak Bianca Hale. W pokoju panował nieskazitelny porządek, meble nie były nowe, ale niedawno wyczyszczone, jeszcze wydzielaly zapach olejku cytrynowego. Na ścianach wisiały portrety członków rodziny oprawione w skromne ramki, wykonane węglem i pastelami. Twórca miał bardzo dobre oko i wprawne dłonie.

- Kto jest autorem?

- Ja - odparła Bianca, nalewając lemoniadę do szklanek z kostkami lodu. - To moje hobby.

- Piękne.

- Mamy rysunki wisiały też w sklepie - wtrąciła Reena. - Najbardziej lubiłam portret taty. Na głowie miał wielką czapkę szefa kuchni i ugniatał pizzę. Już go nie ma, prawda? Spłonął.

- Narysuję inny. Jeszcze lepszy.

- I był tam też stary dolar. Mój dziadek umieścił w ramce pierwszy banknot, który zarobił po otwarciu Sirico's. I mapa Włoch, a także krzyż babci, który poświęcił sam papież, i jeszcze...

- Catarino! - Bianca uniosła rękę, przerywając potok słów córki. - Kiedy coś stracimy, lepiej jest myśleć o tym, co nam jeszcze pozostało i jak można to wykorzystać.

- Ktoś celowo podłożył ogień. W nosie miał twoje obrazki, krzyż i wszystko inne. Nawet Pete'a i Theresę z dzieckiem, którzy byli w środku.

- Słucham? - Bianca zacisnęła palce na poręczy krzesła. - Co pan mówi? Czy to prawda?

- Trochę wybiegamy naprzód. Inspektor do spraw podpaień będzie...

- Podpaień? - Bianca opadła na krzesło. - O mój Boże! O słodki Jezu!

- Pani Hale. Przekazałem swoje pierwsze spostrzeżenia wydziałowi policji do spraw podpaień. Moje zadanie polega na inspekcji budynku i ustaleniu, czy trzeba prowadzić śledztwo na ewentualność podpalenia. Ktoś z tego wydziału zbada pogorzelisko i podejmie odpowiednie czynności.

- A dlaczego nie pan? - zapytała Reena. - Przecież pan to wykrył.

John popatrzył w zmęczone i inteligentne, miodowe oczy dziewczynki. Tak - pomyślał - on to wykrył.

- Jeśli ogień został podłożony celowo, jest to przestępstwo i prowadzenie sprawy przejmują policja - powiedział.

- Ale przecież pan to wykrył - nalegała Reena. Nie, to dziecko już mi nie odpuści - stwierdził.

- Skontaktowałem się z policją, ponieważ podczas inspekcji budynku natknąłem się na ślady wyłamania drzwi wejściowych. Wykrywacze dymu zostały zdemontowane, odkryłem też wiele przypuszczalnych źródeł zapłonu.

- Co to są źródła zapłonu? - zainteresowała się Reena.

- To znaczy, że ogień został zaprószony w więcej niż jednym miejscu. A ze wzorów wypaleń, ze sposobu, w jaki ogień poznał pewne partie podłogi, ściany i meble, pozostawiając na nich sadzę, można wywnioskować, że jako materiału podpalającego użyto benzyny i czegoś, co nazywamy lontami. Ogień podsycali również stare gazety, woskowany papier i opakowania zapalek. Wszystko wskazuje na to, że ktoś się włamał i porozkładał lonty po całej sali i w kuchni. Na zapleczu znajdowały się inne materiały łatwopalne: opakowania pod ciśnieniem, drewniane szafki, framugi w całym lokalu, stoliki i krzesła. Podpalacz najprawdopodobniej oblał benzyną podłogi, meble oraz ściany. Gdy Reena wyszła przed dom, ogień już trawił wnętrze lokalu.

- Ale kto to mógł zrobić? I to z rozmysłem? - Gib pokręcił głową. - Rozumiem, grupa głupkowatych dzieciaków włamuje się dla draki do sklepu i przez nieuwagę zaprószy ogień; ale pan mówi o celowym podpaleniu naszego sklepu - i mieszkającej na piętrze rodziny. Kim mógł być ten drań?

- O to właśnie chcę was zapytać. Czy ktoś może żywić jakąś urazę do pana lub pańskiej rodziny?

- Nie, nie. Broń Boże. Mieszkamy w tej dzielnicy od piętnastu lat. Bianca tu się wychowała. Sirico's jest tu wrośnięta w krajobraz.

- A konkurencja?

- Znam wszystkich restauratorów w okolicy. Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach.

- Może więc jakiś dawny pracownik? Ktoś, kogo musiał pan ukarać?

- Absolutnie nie. Mogę przysiąc.

- Czy z kimś pan, ktoś z pańskiej rodziny lub pracowników się pokłócił? Może któryś z klientów?

Gib przeciągnął dłońmi po twarzy, po czym dźwignął się z krzesła i podszedł do okna.

- Nie. Nikt taki nie przychodzi mi na myśl. Jesteśmy lokalem rodzinnym. Od czasu do czasu miewamy jakieś skargi, ale nie da się tego uniknąć. To jednak nie mogłoby nikogo

skłonić do podpalenia.

- Może któryś z pańskich pracowników miał jakąś sprzeczkę, nawet poza godzinami pracy. Proszę mi podać nazwiska personelu. Wszyscy muszą zostać przesłuchani.

- Tato?

- Reeno, nie teraz. Staraliśmy się być dobrymi sąsiadami i prowadziliśmy ten lokal tak samo jak rodzice Bianki, Musieliśmy go trochę zmodernizować, ale dusza sklepu nie uległa zmianie. - W głosie Gibsona pobrzmiwał smutek, przez który jednak przebijał gniew. - To solidne miejsce. Wymaga ciężkiej pracy, ale zapewnia godziwe życie. Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić nam i naszej pizzerii.

- Przez cały rano urywał się u nas telefon - wtrąciła Bianca, bo właśnie znów zadzwonił. - W naszym imieniu rozmawia najstarsza córka. Ludzie wyrażają współczucie, oferują pomoc. Chcą z nami sprzątać, przynieść nam jedzenie, proponują pomoc w odbudowie. Ja tutaj dorastałam. W Sirico's. Ludzie uwielbiają Giba. Zwłaszcza Giba. Trzeba strasznej nienawiści, żeby zrobić coś takiego. Nikt nie żywi tu do nas nienawiści.

- Mnie nienawidzi Joey Pastorelli.

- Catarino! - Bianca przeciągnęła zmęczonym ruchem dłoni po twarzy córki. - Joey wcale cię nie nienawidzi. Jest po prostu łobuzem.

- Dlaczego twierdzisz, że cię nienawidzi? - chciał wiedzieć John.

- Przewrócił mnie na ziemię, uderzył i podarł bluzkę. Jakoś tak mnie nazwał, ale nikt mi nie chce powiedzieć, co to słowo znaczy. Xander z kolegami zauważyli, co się dzieje, i pobiegli na pomoc, a Joey uciekł.

- Joey to trudne dziecko - wtrącił Gib. - I to była próba... - Popatrzył Johnowi w oczy i coś sobie przekazali, czego Reena nie rozumiała. — To było irytujące. Powinien być przynajmniej pod opieką psychologa. Ale ma przecież tylko dwanaście lat. Nie sądzę, by dwunastolatek włamał się do sklepu i zrobił to, o czym pan mówił.

- Niemniej warto się temu przyjrzeć. Reeno, powiedziałaś, że kiedy wyszłaś przed dom, usłyszałaś szczekanie psa Pastorellich.

- Myślę, że to ich pies. Jest trochę straszny i groźnie szczeka. Zupełnie jak zdzierający gardło kaszel.

- Gib, gdyby jakiś łobuziak poturbował mi córkę, zamieniłbym z nim kilka słów, a następnie udałbym się do jego rodziców.

- Tak właśnie zrobiłem. Byłem w pracy, gdy pojawili się Reena, Xander i kilkoro innych dzieci. Reena płakała, a ona rzadko kiedy płacze. Od razu zrozumiałem, że ktoś ją skrzywdził. Miała podartą bluzkę. Kiedy opowiedziała, co się wydarzyło... aż się we mnie

zagotowało. No i...

Powoli popatrzył w stronę żony, z lekkim strachem w oczach.

- O mój Boże, Bianco.

- I co zrobiłeś, Gib? - wrócił do tematu John.

- Natychmiast poszedłem do Pastorellich. Pete był akurat w pobliżu, więc udał się ze mną. Drzwi otworzył Joe Pastorelli. Prawie przez całe lato nie miał pracy. Wkroczyłem ostro.

Gib mocno zacisnął oczy.

- Byłem wkurzony i potwornie zdenerwowany. Przecież Reena jest małą dziewczynką. Miała poszarpaną bluzkę i skaleczoną do krwi nogę. Oświadczyłem, że mam już serdecznie dosyć jego rozwydrzonego synalka molestującego moje dziecko i czas położyć temu kres, że tym razem Joey posunął się za daleko i myślę o zawiadomieniu policji. Skoro on nie potrafi utrzymać w ryzach swego syna, z pewnością uczynią to stróże prawa. Zaczęliśmy na siebie krzyczeć.

- Powiedział, że jesteś pierdolonym dupkiem, który próbuje na siłę naprawiać cały świat, choć powinien się zajmować własnymi gównianymi interesami.

- Catarmo! - wykrzyknęła ostro Bianca. - Nigdy więcej nie używaj w tym domu takich słów!

- Powtarzam tylko jego słowa. Do raportu. Powiedział też, że nasz tata wychowuje bandę zasmarkanych, płaczkliwych bachorów, które nie potrafią się same obronić. Potem leszcze więcej przeklinał, a ojciec odpowiadał mu podobnie.

- Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem ani co on na to odrzekł. - Gib przeciągnął palcem po grzbiecie nosa. - Nie mam w głowie takiego magnetofonu jak Reena. Ale atmosfera była gorąca i łatwo mogło dojść do rękoczynów. I może by doszło, gdyby nie widok stojących przed sklepem dzieci. Nie chciałem wszczynać bijatyki na ich oczach, tym bardziej że sam interweniowałem w sprawie pobicia mojej córki.

- Powiedział też, że ktoś powinien dać ci lekcję. Tobie i całej twojej rodzinie - wtrąciła Reena. - I strasznie kłął. A kiedy tata i Pete wychodzili, za ich plecami robił brzydkie gesty. Widziałam też Joeya, gdy staliśmy przy płonącym sklepie. Przesłał mi paskudny, złośliwy uśmiech.

- Czy Pastorelli ma więcej dzieci?

Nie, tylko Joeya. - Gib przysiadł na krawędzi fotela żony, W zasadzie powinno się dziecku współczuć, bo stary Pastorelli najwyraźniej jest dla niego bardzo brutalny. Ale też ten chłopak to okropny zbir. - Znów popatrzył na Reenę. - Może jeszcze gorszy, niż się wszystkim wydaje. - Jaki ojciec, taki syn - mruknęła Bianca. - Myślę, że on regularnie bije

swoją żonę. Nieraz widywałam siniaki na jej twarzy. Biedaczka trzyma się z daleka od ludzi, więc nie znam jej zbyt dobrze. Mieszkają tu chyba od dwóch lat, ale rozmawiamy ze sobą bardzo rzadko. Kiedyś, zaraz po tym, jak wyrzucili go z pracy, zjawiała się u niego policja. Wezwał ją sąsiad, który usłyszał dobiegające z domu Joego krzyki i płacz. Ale Laura, pani Pastorelli, oświadczyła, że nic złego się nie dzieje, a ona uderzyła się o drzwi.

- No to niezły z niego magik. Policja będzie chciała go przesłuchać. Bardzo wam współczuję z powodu tego wszystkiego.

- Kiedy możemy tam wejść i zacząć sprzątanie?

- To jeszcze trochę potrwa. Ekipa od podpaleń musi zrobić, co do niej należy. Konstrukcja budynku jest nienaruszona, a drzwi przeciwpożarowe nie dopuściły do rozprzestrzenienia się pożaru na piętro. Pogorzeliśko musi także obejrzeć wasza firma ubezpieczeniowa. To wszystko zajmie sporo czasu, ale postaramy się, na ile to tylko będzie możliwe, sprawę przyspieszyć. Byłoby nam jednak o wiele trudniej, gdyby nie to wasze Sokole Oko. - Wstając, puścił oko do Reeny. - Przepraszam za kłopot. Dopilnuję, żeby informowano was o wszystkim na bieżąco.

- Czy pan tu jeszcze wróci? - spytała Reena. - Miał mi pan pokazać zawartość tej skrzynki z narzędziami i powiedzieć, do czego one służą.

- Będę o tym pamiętał. Naprawdę bardzo mi pomogłaś. Wyciągnął do dziewczynki rękę i po raz pierwszy w jej oczach pojawiła się nieśmiałość. Podała inspektorowi dłoń, którą uściskał.

- Dziękuję za lemoniadę, pani Hale. Gib, czy możesz mnie odprowadzić do samochodu?

Razem wyszli z domu.

- Nie wiem, dlaczego od razu nie pomyślałem o Pastorellim. Właściwie wciąż nie mieści mi się w głowie, że mógł się posunąć tak daleko. Jeśli w moim świecie ktoś cię tak mocno wkurzy, dostaje pięścią.

- Bezpośrednie podejście. Gdyby rzeczywiście był w to zamieszany, prawdopodobnie chciał uderzyć w wasze życie: w jego fundamenty w waszą tradycję, waszą pracę. On jest bezrobotny, ty masz pizzerię. No, a teraz kto został bez pracy?

- Wielki Boże!

- Ty i twój pracownik stanęliście z nim twarzą w twarz. Widziały to na własne oczy twoje dzieci zgromadzone przed restauracją. Pewnie też i sąsiedzi.

Gib zamknął oczy.

- Tak. Tak. Powychodzili przed domy.

- A więc podpalenie i zniszczenie miejsca twojej pracy ma być dla ciebie nauzką. Gdzie on mieszka?

- Tam, po prawej - wskazał Gib. - Ten dom z zaciągniętymi zasłonami. Mamy dziś upalny dzień, więc zasłania okna. Sukinsyn.

- Powinieneś teraz trzymać się od niego z daleka. Powstrzymaj w sobie chęć konfrontacji. Czy Pastorelli ma samochód?

Półciężarówkę. Starego forda. Tego niebieskiego.

- O której mniej więcej poszedłeś do niego z Pete'em?

- Tak po drugiej. Tłum na lunch już się u nas przewinał.

Gdy szli ulicą, kilka osób się zatrzymało, otwierały się niektóre drzwi lub pojawiały się głowy w oknach i wołano Giba, W domu Pastorellego zasłony nadal były zasunięte.

Przed pizzerią zebrał się niewielki tłumek gapiów, więc John zatrzymał się, gdy byli jeszcze na tyle daleko, że nikt ich nie słyszał.

Sąsiedzi pewnie chcą z tobą pogadać, zadać parę pytań. Ale najlepiej nie wspominaj o tym, o czym rozmawialiśmy.

- Nie wspomnę - odparł Gib i westchnął głęboko. - Cóż, myślałem trochę o odnowieniu lokalu. Myślę, że teraz będzie na to odpowiedni czas.

- Po uprzątnięciu pogorzelniska stwierdzisz duże szkody, wiele z nich wyrządziła sama akcja pożarnicza. Ale fundamenty i konstrukcja budynku zachowały się w stanie idealnym. Daj nam jeszcze kilka dni, a kiedy wszystko zrobimy, przyjdę i osobiście cię tam wprowadzę. Gib, masz bardzo sympatyczną rodzinę.

- Dzięki. Jeszcze nie wszystkich widziałeś, ale to prawda.

- Obserwowałem was wszystkich ubiegłej nocy. - John wyjął kluczyki od samochodu, cicho podzwaniały mu w rękę. - Widziałem, jak twoje dzieciaki częstowały strażaków kanapkami. Ludzie, którzy w ciężkich dla nich czasach potrafią również myśleć o innych, są dobrzy. O, właśnie nadjeżdża ekipa od podpaień. - Pokazał głową na parkujący samochód. - Pójdę z nimi zamienić słowo - rzekł, wyciągając rękę.

John podszedł do detektywów wychodzących po obu stronach z samochodu, uśmiechając się do nich szeroko.

- Hej, Minger?

- Witam ponownie - odparł. - Coś mi się zdaje, że odwaliłem za was prawie całą robotę. - Wyciągnął papierosa i zapalił go. - Lepiej od razu przejdźmy do szczegółów.

Nie trwało to nawet kilku dni. Następnego popołudnia przyjechała policja i zabrała pana Pastorellego. Reena widziała to na własne oczy, gdy wracała do domu w towarzystwie Giny Rivero, najbliższej przyjaciółki od czasów drugiej klasy.

Kiedy dotarły do rogu, na którym znajdowała się Sirico's, zatrzymały się. Policja i straż ogniowa zablokowały przejście taśmami z napisami ostrzegawczymi i ustawiły metalowe bariery.

- Wygląda na taki opuszczony - powiedziała cicho Reena. Gina położyła jej dłoń na ramieniu.

- Mama powiedziała, że przed niedzielną mszą zapalimy przy ołtarzu wszystkie świece w intencji ciebie i twojej rodziny.

- To miło z waszej strony. Odwiedził nas w domu ksiądz Bastillo. Mówił o sile, jaką należy się wykazać wobec przeciwności losu, i o tym, że wyroki boskie są niezbadane.

- Bo są - przytaknęła pobożnie Gina, dotykając krzyżyka, który nosiła razem z medalikiem.

- Moim zdaniem należy palić świece i modlić się, ale znacznie lepiej jest coś robić. Na przykład prowadzić śledztwo, znaleźć sprawcę i poznać jego motywów oraz upewnić się, że poniósł odpowiednią karę. Jeśli będziesz tylko siedzieć i zanosić modły, niewiele wskórasz.

- To bluźnierstwo - szepnęła Gina i rozejrzała się pospiesznie, czy Anioł Boży nie szykuje się już do ciosu.

Reena wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, dlaczego otwarte wyrażanie swoich myśli od razu musi być bluźnierstwem, ale faktycznie Frank, starszy brat Giny, nie bez powodu nazywał ją ostatnio Siostrą Maryją.

- Inspektor Minger i dwóch detektywów przynajmniej coś robią. Zadają pytania, szukają dowodów. Przynosi to jakiś efekt. Trzeba podejmować takie działania i czegoś się dowiedzieć. Żałuję, że nic nie zrobiłam, kiedy Joey Pastorelli przewrócił mnie na ziemię i uderzył. Ale tak bardzo się bałam, że nie mogłam się nawet obronić.

- Jest większy od ciebie. - Gina wolną ręką objęła przyjaciółkę w pasie. - I wredny. Frank uważa, że to głupi gnojek i ktoś powinien skopać mu tyłek.

- Tyłek to chyba nie jest brzydkie słowo, można tak mówić. Zobacz, detektywi odpodpaleni.

Rozpoznała zarówno mężczyzn, jak i samochód. Ale teraz ubrani byli w garnitury z krawatami - jak biznesmeni. Gdy pracowali na pogorzeliisku wewnątrz Sirico's, mieli na sobie

kombinezony i kaski.

Byli już u nich w domu i rozmawiali z Reeną, podobnie jak inspektor Minger. Ogarnęła ją fala podniecenia i gorąca, gdy policjanci wysiedli z auta i ruszyli w stronę domu Pastorellich.

- Idą do domu Joeya.

- Rozmawiali też z moim tatą. Poszedł popatrzeć na zgliszcza Sirico's i tam go zagadnęli.

- Cicho, popatrz! - Teraz ona też objęła Ginę w pasie i cofnęły się nieco za róg, gdy pani Pastorelli otworzyła funkcjonariuszom drzwi.

- Nie chce wpuścić ich do środka.

- Dlaczego?

Zachowanie tajemnicy wymagało wielkiej siły woli, ale Reena jedynie potrząsnęła głową.

- Pokazują jej jakiś papier.

- Wygląda na przestraszoną, a oni wchodzi do domu.

- Poczekamy tu - oświadczyła Reena. - Zobaczymy, co się będzie działo. - Przeszła kawałek w dół ulicy i usiadła na krawężniku między dwoma zaparkowanymi samochodami. - Tu jest dobre miejsce.

- Ale miałyśmy przecież wracać prosto do ciebie do domu.

- Sytuacja się zmieniła. To ty pójdziesz do nas i powiesz o wszystkim mojemu tacie. - Spojrzała na Ginę. - Musisz. Ja tu zaczekam i popatrzę.

Kiedy Gina pobiegła chodnikiem, Reena skierowała wzrok na zasłony w oknach, dziś również zaciągnięte. Obserwowała.

Zerwała się na nogi, gdy przyszedł ojciec.

Gdy spojrzał córce w oczy, przede wszystkim przyszła mu do głowy myśl, że to już nie dziecko na niego patrzy. Zobaczył w nich chłód, surowy chłód, jaki można dostrzec tylko w oczach dorosłych.

- Próbowała ich nie wpuścić, ale oni pokazali jakiś papier. Myślę, że był to nakaz aresztowania, taki jak w *Policjantach z Miami*. Wtedy weszli.

Ojciec wziął ją za rękę.

- Powinienem odesłać cię do domu. Nie masz nawet dwunastu lat i nie powinnaś brać udziału w takich historiach.

- Ale nie odeślesz mnie.

- Nie odeślę. - Westchnął. - Twoja mama robi wszystko na swój sposób. Jest głęboko

wierząca, ma temperament oraz cudowne serce i twardo stąpa po ziemi. Fran... też ma wiarę i serce. Wierzy, że ludzie są z natury dobrzy. To znaczy, że bardziej naturalne jest być dobrym niż złym.

- To nie dotyczy wszystkich.

- Nie. Nie wszystkich. Bella... teraz jest dość skoncentrowana na sobie samej. To chodzące emocje i fakt, czy ludzie są dobrzy, czy źli, nie jest dla niej w tej chwili taki ważny - chyba że dotyczy to jej osobiście. Z pewnością w końcu to Belli przejdzie, ale zawsze będzie się kierowała najpierw uczuciem, a dopiero później rozumem. A Xander ma najśloneczniejszą naturę z was wszystkich. Szczęśliwy dzieciak, który z nikim nie będzie się brał za łby.

- Przyszedł mi z pomocą, kiedy na mnie napadł Joey. Zmusił go do ucieczki, a ma przecież tylko dziewięć i pół roku.

- To też część jego natury. Zawsze pospieszy z pomocą, zwłaszcza kiedy kogoś krzywdzą.

- Bo jest taki jak ty.

- Miło mi to słyszeć. A ty, mój skarbie... - Pochylił się i pocałował jej palce. - Ty najbardziej przypominasz mamę. Ale masz w sobie coś wyjątkowego - naturę badacza. Zawsze rozkładałaś różne rzeczy na części, żeby sprawdzić nie to, jak działają, ale jak do siebie pasują. Kiedy byłaś malutka, nie sposób było ci wytłumaczyć, że tego lub tamtego nie wolno ruszać. Musiałaś wszystkiego dotknąć, poczuć, zobaczyć, co się wydarzy. Nigdy nie wierzyłaś na słowo, Musiałaś wszystko sprawdzić sama.

Oparła głowę na jego ramieniu. Panował oblepiający, senny upał. Gdzieś z oddali dobiegł odgłos grzmotu... Reena zapragnęła mieć jakiś swój prywatny, głęboki i mroczny sekret, którym mogłaby się podzielić z ojcem. Wiedziała, że w tym momencie powierzyłaby mu najgłębszą tajemnicę.

W domu po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi. Pan Pastorelli został wyprowadzony przez dwóch detektywów, trzymających go z obu stron. Miał na sobie dzinsy i białe, spłowieły podkoszulek. Głowę trzymał nisko, z zawstydzeniem, ale widziała dół jego twarzy i zaciśnięte usta. Gniewa się - pomyślała.

Jeden z policjantów niósł wielki, czerwony kanister, a drugi dużą plastikową torbę.

Pani Pastorem głośno szlochała, stojąc w drzwiach domu. W ręku trzymała jaskrawożółtą ścierekę, w którą chowała twarz.

Na nogach miała białe tenisówki; w lewym bucie rozwiązało jej się sznurowadło.

Z okolicznych domów znów powychodzili ludzie i patrzyli. Stary pan Falco siedział na schodkach w czerwonych szortach. Jego kościste, białe łydki były prawie niewidoczne na

tle śnieżnobiałego kamienia. Pani DiSalvo przystanąła na chodniku, trzymając za rękę swego małego synka Christophera. Dzieciak jadł lody winogronowe na patyku, które lśniły purpurowo. W ostrym słonecznym blasku wszystko jawiło się w żywych kolorach.

Panowała taka cisza, że do uszu Reeny docierał chrapliwy oddech pani Pastorelli między jednym a drugim szlochem.

Jeden z detektywów otworzył tylne drzwi samochodu, a drugi, chwytając pana Pastorellego za głowę, wepchnął go do środka. Kanister - teraz dopiero Reena spostrzegła, że to pojemnik na benzynę - oraz zieloną plastikową torbę wrzucili do bagażnika.

Ciemnowłosy detektyw z kilkudniowym zarostem, przypominający Sony'ego Crocketta, powiedział coś do swego kompana i przeszedł na drugą stronę ulicy.

- Panie Hale?

- Tak, detektywie Umberio.

- Aresztowaliśmy Pastorellego pod zarzutem podpalenia. Zabieramy go do aresztu i zabezpieczamy pewne dowody.

- Przyznał się do winy? Umberio się uśmiechnął.

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Mamy niezbite dowody. Zawiadomimy pana.

- Popatrzył za siebie, w stronę, gdzie w progu domu siedziała pani Pastorelli i zawodziła w żółtą ścierkę. - Ma sińce pod oczami, a jeszcze za nim ryczy. Ludzie bywają dziwni.

Zasalutował dwoma palcami do czoła i wrócił przez jezdnię do samochodu. Gdy odjeżdżali od krawężnika, z domu wybiegł Joey.

Ubrany był jak jego ojciec w dżinsy i koszulkę - równie spraną i poszarzałą. Biegąc za odjeżdżającym samochodem, wykrzykiwał obrzydliwe słowa. Z lekko ściśniętym sercem Reena dostrzegła łzy w oczach chłopaka. Biegł za radiowozem, płacząc za swoim ojcem i zaciskając pięści.

- Wracajmy, dziecinko - mruknął Gib.

Reena szła do domu z ojcem za rękę. Wciąż jeszcze słyszała rozpaczliwe krzyki biegnącego za swoim ojcem Joeya.

Wieść rozeszła się w okamgnieniu. Była równie szybka jak ogień gnający na oślep przez rozgrzaną upałem dzielnicę. Głębokie oburzenie, niczym bomba zapalająca, roznosiło płomienie po całym sąsiedztwie. Płomień ten wdzierał się do mieszkań, domów, sklepów, grasował na ulicach i w parkach.

Zasłony w oknach domu Pastorellich pozostały szczelnie zaciągnięte, jakby ten cienki materiał stanowił tarczę ochronną.

Reenie wydawało się, że drzwi jej domu ani na chwilę się nie zamykały. Nadciągały

całe procesje sąsiadów z naczyniami jedzenia. Przychodzili z pociechą i wsparciem oraz z coraz to nowymi plotkami.

Czy wiecie, że nie było go stać nawet na kaucję?

Ona nie chodzi na niedzielne msze.

Benzynę sprzedał mu Mike ze stacji Sunoco!

Mój kuzyn, prawnik, twierdzi, że mogą mu postawić zarzut usiłowania morderstwa.

Wszystkim tym plotkom i spekulacjom najczęściej towarzyszyły słowa: Wiedziałem, wiedziałam, że to niebezpieczny człowiek.

Wrócili Poppi i Nuni. Przyjechali swym winnebago aż z Bar Harbor w stanie Maine. Zatrzymali się na podjeździe u wuja Sala w Bel Air, gdyż był on najstarszy i miał największy dom.

Wujowie, kilku kuzynów i ciotki gromadnie udali się do Sirico's. Wyglądało to jak parada, tylko że bez kostiumów i muzyki. Wyszło również kilku sąsiadów, ale ci przez szacunek trzymali się w sporej odległości.

Poppi był stary, ale zdrowy i krzepki; tak właśnie określała go większość ludzi. Miał gęstą, siwą czuprynę, takie same wąsy, wydatny brzuch i masywne szerokie ramiona. Nosił koszulki golfowe z wizerunkiem aligatora na kieszonkach. Tego dnia włożył czerwoną.

Stojąca obok niego Nuni wyglądała na bardzo drobną. Oczy skrywała za słonecznymi okularami.

Dużo rozmawiano - po włosku i po angielsku. W tym pierwszym języku najwięcej rozprawiał wuj Sal. Mama twierdziła, że sam uważa się bardziej za Włocha niż *manicotti*.

Reena dostrzegła wuja Larry'ego - kto chciał się z nim podrażnić, nazywał go Lorenzo - gdy podszedł do mamy i położył jej rękę na ramieniu, a ona nakryła jego dłoń swoją. Wuj Larry był najspokojniejszym, a jednocześnie najmłodszym z rodzeństwa.

Wuj Gio wciąż patrzył w stronę zasłoniętych kotarami okien domu Pastorellich. Był on w gorącej wodzie kąpany. Reena słyszała, jak mruczy po włosku coś, co brzmiało jak przekleństwa. A może groźby? Ale wuj Paul - Paolo - kręcił tylko głową. On z kolei był zawsze bardzo poważny.

Poppi bardzo długo się nie odzywał i Reena zastanawiała się, o czym myślał. Czy wspominał czasy, kiedy jego włosów nie pokryła jeszcze biel, a brzuch nie był taki pokaźny, i gdy razem z Nuni robili pizzę, a pierwszego, samodzielnie zarobionego dolara oprawili w ramki?

A może rozpamiętywał chwile, kiedy jeszcze przed narodzeniem Bianki mieszkali na pięterku nad pizzerią, albo jak pewnego razu do ich lokalu przyszedł posilić się sam burmistrz

Baltimore. Albo jak wuj Larry zbił szklankę i rozciął sobie dłoń, a doktor Trivani przerwał jedzenie bakłażana z parmezanem, żeby zabrać go do swojego gabinetu na końcu ulicy, gdzie założył mu szwy.

Poppi i Nuni często wspominali dawne czasy. Reena uwielbiała słuchać tych opowieści, choć wiele z nich znała już prawie na pamięć. Więc pewnie i teraz rozpamiętywał spędzone tu szczęśliwe chwile.

Prześliznęła się przez tłum kuzynów i ciotek, podeszła do Poppiego i wsunęła rękę w jego dłoń.

- Tak mi przykro, dziadziu - szepnęła.

Lekko ścisnął palcami jej drobne paluszki i ku zdumieniu dziewczynki energicznie odsunął jedną z metalowych zapór. Serce biło Reenie jak młotem, gdy poprowadził ją po schodkach. Stojąc przed taśmą, dostrzegła zwęglone, czarne drewno, a na podłodze kałuże brudnej wody. Siedzenie jednego z wysokich krzeseł stopiło się w dziwaczny kształt. Wszędzie widziała ślady wypaleń, a podłoga, tam gdzie całkiem nie spłonęła, pełna była wyrzuteń.

Ze zdumieniem zauważyła wbity w ścianę, niczym wystrzeloną z armaty, puszkę po aerozolu. Ani śladu po ślicznych kolorach, żadnych butelek ze świecami i spływającym po ich ściankach woskiem, żadnych obrazów narysowanych ręką matki.

- Catarino, widzę tu duchy przeszłości. Dobre duchy. Ogień nie przeraża duchów. Gibson? - Odwrócił się i ujrzał ojca Reeny wchodzącego przez lukę w zaporze. - Jesteś ubezpieczony?

- Tak. Już tu byli i oglądali. Nie będzie z tym żadnego problemu.

- Czy przeznaczysz pieniądze z odszkodowania na odbudowę?

- Oczywiście. Może już jutro będziemy mogli wejść do środka.

- Od czego chcesz zacząć?

Wuj Sal otworzył usta, żeby coś powiedzieć. On zawsze miał na wszystko dobrą radę. Ale Poppi uniósł palec. Zdaniem matki Reeny tylko on był w stanie zamknąć usta bratu.

- Sirico's należy do Gibsona i Bianki. To oni zadecydują, co należy zrobić i jak. W czym może wam pomóc rodzina?

- Bianca i ja jesteśmy właścicielami Sirico's, ale ciebie uważamy za korzeń, z którego ona wyrosła. Potrzebuję twojej rady.

Reena widziała, jak uśmiech rozjaśnia twarz dziadka, unosi jego gęste, siwe wąsy, odpędza z oczu wyraz smutku.

- Jesteś moim ulubionym zięciem - stwierdził. Powiedziawszy ów tradycyjny,

rodzinny żart, zszedł ze schodków z powrotem na chodnik.

- Wracajmy do domu. Tam porozmawiamy - zwrócił się do wszystkich.

Gdy wracali znów całą gromadą do domu, Reena zauważyła, że zasłony w oknach domu Pastorellich się poruszyły.

„Rozmowa” to bardzo delikatne słowo na określenie spotkania całej rodziny w jednym miejscu. Należało przygotować ogromne ilości jedzenia i wyznaczyć starsze dzieci do opieki nad młodszymi. Doprowadziło to do sprzeczek i jawnych wojen. W zależności od nastroju strofowano najmłodszych członków rodziny lub obracano wszystko w żart. Dom przepelniał zapach czosnku i bazylii świeżo naciętej przez Biancę w przykuchennym ogródku. Panował gwar.

Kiedy Poppi oświadczył Reenie, że ma się udać razem z dorosłymi na rodzinną naradę do jadalni, poczuła w brzuchu łaskotanie.

Do stołu dosunięto wszystkie dodatkowe blaty, ale wciąż jeszcze był za mały dla wszystkich. Większość dzieci ulokowano pod gołym niebem, rozstawiając dla nich składane stoliki i rozścielając na trawie koce. Kobiety dyżurowały przy tej trzódce. Ale Reena została w jadalni razem z mężczyznami, matką i ciotką Meg, która była bardzo zdolną prawniczką.

Poppi osobiście sięgnął do wielkiej miski i nałożył na talerz Reeny porcję makaronu.

- A więc ten chłopiec, ten Joey Pastorelli, uderzył cię.

- Walnął mnie w brzuch, przewrócił na ziemię i znów uderzył.

Poppi zaczął groźnie sapać - a nos miał tak wielki, że dźwięk ten przypominał wydawany przez nozdrza byka przed atakiem.

- Żyjemy w czasach, gdy mężczyźni i kobiety mają równe prawa - stwierdził. - Ale nigdy nie jest rzeczą właściwą, żeby mężczyźni bili kobiety lub chłopcy dziewczynki. Ale... czy uczyniłaś lub powiedziałaś coś takiego, że tamten chłopiec miał powód, aby cię uderzyć?

- Zawsze trzymam się od niego jak najdalej, bo on wszczyna bójki w szkole i na podwórku. Raz wyciągnął nóż kieszonkowy i oświadczył, że dźgnie Johnny'ego O'Hare, ponieważ jest on tępym Irlandczykiem. Siostra odebrała mu nóż i zaprowadziła do matki przełożonej. On... on czasem tak na mnie patrzy, że aż mi się brzuch zaciska.

- A co robiłaś tego dnia, kiedy cię pobił?

- Bawiłam się z Giną na szkolnym boisku. Kopałyśmy do siebie piłkę. Ale było strasznie gorąco, więc Gina pobiegła do domu zapytać matkę, czy da jej trochę pieniędzy na lody. Ja miałam osiemdziesiąt osiem centów, ale to było za mało na dwie porcje. Wtedy on podszedł do mnie i powiedział, że muszę z nim pójść, bo ma mi coś do pokazania.

Ale ja nie miałam zamiaru nigdzie z nim chodzić, więc odmówiłam. Powiedziałam, że

czekam na Ginę. Twarz miał czerwoną, jakby właśnie biegał. Wpadł w szal, złapał mnie za ramię i pociągnął. Wyrwałam ramię z jego uścisku i oświadczyłam, że nigdzie z nim nie idę. Wtedy uderzył mnie w brzuch. I nazwał mnie słowem, które oznacza...

Urwała i zerknęła z zakłopotaniem w stronę swych rodziców.

- Sprawdziłam to w słowniku - powiedziała.

- A jakżeby inaczej - burknęła Bianca i machnęła ręką z rezygnacją. - Nazwał ją głupią cipą. To obrzydliwe słowo, Catarino. Nie będziemy go nigdy więcej wymawiać w tym domu.

- Dobrze, mammo.

- Z pomocą pospieszył Xander - ciągnął Poppi. - Przybiegł dlatego, że jest twoim bratem i wie, iż należy bronić wszystkich, którzy są w potrzebie. Potem twój ojciec uczynił to, co powinien, i niezwłocznie poszedł porozmawiać z ojcem tego chłopca. Ale ten człowiek nie okazał się wcale mężczyzną i nie stanął na wysokości zadania. Nie zrobił tego, co powinien. W tchórzliwy sposób skrzywdził twojego ojca i nas wszystkich. Czy była w tym jakakolwiek twoja wina?

- Nie, Poppi. Może zawiniłam tylko tym, że bałam się z nim walczyć. Następnym razem będę bardziej odważna.

Zaśmiał się półgębkiem.

- Lepiej naucz się uciekać - poradził. - Dopiero kiedy nie będziesz miała drogi ucieczki, broń się. No dobrze. - Oparł się na krzesło i sięgnął po widelec. - Oto moja rada. Salvatore, twój szwagier, handluje materiałami budowlanymi. Gdy już będzie wiadomo, co nam potrzeba, załatwi to wszystko z dużym rabatem. Gio, kuzyn twjej żony, jest hydraulikiem, prawda?

- Już z nim rozmawiałem. Dostaniemy, czego tylko będziemy potrzebowali.

- A ty, Mag, dowiedz się w firmie ubezpieczeniowej, jakie jeszcze musimy pokonać przeszkody, żeby jak najszybciej otrzymać czek.

- Z największą chęcią. Chciałabym też przejrzeć polisę, sprawdzić, co możemy jeszcze w niej zmienić lub poprawić na przyszłość. No i jeszcze sprawa bandyckiego ataku na... - Popatrzyła na Reenę, unosząc brwi - ...tę tu osobę. Jeśli odbędzie się rozprawa sądowa, dziewczynka z całą pewnością zostanie przesłuchana. Sądzę jednak, że do tego nie dojdzie. Już to zbadalam. Zazwyczaj sprawy o podpalenie są trudne do udowodnienia, ale wszystko wskazuje na to, że w tym przypadku śledztwo jest już zamknięte.

Mówiąc to, nawinęła na widelec makaron i od czasu do czasu pogryzała.

- Ekipa śledcza była wyjątkowo sprawna, a podpalacz bardzo głupi. Prokurator przypuszcza, iż sam się przyzna do winy, żeby uniknąć oskarżenia o usiłowanie morderstwa.

Mają niepodważalne dowody, a w dodatku oskarżony był już wcześniej dwukrotnie przesłuchiwany w sprawach pożarów.

Mag nabrała kolejną porcję makaronu, a nad stołem rozległy się inne głosy. Po chwili ciągnęła dalej:

- Na początku lata został zwolniony z pracy, gdzie był mechanikiem. Kilka dni później, nocą, w garażu wybuchł podejrzany pożar. Straty były minimalne, bo inny pracownik planował tam właśnie schadzkę ze swoją dziewczyną. Rozmawiali z ludźmi, również i z Pastorellim, ale nie mogli udowodnić podpalenia. Parę lat temu pokłócił się z bratową w dystrykcie Kolumbii. Jego brat miał sklep z artykułami elektrycznymi. Ktoś mu wrzucił przez okno koktajl Mołotowa. Pewna...

Tu popatrzyła znacząco w stronę Reeny.

- Pewna piękność nocy widziała odjeżdżający pełnym gazem spod sklepu samochod. Zapamiętała nawet częściowo numery rejestracyjne. Ale żona Pastorellego przysięgała, że jej mąż całą noc spędził w domu, i ostatecznie jej słowo przeważało.

Mag sięgnęła po swój kieliszek wina.

- Teraz skojarzą ze sobą te wszystkie sprawy, no i przygwoźdzą go.

- Gdyby wtedy prowadzili sprawę inspektor Minger i nasi detektywi, wcześniej by go zatrzymali.

Mag posłała uśmiech Reenie.

- Możliwe. Ale już jest zatrzymany.

- Lorenzo? - wtrącił Poppi.

- Możesz na mnie liczyć w każdej chwili. - odparł. - Mam dobrego kumpla, który zajmuje się kładzeniem podłóg. Zrobi to za bardzo przystępną cenę.

- A ja mam wywrotki i robotników. Wszystko to jest do twojej dyspozycji - wtrącił Paul. - Szwagier mojego przyjaciela ma hurtownię z artykułami restauracyjnymi. Dostaniesz dużą zniżkę.

- Dzięki temu wszystkiemu i pomocy sąsiadów możemy większość pieniędzy przeznaczyć na wakacje z Biancą i dziećmi na Hawajach.

Ojciec Reeny oczywiście żartował, ale głos mu lekko drżał. Reena wiedziała, że był wzruszony.

Kiedy już wszystko zjedzono lub schowano, kuchnię posprzątano, a wujowie, ciotki i kuzyni ruszyli do wyjścia, Gib wziął butelkę piwa i wyszedł z nią na frontowe schody. Musiał wszystko jeszcze raz przetrwać, a to najlepiej mu szło przy zimnym peroni.

Rodzina, tak jak się spodziewał, stanęła na wysokości zadania. Ze strony własnych

rodziców nie oczekiwał niczego więcej niż zdawkowego „och, to okropne”, jakim wszystko skwitowali. Tak to już było.

Myślał o tym, że przez dwa lata mieszkał w pobliżu człowieka, który załatwiał swoje osobiste problemy przez podkładanie ognia. O człowieku, który równie łatwo mógł również spalić jego dom.

O człowieku, którego dwunastoletni syn brutalnie zaatakował... Boże wielki, a może on zamierzał zgwałcić?... jego najmłodszą córkę.

Na tę myśl poczuł się okropnie. Przyszło mu do głowy, że jest za bardzo ufny w stosunku do innych ludzi, zbyt miękki i nad wyraz chętnie się ze wszystkimi dzieli.

Powinien chronić swoją żonę i czworo dzieci, a w chwili próby okazał się całkiem bezradny.

Pociągnął z butelki łyk peroni, a w tej samej chwili przy krawężniku zatrzymał się samochód Johna Mingerera.

Inspektor miał na sobie spodnie khaki, podkoszulek i stare jak świat, wysokie tenisówki.

Wysiadł z auta i przeszedł przez ciągnący się przed domem chodnik.

- Gib?

- John?

- Masz dla mnie chwilę?

- Oczywiście. Napijesz się piwa?

- Nie powiem: nie.

- Siadaj. - Gib poklepał schodek obok siebie, a potem wstał i wszedł do domu. Po chwili wrócił z napoczętym sześciopakiem.

- Miły wieczór. - John przechylił butelkę. - Trochę chłodniej.

- Fakt. Ale powiedziałbym, że temperatura osiągnęła zaledwie piąty poziom piekła, a nie sam jego środek.

- Aż tak ciężki dzień?

- Nie... aż tak strasznie nie było. - Pochylił się do tyłu i oparł łokieć o wyższy stopień.

- Odwiedziła nas dzisiaj rodzina żony. Nie mogłem patrzeć, jak jej matka i ojciec to oglądali,

- Wskazał brodą na Sirico's. - Ale znieśli wszystko dzielnie. Co więcej, są gotowi zakasać rękawy i włączyć się do odbudowy. Mając tylu pomocników, mógłbym spokojnie sobie tutaj siedzieć i nie kiwnąć palcem, a wszystko by mi naprawili i lokal za miesiąc byłby czynny.

- A więc czujesz, że poniosłeś klęskę. On chciał, żebyś tak się właśnie czuł.

- Pastorelli? - Gib uniósł butelkę w toaście. - Pieprzona misja zakończona. Jego

dzieciak prześladował moją córkę, podniósł na nią rękę. I o tym właśnie teraz myślę, że... Jezu Przenajświętszy... że zamierzał zgwałcić moją małą córeczkę.

- Nie zrobił tego. Ma tylko parę zadrapań i siniaki, a nie ma sensu martwić się o to, co mogło się zdarzyć.

- Ale trzeba ich przecież strzec. To moje zadanie. Moja najstarsza poszła na randkę. Nie powiem, miły chłopak i jeszcze nic poważnego. A jednak boję się o nią.

John pociągnął powoli duży łyk piwa.

- Gib, człowiekowi pokroju Pastorellego zależy na tym, aby wzbudzić w tobie strach. Wtedy czuje się ważny.

- I żebym nigdy nie zapomniał, prawda? Już samo to sprawia, że jest cholernie dowartościowany. Ale, co tam! - Gib wyprostował się i przeciągnął dłonią po włosach. - Rozczulam się nad sobą i to wszystko. Mam całą rodzinę, krewnych gotowych przyjść mi z pomocą. Mogę liczyć na wszystkich sąsiadów. Muszę się tylko z tego otrząsnąć.

- Wyjdiesz z tego. To ci na pewno pomoże. Wpadłem tu z informacją, że możesz już wejść do środka i zacząć odbudowę lokalu. Przestanieś już myśleć o Pastorellim.

- Tak, to prawda, najlepiej będzie już zacząć coś robić.

- Gib, a jego już nie ma. Muszę ci powiedzieć, że niewiele spraw o podpalenie kończy się więzieniem, ale jego złapaliśmy. Ten sukinsyn ukrył buty i ubranie w szopie. Wszystko śmierdziało benzyną, którą kupił niedaleko stąd od swojego znajomka, właściciela stacji benzynowej Sunoco. Był też łom zawinięty w ubranie, dzięki któremu zapewne włamał się do lokalu. Okazał się też na tyle głupi, że poczęstował się piwem z twojej lodówki, zanim podpalił budynek. Wypił jedną butelkę w środku. Znaleźliśmy na niej odciski palców Pastorellego.

Trzymał butelkę peroni tak, że w jej szkle zalśniło słoneczne światło.

- Ludzie sądzą, że ogień niszczy wszystko, a on potrafi nieoczekiwanie coś zostawić. Na przykład tę butelkę buda. Włamał się do twojej kasy i zabrał drobne pieniądze. Miałeś też inne w bankowej kopercie, którą przy nim znaleźliśmy. Odciski jego palców znajdowały się również w szufladzie oraz w kuchennej lodówce. To wystarczyło, żeby obrońca z urzędu poszedł na ugodę.

- Więc nie będzie rozprawy?

- Tylko ogłoszenie wyroku. Powinieneś być z tego zadowolony. Sprawiedliwości stało się zadość. Wiele osób traktuje podpalenie jako zwykłe przestępstwo przeciw cudzemu mieniu. Przeciwno budynkowi. Ale tak nie jest. Sam najlepiej o tym wiesz. Dotyka ono ludzi, którzy tracą swój dom lub swoją firmę. Na ich oczach płonie dorobek życia, widzą, jak ogień

niszczy ich pamiątki. To, co Pastorelli zrobił tobie i twoim bliskim, było złośliwe i nikczemne, czysto osobiste. Teraz za to płaci.

- No tak.

- Jego żona nie zdołała wskrobać pieniędzy ani na kaucję, ani na adwokata. Próbowwała. Rozniosła się również plotka o jej synu. Gdy ostatnim razem była u nich policja, szczeniak cisnął w jednego z funkcjonariuszy krzesłem. Matka błagała, żeby nie zabierali jej syna, więc mu odpuścili. Musisz mieć go bacznie na oku.

- Będę, lecz nie sądzę, żeby tu długo zostali. Wynajmują ten dom, a z czynszem zalegają już trzy miesiące. - Gib wzruszył ramionami. - Wszyscy o tym wiedzą. Może faktycznie był to dla mnie dzwonek alarmowy, żebym bardziej pilnował tego, co mam.

- Masz za żonę najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Nie miej mi za złe, że to mówię.

- Oczywiście, że nie mam. - Gibson otworzył następną butelkę piwa i oparł się plecami o wyższy schodek. - Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, jakby trafił mnie piorun. Poszedłem tam z kilkoma chłopakami. Zamierzaliśmy polem powłóczyć się trochę po śródmieściu, poderwać jakieś panienki lub udać się do baru. A tam była ona. Zupełnie jakby ktoś przebił mi piąchą klatkę piersiową, złapał za serce i ścisnął je z całych sił. Miała na sobie dzinsy dzwony oraz taką białą górę, nazywaną chłopką. Gdyby jeszcze chwilę wcześniej ktoś mnie spytał, czy wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, odparłbym: „ależ skąd”. A jednak mnie się to przytrafiło. Odwróciła głowę, popatrzyła na mnie I ciach! W jej oczach ujrzałem całą resztę mojego życia.

Najwyraźniej rozluźniony, Gib lekko się zaśmiał.

- I co najdziwniejsze, dalej widzę. Mimo upływu dwudziestu lat.

- Jesteś szczęśliwcem.

- Masz pioruńską rację. Poświęciłbym absolutnie wszystko, żeby tylko z nią być. W nagrodę mam takie życie i taką rodzinę. John, a ty masz dzieci?

- Mam. Syna i dwie córki. A także wnuka i wnuczkę.

- Masz wnuki? Chyba żartujesz?

- To słoneczka mego życia. Ale kiedy rodziły się moje dzieci, nie zrobiłem wszystkiego, co powinienem. Miałem dziewiętnaście lat, gdy na świat przyszło pierwsze. Kiedy moja dziewczyna zaszła w ciążę, wzięliśmy ślub. W dwa lata później urodziło się drugie dziecko, a po trzech - kolejne. Pracowałem wówczas jako strażak. Takie życie, długie godziny poza domem są zabójcze dla rodziny. Nie stawiałem jej na pierwszym miejscu i to był mój błąd. Prawie dziesięć lat temu wzięliśmy rozwód.

- Przykro mi.

- Dziwne, ale potem wszystko ułożyło się o wiele lepiej. Staliśmy się sobie bliżsi. Zupełnie jakby rozwód wypalił całe zło, zostawiając miejsce na lepsze rzeczy. - Łyknął piwa.

- Ale wciąż jestem wolny, gdyby twoja żona miała starszą, niezamężną siostrę.

- Ma tylko braci. Ale za to cały legion kuzynek. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu jak dobrzy znajomi.

- To dobre miejsce. - John popijał piwo, palił papierosa i rozglądał się po okolicy. - Tak, to dobre miejsce, Gib. Gdybyś potrzebował dodatkowej pary rąk przy odbudowie swojego lokalu, chętnie się włączę.

- Byłbym zaszczycony.

Na piętrze Reena leżała na swoim łóżku i słuchała ich głosów, płynących z dołu przez otwarte okno. Niebo powoli ciemniało. Zapadał letni zmierzch.

Było już całkiem ciemno, gdy zbudziły ją jakieś krzyki. Wskoczyła przerażona z łóżka, myśląc, że to znów pożar. Że on wrócił, aby spalić ich dom.

Ale to nie był pożar. To krzyczała Fran. Stała na chodniku i wtulała twarz w ramię chłopaka, z którym wybrała się do kina.

W salonie był włączony telewizor, ale dźwięk miał przyciszony. Zobaczyła, że rodzice są już w progu domu. Kiedy przepchnęła się między nimi, zrozumiała, dlaczego Fran tak krzyczy, a matka i ojciec stoją jak wryci w otwartych drzwiach.

Na chodniku płonął pies; jego futro paliło się, wydzielając czarny dym. Zwierzę miało poderżnięte gardło, z którego płynęła krew, tworząc na trotuarze wielką, ciemną kałużę. Reena natychmiast rozpoznała Fabia, groźnie szczekającego kundla Joeya Pastorellego.

Patrzyła, jak policja zabiera Joeya, podobnie jak wcześniej pana Pastorellego. Ale chłopak nie miał spuszczonej głowy, a z jego oczu biła dzika satysfakcja.

Była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie zapamiętała bardzo dokładnie z tych długich i upalnych sierpniowych tygodni, gdy kończyło się lato, a wraz z nim jej dzieciństwo.

W pamięć wrył jej się ów błysk radości w oczach Joeya i dumny krok chłopaka, gdy policjanci prowadzili go do radiowozu. Zapamiętała też smugi krwi psa kalające ręce zwyrodnialca.

Maj 1992

Przez ścianę z sąsiedniego pokoju wdzierał się słodki do obrzydliwości głos Mariah Carrey śpiewającej *Emotions*. Dźwięki płynęły nieustannie niczym strumień spienionej lawy. Nieuchronny, coraz bardziej denerwujący.

Reenie muzyka nie przeszkadzała w nauce. Nie zwracała uwagi na głośne zabawy i sprzeczki, ze spokojem przyjęłaby nawet grom z jasnego nieba. W końcu wychowała się w domu z, licznym i hałaśliwym rodzeństwem.

Ale jeśli koleżanka puści ten utwór jeszcze raz, pójdzie tam i wbije jej ołówek w oko. A potem każe dziewczynie zjeść te płytę CD razem z błyszczącym pudełkiem.

Na Boga, przecież minęła już połowa ostatniego semestru. Materiał, który musiała w tym czasie przyswoić, był naprawdę morderczy.

Ale warto to robić - powtarzała sobie. Ten wysiłek się opłaci.

Odsunęła się od komputera i przetarła oczy. Może powinna zrobić krótką przerwę albo włożyć w uszy stopery.

Wstała i ignorując bałagan panujący w pokoju zajmowanym przez dwie studentki, poszła do lodówki po dietetyczną colę. Ale w środku znalazła tylko otwarty karton z chudym mlekiem, cztery slim - fasty dietetyczny sprite i torebkę obranych marchewek.

To nie w porządku. Dlaczego wszyscy wciąż kradli jej jedzenie? Oczywiście, przecież nie podkradali by Ginie, zwanej „wciąż jestem na diecie”. Ale co z tego?

Usiadła na podłodze. Głos Mariah atakował jej przemęczony umysł niczym dźwięk złowrogich syren. Popatrzyła na stos książek i notatek piętrzących się na biurku.

Dlaczego w ogóle wpadł jej do głowy ten pomysł? Czemu sądziła, iż tego właśnie pragnie? Powinna razem z Fran zająć się rodzinnym biznesem.

Byłaby teraz w domu. Albo na randce - jak każda inna, normalna dziewczyna. Kiedyś jej największym życiowym pragnieniem było zostać nastolatką. Teraz, gdy zbliżała się już prawie do końca tej cudownej epoki, siedziała w ciasnym pokoiku akademickim, pozbawiona dietetycznej coli, zarzucona materiałem do przyswojenia, i czuła się jak szalona masochistka.

Miała osiemnaście lat i nie poznała dotąd smaku seksu. Nie miała nawet jeszcze tak naprawdę chłopaka.

Za miesiąc Bella wychodziła za mąż. Fran musiała wręcz przepędzać kijem adoratorów, a Xander brylował radośnie pośród stad ślicznotek, jak określała to matka.

A ona spędzała samotnie sobotni wieczór, ponieważ była tak samo zwariowana na

punkcie egzaminów końcowych jak jej koleżanka zza ściany w akademiku w stosunku do Marian Carrey.

O nie, teraz to Celine Dion - uprzytomniła sobie.

Już po mnie.

Sama była sobie winna. To właśnie ona jedna z całego rodzeństwa w szkole średniej zamęczała się nauką, poświęcając jej większość weekendów, zamiast umawiać się z chłopakami. A wszystko dlatego, że wiedziała, czego chce. Wiedziała od czasu tamtego upalnego sierpniowego tygodnia.

Pragnęła się zajmować pożarami.

Uczyła się więc pilnie, lecz na myśli miała coś więcej niż samą naukę. Pragnęła dostać stypendium naukowe. Także pracowała, zbierając skrzętnie pieniądze niczym wiewiórka Orzechy do dziupli, na wypadek gdyby stypendium nie dostała.

Ale dostała i była teraz na Uniwersytecie Marylandu, dzieląc pokój ze swoją przyjaciółką jeszcze z ławy szkolnej i myśląc o dalszej nauce.

Kiedy skończy się semestr, wróci do domu. Będzie pracować w sklepie, a większość wolnego czasu spędzi w straży pożarnej. Może John Minger zgodzi się, żeby mu towarzyszyła w akcji.

No i oczywiście ślub Belli. Przez ostatnie dziewięć miesięcy prawie o niczym innym się nie mówiło. A to, jeśli się głębiej zastanowić, stanowiło dobry powód, żeby sobotni wieczór spędzić samotnie w swoim pokoju.

Mogło być gorzej. Mogła być teraz w środku wiru przygotowań do ślubu.

Jeśli ona będzie kiedykolwiek wychodziła za mąż — co znaczyło, że najpierw musiałyby znaleźć sobie chłopaka - urządzi to wszystko o wiele prościej. Nie tak jak Bella, która nieustannie dokonywała przymiarek i przeróbek swojej wymyślnej ślubnej sukni - zresztą wspaniałej - oraz prowadziła niekończące się, często płaczliwe debaty na temat pantofli, fryzury i ślubnej wiaźanki. Snuła plany ogromnego przyjęcia, przypominające bardziej koncepcje wielkiej kampanii wojennej.

Ona wolałaby raczej cichy i miły ślub w gronie rodzinnym u Świętego Leonarda, a potem przyjęcie w Sirico's.

Najprawdopodobniej pozostanie jednak tylko wieczną druzną. Do licha, była już ekspertem w tej dziedzinie.

Na Boga, ile razy z rzędu Lydia może słuchać tematu z *Pięknej i bestii*, nie popadając przy tym w śpiączkę?

Nagle doznała olśnienia. Zerwała się na równe nogi, przedarła się przez sterty

porozrzucanych przedmiotów do przenośnego odtwarzacza i zaczęła bobrować w stercie pudełek z płytami CD.

Zacisnęła zęby, po czym uśmiechając się szyderczo, włożyła do odtwarzacza płytę Nirvany i puściła na cały regulator *Smells Like Teen Spirit*.

W trakcie tej morderczej wojny między głosem operowej diwy a tonami muzyki grungowej zadzwonił telefon.

Nie ścisząc muzyki - teraz była to już sprawa ambicji - po prostu wrzasnęła do słuchawki.

Łoskot z odtwarzacza raz po raz dawał Reenie po uszach, a ze słuchawki dobiegł ją równie głośny krzyk Giny:

- Impreza!

- Mówiłam ci, że muszę się uczyć.

- Impreza! Reeno, nie wygłupiaj się. Dopiero zaczyna się rozkręcać. Trzeba korzystać z życia.

- Czy przypadkiem w poniedziałek nie zdajesz końcowego z literatury?

- Impreza!

Reena mimowolnie wybuchnęła śmiechem. Gina zawsze potrafiła ją rozbawić. Faza uduchowienia religijnego, jaką przechodziła tego lata, kiedy wybuchł pożar, przeobraziła się w fascynację poezją, następnie gwiazdami muzyki rock, żeby dojść do zauroczenia modą.

Teraz przyszła kolej na imprezy. Cały czas, na okrągło.

- Zawalisz go - ostrzegła przyjaciółkę.

- Składam wszystko w ręce opatrzności, a umysł ożywię tanim winem. Przyjdź, Reeno. Jest tu Josh. Pytał, gdzie się podziewasz.

- Jest Josh?

- Smutny i zasepiony. A sama najlepiej wiesz, że zawsze sobie ze wszystkim poradzisz. Lepiej tu przyjdź i pilnuj, żeby jakiś chłopak nie wykorzystał mojego zamroczonego alkoholem ego. Chociaż, wiesz co...

- To u Jen i Deb?

- Impreza!

- Daj mi dwadzieścia minut - powiedziała Reena, znów wybuchając śmiechem, i odłożyła słuchawkę.

Tyle czasu zajęła jej zmiana starych spodni od dresu na świeże džinsy, wybranie stosownej bluzki i uporanie się z włosami, które opadały jej burzą loków aż na łopatki.

Ubierając się, nie przyciszała muzyki. Nałożyła na twarz róż, żeby przykryć nim

bladość policzków spowodowaną wkuwaniem godzinami do egzaminu.

Powinnam się uczyć; powinnam się dobrze wyspać; nie powinnam nigdzie wychodzić - karciała się w duchu, nakładając na rzęsy tusz.

Ale była już tak znużona byciem osobą, która zawsze postępuje rozsądnie. Zostanie tam przez godzinę, trochę się rozerwie, powstrzyma Ginę przed zrobieniem czegoś głupiego.

I spotka Josha Boltona.

Był taki przystojny ze swoimi połyskującymi w słońcu włosami, olśniewająco błękitnymi oczami i tym słodkim, nieśmiałym uśmiechem. Miał dwadzieścia lat i studiował literaturę. Zamierzał zostać pisarzem.

I pytał, gdzie ona się podziewa.

Tak, z całą pewnością to będzie on. Co do tego miała dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności. To on miał zostać jej pierwszym.

Może nawet już tej nocy. Odłożyła tusz i zerknęła w lustro. Może już dziś dowie się, jak to jest. Dotknęła dłonią brzucha drżącego z oczekiwania i niepewności. Kto wie, czy teraz nie po raz ostatni spogląda na siebie jako na dziewczę.

Była gotowa i pragnęła być z kimś takim jak Josh: marzycielskim, słodkim i na tyle doświadczonym, żeby to nie wyszło żałośnie i nieporadnie.

Nie znosiła sytuacji, w których nie wiedziała, co ma robić. Podstawy oczywiście знаła. Anatomia, fizjologia. Stronę romantyczną poznała z książek i filmów. Ale zrobić to naprawdę, kiedy dwa nagie ciała muszą się do siebie dopasować, to sprawa pierwszorzędna.

Tego nie dało się doskonalić teoretycznie. Można było osiągnąć wprawę tylko praktycznie.

Dlatego pragnęła wyrozumiałego i cierpliwego partnera, który ją bezpiecznie przeprowadzi przez wszelkie rafy, tak że w końcu sama odnajdzie w tym własną drogę.

Niewielkie znaczenie miał fakt, że wcale Josha nie kochała. Bardzo go lubiła i nie dążyła, tak jak Bella, do małżeństwa.

W każdym razie jeszcze nie teraz.

Chciała po prostu zobaczyć, jak to jest, co się wtedy czuje, na czym to polega. I choć mogłoby się to wydawać głupie, pragnęła w ten sposób pozbyć się ostatnich resztek dzieciństwa. Tkwiło w niej to wszystko gdzieś w zakamarkach umysłu i być może z tego powodu przez ostatnich kilka dni była taka niespokojna i rozkojarzona.

No i oczywiście wszystko jeszcze raz przemyślała.

Chwyciła torebkę, wyłączyła muzykę i wyszła z akademika.

Na zewnątrz była przepiękna, ciepła, rozgwieżdżona noc. To śmieszne tracić ją,

zagrzebując się w notatkach z chemii - mówiła sobie, idąc w stronę parkingu. Uniosła twarz ku niebu i próbowała się uśmiechnąć, ale po plecach przeszedł ją lekki dreszcz. Zerknęła za siebie, popatrzyła na trawnik, na włączone automatyczne światła.

Na Boga, przecież nikt jej nie śledził. Wzruszyła ramionami, ale przyspieszyła kroku. To tylko poczucie winy, nic więcej. Można przecież żyć z lekkim poczuciem winy.

Wsiadła do swojego sfatygowanego dodge'a, ale poddając się jakimś urojeniom, przed włączeniem silnika zablokowała drzwi auta.

W odległości pięciu minut jazdy od kampusu znajdował się wynajmowany przez grupę studentów stary, ceglany, dwupiętrowy dom, oświetlony niczym w Boże Narodzenie. Imprezowicze wysypywali się na trawnik przed budynkiem, przez otwarte drzwi dobiegała muzyka.

Poczuła słodkawą woń marihuany, do jej uszu dobiegły strzępy prowadzonych donośnymi głosami rozmów o talencie Emily Dickinson, o obecnej administracji uczelni i bardziej przystępnych o meczach Orioles.

Gdy znalazła się w środku, musiała się precyzyjnie przemieszczać przez tłum gości, w ostatniej chwili uchyliła się przed szklanką jakiegoś alkoholu, rozlanego tuż przed jej nosem, i w końcu z ulgą dostrzegła kilkanaście znajomych osób stłoczonych w salonie.

Gina ją zauważyła, prześliznęła się przez tłum gości i chwyciła przyjaciółkę za ramię.

- Reeno, wreszcie jesteś! Mam dla ciebie taką wiadomość!

- Nie chuchaj na mnie, dopóki nie zjesz całego pudełka tik - taków.

- O kurczę!

Gina sięgnęła do kieszeni dzinsów tak obcisłych, że musiały powodować uszkodzenia narządów. Slim - fasty nie poradziły sobie z pięcioma kilogramami, o jakie utyla podczas pierwszego semestru.

Wyciągnęła plastikowe pudełeczko, które zawsze nosiła ze sobą, i wysypała z niego kilka pomarańczowych drażetek prosto do ust.

- Piłam - przyznała, ssąc cukierki.

- Nigdy bym nie zgadła. Posłuchaj, możesz tu zostawić swój samochód, a ja cię odwiozę do domu jako dyżurny kierowca.

- Nie potrzeba. Niedługo zwymiotuję i będę w porządku. Ale, wiadomość!

Pociągnęła Reenę przez równie zatłoczoną kuchnię i wyprowadziła tylnymi drzwiami.

W ogrodzie było jeszcze więcej gości. Czyżby wszyscy mieszkańcy kampusu College Park postanowili zrezygnować z nauki do końcowych egzaminów?

- Scott Delauter wylatuje z uczelni - oznajmiła Gina i wykonała radosny taniec

biodrami.

- Kim jest Scott Delauter i dlaczego tak cieszysz się z jego nieszczęścia?

- Mieszka tutaj. Widziałaś go... taki niski typas z dużymi zębami. A tańczę z radości, bo dla nas to uśmiech fortuny. W przyszłym semestrze będą mieli o jedną osobę mniej, a w grudniu druga kończy studia. Jen oświadczyła, że od przyszłego semestru mogą przyjąć naszą dwójkę, jeśli zgodzimy się spać we dwie. Reeno, wreszcie wyrwiemy się z tamtej nory.

- Mamy się tu wprowadzić? Gino, wracaj na ziemię! Nie stać nas na to!

- Czynsz i wydatki na życie podzielimy na cztery. To wcale nie wypadnie o wiele więcej, niż teraz płacimy. - Gina chwyciła przyjaciółkę za ramię, oczy błyszczały jej z podniecenia i od taniego wina, mówiła z przejęciem: - Tu są trzy łazienki. Trzy łazienki na cztery osoby, a nie jedna na sześć.

- Trzy łazienki. - Reena wyszeptała to jak modlitwę.

- To zbawienie. Kiedy Jen mi o tym powiedziała, doznałam wizji. Wizji, Reeno. Ujrzałam uśmiechniętą Matkę Bożą, która w dłoni trzymała nowiutką gąbkę do kąpieli.

- Trzy łazienki - powtórzyła Reena. - Nie, nie. Nie dam się przeciągnąć na ciemną stronę przez takie błyskotki. Ile wynosi czynsz?

- Wynosi... jeśli podzielimy na cztery i przy mniejszych kosztach wyżywienia, bo tu będziemy same gotować... wyjdzie prawie darmo.

- Aż tyle?

- Obie będziemy latem pracować. Zaoszczędzimy. Reeno, zgódź się, proszę... proszę. Musimy szybko dać odpowiedź. Popatrz tylko, będziemy miały ogród. - Wyciągnęła rękę w jego stronę. - Możemy sadzić kwiaty. Do licha, wyhodujemy tu własne warzywa. Tak naprawdę, mieszkając tu, jeszcze zarobimy.

- Gino, powiedz mi, ile.

- Najpierw przyniosę ci coś do picia...

- No, wykrztuś wreszcie - napierała Reena. Skrzywiła się, kiedy Gina wymieniła kwotę miesięcznych opłat.

- Ale musisz też wziąć pod uwagę...

- Cicho, daj mi pomyśleć.

Zamknęła oczy i zaczęła w myślach kalkulować. Z pieniędzmi będziemy na styk - skonstatowała. Ale jeśli same zaczniemy się żywić, jeśli obetniemy trochę wydatki na kino, płyty i ubrania... Chętnie zrezygnuje z nowych ciuchów za cud posiadania trzech łazienek.

- Wchodzę w to.

Gina wydała okrzyk radości, zarzuciła Reenie ramiona na szyję i pociągnęła w

szaleńczy taniec na trawie.

- Będzie fantastycznie. Nie mogę się już doczekać. Napijmy się wina za niepowodzenia akademickie Scotta Delautera.

- Trochę podły toast, ale trudno odmówić, że stosowny, - Obróciła się wraz z Giną i znieruchomiała. - O Josh! Cześć.

Zamknął za sobą tylne drzwi domu i przesłał jej marzycielski, nieśmiały uśmiech, pod wpływem którego dziewczyna aż skuliła palce stóp.

- Cześć. Powiedziano mi, że tu jesteś.

- Tak. Postanowiłam zrobić sobie przerwę we wkuwaniu. Rozum zaczynał mi już wyciekać uszami.

- Musisz go trochę zachować na jutro.

- To samo jej powiedziałam - rozpromieniła się Gina. - A teraz poprzymilajcie się trochę do siebie. Ja idę wymiotować do łazienki, która niebawem będzie jedną z moich. - Ponownie wylewnie uściskała Reenę. - Jestem taka szczęśliwa - powiedziała.

Josh zerkał, jak za dziewczyną zamykają się z trzaskiem drzwi.

- Czy mogę zapytać, dlaczego ona jest taka szczęśliwa z faktu, że idzie rzygać?

- Bo od przyszłego semestru przenosimy się do tego domu.

- Naprawdę? To wspaniale. - Zrobił krok w jej stronę i nie wyciągając ręk z kieszeni marynarki, pocałował Reenę w policzek. - Gratulacje.

Czuła pod skórą każdy nerw; fascynujące wrażenie, poczucie pełnej dorosłości.

- Myślałam dotąd, że życie w akademiku to fajna rzecz. Przygoda - powiedziała. - Mieszkam z Giną, przyjaciółką z dzieciństwa. Ale niektóre sąsiadki z piętra doprowadzają mnie do szału. Jedna z nich próbuje rozwodnić mi mózg, puszczać na okrągło Mariah Carey.

- Podstępna.

- Myślę, że to już zaczynało działać.

- Wspaniale wyglądasz. Cieszę się, że tu przyszłaś. Miałem właśnie wychodzić, kiedy dowiedziałem się, że tu jesteś.

- Aha. - Cała radość się ulotniła. - Wychodzisz. Ponownie się uśmiechnął, wyciągnął jedną rękę z kieszeni marynarki i ujął dłoń dziewczyny.

- Teraz już nie.

Bo Goodnight sam dobrze nie wiedział, co robi w tym obcym domu wypełnionym studentami, których nie znał. Niemniej impreza to impreza i dlatego dał się tu Bradowi zaciągnąć.

Muzyka była w porządku i zatrzesienie dziewczyn. Wysokich, niskich, korpulentnych, chudych. Prawdziwy szwedzki stół dziewcząt.

Przyszła tu również ta, na której punkcie Brad ostatnio oszalał, i dlatego pojawili się na tej imprezie.

Była znajomą przyjaciela jednej z dziewcząt, która mieszkała w tym domu. Bardzo się Bo podobała i sam by do niej wystartował, gdyby wcześniej nie wpadła w oko ludowi.

Ale kodeks męskiej przyjaźni obowiązywał i Bo trzymał się od tej dziewczyny z daleka.

Za to Brad przegrał losowanie i musiał dziś służyć jako dyżurny kierowca. Właściwie obaj nie powinni pić, skoro nie osiągnęli jeszcze dozwolonego wieku. Ale impreza to impreza - pomyślał Bo, pociągając piwo.

Poza tym sam zarabiał na utrzymanie, płacił czynsz i sam sobie gotował posiłki, jakiegokolwiek by one były. Sprawiał wrażenie bardziej dorosłego od większości chłopaków studiujących na uczelni.

Rozglądał się po salonie w poszukiwaniu czegoś dla siebie. Był wysokim, szczupłym dwudziestolatkiem z gęstą i falującą czarną czupryną oraz zielonymi, trochę marzycielskimi oczami. Twarz miał szczupłą, podobnie jak budowę ciała, ale dzięki częstemu wymachiwaniu młotkiem i noszeniu ciężkich kawałów drewna wyrobił sobie niezłe mięśnie.

Czuł się trochę nie na miejscu, słuchając dobiegających zewsząd strzępów rozmów: studenci kleli egzaminy, komentowali wydarzenia polityczne, rozmawiali o babach. Uniwersytet to nie było dla niego odpowiednie miejsce. Nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy niż w dniu, w którym ukończył liceum. Dotąd każde wakacje poświęcał na pracę: najpierw jako robotnik, później praktykant. Teraz, mając dwadzieścia lat, był stolarzem o całkiem sporych dochodach.

Kochał pracować w drewnie i był w tym naprawdę dobry. Może dlatego, że robił to, co lubi. Biegłość w zawodzie zdobył dzięki pracy, z towarzyszącym jej zapachem trocin i potu.

I to właśnie cenił sobie najbardziej.

Do wszystkiego doszedł sam. Był w innej sytuacji niż większość zebranych tu osób. Nie miał tatusia, który płaciłby za niego rachunki.

Zaskoczyło go, a nawet trochę zawstydziło, że poczuł lekkie rozzalenie. Odsunął je od siebie i rozluźnił barki. Omiótł pokój długim, powolnym spojrzeniem i zatrzymał wzrok na dwójce dziewcząt, które przycupnęły na kanapie i z ożywieniem o czymś rozmawiały.

Rudowłosa wyglądała bardzo obiecująco, ale i towarzysząca jej brunetka sprawiała

apetyczne wrażenie.

Zrobił krok w ich stronę, ale drogę zastąpił mu Brad.

- Zejdź mi z drogi - powiedział. - Zamierzam właśnie trochę rozweselić dwa dziewczęce serduszka.

- Mówiłem ci, że się dobrze zabawisz. Posłuchaj, niebawem będę miał lepszą. Zrywam się stąd i idę z Cammie do niej. Jestem pewien, że tę noc będę miał udaną.

Bo popatrzył na kumpla, któremu lubieżnie zaśniły oczy za szklami okularów.

- Zostawiasz mnie samego w tym domu pełnym obcych ludzi, a sam idziesz w tango z dziewczyną?

- Trafnie to ująłeś.

- Bardzo rozsądnie. Ale jak cię wykopie, nie dzwoń po mnie. Własnym przemysłem wracaj po nocy do domu.

- Nie przewiduję żadnych problemów. Poszła tylko po torebkę, więc zaraz...

- Zaczekaj! - przerwał gwałtownie Bo, zaciskając palce na ramieniu kolegi.

Ujrzał w tłumie blondynkę; w pierwszej chwili mignęła mu tylko sylwetka. Na ramiona opadały jej seksownie gęste loki o barwie naturalnego dębowego drewna. Śmiała się, a porcelanowej barwy skóra dziewczyny była zaróżowiona na wysoko osadzonych policzkach.

Bo dostrzegł kształt ust i niewielki pieprzyk nad górną wargą. Nagle zmysł wzroku wyostrzył mu się do tego stopnia, że przez opary dymu papierosowego i wśród tłumu widział jej twarz z fotograficzną dokładnością. Podługne oczy o źrenicach prawie tej samej barwy co pukle włosów, długi nos o delikatnym zarysie nozdrzy. Zmysłowy zarys ust. Złote obręcze w uszach. Dwie w lewym i jedna w prawym.

Była wysoka - może włożyła szpilki, ale tego już nie był w stanie stwierdzić. Szyję zdobił jej łańcuch z jakimś kamieniem lub kryształem, pod ciemnoróżowym topem rysowały się kształtne piersi.

Na krótką chwilę pokój wypełniła głucha cisza. Przestał słyszeć muzykę.

Wtedy też ktoś zasłonił dziewczynę i pomieszczenie znów wypełniła kakofonia dźwięków.

- Co to za dziewczyna?

- Która? - Brad popatrzył obojętnie we wskazanym kierunku, po czym wzruszył ramionami. - Tutaj się od nich aż roi. Gdy następnym razem będziesz robił rozpoznanie terenu, zabierz mnie ze sobą.

- Co? - Ciągle oszołomiony Bo spuścił wzrok. Był tak zaaferowany, że prawie

zapomniał imienia kumpla. - Ja... masz. - Wsunął butelkę piwa w dłoń Brada, a sam zaczął się przepychać przez tłum.

Kiedy wreszcie dotarł do miejsca, gdzie widział dziewczynę, już po niej nie było śladu. Ogarnęła go panika. Ze ściśniętym gardłem minął kuchnię i znalazł się w jadalni, gdzie stłoczeni ludzie siedzieli przy stole, na stole lub pod stołem.

- Czy przechodziła tędy wysoka blondynka? Długie, kręcone włosy, ciemnoróżowy top.

- Oprócz ciebie nikt tu nie wchodził - oznajmiła jakaś dziewczyna o krótkich ciemnych włosach i przesłała mu zmysłowy uśmiech. - Ale ja w każdej chwili mogę być blondynką.

- Może innym razem.

Dwukrotnie przeszukał cały dom - od piwnic do drugiego piętra. Obszedł zarówno frontowy dziedziniec, jak i znajdujący się z tyłu budynku ogród.

Spotkał niejedną blondynkę, wiele z nich miało bujne loki. Ale nie znalazł tej, która sprawiła, że na ułamek sekundy przestała grać muzyka.

Prowadziła samochód, a serce podchodziło jej do gardła. Pomyślała, że to dobrze, iż sama siedzi za kierownicą. Chyba więc nie do końca straciła panowanie nad sobą i to, co robi, jest jej przemyślaną decyzją. Panowała nad sobą i była w pełni świadoma konsekwencji swojego postępowania.

Kochanie się po raz pierwszy zawsze powinno być własnym wyborem.

Żałowała tylko, że nie kupiła sobie wcześniej bardziej seksownej bielizny.

Josh wynajmował mieszkanie poza kampusem, a jego współlokator uczył się przez całą noc z grupą kolegów. Kiedy jej o tym oznajmił między jednym a drugim pocałunkiem, zaproponowała: „Dobrze, pojedźmy tam”.

To ona zrobiła pierwszy krok. I to ona zaczynała nowy etap w swoim życiu. A jednak nie potrafiła zapanować nad lekkim drżeniem rąk.

Zaparkowała kilka miejsc dalej niż on. Wyłączyła silnik i sięgnęła po torebkę. Dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Zamknęła samochód, a kluczyki wsunęła do kieszeni, w której je zawsze trzymała.

Z uśmiechem podała Joshowi dłoń. Minęli parking i weszli do budynku, gdy podjechał jeszcze jeden samochód i zaparkował w pobliżu.

- W mieszkaniu jest mały bałagan - uprzedził chłopak, gdy zaczęli wchodzić na pierwsze piętro.

- W naszym pokoju w tej chwili interweniowałby wydział sanitarny.

Poczekala, az otworzy drzwi, i weszla do srodka. Jesli chodzi o balagan, nie klamal - wszedzie walaly sie ubrania, obuwie, pudełka po pizze, ksiazki, czasopisma. Kanapa wprawiala wrazenie, jakby sciagnieto ja z wysypiska smieci i litościwie nakryto pledem.

- Przytulnie - stwierdzila Reena.

- Szczerze mówiac, ohydnie. Powinienem wczesniej przeprosic cie na kwadrans. Przynajmniej poupychalbym to wszystko po szafach.

- Nie ma sprawy. - Odwrócila sie i pozwolila objac ramionami. Pachnial mydlem Irish Spring i smakowal jak wisniowe dropsy. Przesunal dlon po jej wlosach.

- Puścić muzykę? Skinęła głową.

- Muzyka jest dobra.

Zanim odszedl do odtwarzacza stereo, przesunal dloniami w dol po jej ramionach.

- Nie mamy chyba nic Mariah Carey - oswiadczył.

- Dzięki Bogu! - Ze smiechem przycisnela dlonie do bijacego jak oszalale serca. - Jestem troche zdenerwowana. Nigdy dotad tego nie robilam.

Otworzył usta i znów zamknął, po czym popatrzył wielkimi oczyma.

- Nigdy...

- Jesteś moim pierwszym.

- Boże! - Wpatrywal sie w nia dluzsza chwile, błękitne oczy spowaznialy. - Teraz ja zaczynam sie denerwować. Czy jesteś pewna, że...

- Jestem. Naprawdę. - Podeszla do niego i popatrzyła na stos kompaktów. - Moze to? - zapytala, wyciagajac Nine Inch Nails.

- *Sin?* - Poslal jej slodki usmiech. - Czy o tym mysla katolickie dziewczeta?

- Moze troszeczke. Ale tak czy owak lubie ich wersje *Get Down, Make Love* zespołu Queen. To chyba bedzie dobre.

Wlozyl plyte do odtwarzacza, odwrócil sie i popatrzył na nia.

- Zwróciłem na ciebie uwage juz na poczatku semestru. Przez brzuch przesla jej fala ciepla.

- Ale pierwszy raz umowiles sie ze mna dopiero po przerwie wiosennej.

- Próbowalem z tuzin razy cos wykrztusic. Poza tym myslalem, ze jesteś z tym facetem z psychologii.

- Z Kentem? - W pierwszej chwili nie potrafila nawet przypomniec sobie twarzy chlopaka. - Ach, spotkalismy sie kilka razy. Od czasu do czasu razem sie uczymy. Nigdy z nim nie bylam.

- A teraz jesteś ze mna.

- Teraz jestem z tobą.

- Gdybyś zmieniła zdanie...

- Nie zmienię. Nigdy nie zmieniam. - Położyła dłonie na twarzy chłopaka, musnęła ustami jego usta. - Chcę tego. Chcę ciebie.

Dotknął jej włosów. Wplótł palce w gęste pukle i zaczął ją całować, długo, powoli. Ich ciała, ogarnięte pożądaniem, mocno do siebie przywarły.

Reena czuła się naelektryzowana, ożywiona.

- Może pójdziemy do sypialni.

To jest właśnie to - pomyślała. Wstrzymała oddech; niech się dzieje wola nieba.

- Chodźmy - powiedziała.

Trzymał ją za rękę. Chciała to zapamiętać, zachować w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół. Zapach jego mydła, smak wiśniowych cukierków, kosmyki włosów opadających mu na skronie, gdy pochylał głowę.

W jego pokoju - sypialni znajdowało się niezaścielone podwójne łóżko z pościelą w niebieskie paski, jasnogranatową narzutą i poduszką płaską jak naleśnik. Na ciężkim metalowym biurku stał masywny komputer, obok którego piętrzyły się w nieładzie książki, dyskietki i papiery. Obok wisiała korkowa tablica pełna notatek, fotografii i ulotek.

W otwartej dolnej szufladzie jego komody pokrytej grubą warstwą kurzu - malutkiej, jakby ją zachował z dzieciństwa - znajdowało się jeszcze więcej książek oraz dzbanek do połowy wypełniony drobniakami. Głównie jednocentówkami.

Przyciemnił stojącą przy łóżku lampę.

- Mam ją całkiem zgasić? - zapytał.

- Nie. - Jak w ciemności cokolwiek zobaczy? - Ja... ja nie mam żadnej ochrony.

- Wszystkimi się zająłem.... - Zarumienił się, a potem roześmiał. - To znaczy w tej chwili nie jest niczym chroniony. Ale mam prezerwatywy.

Wszystko poszło łatwiej, niż myślała. Ciało lgnęło do ciała. Usta, dłonie; każdy dotyk powodował dreszcz rozkoszy.

Pocałunki były coraz gorętsze, serca biły jak oszalałe, spazmatycznie łapali ustami powietrze. Opadli na łóżko. Reena przez chwilę myślała, że powinna najpierw zdjąć buty - trochę głupia sprawa - ale wkrótce poddała się żarliwej namiętności.

Jego usta powędrowały na szyję dziewczyny, dłonie na piersi. Najpierw na bluzce, potem pod nią. Tego już raz doświadczyła, nie wiedząc wówczas, że to zaledwie początek.

Skórę miał taką ciepłą, taką gładką, a ciało tak smukłe, że zalewała ją fala czułości. Czuła narastające pożądanie. Aż drżała, gdy jej skóra ocierała się o skórę chłopaka. Wy-

dawała ciche okrzyki, sapała z podniecenia, mruzczała z rozkoszy.

Jego oczy były takie żywe i niebieskie, włosy jedwabiste. Uwielbiała jego pocałunki, pragnęła, żeby trwały zawsze.

Kiedy wsunął jej dłoń między nogi, stężała w napięciu. W przeszłości w tym miejscu zawsze przerywała grę. Nigdy nie pozwalała nikomu na taką intymność. Josh zastygł, serce biło mu jak młotem. Słodki chłopak przycisnął usta do szyi dziewczyny.

- W porządku, możemy tylko...

Ujęła jego dłoń i sama poprowadziła ją między swoje uda.

- Tak - szepnęła i zamknęła oczy.

Przeszył ją osobliwy dreszcz. To było coś całkiem nowego. Czegoś podobnego nigdy jeszcze w życiu nie doświadczyła, nie poczuła, nie rozumiała. Zalewały ją na przemian fale gorąca i bólu. Przywarła do niego mocno, uspokoiła się i rozluźniła uścisk.

Powtarzał jej imię, czuła, że drży tak jak ona. Gorące, wilgotne usta chłopaka zawędrowały na jej pierś i kolejna fala rozkoszy popłynęła od brzucha w górę ciała. Sięgnęła po niego ręką, był bardzo twardy. Zafascynowana tym, nie przestawała go dotykać. Kiedy z sykiem wciągnął oddech i trochę się cofnął, jak oparzona zabrała dłoń.

- Przepraszam. Czy zrobiłam coś nie tak?

- Nie, nie. — Znów odetchnął głęboko. - Ale... muszę się zabezpieczyć.

- Jasne. - Wszystko w niej dygotało z podniecenia. Była w pełni gotowa.

Z szufladki nocnego stolika wyjął prezerwatywę. Odruchowo chciała odwrócić głowę, lecz natychmiast odrzuciła ten pomysł. Zamierzał w nią wejść, część jego ciała znajdzie się w jej ciele. Lepiej wszystko zobaczyć, poznać, zrozumieć.

Podparła głowę, a kiedy naciągnął gumkę, ponownie przytulił się do dziewczyny. Obsypał Reenę pocałunkami i pieszczotami, które całkowicie rozproszyły jej lęk.

- Będzie troszeczkę bolało. Ale tylko chwilę. Wybacz.

- W porządku. - Musi trochę boleć - pomyślała. Tak duża zmiana nie może obyć się bez odrobiny bólu. W przeciwnym razie nie byłoby to takie ważne.

Czuła, jak nim napiera, wnika do środka. Starła się stawiać jak najmniejszy opór. Cały czas ją całował.

Czuła delikatną miękkość na ustach i nieustępliwą twardość między udami.

Zabolało. Na chwilę wyrwało ją to z sennego ośpienia rozkoszą. Ból szybko jednak zelżał i w miarę jak mężczyzna zaczął się w niej poruszać, zmieniał się w dziwną mieszaninę podniecenia, rozkoszy i skrępowania.

Josh wtulił twarz we włosy Reeny, a jego szczupłe, gładkie ciało stopiło się w jedno z

ciałem dziewczyny. I była już tylko słodczy.

Do domu na wakacje wracała z mieszanymi uczuciami. Ciągnęła ze sobą rzeczy z akademika ze świadomością, że przez najbliższe trzy miesiące nie będzie musiała chodzić na wykłady i ćwiczenia ani wysłuchiwać złorzeczeń Giny na dzwoniący każdego ranka budzik.

Ale kiedy już przyjechała i znalazła się w swoim starym pokoju, stało się to tak naturalne jak oddychanie.

Nie było już jednak tak samo. Ona się zmieniła. Świadomie zrobiła kilka ważnych kroków, które oddaliły ją od dzieciństwa. Być może wciąż jeszcze tkwiła w niej dziewczyna, która pakowała tu swoje rzeczy poprzedniego lata, lecz ta, która wróciła, była już o wiele mądrzejsza, znacznie więcej doświadczyła. I była gotowa, o wiele bardziej gotowa na przyjęcie kolejnych wyzwań.

Pod jej nieobecność zmienił się nawet dom. Przez kilka tygodni dzieliła pokój z Fran. Bella potrzebowała oddzielnego pomieszczenia na swoje ślubne akcesoria, więc jak zawsze dobroduszna Fran przygarnęła ją do swojej sypialni.

- Spokojnie - odparła na pytanie Reeny. - To tylko na parę tygodni. Później wyprowadzi się do domu, który kupili im w prezencie rodzice Vince'a.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że kupili im dom. - Reena układała swoje bluzki w szufladzie tak, jak lubiła, według kolorów.

Jedną z rzeczy z życia w akademiku, której nie będzie jej brakowało, był wieczny bałagan.

- Cóż, są bogaci... ta sukienka jest cudowna - zauważyła Fran, wieszając do szafy kolejną część garderoby siostry. - Skąd ją masz?

- Po sesji wpadłam do centrum handlowego. Robienie zakupów rozładowuje stres. - Poza tym potrzebowała paru nowych ciuchów dla swojego nowego *image'u*. - Nie sądzisz, że to trochę dziwne, iż Bella pierwsza opuszcza nasz dom? Myślałam, że to będziesz ty lub ja. Ale ona od zawsze najbardziej o tym marzyła.

- Vince zapewni jej wszystko, czego potrzebuje. - Fran odwróciła się i choć twarz oraz sylwetka siostry były jej tak dobrze znane, Reenę poruszył jej widok. W promieniach popołudniowego światła Fran wyglądała jak obraz - zachwycająco złoty i wspaniały.

- Nie znam go tak dobrze, ale sprawia sympatyczne wrażenie - jest solidny. No i bardzo przystojny.

- Zwariował na jej punkcie. Traktuje Bellę jak księżniczkę, a ona zawsze o kimś takim marzyła. A bogactwo wcale jej nie przeszkadza - dodała Fran trochę złośliwie. - Jak tylko

skończy prawo i zrobi advokaturę, zacznie robić błyskawiczną karierę w firmie swojego ojca. Z tego, co słyszałam, jest wybitnie zdolny i błyskotliwy. Mama i tata bardzo go lubią.

- A ty?

- Ja też. Ma styl, który lubi Bella, ale potrafi się dostosować do rytmu naszej rodziny czy to tu, czy w sklepie. - Rozpakowywała rzeczy Reeny, a na jej twarzy pojawiła się jakaś tęskna zaduma. - Traktuje Bellę jak dzieło sztuki. Nie mówię, że to źle - dodała. - Zupełnie jakby był oszołomiony własnym szczęśliwym losem. A przede wszystkim radzi sobie z jej humorami. A ma ich całą masę.

- A zatem dostał glejt, żeby wejść do rodziny. - Reena podeszła do szafy i wyjęła jasnozieloną kreację druhny. - Mogło być gorzej - stwierdziła.

- Jasne. - Fran oparła się o narożnik szafy i złożyła ramiona. - Mogła dodać coś ciemnopurpurowego. Przy olśniewającej pannie młodej będziemy wszystkie wyglądały bardzo blado. Ale o to pewnie chodzi.

Reena uśmiechnęła się i włożyła suknię do szafy.

- I tak to lepsze od tej pomarańczowej jak dynia sukni z milionami falbanek i bufiastymi rękawkami, jaką zaserwowała nam w zeszłym roku kuzynka Angela.

- Nie przypominaj mi. Nawet Bella nie ma aż tak podłego gustu.

- Zawrzyjmy umowę. Jak przyjdzie kolej na nas, wybierzmy dla siebie takie sukienki, żebyśmy nie wyglądały jak gosposie.

Fran objęła siostrę ramieniem, przytuliła policzek do jej twarzy i zakołysała się.

- Dobrze, że jesteś znów w domu.

W porze lunchu poszła do Siroco's, prosto w świat znajomych zapachów i dźwięków.

Po pożarze zrobili tu o wiele więcej niż zwykły remont. Zachowali tradycyjny układ. Kuchnia była otwarta na salę jadalną; butelki po chianti nadal pełniły rolę świeczników, a duża, oszklona lodówka ukazywała świeże słodczyce sprowadzane codziennie z włoskiej cukierni.

Ale było też sporo zmian - jakby chcieli pokazać, że nie tylko nie poddają się przeciwnościom, ale wykorzystują je do lepszego prosperowania.

Ściany pomalowano na przydymioną, toskańską żółć, a matka ozdobiła je dziesiątkami nowych rysunków, przedstawiającymi nie tylko rodzinę, ale również sąsiedztwo oraz samą pizzerię - kiedyś i teraz. Oddzielające stoliki przegrody pomalowano na wyzywająco czerwony kolor, a na stołach leżały serwety w tradycyjną czerwono - białą szachownicę.

Nowe oświetlenie zapewniało pogodny nastrój nawet w najbardziej pochmurne dni. Można je było przyciemniać, żeby stworzyć odpowiednią atmosferę podczas prywatnych

przyjąć, od dwóch lat organizowanych w lokalu coraz częściej.

Ojciec królował przy wielkiej ladzie, gdzie nalewał sos na ciasto. Miał teraz siwe pasma we włosach; zaczęły się pojawiać w pierwszych tygodniach po pożarze. Musiał też używać okularów do czytania, co niebywale go złościło, zwłaszcza jeśli ktoś mu mówił, że wygląda w nich bardzo dystygowanie.

Matka stała przy piecu, doglądając makaronów i sosów. Fran w czerwonym fartuchu roznosiła talerze z lasagne, które było akurat specjalnością na lunch.

Idąc do kuchni, Reena zatrzymywała się przy stolikach, żeby powitać sąsiadów i stałych bywalców. Śmiała się za każdym razem, gdy mówiono jej, że musi trochę podjeść, aby nabrać więcej ciała.

Kiedy doszła wreszcie do ojca, Gib wsunął właśnie do pieca kolejną pizzę, uprzednio wyciągając ze środka inną.

- Jest moja dziewczynka! - zawołał. Odłożył wypiek i ujął córkę w niedźwiedzi uścisk. Pachniał mąką i potem. - Fran mówiła, że wróciłaś do domu, ale byliśmy zawałeni robotą. Nie mogliśmy się wyrwać.

- Przyszłam wam pomóc. Bella na zapleczu?

- Spóźniłaś się. Wezwały ją pilne sprawy weselne. - Wziął nóż do pizzy i z wprawą pokroił ciasto. - Chodziło o jakieś płatki róż... a może pączki kwiatowe.

- No to brakuje ci rąk do pracy. Kto zamawiał parówki z zieloną papryką?

- Stolik szósty. Dziękuję, kochanie.

Zaniosła pizzę i wzięła kolejne dwa zamówienia. Zupełnie jakbym nigdzie stąd nie wyjeżdżała - pomyślała.

Tyle że była już inna. I nie chodziło tylko o to, iż miała za sobą rok studiów, ale o wszystko, czego się w tym czasie nauczyła. Tutaj czekały na nią znajome twarze, znajome zapachy, rutynowe czynności, które wykonywała automatycznie. A jednak była kimś innym niż wtedy, gdy po raz ostatni tu pracowała.

Miała chłopaka. Teraz już oficjalnie. Ona i Josh stanowili parę, która ze sobą sypiała.

Lubiła seks, co zauważyła z ulgą. Pierwszy raz był słodki i odkrywczy. Stanowił dla niej tak nowe doświadczenie, a ciało i umysł starały się to wszystko zrozumieć, że nie miała orgazmu.

To, co odkryła w seksie i w sobie przy drugim spotkaniu z Joshem, okazało się czymś zupełnie nowym i cudownym.

Teraz już nie mogła się doczekać, kiedy znów z nim będzie, żeby się nauczyć czegoś nowego.

Ale nie tylko seks ich łączył - przypomniała sobie, odbierając kolejny telefon z zamówieniem na pizzę. Rozmawiali ze sobą godzinami. Uwielbiała słuchać, jak opowiadał jej o swoich planach, o tym, jak zamierza opisywać życie w małych miasteczkach - jak to, w którym dorastał w Ohio. Opowieści o ludziach, o tym, co robią sobie i dla siebie nawzajem.

Umiał też słuchać. Z ogromnym zainteresowaniem chłonał jej zwierzenia o tym, co chce studiować i doskonalić, jak pragnie zrozumieć naturę ognia.

Na wesele Belli szła nie ze zwykłym kolegą, lecz z własnym chłopakiem.

Myślała o tym, idąc na zaplecze. Matka wyjmowała właśnie warzywa z jednej z ogromnych stalowych lodówek. Pete, teraz ojciec trójki dzieci, stał przy kontuarze, kroił ciasto i ważył je na porcje do wierzchu pizzy.

- Witaj, studentko! Dasz mi całuska?

Reena objęła go za szyję i głośno pocałowała w same usta.

- Kiedy wróciłaś?

- Kwadrans temu. Ledwie przekroczyłam próg, zapędzono mnie do roboty.

- Niewolnictwo.

- Waż to ciasto, bo cię wychłoszczę batem. I zostaw w spokoju moją dziewczynkę, bo powiem twojej żonie. - Bianca rzuciła się z otwartymi ramionami w stronę Reeny, która utonęła w jej objęciach.

- Jak to robisz, że z dnia na dzień piękniejesz? - zapytała Reena.

- To opary kuchenne. Człowiek poci się wszystkimi porami. Och dziecko, niech na ciebie popatrzę.

- Przecież widziałas mnie przed dwoma tygodniami podczas oficjalnych zaręczyn Belli.

- Dwa tygodnie, dwa dni. - Bianca odsunęła się i na chwilę spoważniała, a w jej oczach coś się pojawiło i znikło.

- O co chodzi?

- O nic. - Ale Bianca pocałowała córkę w czoło, jakby ją błogosławiła. - Znów wszystkie moje dzieci są w domu. Pete, zamiast przy gościach Catarinę. Ona cię tu zastąpi. Musimy pogadać o babskich sprawach.

- Znów o ślubie? Już mnie od tego boli głowa. - Pete machnął ręką i wyniósł się z kuchni.

- Czyżbym miała kłopoty? - półzartem spytała Reena, wyjmując z chłodziarki butelkę wody. - Mam nadzieję, że mój żart, iż w sukience druhny wyglądam jak anemiczna szalotka, nie dotarł do Belli?

- Oczywiście, że nie. I będziesz ładnie wyglądała, choć sukienka jest trochę... niefortunna.

- Ooo, co za dyplomacja!

- To moja ostatnia deska ratunku w całym tym weselnym biznesie. W przeciwnym razie już dawno policzyłabym Belli gości. - Uniosła rękę i potrząsnęła głową. - Ale wcale jej nie winię. Jest podekscytowana, przestraszona, dziko zakochana i pragnie, żeby Vince był z niej dumny, a chce także zrobić wrażenie na jego rodzicach, wyglądając jak gwiazda filmowa i urządzając ich nowy dom.

- Chyba jest w swoim żywiole.

- To prawda. Ojciec potrzebuje ciasta na dwie duże i jedną średnią - dodała i patrzyła, jak córka kroi i waży ciasto. - Widzę, że nie wyszłaś z wprawy.

- Od urodzenia to robię.

Resztę ciasta odłożyła do chłodziarki i zaniósła ojcu potrzebne porcje. Po powrocie zaczęła razem z matką przygotowywać sałatki.

- Dwie domowe dla stołu szóstego. Ja zrobię grecką dla trójki. Ten ślub to największe marzenie jej życia - ciągnęła Bianca, siekając zieleninę. - Chcę, żeby miała dokładnie to, co chce. Wszystkim moim dzieciom życzę tego samego. Wzięła tacę z sałatkami i zaniósła do bufetu.

- Zamówienie gotowe! - zawołała i wróciła napełnić kolejną tacę.

- Byłaś z chłopakiem.

Reena prawie udławiła się wodą, którą właśnie piła.

- Słucham?

- Myślisz, że patrzę na ciebie i nie widzę? - Bianca mówiła ściszym głosem, oceniając odległość, w jakiej był Gibson, i hałas, który by zagłuszył jej słowa. - Że nie widziałam tego u wszystkimi moich dzieci? Ty jesteś ostatnia.

- Xander też był z chłopakiem?

Ku wielkiej uldze Reeny matka wybuchnęła śmiechem.

- Jak dotąd woli dziewczyny. Czy znam twego chłopca?

- Nie. To tak... Zaczęliśmy ze sobą chodzić jakiś czas temu, a stało się to nagle. W zeszłym tygodniu. Mamo, to ja chciałam, żeby do tego doszło. Wybacz, że cię rozczarowałam, ale...

- Czy coś takiego powiedziałam? Czy pytałam o twoje sumienie lub wybór? Byłaś ostrożna?

- Tak, mamo. - Reena odłożyła nóż i objęła matkę w pasie. - Byliśmy. Bardzo go

lubię. Też go polubisz.

- Skąd mogę wiedzieć, czy polubię, skoro nie przyprowadziłaś go do domu i nie przedstawiłaś rodzinie? Nic mi o nim nie powiedziałaś.

- Studiuje literaturę. Zamierza zostać pisarzem. Mieszka w zapuszczonym mieszkaniu i ma cudowny uśmiech. Nazywa się Josh Bolton i wychował się w Ohio.

- A jego rodzina?

- Niewiele o niej mówi. Jest jedynakiem, a jego rodzice się rozwiedli.

- Więc nie jest katolikiem?

- Nie sędzę. Zresztą nie pytałam. Jest miły, bardzo inteligentny i słucha, kiedy coś do niego mówię.

- To są wszystko ważne rzeczy. - Bianca ujęła w dłonie twarz córki. - Przedstaw go rodzinie.

- Będzie na ślubie Belli.

- Więc jest i odważny. - Matka uniosła brwi. - No cóż, skoro jest taki, jak mówisz, może warto mu się bliżej przyjrzeć.

Kiedy tłum przybyłych na lunch gości się zmniejszył, Reena zasiadła - na specjalne życzenie ojca - przed wielkim półmiskiem ze spaghetti. Jego miejsce za kontuarem zajął Pete, a Gib zaczął obchód sali. Pamiętała, że robił to od zawsze, wiedziała, że przed nim tak samo postępował dziadek.

Ze szklanką wina, z butelką wody lub filiżanką kawy - w zależności od pory dnia - odwiedzał wszystkie boksy i stoliki i z każdym z gości zamieniał kilka słów. Niekiedy wywiązywała się dłuższa rozmowa. Do stałych gości czasami przysiadł się nawet na kilka minut do stolika. Rozmawiał z nimi o sporcie, jedzeniu, polityce, nowinkach sąsiedzkich, o narodzinach bądź pogrzebach. Reena dobrze wiedziała, że przedmiot rozmowy nie ma dla niego znaczenia.

Była to po prostu zażyłość.

Tego dnia popijał wodę. Gdy przysiadł się do córki, pociągnął duży łyk napoju i wskazał na talerz.

- Dobrze?

- Najlepsze.

- To wrzuc jeszcze trochę do żołądka.

- Jak tam zapalenie torebki stawowej u pana Alegrio?

- Odzywa się. On twierdzi, że zbiera się na deszcz. W tym roku ma ładne róże, a jego wnuk przeszedł do następnej klasy. - Gib wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Jak

myślisz, co zamówił?

- Danie specjalne, minestrone, sałatkę domową, szklankę peroni, butelkę wody sodowej, paluszki i cannoli.

- Wszystko pamiętasz. Dużo tracimy przez to, że poszłaś na te studia kryminalistyczne i chemiczne zamiast zająć się prowadzeniem restauracji.

- Tato, zawsze znajduję czas, żeby wam pomagać. Zawsze, pamiętaj.

- Jestem z ciebie dumny. Wiesz, czego chcesz w życiu, i ciężko na to pracujesz.

- Ktoś mnie na taką wychował. A jak się miewa ojciec panny młodej?

- Jeszcze o tym nie myślę. - Potrząsnął głową i znów napił się wody. - Nie myślę jeszcze o chwili, kiedy ruszy w moją stronę ubrana w suknię ślubną, ani o tym, jak będę prowadził córkę główną nawą kościoła, żeby ją oddać Vince'owi. Chyba się rozbeczę jak dziecko. Lepiej na razie odsunąć od siebie myśl o tym i zająć się szaleństwem przygotowań do ślubu.

Spojrzał i uśmiechnął się. - Wieść o twoim powrocie już się rozeszła. Hej, John! Gib! Reena z okrzykiem radości zerwała się z krzesła i zarzuciła Johnowi Mingerowi ramiona na szyję.

- Stęskniłam się za tobą! Nie widzieliśmy się od Bożego Narodzenia. Przysiądź się, zaraz wrócę.

Pobiegła po drugie nakrycie. Gdy usiadła z powrotem, nałożył na czysty talerz część spaghetti z półmiska. - Zjedz trochę. Tata myśli, że na uczelni bez przerwy głoduję.

- C o ci przynieść do picia, John?

- Cokolwiek bez alkoholu, dzięki.

- Jedna chwila. A później muszę wrócić do pracy.

- Opowiadaj wszystko - zażądała Reena. - Co słyhać u ciebie, u twoich dzieci i wnuków... ogólnie, jak żyjesz?

- Wszystko w porządku, dużo pracy.

Wygląda świetnie - pomyślała Reena. Miał wprawdzie niewielkie worki pod oczami i włosy prawie całkiem siwe, ale było mu z tym do twarzy. Pożar sprawił, iż stał się członkiem rodziny. Nie, coś więcej niż pożar - poprawiła się w myślach.. Wszystko, co zrobił później. Jego praca, niekończące się pytania, jakie mu zadawała, a on cierpliwie odpowiadał.

- Jakieś ciekawe sprawy?

- Wszystkie są ciekawe. Czy wciąż jeszcze marzy ci się udział w oględzinach pogorzeliśka?

- Zadzwoń, a już tam jestem. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Pożar zaczął się w sypialni jakiegoś dzieciaka. Ośmioletniego chłopca. W chwili jego wybuchu nikogo nie było w domu. Żadnych środków łatwopalnych, żadnych zapalek ani zapalniczek. Najmniejszych śladów włamania ani elementów podpalenia.

- Zwarcie elektryczne?

- Nie.

Zaczęła znów jeść i jednocześnie się zastanawiała.

- Jakiś zestaw chemikaliów? Dzieciaki uwielbiają takie zabawy.

- Nic takiego tam nie było. Chłopak wyznał mi, że zamierza zostać detektywem.

- O której godzinie pojawił się ogień?

- Około drugiej po południu. Dzieciak był w szkole, a rodzice w pracy. Nigdy wcześniej nic takiego im się nie zdarzyło. - Nawinął na widelec makaron, włożył go do ust i przymknął oczy, z zadowolenia smakując potrawę. - To nieuczciwe z mojej strony przepytować cię, skoro nie widziałaś miejsca ani nawet jego zdjęć.

- Zaczekaj chwileczkę. Nie zamierzam tak łatwo się poddawać. - Uważała, że każdą zagadkę da się rozwiązać. - Źródło zapłonu?

- Biurko dzieciaka. Mebel ze sklejk.

- Ale pewnie miał na nim sporo materiałów palnych. Papier tekturowy do wycinania, klej, sam blat, szkolne książki i zeszyty, zapewne segregator lub zabawki. Czy biurko stało przy oknie?

- Tuż pod.

- A w oknie były firanki. Druga po południu. - Reena zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie tamto miejsce. Pomyślała o biurku Xandra, kiedy jej brat miał osiem lat. Wszystko zavalone zabawkami, komiksami, zeszytami szkolnymi.

- Na którą stronę wychodzi okno?

- Jesteś rewelacyjna, Reeno. Na południe.

- O tej porze słońce mocno przygrzewa i zasłony powinny być zaciągnięte. Ale chłopak ich nie zasłonił. Jaka pogoda była tamtego dnia?

- Śliczna. Słońce, upał.

- Dzieciak chce zostać detektywem, więc pewnie ma szkło powiększające.

- Trafiałaś w dziesiątkę. Jesteś niebywała. Szkło leżało na biurku oparte o krawędź książki, tuż nad papierami. Wpadające oknem promienie słońca podpaliły papiery. Ogień przeniósł się na blat biurka i firanki.

- Biedny dzieciak.

Mogło być gorzej. Jakiś roznosiciel zobaczył dym i natychmiast wykręcił dziewięćset

jedenastcie. Udało się opanować ogień w sypialni.

- Brakowało mi rozmów o tym fachu. Jestem tylko studentką i większość przedmiotów, o które mi najbardziej chodzi, będę miała dopiero na trzecim roku, gdy przeniosę się na kampus Shady Grove. A chciałoby się pogadać o zawodzie.

Chcę porozmawiać z tobą o czymś innym. - Odłożył widelec i popatrzył Reenie w oczy. - Pastorelli wyszedł na wolność.

- Pastorelli... - Skuliła się i obejrzała za siebie, chcąc sprawdzić, czy słowa Johna nie dotarły do jej rodziców. - Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. Właśnie dostałem wiadomość.

- To kiedyś musiało się stać - mruknęła posępnie Reena. - Wyszedłby jeszcze wcześniej, gdyby nie dostał dodatkowego wyroku za pobicie strażnika.

- Nie sądzę, żeby zamierzał sprawiać ci jakieś kłopoty.

Wątpię nawet, czy tutaj wróci. Nie ma tu nikogo. Jego żona jest nadal w Nowym Jorku u swojej ciotki. Sprawdziłem. A synalek odsiedział już swoje za napad.

- Pamiętam, jak go zabierali. - Spojrzała przez okno za ulicę. Na schodkach dawnego domu Pastorellich stały donice z geranium, a zasłony w oknach były odsunięte.

- Którego?

- Obu. Wciąż mam przed oczami obraz, jak wyprowadzano pana Pastorellego w kajdankach. Pamiętam jego żonę kryjącą twarz w żółtej ścierce do naczyń. Jeden but miała niezasnurowany. Nie mogę zapomnieć, jak Joey biegł z krzykiem za radiowozem. Stałam obok mojego ojca. Sadzę, że ten obraz jeszcze bardziej wzmocnił łączące nas więzi. Chyba dlatego pozwolił mi iść ze sobą, kiedy zabierano Joeya. Po tym, jak chłopak zabił swojego nieszczęsnego psa.

- Ale to dla ciebie już zamknięty rozdział, który rozpoczął ten mały gówniarz, kiedy próbował cię napastować. Nie ma powodu się tym przejmować, niemniej twoja rodzina powinna wiedzieć, że wyszedł.

- Powiem im. Ale później, gdy będziemy już w domu.

- W porządku.

Reena znów wyjrzała przez okno i wyraz niepokoju ustąpił z jej twarzy.

- To Xander! - krzyknęła. - Za chwileczkę wracam. Zerwała się od stolika i ruszyła w stronę drzwi. Przebiegła przez ulicę i rzuciła się bratu w ramiona.

Pod wieloma względami przypominało to powrót do dzieciństwa. Dźwięki i zapachy domu były takie same jak zawsze. Nie zmieniły się: środek do czyszczenia mebli, którego używała matka, woń dobiegająca z kuchni oraz stary rzeźniczy pień służący jako stół. Z

pokoju Xandra jak zawsze dochodziła hałaśliwa muzyka, bez względu na to, czy brat Reeny był w środku, czy nie. Nadal słyszała dźwięk kapiącej wody w toalecie, która ciekła, dopóki się nie szarpnęło za rączkę.

Przynajmniej raz na godzinę zadzwonił telefon, a ponieważ panowała piękna pogoda, wszystkie okna w domu były pootwierane. Słyszała szum ruchu ulicznego oraz głosy rozmawiających przechodniów.

Mogła mieć ponownie dziesięć lat, siedzieć po turecku na łóżku swojej siostry, gdy Bella stroiła się na wieczorne wyjście.

- Mam jeszcze tyle do zrobienia. - Bella z wprawą artystki nakładała na powieki całą gamę kolorów. - Nie wiem, jak z tym wszystkim zdążę przed ślubem. Vince mówi, że niepotrzebnie się zamartwiam, ale wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

- I będzie. A twoja suknia jest wspaniała.

- Wiedziałam dokładnie, czego chcę. - Odrzuciła do tyłu pukle olśniewająco jasnych włosów. - Planowałam to przez całe dotychczasowe życie. Pamiętasz, jak bawiłyśmy się w pannę młodą przybraną w stare koronkowe firanki?

- A panną młodą zawsze byłaś ty - odparła z uśmiechem Reena.

- Teraz to już nie jest na niby. Tata był przerażony ceną mojej sukni, ale w końcu w dzień ślubu panna młoda musi być podziwiana. A kto by mnie podziwiał w przecenionym łażu? Chcę olśnić Vince'a. Och, poczekaj, aż sama zobaczysz, jakie mi kupił klejnoty.

- Myślałam, że nałożysz perły Nuni.

- Skądże! Są śliczne, ale staroświeckie. Poza tym nie są prawdziwe. - Otworzyła swoją „szufladę próżności”, wyjęła niewielkie pudełeczko i usiadła z nim na łóżku obok siostry. - Kupił je u renomowanego jubilera.

W środku znajdowały się kolczyki. Lśniły w nich kropelki brylantów, a wzory były tak cudownie filigranowe, jakby je utkały bajkowe pająki.

- Wielki Boże, Bello, czy to prawdziwe brylanty?

- Oczywiście. - Machnęła dłonią tak, że zaśnił na jej palcu pierścienek z pojedynczym kamieniem o kwadratowym szlifie. - Vince nigdy nie kupiłby mi tandety. On ma klasę. Cała jego rodzina ma klasę.

- A nasza nie ma?

- Nie to miałam na myśli - odparła Bella z roztargnieniem, unosząc jeden kolczyk tak, żeby odbijał światło. - Matka Vince'a lata po zakupy do Nowego Jorku i Mediolanu. Mają dwanaścioro służących. Reeno, żebyś zobaczyła dom jego rodziców. To posiadłość. Zatrudniają na stałe dozorców. Jego matka jest dla mnie bardzo miła... mówię już do niej:

Joanne. A w dzień zaślubin zaprowadzi mnie z rana do swojego salonu fryzjerskiego.

- Myślałam, że my... ty, mama, Fran i ja... pójdziemy do Marii.

- Catarino! - Bella uśmiechnęła się łagodnie, poklepała siostrę po dłoni, po czym wstała i włożyła pudeleczek z kolczykami z powrotem do szuflady. - Styl Marii to już nie dla mnie. Będę żoną bardzo ważnego człowieka. Czeka mnie zupełnie odmienny styl życia, inne obowiązki. Żeby im sprostać, muszę mieć odpowiednie fryzury, odpowiednią garderobę, odpowiednie wszystko.

- A kto decyduje, co jest odpowiednie?

- To się po prostu wie. - Wzburzyła dłonią włosy. - Vince ma uroczonego kuzyna. Pomyślałam, że zechcesz, aby dotrzymywał ci towarzystwa na przyjęciu. Sądzę, że by ci się spodobał. Studiuje na Princeton.

- Dziękuję, ale mam chłopaka. Poznasz go na ślubie. Rozmawiałam o tym z mamą.

- Chłopak. - Zapominając na chwilę o swoich przygotowaniach, Bella opadła na łóżko.

- Kiedy, gdzie i jak? Jak się nazywa? Jak wygląda? Mów mi wszystko.

Zaczątki urazy rozwiały się i znów były siostrami, dzielącymi się ze sobą ważnymi sprawami sercowymi.

- Ma na imię Josh. Jest uroczy i ciepły. Zamierza zostać pisarzem. Spotkałam go na uczelni. Widujemy się od kilku miesięcy.

- Miesiące? I nic mi nie powiedziałaś?

- Byłaś raczej zajęta.

- Mimo to. - Bella się nadała. - Czy pochodzi z naszych okolic?

- Nie, wychował się w Ohio. Ale teraz mieszka tutaj. Na lato znalazł sobie pracę w księgarni. Bellu, ja go naprawdę lubię. Spałam z nim. Pięć razy.

- Jezu! - Oczy Belli zrobiły się szerokie jak spodki i aż podskoczyła na łóżku. - Super. I jest w tym dobry? - Zerwała się z łóżka i zamknęła drzwi. - Vince jest w łóżku nadzwyczajny. Potrafi godzinami!

- Jest chyba niezły. - Godzinami? - dziwiła się w duchu Reena. Czy to rzeczywiście możliwe? - Josh jest moim pierwszym mężczyzną.

- Pamiętaj, żeby się zawsze zabezpieczać. Ja zaprzestałam.

- Zaprzestałaś czego?

- Antykoncepcji - szepnęła Bella. - Vince oświadczył, że chce jak najszybciej mieć rodzinę, więc odstawiliśmy pigułki. Ślub jest już tak blisko, że nie ma znaczenia, czy będę już w ciąży. Zrezygnowaliśmy z nich w zeszły weekend, więc może już jestem.

- Boże, Bellu. - Reena była w dużym szoku, że siostra tak raptownie zmienia się z

panny młodej w żonę i matkę. - Nie chcesz przez jakiś czas oswoić się z byciem mężatką?

- Nie potrzebuję na to czasu. - Kiedy się uśmiechnęła, wszystko się w niej rozmarzyło: usta, oczy, głos. - Dobrze wiem, jak będzie. Rewelacyjnie. Ale teraz muszę zająć się sobą. Lada chwila pojawi się tu Vince, a on nie znosi, gdy się spóźniam.

- Bawcie się dobrze.

- Zawsze się dobrze bawimy. - Bella zasiadła przed lustrem, a Reena ruszyła do drzwi. - Zabiera mnie dziś do fantastycznej restauracji. Uważa, że powinnam się trochę rozluźnić i nie myśleć o przygotowaniach do ślubu.

- Z pewnością ma rację. - Opuściła pokój siostry w tej samej chwili, gdy po schodach wchodził brat.

Popatrzył na drzwi pokoju Belli i uśmiechnął się szeroko do Reeny.

- Ciekaw jestem, ile razy powiedziała: „Vince uważa”.

- Nie liczyłam. Ale on chyba naprawdę zwariował na jej punkcie.

- Całe szczęście, bo do tej pory już by sam przez nią zwariował. Wiem tylko jedno. Będę zadowolony, gdy to się już skończy.

Podeszła do brata. Zdażył już ją przerosnąć, więc musiała się wspiąć na palce, żeby pocałować go w policzek.

- Ale będzie ci jej brakowało w sąsiednim pokoju - bardziej stwierdziła, niż spytała.

- Chyba tak.

- Masz jakieś plany na wieczór?

- Na twój pierwszy wieczór w domu? To co ze mnie za brat?

- Najukochańszy.

Poczekala, aż Bella wyjdzie na swoją wytworną kolację, a reszta rodziny zbierze się przy stole w jadalni, żeby stekiem florentine uczcić powrót Reeny z uczelni.

- Mam pewną wiadomość - zaczęła. - Powiedział mi to dzisiaj John i pozwolił, żebym wam przekazała. Pastorelli jest na wolności. Wypuszczono go przed tygodniem.

- Kawał sukinsyna.

- Nie przy stole, Xander - powiedziała odruchowo Bianca. - Czy wiedzą, gdzie przebywa, dokąd się udał?

- Mamo, on już swoje odsiedział. - Miała czas, żeby oswoić się z tą myślą i mówić spokojnie. - John nie sądzi abyśmy mieli powód do obaw, a ja podzielam jego zdanie, Pastorelli nie miał powiązań w sąsiedztwie i nie ma powodów, by tu wracać. Wszystko to się zdarzyło tak dawno.

- I niedawno - mruknął Gib. - Wydaje się, że wczoraj Sądzę jednak, że musimy się z

tym pogodzić. Nie mamy wyboru. Poniósł karę za to, co zrobił. I zniknął już z naszego życia.

- Zgoda, ale nie zaszkodzi przez jakiś czas zachować Czujność - powiedziała Bianca, wzdychając głęboko. - Najlepiej, jeśli powiemy o tym Belli dopiero po ślubie. Wpadłaby w histerię.

- Ona potrafi wpaść w histerię z powodu złamanego paznokcia - wtrącił Xander.

- Właśnie o tym myślę. Skoro już o tym wiemy, musimy zachować pewną ostrożność. Ale, podobnie jak John, musimy wierzyć, że nie ma się czego obawiać. Więc... - Bianca uniosła rękę. —Jedźmy, zanim jedzenie ostygnie.

Bo nie miał sprecyzowanych planów na ten dzień, ale na ogół chętnie się zgadzał na wszystko. Jego kolega stanowił obecnie jedną połówkę spektaklu pod tytułem *Brad i Gammie*. Trwał dopiero pierwszy akt, więc wszyscy byli szczęśliwi. W ramach szerzenia tego szczęścia nowa para zorganizowała podwójną randkę, również dla Bo. Jej czas trwania - cały dzień i wieczór - był jednak trochę niepokojący.

Spore zaangażowanie jak dla Bo.

Co będzie, jeśli nie przypadną sobie do gustu? To się zdarza. Według Cammie była to śliczna dziewczyna, ale w takich sprawach trudno do końca wierzyć kobiecie.

Gdyby nawet wyglądała jak Claudia Schiffer, mogła na przykład okazać się gadułą lub chichotką. A takich bab nie znosił. Albo kompletnie pozbawioną poczucia humoru. Wolałby już chyba szczebiotkę niż taką superpoważną typu: „muszę ocalić ten świat przed nim samym”.

A ponadto wciąż miał przed oczami dziewczynę, której twarz widział zaledwie przez dziesięć sekund i nie znał nawet jej imienia.

Ciupie, ale co robić?

Wiedział też, że to jedna z metod, za pomocą których Brad próbuje ściągnąć go z obłoków na ziemię. Ładna dziewczyna, a przynajmniej miał takie zapewnienie, dzień w wesołym towarzystwie w Inner Harbor nad baltimorską zatoką. Zobaczą akwarium, posłuchają muzyki i pojedzą owoców morza. Pośmieją się. Zgodnie z instrukcjami Cammie nakazał sobie dobry humor.

Ona i Brad zajęli tylne siedzenia auta - oczywiście po to, żeby się migdalić.

Zaparkował i czekał, aż pasażerowie zakończą swoje karesy.

- Wejdziemy tam wszyscy. - Cammie wywinęła się z objęć Brada i sięgnęła po torebkę. - Czekaj nas dobry ubaw! To będzie fantastyczny dzień.

I tym mnie kupiła - pomyślał Bo. Niebieskie niebo, postrzępione obłoki, jasne promienie słońca. Lepiej wyjechać za miasto niż siedzieć samotnie w domu i snuć fantazje na temat jakiejś nieznajomej dziewczyny lub pętać się w warsztacie swojego majstra.

Jego celem był własny warsztat. Kiedy odłoży już dosyć pieniędzy, żeby wynająć dom lub - tu wybiegał fantazją - kupić go na własność, wtedy ziści swoje marzenie. Wyszukuje sobie małą, wygodną szopę, wyposaży ją w stoły do pracy i narzędzia.

Weszli do bloku mieszkalnego - takiego samego jak wszystkie inne budynki otaczające kampus. Z tego typu miejscami pragnął się już rozstać na dobre. Zamierzał na-

mówić Brada, żeby poświęcił część swoich pieniędzy i do spółki z nim kupił jakiś dom do remontu.

- Ona mieszka tu, na parterze - wyjaśniła Cammie i zapukała do jednych z drzwi. - Bo, z pewnością polubisz Mandy. To kapitalna dziewczyna.

Jej szeroki uśmiech przypomniał Bo, dlaczego nie cierpi takich organizowanych randek. Jeśli teraz nie przypadnie mu do gustu jej przyjaciółka, będzie musiał udawać, że ją lubi. W przeciwnym razie Cammie będzie wiercić dziurę w brzuchu Bradowi, a ten z kolei jemu.

Jego obawy zostały jednak częściowo rozproszone, gdy drzwi otworzyła drobna, rudowłosa dziewczyna o wielkich, niebieskich oczach i rozkosznych kształtach zapakowanych w dzinsy oraz obcisły, szary podkoszulek.

Choć opakowanie było ładne, wołał na razie nie oceniać kolczyka w brwiach. Może to i sexy.

- Cześć, Mandy! Brada już znasz.

- Jasne. Cześć, Brad.

W jej mowie pobrzmiwało lekkie seplenienie - i ono też było sexy.

- A to jest Bo. Bowen Goodnight.

- Cześć, Bo. Wezmę tylko torbę i już do was dołączę. Nie wchodźcie do środka, bo jest tu okropny bałagan. - Ze śmiechem wykonała rękami gest przepędzania. - Moja współlokatorka wyjechała wczoraj, żeby spędzić szalony Weekend w Orange County, i w poszukiwaniu sandałów wywróciła mieszkanie do góry nogami. Nie sprzątam, bo to jej działka.

Cały czas paplała, ale w zabawny, sympatyczny sposób. Wyszła z torbą na ramieniu. Na głowie miała czarną czapkę Orioles.

Baseball - pomyślał Bo. A więc istniała jeszcze jakaś nadzieja.

Jak strzała wybiegła z mieszkania, zatrzasnęła drzwi i przesłała chłopakowi przelotny, wesoły uśmiech.

- Mam tu aparat fotograficzny - wyjaśniła, klepiąc dłonią wypchaną torbę. - Jeśli chodzi o robienie zdjęć, potrafię być natrętna. Uprzedzam.

- Mandy jest fantastyczną fotograficzką - wtrąciła Cammie. - Odbywa właśnie staż w „Baltimore Sun”.

- Ciężka praca, żadna płaca i kocham to, Hej, popatrzcie. Zanim Bo zdążył coś powiedzieć, Mandy odwróciła się do nich plecami - w stronę schodzącego po schodach chłopaka. Miał na sobie garnitur i krawat. Sprawiał wrażenie lekko zdenerwowanego.

- Eleganciku - zachichotała. - Coś taki podminowany?
- Idę na ślub - wyjaśnił i podciągnął krawat. - Czy dobrze to zawiązałem?
- Cammie, Brad, Bo. A to Josh. Mój sąsiad z góry, kolega ze studiów i początkujący w wiązaniu krawatów. Daj, to ci go poprawię. Czyj ślub?

- Siostry mojej dziewczyny. Mam przy okazji poznać całą jej rodzinę. Na tę myśl robi mi się trochę słabo.

- Ooo, to wyzwanie. - Poprawiła mu krawat i wygładziła klapy marynarki. - Teraz wyglądasz super. Ale niczym się nie przejmuj, złotko. Na ślubach albo wszyscy płaczą, albo się upijają.

- To w większości Włosi.

- Więc będą robić jedno i drugie. Wesela Włochów to zawsze szampańska zabawa. Po prostu podnoś szklankę i mów... jak to? *Salute!*

- *Salute.* Zapamiętam. Miło było was spotkać. Do zobaczenia.

- On jest słodki - stwierdziła Mandy, gdy Josh poszedł. - Prawie cały ubiegły trymestr kursu z literatury spotykał się z tą dziewczyną. Widać, że w końcu coś z tego wyszło. - Poprawiła czapkę. - No to chodźmy popatrzeć na te wielkie ryby.

Bella mówiła, że ma być rewelacyjnie, i - zdaniem Reeny - jej marzenie się spełniło. Pogoda była wspaniała: balsamiczny błękit i złoto wczesnego lata. Cudowne, różnobarwne, delikatne kwiaty i na szczęście niska wilgotność.

Panna młoda, w zwiewnej, białej sukni, przypominała księżniczkę. Jej złociste włosy lśniły pod lśniącym klejnotami welonem. W rękach trzymała przepiękny bukiet z różowych róż i miniaturowych białych lilii.

Kościół udekorowano wielkimi bukietami kwiatów w białych koszach. Bella zrezygnowała z tradycyjnych organów na rzecz harfy, fletów, wiolonczeli i skrzypiec. Reena musiała przyznać, iż muzyka brzmiała cudownie.

I z klasą.

Żadnych koronkowych zasłon i bukietów sztucznych kwiatów - myślała Reena. Czują klucie pod powiekami i gorąco w gardle. Isabella Hale posuwała się nawą główną kościoła Świętego Leonarda wsparta na ramieniu ojca, wyglądając jak królowa. Tren spływał za nią niczym połyskliwa, biała rzeka, twarz płonęła, brylanty w uszach rzucały oślepiające blaski.

Wszystko dookoła było urzeczywistnieniem życzenia Belli - pomyślała Reena. Vince, przystojny i elegancki w wytwornym garniturze, wydawał się nią olśniony.

Nie odrywał od Belli głębokich, ciemnych oczu, które błyszczały, gdy patrzył na jej twarz. Zwilgotniały, kiedy delikatnie uniósł welon córki, pocałował ją lekko w policzek i

czułym głosem odpowiedział na pytanie kapłana, kto daje temu mężczyźnie tę kobietę:

- Jej matka i ja.

Pierwszy raz Bella nie szlochała. Przez całą mszę i ceremonię zaślubin miała oczy suche i jaśniejące jak gwiazdy. Jej głos był czysty jak srebro.

To dlatego, że dokładnie wie, czego chce - pomyślała Reena. Czego zawsze pragnęła. Tak jak wie, że jest na świeczniku i wszystkie oczy są na nią zwrócone.

To nieważne, że w sukni druhny niezbyt jej do twarzy. Uświadomiła sobie istnienie jeszcze jednego rodzaju ognia. Mocnego, jasnego i gorącego. Było to szczęście jej siostry wypełniające atmosferę swym żarem.

I to Reena płakała podczas składania przysięgi małżeńskiej i wymiany obrączek, oznaczało to bowiem dla nich koniec pewnego etapu w życiu, a przed Bella otwierał się całkiem nowy świat.

Przyjęcie weselne odbyło się w klubie sportowym rodziców Vince'a, gdzie jego ojciec wchodził w skład rady nadzorczej. Tam również było wiele kwiatów oraz pod dostatkiem jedzenia, wina i muzyki.

Każdy stół przykryto obrusem tej samej różowej barwy jak kwiaty, z którymi Bella składała swój podpis, posypano go płatkami białych róż, a pośrodku umieszczono więcej kwiatów i kandelabry ze śnieżnobiałymi świecami.

Reenę usadzono przy głównym długim stole dla najbliższej rodziny panny młodej. Była wdzięczna matce, która przewidująco wyznaczyła Joshowi miejsce przy tym samym stoliku co Ginie, która mogła się nim zaopiekować. Była też wdzięczna za to, że Fran - główna druhna - i brat Vince'a, który pełnił rolę drużby, mieli wygłaszać tradycyjne toasty.

Reena delektowała się rzadkimi potrawami, prowadziła pogodne, żartobliwe rozmowy z innymi gośćmi i martwiła się o Josha. A gdy rozglądała się po wielkiej sali balowej, zastanawiała się, w jaki to świat trafiła jej siostra.

Jak na wszystkich tego rodzaju przyjęciach obie rodziny wymieszały się ze sobą. Ale gdyby nawet Reena ich nie знаła, potrafiłaby je odróżnić. Klasa pracująca i klasa wyższa. Miejska wspólnota i podmiejscy bogacze.

Nie tylko panna młoda miała na sobie brylanty i suknię, która kosztowała więcej niż tygodniowy dochód z Sirico's. Ale była jedyną osobą z rodziny, którą było na to stać.

Być może też - przyznała Reena - jedyną z rodziny, która potrafiła nosić ten strój tak, jakby od urodzenia chodziła w ubraniach firmy Prada.

Jakby czytając w jej myślach, Xander pochylił się jej do ucha:

- Jesteśmy teraz ubogimi krewnymi - szepnął. Reena parsknęła i sięgnęła po kieliszek

z szampanem.

- Chrzanić to. *Saiute*.

Kiedy już mogła odejść od stołu i odnalazła Josha, wszystko stało się łatwiejsze.

- Jak się bawisz? Jestem już wolna, w każdym razie chwilowo.

- Doskonale. Wesele co się zowie.

- To prawda - przyznała. - Nie spodziewałam się, że fotograf zabierze nam tyle czasu.

Czuję się, jakbym cię zdradziła. I chcę cię ostrzec, że...

- Catarino! - Ciotka Carmela wzięła ją w objęcia, otaczając chmurą white shoulders. - Wyglądasz cudownie. Jakbyś sama była panną młodą. Ależ schudłaś! Ale skoro jesteś już w domu, szybko cię podtuczemy. Kim jest ten przystojny, młody człowiek?

- Ciociu Carmelo, to Josh Bolton. Josh, to moja ciocia, Carmela Sirico.

- Miło mi panią poznać, pani Sirico.

- I jaki uprzejmy! Mamy dziś wesele, więc wystarczy Carmela. - Objęła Reenę mocno.

- Moja siostrzenica wygląda dziś ślicznie, prawda?

- Oczywiście, proszę pani, ona...

- Francesca jest piękna, a Isabella ma styl i charakter. Naszą Catarinę natomiast należy uznać za bardzo bystrą. Czy nie tak, *cara*?

- To prawda. Mam trochę rozumu.

- Ale dziś wyglądasz ślicznie! Może to da coś do myślenia temu młodemu człowiekowi, jeśli złapiesz bukiet. - Mrugnęła porozumiewawczo i zwróciła się do Josha: - Czy znam pana rodzinę?

- Nie znasz, ciociu - szybko wtrąciła Reena. - To mój kolega ze studiów. Muszę go wszystkim przedstawić.

- Oczywiście, oczywiście. Ale proszę, młody człowieku, żebyś zarezerwował i dla mnie jeden taniec - powiedziała do Josha, którego Reena ciągnęła już dalej.

- Przed tym właśnie zamierzałam cię ostrzec - odezwała się. - Czeka cię wiele podobnych rozmów. Z jakiej pochodzisz rodziny, czym się zajmują twoi rodzice, co robisz ty, do jakiego Kościoła należysz. Każdy członek mojej rodziny uważa, że to jego sprawa i powinien wszystko o tobie wiedzieć. Nie bierz tych pytań zbyt osobiście.

- W porządku. Gina udzieliła mi już kilku rad. To trochę przerażające, ale jakoś sobie poradzę. A ty naprawdę wyglądasz dziś ślicznie. Nigdy też nie brałam udziału w wielkiej katolickiej ceremonii ślubnej. Robi wrażenie.

- I ciągnie się w nieskończoność - dodała ze śmiechem dziewczyna. - A teraz zamierzam przedstawić cię moim wujom i reszcie ciotek. Trzymaj się dzielnie.

Przyjęcie trwało i wszystko było w porządku. Josha zasypywano gradem pytań, ale wywiązywało się przy tym tyle pogawędek, że zdążył odpowiedzieć ledwie na ich połowę.

Muzyka była urozmaicona, dla każdego coś miłego - od Deana Martina po Madonnę. W końcu przyszła kolej, żeby Reena zatańczyła z panem młodym.

- Nigdy nie widziałam mojej siostry bardziej szczęśliwej. Ceremonia była cudowna, Vince. Wszystko jest piękne - powiedziała.

- A ona się codziennie zamartwiała. Ale taka już jest nasza Bella.

Poruszał się tak zgrabnie po parkiecie, całą uwagę bez reszty skupiając na jej twarzy, że Reena była przekonana, iż musiał brać lekcje - tańca i wdzięku.

- Teraz rozpoczniemy wspólne życie, stworzymy dom, rodzinę. A zaraz po powrocie z podróży poślubnej, gdy już się jako tako urządzimy, zaprosimy cię na kolację.

- Przyjdę na pewno.

- Jestem szczęśliwcem, że mam taką piękną żonę, tak czarującą kobietę. Poza tym doskonale gotuje. - Roześmiał się i pocałował Reenę w policzek. - A w dodatku mam nową siostrę.

- A ja nowego brata. *Una famiglia.*

- *Una famiglia.* - Uśmiechnął się i okręcił ją na parkiecie.

Później, przytulona w łóżku do Josha, rozmyślała o dniu tak długo oczekiwany przez siostrę. Podniosła ceremonia, uroczyste słowa, przepiękne kwiaty. Początkowo oficjalna atmosfera na przyjęciu, które na szczęście przerodziło się potem w radosną zabawę.

- Powiedz mi, czy moja ciotka Rosa naprawdę zatańczyła *Electric Slide*?

- Nie pamiętam, która to Rosa, ale chyba tak. A może to było *Hokey Pokey*.

- Nie, to odtańczyły moje dalekie kuzynki, Lena i Maria - Theresa. Jezu!

- Mnie się podobały tańce, zwłaszcza tarenbella.

- Tarantela - poprawiła, chichocząc. - Bardzo szybko się nauczyłeś, a to nie jest łatwe. Zarobiłeś dużo punktów.

- Bawiłem się wyśmienicie. Naprawdę. Twoja rodzina jest wspaniała.

- Poza tym duża i hałaśliwa. Wydaje mi się, że rodzina Vince'a była trochę zbulwersowana, zwłaszcza gdy wujek Larry chwycił mikrofon i zaczął wyśpiewywać *That's A more*.

- Głos miał wspaniały. Mnie się bardziej podoba twoja rodzina. Jego jest raczej snobistyczna. Ale Vince jest OK - dodał pośpiesznie. - I zakochany w twojej siostrze po uszy. Wyglądali jak bohaterowie filmu.

- To prawda.

- A twoja mama. Czy to w porządku, jeśli powiem, że jest naprawdę piękną kobietą? Zupełnie nie wygląda na mamę. W mojej rodzinie nigdy nie było takich uroczystości. Wasza bardzo mi się podobała.

Obróciła się na bok i uśmiechnęła.

- W takim razie wpadniesz do nas jutro na kolację? Mama cię zaprasza. Zobaczysz, jacy jesteśmy na co dzień, bez uroczystych strojów.

- Jasne. Może jednak zostaniesz na noc? Mój współlokator wraca dopiero jutro wieczorem. Moglibyśmy gdzieś wyjść albo spędzić dzień w domu.

- Chciałabym, ale nie mogę. - Pochyliła głowę i pocałowała go w tors. Skórę miał gładką i ciepłą. - Naprawdę. Gdybym nie wróciła na noc do domu, ojcu byłoby bardzo przykro. I tak jest smutny. W dodatku ludzie nieustannie go wypytywali, kiedy powtórzy to wszystko dla Fran.

- Sama popchnęłaś ją w stronę wiązanki ślubnej, rzuconej przez Bellę między gości.

- Refleks. - Reena ponownie się roześmiała i usiadła, odrzucając włosy na plecy. - Dzisiejszego wieczoru chcę zająć czymś tatę. W przeciwnym razie będzie nieustannie rozmyślał o nocy poślubnej Belli i gubił się w domysłach. - Dotknęła policzka Josha. - Cieszę się, że miło spędziłeś dzień.

Usiadł i przytulił dziewczynę w taki sposób, iż Reena poczuła ciepło w sercu.

- Kiedy jesteś blisko mnie, zawsze się dobrze bawię. Ubrała się i poprawiła makijaż. Nie chciała pokazywać się w domu, wyglądając, jakby przed chwilą wyszła z czyjś łóżka. W drzwiach Josh przytulił ją mocno do siebie i jeszcze kilka razy długo całował.

- Może w następny wolny dzień gdzieś się wybierzemy? Choćby na plażę.

- Bardzo bym chciała. Do zobaczenia jutro. - Wyszła z mieszkania, po czym odwróciła się, przytuliła Josha i jeszcze raz mocno pocałowała. - To musi mi wystarczyć.

Zbiegła po schodach tanecznym krokiem i pogrążyła się w wieczornym upale.

Bo wjechał na parking w chwili, kiedy Reena wkładała kluczyk do stacyjki.

Przedtem odwiózł Brada i Cammie do jej mieszkania. Dzień im się udał - pomyślał - był nawet obiecujący. Mandy mu się spodobała. Tej dziewczyny nie dawało się nie lubić. Była wprawdzie upierdliwa ze swoim aparatem, ale to śmieszyło Bo, a nawet robiło na nim wrażenie.

- Będę musiał kiedyś obejrzeć te sześć milionów zdjęć, które dziś zrobiłaś - oświadczył, gdy wysiedli z samochodu.

- Z pewnością cię to nie ominie. Tak samo naprzykrzam się ludziom odbitkami jak obiektywem. Fajnie było. Cieszę się, że Cam mnie na to namówiła. A mówiąc to, po-

twierdzam, że mój język jest szybszy niż rozum.

- W porządku. Mnie też namówiono na dzisiejszą eskapadę. Bałem się, że jeśli uznam ją za koszmar, będę to Bradowi wypominać przez lata. Ale muszę znaleźć na niego inny haczyk. Mogę do ciebie zadzwonić?

- Oczywiście. - Wyciągnęła z kieszeni kawałek papieru. - Już wcześniej napisałam swój numer. Gdybyś sam o niego nie poprosił, zamierzałam wsunąć ci to do kieszeni, robiąc dokładnie tak.

Chwyliła go obiema rękami za koszulę, szarpnęła i wspięła się na palce. Pocałunek był namiętny i niósł wiele obietnic.

- Miłe. - Potarła wargę o wargę. - Wiesz, jeśli między nami coś się wydarzy, oni będą nam to wypominać.

- Cóż, w życiu trzeba ryzykować. - Zdecydował, że kolczyk w brwiach Mandy jest sexy. - Może do ciebie wstąpię?

- Kusząca propozycja. Nawet bardzo. Myślę jednak, że powinniśmy z tym poczekać. - Otworzyła drzwi od mieszkania i przekroczyła próg. - Zadzwoń do mnie.

Bo wsunął kartkę z numerem telefonu do kieszeni i uśmiechnięty ruszył w stronę swojego samochodu.

Josh miał przed sobą wolny wieczór. Nie było współlokatora puszczonego dudniącą muzykę, więc zasiadł do pisania. Przyszedł mu do głowy pomysł na krótkie opowiadanie związane z weselem.

Chciał zapisać jak najwięcej, zanim jego impresje, których było tak wiele, popłaczą się lub zaczną zacierać w pamięci.

Wcześniej bardzo chciał, aby Reena została na noc, ale teraz był nawet zadowolony, że pojechała do domu. Miał mieszkanie tylko dla siebie, mógł sobie wszystko dokładnie przemyśleć i solidnie popracować.

Szybko napisał ogólny szkic opowiadania, gdy pracę przerwało mu pukanie do drzwi. Ciągle jeszcze rozmyślając o swoim pisaniu, poszedł otworzyć drzwi. Wychylił głowę na klatkę schodową.

- W czym mogę pomóc? - zapytał uprzejmie.

- Jestem sąsiadem z góry. Czy słyszał pan... o, znów tam jest...

Josh instynktownie spojrzał w stronę wskazaną przez gościa. I nagle głowa eksplodowała mu bólem, a przed oczami rozkwitła czerwień.

Zanim zdążył upaść na podłogę, ktoś zatrzasnęła drzwi.

Chudzielec. Łatwo było zaciągnąć go do sypialni. Po uderzeniu skarpetą wypełnioną

ćwierćdolarówkami zostanie zapewne ślad. Może nawet to później odkryją. Zostaw go na podłodze, żeby wyglądało, jakby uderzył głową, staczając się z łóżka.

Zrób to prosto i szybko. Zapal papierosa, wytrzymaj i wsuń na chwilę w martwe usta tego dupka. Na wszelki wypadek. Odcisnij jego palce na paczce papierosów i pudełku z zapalkami. Na wszelki wypadek. Teraz połóż zapalonego papierosa na łóżku, na pościeli, Tu się dobrze tli. Dodaj trochę papieru - notatek studencika. Zostaw paczkę papierosów i zapalki.

A teraz do kuchni po piwo. Trzeba się pokrzącić, zanim się rozpali.

To dopiero frajda patrzeć, jak się rodzi ogień. Najcudowniejszy widok na świecie. Władza to najlepszy narkotyk.

Ogień się tli Ogień pomyka. Przebiegły i sprytny. Rośnie i rośnie, cichutko i sekretnie, aż rozbłyśnie pierwszy płomyk.

Rękawiczki na dłonie. Wyjmij baterie z detektora dymu. Ludzie są tacy nieostrożni. Po prostu zapomnieli je włożyć. Aż wstyd.

Chłopak mógł dojść do siebie. Jeśli tak się stanie, walnij go ponownie.

. Mam nadzieję, że odzyska świadomość. No, chudy sukinkocie, oprzytomniej, a znów ci przywalę.

Czekaj w gotowości. Patrz na dym - seksowny, milczący, zabójczy. On wszystko pochłania. Oglusza i otumania. Papier zaczyna się tlić. fest ogień.

Pierwszy płomień to potęga. Słuchaj jego mowy i szeptu. Patrz, jak się porusza, jak tańczy.

A teraz pościel. Dobrze, ślicznie się zajęta. Ściągnij prześcieradło i zarzuć na tego dupka.

Cudownie! Popatrz na te kolory. Złoto i czerwień. Pomarańcz i żółć.

Spójrz tylko, jak to wygląda: Palił w łóżku i zasnął. Zaczął go dławić dym, próbował zeskoczyć, upadł, uderzył głową o podłogę. Ogień dopadł go nieprzytomnego.

Łóżko już się pali. Pięknie, czyż to nie cudowny widok? jeszcze trochę papieru nie zaszkodzi. Zajęła mu się koszula. O to chodzi!

Szybciej. Szybciej. Trwa to tak cholernie długo. Napij się piwa, to cię ochłodzi. Kto mógł wiedzieć, że chudy sukinkot będzie się lak palił? Teraz zajmuje się dywan. Tak to jest, jak się kupuje tanio!

Tost - oto czym jest. Pierdzielonym tostem. Śmierdzi jak pieczony wieprzak.

Lepiej już iść. Szkoda wychodzić, tracić takie widowisko. To niesamowite - tak słuchać i patrzeć, jak skwierczy i topi się ludzkie ciało, gdy pożera je ogień.

Ale czas już powiedzieć do widzenia temu durnemu studencikowi. Powoli, wychodź

spokojnie. Sprawdź korytarz. Taka szkoda, że nie możesz zostać i jeszcze popatrzeć. Ale trzeba iść. Idź powoli, niespiesznie. Nie oglądaj się za siebie. Cicho i spokojnie, bez strachu.

Odjeżdżaj. Zachowuj odpowiednią prędkość jak każdy szanujący prawo sukinsyn.

Jak go znajdą, będzie już grzanką.

A to zabawa!

Bo obudził się z kacem. W głowie huczały mu dzwony katedralne. Leżał na brzuchu w pościeli cuchnącej gorzej niż skarpety po treningu. Był w tak żalonym stanie, że rozważał możliwość pozostania w tej pozycji i wachania tego smrodu do końca swego żywota.

To nie jego wina, iż po odstawieniu Mandy i powrocie do domu natknął się u sąsiada mieszkającego piętro niżej na huczną zabawę. Grzeczność nakazywała tam zajrzeć, a potem zostać na resztę sobotniego wieczora.

Ponieważ mieszkał zaledwie piętro wyżej, nie widział powodów, dla których nie miałyby się napić kilku piw.

Ale już jego winą było — jak sam przyznał, gdy trochę przestała go boleć głowa - że pozostał na imprezie do drugiej nad ranem i wypił cały sześciopak piwa.

Z drugiej strony nie powinien się aż tak bardzo kajać, ponieważ ten napój tam był, a do tego jeszcze chipsy *nachos*. A co można robić, jedząc *nachos*, jak nie popijać je piwem?

Całym morzem piwa.

Miał aspirynę. Chyba. Gdzieś. Och, gdyby tylko istniał jakiś miłosierny Bóg, który wskazałby mu miejsce, gdzie schował buteleczkę z advilem. Doczołgałby się tam osobiście, gdyby tylko wiedział, gdzie ma powlec swoje nieszczęsne, zmaltretowane ciało.

I dlaczego nie zaciągnął zasłon w oknie? Czemu ten miłosierny Bóg nie zgasił światła słonecznego, żeby nie raziło jego obolałych oczu niczym rozpalony do czerwoności piec?

Dlatego, że oddawał cześć Bachusowi. Złamał przykazanie i składał hołdy fałszywemu, pienistemu bożkowi piwa. A teraz odbywa pokutę.

Przypomniał sobie, iż aspiryna, która w tej chwili decydowała o jego losach, powinna się znajdować w kuchni. Modlił się w duchu, żeby tak było, gdy zasłaniając dłonią oczy, gramolił się z łóżka. Zajęczał żałośnie. Jęk przeszedł w pełen rozpaczny krzyk, gdy potknął się o własne buty i upadł twarzą na podłogę.

Nie miał już nawet siły zaskomleć, a co dopiero zakląć.

Dźwignął się na ręce i kolana. Stojąc chwiejnie na czworakach, zanosił modły i czekał, aż wróci mu oddech. Nigdy więcej - przysięgał w duchu. Gdyby miał nóż, utoczyłby własnej krwi i wypisał tę przysięgę na podłodze. Zdołał się w końcu podnieść na nogi. W głowie mu wirowało, żołądek podchodził do gardła. Miał tylko nadzieję, że nie zwymiotuje na własne stopy. Wolał już ból.

Na szczęście jego mieszkanie miało rozmiary przyczepy kempingowej i kuchenka znajdowała się zaledwie kilka kroków od rozkładanej kanapy. W kuchni coś śmierdziało jak

zdechły szczur. No, po prostu super! Zignorował zlew pełen naczyń oraz blat zastawiony niewyrzuconymi pudełkami po jedzeniu na wynos i zaczął grzebać w szafkach.

Gówniane drewno - pomyślał jak zwykle. Gorsze niż plastik. W środku były pootwierane pudełka różnych płatków i chrupek śniadaniowych. Także karton kwaśnej śmietany, frytki cebulowe, cztery pudełka makaronu z serem, ciastka w czekoladzie, puszki z różnymi zupami i czekoladowy sernik z malinami.

Tam też, między pudełkami płatków, stał advil. Dzięki Ci, Jezu.

Po ostatnim kacu już pozbył się zakrętki, więc teraz wystarczyło tylko wysypać na lepką od potu dłoń trzy małe pigułki. Wrzucił je do ust i odkręcił kran, lecz z powodu piętrzących się w zlewie naczyń nie mieściła mu się pod nim głowa. Nabrał wody w dłoń i popił nią tabletki.

Zakrzusił się, kiedy jedna utkwiała mu w gardle. Dowłókł się do lodówki i wyjął z niej butelkę napoju Gatorade. Pił, opierając się chwiejnie o blat kuchenny.

Lawirując między stosami ubrań, butów, głupich kluczy i wszystkiego innego, co cisnął na podłogę, powłókł się do łazienki.

Oparł się rękami o umywalkę i zbierał się na odwagę. Podniósł głowę i przejrzał się w lustrze.

Jego włosy wyglądały, jakby tarzał się w nich zdechły szczur z kuchni. Cerę miał ziemistoblada, oczy tak nabiegłe krwią, iż przez chwilę zastanawiał się, czy reszta ciała ma jej choć odrobinę.

W porządku, Goodnight, głupi sukinsynu. Powinieneś się poprawić.

Odkręcił prysznic i wszedł pod kłujący strumień wody. Wznosząc oczy do sufitu, ściągnął bokserki i jedną skarpetkę, którą jeszcze miał na nodze. Pochylił się do przodu tak, że woda zaczęła spływać mu strumieniem na włosy.

Zamierzał się wziąć za generalne porządki. Zacznie od sprzątania chałupy. Co innego ze względów oszczędnościowych mieszkać w gównianym, maleńkim mieszkaniu, a co innego zapuścić je w cuchnący śmietnik, bo nie chciało mu się o nie zadbać.

Nie dało się tak żyć i bardzo chciał się już ustatkować. Dość miał zarzynania się przez cały tydzień, a potem odprężania się piwem do tego stopnia, że w niedzielę to odchorowywał.

Czas coś zrobić.

Kąpiel pod prysznicem, wymycie z ust niesmaku po balandze oraz wmuszenie w siebie lekkiego posiłku, który pozostałby w żołądku, zajęły godzinę. Włożył stary dres i zaczął od sprzątania saloniku.

Zebrał stos brudnej odzieży. Kto by pomyślał, że ma aż tyle ubrań? Ściągnął z łóżka

odrażającą pościel i w pierwszej chwili zamierzał ją spalić. Ostatecznie jednak oszczędna natura kazała mu użyć prześcieradeł do zawinięcia pozostałych ubrań i ręczników. Spoglądając na pokaźne pakunki, doszedł do wniosku, że dużą część niedzieli przyjdzie mu spędzić w pralni automatycznej.

Teraz wyciągnął najbardziej zniszczony ręcznik i podarł go na części. Jedną z nich odkurzył drewniany stolik. Sam go zrobił, nieźle mu wyszło, a proszę, jak traktował własne dzieło!

Wyjął z szafki zapasowe prześcieradła, ale raz je powąchał i odrzucił do brudów.

Wkroczył do kuchni, gdzie - jak się okazało - miał płyn do mycia naczyń i nieotwarte opakowanie proszku Mr. Clean. Załadował worki śmieciami, przy okazji stwierdzając, że nie ma żadnego zdechłego szczura, tylko straszliwie stare opakowanie zepsutej wieprzowiny w sosie słodkokuśnym. Wlał do zlewu detergent. Po chwili namysłu jeszcze raz przechylił butelkę ze środkiem czystości. Naczynia były odrażająco brudne.

Stanął nad zlewem w rozkroku jak rewolwerowiec i zaczął zmywać gary w obfitej pianie.

Kiedy już oskrobał z brudu blaty kuchenne i ułożył na nich czyste naczynia, poczuł się prawie normalnie.

Dobrze mu szło, więc opróżnił jeszcze lodówkę i wyczyścił jej wnętrze. Gdy otworzył piekarnik kuchenki, znalazł w środku pudełko, a w nim resztki czegoś, co w zamierzonych czasach było zapewne pizzą hawajską.

- Boże, ale ze mnie świnia!

Zastanawiał się, gdzie wypożyczyć ubranie ochronne, zanim zabierze się za łazienkę.

Prawie w cztery godziny po tym, jak z trudem zwałował się z łóżka, miał już w plastikowym koszu dwa pakunki bielizny do prania, trzy duże worki ze wszelkiej maści śmieciami oraz czyste mieszkanie.

Trzeba teraz silnego mężczyzny, żeby zanieść taki ciężar na śmietnik.

Po powrocie na górę ściągnął z siebie brudne ubranie, dorzucił je do prania, a sam włożył najczystsze dżinsy i najmniej wyzywający podkoszulek.

Pozbierał bilon rozsypany na łóżku, pod łóżkiem i na swoim jedynym krześle oraz powymnował z kieszeni ubrań. Włożył okulary słoneczne, o których myślał, że dawno już je gdzieś zgubił. Zabrał klucze.

Kiedy brał do ręki kosz z brudną bielizną, ktoś zastukał do drzwi.

W progu pojawił się Brad.

- Hej, próbowałem się dodzwonić... - Zamilkł, łapiąc powietrze. - Co, do licha!

Czyżbym wkroczył do alternatywnego wszechświata?

- Zrobiłem małe sprzątanko.

- Małe? Chłopie, tu wreszcie może żyć człowiek. Masz nawet krzesło.

- Zawsze je miałem. Tylko zawalone ciuchami. A teraz idę do pralni. Chcesz się do mnie przyłączyć?. Można tam czasem spotkać fajne laski.

- Na pewno. Ale posłuchaj, próbowałem się do ciebie dodzwonić już kilka godzin temu, ale telefon wciąż był zajęty.

- W nocy musiałem stracić z widełek słuchawkę. Co się stało?

- Wielkie gównno. - Brad wszedł do kuchni, chwilę stał jak skamieniały, po czym wyciągnął z lodówki colę. - W nocy w domu Mandy wybuchł pożar.

- Pożar? Jezu, jaki pożar? Nic się jej nie stało?

- Jej nic. Jest tylko wstrząśnięta. Przyszła do Cammie. Zostawiłem je. Myślę, że musi ochłonać. Wiesz, mówiono o tym w telewizji.

- Nie włączałem telewizora. Sprzątałem jak wszyscy diabli i tylko na tym się skupiłem. Duży był ten pożar?

- Bardzo duży. - Brad opadł na krzesło. - Wybuchł w mieszkaniu piętro wyżej. Mówią, że gospodarz palił w łóżku. - Przeciągnął dłonią po twarzy, a następnie wsunął palce pod okulary i przycisnął do oczu.

- Jezu! Bo, chłopak nie żyje. Spalił się z prawie całym mieszkaniem. Spłonęły też prawie wszystkie lokale na pierwszym piętrze i kilka na drugim. Mandy uciekła. Pozwolili jej wynieść trochę rzeczy, ale jest zrujnowana. To był ten chłopak z krawatem. O, Josh. Pamiętasz, ten z piętra wyżej?

- Boże, on nie żyje? - Bo bezwładnie opadł na kanapę.

- To było straszne. Mandy nie jest w stanie o tym mówić. Zginął ten chłopak, a kilka innych osób, poparzonych lub zczadzonych, zabrano do szpitala. Mandy twierdzi, że pożar musiał wybuchnąć tuż po twoim odejściu. Była jeszcze na nogach i oglądała coś w telewizji, gdy usłyszała krzyki ludzi i włączyły się alarmy dymne.

- Wybierał się na czyjeś wesele - mruknął Bo. - Miał źle zawiązany krawat.

- A teraz nie żyje. - Brad pociągnął z puszką potężny łyk coli. - Czy myślimy, czy zdajemy sobie sprawę z tego, jak krótka może być ta podróż?

- Tak. - Bo wciąż miał przed oczami chłopaka, który zginął w pożarze, jak stał w garniturze i uśmiechał się z zażenowaniem. - Tak, to skłania do myślenia.

W niedzielne popołudnia ruch w pizzerii malał. Trochę klientów tradycyjnie wstępowało na posiłek, wracając z mszy, lecz większość szła na niedzielny obiad do domu.

Dziś popołudniowy dyżur pełnili Reena, Xander, Mia, młodziutka kuzynka Pete'a zatrudniona jako kelnerka, oraz Nick Casto pracujący w dostawach domowych i na zmywaku.

Z radia stereo płynęła muzyka Tony'ego Bennetta, gdyż lubiła go niedzielna klientela, lecz przygotowujący przy wielkim stole pizzę i calzone Xander miał na uszach słuchawki, w których grali mu Pearl Jam.

Dla Reeny obsługa kuchni przy niedużym ruchu, gdy mogła od czasu do czasu wyjść do sali i obsługiwać stoliki, jak to robił ojciec, była czystą przyjemnością.

Oczywiście, że to domena Fran, ale Reena zawsze tu poświęci trochę swojego czasu. Gdyby nie mieli na wieczór zaproszonego gościa, po zakończeniu zmiany wyszliby z Xandrem przejść się i obejrzeć turniej *boccie* lub pograć w piłkę z grupą znajomych.

Jednak dziś spodziewali się gościa - i był nim chłopak Reeny - więc wróci do domu i pomoże мамie w kolacji.

Za dwie godziny nakryje stół obrusem, na którym ustawi gościnny komplet naczyń. Mama ma zrobić kurczaka w rozmarynie z *prosciutto*, a na deser *tiramisu*.

W domu stały kwiaty z wesela Belli.

Josh z pewnością będzie skrupowany - pomyślała, nakładając na talerz risotto. Ale tym już zajmie się jej rodzina. A Fran poprosi, żeby podpytała chłopaka trochę o jego pisanie.

Siostra była świetna w skłanianiu ludzi do wynurzeń.

Nucąc pod nosem do wtóru Bennettowi, Reena osobiście zaniósła do stolika zamówione potrawy.

- A więc twoja siostra jest już mężatką.

- Tak jest, pani Giambrisco.

Kobieta skinęła głową i popatrzyła na męża, który już zaczął z apetytem wcinać risotto.

- Słyszałam, że złapała bogatego męża. Równie łatwo zakochać się w bogaczu, jak i w biedaku.

- Być może, - Reena zastanawiała się, jak to jest zakochać się w ogóle. Może właśnie zakochuje się w Joshu i o tym nie wie.

- I zapamiętaj sobie... - Kobieta pomachała w jej stronę widelcem. - Być może chłopcy węższą teraz za twoimi siostrami, ale i twój dzień nadejdzie. Czy mąż twojej siostry ma brata?

- Ma. Ale on jest żonaty, ma dziecko, a drugie w drodze.

- Więc może jakiegoś kuzyna.

- Niech się pani nie martwi, pani Giambrisco! - zawołał od swojego stołu Xander. - Catarina ma już chłopaka, - Przesłał siostrze całusa na odległość. - Przychodzi dziś do nas na

kolację i tata już go dobrze przesłucha.

- I tak być powinno. Czy to Włoch?

- Nie. A na kolację dostanie kurczaka! - odrzyknęła Xandrowi. - I nie będzie żadnych przesłuchań. Życzę państwu smacznego.

Wracając do kuchni, przesłała bratu gromiące spojrzenie, ale w duchu była zadowolona, że stała się przedmiotem żartów na temat jej chłopaka.

Spojrzała na zegar, dopiekła *penne* i właśnie zaczęła nakładać na talerze spaghetti *puttanesca*, gdy do kuchni wbiegła Gina.

- Reeno!

- Czegoś ci jeszcze potrzeba? - Sięgnęła po dzbanek z wodą i zaczęła napełniać szklanki. - Będziemy dziś mieli *zabaglione* mamy, więc trzeba zostawić trochę miejsca.

- Catarino!

Gina chwyciła ją za ramię i siłą odciągnęła od blatu.

- Jezu, o co chodzi? Kończę zmianę za pół godziny.

- A więc nic nie słyszałaś?

- Czego nie słyszałam? - Ale Gina trzymała ją mocno, a oczy miała pełne łez. - Co się stało?! Coś niedobrego?! Coś z twoją babcią?!

- Nie! O Boże, nie! Chodzi o Josha! Och Reeno, to Josh!

- Ale co się stało? - Zaciśnięte na uchwycie dzbanka palce dziewczyny zaczynały drętwieć. - Wydarzyło się coś złego?

- Wybuchł pożar. W jego mieszkaniu, Reeno... Chodźmy na zaplecze.

- Powiedz... - Gwałtownie wyrwała się z uścisku Giny i woda w dzbanku przelała się przez krawędź naczynia, oblewając jej dłoń. - Czy jest ranny? W szpitalu?

- On... Matko Boska, pomoc przybyła za późno, nie zdążyli do niego. On nie żyje!

- Nie, to nie może być prawda! - Wszystko jej się zakółysało przed oczami. Pomalowane na żółto ściany, barwne ryciny i czerwono - białe obrusy zaczęły zataczać powolne koła. W tle Dean Martin śpiewał swoim kremowym barytonem *Volare*.

- On żyje. Dlaczego opowiadasz mi takie okropne rzeczy?

- To był wypadek, okropny wypadek. - Po policzkach Giny spływały grube łzy. - Reeno, och Reeno!

- Mylisz się. Zaszła jakaś pomyłka. Zaraz do niego zadzwonię i sama się przekonasz. Zadzwonię natychmiast.

Kiedy się odwróciła, ujrzała stojącego za sobą Xandra. Pachniał mąką jak ojciec. Brat wziął ją mocno w objęcia.

- Chodź ze mną na zaplecze. Mia, biegnij po Pete'a i powiedz mu, że natychmiast go tu potrzebujemy.

- Nie, puść mnie. Muszę zadzwonić.

- Chodź na zaplecze i usiądź. - Odebrał jej dzbanek, żeby nie upuściła, i podał Mii.

- On przychodzi na kolację. Może nawet już wyszedł, ale duży ruch... - Zaczęła się trząść, a Xander wyprowadził ją na zaplecze.

- Siadaj i rób, co mówię. Gino, czy jesteś pewna tego, co mówisz? To nie żadna pomyłka?

- Dowiedziałam się o tym od Jen. Jej koleżanka mieszka w tym samym domu. Ona, ta koleżanka, ma pokój na końcu tego samego korytarza co Josh. Zabrano ją do szpitala. - Gina otarła kantem dłoni łzy. - Jej nic nie będzie, ale musiała pojechać do szpitala. Josh... Mówią, że pożar wybuchł w jego mieszkaniu. Nikt nie zdołał tam dotrzeć, zanim... Mówili o tym w telewizji. Moja mama słuchała wiadomości.

Usiadła u stóp Reeny i położyła głowę na jej kolanach.

- To straszne, to straszne - powtarzała.

- Kiedy? - Reena spoglądała przed siebie martwym wzrokiem; widziała jedynie szarość, jakby wszystko spowijał dym. - Kiedy to się stało?

- Nie jestem pewna. W nocy.

- Chcę wrócić do domu.

- Zaraz cię odprowadzę. Napij się. - Xander podał jej szklanekę z wodą.

Wzięła od brata naczynie i tępo się w nie wpatrywała.

- Jak? Powiedzieli, jak to się stało?

- Podejrzewają, że zasnął w łóżku z papierosem.

- To nieprawda. On nie pali. To nieprawda.

- Tym będziemy się martwić później. Gino, zadzwoń do mojej mamy. Czy możesz tu zostać do przyścia Pete'a? Reeno, idziemy do domu. Wyjdziemy tyłem.

- On nie pali. Może to wcale nie on? Może się pomylili?

- Dowiemy się. Po powrocie do domu zadzwonimy do Johna. - Xander pomógł siostrze dźwignąć się z krzesła. - No, już idziemy.

Na zewnątrz świeciło gorące czerwcowe słońce. Reena szła jakoś o własnych siłach, stawiała stopę przed stopą, ale zupełnie nie czuła nóg.

Przy rogu dobiegły ją okrzyki bawiących się dzieci.

Z otwartych okien jakiegoś samochodu płynęła hałaśliwa muzyka. Xander mówił coś do niej cicho.

Na zawsze zapamiętała, jak wtedy brat odprowadził ją do domu. Oboje mieli jeszcze na sobie robocze fartuchy, a Xander pachniał mąką. Jaskrawe słońce raziło Reenę w oczy, a chłopak mocno obejmował ją w talii. Kilka małych dziewczynek grało na chodniku w ciupy. Inna siedziała na marmurowych stopniach prowadzących do jednego z domów, pogrążona w ożywionej konwersacji ze swoją lalką Barbie.

Przez otwarte okno płynęły tony *Aidy*; brzmiały niczym łkanie. Ale Reena nie uroniła dotąd jednej łzy. Gina ryczała jak bóbr, a jej oczy były aż do bólu suche.

Z domu wybiegła mama, zostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież. Biegła w stronę córki jak wtedy, gdy dziewczynka spadła z roweru i wykręciła sobie dłoń w nadgarstku.

Kiedy utonęła w mocnym, serdecznym uścisku Bianki, wszystko nagle stało się realne. Stojąc na chodniku w objęciach matki i brata, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Położyli Reenę do łóżka. Matka nie odstępowała jej na krok. Dziewczyna dostała kolejnego ataku płaczu, po czym zapadła w lekki, pełen majaków i koszmarów sen. Kiedy się obudziła, Bianca wciąż przy niej siedziała.

- Czy dzwonił już John? Czy przyjechał?

- Jeszcze nie. - Matka pogłaskała Reenę po włosach. - Powiedział, że zajmie mu to trochę czasu.

- Chcę to zobaczyć. Chcę tam pójść i zobaczyć wszystko na własne oczy.

- A co on o tym myśli? - zapytała łagodnie Bianca.

- Że nie powinnam - odpowiedziała słabym głosem, jakby była obłożnie chora. - Że nikt nie pozwoli mi wejść do środka. Ale...

- Cierpliwości, *cara*. Wiem, jak ci ciężko. Spróbuj jeszcze zasnąć. Cały czas będę przy tobie.

- Nie chcę spać. To mogła być pomyłka.

- Musimy poczekać. Tylko to nam pozostaje. Fran poszła do kościoła zapalić świeczkę i pomodlić się, żebyśmy mogła zostać z tobą.

- Nie mogę się modlić. Żadne słowa nie przychodzą mi do głowy.

- Wiesz najlepiej, że w modlitwie nie chodzi o słowa. Reena pochyliła głowę i dostrzegła w dłoni matki różaniec.

- Ty zawsze znajdujesz odpowiednie słowa.

- Skoro ich potrzebujesz, dołącz do mnie. Odmówmy wspólnie różaniec. - Wsunęła krzyżyk w dłoń córki. Reena głęboko odetchnęła, przeżegnała się i przesunęła palce na pierwszy paciorek.

- „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi”.

Odmawiały różaniec. Cichy głos Bianki mieszał się z głosem córki. Ale Reena nie modliła się o duszę Josha ani o łaskę pogodzenia się z wolą Boga, tylko o to, żeby wszystko okazało się pomyłką. Błagała, aby coś się stało i mogła się przebudzić oraz zobaczyć, że skończył się ów straszliwy sen.

Kiedy do drzwi pokoju podszedł Gib, córka spała z głową na kolanach matki, która nadal trzymając różaniec, cichym głosem śpiewała jej jedną z kołysanek, nuconych w nocy wystraszonym dzieciom.

Jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Bianki, która natychmiast ujrzała smutek malujący się na jego twarzy.

- Przyjechał John. - Zamilkł, gdyż na dźwięk głosu ojca Reena odwróciła głowę. Na jej twarzy rodzice dostrzegli rozpaczliwą nadzieję. - Dziecinko, przysłać go tu, na górę?

- Czy to prawda? - zapytała dziewczyna drżącym głosem.

Gib w milczeniu podszedł do córki i pocałował ją w czoło.

- Zejdę na dół. Zejdę teraz na dół.

John czekał w salonie z Xandrem i Fran. W oczach ojca wyczytała sam smutek, na twarzy Johna malowało się głębokie współczucie. Musiała to jakoś znieść, bo nic innego nie dało się zrobić.

- W jaki sposób... - zaczęła, ale z jej ust wydobył się tylko chrapliwy bełkot. Potrząsnęła głową, żeby nic nie mówił. - Dziękuję. Dziękuję za to, że osobiście do mnie przyszedłeś. Jestem...

- Cicho - powiedział, ujmując ją za dłoń. - Usiądźmy wszyscy.

- Zrobiłam kawę - odezwała się Fran, nalewając ją do filiżanek. - Reeno, dla ciebie mam pepsi. Wiem, że nie lubisz kawy, więc... - Uniosła bezradnie ręce. - Nie wiedziałam, co więcej mogę zrobić.

- Wszystko w porządku. - Bianca podprowadziła córkę do krzesła. - I ty, John, siadaj, proszę. Reena chce dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz.

Mężczyzna przeciągnął kciukiem i palcem wskazującym wzdłuż nosa.

- Rozmawiałem z oficerem dowodzącym akcją, z wezwaną ekipą śledczą, ze strażakami i policjantami. Uważają ten pożar za wypadek. Przyczyną był palący się papieros.

- Ale przecież on nie palił. Czy powiedziałeś im, że wiesz ode mnie, iż Josh był niepalący?

- Reeno, rozważaliśmy to. Ludzie niepalący nałogowo mogą jednak zapalić od czasu do czasu. Może ktoś kiedyś zostawił u niego paczkę.

- Ależ on nigdy nie palił... nigdy nie widziałam go z papierosem.

- Był sam w swoim mieszkaniu, nie znaleźliśmy śladów włamania. Był... Wygląda na to, że siedział lub leżał na łóżku; zapewne coś czytał lub pisał. Wypuścił z palców zapalonego papierosa, który upadł na materac. Tam było źródło zapłonu. Ogień postępował prosto i wyraźnie. Od tłącego się materaca zajęła się pościel. Zapewne się obudził, zdezorientowany i oszołomiony dymem. Spadł lub stoczył Kię z łóżka, kochanie, pociągając za sobą pościel, która zadziałała jak lont. Oczywiście, zwłoki zbada jeszcze dokładnie lekarz sądowy, a śledczy pożarniczy wyrządzi mi przysługę i obejrzy to miejsce jeszcze raz. Ale w tej chwili wszystko wskazuje, że był to tragiczny wypadek.

- Będą go badać na narkotyki. Zrobią analizę na obecność narkotyków lub alkoholu. On nie używał narkotyków, a pił bardzo niedużo. I nie palił. O której godzinie wybuchł pożar?

- Około dwudziestej trzeciej trzydzieści.

- Byłam u niego. W tym mieszkaniu. Wyszłam około dwudziestej drugiej. Pojechałam tam z nim zaraz po weselu. Wybacz, tato, ale kochaliśmy się. Prosił, żebym została u niego na noc, gdyż jego współlokator wyjechał na weekend z miasta. Uważałam jednak, iż powinnam wracać do domu. Gdybym została...

- Skąd możesz wiedzieć, co by się wydarzyło, gdybyś przystała na jego propozycję? - przerwał John. - Przecież nie palisz.

- No nie.

- On o tym dobrze wiedział, więc mógł nie chcieć palić przy tobie.

- Czy obejrzałaś osobiście miejsce wypadku? Czy...

- Reeno, tamten teren nie podlega mojej jurysdykcji. Należy do hrabstwa Prince George i zajmują się nim tamtejsze władze. Ale zrobili mi przysługę i udostępnili zdjęcia, szkice oraz raporty. Doszedłbym do takich samych wniosków jak oni. Kochanie, kiedyś już osobiście zetknęłaś się z podpaleniem i wiesz, iż takie rzeczy się zdarzają. Ale przecież studiujesz te zagadnienia i sama wiesz, że często tego typu tragedie wynikają ze zwykłego przypadku.

- Pastorelli...

- Mieszka w Nowym Jorku. Prosiłem tamtejszą policję, żeby go sprawdziła. Ostatnią noc spędził w Queens, gdzie pracuje jako nocny dozorca. To również policja sprawdziła. Nie zdołałby przyjechać do Marylandu i wrócić do Nowego Jorku, żeby odbić kartę o dwunastej zero sześć. A odbił.

- A więc to... samo się zdarzyło? Dlaczego więc ten fakt pogarsza całą sprawę?

- Bo szukasz wyjaśnień, które wcale nie istnieją.

- Nie. - Dziewczyna popatrzyła na swoje dłonie, czując, że kawałek jej serca odłamuje się i obraca w proch. - Czasami wyjaśnienia różnią się od tych, których szukamy.

Baltimore 1996

Czy to będzie bardzo trudne? Reena okrążyła niewinnie wyglądającą komorę dymową nazywaną labiryntem. Może zyskała niemal mityczną sławę w wydziale, ale w jej sercu nie budziła lęku. Naturalnie, słyszała liczne historie, żarty i ostrzeżenia dotyczące tego, czego doświadczał rekrut zamknięty w tym pudle, ale doprawdy czyż nie była to kwestia zachowania czujności?

Tutaj, w Akademii, odbyła już wiele treningów gaśniczych. Znała wysiłek fizyczny. Wspinała się po drabinach, zjeżdżała po linie - wszystko w pełnym rynsztunku. Pracowała na zmianach. Fakt - to były głównie patrole, lecz brała już udział w dwóch akcjach przy gaszeniu domów mieszkalnych jako sikawkowa.

A obsługa węża strażackiego to nie zajęcie dla osób słabych lub o zajęczym sercu.

Teraz była policjantką i z dumą chodziła w mundurze. Ale jeśli pragnęła zostać inspektorem do spraw podpałek i nosić emblemat tego wydziału, musiała na wylot poznać istotę pożaru. Dopóki nie będzie rzeczywiście umiała robić tego wszystkiego, co strażacy, nie osiągnie celu.

Nie tylko w laboratorium, nie tylko podczas symulacji. Nie zazna spokoju, jeśli nie pozna tego naprawdę.

Jestem w doskonałej formie - przypominała sobie sama. Ciężko pracowała, żeby nabrać siły i mięśni - które pozwolą jej w pełnym ekwipunku pokonać pięć pięter w górę i w dół.

Zasłużyła na ten rytuał, pasujący ją na osobę godną szacunku w oczach ludzi stojących w pierwszej linii walki z ogniem.

- Wiesz, że nie musisz wcale tego robić. Odwróciła się i spojrzała na Johna Mingerę.

- Wiem, ale zrobię to. Dla samej siebie. Tym bardziej że wiem, iż stać mnie na to.

- Idiotyczny sposób spędzania pięknego niedzielnego ranka.

W pewnym stopniu miał rację. Ale to była jej misja i w jakiś sposób, czego nie potrafiła dobrze wytłumaczyć, stanowiła dla niej nagrodę.

- Kiedy już stamtąd wyjdę, słońce nadal będzie świeciło, a ptaki śpiewały. - Tylko ona już będzie inna. W każdym razie miała taką nadzieję. - John, naprawdę nic mi się nie stanie.

- Mam nadzieję, bo w przeciwnym wypadku twoja matka urwałaby mi chyba głowę.

John zmienił pozycję i zaczął się przyglądać labiryntowi. Był już mężczyzną

dobiegającym sześćdziesiątki.

Wokół jego oczu widniały głębokie zmarszczki.

Wierzył w dziewczynę, czuł ojcowską dumę z jej osiągnięć i uporu, z jakim dążyła do swych celów. Ale też bardzo się o nią niepokoił.

- Nigdy w życiu nie spotkałem nikogo, kto trenowałby tak ciężko jak ty.

Lekkie zaskoczenie poprzedziło uśmiech na jej twarzy.

- Miło mi to słyszeć.

- Reena, w ciągu ostatnich jedenastu lat wiele doświadczyłaś. Trening, studia, praca. - Zastanawiał się, czy to coś, co zapaliło się w niej przed jedenastu laty, uaktywniło się w tamten upalny dzień, gdy spłonął chłopak, na którym jej zależało. - Narzuciłaś mordercze tempo.

- Podaj mi jakiś powód, dla którego miałabym zwolnić.

Trudno było wyjawić dwudziestodwuletniej dziewczynie prawdziwą istotę życia, które trzeba nie tylko przeżyć, ale też smakować.

- Jesteś jeszcze bardzo młodziutka, złotko.

- John, poradzę sobie z labiryntem.

- Nie mówię tylko o tym.

- Wiem. - Pocałowała go w policzek. - To była metafora na temat życia, jakie wybrałam. Ale tego właśnie pragnę. Zawsze pragnęłam.

- Cóż, ponosisz wielkie ofiary, żeby osiągnąć swój cel. Ale Reena nie widziała tego w ten sposób. Wakacyjna praca, studia, treningi były jej inwestycją na przyszłość. Do tego dochodziła szybkość działania, przyływ adrenaliny, gdy wkładała mundur lub słyszała, jak ktoś się do niej zwraca: „oficerze Hale”. Z emocji serce waliło jej jak młotem, a rozkoszny dreszcz ścisnął żołądek, kiedy toczyła zaciętą batalię z ogniem.

I to kompletne wyczerpanie, jakie czuła po walce.

Nigdy nie będzie taka jak Fran, zadowolona z prowadzenia restauracji, lub jak Bella, której życie sprowadzało się do uroczystych przyjęć i wydawania wytwornych lunchów.

- John, ale tego mi właśnie potrzeba.

- Tak, wiem to doskonale. - Nie wyjmując rąk z kieszeni, wskazał głową labirynt. - Tam w środku jest nierówno. Nie możesz szarżować.

- Nie będę. To zrobię po wyjściu. Oto idzie dwóch pozeraczy dymu. - Uniosła rękę na powitanie, żałując, że nie pomyślała dziś o makijażu.

Steve Rossi, chłopak o ciemnej karnacji, kręconych włosach i oczach cocker - spaniela, był obiektem coraz gorętszych wzdychań Giny, odkąd Reena poznała ich przed sze-

ściu tygodniami. Jego kompan, postawny, opalony adonis w dżinsach i podkoszulku z napisem *Big Damned Flanvention*, rokował wiele nadziei.

Jadała posiłki z Hugh Fitzgeraldem w zawsze pełnej kuchni strażackiej remizy. Grali w pokera, popijali piwo. Po dłuższym flircie zaprosił ją na pizzę i do kina, a całość sfinalizowali kilkoma namiętnymi pocałunkami.

Mimo to odnosiła wrażenie, że cały czas traktował ją jak kumpla.

Do licha, obładowana ekwipunkiem, w butach roboczych, samej sobie jawiła się tylko jako kumpel.

- Ej - odezwała się do Steve'a. - Coś zrobił z moją współlokatorką?

- Śpi jak dziecko. Nie zdołałem jej ruszyć, żeby tu ze mną przyszła. A zależało ci na tym?

- Jestem gotowa. - Reena spojrzała na Hugh. - Przyszedłeś popatrzeć?

- Skończyłem właśnie służbę, więc pojawiłem się na wypadek, gdyby trzeba cię było reanimować metodą usta - usta.

Roześmiała się i zaczęła się przebierać w strój ochronny. Naciągnęła spodnie i poprawiła szelki.

- Skoro wy dwaj przez to przeszliście, mnie też się uda.

- Nikt w to nie wątpi - zgodził się Hugh. - Jesteś twarda jak wszyscy tutaj.

Nie najzręczniejszy komplement z ust potencjalnego kochanka - pomyślała Reena. Skoro jednak chce się pracować w „męskim klubie”, to w końcu staje się jednym z nich. Zawiązała długie, kręcone włosy w koński ogon i schowała go pod kapturem.

Nie, nigdy nie miała takiej wrodzonej aury kobiecości jak jej siostry, ale - na Boga - przed końcem tego lata zdobędzie certyfikat strażaka.

- Może po zajęciach wpadniemy coś przekąsić - zaproponował Hugh.

Zapięła kurtkę kombinezonu, ciężką w sierpniowym upale, i uniosła wzrok. Jego oczy przypominają tafle jeziora - pomyślała - coś fascynującego pomiędzy błękitem a szarością.

- Jasne. Stawiasz?

- Jeśli pokonasz labirynt. - Pomógł jej podnieść sprzęt i przyjaźnie poklepał po ramieniu. - Skiepcisz się, płacisz sama.

- Zgoda, - Posłała mu uśmiech tak słoneczny jak ten dzień i włożyła maskę oraz kask.

- Sprawdź radio - polecił John.

Skontrolowała radio, ekwipunek i uniosła do góry kciuk.

- Będę cię prowadził - przypomniał. - Pamiętaj o regulacji oddechu. Panika może tylko zaszkodzić.

Nie będzie panikować. To był tylko test, kolejna symulacja. Oddychając spokojnie, czekała na kliknięcie stopera Johna.

- Start!

Panowały grobowe ciemności i upał jak na siódmym poziomie piekieł. To było fantastyczne. Gęsty, ciemny dym wypełniał pomieszczenie, tak że słyszała własny oddech, lekko świszczący za każdym razem, gdy wyciągała tlen z butli. Wzięła namiar, zapamiętała punkty kompasu, po czym szła nieustępliwie i pewnie do przodu, kierując się instynktem. Znalazła drzwi.

Zręcznie się przez nie prześlizgnęła. Poczła już na twarzy pot.

Natknęła się na jakąś przeszkodę. Próbowała ją zbadać uzbrojonymi w rękawice palcami - zlokalizowała niską, wąską wyrwę i wczołgała się pod nią.

W środku mogli być uwięzieni ludzie. To właśnie było celem ćwiczenia. Miała przeszukać „budynek”, odszukać tych, którzy przeżyli, lub ofiary oraz znaleźć drogę powrotu dla siebie. Na tym polegało jej zadanie. Ocalić innych i samej pozostać przy życiu.

Usłyszała głos Johna, obcy i dziwny w tej czarnej dziurze. Pytał o jej samopoczucie.

- Dobrze. Doskonale. Na piątkę.

Wymacała jakąś ścianę, a następnie musiała się precyzyjnie przemieszczać przez wąski otwór. Traciła jednak orientację, więc zatrzymała się, żeby ustalić kierunek.

Powoli, spokojnie - nakazała sobie. Wejść do środka, przejdź przez to i wyjdź.

Ale wokół panowały jedynie ciemność, dym i niewyobrażalny upał.

Poczła, że jest w ślepych zaułku, pierwsze fale strachu podeszły jej do gardła. Wyczuwała to po przyspieszeniu oddechu.

Głos Johna nakazywał jej zachowanie spokoju i skupienie. Panowanie nad oddechem.

Nagle podłoga usunęła jej się spod nóg.

Zakłęła przy uderzeniu, straciła oddech i jej kontrola zmniejszyła się o jedną kreskę.

Była oślepią i przez straszliwą chwilę ogłuszona; w uszach pulsowała jej krew. Po twarzy lały się strumienie potu. Czula, że dźwiga na sobie tysiące kilogramów, a maska dusiła ją jak knebel.

Pogrzebana żywcem - myślała. Jestem pogrzebana żywcem w dymie. Znaleźć ludzi, którzy przeżyli? Nikt nie przeżyje tego dusznego, mrocznego piekła.

Przez chwilę walczyła rozpaczliwie z chęcią, żeby zerwać z siebie cały ten sprzęt i uwolnić się od tego.

- Reeno, panuj nad oddechem. Zwolnij oddech i podaj, jak się czujesz.

Nie mogę. Nie potrafię wykrztusić słowa. Nie była w stanie. Jak w ogóle można to

zrobić? Jak można myśleć, kiedy nic się nie widzi, z trudem łapie powietrze, a każdy mięsień w ciele przeszywa niewyobrażalny ból. Miała ochotę pazurami przedrzeć sobie drogę przez podłogę i ściany do światła, do powietrza.

Palilo ją w krtani.

Czy tak właśnie czuł Josh? W oczach zapiekły ją łzy, bo go zobaczyła. Nie widziała już punktów kompasu, tylko słodką twarz chłopaka, nieśmiały uśmiech i gęstwinę włosów, gdy schylał twarz. Jak długo był świadomy, że oślepią go i dławi dym, zanim stał się żywą pochodnią? Czy też wpadł w panikę, czy też walczył o oddech, żeby wołać o pomoc?

Boże, czy wiedział, co go czeka?

To jeden z powodów, dla którego tu była - w tej ohydnej norze żaru i nieszczęścia. Chciała wiedzieć, jak to naprawdę jest - żeby wszystko pojąć. I przetrwać.

Dźwignęła się na drżące łokcie i kolana. Nie umiera - uspokajała się, choć zdawało jej się, że znajduje się we własnej trumnie.

- Wszystko w porządku. Trafiłam po prostu na jedną z zapadających się podłóg. Idę dalej.

Zaczęła się czołgać. Straciła już orientację, po prostu posuwała się do przodu. Kolejne drzwi, następny ślepy zaułek.

Jakim cudem, do licha, ta komora mogła być aż tak wielka?

Wygrzebała się przez otwór okienny. Każdy jej mięsień pulsował bólem, pot lał się jak woda. Czas i przestrzeń zlały się w jedno. Wyteżała wzrok, aby coś zobaczyć, cokolwiek: światło, kształt, cień.

Dym i dezorientacja, strach i panika. Zabijały równie podstępnie jak żar. Ogień to nie tylko płomienie, przecież się o tym uczyła. To także dym i wyziewy, walące się podłogi i zapadnięte sufity. To tłąca się, a wreszcie ślepa panika. To kompletne wyczerpanie.

Znów trafiła na zapadniętą podłogę - czy tę samą? - i była nawet zbyt zmęczona, żeby zakląć.

Poczuła przed sobą kolejną ścianę. Jaki sadysta to zaprojektował? - myślała. Przepchnęła się przez jeszcze jeden otwór i odnalazła następne drzwi.

Otworzyła je i wytoczyła się na światło dzienne.

Zerwała z twarzy maskę i wciągnęła w płuca powietrze. Objęła rękami kolana, po czym odwróciła głowę.

- Dobra robota - stwierdził John, a ona uniosła głowę na tyle, żeby popatrzeć mu w twarz.

- Kilka razy prawie się załamalam.

- „Prawie” się nie liczy.
- Ale czegoś mnie to nauczyło.
- Czego, rybeńko?

Wzięła butelkę, którą jej podał, i zaczęła pić jak smok.

- Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości co do pracy śledczej zamiast łykania dymu, już się ich pozbyłam. Na pewno wolę, chcę robić to pierwsze.

Pomógł jej zdjąć butelkę z tlenem i poklepał po ramieniu.

- Sprawiałaś się na medal.

Ponownie się napiła, a następnie odstawiła butelkę na ziemię i objęła kolana rękami. Poczula, że pada na nią jakiś cień, podniosła głowę i ujrzała Hugh. Usiadł w takiej samej pozycji, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Odwzajemniła uśmiech i choć z trudem oddychała, zaśmiała się jednocześnie z ulgą i triumfem.

On też się roześmiał i wziął od niej hełm, gdy go ściągnęła z głowy.

- Ale z niej babsztyl, co?
- Niezły.
- Wygląda na to, że wydam trochę grosza na śniadanie w Denny's.

Reena znów się roześmiała i opuściła bezwładnie głowę.

- Później poszłam pod prysznic i zobaczyłam się w lustrze. - Reena skrzywiła się, unosząc torbę z zakupami, rezultat popołudnia w White Marsh Mall, gdzie w nagrodę poszła z Giną. - Włosy miałam w strąkach, cuchnące potem, a twarz ciemną od dymu. I śmierdziałam. Poważnie, śmierdziałam.

- A mimo to cię zaprosił - przypomniała jej przyjaciółka.

- Właśnie. - Urwała, gdyż jej wzrok przyciągnęła para bardzo seksownych czerwonych pantofli w oknie wystawowym. - Śniadanie w Denny's. Było dość wesoło. A jutro może pójdziemy pograć w baseball. Nie powiem, żebym nie lubiła z godziną tak się odprężyć, Gino, ale nie miałabym też nic przeciwko uroczystej kolacji od czasu do czasu. To by uzasadniało kupno tych pantofli.

- Naprawdę cudowne. Musisz je kupić.

Ponieważ był to jej obowiązek jako najlepszej przyjaciółki, Gina zaciągnęła Reenę do sklepu.

- Osiemdziesiąt siedem dolarów - przeczytała dziewczyna na spodzie podeszwy.
- Ale to są pantofle! Czerwone, seksowne pantofle. Takie nie mają ceny.
- To istotna kwestia dla świeżo upieczonej policjantki. Ale naprawdę mi się podobają i

chcę je mieć. - Reena przytuliła pantofel do piersi. - Nie mogą należeć do kogoś innego. Ale będą stały w szafie.

- A więc?

- Masz rację. - Odnalazły sprzedawcę, podały mu but i rozmiar, po czym usiadły obładowane torbami. - Będą moją nagrodą za przetrwanie w labiryncie. I nie mów, że to ten strój, który przed chwilą kupiłam, miał być nagrodą.

- Dlaczego miałabym tak mówić? - Prawdziwe zdumienie w głosie Giny rozbawiło Reenę. - Tamta nagroda była dwadzieścia minut temu. A ta jest obecna.

- Za to cię właśnie uwielbiam.

Uniosła głowę i popatrzyła na przyjaciółkę. Giną zapuściła włosy; spływały jej teraz na ramiona gęstą, hebanową falą.

- Wyglądasz na zadurzoną - stwierdziła.

- Bo to prawda. - Gina objęła się ramionami jak w uścisku. - Steve jest... Steve jest silny, twardy, dobry i mądry. Reeno, to właśnie ten.

- Ten?

- Ten jedyny. Zamierzam go poślubić.

- Gino, ty? Kiedy? Robimy zakupy od godziny i dopiero teraz to mówisz?

- Jeszcze mi się nie oświadczył. Ale już nad nim pracuję - dodała beztrąsko. - Myślę, że powinniśmy się pobrać gdzieś w maju. A może poczekamy do września. Chyba nawet wrzesień będzie lepszy, wtedy można wykorzystać te wszystkie kolory jesieni. Dojrzałe złoto. Albo rdzawobrunatny.

Reena zauważyła duży postęp - od gorącego chłopaka do wybierania kolorów sukni ślubnej. I wiedziała, że Giną dopnie swego.

- Ty naprawdę chcesz wyjść za mąż - powiedziała.

- No pewnie. Wiem, że ciężko jest być żoną strażaka. - Wyciągnęła z torebki pudełeczko miętowych tik - taków, wytrząsnęła kilka sztuk na dłoń i poczęstowała przyjaciółkę. - Długie godziny niebezpiecznej pracy. Ale dzięki niemu jestem taka szczęśliwa. Och, czerwone buciki. Przymierz je!

Posłusznie włożyła obuwie, które podał sprzedawca. Stała, podziwiając je w niskim lustrze.

Przymierzała pantofle, na które nie było jej stać i których zapewne nigdy nie będzie nosiła. Gina planowała już przyszłość. Reena poczuła w brzuchu pazur zazdrości.

- A czy Steve myśli o małżeństwie?

- Jeszcze nie. Dopiero gdy przyszedł dziś rano i pocałował mnie na do widzenia,

pomyślałam: o mój Boże, jestem zakochana, i zrozumiałam, że przy tym człowieku mogę się budzić każdego ranka. Nigdy z nikim tak się nie czułam. Reeno, kupujesz te buty. Nie daję ci wyboru.

- Cóż, więc postanowione. - Usiadła i je zdjęła. Z jękiem wyciągnęła swoją skromną kartę kredytową. - To brak odpowiedzialności.

- Nie, po prostu jesteś dziewczyną. Wszystko OK.

- To kompensacja - westchnęła. - Dobrze o tym wiem. Moja najlepsza przyjaciółka jest zakochana, a ja nie potrafię się nawet na poważnie umówić.

- Ach, potrafisz. Popatrz na siebie! Jesteś opalona, smagła i prześliczna. Z rana wystarczy ci zaledwie pięć minut na doprowadzenie się do porządku. A mnie, jeśli mam szczęście, godzinę.

- Ja tylko wkładam mundur - przypomniała jej Reena. - Niewyszukana garderoba. - Potrząsnęła głową. - Ale dajmy już temu spokój. Chciałam ci powiedzieć, że naprawdę lubię Steve'a. Jesh on nie ma na tyle rozumu, żeby cię łapać jak najszybciej, ktoś powinien mu przykopać.

- Dzięki.

- A może sama zaproszę Hugh na kolację. Tylko że... o Boże... wydałam właśnie dziewięćdziesiąt jeden dolarów i trzydzieści pięć centów na buty.

- Razem pójdziemy na kolację. Namówię Steve'a, żeby to zorganizował.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- To znaczy, że pożyczysz mi te nowe buty?

- Są na ciebie o cały numer za duże.

- To bez znaczenia. Wiesz co, możesz zaprosić Hugh na wesele Fran.

- To dopiero w październiku. - Reena zebrała swoje torby i nakazała sobie nie wydawać już w centrum handlowym ani jednego centa. - Do tej pory mogę się już z nim rozstać.

- Puszczalska.

- O, żeby tylko. Przyznaję szczerze, że nie szukam Pana Odpowiedniego. Nie jestem pewna, czy w ogóle ktoś taki jest mi potrzebny. No, a ten ma tak boskie ciało. I akurat nastają upały.

Wyszły ze sklepu na zatłoczony sobotnim tłumem klientów Mail.

- Nie jestem zadurzona - dodała Reena.

- Wyglądasz na napaloną.

- Bo jestem, ale nie ma to nic wspólnego z miłosnym rozanieleniem. - Zatrzymała się

przed kolejną wystawą. - Nie tak jak dzisiaj ty albo Fran od dnia, kiedy spotkała Jacka.

- On jest taki słodki.

- To prawda, i idealnie do niej pasuje. Będą szczęśliwi aż do absurdu. Nie sądzę, żebym chciała już teraz spotkać idealnego chłopaka. Co bym z nim robiła?

- Byłabyś szczęśliwa do absurdu. Reena pokręciła głową.

- Nie wiem. Mam wcześniej ważniejsze rzeczy do zrobienia. Idealny chłopak i zadurzenie tylko by mi przeszkadzili.

Bo szedł, powłócząc nogami, co nie przynosiło żadnego efektu.

- Nie chcę iść na żadne zakupy! Nie chcę!

- Przestań jęczeć. — Dziewczyna zacisnęła mu rękę na ramieniu jak kajdanki. - Czy nie jesteś moim najlepszym kumplem i czasem przyjacielem?

- Za co taka kara? Dlaczego ciągniesz swojego najlepszego kumpla i czasem przyjaciela do tego piekła na sobotnie zakupy?

- Muszę dziś kupić ten prezent urodzinowy. Skąd mogłam wiedzieć, że przez kilka ostatnich tygodni będę koszmarnie zajęta i zapomnę o wieczornym przyjęciu - niespodziance. Och, popatrz tylko na ten kostium.

- O nie, żaden ciuch. Obiecałaś.

- Kłamałam. Popatrz tylko na tę zieleń, specjalnie dla mnie. Spójrz na krój zakietu. Jestem teraz pracownikiem „The Sun” i muszę wyglądać profesjonalnie. Tylko przymierzę. Dwie sekundy.

Udał, że przystawia sobie do skroni pistolet i zawiązuje pętlę na szyi, a ona znikła w przebieralni.

Pomyślał, iż powinien natychmiast stąd czmychnąć. Żaden mężczyzna na świecie nie winiłby go za coś takiego.

Tylko że on też potrzebował prezentu na te durne urodziny ich wspólnego przyjaciela. Mandy obruszyła się na jego propozycję, iż kupi po prostu po drodze butelkę wina.

Więc ona zajmie się prezentem i podzieli się kosztami. Co w tym złego?

Ale gdzie się podziała, do licha? Co tam robi tak długo?

- Idealny. - Mandy radośnie wymachiwała torbą z zakupami. - Włożę go dziś wieczorem. Muszę tylko znaleźć odpowiednie buty.

- Zabiję cię tam, gdzie stoisz.

- Och, przestań. - Poklepała go po ręku dłonią ozdobioną czterema lśniącościami pierścionkami. Kolczyk w brwiach był już historią, ale Bo jakoś tego nie zauważył. - Usiądź sobie w barku, a ja w tym czasie poszukam jakiegoś obuwia. Ale najpierw prezent. Moja

karta zaczyna już dymić.

Wyciągnęła go ze sklepu w sam środek piekła. Wszystko tam rezonowało, wszystko było w ruchu. Bo pomyślał - bez wielkiej sympatii - o Domu Grozy, gdzie za coś takiego zapłacił pięć dolców, gdy miał dwanaście lat.

- Jak myślisz? Praktyczny czy zabawny?

- Wszystko mi jedno. Po prostu coś kup i jak najszybciej mnie stąd wyprowadź.

Mandy łąziła po sklepach jak kobieta, która nie tylko zna teren, ale mogłaby tu spędzić wiele godzin. Albo dni.

- Może świece? Jakieś ekstrawaganckie, wielkie? Jednocześnie zabawne i praktyczne.

Jej monolog zaczął brzmieć w jego uszach jak słowa mamy Charliego Browna, takie nosowe ła - ła - ła. Kochał ją, naprawdę ją kochał, a Charlie Brown też na pewno kochał swoją mamę. Jednak wcale mu to nie ułatwiało słuchania.

Pomyślał też o modlitwie i wznosił oczy do nieba.

Nagle dźwięki się urwały: odgłosy rozmów, piskliwa muzyka, zawodzenie dzieci, chichoczące dziewczęta.

Tak jak poprzednio miał wizję. Ujrzał tę dziewczynę w pełni, wyraźnie.

Stała na drugim poziomie, w rękach trzymała torby z zakupami, na ramiona spadała jej masa złocistych loków. Serce wykonało mu w piersiach jeden powolny obrót.

Może jego modlitwy zostały wysłuchane, zanim je zaczął.

Puścił się biegiem, starając się nie spuszczać jej z oczu.

- Bo! Bowen! - wołała Mandy, ruszając za nim. Dopadła go w chwili, gdy omal nie wpadł w grupkę nastolatek.

- Co się z tobą dzieje?

- To ona. - Nie mógł złapać tchu ani nawet ustać na własnych nogach. - Ona tam jest. Tam, na górze. Widziałem ją. Gdzie są te przekłete schody?

- Kto?

- Ona. - Obrócił się, dojrzał schody i pobiegł w ich stronę z depczącą mu po piętach Mandy. - Dziewczyna ze snów.

- Tutaj? - pytała głosem podekscytowanym ze zdziwienia i zainteresowania. - Naprawdę? Gdzie? Gdzie?

- Ona była... - Zatrzymał się na górze schodów, dysząc jak ogar w pogoni. - Była tam. Była.

- Blondynka, tak? - Niejednokrotnie słyszała już tę historię i teraz wyciągała szyję, lustrując tłum. - Kręcone włosy. Wysoka, szczupła?

- Tak, tak. Ma na sobie niebieską koszulę... eee... bez rękawów, z kołnierzykiem. Gdzie, do licha, poszła? To się nie może drugi raz zdarzyć.

- Rozdzielmy się. Długie włosy? Krótkie?

- Długie, rozpuszczone, spadające na ramiona. Ma torby z zakupami. Dużo toreb.

- Już ją lubię.

Ale w dwadzieścia minut później spotkali się w tym samym miejscu.

- Przykro mi, Bo. Naprawdę.

Rozczarowany i pełen zawodu, z trudem nad sobą panował.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że znów ją ujrzałem i nie byłem w stanie do niej dotrzeć.

- Czy to aby ta sama dziewczyna? Ostatecznie tamto zdarzyło się przed czterema laty.

- Jestem tego pewien.

- Spójrzmy więc na to z innej strony. Teraz wiesz, że przebywa gdzieś w okolicy, więc jeszcze ją spotkasz. - Mandy lekko uściśniła go za rękę. - Wiem to na pewno.

Choć miała seksowne czerwone pantofle, Reena nie wyobrażała sobie innej rozrywki w niedzielne popołudnie niż baseball. To jest to: słońce, piłka i naprawdę fajny chłopak dotrzymujący jej towarzystwa.

Któż by narzekał?

Poprawiła kask, ustawiła się lepiej na pozycji i uderzyła z całych sił nadlatującą piłkę. Poszybowała wysoko do góry.

- Muszę przyznać, Hale, że jesteś w świetnej formie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, kopnęła darń i przygotowała się do kolejnego uderzenia. Może wolałaby, żeby podziwiał raczej jej urodę, ale ze względów ambicjonalnych nie chciała operować kijem jak dziewczyna.

- Masz cholerną rację - zgodziła się ochoczo. - Ten będzie łatwy do odbicia.

- To zależy od fieldera. - Teraz z kolei zamachnął się Hugh. Kij zatrzeszczał przy uderzeniu twardej piłki. - I jest podwójny.

- A to już zależy od biegacza.

- Cholera - burknął Hugh, ale roześmiał się i uderzył kolejną piłkę.

- *A propos* formy, ty też jesteś w niezłej. Czy kiedykolwiek grałeś?

- W szkole średniej. Tam banda miała drużynę softbola. Trochę w niej grywałem.

- Ja przeważnie zajmuję lewe pole.

- Masz do tego nogi.

- W szkole średniej trochę biegałam. - Doradzono jej, żeby biegała, więc biegała.

Znów była jej kolej. Ścięła za wcześnie i przygotowała się do uderzenia.

- Chciałam grać w drużynie w college'u, ale miałam za dużo nauki. I tak zostałam mołem książkowym. Ale trzeba uważać na piłkę - dodała na pół do siebie i ponownie zamachnęła się kijem.

- A ta nie doszła. Musimy czasem zagrać w Camden Yards.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Koniecznie.

Gdy wspomniał o piwie i jakimś barze, omal nie zaproponowała, żeby poszli do Sirico's. Ale jeszcze nie teraz - zdecydowała. Nie była gotowa pokazać go rodzinie lub sąsiadom.

Stanęło na tym, że zjedli *nachos* i popili *coorse* w Ruby Tuesday's.

- A więc gdzie nauczyłaś się tak dobrze machać kijem?

- Hm. - Zlizala z kciuka roztopiony ser. - To głównie zasługa taty. Uwielbia baseball. Gdy byliśmy dziećmi, chodziliśmy na mecze kilka razy w roku.

- A więc masz liczną rodzinę.

- Dwie starsze siostry i młodszego brata, a poza tym szwagra, siostrzeńca i siostrzenicę u średniej siostry. Niedługo dojdzie drugi szwagier dzięki starszej siostrze. Wychodzi za mąż tej jesieni. Ciotki, wujowie i zbyt duża liczba kuzynów, żeby ich wymieniać. A u ciebie?

- Trzy starsze siostry.

- Naprawdę? - Daję mu punkty na wspólnym polu - zdecydowała. Nie onieśmieli go jej liczna rodzina. - A więc jesteś księciem.

- A żebyś wiedziała. - Uśmiechnął się i wznosił toast. - Wszystkie są zameżne i w sumie mają pięcioro dzieci.

- Co robią twoje siostry?

Przez chwilę patrzył bez wyrazu.

- W jakim sensie?

- Pracy.

- Nie pracują. Są, no wiesz, gospodyniami domowymi. Uniosła brwi, pociągając kolejny łyk piwa.

- Myślę, że to też praca.

- Nie robiłbym tego za żadne pieniądze, więc chyba tak. Twoja rodzina ma restaurację Sirico's. Świetna pizza.

- Najlepsza w całym Baltimore. Obecnie prowadzi ją już trzecie pokolenie. Moja siostra Fran jest współwłaścicielką. A Jack, chłopak, którego ma poślubić, wyrabia ciasto. Jesteś drugim pokoleniem w zawodzie, prawda?

- Trzecim. Mój tata jeszcze pracuje. Coś tam wprawdzie przebąkuje o emeryturze, ale nie wiadomo. Człowiek się przyzwyczaja.

Pomyślała o labiryncie i o tym, że chciałyby to zrobić jeszcze raz. Szybciej, lepiej.

- Tak, wiem coś o tym.

- Ma już wprawdzie pięćdziesiąt pięć lat. Przeciętny cywil nie rozumie, jaki to fizyczny wysiłek.

- Także psychiczny i emocjonalny.

- Tak, to też. - Odsunął się w tył i długo mierzył ją wzrokiem. - Ty dajesz radę fizycznie. Labirynt nie jest dla mięczaków. Pracowałeś w spalonych budynkach, zaliczyłeś parę ciężkich zmian. Masz dobrą budowę, jak ten... chart.

Może ostatnio występowała u niej posucha na randki, ale pamiętała jeszcze, jak się flirtuje.

- Ciekawa byłam, czy zauważysz.

Podobał jej się uśmiech chłopaka - bystry i zadziorny. Mówił on, że to mężczyzna, który wie, kim jest i do czego dąży. Teraz też się rozpromienił.

- Zauważyłem. Zwłaszcza kiedy biegałaś w Akademii w tych skąpych szortach. W każdym razie większość kobiet nie wytrzymuje fizycznej strony tej pracy.

- Podobnie jak wielu mężczyzn.

- Niewątpliwie. Nie robię pod tym względem podziału na płcie. - Uniósł rękę. - Mówię tylko, iż jesteś jedną z niewielu kobiet, o których mogę powiedzieć, że na własne oczy widziałem, jak świetnie dają sobie radę. Masz wigor, instynkt, rozum. Nie brakuje ci też odwagi. Zastanawiam się, dlaczego nie wstałaś do straży.

Sięgnęła po kolejną tortillę. Nie była kobietą łasą na pochwały. Potraktowała więc jego słowa poważnie i taką też dała mu odpowiedź.

- Wielokrotnie o tym myślałam i często mnie to nęci. Szczególnie podczas treningu lub kiedy pełnię dyżur. Ale gaszenie ognia nie jest tym, co mnie najbardziej pociąga. To raczej dla ciebie. Ja chcę wiedzieć, co się wtedy dzieje i dlaczego. Jak się zaczyna, z jakiego powodu, kto to sprawia. To moja pasja. Wbiegnięcie do płonącego budynku wymaga szczególnej odwagi i motywacji.

- Widziałem, jak sama to robisz - zauważył.

- No tak. Musiałam spróbować, żeby zobaczyć, jak to wygląda w rzeczywistości. Ale nie wiąże z tym moich planów. Chciałabym wejść później, poskładać wszystko do kupki i znaleźć przyczynę.

- Nasz wydział ma świetnych inspektorów pożarnictwa. Minger uchodzi za jednego z najlepszych.

- Tak. Myślałam o tym kierunku. Cóż, John jest jednym z moich idoli. Ale... ale jest coś, czego wielu ludzi, zwłaszcza cywilów, nie rozumie. Podpalenie. Jego skutki - zresztą nie tylko dla budynków i rzeczy. Ile zła podłożenie ognia może wyrządzić innym ludziom, sąsiedztwu, przedsiębiorstwu, gospodarce. Całemu miastu.

Uniosła ociekającą sosem tortillę i wzruszyła ramionami.

- I to jest właśnie cel mojego życia. Ty walcz z ogniem, Fitzgerald, a ja będę sprzątać.

Wprawdzie nie należał do mężczyzn, którzy za rączkę odprowadzają dziewczyny pod dom, ale tym razem towarzyszył jej do drzwi. A jak już to zrobił, przycisnął ją do nich w trakcie ostatniego gwałtownego i namiętnego pocałunku.

- Jeszcze za wcześnie - zauważył, gdy uniósł głowę.

- Za wcześnie. - Była zła, że parę niezobowiązujących spotkań to w jej osobistej ocenie za wcześnie. - Ale...

Zrobił skrzywioną minę, lecz w jego zamglonych oczach błyskało rozbawienie.

- Przeczuwałem, że tak właśnie powiesz. Chcesz w tym tygodniu zagrać?

- Z przyjemnością.

- A więc zadzwonię i się umówimy. - Zaczął odchodzić, ale jeszcze się odwrócił i znów ją pocałował. - Masz cudowne wargi.

- Twoje też lubię.

- Słuchaj, czy masz w planie jakiś urlop?

- Pewnie mogłabym wziąć z jeden dzień oprócz tych, które są wolne. Dlaczego pytasz?

- Mamy takie miejsce na Outer Banks. Stara chałupka nad brzegiem morza w nie najgorszym stanie. Moglibyśmy pojechać tam na parę dni, gdy następnym razem będę miał wolne, jeśli i tobie by to pasowało. Namówię Steve'a i Ginę.

- Parę dni na plaży? Kiedy jedziemy? Znów pokazał zęby w uśmiechu.

- Poprzestawiamy coś w grafiku i ustalimy.

- Już się zaczynam pakować.

Weszła do mieszkania i w niewielkim salonie odtańczyła taniec zwycięstwa.

Plaża, gorący chłopak, bliscy przyjaciele. Życie po prostu jest piękne.

Prawdę mówiąc, zbyt piękne, żeby siedzieć w pustym pokoju w taki letni wieczór.

Sięgnęła znów po klucze i wyszła z mieszkania.

Zobaczyła jeszcze tył samochodu Hugh, skręcającego w lewo za rogiem. Odruchowo dostrzegła też jakieś inne auto jadące za nim. Przesłała w tamtą stronę całusa i ruszyła na piechotę w przeciwnym kierunku, w stronę Sirico's.

Dobrze było wrócić w rodzinne strony. Przyjemnie się mieszkało we wspólnie wynajmowanym domu. Lubiła nawet tę kłitkę, w której mieszkała w czasie praktyki na kampusie Shady Grave na zachód od Baltimore. Ale to tutaj był jej dom.

Schludny rząd szeregowców o białych schodkach wejściowych lub niewielkich werandach, donice kwiatów zwieszających się z podestów i włoskie flagi na szczytach domów.

Zawsze spotkało się kogoś, kogo można było pozdrowić. Szła, nie spiesząc się. Podziwiała malowidła na siatkach okiennych i zastanawiała się, czy nie poprosić mamy, żeby zrobiła coś takiego jej i Ginie. Pewnie musiałyby zapytać o zgodę właściciela domu, ale

ponieważ przyjaciółka była jego bliską kuzynką, nie powinno być z tym problemu.

Nadłożyła trochę drogi, żeby przez kilka minut popatrzeć na starszych mężczyzn w barwnych koszulach grających w *boccie*.

Dlaczego nie zapytała Hugh, czy nie ma ochoty na spacer po okolicy, żeby zobaczyć miejscowy koloryt?

Musi go mimochodem zapytać, czy w piątek wieczorem nie poszedłby do letniego kina. To tradycyjna rozrywka tej dzielnicy. Oprócz kina była tam muzyka na żywo, co oznaczało tańce. No i mogłaby wreszcie włożyć te nowe, czerwone pantofle.

Musi o tym pomyśleć, może poszliby razem z Giną i Steve'em. No, ale teraz powinna się cieszyć resztą niedzielnego wieczora.

Przypomniała sobie, że w Sirico's były one bardzo pracowite. Jeśli chciała porozmawiać kilka chwil z kimś z rodziny, zanim zacznie się młyn, powinna się pospieszyć.

Kiedy zjawiła się w drzwiach restauracji, był już duży ruch. W środku powitał ją szum rozmów, brzęk sztućców, dzwonienie telefonu.

Pete dyżurował przy stole do pizzy, a mama przy piecu. Fran wraz dwójką młodych kelnerów, których tata też nazywał swoimi dzieciakami, obsługiwali stoliki.

Reena natychmiast miała wizję najbliższej przyszłości: w fartuchu i z notesem do zamówień. Krzyknęła coś do siostry i w tej samej chwili dostrzegła Bellę, jedzącą niespiesznie *antipasto*.

- Hej, proszę pani! - Zajęła miejsce naprzeciwko niej. - Co pani tu robi?

- Vince poszedł dziś na golfa. Pomyślałam, że wpadnę tutaj na chwilę z dziećmi.

- A gdzie się one podziewają?

- Tata i Jack zabrali je na spacer do portu. Mama dzwoniła do ciebie, że tu jestem, ale nie było cię w domu.

- Niedawno wróciłam. Nie zdążyłam nawet sprawdzić sekretarki. - Sięgnęła po oliwkę z talerza Belli. - Mecz *boccie* ma się ku końcowi. Za jakieś pół godziny zacznie się tu ruch.

- Dobrze, że interes się kręci. - Bella lekko wzruszyła ramionami.

Wygląda nadzwyczajnie - pomyślała Reena. Styl życia, o jakim zawsze marzyła, doskonale jej pasował. Była niezwykle zadbana. Jaskrawoblond włosy wspaniale podkreślały i rozkosznie otulały jej twarz o pięknej, gładkiej cerze. Złoto i drogie kamienie skrzyły się w uszach, na palcach i wokół szyi. Wszystko było drogie i subtelne, dopasowane do jasnoróżowej lnianej sukienki.

- No i jak z tobą? - spytała Reena. - Czy czujesz się równie dobrze, jak wyglądasz?

Po ustach Belli przemknął się uśmiech.

- A jak wyglądam?

- Jak z okładki żurnala.

- Dzięki. Dużo nad tym pracowałam. Sporo czasu zabiera zrzucenie wagi po dziecku i powrót do normalnej figury. Mam prywatnego trenera, przy którym Attyla, wódz Hunów, wygląda jak ciota. Ale warto było.

Wyciągnęła rękę, żeby pochwalić się bransoletką tenisową z szafirów i diamentów,.

- To nagroda od Vince'a za to, że wróciłam do dawnej formy.

- Śliczna. Jak błyszczy!

Bella wybuchnęła śmiechem i ponownie lekko wzruszyła ramionami, obracając na widelcu kawałek szynki.

- A tak swoją drogą, przyszłam porozmawiać z Fran o weselu.

- To znaczy?

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ona się upiera, żeby urządzić przyjęcie w jakiejś małej salce, kiedy może skorzystać z naszego klubu. Zrobiłam nawet listę dań, kwiatów i muzyków. Ona nie chce o tym słyszeć, choć tak chcę jej pomóc.

- To uroczu z twojej strony. - Naprawdę tak sądziła. - Ale moim zdaniem Fran i Jack wolą coś skromniejszego i bliżej domu. Bellu, oni żyją prościej. To nie krytyka - dodała i sięgnęła po dłoń siostry, widząc w jej oczach błyski. - Szczerze. Twój ślub był wyjątkowo okazały, wspaniały i całkowicie oddawał twój charakter. A wesele Fran powinno oddawać jej pragnienia i oczekiwania.

- Ależ pragnę tylko podzielić się z nią tym, co mam. Czy jest w tym coś złego?

- Oczywiście, że nie. I wiesz co? Koniecznie powinnaś pomóc przy kwiatach.

Zdumiona Bella zamrugnęła oczami.

- Naprawdę?

- Jesteś w tym lepsza niż Fran i mama. Myślę, że mogłyby ci powierzyć tę funkcję, zwłaszcza jeśli chcesz wspomóc ich przy tym finansowo.

- Ja chcę, ale oni nie chcą o tym słyszeć...

- Namówię ich.

Bella odsunęła się w tył na oparcie.

- Tobie mogłoby się to udać. Zawsze sobie z nimi dobrze radziłaś.

- Ale pod jednym warunkiem. Jeśli Fran pragnie zwyczajnych kwiatów, nie kupuj całych ciężarówek jakichś egzotycznych orchidei czy czegoś w tym rodzaju.

- Jeśli zechce prostych, dostanie proste. Ale bajecznie proste. I mogę zamienić tę skromną salę w ogród. Wiejski ogród - dodała na widok zwięzionych oczu Reeny. - Słodko, po

staroświecku, romantycznie.

- Idealnie. Gdy przyjdzie moja kolej, też cię zatrudnię.

- Coś się kroi?

- Na razie nie szukam męża. Ale mam potencjalnego chłopaka. To strażak.

- O, co za niespodzianka!

- Przystojny - oświadczyła Reena, przełykając kolejną oliwkę. - Wspaniałe perspektywy w łóżku.

Bella zachichotała.

- Brak mi ciebie, Reeno.

- Mnie ciebie też, kochana.

- Nie przypuszczałam, że do tego dojdzie. Teraz Reena się roześmiała.

- Poważnie. Nie sądziłam, że będzie mi brakować ciebie lub tego. - Wykonała szeroki gest ręką, pokazując restaurację. - Ale czasem tak się dzieje.

- No cóż, my tu zawsze jesteśmy.

Została dłużej, niż zamierzała. Bella już dawno zabrała dzieci do swojej wielkiej podmiejskiej posiadłości. Kiedy ruch wreszcie ustał, udało jej się zaprowadzić matkę i Fran do stolika.

- Babska narada.

- Wszystko dobre, co pozwoli mi na chwilę odpocząć. - Bianca usiadła i naląła do szklanek zimną, przejrzystą wodę.

- Chodzi o ślub i o Bellę.

- Och, nie zaczynaj znów. - Fran zasłoniła dłońmi uszy i kręciła głową, rozrzucając swoje falujące włosy. - Nie chcę wesela w żadnym klubie. Nie potrzebuję zgrai kelnerów w smokingach serwujących szampana.

- Wcale cię za to nie ganię. Ale kwiaty będą ci potrzebne, prawda?

- Oczywiście. Kwiaty tak.

- Niech Bella je przygotowuje.

- Nie chcę...

- Zaczekaj. Wiesz, jaki będzie wystrój, w jakich kolorach. A Bella się na tym zna najlepiej. Co jak co, ale dobry gust to ona ma.

- Utopi mnie w różowych różach.

- Nieprawda. - W przeciwnym razie Reena osobiście utopiłaby w nich Bellę zaraz po uroczystości. - Chcesz mieć prosty ślub, staroświecki i romantyczny. Ona ci to zapewni. No, może nie całkiem rozumie, dlaczego tego właśnie chcesz, ale pojęła, że to twój styl. I twój

dzień. Naprawdę chce ci pomóc. Chce poczuć się częścią tej uroczystości.

- Jest nią. - Fran odgarnęła włosy, a Bianca siedziała w milczeniu. - Jako honorowa gospodyni.

- Pragnie ci coś podarować. Ona cię przecież kocha.

- Och Reeno, nie! - Fran położyła głowę na stoliku i zaczęła ją lekko uderzać o blat. -

Nie sprawiaj, że czuję się winna.

- Bella się nudzi, czuje się trochę na uboczu.

- Mamo, pomóż mi.

- Chcę najpierw wszystkiego wysłuchać. Dowiedzieć się, dlaczego Reena bierze w tym stronę twojej siostry.

- Przede wszystkim myślę... Nie, wiem, że ona może to zrobić. I to na własny koszt. - Wymierzyła palec we Fran, która znów kiwała głową i wyrażała niezadowolenie. - Prezent od siostry nie jest zniewagą, więc musisz go przyjąć. Ona pragnie ci podarować kwiaty na ślub, z których byłabyś bardzo zadowolona, więc nie robi żadnego głupstwa. Szybko, podaj pięć nazw kwiatów, które nie są różami.

- Uuuch... lilia, bodziszek... do licha... chryzantemy, bratki... Nie, za duży stres.

- Pamiętasz, jak pilnowała tych ludzi, którzy urządzali jej ogród z kwiatów i krzewów? Ona wie o tym wszystkim o wiele więcej niż my, zna się na aranżacji. Powiedziała mi, że mogłaby urządzić coś w rodzaju wiejskiego ogrodu. Nie bardzo wiem, co to takiego, ale brzmi ładnie.

Fran zagryzła wargi.

- Ja też nie jestem pewna, co to znaczy, lecz masz rację, brzmi ciekawie.

- Dla niej to bardzo wiele znaczy, a myślę, że w efekcie i ty będziesz zadowolona.

- Porozmawiam z nią. Możemy zresztą pójść razem do kwaciarni albo ja pojedę i zobaczę jeszcze raz jej ogród, a Bella pokaże mi, o co chodzi.

- Dobrze. - Reena wiedziała, kiedy opuście pole, i wysunęła się z boksu. - Muszę wracać do domu. - Pochyliła się i pocałowała Fran. Chciała pocałować także i matkę, lecz Bianca wstała.

- Wyjdę razem z tobą, zaczerpnę trochę powietrza. Kiedy znalazły się za drzwiami, matka objęła Reenę w pasie.

- Zaskoczyłaś mnie. Nigdy nie trzymałaś strony Belli.

- Zazwyczaj się z nią nie zgadzam. Ale tym razem intuicja mi podpowiada, że nie może tego spać. Robi to częściowo dla Fran, a częściowo dla własnego ego. To pewna sprawa.

- Doskonale. Zawsze byłaś moją mądrą. A może wszystkie razem pójdziemy obejrzyć te kwiaty? Kobiety z Sirico's.

- Jasne, w porządku.

- Zadzwoń do mnie, jak wrócisz do domu.

- Mamo!

- Po prostu zadzwoń, żebyś wiedziała, iż dotarłaś bezpiecznie do domu.

Cztery i pół kwartału - myślała Reena, oddalając się ulicą. We własnej dzielnicy. Wyszkolony oficer policji. Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła do matki.

Jako młody rekrut Reena znajdowała się na samym dole drabiny płacowej wydziału. Fakt, że ukończyła studia wśród pięciu procent najlepszych, nie miał przełożenia na wysokość zarobków, gdy włożyła mundur i rozpoczęła patrole.

I w porządku. Nauczyła się wszystko zdobywać sama.

Lubiła patrole. Lubiła rozmawiać z ludźmi, lubiła w czymś pomóc, rozwiązać czyjś problem albo spór.

Razem ze swoim partnerem Samuelem Smithym, policjantem z dziesięcioletnim stażem, dostali wezwanie do bójki na West Pratt w południowo - zachodniej części miasta, przez miejscowych nazwanej Sowebo.

- Myślałem, że wstąpimy do Krispy Kreme - uzalał się Smithy, gdy zawrócili w stronę tej dzielnicy.

- Jak możesz wpychać w siebie tyle pączków i nie utyć?

- Policyjna krew. - Smithy zrobił minę. Mierzył sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważył grubo ponad sto kilogramów. Skórę miał barwy orzecha włoskiego, a oczy czarne i bystre. W cywilu mógł budzić grozę, a w mundurze wyglądał jak potworna bestia.

Było to komfortowe uczucie - mieć przy sobie w pierwszym roku służby za partnera kogoś zbudowanego jak buldożer. A jako mieszkaniec Baltimore znał miasto równie dobrze albo lepiej niż ona.

Kiedy skręcili w tę ulicę, dostrzegła tłum na chodniku. Okolica ta kojarzyła się głównie z galeriami sztuki i zabytkowymi domami, a nie z ulicznymi rozróbami.

Rzeczywiście, większość ludzi obserwujących, jak dwóch mężczyzn tarza się po asfalcie, była ubrana stylowo. Dużo odważnych kolorów i nowojorskiej czerni.

Wysiadła wraz z partnerem i ruszyli przez tłum.

- Z drogi, z drogi! - grzmiał Smithy i tłum się rozstępował. Ale dwaj mężczyźni w dalszym ciągu okładali się pięściami. I to bardzo nieporadnie - zauważyła Reena.

Ich modne buty były w strzępach, włoskie kurtki podarte, ale krwi zauważyła

niewiele.

Podobnie jak Smithy ruszyła, żeby ich rozdzielić.

- Policja, przestańcie!

Chwyliła drobniejszego przeciwnika za ramię, a on przetoczył się na bok. Drugi sam podniósł się z ziemi z zaciśniętymi pięściami. Widziała, jak się zamierza, miała chwilę, żeby pomyśleć: cholera, i zablokować przedramieniem cios.

Wykorzystując siłę własnego rozpędu napastnika, popchnęła go. Upadł na twarz. Wykręciła mu ręce na plecy.

- Zamierzyłeś się na mnie? Chciałeś mnie uderzyć? - Zakuła go w kajdanki, podczas gdy on próbował odwrócić się jak leżący na grzbiecie żółw.

- Odpowiesz za czynną napaść na oficera policji. To on zaczął.

- A ty ile masz lat, dwanaście?

Postawiła go na nogi. Miał lekko podrapaną twarz. Oceniała, że mógł liczyć sobie jakieś dwadzieścia pięć lat. Jego przeciwnik, w podobnym stanie i zbliżonym wieku, siedział na ziemi, gdzie zaciągnął go Smithy.

- Chciałeś się rzucić na moją partnerkę? - Smithy wskazał na siedzącego mężczyznę. - Zostań w miejscu. - Podeszedł do pierwszego. Górował nad nim niczym wielka sekwoja nad małym drzewkiem. - Czy naprawdę jesteś na tyle tęp, żeby porywać się na moją partnerkę?

- Nie wiedziałem, iż jest glina. Nie miałem pojęcia, że ona to ona. A poza tym to on zaczął. Możesz tu zapytać każdego. To on zaczął się bić.

- Nie usłyszałem przeprosin. - Smithy pacnął go w ucho. - Oficerze Hale, czy słyszałaś przeprosiny z ust tego tępaka?

- Nie, nie słyszałam.

- Przepraszam. - Nie wyglądał na skruszony, choć był najwyraźniej zawstydzony i niemal na granicy łez. - Nie zamierzałem pani uderzyć.

- Nie uderzyłeś. Walisz pięścią jak dziewczyna. Proszę się rozejść do swoich spraw - poleciła gapiom. - Teraz ty mi opowiesz własną wersję wydarzeń, a on mojemu partnerowi swoją. I nie chcę więcej słyszeć, że to on zaczął.

- Kobieta - powiedział Smithy z westchnieniem, gdy już stamtąd odjechali. - Zawsze chodzi o kobietę.

- Ej, nie obwiniaj mojej płci za głupotę twojej. Odwrócił głowę w jej stronę, robiąc wielkie oczy.

- Hale, to ty jesteś kobietą?

- Dlaczego zawsze trafiam na takich mądrali?

- Dobrze się spisałaś. Poradziłaś sobie. Masz refleks i zachowałaś zimną krew, gdy próbował cię sprowokować.

- Gdyby mnie tknął, to byłoby całkiem inaczej. - Zadowolona z dobrze wykonanej pracy, wyraźnie się rozluźniła. - Ty kupujesz pączki.

Gdy wróciła do domu po zmianie, mieszkanie było puste. Zauważyła przyczepioną do lodówki kartkę, zapisaną wielkim, ozdobnym pismem Giny, obok fotografii jej strasznie grubej ciotki Opal, mającej odstraszać dziewczynę od jedzenia.

Wysłałam ze Steve'em. Jeśli chcesz dołączyć,
jesteśmy w Club Dread. Może też wpadnie Hugh.

xxxooo

G

Zastanawiała się, stojąc w kuchni, nad tą propozycją. Już planowała w myślach, co na siebie włoży. Ale potem pokręciła głową. Nie miała nastroju na hałaśliwą atmosferę klubu.

Chciała tylko zdjąć z siebie mundur, wyciągnąć się na łóżku i przestudiować materiały. John przekazał jej teczkę starych spraw i pozwolił je przejrzeć. Miała spróbować rozpoznać, czy były to wypadki, czy podpalenia, oraz jak i dlaczego dokonane.

Gdy przejdzie do wydziału podpaleń, te godziny spędzone na rekonstruowaniu faktów bardzo jej się przydadzą.

Jednak najpierw udała się do sypialni. Zwróciła uwagę na swe odbicie w lustrze, zatrzymała się i dłuższą chwilę je studiowała.

Być może w mundurze nie wyglądała szczególnie kobieco, ale podobała się sobie. Miała w sobie władczość i pewność siebie. Co prawda dziś na ulicy przez chwilę przeżyła szok, uświadamiając sobie namacalnie, jak łatwo może doznać urazu. Na przykład dostać pięścią w twarz.

Ale opanowała sytuację. To, że Smithy ją pochwalił, dużo dla niej znaczyło.

Wprawdzie o wiele lepiej się poruszała wśród książek, kartotek i analiz, ale radziła sobie także i na ulicy. W każdym razie uczyła się tego.

Ściągnęła czapkę. Odbezpieczyła broń i położyła obok służbowego nakrycia głowy na toalecie. Rozpinając koszulę mundurową, skrzywiła się na widok praktycznego, białego, bawełnianego biustonosza.

Postanowiła jak najszybciej znów się wybrać po zakupy. Po zmysłową bieliznę. Regulamin nic nie wspominał na temat bielizny kobiet oficerów policji. A świadomość, że ma na sobie coś ładnego i kobiecego, poprawiłaby jej nastrój.

Z tym olśniewającym pomysłem w głowie wzięła kąpiel w pianie, zapaliła świece i

nalala sobie szklankę wina.

Leżąc w wannie, czytała o ogniu.

Kiedy zadzwonił telefon, pozwoliła sekretarce go nagrać.

Słuchała jednym uchem głosu Giny proszącego o zostawienie wiadomości, po czym nagle uniosła się z pluskiem wody, słysząc, co mówi dzwoniący osobnik.

- Cześć, dziwko! Jesteś sama? Może przyjdę cię odwiedzić. Taki szmat czasu, pewnie za mną tęsknisz.

Wstała, zachlapując świece. Ociekająca wodą, naga, sięgnęła po kaburę i wyciągnęła z niej broń. Naciągnęła na siebie szlafrok i pospieszyła do drzwi sprawdzić zamki.

- Pewno jakiś czub - powiedziała głośno, próbując uspokoić samą siebie. - Zwyczajny dupek.

Ale skontrolowała okna i ulicę pod nimi.

Potem jeszcze dwa razy odegrała tę wiadomość. Nie mogła rozpoznać tego głosu. A telefon już więcej nie zadzwonił.

Nie udało im się zagrać w baseball ani pójść w piątek do kina. Nie pozwolił na to rozkład zajęć ani Reeny, ani Hugh. Ale wpadli na przekąskę do baru nieopodal straży pożarnej.

- Gina trzykrotnie pakowała się i rozpakowywała - opowiadała mu Reena. - Zupełnie jakby wybierała się na safari, a nie na dwa dni nad morze.

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która by nie pakowała dwa razy więcej rzeczy, niż potrzebuje.

- Patrzysz na nią. Uśmiechnął się i ugryzł burgera.

- No, zobaczymy, jak ty tam przyjedziesz. Na pewno trafisz? Mogę odłożyć swój wyjazd do jutra, jeśli boisz się, że zmylisz drogę.

- Damy sobie radę. Szkoda, że nie mogę wyjechać wcześniej, ale Gina też jest zajęta do jutra po południu. Wyruszymy we trójkę. Powinniśmy tam dotrzeć przed północą.

- Będzie zapalone światło. To wam pomoże trafić. Wywietrzę cały dom, bo nie był często używany w tym sezonie. Zrobię zapasy jedzenia. Słyszałem, że umiesz gotować.

- Urodziłam się z rondlem w jednym ręku, a główką czosnku w drugim. - Poza tym lubiła gotować, widziała w tym sztukę. - Kup może krewetki, to przyrządzę scampi.

- Brzmi zachęcająco. Na pewno spędzisz czas przyjemnie. Środek tygodnia, późny wieczór. Jak już wjedziecie do Karoliny Północnej, powinien być niewielki ruch. - Popatrzył na zegarek. - Myślę, że dotrę do Hatteras przed drugą nad ranem. Jak się postaram.

Uniół biodro, wyciągnął portfel i rzucił na stół pieniądze.

- W chałupie nie ma telefonu, ale możesz zadzwonić do marketu we Frisco, a oni mi przekażą.

- Już mi tłumaczyłeś, „tatusiu”. Nie martw się o nas.

- W porządku. - Podniósł się z miejsca, pochylił i pocałował ją. - Bezpiecznej drogi.

- Tobie też. Do zobaczenia jutro wieczorem.

Tak łatwo. Tak wzruszająco prosto, Ani śladu nikogo wokół.

Zabierz mnie do domu, wiejska drogo.

Cudowna noc, dużo gwiazd, nie ma księżyca. Dostatecznie ciemno, wystarczająco pusto. Wyprzedziłem go o dziesięć kilometrów, więc zaraz tu przyjedzie. Wybierz miejsce, przystąp do działania.

Zatrzymaj się na poboczu drogi, otwórz maskę. Dobry byłby sygnał świetlny, ale wtedy może się zatrzymać jakiś inny sukinsyn.

Dzisiejszej nocy mam czas na jednego.

Tylko jednego.

A on się zatrzyma. Z całą pewnością. Tacy dobrzy samarytanie zawsze się zatrzymują. Nie po raz pierwszy ich na to nabierasz, J pewnie nie ostatni.

Mam starego gruchota. Ten dupek o czerwonym karku, któremu go rąbnąłem, może teraz tylko płakać nad piwem. Mam latarkę i spluwę kaliber 38.

Pochylaj się nad maską i gwizdź melodię. Możesz też zapalić, żeby zabić czas. On nadjedzie za chwilę.

już widać światła, Najlepiej rób wrażenie bezradnego. Wyjdź trochę na szosę i podnieś rękę. Jeśli to nie on, pomachaj, żeby jechali dalej. Nie, dziękuję, już chodzi. Właśnie zapalił, dzięki za zatrzymanie się!

Ale to on. Duży mężczyzna w dużym niebieskim bronco. I tak jak przewidziałem, zjeżdża, żeby się zatrzymać, pomóc biednemu w potrzebie.

Podejdź od razu do drzwi. Lepiej, żeby nie wysiadał.

- Hej! - Szeroki, pełen ulgi uśmiech, zapal mu latarkę w oczach. - Rany, jak dobrze, że tu jesteś.

Hugh osłonił oczy przed jaskrawym światłem.

- Masz jakiś problem?

- Już nie. - Unieś broń, strzel mu dwa razy w twarz. Ciało skacze jak kukielka. Matka by go teraz nie rozpoznała. Czas włożyć rękawiczki, żeby rozpiąć mu pasy i przesunąć.

Teraz tylko musisz odjechać tym wygodnym pojazdem na bok do lasu. Nie za daleko. W końcu chcesz, żeby go łatwo znaleźli.

Przebij jedną oponę. Niech wygląda, jakby to on miał problem, a ktoś podjechał i mu dołożył.

Sięgnij do tyłu, weź kanister z benzyną.

Teraz zobaczymy: przyda nam się portfel. Zegarek.

Och, nie! Biedny skurwiel został obrabowany i zamordowany w drodze na plażę. Co za tragedia!

Śmiechu warte. Niech wygląda to niechlujnie. Rozlej benzynę na siedzenia. Podnieś maskę, uruchom silnik. Dobrze nasącz te opony. A teraz odsuń się, bezpieczeństwo przede wszystkim!

I podpal tego drania.

Spójrz, jak się pali. Tylko popatrz. Ludzka pochodnia płonąca jak sto sukinsynów. Pierwsze minuty są najlepsze. Syk i blask. Amatorzy to ci, którzy muszą stać i patrzeć do końca, A tylko pierwsza minuta jest super.

Teraz odchodzimy, odjeżdżamy starym gruchotem z powrotem w stronę Marylandu. Na śniadanie zjemy sobie jajka na bekonie.

To Steve przyniósł Reenie wiadomość. Wszedł do pokoju, gdzie przy biurku pisała raport o incydencie. Oczy mu płonęły, twarz miał bladą jak ściana.

- Hej, o co chodzi? - Podniosła wzrok i przestała pisać na maszynie. - Och, tylko mi nie mów, że masz dodatkową zmianę i nie możesz jechać. Właśnie miałam się zwolnić, wrócić do domu i spakować potrzebne rzeczy.

- Ja... Czy mogę cię prosić na minutę? Prywatnie?

- Jasne. - Odsunęła się od biurka, przyglądając mu się badawczo. W brzuchu już miała znajomy ucisk. - Coś niedobrego. Gina...

- Nie, nie Gina.

- A więc co? Hugh? Miał wypadek? Poważny?

- Nie, nie wypadek. Ale to poważne. Bardzo poważne. Chwyła go za rękę i wyciągnęła na korytarz.

- Co takiego? Mów szybko.

- On nie żyje. Jezu, Reena. Nie żyje. Właśnie miałem telefon od jego matki.

- Od jego matki? Ależ...

- Został zabity. Zamordowany... Zastrzelony.

- Zamordowany? - Dłoń na jego ramieniu zrobiła się bezwładna.

- Mówiła z początku trochę chaotycznie. - Steve cedził słowa z zaciśniętymi ustami, patrząc w dal ponad jej głową. - Ale wydobyłem z niej wszystko, co mogłem. Ktoś go

zastrzelił. Był w drodze, do wyspy zostało mu około dwóch godzin. Ktoś musiał zatrzymać jego auto albo zepchnąć go z szosy. Mógł też złapać gumę. Nie wiem nic na pewno. Ona też nie wie.

Wciągnął głęboko powietrze.

- Ale ktoś go zastrzelił. Jezu, Reeno, ktoś go zabił, a potem podpalił samochód, żeby zatrzeć ślady. Zabrał mu portfel, zegarek i Bóg wie, co jeszcze.

Poczuła, jak zaciska jej się gardło i ogarnia ją słabość, lecz opanowała to.

- Czy go zidentyfikowano, czy dobrze zidentyfikowano?

- W samochodzie były rzeczy Hugh, które nie spłonęły, jedna z jego nazwiskiem. W schowku znaleziono rejestrację. Jego rodzice zadzwonili do mnie z miejsca wypadku. To on, Reeno. Hugh nie żyje.

- Dowiem się wszystkiego, co się da. Zadzwonię po miejscową policję i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Strzelili mu w twarz... - Głos Steva się załamał. - Tak mi powiedziała jego matka. Kurwa, strzelili mu w twarz. Dla pieprzonego zegarka i zawartości portfela.

- Usiądź. - Popchnęła chłopaka lekko na ławkę, przysiadła obok i wzięła go za rękę.

Czegokolwiek by się dowiedziała - myślała - mężczyzna, dobry mężczyzna, którego raz pocałowała na do widzenia niecałą dobę temu, nie żył.

I ogień deptał jej po piętach.

REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

Seria wydarzeń tak ze sobą związanych, że jedno wywołuje drugie

Czy schowa kto ogień w zanadru,
by nie zajęły się jego szaty?

Księga Przysłów 6,27

Baltimore 1999

Pewnej mroźnej styczniowej nocy w niezamieszkanym przez nikogo domu w południowej części Baltimore wybuchł pożar. W środku strażacy zmagali się z piekłem rozszalałego ognia i kłębamii duszącego dymu. Na zewnątrz walczoneo z niską temperaturą i podmuchami lodowatego wiatru, który zmieniał rozlaną wodę w lodowisko i roznosił wokół jezory płomieni.

Był to pierwszy dzień służby Reeny w jednostce specjalnej miejskiego wydziału do spraw podpaleń.

Wiedziała, że do tego zadania i pod skrzydła kapitana Branta została przydzielona między innymi dzięki wstawiennictwu Johna, ale nie tylko dlatego. Harowała jak wół, żeby na to zasłużyć, ucząc się, trenując, zaliczając liczne godziny pracy bez wynagrodzenia - i nigdy nie tracąc z oczu najważniejszego celu.

Pomijając układy Johna, sama też zapracowała na swoją nową, lśniącą odznakę.

Gdy tylko mogła, w dalszym ciągu poświęcała czas na ochotniczą pracę w lokalnej jednostce strażackiej. Nawdychała się już sporo dymu.

Chciała śledzić przyczyny i skutki. Kto lub co spowodowało pożar? Komu coś się przez to zmieniło, kto na tym ucierpiał, a kto odniósł korzyść?

Kiedy wraz ze swym partnerem przybyła o świcie na miejsce pożaru, budynek straszyl czeluścią poczerńiałych cegieł i gruzowiskiem, a wszystko to zdożyły wodospady z lodu.

Przysłano ją tu razem z Mickiem O'Donnellem, funkcjonariuszem starszym od niej o piętnaście lat. Wiedziała, że reprezentuje starą szkołę, ale uważała, że facet ma nosa.

A on węszył tu podpalenie.

Mick miał na sobie ocieplaną kurtkę i buty ze stalowymi noskami, a na głowie kask założony na wełnianą czapkę; ona ubrała się podobnie. Gdy z pierwszymi promieniami słońca dotarli na miejsce pożaru, wysiedli z samochodu i stanęli po jego bokach, lustrując wzrokiem pozostałości budynku.

- Fatalnie, że pozwalają niszczyć takim budynkom jak ten. - O'Donnell rozwinął dwa kawałki gumy do żucia i wsunął oba do ust. - Yuppi jeszcze nie ściągają, żeby przywrócić do życia tę część Baltimore.

Brzmiało to u niego „Balmer”.

- Mniej więcej 1950 rok. Azbest, płyta gipsowa, panele sufitowe, boazeria z taniej okleiny. Do tego kupa gratów naznoszonych przez włóczęgów i ćpunów. W sumie dużo

opału.

Wyjęła z bagażnika swój zestaw polowy, po kieszeniach upchnęła aparat cyfrowy, zapasowe rękawiczki i dodatkową latarkę. Rozejrzała się. Zauważyła czarno - biały wóz policyjny i samochód z kostnicy.

- Wygląda na to, że jeszcze nie wyniesiono ciała. O'Donnell żuł gumę w zamyśleniu.

- Masz problem z oglądaniem spieczonego trolla?

- Nie. - Znała już takie widoki. - Mam nadzieję, że go jeszcze nie ruszyli. Chciałabym zrobić własne zdjęcia.

- Hale, chcesz wydać album?

Uśmiechnęła się tylko i ruszyli do budynku. Pilnujący go funkcjonariusze skinęli im przyzwalająco głowami, więc schylając się, przeszli pod policyjną taśmą.

Po pożarze i jego gaszeniu z pierwszej kondygnacji pozostało rumowisko zwęglonego i namiękłego drewna, wypalonych płytek sufitowych, powyginanego metalu i rozbitego szkła. Ze wstępnych informacji wynikało, że ten stary budynek stanowił schronienie dla ćpunów. Spodziewała się, że pod zwaliskiem mogą być igły, więc wciągnęła na ręce skórzane rękawiczki ochronne.

- Chcesz, żebym zrobiła siatkę pól tu na dole?

- Nie, ja się tym zajmę. - O'Donnell rzucił okiem na pogorzelnisko i wyciągnął notatnik, aby zrobić kilka szkiców sytuacyjnych. - Jesteś młodsza ode mnie. Ty wejdiesz na górę.

Spojrzała na drabinę ustawioną w miejscu schodów, które się zawaliły. Mocniej uchwyciła swój zestaw polowy, ostrożnie podeszła do niej i zaczęła się wspinać po szczeblach na piętro.

Płyty gipsowe - skonstatowała ponownie, oglądając ślady wypaleń. Zatrzymała się, żeby zrobić do dokumentacji zdjęcia ścian i parteru z piętra.

Ślady wypaleń wskazywały, że ogień wędrował do góry, jak to lubił najbardziej, a następnie szedł po suficie. Miał tu dużo materiału palnego i tlenu podtrzymującego żywot płomieni.

Duża część pierwszego piętra zapadła się i teraz należała do zwałów gruzowiska przeczesywanego przez O'Donnella. Tutaj też sufit był wypalony. Na swej drodze ogień sycił się panelami, sklejką, płytami gipsowymi i rupieciami pozostawionymi przez dzikich lokatorów.

Patrzyła na pozostałości po starym, wyściełanym fotelu i jakimś metalowym stoliku. Gładka powierzchnia sufitu pozwalała ogniowi gnać na oślep, a dym i gazy mogły się rozprzestrzeniać we wszystkich kierunkach.

Pożar nie oszczędził też niezidentyfikowanego jeszcze mężczyzny, którego zwłoki leżały teraz skulone na podłodze, w miejscu, gdzie prawdopodobnie była szafa ścienna. Obok nich, zresztą w dość dużej odległości, przykucnął jakiś mężczyzna.

Miał rękawiczki, buty robocze i wełnianą czapkę uszatkę oraz chustkę w czerwonej kratę, owiniętą kilka razy wokół szyi i brody.

- Hale z wydziału podpaleń - rzuciła Reena, stając ostrożnie na skraju podłogi.

- Peterson, medycyna sądowa.

- Co może pan o nim powiedzieć?

- Upieczony żywcem - odparł, wykrzywiając się i patrząc ponuro. Oceniała, że miał czterdzieści parę lat. Był czarnoskóry, wysoki i nawet warstwy zimowego ubrania nie zdołały zakamufłować, że jest chudy jak patyk. - Wygląda, jakby ten pieprzony debil myślał, że ucieknie przed ogniem, wczolgując się do szafy. Najpierw musiał go dopaść dym, potem się upiekl. Powiem coś więcej, jak go dostanę.

Posunęła się ostrożnie do przodu, badając stopami podłogę.

Wiedziała, że jeśli udusił się dymem, to było dla niego błogosławieństwo. Ciało zostało całkiem wypalone, leżało z uniesionymi pięściami, jak to przeważnie bywa u każdej ofiary pożaru. To żar kurczył mięśnie, tak że wyglądało, jakby pięści w ostatnim geście próbowały odeprzeć płomienie.

Uniosła aparat, a gdy kiwnął przyzwalająco głową, zrobiła jeszcze kilka zdjęć.

- Dlaczego był tutaj sam? - zastanawiała się na głos. - Temperatura wczoraj w nocy była bardzo niska. Bezdomni chronią się wtedy w takich właśnie miejscach, a to było znane z ćpunów. Raport wstępny mówi o znalezionych na drugim piętrze kocach, paru starych krzesłach, a nawet małej kuchence do gotowania.

Peterson nic nie powiedział, kiedy przykucnęła obok zwłok.

- Nie ma jakichś widocznych obrażeń?

- Nie zauważyłem. Może coś znajdę, jak go dokładnie obejrzę. Myśli pani, że ktoś podłożył ogień, aby zamaskować morderstwo?

- Takie rzeczy się zdarzają. Ale najpierw trzeba wykluczyć wypadek. Dlaczego był tu sam? - powtórzyła. - Jak długo może potrwać identyfikacja?

- Potrzeba paru dokumentów. Uzębienie. Kilka dni. Podobnie jak O'Donnell wyciągnęła notes i zrobiła kilka szybkich szkiców uzupełniających do zdjęć.

- Mężczyzna, około metra siedemdziesięciu - osiemdziesięciu. Nikomu nie udało się dotrzeć do właściciela. Czy to nie ciekawe?

Zaczęła przeszukiwać pomieszczenie, dzieląc je uprzednio na pola jak archeolog

wykopalisko. Kolejna warstwa, segregowanie, dokumentacja i do torby.

Ślad wypalony na najdalszej ścianie wskazywał jej zdaniem na substancję łatwopalną; podobnie twierdził inspektor straży pożarnej. Pobrała próbki, włożyła do pojemników, podpisała.

Żarówka nad jej głową była na wpół stopiona. Zrobiła kolejne zdjęcie, jeszcze jedno sufitu i śladu wypalenia.

Poszła dalej przez nasiąkniętą wodą rumowisko i popiół. Cztery mieszkania - myślała, przypominając sobie zdjęcia sprzed pożaru. Niezamieszkanymi, niszczącymi, zarejestrowanymi.

Przejechała palcem w rękawicze w dół ściany po zwęglonym drewnie, wybrała jeszcze trochę próbek. Potem powąchała je z zamkniętymi oczami.

- O'Donnell! Mam tu na górze coś, co wygląda jak wiele źródeł ognia. Dowód na substancję łatwopalną. W tej starej podłodze było mnóstwo pęknięć i ubytków, gdzie mogła się gromadzić.

Opadła na czworaka i schyliła głowę nad postrzępioną wyrwą w miejscu, gdzie podłoga zapadła się do niższej kondygnacji. O'Donnell miał wyznaczoną siatkę pól i pracował sektorami.

- Chcę jeszcze raz sprawdzić właściciela, niech ktoś w bazie zdobędzie informacje.

- To zadzwoń.

- Chcesz zobaczyć te ślady na górze?

- Koniecznie mam windować swój stary tyłek po tej drabinie?

Wyszczrzyła do niego zęby z góry.

- Chcesz usłyszeć moją wstępną roboczą tezę?

- Dowody, Hale, najpierw dowody, potem teza. - Przerwał na chwilę. - Zresztą powiedz.

- On wzniecił ogień po złej stronie. Powinien to zrobić tam, w drugim końcu, jak najdalej od schodów, i odejść w ich stronę, gdzie była droga ucieczki. Ale, głupi, zaczął podpalać tuż przy schodach, a potem coraz dalej od nich. Może był pijany lub naćpany albo to zwykły przygłup, ale sam się złapał w pułapkę. W końcu upiekł się w szafie.

- Znalazłaś kanister lub jakiś pojemnik na ciecz łatwopalną?

- Nie. Może jest gdzieś tu przysypany. Albo tam na dole. - Pokazała palcem. - Rzucił go tutaj w panice, bo ogień go gonił. Płomień doszedł do pojemnika i buum, masz swoją dziurę w podłodze i pierwsza kondygnacja wznosi się do góry, a zgliszcząca piętra spadają na dół.

- Skoro jesteś taka bystra, to zejdz i poszukaj w tych sektorach.

- Już idę. - Ale najpierw odczołgała się od dziury i wyciągnęła komórkę.

To była ohydna i żmudna praca. Uwielbiała ją. Wiedziała, dlaczego O'Donnell pozwala jej tam szukać, i była mu wdzięczna. Chciał zobaczyć, czy da sobie radę z brudem i fetorem, z monotonią i trudem fizycznym tej pracy.

Chciał się też przekonać, czy potrafi myśleć.

Gdy pod hałdą gruzu i popiołu znalazła czterdziestolitrowy kanister, była w domu.

- O'Donnell?

Odwrócił się od tego, co właśnie przesiewał, i zacisnął usta.

- Jeden punkt dla nowicjuszek - powiedział.

- Ma poprzebijane dno. Porozlewał to stróżkami i podpalił, porozlewał, podpalił. Na górze są wyraźne smugi. Nieboszczyk nie mógł być ani przypadkową ofiarą, ani celem zamachu. Ślady ognia na to nie wskazują. Podpalacz musiał wpaść w pułapkę. Na parterze i pierwszym piętrze są kraty w oknach, więc nikt tamtędy nie uciekł. Założę się, że ofiarą ognia padł sam właściciel.

- A nie jakiś piroman czy ćpun, który go nienawidził?

- Wezwani strażacy zameldowali, że wszystkie drzwi są zamknięte. Musieli wyważać zamki antywłamaniowe. A kraty? Kto wstawia je w oknach na pierwszym piętrze? I są całkiem nowe. W każdym razie na takie wyglądają. Robi to właściciel. Rygluje cały dom, żeby nie wchodziła tu uliczna hołota. On też ma klucze.

- Skończone, zapisać. Mogłabyś to zrobić, Hale.

- O tak, zapiszę. Czekałam na to od jedenastego roku życia.

Tego wieczoru, jeszcze bardzo ożywiona, Reena siedziała naprzeciwko Fran w Sirico's i pałaszowała makaron z sosem *marinara*.

- No więc nie możemy znaleźć właściciela budynku, który wziął pod jego zastaw trzy oddzielne kredyty i solidnie tę nieruchomość ubezpieczył. Od ludzi, których przesłuchaliśmy, wiemy, że się skarżył na bezdomnych i narkomanów dewastujących jego inwestycję, i że nie był w stanie jej oddłużyć. Mój wniosek: lekarz sądowy zidentyfikuje naszą ofiarę jako właściciela lub ten ostatni zniknął jak kamfora po źle wykonanym zadaniu podpalenia. Wciąż przed nami dużo pracy na miejscu wypadku, ale to zaczyna się układać w całość. Jak w podręczniku.

- Słuchajcie no. - Fran zaśmiała się, sącząc wodę mineralną. - Moja siostrzyczka oficerem śledczym. Niech tylko mama i tata usłyszą, że rozpracowałam swoją pierwszą sprawę.

- I tak, i nie. Mam jeszcze wiele do zrekonstruowania, trochę przesłuchań i

sprawdzenia faktów. Ale miałam nadzieję, że oni zadzwonią, jak tutaj będę.

- Reeno, we Florencji jest po pierwszej w nocy.

- No tak. - Kiwnęła głową. - Tak.

- Dzwonili dziś po południu. Wspaniale się bawią. Tata namówił mamę, żeby wypożyczyli taki mały skuter. Wyobrażasz ich sobie śmigających po Florencji jak para dzieciaków?

- Jasne. - Reena uniosła kieliszek z winem w geście toastu i napiła się. - Nie mogliby tego robić, gdyby nie ty.

- Nieprawda.

- Szczera prawda. To ty wszystko ciagniesz. Wzięłaś na siebie taką odpowiedzialność i pracujesz tu, żeby mogli sobie trochę popod różować. A jeśli Bella wzięła tu do ręki choćby jeden kieliszek, to tylko po to, żeby się napić przy rzadkich okazjach, gdy wpada do Sirico's. Ja nie jestem lepsza.

- Obsługiwałaś stoliki w ostatnią niedzielę i pomagałaś ponad godzinę we wtorek po całym dniu pracy.

- Mieszkam na górze, to nic wielkiego. - Dodała jednak z przewrotnym uśmiechem: — Ale o Belli nie wspomniałaś.

- Bella to Bella. No i ma na głowie trójkę dzieci.

- Oraz nianię, gospodynię i ogrodnika - przepraszam, zarządcę gruntów. - Reena machnęła ręką, zauważywszy marsa na czole Fran. - Dobrze, nie patrz tak na mnie. Już daję spokój. Właściwie nie jestem na nią zła. Po prostu czuję się trochę winna, że ty bierzesz na siebie lwią część roboty. A zaraz po tobie Xander, chociaż ma tyle nauki na uczelni medycznej.

- Daj spokój. Wszyscy robimy to, co dla nas najważniejsze. - Fran spojrzała na mężczyznę ugniatającego ciasto na blacie kuchennym i posłała mu uśmiech.

Miał duże dłonie i prostą, miłą twarz. Jasnorude włosy opadały mu na czoło kosmykami niczym języki ognia. Kiedy patrzył na żonę, jak teraz, oczy jaśniały mu radością.

- I kto by pomyślał, że zakochasz się w Irlandczyku, który polubi gotowanie włoskich potraw - powiedziała Reena z rozbawieniem i zjadła jeszcze trochę makaronu. - Czy wiesz, że ty i Jack wciąż macie w oczach blask, choć to już chyba trzy lata jesteście razem.

- Dwa minęły zeszłej jesieni. Ale ten dzisiejszy blask może być spowodowany czymś wyjątkowym. - Fran wyciągnęła ręce i ścisnęła obie dłonie Reeny - Już dłużej nie wytrzymam. Miałam z tym poczekać, aż skończysz jeść, i z Jackiem powiemy ci razem, ale to już ponad moje siły.

- Boże wielki, jesteś w ciąży!

- Cztery tygodnie. - Policzki jej się zaróżowiły. - Dopiero. Powinnam zamknąć usta i trzymać to dla siebie. Ale nie umiem i...

Urwała, gdy Reena skoczyła i rzuciła się jej na szyję.

- Rany Julek, rany Julek! Zaraz! - Odskoczyła, obiegła dookoła stół kuchenny i wskoczyła Jackowi na barana. - Tatusiu!

Jego twarz przybrała ten sam kolor co włosy, gdy wycisnęła mu na policzku całusa.

- Szampan dla wszystkich! Ja stawiam.

- Chcieliśmy to na razie trzymać w rodzinie. - Jack uśmiechnął się niepewnie, gdy szwagierka zeskoczyła z jego pleców.

Ona tymczasem już patrzyła, jak wszyscy wiwatują i spieszą pogratulować Fran.

- Za późno. Przyniosę wino.

Nowina Fran i pierwszy dzień prawdziwej pracy sprawiły, że Reena wypła trochę więcej, niż powinna. Jednak czuła się przyjemnie podchmielona, gdy szła wokół budynku do schodów na tyłach, wiodących do jej mieszkania.

Gina i Steve już prawie rok temu się pobrali i właściwie nie było powodu wynajmować dalej trzypokojowego mieszkania.

Rodzice też uważali za trochę niemądre, iż tam mieszkała, chociaż jej pokój w domu był cały czas wolny. Ciągłe ją strofowali, że niepotrzebnie płaci ten czynsz. Musiała im przypominać, iż sami ją wychowali na osobę odpowiedzialną za własne życie.

Mieszkanie było dla niej pierwszym krokiem w tym kierunku. Docelowo chciała mieć własny dom. Ale to przyszłość. Poza tym w mieszkaniu nad restauracją było coś miłego i przytulnego, no i na wyciągnięcie ręki miała rodziców. A Fran i Jacka na sąsiedniej ulicy.

Gdy wyszła na tył budynku, ujrzała światło w swoim salonie. Instynktownie rozpięła płaszcz, żeby mieć łatwy dostęp do broni. W ciągu dotychczasowych lat praktykowania w jednostce tylko dwa razy musiała ją wyciągać i mieć w pogotowiu. Zawsze dziwnie się czuła, trzymając pistolet w ręku.

Zaczęła wchodzić po schodach, przypominając sobie dokładnie, co robiła od rana. Wyszła przed świtem, może zapomniała zgasić światło. Ale przecież miała nawyk wyłączania, bo matka nie tolerowała marnowania prądu, i wpajano jej to od urodzenia.

Dotykając jedną ręką broni, chwyciła za klamkę drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte. Gdy się otworzyły, do połowy wyciągnęła pistolet z kabury. A potem z westchnieniem ulgi schowała go z powrotem na miejsce.

- Luke! Długo tu jesteś?

- Ze dwie godziny. Mówiłem ci, że mogę wpaść dziś wieczorem.

Rzeczywiście - pomyślała, a tymczasem bicie jej serca wróciło do normalnego rytmu. Zapomniała. Ale ucieszył ją widok chłopaka. Weszła do środka i nadstawiła usta.

Pocałował ją pospiesznie i jakby od niechcienia, aż zdumiona uniosła brwi. Zwykle nie mógł się doczekać, kiedy jej dopadnie. Ona zachowywała się podobnie. Luke Chambers emanował jakąś seksowną wytwornością, zmysłowym szykiem, który działał na nią podniecająco. Podobnie jak jego gorliwość i romantyzm w adorowaniu jej od chwili, gdy się poznali.

Lubiła, gdy ktoś się o nią starał, przynosił kwiaty i dzwonił, zabierał na romantyczne kolacje i długie spacery nad wodą.

Sprawiało jej wielką radość, gdy ktoś widział w niej prawdziwą, delikatną kobietę. Była to dla Reeny jakaś odmiana, gdyż uchodziła za silną i pewną siebie.

Pewnie dlatego nie musiał długo czekać, aż znajdzie się z nim w łóżku. Ale dopiero po trzech miesiącach dała mu klucz do mieszkania.

- Zatrzymałam się na dole, żeby zjeść kolację, i złapałam Fran. - Odwinęła szalik, ściągnęła rękawiczki i czapkę, po czym zakreśliła się w miejscu. - Luke, miałam dziś wspaniały dzień i dowiedziałam się czegoś najwspanialszego, gdy...

- Dobrze, że ktoś miał. - Odsunął się od niej, wyłączył telewizję, którą przedtem oglądał, i ciężko opadł na krzesło.

No dobrze - pomyślała - jest seksowny, interesujący i często uroczo romantyczny, ale wymaga też dużo zachodu. Nie przeszkadzało jej to. A właściwie nawet przebywanie głównie w świecie mężczyzn sprawiało, że lubiła okazywanie czułości i niekiedy pocieszanie drugiej osoby w związku.

- A ty miałaś ciężki? - Zdjęła płaszcz i wszystko razem schowała do wąskiej szafy w ścianie.

- Moja asystentka złożyła dwutygodniowe wymówienie.

- Ach tak? - Reena przeczesła palcami swoje długie loki, zastanawiając się, czy nie zmienić uczesania, ale zaraz poczuła się winna, że nie słucha uważnie. - To przykre. - Pochyliła się, aby rozsznurować buty. - Dlaczego odchodzi?

- Na litość boską, postanowiła, że chce wrócić do Oregonu. Tak po prostu. Teraz muszę przesłuchiwać kandydatów, znaleźć kogoś, kogo ona zdąży przyuczyć, zanim odejdzie. I to wszystko dziś po trzech spotkaniach na mieście. Głowa mi pęka.

- Dam ci aspirynę. - Podeszła i pocałowała go w głowę. Miał takie miłe, jedwabiste włosy, brązowe w odcieniu nerek, tak samo jak oczy.

Kiedy się podniosła, wziął ją za rękę i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Dzięki. Ostatnie spotkanie skończyło się późno i chciałem cię tylko zobaczyć.

Odprężyć się.

- Trzeba było wstąpić na dół. Sirico's ma zawsze w menu odprężenie.

- Ale i hałas - odparł, gdy szła do łazienki. - Miałem nadzieję na cichy wieczór.

- Teraz jest cicho. - Wyjęła buteleczkę i weszła z nią do małej kuchni z niezniszczalną starą kuchenką i wesołymi, żółtymi blatami. - Ja też wezmę dwie aspiryny. Wypiłam na dole dużo szampana. Mamy wielkie święto.

- Taaak, widać było, że się świetnie bawisz. Zajrzałem przez okno, zanim tu przyszedłem.

- No to trzeba było chociaż się pokazać. - Podała mu aspirynę i wodę.

- Bolała mnie głowa, Cat. Nie chciałem siedzieć w hałaśliwej restauracji i czekać, aż skończysz zabawę.

Skoro cię bolała głowa - pomyślała - to dlaczego, do licha, nie wzięłaś wcześniej aspiryny? Mężczyźni są jak dzieci.

- Mogłabym skończyć wcześniej, gdybym wiedziała, że tu jesteś. Fran jest w ciąży - oznajmiła.

- Hmm?

- Moja siostra Francesca. Odkryli z Jackiem, że będą mieli dziecko. Gdy mi to mówiła, jej twarz mogłaby oświetlić całe Baltimore.

- Niedawno się pobrali?

- Już dwa lata, ale próbowali od samego początku. W mojej rodzinie od razu zakładamy przedszkole. Bella ma już trójkę i mówi o jeszcze jednym.

- Czworo dzieci w naszych czasach. To nieodpowiedzialne.

Oparła się o poręcz krzesła i pomasowała mu bark.

- Tak to jest w dużej włoskiej rodzinie katolickiej. A oni z Vince'em mogą sobie na to pozwolić.

- Ale ty nie masz zamiaru rodzić co drugi rok, prawda?

- Ja? - Roześmiała się i wypła wodę. - Dla mnie dzieci to odległa przyszłość. Dopiero startuję w zawodzie. *A propos* zawodu, prowadziłam dziś swoją pierwszą sprawę. Słyszałeś o pożarze z jedną ofiarą w tej niezamieszkannej kamienicy na Broadwayu?

- Nie miałem dziś czasu na wiadomości. Pracowałem dwanaście godzin. Musiałem długo skakać wokół jednego potencjalnego klienta, bardzo ważnego.

- Świetnie, że masz ważnego klienta.

- Jeszcze go nie mam, ale nad tym pracuję. - Ręka Luke'a o długich palcach i wąskiej dłoni przesunęła się delikatnie po jej nodze. - Umówiłem się na kolację z nim i jego żoną w czwartek wieczorem. Włóż coś wyjątkowego, dobrze?

- W czwartek? Luke, w czwartek moi rodzice wracają z Włoch. Mamy wspólną kolację w domu. Mówiłam ci.

- Więc spotkasz się z nimi w piątek lub w weekend. Na litość boską, przecież mieszkacie obok siebie. A to poważny klient, Cat.

- Rozumiem. Szkoda, że nie będziesz mógł przyjść na powitalną kolację.

- Czy ty mnie słuchasz?! - Ręka na jej nodze zacisnęła się w pięść. - Musisz być ze mną. Takie spotkanie towarzyskie jest konieczne do sfinalizowania całej sprawy. Tego się od nas oczekuje. To już ustalone.

- Przykro mi. Mój wieczór też jest i był ustalony, zanim umówiłeś się na czwartek. Jeśli zechcesz to przelożyć, to ja...

- Dlaczego ja miałbym przekładać? - Podniósł się z krzesła i rozłożył ręce. - To są interesy. Dla mnie wielka szansa. Może oznaczać awans, na który tyle pracowałem. A ty w końcu cały czas jesteś z rodziną. Wielka mi sprawa, żeby akurat wtedy jeść jakieś pieprzone spaghetti, jeśli możesz to samo zrobić każdego innego dnia.

- Akurat mamy w planie *manicotti*. - Zerwała się na nogi, dając gwałtowny upust swej irytacji. - Moich rodziców nie było prawie trzy tygodnie. Obiecałam, że u nich będę, chyba że mnie wezwą do akcji. W domu czeka na nich wiadomość, że najstarsza córka oczekuje pierwszego dziecka. W moim świecie to jest najważniejsze, Luke.

- Czyli moje potrzeby się nie liczą?

- Oczywiście, że się liczą. I gdybyś mnie spytał, zanim wszystko zaplanowałeś, przypomniabym ci, że czwartek mam zajęty, i zaproponowałbyś im inny wieczór.

- Klient chce się spotkać w czwartek, klient ma wolny czwartek - wyrzucił z siebie ze złością, aż mu poczerwieniały policzki. - W moim świecie tak to działa. Czy masz w ogóle jakieś pojęcie, co to jest konkurencyjne planowanie finansowe? Ile czasu i wysiłku pochłania ubicie miliardowego interesu?

- Raczej nie. - Być może był to jakiś feler, ale w ogóle się tym nie przejmowała. - Wiem, że ciężko pracujesz i że to dla ciebie ważne.

- Tak, właśnie widać.

Kiedy się odwrócił, wzniosła za jego plecami oczy do nieba. Ale zaraz podeszła do niego, gotowa załagodzić sytuację.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro. Jeśli jest jakaś możliwość, żebyś przeniósł to na

inny dzień, to ja...

- Już ci powiedziałem. - Znów rozłożył ręce, jednocześnie się odwracając. Grzbiet jego dłoni zahaczył mocno o jej policzek.

Odkoczyła do tyłu, oczy jej się rozszerzyły i przycisnęła palce do pięknego policzka.

- O Boże, o mój Boże, Cat. Przepraszam, nie chciałem... Coś ci zrobiłem? Jezu. - Ujął obie dłonie Reeny, a jego twarz wyrażała takie samo zmieszanie, jakie - jak przypuszczała - malowało się na jej twarzy. - To niechcący, przysięgam.

- W porządku.

- Po prostu podeszłaś. Nie spodziewałem się... Jestem taka pieprzona niezdara. Boże, pokaż mi, nie ma sińca?

- To tylko lekkie klepnięcie. Rzeczywiście tak było - pomyślała. Bardziej szok niż ból.

- Zaczerwieniło się - mruknął, dotykając delikatnie jej policzka. - Czuję się potwornie. Jak jakaś bestia. Twoja śliczna twarz.

- Nic się nie stało. - W końcu to ona musiała go uspokajać. - Zrobiłeś to niechcący, a ja nie jestem w końcu taka delikatna.

- Dla mnie jesteś. - Przyciągnął ją do siebie. - Przepraszam. Przede wszystkim nie powinienem przychodzić w takim podłym nastroju. Pragnąłem cię tylko zobaczyć. No, a ty bawiłaś się na dole. Chciałem tylko trochę z tobą pobyc.

Musnął wargami jej policzek.

- Potrzebowałem cię.

- No i jestem. - Dotknęła jego włosów. - I naprawdę przepraszam, że nie mogę pójść z tobą w czwartek.

Odsunął się trochę i powiedział z uśmiechem:

- Może potrafisz mi to jakoś wynagrodzić.

Kochali się i było dobrze. Z Luke'em zawsze było dobrze. A z powodu sprzeczki i tego policzka okazał się wyjątkowo czuły. Jej ciało rozpałiło się pod jego ciałem, zmęczone całym długim dniem mięśnie się rozluźniły. I gdy jej organizm wzniósł się na szczyt, umysł się oczyścił.

Zadowolona i śpiąca, przytuliła się do niego zwinięta w kłębek.

- Masz zamiar kiedykolwiek kupić większe łóżko? - zapytał.

W ciemności posłała mu uśmiech.

- Za parę dni.

- Może przyjedziesz do mnie na weekend? W sobotę wieczorem możemy pochodzić po klubach, a w niedzielę zjemy późne śniadanie.

- Mhm. Może. Nie wiem, czy nie będę musiała pomóc na dole na południowej zmianie w sobotę. Ale później tak. Może tak.

Przez chwilę milczał, więc pomyślała, że zasnął.

- Mogłabyś załatwić sprawy z rodzicami wcześniej w czwartek, zrezygnować z kolacji i spotkać się ze mną o siódmej w restauracji.

- Luke, nie mogę tak zrobić.

- Dobrze - powiedział nadąsanym głosem, przekręcił się i wstał z łóżka. - Jak zwykle będzie po twojemu.

- To nie w porządku, dobrze o tym wiesz.

- Nie w porządku - rzucił gniewnie, zaczynając się ubierać - jest twoja niechęć do pójścia na kompromis. To jak wszystko układasz przede mną.

Całe jej uniesienie wyparowało.

- Jeśli naprawdę tak czujesz, to nie rozumiem, co jeszcze ze mną robisz.

- W tym momencie ja też nie. Bierzesz więcej, niż dajesz, Cat. - Zapinał koszulę szybkimi, nerwowymi ruchami. - Jeszcze trochę, a zostanę z niczym.

- Daję ci wszystko, co mam najlepszego. Wsunął stopy w buty.

- To żałosne.

Gdy wyszedł, leżała, rozmyślając. Czy naprawdę jest taką egoistką? Taką emocjonalną sknerą? Zależało jej na Luke'u, ale czy tak naprawdę obchodziła ją jego praca? Nie-szczególnie - przyznała - bo była zbyt pochłonięta własną.

Może to jej „najlepsze” jest żałosne.

Przewracała się z boku na bok w ciemnościach, długo nie mogąc zasnąć.

Gdy Reena weszła z O'Donnellem do pomieszczeń swojego oddziału po całym dniu pukania do różnych drzwi, przesłuchiwanie świadków, zdobywania oświadczeń byłej żony, byłego partnera w interesach i obecnej dziewczyny właściciela budynku, większą część jej biurka zajmowały rozłożone na nim trzy tuziny długich, białych róż.

Kwiaty wywoływały mnóstwo komentarzy wśród jej kolegów z jednostki, ale na widok załączonego do nich bilecika uśmiechnęła się.

Cat,

przepraszam. Idiota

Mimo to nie pozwoliła sobie nawet powąchać róż, dopóki nie przeniosła ich do pomieszczenia gospodarczego, żeby zrobić sobie miejsce do pracy na biurku.

Musiała napisać raporty. Choć tożsamość ofiary pożaru nie była jeszcze potwierdzona, właściciel nadal się nie odnalazł.

Razem z O'Donnellem poszli do biura naczelnika, żeby złożyć raport.

- Czekamy na wyniki z laboratorium - zaczął O'Donnell. - Właściciel, James R. Harrison, był ostatnio widziany, jak tankował parę kielonków w lokalu o nazwie Fan Dance - klubie striptizerskim kilka ulic od miejsca zajścia. Mamy pokwitowanie jego płatności kartą kredytową o dwunastej czterdzieści. Zarejestrowana na niego ciężarówka ford stoi zaparkowana na tyłach budynku.

Wzrokiem dał Reenie znak, żeby kontynuowała.

- Pod rumowiskiem na parterze leżały skrzynka na narzędzia i śrubokręt z ostrzem, które idealnie pasuje do dziur w dnie kanistra znalezionej na miejscu zdarzenia. Pięć lat temu Harrison został zatrzymany za oszustwo, więc mamy w archiwach odciski jego palców. Zgadza się z tymi, które wzięliśmy ze skrzynki na narzędzia, śrubokręta i kanistra. Lekarz sądowy nie był w stanie pobrać żadnych odcisków z ciała ofiary, więc pracują nad uzębieniem.

- Powinniśmy mieć to jutro - dodał O'Donnell. - Rozmawiałem z kilkoma jego współnikami. Miał poważne problemy finansowe. Lubił konie, ale - niestety - bez wzajemności.

Kapitan Brant skinął głową i usiadł. Jego włosy były białe jak śnieg, a oczy zimnobłękitne. Na biurku trzymał oprawione zdjęcia wnuków, które lśniły czystością jak salon firmowy jej ciotki Carmeli.

- Wygląda więc na to, że sam podpalił ten dom, żeby wyłudzić kasę od firmy ubezpieczeniowej, i uwięził się w środku.

- Wszystko na to wskazuje, panie kapitanie. Lekarz sądowy nie znalazł żadnych śladów przestępstwa: okaleczeń ani urazów. Wciąż czekamy na wyniki toksykologiczne - dodała Reena - ale brak jakiegokolwiek poszlaki wskazującej, żeby ktoś pragnął jego śmierci. Miał małą polisę ubezpieczeniową na życie. Pięć tysięcy. Dostanie to była żona. Nie zmienił beneficjenta. Ona wyszła ponownie za mąż, ma pracę w pełnym wymiarze, podobnie jak jej małżonek. Nie wygląda na to, żeby była zainteresowana jego śmiercią.

- Dokończ to. Szybka robota - powiedział.

- Ja napiszę raport - zaproponowała, gdy wracali z O'Donnellem do swojego biura.

- Próbuj. Ja mam inną papierkową robotę. Usiadł. Jego biurko było naprzeciwko.

- To twoje urodziny czy coś w tym stylu?

- Nie, a dlaczego? A, te kwiaty. - Usadowiła się z notatkami przed klawiaturą. - Facet, z którym się spotykam, był wczoraj wieczorem trochę niemiły. Chce mi to wynagrodzić.

- Ma klasę.

- Taaak, jest w tym niezły.

- To coś poważnego?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. A co, uderzasz do mnie?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale końce uszu mu poczerwieniały.

- Moja siostra ma takiego chłopaka, który coś tam dla niej robi. Stolarz. Dobrze mu to idzie. Mówi, że miły chłopiec. Chciałaby go z kimś spiknąć.

- I co, myślisz, że pójdę na randkę w ciemno ze stolarzem twojej siostry?

- Obiecałem jej, że popytam. - Uniósł ręce. - A to ładny chłopiec, przynajmniej ona tak twierdzi.

- No to niech sobie sam znajdzie dziewczynę - doradziła Reena i zabrała się do pisania raportu.

Bo przelknął ostatnie ciasteczko z masłem orzechowym i popił zimnym mlekiem. Potem, siedząc przy zbudowanym przez siebie bufecie kuchennym, przesadnie głośno westchnął.

- Pani M., jeśli pozbędzie się pani tego swojego męża, zbuduję pani dom z marzeń. W zamian poproszę tylko o te ciasteczka z masłem orzechowym.

Obdarzyła go szerokim uśmiechem i pacnęła ścierką do naczyń.

- Ostatnim razem to była szarlotka. Potrzebujesz młodej, miłej dziewczyny, żeby się o ciebie troszczyła.

- Już mam. Panią.

Roześmiała się. Naprawdę lubił sposób, w jaki się śmiała, odrzucając głowę w tył. Była trochę zaokrąglona - i on pójdzie w jej ślady, jeśli dalej będzie go karmiła ciasteczkami. Miała ogniste włosy jak światło „stop”, pełne kędzierzawych loczków.

Mogłaby być jego matką, i to o wiele zabawniejszą niż ta, którą przydzielił mu los.

- Potrzebujesz dziewczyny w swoim wieku. - Stuknęła go palcem. - Taki przystojny chłopak.

- Ale jest ich tak dużo, że trudno wybrać. I żadna tak mnie nie ujęła za serce jak pani.

- Mów dalej. Jesteś lepszy w pochlebstwach niż mój stary dziadek. A on był Irlandczykiem z krwi i kości.

- Spotkałem kiedyś jedną dziewczynę, ale ją zgubiłem. Dwa razy.

- Jak to?

- Zwyczajnie, zobaczyłem ją w tłumie, - Uniósł ręce i strzelił palcami. - I wyparowała.

Wierzy pani w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Oczywiście, że tak.

- Może to było coś takiego. A teraz błąkam się bez celu, aż znów ją spotkam. Raz mi się wydawało, że to ona, ale znów zniknęła. No, muszę już iść.

Wstał ze stołka, prostując swoje sto osiemdziesiąt osiem centymetrów szczupłych mięśni. Lata fizycznej pracy wyrzeźbiły mu ciało, zahartowały go.

Może Bridgett Mallory była dwa razy starsza od niego, ale nadal pozostawała kobietą i podobał jej się ten przystojny chłopak.

To prawda, miała do niego słabość. Gdyby nie jego talent i uczciwość, nie pozwoliłaby mu tak siebie oczarować przez ostatnie sześć miesięcy - była na to zbyt praktyczna.

- Jeszcze ci znajdę dziewczynę. Zapamiętaj moje słowa.

- Upewnij się, czy umie piec ciasto. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Proszę ode mnie pozdrowić pana M. - dodał, wkładając kurtkę. - I zadzwonić, jeśli będę do czegoś potrzebny.

Podala mu torbę ciastek.

- Znam twój numer, Bowen, tak dobrze jak ciebie. Poszedł do swojej furgonetki. Czy może się jeszcze ochłodzić? - zastanawiał się, idąc alejką, którą wykopał w śniegu od schodków do podjazdu. Ziemia była biała, pokryta śniegiem zamrożonym na lód, a ołowianoszare niebo obiecywało znacznie więcej białego puchu.

Postanowił w drodze do domu zatrzymać się przy supermarkecie. Mężczyzna nie da rady odżywiać się wyłącznie ciasteczkami z masłem orzechowym. Może i nie miałby nic przeciwko znalezieniu kobiety, która potrafiłaby gotować, ale sam już radził sobie z tym nie najgorzej.

Wsiadł do samochodu i poklepał kierownicę. Miał teraz własną firmę. Goodnight - Usługi Stolarskie. Razem z Bradem zdołali już kupić, wyremontować i odsprzedać parę małych domów.

Pamiętał, jak namawiał kolegę na tę pierwszą inwestycję, wmawiając mu, że rozpadająca się rudera to prawdziwy klejnot. Musiał przyznać, że Brad wykazał się fantazją - i bezgraniczną wiarą.

Swojej babce był wdzięczny za okazanie mu zaufania i wyasygnowanie pewnej kwoty pieniędzy. To mu przypomniało, że powinien do niej zadzwonić po powrocie do domu i zapytać, czy nie ma czegoś do naprawy.

Harowali z Bradem jak woły, remontując ten pierwszy dom. Mieli spory zysk, oddali babci pieniądze z procentem. A resztę znów zainwestowali.

Gdy myślał o tym, cofając się pamięcią, powinien za to, co teraz ma, podziękować nieżyjącemu chłopakowi. Nie wiedział do końca, dlaczego tamto wydarzenie - śmierć kogoś zupełnie obcego - zmieniło jego życie. Ale kazało mu to przestać w życiu dryfować, a zacząć działać.

Josh - przypomniał sobie, wyjeżdżając z dziedzińca domu Mallorych przy Owen's Mili. Mandy była tamtą sprawą naprawdę załamana. Co dziwne, między innymi właśnie pożar i śmierć chłopaka scementowały ich przyjaźń.

A Brad i... do licha, jak ona miała na imię? Ta niska blondynka, za którą wtedy tak szalał jego przyjaciel. Carrie? Cathie? A do cholery, co za różnica. I tak nic z tego nie wyszło.

Teraz kolega ugania się za zmysłową brunetką uwielbiającą tańczyć salsę.

A jego blondynka, którą ujrzał na przyjęciu wieki temu, wciąż od czasu do czasu zaprzętała mu myśli. Miał przed oczami tamtą twarz, kaskady loków i mały pieprzyk koło ust.

To już było tak dawno. Nigdy nie poznał jej imienia, dźwięku głosu, zapachu. Prawdopodobnie to dzięki temu tamto odległe wspomnienie niesło ze sobą nieznaną słodycz. Była taka, jaką sobie wymarzył.

Włączył się do ruchu, stwierdzając, że dziś chyba wszyscy w Baltimore wybrali się po pracy po zakupy. Wystarczyło trochę więcej śniegu i już ulice zakorkowane. Może sobie darować ten sklep i zjeść to, co ma. Albo po prostu zamówić pizzę.

Musiał przejrzeć rysunki do innego zlecenia i listę niezbędnych materiałów do domu, który właśnie z Bradem mieli zbudować.

Lepiej, jak poświęci czas na...

Gdy samochody na jego paśmie się zatrzymały, leniwie odwrócił wzrok w lewo.

Początkowo zauważył jedynie jakąś kobietę, naprawdę piękną, za kierownicą ciemnoniebieskiego chevroleta. Jej jasnokarmelkowe włosy, gęste i kręcone, wymykały się spod czarnej wełnianej czapki. Stukała palcami w kierownicę najwyraźniej w rytm jakiejś muzyki. Z jego radia płynęło *Growin' Up* Springsteena. Po rytmie, w jakim ruszały się jej palce, poznał, że słucha tej samej radiostacji. Zabawne.

Zaskoczony tym spostrzeżeniem, odwrócił się, żeby lepiej dojrzeć jej twarz.

To była ona. Dziewczyna z marzeń. Kości policzkowe, wykrój warg, mały pieprzyk.

Otworzył usta z wrażenia i szarpnął się, wyłączając silnik samochodu. Ona rzuciła spojrzenie w jego stronę i przez moment, w którym aż wstrzymał oddech, jej podłużne, ciemne oczy spotkały jego wzrok.

I wtedy znów przestał słyszeć muzykę. Pomyślał: jasna cholera! - a ona zmarszczyła brwi, odwróciła głowę i odjechała.

- Ale, ale... - zaczął się jąkać, co przywróciło go do rzeczywistości. Zaklął i zapalił silnik. Ale jego pas był zakorkowany, a jej posuwał się szybko. Gdy ściągnął z siebie pasy bezpieczeństwa i mocno pchnął drzwiczki, usłyszał jazgot klaksonów.

Naprawdę miał szalony zamiar biec jak jakiś wariat wzdłuż ulicy za tamtym samochodem. Ale już go za bardzo wyprzedziła. Za daleko - pomyślał wściekły sam na siebie - nawet żeby zobaczyć numer rejestracyjny.

- Masz ci los, znowu to samo - mruknął. I stał tak wśród trąbiących klaksonów, a z nieba spadały pierwsze płatki śniegu.

- Mimo wszystko to było dziwne. - Reena oparła się o ladę w kuchni Sirico's, gdzie jej matka już z powrotem obsługiwała piec. - To znaczy on był naprawdę atrakcyjny, jeśli

pominąć fakt, że rozdziawił usta tak szeroko, iż mógł tam wpaść rój much, a oczy wybałuszał, jakby mu ktoś wbił kij w tyłek. Po prostu czułam, jak się na mnie gapi. A gdy się spojrzałam, zrobił tak. - Reena pokazała jego minę.

- Może miał właśnie atak serca.

- Mamo! - Reena ze śmiechem schyliła się i pocałowała ją w policzek. - To był jakiś dziwak.

- Dobrze zamykasz drzwi?

- Mamo, jestem policjantką. A tak *a propos*, dostałam dziś następną sprawę. Para dzieciaków włamała się do własnej szkoły i podłożyła ogień w kilku klasach. Na szczęście dla nich niezbyt im się to udało.

- A gdzie byli ich rodzice?

- Nie wszyscy są tacy jak wy. Takie próby podpalenia to duży problem wśród dzieci. Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało, a zniszczenia były minimalne. Złapaliśmy ich razem z O'Donnellem, ale jeden... mam co do niego złe przeczucia. Myślę, że psycholog zgodzi się ze mną. Dziesięcioletek, a ma coś takiego w oczach. Pamiętasz Joeya Pastorellego? Takie spojrzenie.

- No to dobrze, że go złapałaś.

- Tym razem. No, muszę się wyszykować na dzisiejsze spotkanie.

- Dokąd idziecie dziś wieczorem?

- Nie wiem. Luke jest bardzo tajemniczy. Mam rozkaz włożyć coś fantastycznego i dlatego właśnie wstąpiłam do centrum handlowego kupić nową sukienkę, a potem spotkałam tego Dziwnego Faceta.

- A Luke, czy to już ten?

- Teraz tak. - Poglaskała matkę po plecach. Wiedziała już, że to nie znajomość na dłuższą metę. - Masz już zaobrączkowane Bellę i Fran, które rodzą ci wnuki.

- Przecież nie mówię, że masz wyjść za mąż i rodzić dzieci. Chcę tylko, abyś była szczęśliwa.

- Ja też chcę. I jestem.

Wybrał ekskluzywną francuską restaurację, toteż Reena była zadowolona, że rzuciła się na ciemnoniebieski aksamit. A ciepłe spojrzenie chłopaka przy powitaniu osłodziło jej rozdrażnienie sumą widniejącą na metce.

Ale gdy zamówił butelkę dom perignon i kawior, zrobiła wielkie oczy.

- Co się stało, co to za okazja?

- Jem kolację z piękną kobietą. Moją piękną kobietą - dodał, ujmując dłoń i całując

palce w taki sposób, że miękł każdy mięsień jej ciała. - Wyglądasz dziś fantastycznie, Cat.

- Dzięki. - Trochę się nad tym napracowała. - Ale coś się stało. Widzę to.

- Za dobrze mnie znasz. Poczekajmy na szampana - jeśli go tu kiedykolwiek podadzą.

- Nie ma pośpiechu. Możesz zabić czas, mówiąc mi jeszcze raz, jak fantastycznie wyglądam.

- W każdym calu. Uwielbiam, gdy masz w ten sposób ułożone włosy. Takie proste i lśniące.

Zabrało jej to mnóstwo czasu i przyprawiło o ból ramion od odkręcania na siłę loków za pomocą okrągłej szczotki i suszarki. Ale że najbardziej lubił u niej właśnie taką fryzurę, nie miała nic przeciwko, żeby co jakiś czas zrobić mu tę przyjemność. Skinął na kelnera, który przyniósł do stołu butelkę, i odsłonił jej nalepkę. Dotknął swojego kieliszka, wskazując, że on pierwszy spróbuje.

Gdy szampan został zaakceptowany i rozlany do kieliszków, Luke podniósł w górę swój.

- Za moją wyśmienitą, przepyszną Cat.

- Jeśli mam być podawana z tym, chętnie znajdę się w menu. - Trąciła jego kieliszek swoim i upiła łyk. - Mmm. Bije na głowę musujący napój z Sirico's.

- Tamtejsza piwnica nie jest zbyt imponująca. Tutaj mają nadzwyczajną. Taki wyjątkowy francuski szampan nie pasuje do pizzy pepperoni.

- Nie wiem. - Starła się być rozbawiona. - Myślę, że do obu by pasowała. Skoro mamy już szampana, wnieśmy toast. Więc co się stało?

- Ale jesteś ciekawska. - Poklepał się palcem po nosie. - Awansowałem. Bardzo wysoko.

- Luke, to świetnie! Gratulacje. No, no, twoje zdrowie! - Uniosła ponownie kieliszek i upiła łyk.

- Dzięki. - Cały promieniał. - Nie powiem, że na to nie zapracowałem. Ten interes z Laurderem był ostatnią kartą przetargową. Gdy to sfinalizowałem, miałem awans w kieszeni. Wyszłoby jeszcze lepiej, gdybyś mi wtedy pomogła ich bajerować, ale...

- Dałeś sobie radę sam. Naprawdę jestem z ciebie dumna. - Położyła swoje dłonie na jego. - No i co, dostajesz nowy tytuł i nowe biuro? Powiedz mi wszystko.

- Pokażną podwyżkę pensji.

- To się rozumie samo przez się. - Opróżniła kieliszek, a kelner zjawił się jak za dotknięciem różdżki i znów go napełnił.

- Jeśli jesteś już gotowa, to zamówimy...

Dłoń Reeny ścisnęła rękę Luke'a, czując, że jest spięta.

- Dlaczego nie? Umieram z głodu. A gdy będziemy jedli, opowiesz mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

- Skoro chcesz w ten sposób...

Poczekala, aż im coś zaproponują. Może zamówienie złożone przez Luke a po francusku było trochę pretensjonalne, ale też miało styl. A on dziś mógł sobie trochę pofolgować.

- A kiedy to się właściwie stało? - zapytała.

- Przedwczoraj. Chciałem zorganizować dzisiejszy wieczór, zanim ci powiem. Tu dość trudno o rezerwację.

- Jak mam teraz się do ciebie zwracać? Król planowania finansowego?

Twarz rozjaśnił mu uśmiech zadowolenia.

- To potem. Na razie wystarczy wice.

- Wiceprezes. Ooo. Powinniśmy to uczcić przyjęciem.

- Mam pewne plany. Wiesz co, Cat, mogłabyś znów szepnąć słówko swojej siostrze. Teraz, gdy awansowałem, może przekona męża, żeby powierzył mi swoje sprawy finansowe.

- Vince jest chyba zadowolony ze swoich ubezpieczycieli... - zaczęła, dostrzegając, że oczy Luke'a pochmurnieją. - Ale wspomnę jej o tym. Będę się z nią widziała w niedzielę na urodzinach Sophii. Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy możesz ze mną pójść.

- Cat, wiesz, co myślę o takich spędach rodzinnych, a zwłaszcza o urodzinach dzieci. - Wzniósł oczy do sufitu. - Daruj mi.

- Wiem, przytłaczają cię. Dobrze. Chciałam tylko powiedzieć, iż jesteś tam mile widziany.

- Jeśli myślisz, że to pomoże w przeniesieniu konta twojego szwagra...

Tym razem ona poczuła się spięta, ale świadomie się rozluźniła.

- Oddzielmy sprawy rodzinne od interesów, dobrze? Postaram się porozmawiać ze szwagrem na temat spotkania z tobą, ale, no wiesz, to trochę prymitywne próbować przejąć finanse Vince'a na urodzinach jego córki.

- Prymitywne? Jestem prymitywny, bo chcę dobrze wykonywać swoją pracę i zapewnić twojemu szwagrowi fachową pomoc finansową?

Pozwoliła mu okazać irytację, a tymczasem podano pierwsze danie.

- Nie, ale mogę cię zapewnić, że Vince nie byłby zachwycony omawianiem interesów na rodzinnym przyjęciu.

- Byłem na kilku waszych rodzinnych przyjęciach - przypomniał jej. - Zawsze jest

dużo dyskusowania o interesach. O pizzerii.

- Sirico's to część rodziny. Zrobię, co będę w stanie.

- Przepraszam. - Machnął ręką i poklepał Reenę po dłoni. - Wiem, że się nakręcę, gdy chodzi o moją pracę. Przyszliśmy tu świętować, a nie kłócić się. Jestem przekonany, że dasz z siebie wszystko, aby pozyskać dla nas swojego szwagra.

Czyżby to powiedziała? Reena była zdziwiona. Nie przypominała sobie, ale dla świętego spokoju już się nie odzywała. Inaczej utkną w błędnym kole, a ona straci apetyt.

- No więc, panie wiceprezesie, proszę mi powiedzieć coś więcej. Będzie pan szefem oddziału?

Opowiadał, a ona słuchała i z przyjemnością patrzyła na ożywioną twarz młodego mężczyzny. Wiedziała, co to znaczy dążyć do celu, a potem go osiągnąć. To wielka radość. W miarę jedzenia małe iskry napięcia między nimi powygasały.

- Ta ryba jest wyśmienita. Chcesz gryzą? - Gdy tylko to powiedziała, zauważyła jego minę i roześmiała się. - Przepraszam, ciągle zapominam, że nie lubisz jeść z cudzego talerza. Ale dużo tracisz, uwierz mi. Ach, nie powiedziałam ci, że dzisiaj wpadła mi następna sprawa. To...

- Jeszcze nie skończyłem. Nie doszedłem do najważniejszego.

- A, przepraszam, to jest coś jeszcze?

- Największa bomba. Pytałaś, czy dostanę nowe biuro. Dostanę.

- Takie duże i bombowe? - zażartowała.

- Tak. Duże i bombowe. I na Wall Street.

- Wall Street? - Ze zdumienia odłożyła widelec. - W Nowym Jorku? Przenoszą cię do Nowego Jorku?

- Zarzynałem się, żeby to dostać, i mam. Moje biuro w Baltimore to dziadostwo w porównaniu z tym, co będę miał w Nowym Jorku. - Uśmiechał się szeroko, pijąc szampana. - Zasłużyłem na to.

- Na pewno. Jestem tylko zaskoczona, bo nie wiedziałam, że chciałeś się przenieść.

- Nie ma co łowić ryb przed siecią. I nie chodzi o samo przeniesienie, Cat. Dla mnie to duży awans.

- No to wielkie gratulacje. - Uśmiechnęła się, trącając ponownie jego kieliszek. - Będzie mi ciebie brakowało, Kiedy wyjeżdżasz?

- Za dwa tygodnie. - Jego oczy złagodniały, a na ustach pojawił się ten sam uśmiech, który przyciągnął jej uwagę przed miesiącami. - Jutro jadę tam pociągiem zobaczyć kilka mieszkań.

Szybko działasz.

- Po co tracić czas? Mój wyjazd łączy się z drugą częścią tego wszystkiego. Cat, chcę, żebyś ze mną pojechała.

- Och Luke, byłoby wspaniale. Chętnie przejechałabym się do Nowego Jorku, ale jutro nie mogę się zwolnić. Z trochę większym wyprzedzeniem może by mi się udało...

- Nie chodzi mi o jutro. Zatrudniłem pośrednika nieruchomości i wiem, jakiego mieszkania szukam. Chciałbym, żebyś była ze mną w Nowym Jorku, Cat. - Nie zdążyła otworzyć ust, aby cokolwiek powiedzieć, a on wziął ją za rękę. - Jesteś dokładnie tym, czego pragnę - lukrem na tym torcie. Jedź ze mną do Nowego Jorku.

Serce jej podskoczyło, gdy wyjął z kieszeni małe pudełeczko i otworzył je kciukiem.

- Wyjdź za mnie.

- Luke. - To był niezwykle soliter. Nie wiedziała nic o diamentach, ale ten aż ją oślepił. - Jest wspaniały. Jest... ach... ale...

- Klasa, tak jak ty. Będziemy mieć razem nadzwyczajne życie, Cat. Ekscytujące, bogate. - Na chwilę popatrzył w bok i lekko skinął głową. Potem znów skierował wzrok na Reenę i wsunął jej pierścionek na palec.

- Zaczekaj...

Ale rozpromieniony kelner już był przy nich z nową butelką szampana.

- Moje gratulacje! Życzymy szczęścia!

Gdy napełniał im kieliszki, z sąsiednich stolików dobiegły oklaski, a Luke wstał, podszedł do Reeny i zanim wydobyła z siebie jakiegokolwiek słowo, zamknął jej usta gorącym, długim pocałunkiem.

- Za nas — powiedział, gdy już usiadł z powrotem. - Za nowy początek.

Gdy trącił się z nią kieliszkiem, milczała.

Czuła w żołądku bolesny i przykry ucisk. Jestem w potrzasku - myślała. Podstępem została zmuszona do przyjęcia gratulacji oraz życzeń od obsługi restauracji i innych gości, gdy Luke ją wyprowadzał. Pierścionek na jej palcu skrzył się piekielnym blaskiem w światłach latarń i ciążył, jakby był z ołowiu.

- Pojedziemy do mnie. - Przy samochodzie otoczył Reenę ramionami i pochylił głowę, ocierając się o jej szyję. - I uczymy to naprawdę.

- Nie, chcę jechać do domu. Muszę być wcześniej w pracy i... Luke, powinniśmy porozmawiać.

- Jak chcesz. - Znów ją pocałował. - To twoja noc. „Bynajmniej”. To było wszystko, co zdołała pomyśleć.

Ucisk w żołądku zaczynał przechodzić w mdłości, a w karku poczuła pierwsze zwiastuny bólu głowy ze zdenerwowania.

- Zrobię kilka zdjęć cyfrowych tych mieszkań, żebyś mogła zobaczyć. - Prowadził samochód z uśmiechem na ustach. - Chyba że zdecydujesz się już teraz rzucić pracę i pojechać tam ze mną. Byłoby fajniej. - Odwrócił się i mrugnął do niej. - Moglibyśmy pójść po zakupy. Powiem mojej asystentce, żeby zarezerwowała apartament w Plaza i kupiła bilety na jakiś show.

- Nie mogę. To jest za...

- Dobrze, dobrze. Wzruszył nonszalancko ramionami. - Ale nie skarż się, jeśli wynajmę mieszkanie, którego nie obejrzałaś. Mam na oku trzy miejsca na Dolnym Manhattanie. Osobiście skłaniam się do jednego na strychu z trzema sypialniami. Pośrednik twierdzi, że to doskonale miejsce dla miłośników rozrywki. Właśnie weszło na rynek, więc to dobry moment. Dość blisko biura, przy ładnej pogodzie mógłbym chodzić do pracy na piechotę. Cena wygórowana, ale na moim nowym stanowisku mogę sobie na to pozwolić. Będę musiał niekiedy urządzać imprezy towarzyskie. No i wyjeżdżać w różne strony, Cat.

- Brzmi, jakbyś miał wszystko zaplanowane.

- W tym jestem najlepszy. Aha, chciałbym przed wyjazdem urządzić małe party. Możemy połączyć przyjęcie pożegnalne z zaręczynowym. Jeśli to ma być u mnie, powinniśmy się pośpieszyć. Muszę już zacząć pakowanie.

Znowu nic nie powiedziała, pozwalając mu na te wynurzenia, gdy jechali do jej mieszkania nad pizzerią Sirico's.

- Zaczekajmy z oznajmieniem wielkiej nowiny. - Wskazał głową na lokal. - Dziś w nocy chcę cię mieć na własność. Pierścieniem możesz się pochwalić jutro.

Wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi auta. Był to jeden z jego zwyczajowych gestów, które zawsze uważała za nad wyraz miłe i staroświeckie.

Gdy weszli do mieszkania, pomógł Reenie zdjąć palto. Znow musnął jej szyję. Odsunęła się od niego i głęboko odetchnęła, zanim odwróciła się przodem.

- Usiądźmy - zaproponowała.

- Plany na wesele. - Roześmiał się, rozkładając ręce. - Wiem, że kobiety lubią się od razu w to rzucać, ale skoncentrujmy się na razie na naszych zaręczynach. - Podeszedł bliżej i przesunął palcami po jej policzku. - Pozwól mi się skupić na tobie.

- Luke, musisz mnie wysłuchać. W restauracji nie dałeś mi szansy. W jednej chwili pokazałeś pierścionek, a w drugiej kelner już nalewał szampana, a ludzie klaskali. Stawiasz mnie w głupiej sytuacji.

- O czym ty mówisz? Nie podoba ci się pierścionek?

- Oczywiście, że pierścionek mi się podoba, ale ja go nie przyjąłem. Nie dałeś mi możliwości. Uznałeś to za pewnik. Przykro mi, bardzo mi przykro, Luke, ale zrobiłeś to na wyrost.

- O czym ty mówisz?

- Luke, do dzisiejszego wieczoru nawet nie wspomnieliśmy o małżeństwie, a teraz nagle nas zaręczasz i przeprowadzasz do Nowego Jorku. Zacznijmy od tego, że wcale nie chcę się przeprowadzać do Nowego Jorku. Tu mam rodzinę - i pracę.

- Chryste, to przecież tylko parę godzin jazdy pociągiem. Jeśli chcesz, możesz odwiedzać rodzinę co kilka tygodni, chociaż - moim zdaniem - już dawno powinnaś odciąć tę pepowinę.

- Nie pytałem cię o zdanie - powiedziała cicho. - Tak samo jak ty nie pytałeś mnie. Ja też ostatnio dostałam awans, którego - o ile pamiętam - nie raczyliśmy świętować.

- Na Boga, nie możesz tego porównywać...

- Nie porównuję, tylko stwierdzam fakty. - O wiele za późno - przyznała w duchu. Jej wina. - To, co robię, nic a nic cię nie obchodzi, ale zakładasz, że zrezygnuję z pracy w wydziale i z radością wyjadę z tobą do Nowego Jorku.

- Chcesz się bawić ogniem? Myślę, że w Nowym Jorku też mają pożary.

- Nie deprecjonuj tego, co robię.

- A czego ty oczekujesz?! - Teraz już krzyczał. - Stawiasz swoją pracę ponad mnie, ponad nas. Uważasz, że mogę sobie pozwolić na rezygnację z awansu i pozostanie tu, w Baltimore, żeby w niedzielę gotować spaghetti? Jeśli nie potrafisz pojąć, dlaczego moja kariera jest ważniejsza, bardzo cię przeceniłem.

- Nie potrafię, więc przeceniłeś. Ale to i tak nie ma znaczenia. Nigdy nie mówiłam, że chcę wyjść za mąż... a wcale do tego nie dążę. Nie teraz. Nigdy nie mówiłam, że wyjdę za ciebie. Nie zadałeś sobie trudu, aby poczekać, aż ci odpowiem.

- Nie bądź śmieszna. - Jego twarz zarumieniła się od gniewu i coraz bardziej czerwieniała. Siedziałaś tam i akceptowałaś wszystko. Pozwoliłaś sobie także włożyć pierścionek.

- Nie chciałam tam robić sceny i wprawiać cię w zakłopotanie.

- Mnie w zakłopotanie?

- Luke, kelner stał obok. - Uniosła dłonie i potarła twarz. - I ci ludzie przy sąsiednim stoliku. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

- A więc po prostu mnie nabrałaś?

- Nie miałam takiego zamiaru. Teraz też nie chcę cię urazić. Ale zrobiłeś to wszystko bez porozumienia ze mną. Małżeństwo to... Nie jestem jeszcze gotowa. Przykro mi. - Ściągnęła z palca pierścionek i podała mu. - Nie mogę za ciebie wyjść.

- Co to znaczy, do diabła? - Chwyił ją za barki i potrząsnął. - Masz jakieś zahamowania co do wyjazdu z Baltimore? Na litość boską, dojrzej wreszcie.

- Jestem tu szczęśliwa i myślę, że nie można nazwać tego zahamowaniem. - Wysunęła się z jego uchwytu. - Tutaj jest mój dom, moja rodzina, moja praca. Ale gdybym była gotowa do zamążpójścia i tego chciała, a wymagałoby to opuszczenia Baltimore, zrobiłabym to. Małżeństwo jeszcze nie jest mi pisane.

- A co z moimi potrzebami? Pomyśl dla odmiany o kimś drugim. Jak myślisz, dlaczego byłem z tobą przez tyle miesięcy?

- Myślałam, że obojgu nam sprawia to przyjemność. Jeśli traktowałeś nasz związek inaczej, nie wyczułam tego. Bardzo mi przykro.

- Przykro ci. Upokorzyłaś mnie i przykro ci. Bardzo zabawne, co?

- Zrobiłam wszystko, żeby cię nie upokorzyć. Nie utrudniaj jeszcze całej sprawy.

- Nie utrudniaj. - Odwrócił się tyłem. - Czy wiesz, ile trudu mnie to kosztowało, przy wszystkich moich zajęciach, żeby dać ci ten wspaniały wieczór? Znaleźć idealny pierścionek? A ty mi to wszystko rzucasz z powrotem w twarz.

- Luke, ja mówię: „nie”. Ty i ja chcemy różnych rzeczy. Przepraszam, ale nie mogę zrobić nic innego niż powiedzieć: „nie”.

- Tak, przepraszasz. - Odwrócił się znów przodem i coś w jego twarzy kazało jej zacisnąć dłonie. - Przepraszasz, że stawiasz swoją głupią pracę ponad mnie, swoją ograniczoną mieszczańską rodzinę ponad mnie i swój robociarski styl życia ponad mnie. Po tym wszystkim, co w ciebie zainwestowałem...

- Ooo. - Jej gniew zaczął rosnać proporcjonalnie do jego. - Zainwestowałeś? Luke, ja nie jestem akcją. Ani klientem. I uważaj na to, co mówisz o mojej rodzinie.

- Już mi się rzygać chce od tej twojej pieprzonej rodziny.

- Wyjdź stąd natychmiast! - Poczwała, że wszystko się w niej zagotowało. - Jesteś na mnie zły, oboje piliśmy...

- Jasne. Nie miałaś żadnego problemu z dojeniem szampana po dwieście pięćdziesiąt butelka, jednocześnie planując dać mi kopniaka.

- OK. - Przeszła do sypialni i otworzyła szufladę biurka, żeby wyjąć książeczkę czekową. - Wypiszę ci czek za obie butelki i będziemy kwita. Uznamy to oboje za pomyłkę i...

Szarpnął ją za ramię, aż straciła równowagę. Zanim się zorientowała, otrzymała cios grzbietem dłoni. Książeczka czekowa wypadła jej z ręki, a ona sama poleciała na ścianę, uderzając w nią barkiem.

- Ty suko! Wypiszesz mi czek? Ty pierdolona suko, modliszko!

Przed oczami tańczyły jej małe, czerwone gwiazdki. Bardziej niż ból sparaliżował ją na moment szok, a tymczasem Luke schylił się i pociągnął ją do góry, stawiając na nogi.

- Ręce z daleka ode mnie! - Usłyszała, jak jej głos drży, i zmusiła się do zachowania spokoju. Naucz się uciekać - powiedział jej kiedyś dziadek. I nauczyła się. Ale tu nie było drogi ucieczki. - Zabierz ręce, Luke. Natychmiast!

- Skończyłem cię pytać, co mam robić. Już nie kierujesz tym widowiskiem. Czas, żebyś się dowiedziała, co się dzieje, gdy ktoś próbuje mnie wykiwać.

Nie zastanawiała się. Nie analizowała, czy znów ją uderzy i jak go powstrzymać. Zareagowała szybko, tak jak ją nauczono.

Nasadą dłoni zadała mu mocny cios w podbródek, a kolaniem z całej siły wyrznęła między nogi.

Gdy zwałił się na ziemię, jej jeszcze latały gwiazdy przed oczami i z trudem łapała oddech. Ale, dzięki Bogu, głos już nie drżał.

- Możesz mnie teraz nazwać suką i modliszką. Tym gorzej dla ciebie, że nie pamiętasz, gdzie pracuję. Zabieraj tyłek i precz z mojego domu!

Chwyciła lampę i wyciągnęła sznur z kontaktu. Trzymała ją w górze gotową do uderzenia.

- A może wolisz zaliczyć drugą rundę, ty palancie. Wynoś się. Masz szczęście, że nie spędzisz nocy w celi albo w zasranym szpitalu.

- Nigdy ci tego nie zapomnę. - Twarz Luke'a była woskowo blada. Żeby wstać, musiał się najpierw podnieść na czworakach. Jego wzrok ział ogniem. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Dobrze. Ja też nie. Wynoś się, do diabła! Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj!

Nie zadrżała ani przez chwilę, gdy szła za nim do pokoju dziennego, ani wtedy, kiedy czekała, aż weźmie palto i pokuśtyka do drzwi. Była spokojna, gdy ryglowała je za nim, a nawet kiedy podeszła do lustra zobaczyć, jak wygląda.

Wzięła aparat, ustawiła samowyzwalacz i zrobiła zdjęcia twarzy z przodu i z profilu, a następnie wysłała je e - mailem do swego partnera z krótkim wyjaśnieniem.

Zabezpiecz się - powtarzała sobie. Potem wyjęła z zamrażalnika paczkę groszku, usiadła i przyłożyła ją do stłuczonego policzka.

I zaczęła się trząść jak osika.

Siedzę w samochodzie i palę camela. Mała franca wypłynęła na szerokie wody. Rozbija się z Wykwintnisiem lśniącym mercedesem, Za tę furę musiał dać ze trzydzieści kawałków. Powinienem mieć taką. Może ją po prostu dmuchnąć. Aleby dostał kopa w dupę! Wykwintniś wychodzi, szpanując swoim kaszmirowym paltem, a tu już nie ma samochodu.

Można by się trochę zabawić.

Ale są zasady gry: najpierw obserwujemy. Weź lornetkę. Franca przeważnie zostawia odsłonięte okna. Pewnie lubi, jak faceci walą konia, podglądając ją.

Nie ma dziwki jak katolicka.

Stoją w salonie. Są bardzo spięci. Czyżby zakochane gołąbeczki miały sprzeczkę? Powinienem sobie kupić zimne piwo. Lepiej się wtedy ogląda.

Spójrz na jej twarz. Jaka seksowna, z małym pieprzykiem, wygiętymi wargami. Szkoda, że nie mam piwa.

Do sypialni. No, teraz jest rozmowa! Rozbieraj się, dziecinko. Zdejmij to dla tatusia.

Ups! Ale jej przyfasolił. Ktoś troszeczkę wyszedł z siebie. Może ją jeszcze walnie. Dawaj, Wykwintnisiu, lej sukę. Fani w pierwszym rzędzie chcą zobaczyć mordobicie.

Jezu, ale pierdola! Żeby taka chuda baba go znokautowała?

Zaciągam się papierosem. Niech pomyślę. Może mu skopać tyłek, jak wyjdzie. Albo zatłuc skurwiela na śmierć. Rurą albo kijem. Wykwintniś cały we krwi. Wszystko wskazuje, że to ona. Byłaby najbardziej podejrzana.

Ciekawe, jak długo zostałyby cholerną gliną jako podejrzana o morderstwo.

Ale byłaby zabawa. A ona by się dziwowała, co?

Wykwintniś wychodzi, kulejąc, jakby miał jaja wielkości melonów. Nie wytrzymam ze śmiechu. Ale numer!

Ciągle się śmieję, wyjeżdżając za lśniącym błękitnym mercedesem. Co za bryka!

No i wielki uśmiech od ucha do ucha, bo tam w środku mamy lepszy pomysł. Będzie sto razy fajniejsza zabawa.

Zabierze trochę czasu, ale wszystko wyjdzie super. Muszę trochę nadrobić trasy, żeby się zaopatrzyć. Jak najprościej, Proste jest zawsze najlepsze. Proste to twoja specjalność.

Teraz pracujesz już z piwem. Materiał wybuchowy przygotowany. Ona by go od razu poznała. Jasne, że tak. Wydział podpaleń to bliscy krewni brygady rozbijania bomb. Nowe, małe urządzenie. Proste. Chłopcy i dziewczęta, nie próbujcie tego w domu.

Już jest późno, dostatecznie późno. Mała dziwka już śpi, sama jedna. Ruch nieduży. O

czwartej rano miasto jest wymarłe. Zadupie, nie miasto. Pieprzone Miasto Magii nigdy nie dało mi nic oprócz zmartwień.

Wykwintniś jest na górze w swoim mieszkaniu i śpi z jajami jak melony. Fajnie byłoby go wyciągnąć na dwór. Tak łatwo i dodałoby smaczku. Ale lepiej tak. Kilka minut przy trzydziestu kawalkach i wszystko zrobione. Załadowane, zamknięte.

Teraz się oddal, odjedź trochę. Może się uda zobaczyć przedstawienie.

Zapal jeszcze jednego i czekaj na fajerwerki.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

I buum!

Patrz, jak to ścierwo fruwa. Patrz, jak się pali!

O tak, dziecinko, dobra robota. Jesteś asem. Paluszki teraz same wskażą, Wykwintniś pokaże, kto to zrobił. Trzymając się za posiniaczone jaja, pokaże paluszkiem prosto na nią.

Dobrze przepracowana nocka.

Chociaż szkoda tego auta.

O szóstej rano, całe trzydzieści minut wcześniej, niż miał zadzwonić jej budzik, Reenę zbudziło dobijanie się do drzwi wejściowych. Wywlokła się z łóżka, instynktownie przytykając palce do kości policzkowej, gdzie poczuła pulsujący ból.

Czuję go aż do samego ucha - pomyślała z niesmakiem. Tacy mężczyźni jak Luke wiedzą, gdzie mierzyć.

Włożyła szlafrok i unikając patrzenia w lustro nad toaletką, wyszła cicho z sypialni. Wyrzała przez okno i przestała cokolwiek rozumieć. Przyczesując włosy, odryglowała drzwi i otworzyła je szeroko.

- O'Donnell? Pan kapitan? Czy coś się stało?

- Możemy wejść na minutę? - Oczy O'Donnella ciskały błyskawice, jeszcze powiększając jej zmieszanie. Cofnęła się.

- Dyżur mam od ósmej - powiedziała.

- Niezły siniak ci się robi. - Wskazał na jej twarz. - Wkrótce szernieje.

- Wpadłam na coś paskudnego. Chodzi o ten e - mail, który wysłałam w nocy? Nie trzeba robić z tego wielkiej afery.

- Jeszcze nie sprawdzałem poczty. Jesteśmy tu w związku z incydentem dotyczącym Luke'a Chambersa.

- O Boże, czy wniósł skargę, że go stąd wyrzuciłam? - Reena przyglądała włosy, a rumieniec, który ukazał się pod siniakiem, wyrażał teraz zarówno zmieszanie, jak i gniew. - Chciałam, żeby to pozostało moją osobistą sprawą. Wysłałam ci o tym e - mail z dwoma

zdjęciami jako dowód, w razie gdyby on coś robił. A więc robi.

- Pani detektyw Hale, musimy cię zapytać, gdzie byłaś dziś wczesnym rankiem między trzecią trzydzieści a czwartą.

- Tutaj. - Przeniosła wzrok na kapitana Branta. - Byłam tu całą noc. Co się stało?

- Ktoś spalił samochód Chambersa. On uważa, że to ty.

- Spalił samochód? O mój Boże! Czy jemu coś się stało? - Musiała opaść na krzesło. - Bardzo ucierpiał?

- Gdy podpalono samochód, nie było go tam.

- No dobrze. - Przymknęła oczy. - Dobrze. Nie rozumiem.

- Wczoraj wieczorem ty i pan Chambers mieliście gwałtowną sprzeczkę.

Spojrzała na szefa. Poczowała ciężar i znów ogarnął ją niepokój.

- Tak. Uderzył mnie w twarz i przewrócił. Potem siłą postawił mnie na nogi i znów groził użyciem przemocy. Obroniłam się, uderzając go mocno podstawą dłoni w szczękę i kolaniem w krocze. Później kazałam mu się wynosić.

- Czy groziłaś kiedykolwiek panu Chambersowi użyciem broni?

- Lampą. - Reena złożyła zaciśnięte dłonie na udach. - Lampą z sypialni. Podniosłam ją i oznajmiłam mu, że jeśli nie wyjdzie, odbędziemy drugą rundę. Byłam wkurzona. Do licha, przed chwilą mnie pobił. Waży ode mnie więcej o dobre dwadzieścia kilo.

Na wspomnienie szoku, jakiego doznała, gdy ją uderzył, mięśnie pod skórą zaczęły jej drżeć. Musiała przełknąć ślinę, bo w gardle zaczynało ją palić.

- Gdyby znów mnie zaatakował, użyłabym wszystkich środków, żeby się obronić. Ale nie było to konieczne, bo wyszedł. Zamknęłam za nim drzwi, zrobiłam zdjęcia, wysłałam je do mojego partnera na wypadek, gdyby Luke próbował sfałszować wydarzenia i wnieść oskarżenie.

- Mężczyzna zaatakował cię w twoim własnym domu, a ty tego nie zgłosiłaś?

- Tak. Dałam sobie radę i miałam nadzieję, że to koniec. Nic nie wiem o spaleniu tego samochodu.

Kapitan usiadł.

- Postawił kilka zarzutów - oznajmił. - Twierdzi, że go zaatakowałaś, ponieważ byłaś pijana i zdenerwowana faktem, że przeprowadza się do Nowego Jorku. A on, próbując cię powstrzymać i przemówić ci do rozsądku, mógł cię nieumyślnie uderzyć.

Teraz poczuła się ohydnie znieważona. Pokazała swój stłuczony policzek.

- Proszę się dobrze przyjrzeć. Czy to wygląda na nieumyślne uderzenie? Było tak, jak powiedziałam. Oboje piliśmy, ale nie byłam pijana. Wściekł się, bo odmówiłam

przeprowadzenia się razem z nim. Zerwałam z tym draniem, ale nie spaliłam mu samochodu. Nie wychodziłam z mieszkania od czasu powrotu wczoraj wieczorem około dziesiątej.

- Spróbujmy to udowodnić - zaczął O'Donnell.

- Mogę to zrobić. - Już nie trzymała dłoni na udach, ale mocno chwyciła poręczę fotela. Był to jedyny sposób, żeby nie zacisnęły się w pięści z wściekłości. - Około jedenastej zadzwoniłam do przyjaciółki. Twarz mnie bolała, byłam rozżalona i kompletnie rozbita. Chwileczkę!

Wstała i podeszła do drzwi sypialni.

- Gino, włóż szlafrok i wyjdź tutaj, dobrze? Nie, to jest ważne.

Zamknęła drzwi i wróciła.

- To Gina Rivero... Rossi - poprawiła się. - Żona Steve'a Rossiego. Przyjechała do mnie. Mówiłam, żeby tego nie robiła, bo jest tuż po ślubie. Ale pojawiła się tu z wielkim pudłem lodów. Siedziałyśmy tak do... nie wiem, dobrze po północy... jedząc lody i plotkując o mężczyznach. Nalegała, że zostanie na wypadek, gdyby wrócił i próbował wejść.

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszła z nich rozczochrana oraz poirytowana Gina.

- Co się dzieje? Wiesz, która godzina? - Zobaczyła mężczyzn i na długą chwilę zatrzymała na nich wzrok. - Co jest, Reeno?

- Gino, znasz mojego partnera, detektywa O'Donnella, i kapitana Branta. Muszą ci zadać kilka pytań. Ja zrobię kawę.

Poszła do kuchni, oparła ręce o blat i oddychała głęboko. Musiała pomyśleć, i to pomyśleć jak gliniarz, który musi chronić swój tyłek. Nie mogła się oswoić z myślą, że ktoś podpalił samochód Luke'a. Jak to zrobił? Dlaczego? Kto się mścił na Luke'u? A może to przypadek?

Zebrała się w sobie i zmusiła do automatycznych czynności przygotowywania kawy. Ziarna z lodówki do młynka. Łyżeczka więcej do dzbanka, szczypta soli.

Sama nie piła czegoś takiego, ale miała zawsze w domu dla Luke'a. Na myśl o nim znów poczuła falę odrazy. Hołubiła i rozpieszczała tego drania, a co dostała za swój wysiłek? Podbite oko i całkiem możliwe śledztwo wewnętrzne.

Patrzyła na szklany dzbanek, w którym zaczynała wrzeć kawa, i słuchała podniesionego głosu Giny w pokoju. Brzmiały w nim uraza i oburzenie.

- Ten łachudra pewnie sam go podpalił, żeby jej jeszcze bardziej dołożyć. Widzieliście chyba twarz Reeny?

Wyjęła filiżanki, naala kawy pół na pół z wodą do małego, białego dzbanuszka. Problemy nie oznaczały zwolnienia z gościnności - przypominała sama sobie. Matka wpajała

jej takie rzeczy od urodzenia.

O'Donnell wyrzwał w stronę kuchni.

- Hale? Chcesz już tu przyjść?

Kiwnęła głową i podniosła tacę. Gdy ją stawiała na stoliku w salonie, przyjaciółka miała jeszcze policzki zaróżowione z irytacji.

- To rutyna - powiedziała Reena, dotykając jej ręki, zanim zaczęła nalewać kawę. - Taka jest procedura. Muszą pytać.

- Dla mnie to bzdury. Reeno, on ciebie uderzył. I to nie pierwszy raz.

- Ten osobnik już ją przedtem atakował? Reena zatuszowała skrzępowanie.

- Kiedyś uderzył mnie w policzek, ale myślałam, że niechący, bo tak twierdził. Nie wiem. To było podczas sprzeczki... zupełnie małej. Wszystko stało się bardzo szybko i nie miało żadnych konsekwencji. Wczoraj wieczorem było inaczej.

- Pani Rossi potwierdziła twoje zeznania. Gdyby Chambers nalegał, będziemy zapewne musieli poinformować o wszystkim Biuro Spraw Wewnętrznych. - Brant pokręcił głową, zanim Reena cokolwiek powiedziała. - Będę go do tego zniechęcał. - Wziął kawę i dodał śmietanki. - Czy domyślasz się, kto inny mógł spowodować to nieszczęsne zdarzenie?

- Nie.

Głos jej się prawie załamywał. BSW. Dopiero dostała odznakę detektywa, rozpoczynała pracę, do której się szkolila, i marzyła, żeby to robić co najmniej przez pół życia.

- Nie - powtórzyła, za wszelką cenę starając się zachować spokój. - Właśnie dostał awans. Myślę, że musiał pokonać kilku innych kandydatów na to stanowisko. Ale trudno sobie wyobrazić, żeby któryś z brokerów wiedział, jak podpalić mercedesa.

- Można się o tym dokładnie dowiedzieć z Internetu - przypomniał jej O'Donnell. - A może wspominał ci o jakimś kliencie niezadowolonym z tego, jak prowadzi jego interesy?

- Nie. Narzekał na swoją pracę... że jest przepracowany i niedoceniany. Ale może to były przechwałki.

- A inna kobieta?

Reena westchnęła i żałowała, że nie pije kawy. Trzymanie filiżanki pozwoliłoby jej zająć czymś ręce.

- Widywaliśmy się od mniej więcej czterech miesięcy. Z tego, co wiem, był tylko ze mną. Wcześniej kogoś miał. Eee... Jennifer. Nazwiska nie znam. Była jędzą - oczywiście według niego. Samolubna, wymagająca, zrzędliva. Wszystko to pewnie teraz mówi o mnie. Chyba pracowała w bankowości. Niestety, więcej nie wiem.

Była już opanowana, rozprostowała ramiona.

- Powinniście się tu rozejrzeć. Przeszukać mieszkanie i mój samochód. Im szybciej się to zakończy, tym lepiej.

- Masz prawo do przedstawiciela wydziału.

- Nie, tym razem nie chcę korzystać. On mnie uderzył, ja mu oddałam. Dla mnie ta sprawa jest zakończona.

I zakończy ją - obiecała sobie w duchu. Nie pozwoli, żeby takie głupstwo zaszargało jej opinię czy zwichnęło karierę. Nie, do tego nie dopuści.

- Ta druga sprawa mnie nie dotyczy. Jeśli szybko to ustalimy, będę mogła zaraz wrócić do pracy, a śledztwo w tej sprawie podąży swoją drogą.

- Przepraszam za to wszystko, Hale.

Pokręciła głową, odpowiadając swemu partnerowi:

- To nie twoja wina. Ani wina wydziału. Ani moja.

Nie czuła się skrepowana ani urażona tym, że koledzy rewidowali mieszkanie i przeszukiwali jej rzeczy. Im dokładniej przeprowadzą to nieoficjalne dochodzenie, tym szybciej można będzie raz na zawsze się od tego odciąć.

Gdy opuścili sypialnię, weszły tam z Giną, żeby się ubrać.

- Reeno, to bulwersujące. Nie wiem, dlaczego się na to zgadzasz.

- Chcę mieć czyste konto. Nie ma tam nic podejrzanego, więc nic nie znajdują. I sprawa przeminie. - Ponieważ rozmawiała z Giną, zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do brzucha. - Kiepsko się czuję.

- Och kochana. - Przyjaciółka przygarnęła Reenę w mocnym uścisku. - To może człowieka wykończyć. Ale przynajmniej wiesz, że wszystko się wyjaśni. I to zaraz, w pięć minut.

- Też to sobie powtarzam. - Ale być podejrzaną nawet przez pięć minut to o pięć minut za dużo. - Na mnie wskazuje jedynie fakt, że wczoraj wieczorem pobiliśmy się z Lukiem. - Odsunęła się i włożyła sweter. - Przy czymś takim trzeba się przyjrzeć byleż dziewczynie, zwłaszcza jeśli jest to akurat policjantka w wydziale podpaleń. Czasami to właśnie ci, którzy gaszą pożar lub prowadzą śledztwo, sami go powodują. Słyszałaś pewnie nieraz takie historie. Głos jej trochę drżał.

- Podkładają ogień, żeby odegrać bohatera, gasząc go potem, albo żeby kogoś odzyskać.

- Nie ty. Ani nikt, kogo znam.

- Ale to się zdarza, Gino. - Zasłoniła oczy i skrzywiła się, bo znów zabolął ją policzek.

- Gdybym to ja prowadziła taką sprawę, bardzo dokładnie prześwietliłabym rozgniewaną eksdziewczynę, która dobrze wie, jak podpalić pojazd.

- OK. I jak już taką delikwentkę prześwietliłaś, to ją eliminujesz. Nie tylko dlatego, że nigdy nie użyłaby ognia jako odwetu nawet na największym draniu. Przecież spędziła tamtą noc we własnym mieszkaniu, jedząc lody z najlepszą przyjaciółką.

- Musiałabym się zapytać sama siebie, czy ta najlepsza przyjaciółka przypadkiem jej nie kryje. Na szczęście mam jeszcze strażaka z dużym stażem, który wie, iż jego żona odpowiedziała na sygnał SOS i pojechała do swojej przyjaciółki. To przemawia na moją korzyść. Także fakt, że Luke skłamał o tym. - Popukała się delikatnie palcem w policzek. - To go dyskwalifikuje. Nikt, kto to zobaczy, nie powie, że to niechcący. Zrobiłam dokumentację i - dzięki Bogu - zadzwoniłam do ciebie, a ty mnie nie posłuchałaś i przyjechałaś.

- Steve nalegał tak samo jak ja. Sam chciał tu przyjechać, a nie sądzę, że chciałabyś tu mieć faceta.

- Nie, nie chciałabym. - Gdy wszystko przemyślała i przeanalizowała fakty, tak jak by to zrobiła, prowadząc normalne dochodzenie, przestało ją ścisnąć w żołądku. - Gino, mam czyste konto i tak zostanie.

Sięgnęła po przybory do makijażu, żeby zatuszować siniak. A zresztą do licha z tym - pomyślała.

- Muszę zejść na dół i powiedzieć o wszystkim rodzicom. W końcu dowiedzą się z dziennika, a wolałabym, żeby usłyszeli to najpierw ode mnie.

- Zejdę z tobą.

- Musisz wracać do domu przygotować się do pracy.

- Zadzwonię, że jestem chora.

- Nie zrobisz tego. - Podeszła i pocałowała przyjaciółkę w policzek. - Dzięki, moja droga.

- Nigdy nie lubiłam tego palanta. Teraz wiem, dlaczego. - Gina uniosła brodę i powiodła wokół gniewnym wzrokiem. - Nie znosiłam go, chociaż z wyglądu był bardzo atrakcyjny. Gdy tylko otworzył usta, powtarzał w kółko: „ja, ja, ja”. No i traktował wszystkich protekcyjnie.

- Cóż mogę powiedzieć? Kiedy masz rację, to masz rację. Lubiałam go, bo wyglądał atrakcyjnie i był dobry w łóżku. Wymagał dużo zachodu, ale pozwalał mi być kobietką. — Wzruszyła ramionami. — Płytką, jak on sam.

- Ty nie jesteś płytka. Czy on ci prał mózg?

- Możliwe. Ale skończę z tym. - Głośno westchnęła, patrząc na swoje odbicie w

lustrze. Siniec był coraz ciemniejszy. - Teraz muszę stawić czoło rodzicom. Zabawnie będzie, co?

Bianca ubijała jajka w misce z gwałtownością boksera wagi średniej okładającego przeciwnika.

- Dlaczego on nie jest w areszcie? - nalegała. - Nie, nie, najpierw w szpitalu, potem w areszcie. A ty? - Machnęła widelcem w stronę Reeny, rozbryzgując jajko. - Nie przyszłaś powiedzieć ojcu, żeby wysłał tego nędznika do szpitala, zanim ty go aresztujesz?

- Mamo, sama sobie poradziłam.

- Poradziłaś sobie. - Bianca wróciła do ubijania jajek, które były już ubite do nieprzytomności. - Poradziłaś sobie. Słuchaj, Catarino, coś ci powiem: są sprawy, które zostawia się ojcu bez względu na wiek.

- Tato nie dałby rady dogonić Luke'a i zmiażdżyć go na pył. On...

- Mylisz się - odezwał się Gib cicho, stojąc tyłem do nich i wyglądając przez okno. - Co do tego się mylisz.

- Tato! - Nie umiała sobie wyobrazić swojego opanowanego ojca goniącego Luke'a i walczącego z nim na pięści. Po chwili przypomniała sobie, jak przed laty dzielnie interweniował u Pastorellich.

- Jasne. - Reena przyłożyła ręce do skroni i zgarnęła włosy do tyłu. - Jasne. Ale pomijając honor rodziny, nie chciałabym zobaczyć taty w areszcie za napad.

- Tego drania też nie chcesz widzieć w areszcie za napad - podchwyciła Bianca. - Jesteś za miękka jak na glinę.

- Nie byłam za miękka. Mamo, proszę cię.

- Bianco! - Cichy głos Giba ponownie zapanował nad sytuacją. Ale tym razem odwrócił się i popatrzył na córkę. - A jaka byłaś?

- Myślę, że praktyczna. Mam nadzieję, że dyskretna. Faktem jest, że przeżyłam szok. Spotykałam się z Lukiem od miesięcy i nie zauważyłam nic niepokojącego. Teraz, patrząc wstecz, widzę pewne symptomy, które powinny dać mi do myślenia. Ale kiedy mnie uderzył, byłam naprawdę zaskoczona. Moi drodzy, jeśli to was pocieszy, mogę was zapewnić, że przyłożyłam mu bardziej niż on mnie. Będzie chodził zgięty w pół przez wiele dni.

- To zawsze coś. - Bianca wylała jajka na żeliwną patelnię. - Ale teraz masz przez niego kłopoty.

- No tak, ktoś podpalił mu samochód.

- Chętnie bym go sama upiekła.

- Mamo! - Reena zbesztła ją półzartem. - To poważna sprawa. Ktoś mógł zostać

ranny. Nie martwię się specjalnie śledztwem. Miałam szczęście, że Gina przyjechała mnie pocieszyć i byłam z nią w domu całą noc. Nie mam z tym nic wspólnego oprócz bójki z Lukiem. Czuję się lepiej, gdyby znaleźli sprawcę, ale się nie martwię. Jest mi przykro - przyznała - że musiałam was tak zmartwić.

- Jesteśmy twoimi rodzicami - podkreśliła Bianca. - Musimy się o ciebie troszczyć.

- Czy uderzył cię już wcześniej?

Już miała odpowiedzieć Gibowi, że nie, ale zdecydowała się wyznać nieprzyjemną prawdę.

- Raz, ale myślałam, że to było niechcący - odrzekła pospiesznie. Bianca zaklęła. - Przysięgam na Boga, myślałam, że to przypadkiem. Gestykulował, a ja się odwróciłam i zrobiłam krok w jego stronę. Wtedy ręka Luke'a wylądowała na mojej twarzy. Udawał zszokowanego i wystraszonego. Teraz to widzę - powtórzyła, wstając, żeby złapać ojca za rękę, która zacisnęła się w pięść. - Uwierz mi. Spójrz na mnie i uwierz mi. Nigdy nie pozwoliłabym się nikomu maltretować. Wychowałeś mnie na silną i energiczną. Zrobiłeś dobrą robotę. Jego już nie ma w moim życiu - dodała. Zbliżyła się i objęła ojca. - To już skończone. I dostałam ważną lekcję. Nigdy nie będę próbowała być kimś, kim nie jestem, nawet w drobnych sprawach, tylko po to, żeby kogoś innego udobruchać. No i wiem, że potrafię poradzić sobie sama.

Gib pogłaskał ją po plecach i leciutko cmoknął w siny policzek.

- Rzuciłaś go o glebę, tak?

- Dwoma ciosami. - Odeszła i pokazała. - Trach, trach i leżał na podłodze zwinięty jak gotowana krewetka. Nie martw się o to ani w ogóle o mnie.

- Sami decydujemy, o co się martwić. - Bianca postawiła na stole górę jajecznicę. - Jedz.

Zjadła i poszła do pracy. Tam już powstała „błękitna linia”. Każdy funkcjonariusz z wydziału Reeny podchodził, żeby skinąć głową, zamienić kilka słów, rzucić jakiś kiepski żart. Ich wsparcie towarzyszyło jej aż do biura kapitana.

- Facet utrzymuje, że ty go pierwsza uderzyłaś. Przyciśnięty w sprawie eksdziewczyny, trochę się spocił. Stwierdził, że jest walnięta i zaatakowała go tuż przed zerwaniem.

- Ten to umie sobie wybrać.

- Będziemy z nią rozmawiać. Wydusiliśmy też z niego kilka nazwisk: ludzi, którzy - jak twierdzi - mogli mu zazdrościć sukcesów i urody. Kilku klientów, współpracowników. Dawna asystentka. To zdejmuje odium z ciebie, Hale. Do tego masz solidne alibi i

współpracowałaś w przeszukaniu, które nie ujawniło nic obciążającego. O ile nie będzie należał na oficjalne oskarżenie, nad czym się zastanawia, jesteś czysta i wracasz do pracy.

- Dzięki serdeczne.

- Dzwonił John Minger. Ktoś mu już to nadał.

- Taaak. - Przyszli jej na myśl rodzice. - Myślę, że wiem, kto. Przepraszam, jeśli to coś skomplikuje.

- Nie sądzę. - Ale usiadł i zmierzył ją wzrokiem. - John to porządny człowiek i dobry oficer śledczy. Chce się tym zająć w wolnym czasie. Mnie to nie przeszkadza. A tobie?

- Nic a nic. Mogę wiedzieć coś więcej?

- Pracują nad tym Younger i Trippley. Chcą to robić razem, to ich sprawa.

- Dziękuję.

Wyszła, zastanawiając się nad najlepszym sposobem zwrócenia się do wyznaczonych kolegów. Zanim się zdecydowała, Trippley wskazał palcem na jej biurko.

- Tam leżą akta - oznajmił i wrócił do rozmowy telefonicznej.

Podeszła do biurka i otworzyła dokumenty. Były tam fotografie samochodu Luke'a na zewnątrz i wewnątrz, wstępne raporty i oświadczenia. Spojrzała znów na Trippleya.

- Jestem ci wdzięczna - powiedziała.

Wzruszył ramionami i przysłonił dłonią słuchawkę.

- Ten facet to pierdoła. Jak lubisz takie miernoty, powinnaś się spotykać z Youngerem.

Prawie nie przerywając pisania na klawiaturze, Younger wymierzył palcami w swego partnera, a Reenie posłał promienny uśmiech.

Trudno było stać z dala od sceny wydarzeń, powstrzymać się od obejrzenia bezpośrednio zebranych dowodów. Nie było też jednak sensu zbyt się w to zagłębiać. Traktowała więc tę sprawę jako ćwiczenie. Czytała dokumentację i aktualności podrzucane jej przez prowadzących śledztwo.

Jej zdaniem było to nad wyraz proste. Ktoś zrobił błyskawiczną, ohydą robotę, prawdopodobnie nie po raz pierwszy. Zapewne Luke był jego kolejną ofiarą.

Rozmyślała o tym, sącąc chianti i czytając ponownie dokumenty. Nie zwracała uwagi na hałas w Sirico's.

Usiadła przy stoliku naprzeciwko drzwi, więc od razu zauważyła wchodzącego Johna. Pomachała mu, zapraszająco poklepała dłonią stolik i wstała, żeby osobiście przynieść mu piwo Peroni.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedziała, wracając do stolika.

- Nie ma problemu. Zjemy pizzę na pół?

- Jasne. - Głośno zamówiła ją u Fran. Ale nie przyszła tu jeść, tylko porozmawiać. —
Wiem, że zapoznałeś się z tymi papierzyskami po godzinach. Powiedz, co myślisz o całej sprawie?

Podniósł piwo, pociągnął łyk.

- Najpierw ty mi powiedz. - Wskazał głową dokumenty.

- Brudna i podła robota. Ktoś, kto się zna na samochodach, wyłamuje zamek i wyłącza alarm. Wtedy nikt nie podejdzie sprawdzić. Zresztą teraz już mało kto zwraca uwagę na wyjący alarm samochodu, tym bardziej jeśli po paru minutach milknie. Materiałem palnym była benzyna rozlana po wnętrzu auta, na masce i pod nią. Jako mechanizmu zapłonowego użył racy w bagażniku.

Przerwała, żeby zebrać myśli, a John nadal milczał.

- To wystarczyło, żeby solidnie wykonać plan. Syntetyki w środku auta są łatwopalne. Termoplastyki topią się w ogniu i podpalają inne materiały, co tu zapewne miało miejsce. Szybki pożar. Benzyna była zabezpieczeniem, nie potrzebował jej. Miał wentylację i mógł wzniecić cholernie niszczący ogień, podpalając pod siedzeniami lub tablicą rozdzielczą zgniecione gazety.

- Starannie czy byle jak? Potrząsnęła głową.

- Chciałoby się powiedzieć: jedno i drugie. Ukradł stereo. Większość podpalaczy nie może się oprzeć zabraniu czegoś, co można sprzedać lub używać, ale to nie wygląda na przypadkowe obrabowanie samochodu.

- Dlaczego?

- Za gwałtowne, za dokładne. Były przecież luksusowe opony, a ich nie wzięł. John, on wiedział, co robi. Na resztkach szyb okiennych jest sadza i produkty pirolizy, co oznacza wentylację. Bez niej większość pożarów samochodów wygasa. Przy zamkniętych drzwiach i oknach prawie nie wpuszczają one powietrza. Chciał mieć szybki pożar, więc dodał przyspieszacza do i tak już bogatego materiału palnego w pojeździe. Prawdopodobnie zapalił to w niespełna dwie minuty.

- Robocza teza?

- Podpalenie dla zemsty. Facet chciał całkiem zniszczyć auto. Wsunął namoczony lont z materiału do zbiornika z paliwem. Wygląda, jakby włożył tam unoszącą się na cieczy mały plastikowy kubek z kapiszonem w środku. Proste i skuteczne. I bardzo staranne. Źródło zapłonu w wielu miejscach: pod siedzeniem kierowcy, w bagażniku. Parę przedmiotów zidentyfikowano jako torebki po chipsach. Prawdopodobnie użyto ich do podsycania ognia w środku. Dobrze się do tego nadają. Dają wysoką temperaturę, spalają się do prawie

nierozpoznawalnego proszku węglowego, a ich olejki powodują długotrwały, duży płomień, wystarczający do podpalenia obić. Gdyby więc coś się nie udało w zbiorniku, pojazd nadal płonie. Podpalacz użył zwykłych przedmiotów z gospodarstwa domowego i wiedział, co robi.

- Luksusowy samochód, perfekcyjny plan. A nie przyszło ci do głowy, że ktoś po prostu chciał mieć stereo samochodowe i trochę się zabawić?

- Nie. Uważam, że to porachunki osobiste, a stereo stanowiło tylko drobną nagrodę. To fachowa robota, a nie zwykła rozrywka. Chodziło głównie o podpalenie.

John usiadł wygodniej i pokiwał głową, biorąc do ręki piwo.

- Niewiele mi zostało do dodania. Mam twoje odciski, właściciela, portiera z restauracji, gdzie jedliście przed zdarzeniem, mechanika z warsztatu, z którego korzystał właściciel. - Obserwował ją, pociągając piwo. - Jak się czujesz?

Upływ czasu i duża ilość lodu zmniejszyły ból, ale wiedziała, że proces leczenia przyozdobił jej twarz niezbyt ciekawymi kolorami.

- Wygląda gorzej, niż jest. Pochylił się ku niej i zniżył głos.

- Powiedz mi, czy dzwoniłaś jeszcze do kogoś oprócz Giny po tym, jak cię pobili?

- Nie. Zgodziłam się na sprawdzenie mojego billingu.

- Czy ona do kogoś dzwoniła? Mówiła komuś?

- Nie. No, Steve'owi. Ale nikt go nie podejrzewa, John. Koledzy prowadzący śledztwo przesłuchali całą naszą trójkę. Cały czas jesteśmy z nimi uczciwi. Zadzwoniłam do Giny, bo byłam wściekła i potrzebowałam trochę współczucia. Przyjechała, bo też była wkurzona i chciała mnie trochę pocieszyć.

Rozejrzała się, chcąc się upewnić, że nikt z rodziny ani sąsiadów nie mógł usłyszeć.

- John, pobicie przez faceta, z którym się spało, nie jest czymś, co by się chciało nagłaśniać. Miałam nadzieję, że uda mi się to trochę ukryć. Nie znam nikogo, kto by zrobił coś takiego na moje konto.

- Nie spotykałaś się z nikim oprócz tego typu?

- Nie, John. Wiem, iż czas incydentu wskazuje, że mogę mieć z tym coś wspólnego, zwłaszcza po starciu z Lukiem, ale myślałam o tym, myślałam na okrągło. To na pewno tylko przypadek. Zobacz te oświadczenia. - Puknęła ręką w teczkę. - Luke nie był zbyt lubiany przez swoich współpracowników ani poprzednie partnerki, Ale też żadne z nich nie wygląda teraz lepiej niż ja. Niewykluczone, że ktoś wynajął podpalacza. Do licha, pomyślałabym, iż ten drań sam to zrobił, żeby się na mnie odgryźć, ale miał na to za mało czasu.

- Rzeczywiście - zgodził się John. - Ale to jest jakiś wątek: wynajęcie podpalacza, żeby uderzyć w ciebie. Musisz pomyśleć, czy nie ma kogoś, kogo ostatnio wkurzyłaś.

- Gliniarze zawsze kogoś wkurzają - mruknęła.

- Święta prawda. - Poprawił się na krześle i uśmiechnął, akurat gdy Fran podała im do stolika pizzę. - Jak u ciebie, kochanie?

- Dobrze. - Poglaskała po ramieniu Reenę. - Ale przykaż mojej siostrzyczce, żeby teraz coś zjadła.

- Zobaczę, co da się zrobić. Odłóż to - doradził John, gdy Fran się oddaliła. - Niepotrzebnie zajmujesz się tą całą sprawą. Nieoficjalnie nikt cię nie podejrzewa. Masz nieposzlakowaną przeszłość i dobre alibi. Odłóż to na bok i pozwól pracować systemowi.

- Taaak. Wiesz, John, nie wiem, czy to ja wybrałam swój zawód, czy on wybrał mnie. Ogień wciąż depcze mi po piętach: Sirico's, mój pierwszy chłopak, na którym mi zależało, Hugh. A teraz to.

John zsunął kawałek pizzy na swój talerz.

- Los to podły drań - stwierdził.

Baltimore 2005

Na dobre czy na złe - zrobiła to. Serce Reeny waliło jak młotem, w gardle jej zaschło, a w dole brzucha świdrowało coś, co mogło być strachem albo podnieceniem.

Kupiła sobie dom.

Stała na białych marmurowych schodkach z kluczami w spoconej dłoni. Wszystkie należności uiszczone, papiery podpisane. Wzięła kredyt hipoteczny.

I pożyczkę bankową, którą będzie spłacała chyba do samej emerytury.

Ale przecież wszystko dokładnie obliczyła. Poradzi sobie. Już czas, żeby miała coś na własność. Mój Boże, była właścicielką nieruchomości.

Czyż nie zakochała się w nim? Tak bardzo przypominał ich dom rodzinny. Nie była całkiem pewna, o czym to świadczy, ale zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Wszystko tu do niej przemawiało.

Położenie, swojskość, a nawet lekko sfatygowane wnętrze, które - jak na jej gust - aż się prosiło o żywszy wystrój. Dom miał z tyłu ogródek. Może i tak mały, że dałoby się splunąć na jego koniec, ale to był prawdziwy ogródek z prawdziwą trawą. Rosło w nim nawet drzewo.

A to oznaczało, że będzie musiała kosić trawę i grabić liście, a więc także powinna kupić kosiarkę. I grabie. Ale dla kobiety, która przez ostatnie dziesięć lat gnieździła się w mieszkaniu nad pizzerią, była to cudowna sprawa.

Oto więc przenosiła się do trzypiętrowego szeregowca, zaledwie trzy ulice od domu, w którym wciąż mieszkali rodzice.

Dalej w swojej okolicy - pomyślała - a tak daleko jak na księżycu.

Ale tak było dobrze. Wszystko było dobrze. Czy jej wujkowie razem z ojcem nie obejrzeliby domu od góry do dołu?

Żadna siła by ich nie powstrzymała. Oczywiście, wymagał nieco remontu. I tylu mebli, ilu w tej chwili nie była w stanie zgromadzić.

Ale to wszystko przed nią. Teraz wystarczy tylko włożyć klucz do zamka i przekroczyć próg, a znajdzie się we własnym domu.

Zamiast tego odwróciła się i usiadła na schodkach, żeby uspokoić oddech.

Drastycznie uszczupliła swoje oszczędności oraz pokaźną sumkę, jaką ona i pozostałe wnuki otrzymali od dziadków.

No i co ja zrobiłam? - pomyślała. Tonę w długach. A dom to przecież wieczna

skarbonka. Ubezpieczenie, podatki, remonty, utrzymanie. Do tej pory udawało jej się tego unikać. Takie męczące detale to był problem najpierw rodziców, a potem właściciela mieszkania.

Nigdy jej.

Udało mi się ominąć to, a także większość innych zobowiązań - myślała. Miała pracę, rodzinę i przyjaciół jeszcze z dzieciństwa.

Ale była jedyną niezamężną Hale. Tylko ona spośród dzieci Gibsona i Bianki nie obdarzyła swoich rodziców wnukiem lub wnuczką. Nie ma czasu - tak zawsze odpowiadała im, gdy się z nią drażnili lub naciskali. Nie znalazłam odpowiedniego mężczyzny.

Prawda, wszystko prawda. Ale ile razy w ciągu ostatnich kilku lat uciekała lub wycofywała się z możliwego związku?

Spotykała się, uprawiała seks, ale niech tylko nikt nie prosi o jakiegokolwiek zaangażowanie. Xander orzekł, że myśli jak mężczyzna. Może to i prawda.

Czyżby ten dom kupiła jako rekompensatę, tak jak niektórzy samotni lub bezdzietne pary kupują psa?

No proszę! Jeśli chce, może się w coś zaangażować. Kupiła dom.

Dom, do którego - musiała to przyznać - jakoś nie była w stanie teraz wejść, gdy wszystko było podpisane i przypieczętowane.

Może to jeszcze odkręcić. Przelecieć trochę farbą, naprawić to i owo, a potem sprzedać. Prawo nie nakazywało trzymać tego domu przez trzydzieści lat.

Trzydzieści lat. Przycisnęła dłoń do brzucha. Co ona zrobiła?

Do cholery ma trzydzieści jeden lat. Od dziesięciu jest policjantką. Chyba potrafi wejść do tego głupiego domu, nie wpadając w histerię. Poza tym niedługo mają tu przyjść goście, a chyba nie chce, żeby zastali ją siedzącą na schodach w stanie rozstroju nerwowego.

Wstała, otworzyła drzwi i spokojnie weszła do środka.

Natychmiast uleciało z niej całe napięcie, jakby wystrzelił korek od szampana o nazwie „Stres”.

Do diabła z kredytami, pożyczkami i horrorem wybierania kolorów farb! Właśnie tego chciała. Tego dużego, starego domu o wysokich sufitach, z rzeźbionymi sztukateriami i podłogą z twardego drewna.

Oczywiście, było tu za dużo miejsca dla jednej osoby. Nic nie szkodzi. Jedną sypialnię poświęci na skład, jak jej się nazbiera dużo rzeczy. W drugiej może urządzić sobie biuro, w trzeciej domową salę gimnastyczną, a ostatnią wolną przeznaczy na pokój gościnny.

Nie zwracając uwagi na pustkę w pomieszczeniach i echo, przeszła do salonu. Może

skorzysta z różnych propozycji krewnych dotyczących odstąpienia jej starych mebli. Przynajmniej na razie. Na ścianach powiesi trochę obrazków mamy. Będzie miło i przytulnie.

A w mniejszym saloniku urządzi swoją bibliotekę. Musi kupić duży stół do jadalni i dużo krzeseł na spotkania rodzinne.

Kuchnia jest w porządku - pomyślała, obchodząc parter. To jeden z tych elementów, które zaważyły na decyzji. Poprzedni właściciele bardzo dobrze ją wyposażyli w lśniącoczarne akcesoria, które mogą posłużyć jeszcze długie lata.

Było tu dużo gładkich blatów w piaskowym kolorze i szafek w odcieniu miodowym. Niektóre drzwiczki w nich mogła wymienić na szklane. Może witrażowe albo rżnięte w fantazyjne wzory.

Będzie tu lubiła gotować. W ich gromadce jedynie Bella nie odziedziczyła pasji do przyrządzania posiłków. Nad zlewem były ładne, duże okna, z których miała widok na swój niewielki ogródek.

Właśnie kwitły bzy. Jej bzy. Może pogada z wujkiem Salem o zrobieniu maleńkiego patio, a Bella pomoże jej zaprojektować niewielki ogródek.

Naturalnie już od lat nie uprawiała nic poza pelargoniami w doniczkach na parapecie. Od lat - przypomniała sobie - od czasu gdy razem z Giną hodowały pomidory i paprykę oraz onełki w ogrodzie przy domu wynajmowanym z grupą innych studentek.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że kopanie grządek i pielenie sprawiało jej przyjemność.

Postanowiła, że tym razem pewnie poprzestanie na kwiatkach, i to łatwych w uprawie. Tak, trzeba zapytać Bellę, co się najlepiej nadaje.

Kwiaty, moda i gdzie się należy pokazać to była domena siostry.

Pomyślała o wejściu na górę, żeby umeblować w wyobraźni pierwsze piętro, ale postanowiła najpierw dokończyć obchód parteru i wyszła do ogródka.

Chciała pospacerować po własnej trawie.

Ogródek był z obu stron ogrodzony siatką. Sąsiad po prawej miał wzdłuż niej posadzone jakieś rozłożyste krzewy. Miły akcent - zauważyła. Pomyśli o czymś podobnym. Nie tylko były ładne, ale dawały złudzenie odosobnienia.

A po lewej...

No, no, no - skomentowała w duchu. Niewiele mogła powiedzieć o ogródku, ale lokator wart był grzechu.

Na szczęście dla niej nie rosły tu krzaki zasłaniające widok.

Mężczyzna stał tyłem i był to widok nader obiecujący. Majowa temperatura nie

powstrzymała go od zdjęcia koszuli. A może rozgrzało go coś, co robił narzędziami mechanicznymi w drewnie.

Dżinsy miał opuszczone nisko na biodra, a pas z narzędziami jeszcze niżej. Jednak nie aż tak nisko, żeby osłaniały przedziałek między pośladkami, za co należał mu się plus, Miał czapkę baseballową włożoną tył na przód, a pod nią falujące czarne włosy.

Mogłaby do niego zagadać nawet teraz, gdy pracuje. Usłyszała muzykę z przenośnego radiomagnetofonu za kozłem do piłowania drewna i dodała mu kolejne punkty za to, że nastawił ją względnie cicho. Ledwo rozpoznała Sugar Ray.

Sześć stóp i dwa cale - oceniła. Prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów solidnej, wyrobionej muskulatury. Nie chciała zgadywać wieku, dopóki nie zobaczy twarzy. Ale na razie, jak na sąsiada, wyglądał całkiem zachęcająco.

Pośrednik wspominał o mieszkającym obok stolarzu, gdyby przypadkiem potrzebowała tego rodzaju usług. Zapomniał jednak wspomnieć, że stolarz za ścianą ma świetny tyłek.

Trawę miał skoszoną i wyglądało, że bardzo fachowo posługuje się jakimś dużym, seksownym narzędziem. Na dużych, mocnych rękach żadnych obrączek. Żadnych widocznych tatuaży ani kolczyków.

Możliwości rosły.

Dom sąsiada był prawie taki sam jak jej, choć u niego zauważyła już minipatio z jakiegoś kamienia. Żadnych kwiatów - to niedobrze, bo hodowanie ich uważała za przejaw dobrego stylu i odpowiedzialności. Mimo to patio wyglądało schludnie i pyszniło się ogromnym grillem ogrodowym.

Jeśli jego pozostałe strony dorównywały widokowi z tyłu, mogłaby się wkręcić na proszoną kolacyjkę z grilla.

Przestał pracować i odłożył coś, co najprawdopodobniej było pistoletem do gwoździ. Umilkł świst kompresora i usłyszała wyraźniej Sugar Ray, podczas gdy Koleś Stolarz sięgnął po dużą butlę wody i podniósł ją do ust.

Odsunął się przy tym od tego, co robił, i Reena zobaczyła profil sąsiada. Ładny nos, mocne usta. Okulary ochronne całkiem do nich pasowały, a nawet były sexy. Wyglądało na to, że twarz dorównuje reszcie zestawu.

Tuż po trzydziestce - oceniła. Czyż to nie idealne sąsiedztwo?

Gdy odwrócił głowę i spojrzał na nią, uniosła rękę w geście, który uznała za przyjazne pozdrowienie nowego sąsiada.

Znieruchomiał, jakby wymierzyła w niego pistolet. Podniósł rękę i powoli ściągnął

okulary. Nie mogła dostrzec koloru oczu, ale czuła intensywność jego wzroku.

I nagle twarz mężczyzny eksplodowała uśmiechem. Rzucił okulary na ziemię, podbiegł do płotu i przeskoczył go.

Dobrze się rusza, szybko i sprawnie. Zielone - zauważyła. Oczy miał mglistozielone. I trochę zbyt maniackalnie rozjarzone jak na tę okoliczność.

- Jesteś - powiedział. - Jasna cholera. Jesteś.

- No tak, jestem. - Uśmiechnęła się ostrożnie. Pachniał potem i trocinami, co byłoby nawet pociągające, gdyby nie patrzył na nią tak, jakby chciał ją połknąć za jednym kęsem.

- Catarina Hale. - Wyciągnęła rękę. - Właśnie kupiłam ten dom.

- Catarina Hale. - Ujął jej rękę i trzymał, po prostu bezwładnie trzymał. - Dziewczyna z Marzeń.

- Uhm. - Jego punkty zaczęły gwałtownie spadać. - No tak, miło mi poznać. Muszę już wracać do domu.

- Tyle czasu. - Nadal się w nią wpatrywał. - Tyle lat. Jesteś lepsza, niż cię zapamiętałem. I co teraz?

- Co teraz? - Oswobodziła rękę i cofnęła się.

- Nie mogę uwierzyć. Po prostu tu jesteś. Bum. A może mam halucynacje?

Znów sięgnął po jej rękę, ale powstrzymała nowego znajomego, odpychając oburącz jego klatkę piersiową.

- Chyba tak - powiedziała. - Może był pan za długo na słońcu. Lepiej niech pan już wraca do siebie, Kolego Stolarzu.

- Nie, czekaj. Nic nie rozumiesz. Pojawiałaś się i znikaaś. Potem znów i znów. I uciekałaś mi, zanim zdołałem cię dogonić. A teraz jesteś tutaj, rozmawiasz ze mną, a ja z tobą.

- Już nie. - Nikt jej nie powiedział, że stolarz zza ściany jest wariatem. Nie powinni tego przed nią ukrywać. - Proszę iść do domu. Położyć się. Wezwać pomoc.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do drzwi.

- Poczekaj, poczekaj! - Rzucił się za nią.

Odwróciła się, złapała go za rękę, szarpnęła i wykręciła ją do tyłu.

- Na litość boską, proszę mnie nie zmuszać do aresztowania pana! - krzyknęła. - Nawet się tu jeszcze nie wprowadziłam.

- Prawdziwa policjantka. Prawdziwa policjantka. - Zaśmiał się i przekręcił głowę, żeby się do niej uśmiechnąć. - Zapomniałem, przecież mi mówili, że wprowadzi się tu policjantka. Jesteś policjantką. Ekstra.

- A ty jesteś o sekundę od poważnych kłopotów.

- I pachniesz naprawdę pięknie.

- No więc dobrze. - Pchnęła go do tylnej ściany swojego domu. - Wyciągnij ręce.

- Już dobrze, dobrze. Zaczekaj. - Śmiał się i uderzał czołem o ścianę. - Jeśli wyglądam na szaleńca, to z powodu szoku. Mmm, eee... Cholera. Nie zakładaj mi kajdanek... przynajmniej dopóki wszystkiego nie wyjaśnię. College Park, maj 1992 roku. Imprezka do luzu. Nie wiem, czyj to był dom. Wspólny, poza kampusem. Jill, Jessie, nie - Jan. Chyba mieszkał tam jakiś Jan.

Reena zawahała się, wciąż trzymając kajdanki.

Mów dalej - poleciła.

- Zobaczyłem cię. Nikogo tam nie znałem. Przyszedłem z kolegą i zauważyłem cię po drugiej stronie pokoju. Ubrana byłaś w mały, różowy top. Włosy miałaś dłuższe, trochę za ramiona. Lubię takie, jakie nosisz teraz. Sprawiają wrażenie, jakby wybuchały do policzków.

- Powiem mojej fryzjerce, że akceptujesz tę fryzurę. Spotkałam cię na przyjęciu w College Park?

- Nie, nie dotarłem do ciebie. Muzyka umilkła. To była dla mnie wielka chwila. Mogę się odwrócić?

Rzeczywiście, nie mówił teraz jak wariat. Zaintrygowało ją to. Odsunęła się do tyłu.

- Ale ręce przy sobie! - ostrzegła.

- Nie ma problemu. - Podniósł je do góry, wnętrzami na boki, potem opuścił i zatknął kciuki za pas z narzędziami. - Zobaczyłem cię i byłem... Puk. - Uderzył pięścią w serce. - Ale zanim przeszedłem przez zapakowany ludźmi pokój, już cię nie było. Szukałem wszędzie. Na górze, na zewnątrz - wszędzie.

- Zobaczyłeś mnie z daleka ponad dziesięć lat temu na studenckiej imprezie i pamiętasz, co wtedy nosiłam?

- To było jak... na moment istniałaś tylko ty. Brzmi dziwnie, ale tak to wyglądało. A potem ten drugi raz. W którąś sobotę koleżanka zaciągnęła mnie do kretyńskiego centrum handlowego i tam cię zobaczyłem na górnej kondygnacji. Po prostu. Rzuciłem się, żeby znaleźć jakieś cholerne schody. Ale zanim wjechałem na górę, znowu się zdematerializowałaś. Uff.

Wykrzywił się jak obłąkany i zsunął czapkę jeszcze bardziej na tył głowy.

- A potem zima w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Przez radio leci *Growin' Up*. Rozglądam się i widzę ciebie w samochodzie obok. Wystukujesz rytm na kierownicy. Ty jesteś tam, a ja...

- O mój Boże! Dziwny Facet..

- Proszę?

- Dziwny Facet, który się na mnie gapił, gdy jechałam po zakupy.

Znów się uśmiechnął szeroko, ale tym razem był to uśmiech bardziej rozbawiony niż szaleńczy.

- To musiałem być ja - powiedział. - Często już dochodziłem do przekonania, że sobie ciebie wymyśliłem. Ale nie. Jesteś tutaj.

- To nie znaczy, że przestałeś być Dziwnym Facetem.

- Nie w sensie kryminalnym. Możemy porozmawiać. Zaproś mnie na kawę.

- Nie mam żadnej kawy. Nic jeszcze nie mam.

- To możesz przyjść do mnie. Tylko że ja też jej nie mam. Widzisz, to tuż obok. Mogłabyś wpaść na piwo albo colę. Albo na resztę życia.

- Chyba sobie odpuszczę.

- Mogę ci przygotować kolację? Zabrać na kolację? Zabrać na Arubę?
śmiej się zadrżał jej w krtani, ale go stłumiła.

- Nad Arubą się zastanowię. Co do kolacji, jest dopiero pierwsza.

- No to na lunch. - Roześmiał się, ściągnął z głowy czapkę i wepchnął ją do tylnej kieszeni, a długimi palcami przeczesał gęste, czarne włosy. - Nie do wiary, jak to kompletnie zawalam. Nie spodziewałem się zobaczyć Dziewczyny z Marzeń w domu obok. Pozwól mi zacząć jakby od początku. Jestem Bo. Bowen Goodnight.

Przyjęła wyciągniętą rękę. Podobała jej się siła, a także szorstkość dłoni.

- Bo - powtórzył. - Mam trzydzieści trzy lata, stan wolny, niekarany. Ostatnie badania - wszystko w porządku. Mam własną firmę: Goodnight - Usługi Stolarskie. Tę nieruchomość kupiłem razem z partnerem. Z kolegą, z którym przyszedłem na tamtą imprezę. Mogę ci przynieść list polecający, zaświadczenie lekarskie, oświadczenie finansowe. Tylko proszę, nie zniknij znowu.

- Skąd wiesz, czy nie jestem mężatką z trojką dzieci? Twarz mu stężała. Zbladł.

- Nie możesz być. Bóg nie jest taki okrutny - stwierdził. Rozbawiona już rozmową z nim, przechyliła głowę.

- Mogę być lesbijką.

- Nie zrobiłem w życiu nic aż tak złego, żeby zasłużyć na podobną złośliwość losu. Catarino, czekam już trzynaście lat. Nie katuj mnie.

- Zastanowię się nad tym. Jestem Reena - dodała. - Przyjaciele na ogół mówią do mnie Reena. Muszę już iść. Mam dziś gości.

- Nie zniknij.

- Nie, dopóki mój kredyt nie będzie spłacony. To było ciekawe spotkanie, Bo.

Wślizgnęła się z powrotem do domu, a on stał tam, gdzie go zostawiła.

Oczywiście, przynieśli ze sobą jedzenie. I wino. I kwiaty. I przywieźli większość jej mebli.

Ponieważ już zaczęli ją przeprowadzać, Reena stwierdziła, że powinna się do tego włączyć. Zrobiła więc kilka rundek do mieszkania nad Sirico's, żeby zabrać kartony i walizki z ubraniami. No i pożegnać się z mieszkaniem.

Wygodnie się tu mieszkało - myślała. Nawet za wygodnie. Wygoda może się stać rutyną, jeśli się na to nie zwraca uwagi. Ale będzie jej brakowało możliwości zbiegnięcia na dół na posiłek lub żeby po prostu pogadać. Nie będzie też mogła jak dotychczas tak łatwo i szybko wpaść do domu rodziców.

- Myślałby kto, że się przeprowadzam do Montany, a nie zaledwie kilka ulic dalej. - Odwróciła się do matki i zobaczyła płynące łzy. - Ach mammo!

- To głupie. Jestem taka szczęśliwa, że mam wszystkie dzieci w pobliżu. Ale lubiałam mieć cię tutaj. Cieszę się, że kupiłaś dom. To dobre i rozsądne. Ale będzie mi brakowało tej świadomości, że jesteś blisko.

- Przecież jestem blisko. - Podniosła ostatnie pudło. - Trochę się jednak martwię, że wzięłam na siebie więcej, niż potrafię podołać.

- Nie ma nic takiego, czemu moja dziewczyna nie mogłaby podołać.

- Mam nadzieję, że masz rację. Przypomnij mi o tym, gdy po raz pierwszy będę potrzebować hydraulika.

- Wezwiesz kuzyna Franka. A z kuzynem Matthew powinnaś porozmawiać o malowaniu.

- Podstawowe potrzeby zapewnione. - Reena doszła do drzwi i zaczęła, aż matka je otworzy. - A w domu obok mam majstra do wszystkiego.

- Nie zatrudnia się nikogo, kogo się dobrze nie zna, do prac w domu.

- Okazuje się, że go znam, a raczej on mnie. Opowiedziała Biance tę historię, gdy kończyły ładować bagaże do samochodu i ruszały w krótką drogę do nowego domu.

- Widział cię raz na przyjęciu w czasie studiów? I jest oczarowany?

- Nie wiem, czy oczarowany. Zapamiętał mnie. Wygląda na bardzo fajnego.

- Mhm.

- Spokojnie przyjął to, że chciałam go zakuć w kajdanki.

- Więc może jest do tego przyzwyczajony. A jeśli to kryminalista albo lubi być

krępowany?

- Mamo! Może po prostu jest fajnym, trochę dziwnym facetem, ma świetny tyłek i narzędzia mechaniczne. Mamo, jestem już duża. I noszę pistolet.

- Nie przypominaj mi. - Bianca zrobiła gest odsuwający to od siebie. - Co to za nazwisko: Goodnight?

- Na pewno nie włoskie - mruknęła Reena. Zaparkowała, po czym zauważyła, że drzwi sąsiedniego domu się otwierają. - O, wygląda na to, że masz szansę sama go ocenić.

- To on?

- Mhm.

- Atrakcyjny - skomentowała Bianca i wysiadła z samochodu.

Wykapał się - zauważyła Reena. Włosy miał jeszcze trochę wilgotne, włożył świeżą koszulę i nie miał pasa z narzędziami.

- Zobaczyłem, że dźwigacie bagaże. Pomyślałem, że na coś się przydam. Mogę to przenieść? - zapytał Biancę. - Ooo, w tej rodzinie są same piękne kobiety. Jestem Bo, z sąsiedniego domu.

- Tak, córka mi o tobie mówiła.

- Uważa mnie za szaleńca, bo dałem jej do tego sporo powodów. Na ogół bywam mniej dziwny.

- A więc jesteś nieszkodliwy.

- Boże, mam nadzieję, że nie. Rozbawił ją.

- Bianca Hale, matka Catariny.

- Miło mi poznać.

- Od dawna tu mieszkasz?

- Nie, właściwie dopiero jakieś pięć miesięcy.

- Pięć miesięcy Nie pamiętam, że bym cię widziała w Sirico's.

- Sirico's? Najlepsza pizza w Baltimore. Cały czas zamawiam ją do domu. Spaghetti i klopsy też są wyśmienite.

- Moi rodzice są właścicielami Sirico's - poinformowała go Reena, otwierając bagażnik.

- Nie mów. Naprawdę?

- Może kiedy zajrzysz coś zjeść? - zaprosiła go Bianca.

- Na pewno. Przez ostatnie parę miesięcy pracowałem niemal na okrągło i... Może ja to wezmę. - Odsunął Reenę na bok, żeby wyjąć kartony, i dalej mówił do jej matki: - Jakoś ostatnio z nikim się nie spotykałem, nie umawiałem. A nie lubię jeść samotnie w restauracji.

- A co ci dolega? - dopytywała się Bianca. - Młody, przystojny. Dlaczego się z nikim nie spotykasz?

- Spotykam... to znaczy spotykałem. I będę. Ale mam dużo pracy, a w wolnym czasie zarządzam ten dom.

- Byłeś już żonaty?

- Mamo!

- Rozmawiamy sobie.

- To nie rozmowa, tylko przesłuchanie.

- Nic nie szkodzi. Nie, proszę pani, żadnych żon, żadnych narzeczonych. Czekałem na Reenę.

- Przestańcie! - nakazała Reena.

- To tylko rozmowa - potwierdził. - Pani Hale, czy pani wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Jestem Włoszką. Oczywiście, że wierzę. I mów do mnie Bianca. Wejdz, poznaj rodzinę.

- Z przyjemnością.

- Spryciarz - rzuciła cicho Reena, gdy odsuwał się, żeby przepuścić Biancę.

- Desperat - poprawił.

- Postaw to tutaj.

- Mogę zanieść na miejsce.

- Na razie tu jest miejsce. - Zamykając drzwi, wskazała na dół schodów.

- Dobrze. Podoba mi się twoja matka.

- A dlaczego miałyby się nie podobać? - Zdjęła okulary słoneczne i uderzała nimi o dłoń, przyglądając mu się. - Możesz wejść dalej. I pamiętaj, że sam się o to prosiłeś.

Poszła w głąb domu w stronę kuchni, unikając zderzenia z dwójką siostrzeńców pędzących w przeciwną stronę. W kuchni na kuchence już gotował się na wolnym ogniu sos, rozlewano wino i trwały jednocześnie dwie dyskusje.

- Przedstawiam wam Bo - oznajmiła Bianca i w kuchni zapadła cisza. - Mieszka obok. Jest stolarzem i zadurzył się w Reenie.

- Tak naprawdę to jest miłością mego życia.

- Przestańcie wreszcie. - Reena pokręciła głową, ale ze śmiechem. - To mój ojciec Gib, moja siostra Fran, jej mąż Jack - jedno z dzieci, które stąd wybiegły, to był ich syn Anthony. To moja siostra Bella - drugi z pędzących to jej syn.

Dom, reszta jej dzieci: Vinny, Sophia i Luisa, gdzieś tu są. Mój brat Xander i jego

żona An. Ich maluch to Dillon.

- Bardzo nam miło. - Fran posłała mu uśmiech. - Nalać ci wina?

- Tak, chętnie.

- Fran i Jack prowadzą restaurację moich rodziców. Mąż Belli nie mógł dziś przyjść.

Xander i An są lekarzami, pracują w tutejszej przychodni.

- Miło mi wszystkich poznać.

Widziała to jego oczami. Wysoki, przystojny mężczyzna przy kuchence mierzący wszystko bacznie wzrokiem. Śliczna, ciężarna Fran nalewa wino, podczas gdy płomiennorudy Jack wozi ich płomiennorudą córeczkę na barana. Bella oparta o bufet, w markowych pantoflach i z fryzurą *a la* country club. Xander sący wino, stojąc obok swojej żony o cudownie złotej skórze. An właśnie odbekuje ich sześciotygodniowe niemowlę.

Oczywiście ze wszystkich stron padały pytania, ale on świetnie sobie radził. I wcale nie był zdziwiony na widok Włochów, Irlandczyków i Chinki zebranych w jednej kuchni prawie pustego szeregowca.

Tak łatwo się zaadaptował w tym towarzystwie, że była zaskoczona, gdy zapytany o swoją rodzinę, powiedział, iż jest jedynakiem.

- Rodzice rozeszli się, gdy byłem mały. Dorastałem w hrabstwie Prince George's. Matka mieszka teraz w Karolinie Północnej. Ojciec gdzieś w Arizonie. Mój partner jest dla mnie jak brat. Znamy się od zawsze. Może go pamiętasz - zwrócił się do Reeny. - Chodził z dziewczyną, która znała Jana, wyjechała do Marylandu. Na imię miała chyba Cammie.

- Niestety, nie. W college'u zbytnio nie udzielałam się towarzysko.

- Czas spędzała głównie na nauce - 'wtrąciła Bella z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. - Potem miała złamane serce z powodu tej tragedii.

- Bello! - Głos Bianki był ostry jak nóż.

- Och, na litość boską, to było wiele lat temu. Jeśli jeszcze się z tym nie pogodziła, to powinna.

- Kiedy ktoś umiera, to pozostaje umarły bez względu na to, ile minie lat.

- Przepraszam - zwrócił się Bo do Reeny.

- Nie masz powodu do przeproszania - odparła, posyłając długie spojrzenie siostrze. - Proszę, zjedz przystawkę. - Podniosła półmisek. - Zanim kupię stół do jadalni, będziemy jeść na stojąco lub siedząc na podłodze.

- Mogę ci zrobić stół.

- Zrobić co? Stół?

- No tak. To dla mnie pestka. Właściwie to najbardziej lubię robić meble. Powiedz mi

tylko, jaki chcesz mieć. Eee, na oblewanie nowego mieszkania.

- Nie możesz tak po prostu zrobić dla mnie stołu.

- Cicho! - wtrąciła się Bianca. - Dobrze to robisz?

- Wyjątkowo dobrze. Już jej proponowałem, że pokażę referencje. Być może znacie państwa Baccho z Fawn Street?

Oczy Bianki się zwęziły.

- Znam ich. Dave i Mary Teresa. Ty jesteś tym chłopcem, który zrobił im kredensy?

- Wbudowane, w dębie i szkłe. Tak, to moje dzieło.

- Dobra robota. - Przeniosła wzrok na męża. - Chciałabym mieć coś takiego.

Chodźmy, zobaczmy jadalnię.

- Mamo!

- Nic mu się nie stanie, jak popatrzy - odparła Bianca i wyprowadziła Bo z kuchni.

An podała dziecko Xandrowi. Była drobna i szczupła, ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Na głowie miała kitkę lśniących, czarnych jak węgiel włosów, i oczy czarne jak smoła. Wzięła z trzymanego przez Reenę półmiska nadziewaną pieczarkę.

- Ma gorączkę - powiedziała półgłosem. - Poważny zespół przeżrzenia.

- Jeszcze się nie wprowadziłam, a ona już mnie swata z sąsiadem.

- Hej, w najgorszym wypadku zyskasz stół za darmo. - Trzymała pieczarkę, robiąc miny. - A przecież widzę, że ten facet potrafi trzymać w ręku młotek.

- Daruj sobie te insynuacje! - zawołał Xander.

- Idę ich rozdzielić. - Reena wręczyła półmisek An i szybko wyszła do jadalni.

Matka żywo gestykulowała, rozkładając ręce szeroko i roztrzásając, jakie krzesła będą potrzebne. Bo spojrzął i przycisnął dłoń do serca.

- Gdy tylko ona wchodzi do pokoju, już mi się kręci w głowie.

Reena zmarszczyła brwi.

- Musisz zejść o kilka tonów niżej.

- To mój pierwszy dzień, więc miej dla mnie trochę wyrozumiałości. Myślmy o składanych bokach. W ten sposób będziesz miała mały stół, który na duże przyjęcia rodzinne bez problemu rozłożysz.

- Jeszcze nie wiem, czego chcę. — Co do stołów - pomyślała - i co do ciebie. Co do czegokolwiek innego oprócz pracy. - Nie mogę nic powiedzieć.

- Zrobię kilka projektów. Na dobry początek. W tym domu jest taki sam układ jak u mnie, więc mogę wymierzyć u siebie. Tu drzemie wielki potencjał. - Uśmiechnął się do niej. - Nieograniczony potencjał. Lepiej już pójde.

- Powinieneś zostać - zaprotestowała Bianca. - Coś zjeść.

- Dziękuję. Skorzystam innym razem. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała - zwrócił się do Reeny - jestem tu obok. Zapisałem swój telefon. - Wyciągnął z kieszeni wizytówkę. - Komórka jest wydrukowana, domowy na odwrocie. Cokolwiek potrzebujesz, dzwoń.

- Dobrze. Odprowadzę cię. Podał jej swój kieliszek.

- W porządku. Znam drogę. Zostań z rodziną. Bianco, przyjdę do was coś zjeść.

- Dopilnuję tego.

Matka odczekała, aż będzie pewna, że się znalazł poza zasięgiem jej głosu.

- Jest dobrze wychowany - powiedziała. - Dobrze mu patrzy z oczu. Powinnaś dać chłopakowi szansę.

- Mam numer jego telefonu. - Reena włożyła go do kieszeni. - Zastanowię się.

Pożar zaczął się od strychu ślicznego, starego domu z czerwono-brunatnego piaskowca przy Bolton Hill. W tej luksusowej dzielnicy były ładne, małe parki, a wzdłuż ulic rosły drzewa liściaste.

Mieszkańcy stracili całe drugie piętro, większość dachu i fragmenty pierwszego piętra. Pożar wybuchł późnym rankiem w dzień powszedni, gdy nikogo nie było w domu.

Czujna - albo wścibska - sąsiadka zauważyła dym i płomienie, więc wezwała straż pożarną.

Reena czytała raporty w drodze na miejsce zdarzenia.

- Nie ma śladów włamania. Właściciele mają system alarmowy. Gospodyni przychodząca raz w tygodniu zna kod. Inspektor straży stwierdził źródło zapłonu na poddaszu. Gazety, opakowania po zapalkach.

- Miła okolica - zauważył O'Donnell.

- Taaak. Myszkowałam tu trochę, szukając domu. Za każdym razem zawracałam na stare śmiecie.

- To nic złego. Podobno masz ciekawego sąsiada. Spojrzała na niego oczami wąskimi jak szparki.

- Skąd o tym wiesz?

- Przypuśćmy, że twój ojciec wspomniał o tym Johnowi, przypuśćmy, że John wspomniał mnie.

- Przypuśćmy, że wy wszyscy możecie sobie znaleźć ciekawsze tematy do rozmów niż mój sąsiad z domu obok.

- Nie był notowany.

- Sprawdziłeś go? Na litość boską!

- Bezpieczeństwo na pierwszym miejscu. - O'Donnell mrugnął do niej i wcisnął się w wolne miejsce do zaparkowania na chodniku. - Mandat za szybką jazdę jakieś sześć miesięcy temu.

- Nie chcę nic wiedzieć. - Wysiadła z samochodu i obeszła go, żeby wziąć z tyłu zestaw polowy.

- Wolny, jeszcze nie zawierał małżeństwa.

- O'Donnell, zamknij się! Wziął swój zestaw.

- Ma licencję na działalność w hrabstwach Baltimore i Prince George's. Adres firmy jest w hrabstwie PG. To dom jego partnera. Twój facet dużo się przemieszcza. Przeprowadza

się co sześć - osiem miesięcy.

- Za bardzo go inwigilujesz.

- Taa. - O'Donnell ruszył żwawo w stronę budynku. - To bardzo zabawne. Widzisz, on i jego partner kupują domy, przeważnie mieszkalne, po czym je podszykują i sprzedają. Twój chłopak...

- Nie mój chłopak.

- Twój chłopak wprowadza się, przeprowadza generalny remont i sprzedaje dom, kupuje następny, wprowadza się. Robi tak od dziesięciu czy dwunastu lat.

- I dobrze. Teraz może byśmy się skoncentrowali na pracy, a nie na moim życiu.

Obejrzała budynek, osmalone cegły z piaskowca, kąty zawalenia się dachu. Zrobiła zdjęcia do dokumentacji.

- Raport mówi, że drzwi i okna poddasza były otwarte.

- Doskonała wentylacja - skomentował O'Donnell. - Składowali tam rzeczy, tak jak ty. Stare ubrania, dekoracje świąteczne. Dobry materiał palny.

- Wychodzi sąsiadka - zauważyła Reena półgłosem i zniżyła aparat. - Zrobię jej zdjęcie.

- No to zaczynamy. - O'Donnell podniósł swój sprzęt i ruszył do drzwi.

- Proszę pani! - Reena wyciągnęła zza paska odznakę. - Jestem detektyw Hale z Wydziału Podpaleń Policji Miejskiej Baltimore.

- Podpaleń. Ach tak. - Kobieta była drobna, o ciemnej skórze i wyglądała nad wyraz schludnie.

- Mój partner i ja badamy teren zdarzenia. Czy pani Nichols? Shari Nichols?

- Zgadza się.

- Pani zgłosiła pożar.

- Tak, ja. Byłam na dworze za domem. Mam tam mały ogródek w donicach. Najpierw poczułam swąd.

- To było koło jedenastej rano?

- Piętnaście po jedenastej. Wiem, bo właśnie myślałam, że moje najmłodsze za jakąś godzinę wróci z przedszkola i będzie koniec spokoju. - Uśmiechnęła się lekko. - To diaboliczna.

- Jak długo była pani na zewnątrz, zanim poczuła dym?

- No, może godzinę, najwyżej. A gdzieś tak po kwadransie wróciłam na chwilę do domu, bo zapomniałam telefonu. Inspektor straży już mnie pytał, czy widziałam kogoś w pobliżu. Nie widziałam.

Popatrzyła w górę na dom sąsiadów.

- To okropne. Ale dzięki Bogu nikogo nie było w środku i nikomu nic się nie stało. Przyznam, iż się bałam, bardzo się bałam, że może się przenieść na mój dom.

Pocierała ręką gardło, patrząc na spękany gzyms i poczerniały od sadzy mur.

- Straż przyjechała szybko - stwierdziła. - O to można być spokojnym.

- Tak, proszę pani. Jeśli nic pani nie widziała, może coś pani słyszała?

- Alarm pożarowy w środku. Z początku nie zwróciłam na to uwagi. Miałam nastawioną muzykę. Ale jak poczułam dym, rozejrzałam się i zobaczyłam, że się wydobywa z okien poddasza, usłyszałam też dzwonki ich alarmu. Pewnie tam w środku straszny bałagan. Ona tego nie zniesie.

- Słucham?

- To znaczy Ella Parker, która tam mieszka. Tak uwielbia te swoje rzeczy. Mamy tę samą gospodynię, chociaż do mnie Armie przychodzi tylko raz w miesiącu, bo teraz nie pracuję poza domem. Ella ma bardzo dużo rzeczy. Strasznie się zdenerwuje tym bałaganem, tak jak i pożarem... Ale to może nie brzmi zbyt uprzejmie - dodała po chwili Shari. - Nie chciałabym się wydać bezduszna.

- Czy z panią Parker żyjecie w zgodzie?

- Raczej tak. - Reena dostrzegła w jej głosie pewną rezerwę i zachowała milczenie. - Jesteśmy dla siebie uprzejmie, ale się nie przyjaźnimy - dodała po dłuższej chwili. — Mój średni chłopak bawi się od czasu do czasu z jej najstarszym.

Przestąpiła z nogi na nogę jakby z niepewnością. Reena tylko kiwnęła głową.

- Czy naprawdę uważacie, że to było podpalenie, a nie wypadek? - spytała Shari.

- Jeszcze tego nie wiemy.

- Mój Boże, do licha. Chyba lepiej będzie, jak powiem, że kilka tygodni temu trochę się z Ellą przemówiliśmy. Boże! - Potarła ręką szyję. - Nie chcę, żeby policja myślała, iż mam z tym coś wspólnego.

- Dlaczego mielibyśmy tak myśleć?

- No bo powiedziałyśmy sobie trochę ostrzych słów i mamy tę samą gospodynię, i nasze dzieci razem się bawiły. I to ja wykrciłam dziewięćset jedenaście. Rozmawiałam o tym wczoraj wieczorem z mężem i on mówi, że sama się pakuję w kłopoty. Ale nie mogę przestać o tym myśleć.

- Proszę mi powiedzieć, o co wam poszło.

- O chłopców. Jej Trevora i mojego Malcoma. - Głośno odetchnęła. - Trzy tygodnie temu przyłapałam ich na wagarach. Głuptasy. Dzień był ładny, więc postanowiłam pójść na piechotę do przedszkola i odebrać moją najmłodszą. Chciałam z nią pójść do parku i pozwolić

jej wyładować trochę tej energii, której ma zawsze za dużo. No i zobaczyłam ich obu, jak przebiegali przez ulicę do parku. Dogoniłam chłopaków, zapewniam panią, i za uszy z powrotem do szkoły.

Reena pozwoliła sobie na porozumiewawczy uśmiech, taki jaki wymieniają między sobą dwie dorosłe kobiety.

- Musieli być zaskoczeni na pani widok - stwierdziła.

- Okazali się za głupi, żeby umknąć niepostrzeżenie. Jak się chce wagarować, trzeba to przynajmniej robić fachowo. - Potrząsnęła głową. - Gdy Ella wróciła z pracy, zaszłam do niej z moim chłopakiem, żeby o wszystkim powiedzieć. Zanim dobrze zaczęłam, ona już z buzią, że to wina mojego dzieciaka i jakim prawem czepiałam się jej syna.

Rozłożyła ręce.

- Ja tylko odprowadziłam dzieciaka do szkoły, gdzie jego miejsce. Sama byłabym wdzięczna, gdyby ktoś tak zrobił z moim synem, a pani nie?

- Tak, tak, ja też. Ale pani Parker się zdenerwowała.

- Była wściekła jak osa. Od razu więc jej powiedziałam, że gdy następnym razem zobaczę go na ulicy w godzinach lekcyjnych, przejdę obojętnie. Mówiliśmy jeszcze więcej, ale chyba jasne, o co chodziło.

- Trudno się dziwić, że się pani zdenerwowała - poparła ją Reena. - Chciała pani postąpić właściwie.

- A powiedziano mi, żebym pilnowała własnego nosa. I gdybym tak zrobiła, jej cholerny dom by spłonął. Chłopcy od tamtej pory nie bawią się razem. Trochę mi przykro, ale nie mogę pozwolić, żeby Malc włóczył się, gdzie tylko zechce. Powiedział mi, że to nie pierwszy raz Trevor zrobił sobie wakacje, a był tak wystraszony, że na pewno mówił prawdę.

- Twierdzi, że Trevor stale wagaruje?

- Do licha! Nie chcę tego dziecka pakować w jeszcze większe kłopoty.

- Będzie lepiej dla niego i dla wszystkich, jeśli dowiemy się prawdy, pani Nichols. Im więcej mi pani powie, tym szybciej zakończymy tę sprawę.

- Cóż. No dobrze. Nie wiem, czy stale, ale mój chłopak mówi, że Trevor czasem się urywa, i tym razem namówił go, żeby się przyłączył. To nie usprawiedliwia Malca i został przykładnie ukarany. Przez ostatnie trzy tygodnie co rano odprowadzałam go do szkoły i po południu odbierałam. Nic bardziej nie zawstydzia dziewięcioletka niż odprowadzanie go do szkoły przez mamę.

- Moja mama też kiedyś tak zrobiła z moim bratem. Miał wtedy dwanaście lat. Myślę, że do tej pory pamięta.

- Moim zdaniem rodzice powinni się bardziej przykładać do wychowywania dzieci niż do tego, żeby być dla nich kumplami.

- A tak jest u sąsiadów?

- Teraz to już plotkuję - odparła Shari. - Nie żebym miała coś przeciwko plotkom. Powiedziałabym, że nie widzę u nich zbytnej dyscypliny. Ale to moja własna opinia, którą zdaniem męża za często wypowiadam. Trevor jest trochę puszczonego samopas, ale to miły chłopiec. Chcę tylko powiedzieć, że może w tej chwili moje stosunki z Ellą nie są najlepsze, ale nikomu bym nie życzyła czegoś takiego. Myślę, że to musiał być nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Samoistne zapalenie lub coś takiego.

- Zbadamy to. Dziękujemy za informacje.

Reena weszła do środka. Przystanęła w korytarzu frontowym, chłonąc atmosferę domu. Ogień nie doszedł aż tutaj, ale czuła zapach spalenizny. Gaszenie pożaru wyrządziło niewielkie szkody: sadza i błoto na podłodze i schodach.

Ale rozumiała, o czym mówiła sąsiadka. Pomijając bałagan po pożarze, wszystko tam było dopracowane w najdrobniejszym szczególe. Pod warstwą kurzu i sadzy wysoki połysk, kompozycje z kwiatów w wazonach, dobrane kolorystycznie poduszki i zasłony, wszystko dopasowane do tonacji ścian. Jak w dziele sztuki.

Na górze było tak samo. Najbardziej ucierpiała sypialnia rodziców. Odchodząca farba, osmalony dymem sufit, ślady po wodzie.

Ogniem zajęła się kołdra na wielkim łóżu małżeńskim i pasujące do niej zasłony. Drewniane żaluzje były nadpalone.

Widziała drogę, jaką przemieszczał się ogień - w dół schodami z poddasza, wyzerając sobie trasę przez błyszczące drewniane posadzki, wgrzyzając się w zabytkowy dywan.

Poszła dalej korytarzem, gdzie znalazła dwa domowe biura. Kolejne antyki - zauważyła, jeszcze staranniejsza kompozycja.

Pokój chłopca znajdował się na drugim końcu korytarza. Był duży i przestronny, wszędzie odniesienia do futbolu. Obramowane plakaty, dużo bieli i czerni z plamami czerwieni. Starannie utrzymane półki. Żadnych walających się zabawek ani stosów brudnych ubrań.

Otworzyła teczkę i sprawdziła jakąś informację. Potem wzięła telefon i zadzwoniła.

Gdy ostrożnie weszła po uszkodzonych schodach na górę, O'Donnell przesiewał warstwy śmieci po pożarze.

- Miło, że się przyłączasz.

- Musiałam sprawdzić pewne dane. - Spojrzała w górę na niebo. - Prawie cały ogień

poszedł do góry. Mają szczęście. Na pierwszym piętrze nie jest tak źle. Na parterze tylko smugi od dymu i trochę wszystko zmoczone.

- Jak dotąd brak dowodu na podpalenie. Źródło pożaru w południowo - wschodnim narożniku. - Pokazał ręką, a ona robiła jeszcze zdjęcia. - Zapaliła się sklejka, potem izolacja za nią, ogień poszedł wyżej i ogarnął dach.

Przykucnęła, dłonią w rękawiczce rozgarnęła śmiecie i podniosła resztki spalonego zdjęcia.

- Fotografii. Stos fotografii, zapewne od nich się zaczęło.

- Tak. Małe ognisko z fotografii. Ogień idzie do góry i na zewnątrz. Worki z ubraniami oraz pudła z ozdobami w środku podsyciły płomień i skierowały go w dół na schody. Otwarte okno i drzwi zapewniły dostęp powietrza.

- Wzięłeś odciski? Na klamce, na ramie okiennej?

- Czekalem na ciebie.

- Porozmawiałam sobie z sąsiadką. Zgadnij, kto lubi wagarować.

O'Donnell odchylił się do tyłu.

- Czyżby?

- Mały Trevor Parker uciekł z lekcji sześć razy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. W dniu pożaru spóźnił się, przyszedł do szkoły między jedenastą a jedenastą trzydzieści. Miał napisane usprawiedliwienie — dodała - że był u lekarza.

Zaczęła szukać odcisków palców na spalonym drewnie framugi okiennej.

- Szkoła rejestruje informacje zdrowotne uczniów i udało mi się ich przekonać, żeby mi podali nazwisko pediatry Trevora. W tym dniu nie miał wyznaczonej żadnej wizyty.

- W raporcie też nic o tym nie ma - zauważył O'Donnell. - Oboje rodzice byli w pracy, dopóki nie zawiadomiono ich o pożarze.

- Mam tu odcisk kciuka. Mały. Wygląda mi na dziecienny.

- Chyba musimy pogadać z Parkerami.

Ella Parker, trzydziestoosmioletnia kobieta trzymająca formę i styl, była pierwszym wiceprezesem lokalnej firmy marketingowej. Na posterunek przysłała z walizeczką od Gucciego. Jej mąż, też mężczyzna z klasą, pracował na stanowisku szefa działu zaopatrzenia jednej z instytucji badawczo - rozwójowych.

Miał zegarek Rolex i włoskie półbuty.

Tak jak proszono, przyprowadzili ze sobą Trevora. Był małym, chudym dziewięcioletkiem w adidasach za dwieście dolarów i z ponurym spojrzeniem.

- Dobrze, że przyszliście - zaczął O'Donnell.

- Jeśli macie jakieś nowe informacje, chcemy je poznać. - Ella postawiła walizeczkę przed sobą na stole. - Załatwiamy sprawy ubezpieczeniowe i oszacowanie szkód. Musimy jak najszybciej wrócić do domu i zabrać się do remontu.

- To rozumiacie. Choć ustaliliśmy przyczynę pożaru, jest jeszcze kilka wątpliwości do wyjaśnienia.

- Rozmawialiście, jak sądzę, z naszą byłą gospodynią?

- Była? - podchwyciła Reena.

- Zwolniłam ją wczoraj. Nie ma wątpliwości, że to jej wina. Nikt inny nie zna naszego kodu bezpieczeństwa. Mówiłam ci, że zrobiliśmy błąd - zwróciła się do męża.

- Miała świetne rekomendacje - przypomniał jej. - I pracowała u nas przez sześć lat. Z jakiego to niby powodu Annie miałyby doprowadzić do pożaru w naszym domu?

- Ludzie nie potrzebują powodu do destruktywnych czynów. Po prostu to robią. Czy rozmawialiście z nią? - Ella domagała się odpowiedzi.

- Będziemy.

- Nie rozumiem, dlaczego nie była pierwsza na waszej liście. Po co nas tutaj ściągaliście w takim momencie. Czy chociaż macie pojęcie, ile czasu, energii i stresu pochłaniają sprawy związane z pożarem domu?

- Akurat to wiem - powiedziała Reena. - Współczuję, że musi pani przez to przejść.

- Straciłam przedmioty osobiste o wartości kilku tysięcy dolarów, nie mówiąc już o zniszczeniach samego domu. Musiałam odwołać spotkania służbowe, całkiem zmienić swój rozkład dnia...

- Ella! - W głosie Williama Parkera pobrzmiwało zmęczenie, które sprawiało wrażenie nawyku.

- Nie „elluj” mi tu - warknęła. - To ja się zajmuję tymi wszystkimi sprawami. Co nie znaczy, że ty kiedykolwiek... - Urwała i podniosła rękę. - Przepraszam. Jestem bardzo zdenerwowana.

- To rozumiacie. Proszę nam powiedzieć, jak często chodzi pani na poddasze? - zapytał O'Donnell.

- Co najmniej raz w miesiącu. I mam... miałam gospodynię, która tam regularnie sprzątała.

- A pan Parker?

- Dwa, trzy razy w roku, tak mi się zdaje. Kiedy wnosi na strych lub znosi stamtąd jakieś rzeczy: ozdoby świąteczne i tym podobne.

- A Trevor?

- Trevorowi nie wolno chodzić na poddasze - oświadczyła Ella.

Reena zauważyła szybkie spojrzenie rzucone przez chłopca w stronę matki, zanim znów wbił wzrok w stół.

- Ja jako dziecko bawiłam się na strychu - rzuciła lekkim tonem. - Było tam mnóstwo ciekawych rzeczy.

- Mówiłam już, że jemu nie wolno.

- To czasem różne kwestie, czego chłopcom nie wolno, a co robią. Mamy informację, że Trevor niekiedy samowolnie opuszcza szkołę.

- Raz. I nie wolno mu się bawić z chłopcem, który za to odpowiada. Nie rozumiem, czemu was to interesuje.

- Trevor nie był w szkole tego przedpołudnia, kiedy wybuchł pożar. Prawda, Trevorze?

- Bzdura! - Gniew i zniecierpliwienie sprawiły, że głos Elli ciał powietrze jak brzytwa.

- Mąż odebrał go, gdy dowiedzieliśmy się o pożarze.

- Ale w szkole pojawiłeś się dopiero w południe, czyż nie tak, Trevorze? Spóźniłeś się. Dałeś nauczycielce karteczkę z usprawiedliwieniem, że byłeś u lekarza.

- To śmieszne.

- Pani Parker - odezwał się O'Donnell powoli, przeciągłym i cierpliwym tonem. - Czy jest jakiś powód, żeby pani syn nie mógł odpowiadać sam?

- Jestem jego matką i nie zamierzam pozwolić, aby był przesłuchiwany czy zastraszany przez policję. Jesteśmy poszkodowanymi, a wy tutaj występujecie z jakimś zawołanym oskarżeniem dziewięcioletniego chłopca. - Podniosła się raptownie. - Mam już dość! Chodź, Trevorze!

- Ella, zamknij się! Zamknij się, do diabła, na pięć cholernych minut! - Wkroczył do akcji William, po czym zwrócił się do syna: - Trevorze, czy znowu uciekłeś ze szkoły?

Chłopiec wzruszył ramionami, wpatrując się w stół. Reena spostrzegła, że w jego oczach błyszczą łzy.

- Trevorze, czy tamtego ranka wchodziłeś na poddasze? - zapytała go cicho. - Może chciałeś się tylko pobawić, miło spędzić czas?

- Nie życzę sobie, żeby go pani przesłuchiwała! - protestowała Ella.

- A ja tak. - Jej mąż wstał. - Jeśli nie możesz tego znieść, wyjdź stąd. Ale ja zamierzam usłyszeć, co Trevor ma do powiedzenia.

- Jakby cię to cokolwiek obchodziło. Jakbyś się troszczył o któreś z nas. Jesteś tak zajęty posuwaniem tej swojej cycatej blondynki, że nie masz czasu dla rodziny.

- Jestem tak zajęty usiłowaniem wytrzymania z tobą pod jednym dachem, że nie dość się troszczyłem. O Trevora.

- Nie słyszałam, abyś zaprzeczył, że mnie oszukujesz, ty łajdaku.

- Przestańcie! Przestańcie! - Trevor zasłonił uszy dłońmi. - Przestańcie się cały czas na siebie wydzierać! Ja tego nie chciałem! Nie chciałem! Miałem zamiar tylko zobaczyć, co się stanie.

- O mój Boże, mój Boże! Trevorze, co ty zrobiłeś?! Nie mów już ani słowa! Nie pozwalam mu nic więcej mówić! - oświadczyła Ella. - Zadzwońię do swojego prawnika.

- Zostaw to, Ella. - William położył rękę na ramieniu chłopca. Potem pochylił głowę i dotknął nią jego głowy. - Przepraszam, synuś. Twoja mama i ja porządnie nabroiliśmy. Wszystko to musimy dzielnie znieść. Ty też to musisz znieść. Powiedz, co się stało.

- Byłem wściekły... Byłem wściekły, bo znów się kłóciliście, i nie chciałem iść do szkoły. Więc nie poszedłem.

Reena podała Trevorowi chusteczkę.

- I zamiast tego wróciłeś do domu?

- Chciałem tylko pobawić się w swoim pokoju i pooglądać telewizję. Ale...

- Czuleś wściekłość.

- Oni mają zamiar się rozwieść.

- Och Trev! - William ponownie usiadł. - To nie przez ciebie.

- Ty rozbiłeś dom. Tak powiedziała mama. Rozbiłeś go, więc gdyby wybuchł pożar, zostałbyś z nami, żeby się zająć remontem. Ale ja tego nie chciałem. Wziąłem zapalki i podpaliłem zdjęcia oraz papiery, a potem nie mogłem tego ugasić. Przestraszyłem się i uciekłem. Miałem usprawiedliwienie, bo wcześniej napisałem je na komputerze. I poszedłem do szkoły.

- To wszystko twoja wina - wyrzuciła z siebie Ella. William wziął Trevora za rękę.

- Jasne, czemu nie? Niech będzie, że moja. Damy sobie z tym radę, synuś. Dobrze, że powiedziałeś prawdę, poradzimy sobie.

- Gdyby dom się spalił, nie wzięlibyście rozwodu. - Trevor ukrył twarz na piersi ojca.
- Nie odchodź od nas!

Dotarła do domu późno i bardzo przygnębiona. Dla Trevora Parkera nie było idealnego ani nawet łatwego zakończenia tej sprawy. Psycholog mu pomoże, ale nie scali z powrotem jego rodziny. To - zdaniem Reeny - było przesądzone.

Zbyt wiele takich przypadków znała.

Na każdego Jacka z Fran, każdego Giba z Bianką przypadały po drugiej stronie skali nieudane małżeństwa. Ogólnie porażki przeważały nad sukcesami.

Dom chłopca wprawdzie się nie spalił, ale z całą pewnością był rozbity.

Zaparkowała przed domem, wysiadła i zamknęła samochód. Zobaczyła Bo siedzącego na schodkach przed swoim domem z butelką piwa.

Już miała zignorować jego obecność. Wszystko, co się z nim wiązało, zapowiadało się na skomplikowane i czasochłonne. Prościej będzie - myślała - po prostu wejść do własnego domu i zamknąć drzwi. I zostawić na zewnątrz trudy całego dnia.

Ale zamiast tego podeszła i usiadła obok niego na schodku. Wzięła piwo i upiła spory łyk.

- Jeśli masz zamiar powiedzieć, że siedziałeś tutaj, czekając na mnie, to będzie kompletny odlot.

- Więc ci nie powiem. Ale mogę ci wyznać, że jestem znany z siadania w pogodny wieczór na schodkach przed domem z zimnym piwem. Ciężki dzień?

- Smutny.

- Ktoś umarł?

- Nie. - Oddała mu piwo. - To pytanie skłania mnie do większego dystansu wobec dzisiejszych wydarzeń. Ciągle ktoś umiera. A śmierć jest jedyną rzeczą, od której nie ma odwrotu.

- A co, w twoim świecie nie ma reinkarnacji? A gdzie karma?

Ku swemu zaskoczeniu uśmiechnęła się.

- Nie miałam dziś do czynienia z kimś, kto się może odrodzić jako pies, tylko z małym dzieciakiem, który omal nie spalił swojego domu, próbując zmusić rodziców do pozostania razem.

- Odniósł jakieś obrażenia?

- Nie, fizycznie nie.

- To już coś.

- Tak. Mówiłeś, że twoi rodzice się rozeszli, jak byłeś dzieckiem.

- Taa. - Napił się piwa z podanej przez nią z powrotem butelki. - To było... nieprzyjemne. OK - poprawił pod wpływem samego jej spojrzenia. - To prawdziwy koszmar. Nie chcesz chyba jeszcze więcej się dziś obciążać, słuchając o bolesnych przeżyciach z mojego dzieciństwa.

- Moi rodzice pobrali się już trzydzieści siedem lat temu. Czasem są jak jedno ciało o dwóch głowach. Kłócą się, ale nigdy w brzydki sposób. Rozumiesz, o czym mówię?

- O, i to jak rozumiem.

- Można rzec, że są ze sobą spojeni, ale wiesz co? To oni są tą spoiną. Ta ich stałość

jest nieco przerażająca, bo samemu by się chciało mieć w życiu przynajmniej to.

- Możemy zacząć od wspólnej kolacji. I zobaczymy, jak się to potoczy.

- Możemy. - Znow wzięła butelkę, napiła się w zamyśleniu. Czowała od niego zapach mydła i jeszcze czegoś. Chyba olej lniany - pomyślała. Coś, co być może wcierał w drewno.

- Albo możemy wejść do środka i kochać się szaleńczo. Tego pewnie chcesz.

- No cóż, jestem przyciśnięty do muru. - Zaśmiał się trochę nerwowo i rozprostował nogi. - Nie mogę powiedzieć: nie, bo... jestem facetem. No więc tak, bardzo by mi pasowało kochać się z tobą szaleńczo. Myślałem o tym przez siedem siedemnastych mojego życia.

Z jej ust wyrwało się niezbyt eleganckie parsknięcie.

- Siedem siedemnastych?

- Trochę to zaokrąglone, ale tak obliczyłem. A więc doświadczenie tego byłoby dla mnie naprawdę wielkim przeżyciem. Z drugiej strony, skoro myślałem o kochaniu się z tobą przez siedem siedemnastych życia, nic mi się nie stanie, jak jeszcze trochę poczekam.

- Bowen, jesteś zabawnym facetem.

- No pewnie. Potrafię być zabawny. Umiem też być poważny albo przebiegły, albo luzak. Jestem facetem o wielu twarzach. Możemy zjeść kolację, a ja ci zademonstruję kilka z nich.

- Nie mówię: nie. Mój partner już cię zlustrował.

- I co, spodobałem mu się?

Tym razem się roześmiała i tak samo jak on rozprostowała nogi.

- Sprawdził twoją przeszłość.

- O cholera. - Wyglądał bardziej na zafrapowanego niż urażonego tym faktem. - Super. No i kwalifikuję się?

- Na to wygląda. - Przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem. - Dlaczego się nie złościysz? Ja byłam zła.

- Sam nie wiem. Myślę, że to brzmi interesująco. Chyba jeszcze nigdy nie byłem lustrwany.

- Mam wielką, hałaśliwą, często denerwującą, nadopiekuńczą rodzinę. Są treścią mojego życia, nawet jeśli tego nie chcę.

- A ja jestem jedynym dzieckiem z rozbitej rodziny. Spróbuj poczuć mój ból.

- Nic cię już nie boli.

- Niby tak. Ale to nie znaczy, że nie boję się twojej rodziny. Chcę cię tylko dotknąć. - Przesunął dłonią po jej ramieniu, barku, po czym odwrócił twarz Reeny, aż ich oczy się spotkały. - Może nie jesteś taka, jaką sobie wymyśliłem, ale tak długo już mam cię w głowie,

że muszę to sprawdzić.

- Moje związki się nie utrzymują. A raczej to ja ich nie utrzymuję. Czy zastanawiałeś się, jakie to byłoby niemiłe skończyć znajomość w nienawiści i dalej mieszkać obok siebie?

- Jedno z nas musiałoby się przeprowadzić. Ale na razie... - Sięgnął za siebie, żeby otworzyć drzwi, i wstawił do środka pustą butelkę. - Chcesz się przejść? Słyszałem, że kilka ulic dalej jest naprawdę dobry włoski lokalik. Moglibyśmy coś zjeść.

- Dobrze. - Objęła rękami kolana. Miała nadzieję, że nie popełnia błędu. - Możemy się przejść.

Reena nosiła dziecko Xandra i An po saloniku ich malutkiego mieszkanka. Zaczęli już pakować swoje rzeczy.

Ona wyprowadziła się z mieszkania nad Sirico's, a teraz wprowadzi się tam jej brat ze swoją małą rodziną.

Oba okna były szeroko otwarte; dochodziły przez nie odgłosy ulicy i krzyki dzieci bawiących się w pobliskim parku.

Bobas już beknął, ale Reena nie chciała go jeszcze kłaść.

- No więc jedliśmy kolację w Sirico's - opowiadała. — Dwa razy. Czasem siedzimy na jego schodkach. Narysował dla mnie projekt stołu do jadalni. Jest świetny. Po prostu doskonały. Nie wiem, co mam o nim myśleć.

- Wziąć się na serio do rzeczy. - An kontynuowała składanie dzieciennych ubranek. - Dlaczego go nie nakierujesz?

- Cenne rady, mamusiu.

- Ja w tej chwili ze względu na poród, pielęgnację dziecka, pracę i przeprowadzkę raczej nie myślę o życiu seksualnym. Zbyt dużo emocji skierowałam gdzie indziej. A jak u niego z całowaniem?

- Nie wiem.

- Nie całowałaś go? - An rzuciła śpioszki i złożyła ręce na piersi. - Przeprowadziłaś się - ile? - trzy tygodnie temu. Łamiesz mi serce.

- On pracuje, ja pracuję. - Reena wzruszyła ramionami. - Chociaż mieszkamy obok, nie widzimy się codziennie. Może właśnie staramy się nie spotykać zbyt często. Nie zrobił żadnego kroku. Ja też nie. Tak jakoś... - zatoczyła palcem kółko w powietrzu — krążymy wokół siebie. Czekam, aż on coś zrobi. Myślę, że Bo oczekuje tego samego, więc się powstrzymuje, co mnie lekko wyprowadza z równowagi. I muszę to podziwiać.

- OK, podziwiasz go, spędzasz z nim czas, więc musisz go lubić. Masz jeszcze krew w żyłach, więc on ci się podoba. Ale się z nim nie bzykasz.

- Nie. - Reena odsunęła Dillona od siebie, żeby popatrzeć na jego buzię. - Coś ze mną nie tak?

- On cię trochę przeraża, prawda?

- Nie boję się żadnego mężczyzny. - Przecież nie może sobie na to pozwolić. - Nawet tego, który jak mi się zdaje, właśnie z wdziękiem napełnił pieluchę. Idź do mamy, kwiatuszku.

An wzięła dziecko i przeniosła je do sypialni, którą tutaj dzielili we troje. Położyła go na stole do przewijania.

- Myślę, że trochę się go boisz - ciągnęła. - Ja na początku też się trochę bałam Xandra. Był taki fajny i zabawny, i tak piekielnie dobry jako lekarz. Przegryzłabym mu gardło. Potem, jak zaczęliśmy się spotykać, okropnie się bałam spotkania z waszą rodziną. Miałam w głowie taki obraz - coś w rodzaju rodziny Soprano, tylko bez morderstw, zbrodni i krwi.

- Dobrze wiedzieć.

- No, taka duża włoska rodzina. Jak taka mała Chincezka jak ja zdoła się do niej dopasować?

- Jak kwiat lotosu pięknie wpleciony w winorośl.

- O, jakie to śliczne porównanie! Wiesz, ja ich uwielbiam. Kochałam waszą rodzinę, jeszcze zanim pokochałam Xandra. Jego pragnęłam, podziwiałam, ale oni mnie olśnili. No i zobacz, czym się teraz mogę pochwalić.

Pocałowała Dillona w brzusek, a Reenę otoczyła ręką w talii.

- Czy on nie jest najpiękniejszym widokiem w twoim życiu?

- Pierwsza nagroda.

- Gdy Xander mi się pierwszy raz oświadczył, powiedziałam: nie.

- Co?! - Reena patrzyła z zaskoczeniem na lśniące włosy szwagierki. - Powiedziałas Xandrowi: nie?

- Wpadłam w kompletną panikę. Nie, nie, oszalałaś? Zostawmy wszystko tak, jak jest. Nie musimy się pobierać. Wszystko OK, dajmy sobie z tym spokój. I tak zrobił, prawie na godzinę. Przyszedł do mnie z powrotem i powiedział, żebym przestała się wygłupiać.

- Ale romantyczny!

- Właściwie tak. Był taki nakręcony i sexy. Ja cię kocham, ty mnie kochasz, więc zaczniemy budować wspólne życie. Powiedziałam: tak, i zaczęliśmy. - Podniosła dziecko i przytuliła do niego policzek. - Dzięki Bogu. A mówię to dlatego - dodała - żeby ci pokazać, iż to dobrze być trochę przestraszona. Ale jeszcze lepiej zrobić jakiś ruch.

Może zrobi - myślała, jadąc do domu. Czemu nie? An ma rację, jak zawsze. Lepiej zrobić jakiś krok. A osoba, która przejmuje inicjatywę - przypomniała sobie - zwykle panuje nad sytuacją.

Nie musiała dominować w związku, ale nie miała nic przeciwko temu. Jak się tak dobrze zastanowić, to miało sens. On ją nosił w wyobraźni przez... jak to powiedział? Siedem siedemnastych swojego życia. Jakie to urocze. A więc musiał stworzyć sobie w myślach jakiś

jej obraz. Z pewnością nietrafiony i przesadzony.

Ale jeśli ona zrobi jakiś ruch, będą mieli przed sobą wolne boisko.

A lubiła grać.

Czasem trzeba po prostu zdać się na instynkt - postanowiła, parkując samochód i biorąc torebkę. Nie ma sensu zawracać sobie głowy dzieleniem włosa na czworo.

Poszła prosto do drzwi Bo i zapukała. Nie otwierał bardzo długo, więc już zastanawiała się, czy nie pracuje za domem, jak to czasem robił wieczorami. Gdy w końcu wyszedł, uzbroiła się w zalotny uśmiech.

- Cześć. Byłam w okolicy, więc pomyślałam... - Zauważyła, że wygląda na zszokowanego. Jest blady i przybity. - Co się stało?

- Ja... Muszę wyjść. Przepraszam cię. Muszę... - Głos mu się załamał, popatrzył za siebie wzrokiem bez wyrazu, jakby zapomniał, co robił.

- Bo, co się stało?

- Co? Muszę... moja babcia.

Ujęła go za ramię i przemówiła łagodnie. Wiedziała od razu, że stało się coś złego.

- Co z twoją babcią?

- Umarła.

- Och, tak mi przykro, tak mi przykro. Kiedy?

- Oni... właśnie zadzwonili. Przed chwilą. Muszę do niej jechać. Ona jest w domu. Muszę się tym wszystkim zająć. Czymś.

- Dobrze, zawiozę cię.

- Co? Czekaj, daj mi sekundę. - Przycisnął palcami oczy. - Jestem skołowany.

- Oczywiście, że jesteś. Zawiozę cię tam.

- Nie, nie. W porządku. - Opuścił ręce i potrząsnął głową. - To daleko, w Glendale.

- Chodźmy, weźmiemy mój samochód. Masz klucze od domu?

- Moje... - Włożył rękę do kieszeni i je wyciągnął. - Tak. Tak. Posłuchaj, Reeno, nie musisz tego robić. Zaraz zbiórę myśli.

- Nie powinieneś prowadzić, uwierz mi. I nie możesz jechać sam. Zamknij drzwi! - poleciała i poprowadziła go do samochodu. - Gdzie w Glendale?

Roztarł twarz jak ktoś dopiero budzący się ze snu, po czym podał jej adres i jak mniej więcej jechać. Znała dobrze te okolice z czasów studenckich. Czy babcia była chora?

- Nie. Przynajmniej nic poważnego. O niczym takim nie wiedziałem. Miała drobne dolegliwości, jak to w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat... albo osiemdziesięciu ośmiu... Cholera, nie pamiętam.

- Kobietom nie przeszkadza, jeśli nie pamiętasz ich wieku. - Jedną ręką pogładziła go po plecach, a drugą prowadziła do samochodu. - Chcesz mi powiedzieć, co się stało? A może raczej wolisz nic nie mówić?

- Nie wiem. Nie wiem dokładnie. Znalazła ją sąsiadka. Zaniepokoiła się, bo babcia nie odbierała telefonu. I nie wyszła tego rana zabrać poczty. Ona jest... moja babcia... systematyczna, no wiesz.

- Tak.

- Ma klucze. Ta sąsiadka. Poszła więc sprawdzić. Babcia leżała nieruchomo w łóżku. Musiała chyba umrzeć we śnie. Nie wiem. Leżała tam cały dzień... całkiem sama cały dzień.

- Bowen. To dla ciebie bardzo trudne chwile. Ale pozwól, że cię zapytam: Czy możesz sobie wyobrazić lepszy sposób odejścia, kiedy przyjdzie twój czas, niż we własnym łóżku, we własnym domu, podczas snu?

- Pewnie nie. - Westchnął głęboko. - Pewnie nie. Jeszcze wczoraj z nią rozmawiałem. Dzwonię co drugi dzień. Tylko: hej, co tam słyhać? Powiedziała, że kran w kuchni znów przecieka, więc miałem wstąpić dziś albo jutro i zreperować. Dziś nie miałem czasu i nie pojechałem. Jasny gwint!

Opiekowałeś się nią.

- Nie, tylko naprawiałem rzeczy w domu. Zaglądałem może co drugi tydzień. Powinienem częściej. Dlaczego rozumiemy to dopiero po fakcie?

- Ponieważ jako ludzie mamy skłonności do znęcania się nad sobą. Jest jeszcze jakaś rodzina?

- Właściwie nie. Mój ojciec mieszka w Arizonie. Boże, nawet do niego nie zadzwoniłem. Wujek na Florydzie. Kuzyn w Pensylwanii. - Odchylił głowę. - Będę musiał znaleźć ich telefony.

Miała coraz wyraźniejszy obraz sytuacji. Widziała, że chłopak jest w tym zdany wyłącznie na siebie.

- Czy znasz jej wolę? Rozmawiała z tobą kiedykolwiek o pogrzebie?

- Raczej nie. Msza... myślę, że chciałyby mszę.

- Jesteście katolikami?

- Ona jest... była. Ja to raczej mam za sobą. Ostatnie namaszczenie... Do licha! Już na to za późno. Czuję się jak głupek - powiedział, wzdychając. - Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłem. Dziadek zmarł prawie dwadzieścia lat temu. Zginął w wypadku samochodowym. Rodzice mojej matki są w Vegas.

- Twoi dziadkowie mieszkają w Vegas?

- Tak. Uwielbiają to miasto. Ostatni raz widziałem ją ze dwa tygodnie temu. Piliśmy ohydłą herbatę mrożoną. Wiesz, taką ze słoika, ze słodzikiem i cytrynowym aromatem.

- Powinna być zakazana.

- Właśnie. - Zaśmiał się słabo. - Piliśmy ohydłą herbatę i jedliśmy chipsy Ahoy, siedząc w jej patio. Ona nie lubiła piec i tego typu rzeczy. Uwielbiała grać w bezika i oglądać te programy z serii *Najgorsze w świecie...* Na przykład *Najgorsze w świecie ataki zwierząt domowych*, *Najgorsze w świecie wypadki wakacyjne*. Naprawdę ją rajcowały te bzdury. Wypalała trzy papierosy dziennie. Virginia slims. Trzy. Ani jeden mniej, ani więcej.

- I kochałeś ją.

- Mhm. Nigdy o tym specjalnie nie myślałem, ale naprawdę tak było. Dziękuję ci, że zajmujesz mnie rozmową.

- Nie ma za co.

Trochę pewniejszy siebie, przez resztę drogi pilotował ją do ładnego murowanego domu ze starannie utrzymanym podwórkiem.

Miał białe okiennice i nieduży ganek w tym samym kolorze. Domyśliła się, że to Bo je pomalował, pewnie też zbudował tę małą werandę.

Z domu wyszła czterdziestokilkuletnia kobieta. Jej oczy były zaczerwienione od płaczu. Miała na sobie pastelowoniebieskie dresy, a jasnobrązowe włosy ściągnęła z tyłu w mały ogonek.

- Tak mi przykro. - Otoczyła go ramionami i wstrząsana łkaniem, przycisnęła do siebie. - Cieszę się, że już tu jesteś. - Pociągając nosem, odsunęła się. - Przepraszam - zwróciła się do Reeny. - Jestem Judy Dauber, mieszkam po sąsiedzku.

- To jest Reena. Catarina Hale. Judy, dziękuję ci za... czuwanie przy niej.

- Naturalnie, skarbie. Naturalnie.

- Wejdę do środka.

- Idź. - Reena wzięła jego dłoń i ścisnęła ją. - Przyjdę za chwilę.

Zaczekała przed domem, patrząc, jak zmierza do drzwi i wchodzi do środka.

- Byłam przekonana, że śpi - zaczęła Judy. - Przez sekundę pomyślałam: Wielkie nieba, Marge, co ty robisz w łóżku o tej porze? Zawsze była aktywna. Ale prawie natychmiast sobie wszystko uprzytomniłam. A jeszcze wczoraj z nią rozmawiałam. Powiedziała, że Bo ma zajrzeć jutro lub pojutrze, zreperować jej kran. Miała przygotowaną listę drobnych napraw. Była bardzo dumna z wnuka. A o jego ojcu nigdy nie powiedziała dobrego słowa. Ceniła Bo.

Wyjęła chusteczkę i przetarła oczy.

- Naprawdę ceniła chłopaka. On jeden się o nią troszczył, rozumie pani. On jeden

poświęcał jej uwagę.

- I pani też.

Judy spojrzała i z jej oczu znów popłynęły łzy.

- Judy. - Reena otoczyła ją ramieniem i poszły w stronę domu. - Bo mówił, że jego babka była katoliczką. Czy pani zna jej kościół i księdza?

- O tak, tak, oczywiście. Powinnam o tym pomyśleć.

- Możemy zadzwonić. Powinniśmy też znaleźć telefony do jej synów.

Śmierć czasem jest prosta, ale jej następstwa na ogół skomplikowane. Reena pomagała, jak mogła. Skontaktowała się z księdzem, a Bo zadzwonił do swojego ojca. W małym biurku dokumenty były porządnie poukładane w szufladzie z przegródkami. Ubezpieczenie, miejsce na cmentarzu, kopia testamentu, akt notarialny na dom, akt własności wiekowego chevroleta, którym - jak już Reena wiedziała - Marge Goodnight jeździła do kościoła i sklepu spożywczego.

Ksiądz przyszedł tak szybko i miał tak zatroskaną twarz, że Reena domyśliła się, iż Marge była nietuzinkowym członkiem swojej parafii.

Dostrzegało się tu siady działalności Bo. Czystość i porządek dom zawdzięczał na pewno Marge. Ale jego urządzenie było niewątpliwie dziełem wnuka. Nie zauważyła żadnych prowizorek czy byle jak naprawionych usterek.

Tak jak powiedziała Judy, poświęcał babci wiele uwagi. Troszczył się.

Teraz zajął się sprawami do załatwienia; dzwonił, rozmawiał z księdzem, podejmował decyzje. W pewnej chwili zauważyła, że się zawahał, więc podeszła i wzięła go za rękę.

- W czym mogę pomóc?

- Oni... eee... Chcą wiedzieć, w co ją ubrać. Do trumny. Mam coś wybrać.

- Może ja to zrobię? Mężczyźni nigdy nie wiedzą, w co się lubimy ubierać.

- Byłbym ci wdzięczny. Jej ubrania są tam, w szafie. Może poczekaj z tym. Oni jeszcze... To znaczy ona jeszcze tam jest.

- Tak. Dobrze, zajmę się tym.

To było niemal surrealistyczne. Miała wejść do pokoju nieznannej sobie kobiety, której ciało leżało na łóżku, i przeszukiwać jej szafę. W odruchu szacunku podeszła najpierw do łóżka i spojrzała w dół.

Marge Goodnight pozwoliła swoim włosom naturalnie posiwieć; były proste i krótko obcięte. Praktyczna - oceniła Reena. Lewa ręka, z kompletem małżeńskich obrączek na palcu, leżała na kołdrze.

Wyobraziła sobie Bo, jak siedzi przy Marge i trzymając babcię za rękę, żegna się z nią

na zawsze.

- To dla niego zbyt wiele - powiedziała cicho. - Wybranie ubrania dla pani to trochę ponad siły Bo. Mam nadzieję, że będzie w porządku, jeśli ja to zrobię.

Otworzyła szafę. Uśmiechnęła się na widok wbudowanych półek i przegródek.

- On to zrobił, prawda? - Spojrzała przez ramię na Marge. - Pani lubi mieć wszystko uporządkowane, więc przerobił tę szafę. Dobrze zaprojektowane. Chyba go poproszę, żeby zrobił podobne półki dla mnie. Może ten niebieski kostium, Marge? Prosty i dystyngowany. I ta bluzka z odrobiną białej koronki pod naszywką. Ładna i bez nadmiaru ozdób. Myślę, że będzie pani w tym ładnie.

Znalazła torbę na garderobę i powiesiła w niej strój na zewnątrz szafy. Choć zdawała sobie sprawę, że to niekonieczne, wybrała też z komody buty i bieliznę.

Zanim wyszła, odwróciła się jeszcze raz w stronę łóżka.

- Zapalę świeczkę za panią i poproszę moją mamę, żeby zmówiła różaniec. Nikt nie odmawia różańca tak jak mama. Odpoczywaj w spokoju, Marge.

Reena zwolniła się na dwie godziny, żeby wziąć udział w pogrzebie. Bo wcale jej o to nie prosił. Chyba specjalnie unikał poruszenia tego tematu. Usiadła z tyłu. Nie zdziwiła jej tak liczna obecność ludzi na mszy. Z krótkiej rozmowy z księdzem wywnioskowała, że Margaret Goodnight musiała być podporą parafii.

Przyjaciele i sąsiedzi przynieśli jak zwykle dużo kwiatów, więc w kościele pachniało liliami, kadzidłem i topiącym się woskiem. Wstawiała, klękała, siadała i recytowała zgodnie z rytuałem mszy znanym jej jak bicie własnego serca. Ksiądz mówił o zmarłej w tonie bardzo osobistym i pełnym uczucia.

Była kimś ważnym - myślała Reena. Zostawiła po sobie ślad. A czy nie o to chodzi?

Gdy Bo wyszedł na ambonę, aby coś powiedzieć, pomyślała, że chyba Marge nie miałaby nic przeciwko temu, że podoba jej się jego wygląd w ciemnym garniturze.

- Moja babcia - zaczął - była twarda. Nie cierpiała głupców. Uważała, że należy używać mózgu, który dał nam Bóg, inaczej tylko zajmujemy miejsce. Sama robiła o wiele więcej niż zajmowanie miejsca. Opowiadała mi, jak w czasie wielkiego kryzysu pracowała w tanim sklepiku, zarabiając jednego dolara dziennie. Musiała tam dojść dwie mile w jedną stronę, bez względu na pogodę. Nie uważała tego za wielki wyczyn; po prostu robiła, co do niej należało.

Raz mi wyznała, że chciała zostać zakonnice, ale potem zdecydowała, iż jednak chce mieć życie seksualne. Mam nadzieję, że mogę tutaj o tym mówić - dodał z dyskretnym uśmiechem. - Wyszła za dziadka w 1939 roku. Mieli, jak to nazywała, dwugodzinny

miodowy miesiąc, zanim oboje udali się do pracy. Najwyraźniej podczas tego krótkiego „okienka” zdołali zrobić wujka Toma. Babcia straciła sześciomiesięczną córkę i w Wietnamie syna, który nigdy nie doczekał swoich dwudziestych urodzin. Pochowała męża, ale nigdy nie zachwiała się w swej wierze. Zachowała też niezależność, która była dla niej równie istotna. Nauczyła mnie jeździć na dwukołowym rowerze i kończyć to, co zaczynam.

Odchrząknął.

- Wśród żywych pozostali jej dwaj synowie, kuzyn Jim i ja. Będzie mi jej brakowało.

Reena stanęła przed kościołem, patrząc, jak Bo rozmawia z ludźmi, zanim ci odeszli do swoich samochodów. Był piękny ranek, słońce świeciło mocno, pachniał świeżo skoszony trawnik.

Zauważyła dwie osoby trzymające się blisko Bo: niskiego mężczyznę mniej więcej w jego wieku w modnych okularach z drucianymi oprawkami, markowym ciemnym garniturze i eleganckich butach, oraz trzydziestoletnią kobietę o jasnorudych krótkich włosach, w okularach przeciwsłonecznych i czarnej sukience bez rękawów.

Z tego, co jej opowiadał, nie mogli być rodziną. Ale zachowywali się, jakby nią byli.

Zostawił ich i podszedł do Reeny.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Nie miałem czasu, żeby z tobą porozmawiać i podziękować ci za wszystko.

- Nic nie szkodzi. Przepraszam, ale nie mogę iść na cmentarz. Muszę wracać. Msza była piękna, Bo. Zrobiłeś wszystko, jak trzeba.

- Bałem się. - Zasłonił zmęczone oczy ciemnymi okularami. - Nie przemawiałem wobec tylu ludzi od czasu tych koszmarnych publicznych wystąpień w szkole średniej.

- Wyszło znakomicie.

- Dobrze, że to już za mną. - Rozejrzał się i zacisnął szczęki. - Muszę jechać razem z ojcem. - Wskazał mężczyznę w czarnym garniturze. W jego czarnych włosach na skroniach - jak na lśniących skrzydłach - zaczynała się srebrzyć siwizna. Zdrowy i opalony - pomyślała Reena. A także niecierpliwy.

- Właściwie nie mamy sobie nic do powiedzenia. Jak to się dzieje?

- Nie wiem, ale zdarza się. - Musnęła wargami po kolei oba jego policzki. - Uważaj na siebie.

O dziesiątej pewnego deszczowego i parnego czerwcowego ranka Reena stała nad tym, co pozostało z ciała dwudziestotrzyletniej kobiety. Jej szczątki leżały na paskudnym dywanie w ohydny pokoju hotelowym, dla którego określenie „zawszony” było nobilitujące.

Nazywała się DeWanna Johnson. Takie nazwisko widniało w prawie jazdy
znalezionym w plastikowej torebce pod łóżkiem. Poświadczyła to również recepcjonistka.

Ponieważ nie było ani twarzy ofiary, ani górnej części tułowia, oficjalną identyfikację
odłożono na później. Została owinięta w koc, a jako lonty posłużyły rozrzucone wszędzie
dookoła skrawki wnętrza materaca.

Reena robiła zdjęcia, a O'Donnell zaczął przeczesywać pokój.

- A więc tak: DeWanna melduje się trzy dni temu z jakimś facetem. Płaci gotówką za
dwie noce. Choć jest możliwe, że postanowiła spać na podłodze i podpalić sobie twarz,
pachnie mi tu przestępstwem.

O'Donnell żuł w zadumie gumę.

- Może pierwsze podejrzenie zrodziło się u ciebie na widok tamtej patelni całej we
krwi i czymś szarym.

- Więc nie cierpiała. Jezu, DeWanna, założę się, że najpierw cię wykorzystał. Miał
dobre paliwo w postaci koca i wnętrza materaca, potem tłuszcz z jej ciała jako efekt świecy.
Ale spieprzył to. Powinien otworzyć okno, polać ten dywan jakimś łatwopalnym płynem. Za
mało tlenu, za mały płomień, żeby dokończyć dzieła. Cała nadzieja w tym, że już nie żyła,
gdy ją podpalili. Oby tylko lekarz sądowy i radiolodzy to potwierdzili.

Przeszła przez resztę pokoju do namiastki kuchenki. Na wypłowiałym linoleum wałały
się potłuczone naczynia i coś, co uznała za mieloną wołowinę wymieszaną z hamburgerem.

- Wygląda, jakby po przyjściu szykowała kolację. Na patelni są pozostałości jedzenia
obok fragmentów jej ciała. Prawdopodobnie złapał tę patelnię prosto z kuchenki.

Odwróciła się, zrobiła rękami gest, jakby chwytając rączkę patelni, i zamachnęła się.

- Uderzył ją z tyłu. Potwierdza to rozbryzgana w tym miejscu krew. Zaraz uderza
ponownie z tyłu, potem niżej. Może tak ją tłukł dłużej, zanim pomyślał: O kurna, co ja
zrobiłem?

Obeszła ciało.

- Wpada na pomysł, aby ją podpalić i zatrzeć ślady morderstwa. Ale tłuszcz zwierzęcy
nie daje czystego płomienia. Niszczy on tkanki, spala głowę i jej okolice, ale nie podnosi
temperatury pomieszczenia, w dodatku zamkniętego, na tyle, żeby zapalił się materiał - nawet
ten koc, w który ją owinął.

- Czyli raczej nie będziemy szukać chemika.

- Ani kogoś, kto to wcześniej zaplanował. Wygląd otoczenia sugeruje, że to chwilowy
szal, nie działanie z premedytacją.

Poszła do łazienki. Tył sedesu zastawiony był kosmetykami: lakier do włosów, żel,

tusz do rzęs, szminki, róż, cienie do powiek.

Kucnęła i zaczęła przeglądać tę stertę przedmiotów. Po kilku sekundach wyszła, trzymając w zabezpieczonej rękawiczką dłoni jakieś pudełeczko.

- Chyba mamy motyw. - Trzymała domowy test ciążowy.

Niezbyt dokładny opis mężczyzny, który zameldował się razem z ofiarą, uzupełniły odciski palców pobrane przez Reenę z patelni.

- Mam go - oznajmiła O'Donnellowi i obróciła się z krzesłem przodem do jego biurka.

- Jamal Earl Gregg, dwadzieścia pięć lat. Już notowany. Napad, groźba użycia broni, celowe zranienie. Wyrok odsiedział w Red Onion w Wirginii. Ma tu wymieniony adres w Richmond. W prawie jazdy DeWanny Johnson też jest adres w Richmond.

- Więc chyba pojedziemy na wycieczkę?

- Mam numer aktualnej MasterCard na jej nazwisko. Nie było karty ani w torebce, ani nigdzie w pokoju.

- Na pewno jej użyje. Duppek. Ogłosimy alarm. Może oszczędzimy sobie jazdy po dziewięćdziesiątcepiątce.

Reena napisała raport, poszukała, z kim mógł się zadawać.

- Jedyne powiązanie z Baltimore, jakie znalazłam, to współwięzień z jego bloku w Red Onion - powiedziała. - Facet nadal siedzi, ma piątkę za handel narkotykami.

- Jamala wsadzili za groźenie użyciem broni. Może przyjechał w te okolice do łączników swego znajomka.

- Nie znalazłam nic o DeWannie Johnson. Nienotowana, niekarana. Ale ona i Gregg chodzili razem do szkoły średniej.

O'Donnell zsunął z nosa okulary, których musiał używać do czytania.

- Szkolna miłość?

- Jeszcze lepiej. On wychodzi, porywa ją i uciekają do Baltimore... na jej koszt, jej samochodem. Muszą być zakochani. Skontaktuję się z adresem podanym w jej prawie jazdy i zobaczymy, co to da.

- Zdam relację kapitanowi - rzekł O'Donnell. - Zapytam, czy chce, żebyśmy pojechali w tej sprawie do Richmond.

Gdy partner wrócił, Reena podniosła palec do góry.

- Bardzo dziękuję, pani Johnson. Gdyby miała pani wiadomość od córki lub słyszała coś o Jamalu Greggu, proszę się ze mną skontaktować. Ma pani mój numer. Tak. Dziękuję.

Reena usiadła wygodniej.

- Szkolna miłość. Tak wielka, że DeWanna ma pięcioletnią córeczkę. Jest u jej matki.

Jamal i DeWanna wyjechali trzy dni temu mimo protestów pani Johnson. Za pracą. Matka powiedziała, że dziewczyna nie miała piątej klepki, wiążąc się z takim ladaco. Wierzy, że tym razem zamkniemy to złodziejskie nasienie na dobre, a córka będzie miała szansę żyć uczciwie. Nie mówiłam jej, iż najprawdopodobniej DeWanna już z niej nie skorzysta.

- Ma już z nią dziecko. Wychodzi z więzienia, gotów coś zadziałać, a ona mówi, że wysmażyli drugie. Traci rozum, zabija ją, podpala, bierze kartę kredytową, gotówkę, samochód.

- Wszystko się zgadza.

- Chyba nie musimy jechać do Richmond. Zaczekaj. - Podniósł dzwoniący telefon. - Wydział Podpaleń. O'Donnell. Tak. Tak. - W trakcie rozmowy coś zapisywał. - Nie ma czasu na autoryzację. Jedziemy.

Reena już wstała i wzięła kurtkę.

- Dokąd?

- Monopol w Centrum.

Reena złapała w biegu radio, zażądała ubezpieczenia.

Gdy tam dotarli, już go nie było. Reena, stojąc w deszczu, ze złości kopnęła tylną oponę samochodu, który Jamal zostawił przy chodniku. Zadzwoiła komórka, wyciągnęła ją.

- Hale. Tak jest. Mam już to. - Wyłączyła. - Ofiara była w szóstym tygodniu. Przyczyna śmierci: zatłuczenie.

- No, no, szybka robota.

- Poczarowałam go trochę. Jamal nie mógł odejść daleko. Nawet jeśli się zdecydował porzucić samochód, musi być gdzieś w pobliżu.

- No to go poszukamy. Pewnie się schował przed deszczem. - O'Donnell wsunął się znów za kierownicę. - Na zewnątrz ma policjantów. Jest na piechotę. Skrewi się, jeśli nie wstąpi zatankować.

- Bar. Gdzie tu jest bar?

O'Donnell spojrział na nią i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- To się nazywa myśleć. - Skręcił za rogiem i skinął głową. - Poszukajmy.

Bar nazywał się Kryjówka. W środku spora grupka klientów robiła właśnie to: ukrywała się z butelką w deszczowe popołudnie.

Jamal siedział na końcu baru, pijąc whisky z piwem.

Zerwał się ze stołka jak błyskawica i wyrwał na tył lokalu.

Ma dobre oko do policji - myślała Reena, goniąc go. Dopadła drzwi na ulicę trzy kroki przed O'Donnellem, unikając zderzenia z metalowym śmietnikiem, którym zamachnął się

Jamal. O'Donnellowi to się nie udało.

- Jesteś ranny?! - krzyknęła do tyłu.

- Łap go. Biegnę tuż za tobą.

Jamal był szybki, ale ona też. Kiedy pomknął w stronę ogrodzenia na tyłach uliczki i przeskoczył je, deptała mu po piętach.

- Stój! Policja! - krzyknęła.

Jest szybki - pomyślała znowu - ale nie zna Baltimore. Ja jestem szybsza i je znam.

Wbiegli w zmoczoną deszczem ślepią uliczkę. Obrócił się z dzikim wzrokiem i wyciągnął nóż.

- Podejdz, dziwko.

Patrząc mu cały czas prosto w oczy, Reena wyciągnęła broń.

- Naprawdę jesteś taki głupi? Rzuć ten nóż, Jamal, bo strzelę.

- Nie masz na to jaj.

Uśmiechnęła się szeroko, chociaż dłonie jej się spociły, a kolana były na granicy drżenia.

- Załóż się ze mną.

Z tyłu słyszała ciężko dyszącego i klnącego O'Donnella. Była to dla niej zaiste słodka muzyka.

- I ze mną - dorzucił, opierając broń o krawędź ogrodzenia.

- Nic nie zrobiłem. - Jamal upuścił nóż. - Tylko piłem drinka.

- Taaak, powiedz to DeWannie i dziecku, które nosiła. - Serce boleśnie rozsadzało jej żebra, gdy ruszyła do przodu. - Na ziemię, łajdaku. Ręce za głowę!

- Nie wiem, o co chodzi. - Położył się i posłusznie wykonał polecenie. - Pomyliliście osoby.

- W czasie tej odsiadki będziesz mógł sobie poczytać o właściwościach ognia. Na razie, Jamal, Earl, Greggu, jesteś aresztowany w związku z podejrzeniem o morderstwo. - Kopnęła dalej nóż i założyła mu kajdanki.

Byli już przemoczeni do suchej nitki i ociekający wodą, gdy usłyszeli wycie syren. O'Donnell posłał jej promienny uśmiech.

- Daliśmy radę, Hale.

- Taa.

Już po wszystkim. Usiadła na mokrym chodniku, żeby złapać z powrotem oddech.

A więc wszystko załatwione - pomyślał Bo, wchodząc do domu. Przynajmniej miał w Bogu nadzieję, że to prawda. Prawie wszystko. Prawnicy, ubezpieczenie, księgowość, nieruchomości. Wszystkie te spotkania i papiery do przeczytania, od których rozbolała go głowa. Nie mówiąc już - pomyślał - o dwóch spotkaniach z ojcem.

Mam to z głowy - stwierdził w duchu, ale nie był pewien, czy jest mu lżej, czy jeszcze ciężiej.

Postawił pudło z rzeczami na dole przy schodach, obok przyniesionego wcześniej. Jeszcze jedno w samochodzie - myślał. Może je tam na razie zostawi, a wyjmie później.

Mógłby przysiąc, że usłyszał głos babki, mówiący, żeby skończył to, co zaczął.

- Dobrze, dobrze. - Odgarnął mokre od deszczu włosy i wyszedł jeszcze raz.

A teraz piwo, ciepły prysznic, oglądanie kanału sportowego. Musi się wyciszyć, odprężyć. Gdy w myślach już podnosił zasłonkę prysznica i sięgał po ostatnie czyste bokserki, przed domem zaparkowała Reena. Raptem całkiem zapomniał o planowanym wieczorze telewizyjnym w samej bieliźnie.

- Cześć! - Zauważył, że jest trochę blada i zmęczona, ale to mogło być z powodu deszczu.

- Cześć!

Nie miała też czapki, a jej włosy stanowiły zmierzwioną gęstwinę brązowych spiralnych loczków.

- Masz czas? - zapytał. - Wejdiesz na chwilę? Zawahała się i lekko wzruszyła ramionami.

- Jasne. Potrzebujesz pomocy?

- Nie, już ją mam.

- Nie pokazywałaś się w tym tygodniu - zauważyła.

- Praca i załatwianie spraw. Okazało się, że zarządzam majątkiem babci. Brzmi to bardzo pompatycznie, co nie znaczy, że ona tarzała się w złocie. Ale trzeba było się spotkać z prawnikami i przygotować wszystkie dokumenty. Dzięki - dodał, gdy otworzyła mu drzwi. - Napijesz się wina?

- Przyda mi się teraz jak powietrze.

- Przyniosę ci ręcznik. - Postawił pudło obok poprzednich i poszedł korytarzykiem do czegoś, co nazywała półlazienką.

Rozkład jego domu był prawie identyczny jak u niej. Ale to, co w nim zrobił, bardzo

je od siebie różniło. Podłogę i cokolikom przywrócił naturalną barwę i polakierował, a ściany zrobił w intensywnej, ciepłej zieleni, która podkreślała miodowy odcień orzecha. U wysokiego sufitu zawiesił lampę w stylu kolonialnym. Stwierdziła, że w korytarzu przydałby się chodnik. Coś w starym stylu i wytarte. Z charakterem. Stolik przy drzwiach, na który rzucił klucze, prawdopodobnie dostanie nowe pokrycie.

Wrócił z dwoma granatowymi ręcznikami.

- Zrobiłeś tu trochę pięknych rzeczy.

- Tak? - Rozejrzał się, wycierając włosy ręcznikiem. - Dobrze na początek.

- Naprawdę dobry początek - powiedziała, wchodząc do salonu. Tutaj meble wymagały zmiany obić lub przynajmniej narzut. Miał chyba największy telewizor, jaki kiedykolwiek widziała. Zajmował prawie całą ścianę. Ściany były w jeszcze głębszym odcieniu tamtej zieleni, a stolarkę uznała za nadzwyczajną. Nieduży kominek obudowany został kremowym granitem i obramowany tym samym orzechem w odcieniu miodu, a zwieńczony szerokim i masywnym gzymsem.

- O Boże, Bo, to jest wspaniałe. Poważnie. - Podeszła do kominka i przejechała palcami po gzymsie. Był zakurzony, ale pod spodem zauważyła jedwabiste drewno. - Och, a ta obudowa okna!

Okno zostało otoczone półkami z tego samego drewna z podobnie profilowanym gzymsem.

- To dokładnie takie wykończenie, jakie jest potrzebne w pokoju tej wielkości. Sprawia, że jest przytulny, nie zmniejszając przestrzeni.

- Dzięki. Myślę o ich oszkleniu, może szkło ornamentowe. Jeszcze się nie zdecydowałem. Ale tak właśnie robię półki w jadalni, więc może te zostawię odsłonięte.

Był dumny ze swojej pracy, ale jej entuzjastyczna reakcja dodatkowo go podbudowała.

- Kuchnia jest już zrobiona. Chcesz zobaczyć?

- Chcę. - Wychodząc, obejrzała się jeszcze na kominek. - Możesz coś takiego zrobić u mnie?

- Mogę zrobić, co zechcesz. Oddała mu ręcznik.

- Musimy porozmawiać o twoich cenach.

- Dam ci obniżkę zadurzeniową.

- Byłabym głupia, mówiąc: nie. - Zaglądała po drodze do innych pokoi. - Jestem wścibska. Co to będzie? Coś w rodzaju pokoju telewizyjnego?

- Taki mam plan. Jest dość miejsca na duże kino domowe. Pracuję nad projektem.

- Który dopasujesz do tego giganta z salonu? Uśmiechnął się z przekorą.

- Jak oglądać, to oglądać.

- Myślę, że u siebie wykorzystam to miejsce na bibliotekę. Dużo półek, ciepłe kolory, może wstawię tam jakiś mały kominek gazowy. Duże, wypchane fotele.

- Najlepsza na kominek będzie tamta ściana. - Wskazał brodą. - A tam można dać ładne siedzisko pod oknem.

- Siedzisko pod oknem. - Spojrzała na niego badawczo. - Jak bardzo jesteś zadurzony?

- Miałem zamiar oglądać mecz przy piwie, ale zobaczyłem ciebie.

- Całkiem zadurzony. - Wyszła z pokoju i zajrzała do półłazienki. Zwróciła uwagę na nowe kafelki i armaturę. W jadalni wszystko było jeszcze w proszku. - To dużo pracy - stwierdziła.

- Lubię pracować. Nawet jeśli muszę to wcisnąć między zlecenia dla klientów. Mam ich sporo, więc ten dom robię wolniej niż poprzedni. Poza tym dobrze się tu czuję. No i jesteś ty.

- Hm. - Bez żadnego komentarza przeszła dalej do kuchni. - Ja cię kręcę. Bo, to jest niesamowite. Jak w żurnalu.

- Kuchnia to centrum domu. - Otworzył drzwi do pralni i wrzucił tam ręczniki. - Przy sprzedaży najważniejsza sprawa. Zwykle od niej zaczynam remont.

Podłogi zrobił z dużych płytek w kolorze niebieskawoszarym, podobnym do barwy blatów, a szafki pomalował na białe. Część ich miała drzwiczki ze szkła witrażowego. Zbudował kuchenny bar i dodał okno wykuszowe, żeby lepiej było widać ogródek. Szerokie kamienne parapety prosiły się o piękne doniczki z kwiatami lub ziołami.

- Wyposażenie pierwsza klasa. Wiem, co ja bym chciała. Marzę o takim wbudowanym grillu.

- Mogę ci załatwić za dobrą cenę. Hurtową.

- Oświetlenie jest śliczne. Ten styl kolonialny po prostu wspaniały.

Bo pstryknął włącznik, a jej oczy rozbłysły. Światło spływało w dół spod górnych szafek.

- Wspaniale. Zazdroszczę ci kuchni. Ta gablotka jest świetna. Dlaczego nic w niej nie trzymasz?

- Nic nie miałem. Teraz chyba mam. Niektóre rzeczy po babci. - Otworzył lodówkę i wyjął butelkę białego wina. - Zostałem jedynym spadkobiercą. No, trochę zapisała kościółowi, a resztę mnie. Dom. Wszystko.

- Ale teraz czujesz smutek - powiedziała cicho.

- Trochę, na pewno, i wdzięczność. - Przez chwilę trzymał butelkę nieruchomo, opierając się o lodówkę. - Dom ma czystą hipotekę i jak się już uporam z poczuciem winy, sprzedam go.

- Babcia nie chciałaby, abys się czuł winny. Nie mogła oczekiwać, że się do niego wprowadzisz. To tylko dom.

Wyjął kieliszki i nalał wina.

- Dojrzewam do tego. Nie będzie to wymagało dużo pracy. Konserwowałem go dla niej. Już zacząłem wywozić rzeczy. Tamte pudła. - Podał jej kieliszek. - Głównie fotografie, trochę biżuterii i...

- Pamiątkowe przedmioty.

- Tak, pamiątkowe przedmioty. Miała kilka obrazków, które narysowałem jako dziecko. No wiesz, kwadratowe domy z trójkątnymi dachami. Wielkie żółte słońce. Ptaki w kształcie litery W.

- Kochała cię.

- Tak. Ojciec czuje się obrażony i zraniony, bo nic mu nie zostawiła. Odwiedził ją może ze dwa razy w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat, a teraz odgrywa bolejącego syna. - Przerwał i pokręcił głową. - Przepraszam.

- Dobrze wiem, że w rodzinach różnie bywa. Babcia wybrała świadomie. Miała do tego prawo, Bo.

- Jasne. - Ale jego palce niepewnie pocierały czoło. - Mógłbym mu trochę dać, jak sprzedam dom, ale babcia by tego nie chciała. Więc nie dam. Trochę drobiazgowo zostawiła wujkowi i kuzynowi. Napisała im oświadczenie. No, ale... - Otrząsnął się. - Głodna? Może ci zrobię kolację?

- Umiesz gotować?

- Kiedyś, dawno temu, miałem taki etap w życiu i dzięki szczęśliwemu przypadkowi dowiedziałem się, że dla kobiety gotowanie przez mężczyznę jest czymś w rodzaju gry wstępnej.

- Nie mylisz się. Jakie dziś menu? Uśmiechnął się.

- Zaraz zobaczę. A przez ten czas może ty mi powiesz, dlaczego wyglądasz na taką zmęczoną.

- A wyglądam? - Sączyła wino, a on otworzył zamrażalnik. - Pewnie tak. Albo wyglądałam. Ciężki dzień. Chcesz, abym cię tym zanudzała?

- Chcę. - Znalazł dwie piersi kurczaka i włożył je do mikrofalówki, żeby się rozmroziły. Potem otworzył szufladę z warzywami.

- Razem z partnerem prowadziliśmy śledztwo w obskurnym hotelu na południu Baltimore. Jedna ofiara, kobieta. Jej głowa i większość tułowia były... ale wiesz, właśnie sobie uświadomiłam, że to nie najlepsza rozmowa przed jedzeniem.

- Nie szkodzi. Mam odporny żołądek.

- Powiedzmy, że była ciężko poparzona, bo podpalacz usiłował zniszczyć dowód na to, że ją pobił na śmierć. Jednak wcale mu to nie wyszło. Wszystko tam jest jak na dłoni.

Opowiadała, przyglądając się, jak ubija coś w małej stalowej misce i polewa tym kurczaka.

- To, co robisz, jest trudne. I ciężko ci na to patrzeć.

- Trzeba sobie wyznaczyć granicę między obiektywizmem a współczuciem. Jest dość płynna. Myślę, że trochę mi się rozmyła w przypadku DeWanny. Stos jej kosmetyków za sedesem, posiłek, który usiłowała przygotować. Kochała tego bandziora, a on się tak wściekł, że znowu zaszła w ciążę, jakby to była jej wina. Rozbił jej głowę patelnią, a potem tłukł nią dalej, aż zabił. Wpadł w panikę i ją podpałił. Podpałił jej włosy. Trzeba być wyjątkowym degeneratem.

Bo dolał Reenie wina.

- Ale go złapaliście.

- Nie było trudno. Jest głupi jak but. Użył jej karty kredytowej albo próbował. Ale nas rozpoznał. Zwęszył policję w momencie, gdy weszliśmy do tego zapyziałego, małego baru. Wybiegł tyłem, uderzył mojego partnera śmietnikiem. Ja za nim, doganiam go, przeskakujemy przez płot, deszcz leje. Nie miałam nawet czasu myśleć o tym, co robię. On nie znał miasta, wbiegł w ślepią uliczkę. Odwrócił się i wyjął nóż.

- Jezusie, Reeno! Pokręciła głową.

- Mam broń. Do licha, przecież nie wychodzę na akcję bez pistoletu. Co on sobie myśli, że zacznę pisać i ucieknę? - Ale jakaś jej część chciała to zrobić. - Musiałam już wcześniej wyciągać broń, kilka razy, ale mimowolnie coś takiego myślałam. To... ręce mi się trzęsły i było mi zimno. Wewnątrz, nie od deszczu. Wiedziałam, że może będę musiała jej użyć. Nigdy jeszcze nie strzelałam do człowieka. Było mi zimno, bo teraz mogło do tego dojść. Czułam zimno, bo wiedziałam, że potrafię to zrobić. Może nawet tego chciałam, bo... wciąż miałam przed oczami, co on z nią zrobił. Byłam przerażona. Pierwszy raz naprawdę bałam się na służbie. Myślę, że to mnie zaskoczyło. Więc... Odetchnęła, napiła się.

- To wino i kolacja przyszły w samą porę. Lepiej się czuję w towarzystwie niż sama. A to nie są sprawy, o których chciałabym rozmawiać z rodziną. Oni się martwią.

Jego też to martwiło, ale ugryzł się w język. Zamiast tego powiedział coś innego, co

mu przyszło do głowy:

- Normalni ludzie nie rozumieją, nie mogą rozumieć, z czym masz do czynienia. Nie chodzi tylko o straszliwy stres ani nawet o osobiste zagrożenie, tylko o związane z tym emocje. To, co oglądasz, co musisz z tym robić i jak to w tobie tkwi.

- Nie bez powodu wybrałam ten zawód. To, co się zdarzyło DeWannie Johnson, jest tylko jedną ze spraw. Czuję się o wiele lepiej, dziękuję, że pozwoliłeś mi to z siebie wyrzucić. Napisanie raportu nie ma takich właściwości katartycznych. Pomóc ci w gotowaniu?

- Nie, już podaję. Jeśli poproszę, żebyś mi obrała ziemniaki, to cała sprawa straci swój uwodzicielski charakter.

- Bo, czy ty mnie uwodzisz?

- Do tego zmierzam.

- Jak długo zazwyczaj trwa u ciebie faza do - tego - zmierzania?

- Zwykle o wiele krócej. Zwłaszcza jeśli doliczyć te trzynaście lat.

- A więc myślę, że to już wystarczająco długo. - Odstawiła kieliszek i wstała. - Tak czy inaczej będziesz musiał tego kurczaka namoczyć w marynacie - dodała, podchodząc do niego.

- Czuję, że teraz powinienem powiedzieć coś mądrego. Ale w głowie mam pustkę. - Położył dłonie na biodrach Reeny i powoli wędrował nimi do góry, przygarniając ją do siebie.

Schylił głowę i zatrzymał usta na odległość szeptu od jej ust, wyczuwając oddech młodej kobiety, przyspieszony oczekiwaniem. Cały czas patrzył Reenie prosto w oczy, odchylając głowę w bok, aż musnął zębami jej dolną wargę.

I powoli zagłębił się w usta Dziewczyny z Marzeń.

Pachniała deszczem, smakowała winem. Objęła dłońmi ramiona Bo, a później przeczesywała mu włosy i trzymała je zaciśniętymi dłońmi, a jej naprężone, szczupłe ciało dopasowało się do niego. Poruszył się bezwiednie, odwracając się do połowy, tak żeby oprzeć ją o blat; przyparł do niego Reenę, podczas gdy ustami odkrywał ukochaną długo i dokładnie.

Jej zęby ścisnęły lekko język Bo, aż krew mu się zagotowała w żyłach. A ona wydała z siebie dźwięk podobny i do śmiechu, i do jęku.

Mgła przesłoniła mu oczy.

Niezbyt pewnymi rękami wyciągnęła mu koszulę ze spodni.

- Jesteś w tym dobry - wyszeptała.

- Reeno, zaraz wrócę. - Pobiegnął ustami do jej szyi i z powrotem do góry, do warg, - Chciałbym... chodźmy na górę.

Wszystko w niej było otwarte i gotowe aż do bólu na jego przyjęcie. Palce Reeny

dotykały jego mocnych mięśni pod koszulą. Chciała poczuć to ciało na sobie, jego tężyznę, żar i napiętność.

- Podoba mi się twoja podłoga. Wypróbujmy ją. Myślał, że to serce mu łomocze tak ciężko i gwałtownie.

Gdy odsunął się nieco w tył, żeby ściągnąć jej kurtkę z ramion, usłyszał, że ktoś dobija się do drzwi wejściowych.

- O Jesusie złoty, Dziecinko Boże. Przygryzła mu zębami brodę.

- Spodziewasz się gości?

- Nie. Może sobie... - Ale stukanie jeszcze się nasiliło. - Cholera! Posłuchaj, nie ruszaj się. Tylko oddychaj, jeśli musisz, ale się nie ruszaj. - Ujął ją za ramiona. - O Boże, jakaś ty... Mógłbym cię... Poczekaj tu, w tym miejscu, żebym mógł wrócić do tej samej pozycji, kiedy już zabiję tego intruza. Nie zabierze mi to więcej niż minutę.

- Mam pistolet - zaoferowała. Zaśmiał się z lekką goryczą.

- Dzięki, ale mogę to zrobić gołymi rękami. Nie znikaj, nie zmieniaj zdania. Nic nie rób.

Pożegnała go uśmiechem i dotknęła ręką do serca. Dobry jest w tym - stwierdziła w duchu. A nawet wyjątkowy. Mężczyzna, który tak całuje... I wiedziała już, jaki potencjał kryje się w jego rękach. Musi być wspaniałym kochankiem. Gdy jednak teraz miała chwilę, żeby nieco ostudzić emocje, pomyślała, że lepszym pomysłem byłoby pójść na górę.

Odrzuciła włosy do tyłu i wyszła z kuchni zobaczyć, czy zdołał odesłać intruza.

Zobaczyła go przy drzwiach, trzymającego w objęciach małą rudowłosą kobietę, tę samą, którą Reena widziała na pogrzebie. Opierała teraz głowę na jego ramieniu, a jej ciałem wstrząsał szloch.

- Okropnie się czuję, Bo. Nie przypuszczałam, że będę to tak przeżywać. Nie wiem, co robić.

- No już dobrze. Wejdz, a ja zamknę drzwi.

- To głupie. Jestem głupia, ale nic na to nie poradzę.

- Nie jesteś głupia. Chodź, Mandy, tylko... - Zamilkł, gdy dostrzegł Reenę, a na jego twarzy odmalowały się jedno po drugim różne uczucia: zaskoczenie, zakłopotanie, skrucha i zaprzeczenie. - E... e... no tak.

Z oczu wpatrującej się w Reenę Mandy dalej płynęły łzy, lecz odsunęła się od Bo. Zrobiła się tak czerwona jak jej włosy.

- O Chryste, przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Boże, co ze mnie za idiotka! Przepraszam, już sobie idę.

- Nie trzeba. Właśnie wychodziłam.

- Nie. Boże. To ja wychodzę. - Mandy przetarła obiema rękami mokre policzki. - Udajmy, że mnie tu nie było - ani mojej osobistej godności.

- Nie przejmuj się tym, naprawdę. Tylko oglądałam dom. Mieszkam obok. Reena Hale.

- Mandy. Reena? - powtórzyła. - Znam cię. - Pociągnęła nosem i otarła kolejne łzy. - To znaczy nie całkiem. Studiowałam na Marylandzie w tym samym czasie co ty. Byłam sąsiadką z dołu Josha Boltona. Widziałam cię raz przez minutę tuż przed jego... - Głos jej się załamał, twarz była jednym nieszczęściem. - O Boże, jestem całkiem rozbita.

- Znałaś Josha?

- Tak, tak. - Przycisnęła dłoń do ust i kołysząc głową, podsumowała: - Świat jest mały i straszny, prawda?

- Czasami. Naprawdę muszę już iść.

- Mandy, zaczekaj chwilę - zaczął Bo, ale Reena już kręciła przecząco głową i była w drzwiach.

- Nie, wszystko OK. Pogadamy kiedy indziej. - Pobiegła szybko w nieustającej mżawce.

- Bo, przepraszam. Powinnam zadzwonić. Albo się upić, żeby o tym nie myśleć. Idź za nią.

Ale on wiedział, że nastrój i tak już przysł. I widział twarz Reeny, gdy padło nazwisko Josha Boltona. Było na niej więcej smutku niż zdziwienia.

Może sprawił to cały ten dzień, może wino, a może deszcz, ale Reena nalala sobie jeszcze kieliszek wina, napełniła wannę wodą, po czym weszła do niej. I rozplakała się. Serce, głowę, wnętrzości przeszywał ból wyciskający z oczu strumienie łez. A gdy w końcu przestały płynąć, poczuła się odrętwiała i oszołomiona.

Wytała się, wciągnęła lekkie flanelowe spodnie i T - shirt, po czym zeszła na dół przygotować sobie samotny posiłek.

Kuchnia wydała jej się posępna i jałowa. Samotność - pomyślała - przytłaczają mnie pustka i samotność.

Deszcz, wino i najpewniej atak płaczu, jaki ją dopadł, sprawiły, że zaczęła odczuwać migrenę. Zamiast więc naprawdę wziąć się do gotowania, wyciągnęła coś z zapasów od mamy, żeby podgrzać. Była to zupa *minestrone*.

Postawiła ją na kuchence i dołała sobie wina.

To śmieszne, jak ból może iść za tobą przez lata i wciąż dopadać cię zniecka.

Rzadko myślała o Joshu, a gdy to się zdarzało, zwykle czuła ukłucie w sercu, ale nie taki przeszywający cios. Taka żalność nad chłopakiem, któremu nie dane było zostać dojrzałym mężczyzną, taka mieszanina dobrego i złego żalu.

Mechanizmy obronne puściły - tłumaczyła sobie, zerkając do garnka z zupą. Ciężki dzień, a teraz ta samotność tak ją gniotły, jakby ktoś wbił nóż w serce.

Obejrzała się, słysząc stukanie do drzwi ogrodowych, i westchnęła. Zanim jeszcze podeszła do drzwi, wiedziała, że to Bo.

Znów miał mokre włosy.

- Słuchaj, mogę wejść na chwilę? Chciałbym ci wyjaśnić...

Odwróciła się, zostawiając mu otwarte drzwi.

- Nie musisz niczego wyjaśniać.

- No bo, to wyglądało jak... A nie było. Nie jest. Mandy i ja stanowimy parę przyjaciół i nie... No, kiedyś tak było, ale dawno temu. Reeno... czy możesz na mnie spojrzeć?

Wiedziała, że zobaczy na jej twarzy ślady płaczu. Na ogół nie wstydziła się łez, ale w tym momencie nie lubiła ich ani siebie. Ani jego.

- Miałam ciężki dzień. - Ale odwróciła się do niego. - Po prostu wszystko naraz. Dam sobie radę. Ale twoja przyjaciółka chyba miała jeszcze gorszy.

- Tak. Jesteśmy... przyjaciółmi.

Reena patrzyła, jak wsuwa ręce do kieszeni, tak jak to robią mężczyźni, gdy czują się okropnie nieswojo i nie wiedzą, co z nimi zrobić.

- Ona... Mandy... tak się podłamała, bo właśnie się dowiedziała, że jej eksmaż się żeni. Pieprzony duppek. Przepraszam. Rozwód był dla niej ciężki i proces zakończył się zaledwie dwa tygodnie temu. To dla niej duży cios.

Oparta o blat Reena sączyła wino i słuchała jego pospiesznych wyjaśnień. Biedny facet, złapany w gorący, deszczowy wieczór w potrzask dwu emocjonalnie rozstrojonych kobiet - myślała.

- Trochę się wstawiłam. Chcesz?

- Nie, ale dzięki. Reeno...

- Po pierwsze, mam zawodowy zmysł obserwacji. Nie wzięłam sceny w twoich drzwiach jako uścisku kochanków. Widziałam ją przy tobie na pogrzebie twojej babci i domyśliłam się, kim dla ciebie jest.

- Jesteśmy tylko...

- Jak rodzina - przerwała. - Ona jest twoją rodziną. Twoją rodziną, Bo.

Z twarzy opadło mu trochę napięcie.

- Tak, o tak. Właśnie.

- A dziś zobaczyłam załamana kobietę i domyśliłam się, że nie chciałaby w to wciągać obcej osoby. Ja też bym nie chciała. Po drugie, dostajesz punkty za to, iż nie jesteś tak samolubny, żeby odprawić zrozpaczoną przyjaciółkę i pójść ze mną do łóżka. Gdzie ona jest?

- Śpi. Wyłakała się i położyłem ją spać. Widziałem, że pali się u ciebie światło, więc chciałem... Chciałem ci wyjaśnić.

- Wyjaśniłeś. Nie jestem wściekła. - Nie tylko nie jest wściekła, ale również i nie samotna - zauważyła. - Nie należę do zazdroźnic i nic między sobą nie ustalaliśmy. Nie wiemy, czy w ogóle to zrobimy. Mieliśmy pójść do łóżka, nie poszliśmy. - Podniosła kieliszek. - Zawsze można to zrobić kiedy indziej.

- Nie jesteś wściekła - powiedział, kiwając głową - ale przybita.

- Nie z twojego powodu. - Żeby się czymś zająć, wzięła łyżkę i pomieszała zupę. - Nie tylko - poprawiła. - To przeszłość. Mój kochany stracony chłopak.

- Josh. Byłaś z nim związana?

- To mój pierwszy na tym małym i strasznym świecie. - Ale Reenie nie została już ani jedna łza, żeby ją teraz uronić z żalu po nim. - To niesamowite, ale byłam z Joshem tego wieczora, gdy zobaczyłeś mnie na imprezie. Wyszłam z nim i byliśmy ze sobą. To był mój pierwszy raz.

- Spotkałem go.

Łyżka uderzyła o garnek, gdy nagle odwróciła głowę.

- Znałeś Josha?

- Nie. Tylko go spotkałem. Tego dnia, kiedy zginął. Wtedy też poznałem Mandy. Randka w ciemno, podwójna, z moim przyjacielem Bradem i dziewczyną, z którą się spotykał. Gdy po nią przyjechaliśmy, Josh właśnie schodził po schodach. Wybierał się na ślub.

- O Boże, ślub Belli. - Chyba jednak zostało jej jeszcze kilka łez, bo teraz cisnęły się do oczu. - Ślub mojej siostry.

- Tak. Nie umiał zawiązać krawata. Mandy mu pomogła.

Łza wypłynęła i kapnęła do zupy.

- To był kochany chłopiec.

- On zmienił moje życie.

Reena otarła łzy i znów odwróciła się do Bo. Jego zielone oczy były teraz zamglone i zadumane.

- Nie rozumiem.

- W tamtych czasach dużo balowałem. No cóż, kto tego nie robił? Dryfowałem. Coś

tam planowałem... na kiedyś. Tak, tak, kiedyś się tym zajmę. Uporządkuję wszystko, zorganizuję. Następnego rana po randce z Mandy i zaliczeniu imprezy po tym, gdy ją odprowadziłem, obudziłem się z gigantycznym kacem. Zobaczyłem ten swój śmietnik i postanowiłem posprzątać. Robiłem to mniej więcej co pół roku, gdy już sam siebie nie mogłem znieść. Obiecałem sobie, że się ustatkuję, ale to też powtarzało się co pół roku. Potem przyszedł Brad i powiedział mi, co się stało z chłopakiem, którego widzieliśmy w domu, gdzie mieszkała Mandy.

- Ale go nie znałeś.

- Nie, nie znałem. Ale... - Zamilkł i pokręcił głową, najwyraźniej usiłując znaleźć najwłaściwsze słowa, żeby zrozumiała. - Ale był w moim wieku i nie żył. Dopiero co go spotkałem, patrzyłem, jak Mandy zawiązuje mu krawat, a teraz on nie żyje. Nigdy nie będzie miał szansy poukładać sobie życia, o ile miał taką potrzebę. W jednej minucie idzie na ślub w swoim najlepszym garniturze, a w następnej...

- Nie ma go - wyszeptała Reena.

- Jego życie tak nagle się skończyło, a co ja robiłem ze swoim? Przepieprzałem je tak jak mój ojciec.

Przerwał, głęboko odetchnął.

- A więc dla mnie był to czas objawienia. Zamiast odkładać wszystko na kiedyś tam, wyrobiłem sobie zezwolenie na usługi budowlane. Namówiłem Brada, żeby do spółki ze mną kupił dom do remontu. Moja babcia wyasygnowała dla nas trochę pieniędzy. Nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałem jak wtedy. Kiedy... Cholera, to brzmi głupio, jakbym był zapatrzony w siebie.

- Nie, nie. Mów dalej.

- No więc gdy tylko przychodził taki moment, że byłem niezadowolony lub zniechęcony, albo zastanawiałem się, po co do licha wpakowałem się w to wszystko, pracując dziesięć, dwanaście godzin dziennie, myślałem o Joshu. On nigdy nie miał takiej szansy. I odkryłem, co mogę osiągnąć dzięki wytrwałości. Może i tak bym to osiągnął, nie wiem. Ale nigdy nie zapomniałem o nim ani o tym, że jego śmierć odmieniła moje życie.

Reena postawiła wino, zamieszała zupę.

- Los lubi kopać w tyłek, co?

- Nie chcę stracić mojej szansy z tobą, Reeno.

- Niczego nie straciłeś. - Wyłączyła palnik i stanęła przed nim. - Wiedz o tym, że ta, która stoi tu przed tobą, nie jest cenną zdobyczą. Pomiędzy Joshem a tobą miałam wiele krótkotrwałych lub nieudanych związków. Źle wybierałam, w nieodpowiednim momencie lub

miałam pecha.

- Zaryzykuję. - Podszedł do Reeny, schylił głowę i ucałował jej wargi. - Nie mogę jej tam zostawić samej na noc.

- Nie, nie możesz. To jeden z powodów, dla których nic nie straciłeś. Proszę, weź trochę zupy. Jak się obudzi, nie ma nic lepszego niż *minestrone* mojej mamy, żeby odgonić smutki.

- Dziękuję. Poważnie. - W zadumie musnął kciukiem jej mały pieprzyk nad wargą. - Może jutro zrobię ci tę kolację.

Wyjęła pojemnik na zupę i wygięła usta w łuk.

- Dlaczego nie?

Światło w jego salonie wciąż się paliło, gdy szykowała się do spania. Siedzi przed swym telewizorem gigantem? - zastanawiała się. Odstąpił własne łóżko przyjaciółce w ciężkich dla niej chwilach.

Może zjedli razem *minestrone* i serdecznie porozmawiali.

Nigdy nie miała takiego przyjaciela w swoim wieku, który by jej w ten sposób pomagał. Mężczyźni, oprócz tych w rodzinie, to byli jej nauczyciele, jak John, partnerzy i koledzy. Albo kochankowie.

To ciekawe i inne - pomyślała - zaprzyjaźnić się z mężczyzną, zanim się z nim pójdzie do łóżka.

Wyłączyła światło i zamknęła oczy w nadziei, że sen zatrze przykre wydarzenia tego dnia.

Tuż przed trzecią w nocy zadzwonił telefon. Szybko wyskoczyła z łóżka i włączyła światło, zanim podniosła słuchawkę. Choć była policjantką, telefon w środku nocy zawsze powodował, że serce skakało jej do gardła. Od razu pomyślała, czy nic złego się nie stało komuś z rodziny, czy nie było wypadku, czy nikt nie umarł.

- Tak, słucham.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Częścią uwagi zarejestrowała, że numer na wyświetlaczu jest jej nieznanym, a drugą część skupiła na głosie. Niski, nieco chropawy, męski.

- Co takiego? Do kogo pan dzwoni?

- Wielka niespodzianka dla ciebie. Już niedługo. Gdy ją ujrzysz, będę walił konia i wyobrażał sobie twoje usta na moim ptaku.

- Na miłość boską, jeśli już musisz kogoś budzić kiepskimi tekstami obscenicznymi, nie dzwoń do gliny.

Odłożyła słuchawkę, zapisała numer telefonu i czas rozmowy.

Potem znów zgasiła światło, zasnęła i zapomniała o tym.

Upłynęło dużo czasu, odkąd Reena przeglądała akta sprawy Josha Boltona. Nie wiedziała, dlaczego robi to teraz. Nie przybyło w niej nic nowego. Sprawa została zamknięta wiele lat temu, a prowadzący śledztwo, lekarze sądowi i pracownicy laboratorium zgodnie podpisali, że był to wypadek.

Nie znaleziono powodu, aby dopatrywać się w tym czegoś innego. Żadnego włamania, urazów głowy w wyniku ewentualnego upadku, nie stwierdzono rabunku ani wandalizmu, nie znaleziono motywu. Po prostu młody chłopak zasnął, paląc papierosa w łóżku.

Ale przecież nigdy nie widziała go z papierosem w ustach.

A jednak ekipa znalazła paczkę papierosów i zapalki z jego odciskami palców. To przeważało nad argumentem sypiającej z nim dziewczyny, że ofiara była niepaląca.

Ona tak samo by rozumowała - przyznała Reena w duchu, czytając raporty. Prawdopodobnie oceniłaby wszystko podobnie i doszłaby do tych samych wniosków. Zamknęłaby śledztwo. Ale nigdy tego do końca nie zaakceptowała, nawet teraz.

Wciąż jeszcze przeglądała te raporty, a zdjęcia z miejsca wypadku porozkładane były na jej biurku, gdy zadzwonił telefon.

- Wydział Podpaleń, detektyw Hale.

- Reena? Tu Amanda Greenburg. Mandy. Spotkałyśmy się w dość upokarzającym momencie wczoraj wieczorem u Bo.

- Jasne, pamiętam. - Patrzyła na to, co ogień zrobił z jej chłopakiem.

- Trudno nie pamiętać. Słuchaj, chciałabym cię przeprosić.

- Nie trzeba. Naprawdę. - Dotknęła palcem fotografii Josha. - Ale mam nadzieję, że znalazłabyś trochę czasu, aby się ze mną spotkać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym z tobą porozmawiać.

- Jasne. Kiedy?

- Na przykład teraz.

Dzień był piękny, więc Reena znalazła stolik na zewnątrz małej kafejki o pięć minut drogi od posterunku. Ledwie zdążyła usiąść, gdy zobaczyła biegnącą chodnikiem Mandy. Duża, kwadratowa torba objęła się jej o biodro.

Włosy młodej kobiety były eksplozją płomiennej rudości, a twarz przypominała pyszczek teriera. Nosila okulary słoneczne w stylu Jackie Onassis, które w zagadkowy sposób bardzo do niej pasowały.

- Cześć. - Opadła na krzesło.

- Dziękuję za przyjście.

- Żaden problem. Kawa - rzuciła kelnerce, która do nich podeszła. - I to szybko.

- Dietetyczna pepsi.

- Dobra, chcę to już z siebie wyrzucić. Naprawdę byłam wczoraj w kiepskim stanie, a Bo nie tylko jest moim najlepszym przyjacielem, ale jak na faceta potrafi sobie dobrze radzić z rozhisteryzowanymi kobietami. Nie śpimy ze sobą.

- Już - dokończyła Reena.

- Już. Nie robimy tego od lat. Jesteśmy jak - no wiesz - Jerry i Elaine z serialu *Seinfeld*. Tylko Bo nie jest taki cyniczny. Mój eks...

Przerwała, gdy podawano im napoje.

- Byliśmy razem ponad rok. Mark i ja. Zachciało nam się uciec do Vegas. Jak tylko wróciliśmy, zaczęło się psuć, nie wiem, dlaczego. Łatwiej to znieść, jak się wie, nie sądzisz?

- Tak. Jestem o tym przekonana.

- Ja nie miałam pojęcia, co jest tego przyczyną. Potem on przychodzi do mnie któregoś wieczoru i mówi, że mu przykro (i było), ale ze mną mu nie wychodzi i poznał kogoś. Sądzi, że jest zakochany. Stoi tak, wyglądając żałośnie, i mówi mnie, swojej żonie, że mu przykro, ale chyba się zakochał w kimś innym. Nie chce mnie oszukiwać, więc uważa, iż powinniśmy wziąć rozwód.

- Mocny cios.

- Tak. Był. - Podniosła filiżankę z kawą i w promieniach słońca zabłysła szeroka srebrna obrączka na jej lewym kciuku. - Oczywiście się wkurzyłam. Zrobiłam mu scenę, doszło do awantury. I w końcu wypłakiwałam się u Bo. Ale co można zrobić? Kutafon mnie już nie chce. I tu wczoraj się dowiaduję, że on się z nią żeni, i to znów mnie powala.

- Tak mi przykro.

- No tak, pieprzyć to wszystko. I ich. Ale chodzi mi o to, że nie chcę komplikować spraw Bo, ponieważ potrzebuję wsparcia. Ja jestem starą kumpelką, ale ty Dziewczyną z Marzeń.

Reena się skrzywiła.

- Wiesz, jak trudno jest dorównać takiemu tytułowi? Mandy skwitowała to uśmiechem.

- Nigdy nie byłam niczyją Dziewczyną z Marzeń, ale mogę sobie wyobrazić. A ty jednak wciąż myślisz o tamtym. Brad i ja czasem przekomarzamy się z Bo na twój temat.

- Od czego są przyjaciele?

- No właśnie. Ale szok, co? Ty się wprowadzasz po sąsiedzku. Teraz on ma w oczach

małe serduszka... a ja mu zawracam głowę.

- Tylko odrobinę.

- Ale teraz szybko zmienię temat. - Mandy skinęła na kelnerkę, żeby jej dołąła kawy. -

DeWanna Johnson.

- Skąd o niej wiesz?

- Pracuję dla „The Sun”.

- Jesteś reporterką?

- Fotografikiem. Wczoraj wydałaś oświadczenie w tej sprawie, a wiem, że będą chcieli mieć dalszy ciąg. Myślałam, że może udałoby mi się zdobyć zdjęcie...

- W sprawie śmierci DeWanny Johnson Jamal Earl Gregg został od razu oskarżony o morderstwo. Jeśli chcesz dalszego ciągu, musisz się zwrócić do biura prokuratora okręgowego.

- Ty jesteś dziewczyną z tej okolicy, masz tu silne powiązania. A taki fakt - chcemy tego czy nie - nadaje całej historii pewnego smaczku.

- Mój partner nie jest dziewczyną, a razem zatrzymaliśmy podejrzanego. Mandy, najlepiej zgłoś się do rzecznika prasowego. Sprawa jest jawna, nie ma problemu ze zdjęciem. A tak naprawdę poprosiłam cię o spotkanie, bo chciałam z tobą pogadać o innym pożarze. O Joshu.

- Dobrze. - Spuściła wzrok na czarną kawę, którą - jak Reena zauważyła - piła rozwodnioną. - Byłam tym mocno rozbita, jak zresztą wszyscy. Potem przyszedł reporter zrobić ze mną wywiad. Miałam wtedy staż w „The Sun”. Po skończeniu uczelni na mniej więcej sześć miesięcy wyjechałam do Nowego Jorku i stwierdziłam, że jestem dziewczyną małomiasteczkową. Wróciłam do Baltimore. Po śmierci Josha rozmawiałam raz z jego matką, gdy przyjechali po szczątki syna. Były szerniałe.

- Prowadzący dochodzenie rozmawiali z tobą? Śledczy ze straży pożarnej, policja?

- Jasne. Z tego, co wiem, przepytawali wszystkich z budynku, a także niektórych jego kolegów z roku i przyjaciół. Z tobą też chyba rozmawiali?

- Tak. Chyba właśnie ja ostatnia widziałam go żywego. Byłam z nim tamtego wieczoru.

- Ach. - Mandy przesunęła okulary na czubek głowy, a na jej twarzy pojawiło się współczucie. - Boże, bardzo mi przykro. Nie wiedziałam. Nie było mnie wtedy w domu. Miałam randkę w ciemno z Bo - naszą pierwszą. Razem z Bradem i tamtą moją przyjaciółką, z którą wtedy chodził.

- Wróciłaś do domu między dziesiątą trzydzieści a jedenastą.

Mandy uniosła brwi i napiła się jeszcze kawy.

- Naprawdę?

- Tak podałaś w swoim zeznaniu.

- Możliwe. Z tego, co pamiętam, Bo odprowadził mnie do drzwi. Myślałam, żeby go zaprosić, udać, że się znam na rzeczy, i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Moja współlokatorka wyjechała na weekend, więc miałam mieszkanie dla siebie. Włączyłam muzykę, zapaliłam skreta, o czym nie wspomniałam w zeznaniach. Od czasu do czasu pozwalałam sobie na to w czasach studiów. Do północy oglądałam *Saturday Night Live* i poszłam spać. Następna rzecz, jaką pamiętam, to włączone alarmy, ludzi biegnących po korytarzu, krzyki.

- Znałaś większość mieszkańców tego domu?

- Jasne. Jeśli nie z nazwiska, to z widzenia.

- Czy Josh miał z kimś z nich jakiś zatarg?

- Nie. Przecież wiesz, jaki on był, Reeno. Słodki chłopak.

- Tak, ale nawet tacy ludzie mają czasem z kimś zatargi. Może jakaś dziewczyna.

Pożar w sypialni - rozumowała - to typowo kobieca metoda. Bardziej osobista, emocjonalna. Dopadnę cię, draniu, jak zaśniesz.

Wracając myślami do przeszłości, Mandy bawiła się jednym ze swoich srebrnych naszyjników.

- Umawiał się z dziewczynami, spędzał gdzieś wolny czas. Budynki poza kampusem, jak tamten, tętniły życiem pełnym dramatów, seksu i licznych imprez. Skrajna panika przed egzaminami. A potem zmiana. Po zakończeniu w maju semestru wielu studentów jechało na lato do domu albo kończyło studia. Przyjeżdżali nowi. W czerwcu dom jeszcze się nie zappełnił. A odkąd zaczęliście się spotykać, Josh był bardzo tobą zajęty. Naprawdę nie pamiętam, żeby miał jakieś dramatyczne rozstania czy poważne problemy z kimkolwiek - w budynku czy w kampusie. Ludzie Josha lubili. Dał się lubić.

- O tak, na pewno. Czy widziałaś, żeby kiedykolwiek palił papierosa?

- Chyba musiał. Pamiętam, że wtedy nie mogłam sobie tego przypomnieć. Wielu z nas paliło papierosy dla towarzystwa albo trawkę dla rekreacji. Było kilku fanatyków niepalenia i tych pamiętam. On do nich nie należał. Okazał się elastyczny.

- I od tamtej nocy niczego podejrzanego nie usłyszałaś ani nie zobaczyłaś?

- Niczego. Czy sprawa jest na nowo otwarta?

- Nie, nie. - Reena pokręciła głową. - To osobista sprawa. Coś, co ciągle do mnie powraca.

- Tak, wiem. - Mandy bezwiednie zsunęła okulary z powrotem na oczy. - Do mnie też.

To szokujące przeżycie dla tak młodych ludzi jak my wtedy, a on był jednym z nas. Nie powinno się umierać w wieku dwudziestu lat. Przynajmniej tak się uważa, mając dwadzieścia lat. Życie wydaje się wieczne. Mnóstwo czasu przed nami.

- DeWanna Johnson miała dwadzieścia trzy. Zawsze jest mniej czasu, niż nam się wydaje.

W końcu schowała teczkę, tak jak już robiła przedtem, i skoncentrowała się na terażniejszości.

Gdy matka DeWanny Johnson weszła do biura oddziału, Reena wstała.

- Ja ją przyjmę - oznajmiła O'Donnellowi i wyszła do niej. - Pani Johnson? Jestem detektyw Hale. Rozmawialiśmy przez telefon.

- Powiedzieli, abym tutaj przyszła i że jeszcze nie mogę zabrać DeWanny.

- Chodźmy może tam do tyłu. - Reena położyła dłoń na ramieniu kobiety i poprowadziła ją do pokoju gospodarczego. Był tam krótki bufet zastawiony ekspresem do kawy, starą mikrofalówką i styropianowymi filiżankami.

Reena wskazała pani Johnson krzesło przy stole.

- Proszę usiąść. Napije się pani kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję.

Usiadła. Jej oczy były ciemne i zmęczone. Niedawno stuknęła jej czterdziestka - oceniła Reena - a wkrótce pochowa córkę.

- Pani Johnson, przykro mi z powodu pani nieszczęścia.

- Straciłam ją w chwili, gdy wyszedł z więzienia. Powinni go tam zatrzymać w zamknięciu. A teraz zabił moją córkę i osierocił jej dziecko.

- Bardzo pani współczuję z powodu tego, co się stało z DeWanną. - Reena usiadła naprzeciwko niej. - Jamal za to zapłaci.

W ciemnych oczach kobiety rozpacz walczyła ze zmęczeniem.

- Jak mam temu dziecku powiedzieć, że jej tatuś zabił mamę? Jak mam to zrobić?

- Nie wiem.

- Czy ona... w tym pożarze. Czy ona to czuła?

- Nie. - Reena ujęła dłoń pani Johnson i ścisnęła ją. - Nie czuła tego. Nie cierpiała.

- Sama ją wychowałam, starałam się, jak mogłam. - Mocno wciągnęła w płuca powietrze. - To była dobra dziewczyna. Zaślepiąca na punkcie tego przekłętego mordercy, ale była dobra. Kiedy mogę ją zabrać do domu?

- Dowiem się.

- Pani detektyw, czy ma pani dzieci?

- Nie, proszę pani, nie mam.
- Czasem myślę, że są tylko po to, żeby łamały nam serce.

*

Słowa te brzmiały jej w głowie na okrągło, więc po drodze do domu Reena wstąpiła do Sirico's. Zastała matkę przy dużym piecu, a ojca przy blacie kuchennym.

Ku swemu zaskoczeniu ujrzała tam wuja Larry'ego i ciotkę Carmelę. Siedzieli w boksie i pogryzali faszerowane pieczarki.

- Siadaj, siadaj - nalegał Larry, gdy schyliła się, żeby go pocałować. - Opowiedz nam, jak żyjesz.

- Teraz to by zabrało około dwóch minut, ale nie mam i tyle. Już i tak się spóźniłam.

- Namiętna randka - odezwała się ciotka, puszczając do niej oko.

- Tak się składa.

- Jak ma na imię? Co robi? Kiedy się pobierzecie i dacie twojej mamie wnuczka?

- Ma na imię Bowen, jest stolarzem. A mama ma już wystarczająco dużo wnucząt od Fran, Belli i Xandra.

- Nigdy nie jest za dużo. Czy to ten, który mieszka obok? Skąd pochodzi?

- Nie jest Włochem - odparła Reena i ze śmiechem jeszcze raz pocałowała ciotkę. -

Buon appetito!

Zostawiła ich i naląła sobie napoju z dozownika. Ojciec miał całe ręce w cieście, więc wspięła się na palce i pocałowała go w brodę.

- Cześć, przystojniaku.

- Kto to jest? - Obejrzał się na żonę. - Kim jest ta obca dziewczyna rozdająca całusy? Wygląda trochę znajomo.

- Nie minął nawet tydzień, kiedy ostatnio się widzieliśmy - powiedziała Reena tonem skargi. - I dzwoniłam dwa dni temu.

- A, teraz cię poznaję. - Uniósł ręce i uszczypnął jej policzki palcami ubrudzonymi ciastem. - Nasza dawno zaginiona córka. Przypomnij mi swoje imię.

- Sami dowcipnisie. - Odwróciła się, żeby cmoknąć matkę w policzek. - Coś tu ładnie pachnie. Nowe perfumy, sos boloński.

- Siadaj, naszykuję ci jedzenie.

- Nie mogę jeść. Dziś przygotowuje dla mnie kolację przystojny mężczyzna.

- Stolarz umie gotować?

- Nie mówiłam nic o stolarzu. Ale tak, to on, i gotuje. Na to wygląda. Mamo, czy

twoje dzieci łamały ci serce?

- Wiele razy. Proszę, zjedz choć pieczarkę. A nuż przypali tę kolację i co wtedy?

- Tylko jedną. Jeśli łamaliśmy ci serce, to dlaczego urodziłaś nas aż czwórkę?

- Bo twój ojciec nie chciał zostawić mnie w spokoju i pozwolić mi spać.

W tym momencie Gib odwrócił się i stłumił chichot.

- Ale poważnie.

- Mówię poważnie. Za każdym razem, kiedy się odwróciłam, jego ręce brały się do roboty. - Bianca stuknęła łyżką o brzeg garnka i odłożyła ją. - Urodziłam czwórkę, bo za każdym razem, gdy łamaliście mi serce, znów je uzdrawialiście. Jesteście skarbami mojego życia i moim największym utrapieniem. - Pociągnęła Reenę na zaplecze i ściszyła głos. - Nie jesteś w ciąży?

- Nie. Mamo!

- Tylko pytam.

- W ostatnich dniach chodzi mi po głowie tyle dziwnych rzeczy, i to wszystko. Dobre pieczarki - dodała. - Muszę już iść.

- Przyjdź w niedzielę na obiad! - zawołała za nią Bianca. - Przyprawdź swojego stolarza. Pokażę mu, jak się gotuje.

- Zobaczymy, jak dziś pójdzie, wtedy może go zaproszę.

Pozostał przy kurczaku, ponieważ czuł, że drób najlepiej mu się udaje. Po drodze kupił świeżego i pomyślał, żeby skrócić do piekarni po coś słodkiego. Ale tego popołudnia budował altankę dla pani Mallory, a gdy ona usłyszała o jego planach na wieczór, dała mu świeżo upieczone ciasto cytrynowe z bezą.

Wciąż jeszcze się głowił, czy etycznie będzie powiedzieć, że to on sam upiekł, gdy zapukała Reena.

W mieszkaniu rozbrzmiewała muzyka jazzowa Norah Jones, a wcześniej przetarł nieco kurz. Miał ambitne plany, aby bardziej dokładnie wszystko ogarnąć, ale zostały one zniweczone z powodu przedłużonej wizyty u pani M. - i słabości do jej wypieków.

Ale dom wygląda ładnie - stwierdził i zmienił pościel. Na wszelki wypadek.

Gdy otworzył drzwi i spojrzał na nią, naprawdę miał nadzieję, że z niej skorzystają.

- Cześć, sąsiad.

Od razu zabrał się do dzieła, po co tracić czas? Objął kibić Reeny i przycisnął usta do jej warg.

Zmiękła nieco w jego ramionach. Ale tylko zwodniczą odrobinę. Zaraz odsunęła się od niego.

- Niezłe jak na przystawkę - stwierdziła. - Jakie będzie główne danie? - Podała mu butelkę w wesołej srebrzystej torbie. - Mam nadzieję, że pinot grigio do tego pasuje.

- Znow mamy kurczaka, więc pasuje doskonale. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do kuchni.

- Kwiaty. - Odwróciła się do stołu, podziwiając ustawione na nim złocenie w niebieskiej butelce. - I świece. Ależ jesteś starowny!

- W porywach. To wszystko po babci. Wczoraj wieczorem poświęciłem trochę czasu na szperanie w pudłach.

Pobiegła oczami za jego wzrokiem i zobaczyła gablotkę. Stały tam jeszcze inne stare butelki o ciekawych kształtach, ciemnoniebieskie naczynia i kieliszki z rżniętego szkła.

- Ładne. Cieszyłaby się, że to wystawiłeś.

- Sam nie mam za wiele takich rzeczy. Tylko więcej pakowania przy przeprowadzkach.

- Robisz to regularnie.

Otworzył wino, wyjął z szafki dwa rżnięte kieliszki.

- Nie da się sprzedać domu i dalej w nim mieszkać.

- Nie przywiązujesz się?

- Parę razy tak było. Ale wtedy oglądam nowe miejsce i myślę: Rany, co ja tu mogę zrobić? Potencjał i zyski kontra wygoda i przywiązanie.

- Jesteś uwodzicielem domów.

- Jestem. - Uśmiechnął się ciepło i stuknął się z nią kieliszkiem. - Siadaj. Ja tu wszystko szykuję.

Usiadła na stołku przy blacie.

- A nigdy nie zaczynałeś wszystkiego od początku? Kupić działkę i samemu wszystko zbudować?

- Myślałem o tym. Może kiedyś. Taki dom z marzeń. Ale głównie lubię już coś widzieć i to ulepszyć albo przywrócić do życia.

Gdy sprawdzał coś w piekarniku, poczuła zapach rozmarynu. Zanotowała sobie w myśli, żeby mu przynieść parę doniczek z ziołami na parapet w kuchni. Jeśli rzeczy posuną się dalej.

- Powiedziałeś, że możesz zrobić w moim domu, co tylko zechcę. Czy to tylko przechwałki, czy też prawda?

- Przechwałki też, ale oczywiście w granicach rozsądku. Możesz mieć bardzo wiele z tego, co zechcesz. - Pokropił olejem patelnię.

- Czy mogłabym mieć kominek w sypialni?

- Na drewno?

- Niekoniecznie. Może być gazowy albo elektryczny. Tak byłoby nawet lepiej. Nie sądzę, żeby mi się chciało taszczyć drewno na górę.

- To da się zrobić.

- Naprawdę? Zawsze pragnęłam tak mieszkać, jak to widziałam na filmach. Kominek w sypialni. I w bibliotece. A tak naprawdę to chciałabym mieć sypialnię główną z łazienką, może trochę powiększoną. I świetlik nad wanną.

Spojrzał na nią badawczo.

- Chcesz mieć świetlik nad wanną?

- Myślę, że to się mieści „w granicach rozsądku”. Oczywiście, wszystko to można zrobić małymi krokami. Mamy limit budżetowy.

Dodał do oliwy zgnieciony czosnek.

- Obejrzę to, pobawię się z jakimś projektem, sporządzę ofertę. Co ty na to?

Uśmiechnęła się, opierając łokieć o stół i pociągając wino.

- Odpowiada mi. Żebyś się tylko nie okazał zbyt piękny, aby być prawdziwy!

- To samo pomyślałem o tobie.

- Bo, ja nie wiem, czego chcę. Z tym wszystkim, ze mną. Do licha, nie wiem, czego będę chciała jutro, a co dopiero za rok.

- Ja tak samo.

- Myślę, że ty wiesz lub przynajmniej masz jakiś ogólny plan. Kiedy robisz to, co robisz, pracujesz nad projektem i budujesz, potrafisz sobie dokładnie wyobrazić następny rok.

- Wiem, że dziś wieczór chcę ciebie. Wiem, że chciałem cię - lub wyobrazenie o tobie - od dawna. Ale nie mam pojęcia, co będzie z nami czy pomiędzy nami jutro albo w przyszłym roku.

Zsunął kurczaki na patelnię i odwrócił się.

- Myślę, że nie bez powodu wprowadziłaś się do sąsiedniego domu. Nie bez powodu zobaczyłem cię przed tylu laty, ale dotąd nie spotykałem. Sądzę, że wtedy jeszcze nie byłem na ciebie gotowy.

Patrzył na nią, siedzącą w jego kuchni z tymi jej oczami lwicy, wodzącą palcem wokół brzegu rżniętego kieliszka po jego babce.

- Może to znaczy - kontynuował - że wszystko zaczyna się układać. A może co innego. Nie muszę tego wiedzieć w tej chwili.

- Mówiłeś, że myślisz o potencjale, gdy patrzysz na nowy obiekt, który cię pociąga.

Ty masz potencjał, żeby mnie w sobie rozkochać. I to mnie przeraża.

Poczuł w sercu falę gorąca.

- Myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić?

- Może. Albo ja ciebie. Albo to się może okazać jakieś strasznie poplątane.

- Albo może być całkiem wyjątkowe. Pokręciła głową.

- Gdy patrzę na związki, moje związki, widzę pustą połowę kieliszka. A to, co w nim zostało, może się nadawać do wypicia albo i nie.

Wziął wino i nappełnił jej kieliszek po brzegi.

- Po prostu nieodpowiedni facet nalewał ci wino.

- Możliwe. - Spojrzała w stronę kuchenki. - Nie spali kurczaka.

Nie spalił i musiała przyznać, że była pod wrażeniem. Udało mu się podać na stół pełny posiłek bez żadnej awarii. Hołubiąc drugi kieliszek wina, spróbowała kurczaka.

- Dobry - orzekła. - Naprawdę dobry. To prawdziwy komplement z ust kogoś, kto wyrastał w domu, gdzie jedzenie to nie tylko podtrzymywanie życia, nawet nie zwykła sztuka, ale filozofia życiowa.

- Kurczak z rozmarynem zawsze na nie działa. Roześmiała się i jadła dalej.

- Opowiedz mi o swojej pierwszej miłości.

- Ty nią będziesz. No dobrze - dodał, widząc, jak zwięża oczy. - Tina Woolrich. Ósma klasa. Miała wielkie, niebieskie oczy i piersi małe jak jabłuszka, których mi nie bronila dotykać pewnego letniego popołudnia w ciemnym kinie. A ty?

- Michael Grimaldi. Miałam czternaście lat i byłam w nim nieszczęśliwie zakochana, podczas gdy on podrywał moją siostrę Bellę. Marzyłam, żeby mu spadły klapki z oczu i w końcu zrozumiał, że to ja jestem jego przeznaczeniem. Ale moja miłość pozostała nieodwzajemniona.

- Głupiec z niego.

- Dobra. A kto po raz pierwszy złamał ci serce?

- Znowu ty. A poza tym... nikt.

- Mnie też. Nie wiem, czy to wesołe, czy smutne. Na przykład Bella świetnie egzystowała, mając wiecznie złamane serce i łamiąc je komuś. Pamiętam, jak Fran płakała w swoim pokoju, bo jakiś dupek poprosił na szkolny bal inną dziewczynę. Ja nigdy aż tak tego nie przeżywałam. Więc może to smutne.

- Byłaś kiedyś bliska dużego M?

- Małżeństwa. - W jej oczach na chwilę pojawił się cień. - To zależy od punktu widzenia. Kiedyś ci o tym opowiem. Dziś rozmawiałam z Mandy.

A więc na tym, jak się domyślił, rozmowa o związkach została zakończona.

- Tak? - spytał.

- Zadzwoniła, żeby jeszcze raz przeprosić, a ja umówiłam się z nią na spotkanie. Co jakiś czas wyciągam z szafy teczkę sprawy Josha. Chciałam z nią o tym porozmawiać. Oczywiście, nic nowego. Ale przybycie jej tutaj uderzyło mnie jako jeden z takich kosmicznych sygnałów, więc chciałam jeszcze coś zrobić. W każdym razie lubię Mandy. Rozsadza ją energia, co mogło też wynikać z faktu, że w ciągu dwudziestu minut wypila hektolitry kawy.

- Kawa trzyma ją przy życiu - zgodził się Bo. - Nie potrafi zrozumieć, jak można w ogóle jej nie pić.

- Nie pijesz kawy?

- Nigdy mi nie smakowała.

- Ja też. Dziwne.

- Kolejny znak, że jesteś mi przeznaczona. Jeszcze kurczaka?

- Nie, dziękuję. Bowen?

- Catarina.

Zaśmiała się lekko, upiła łyk wina.

- Spałeś z Mandy, kiedy była mężatką?

- Nie.

- OK. To jedno z moich kryteriów. Co prawda nie mam ich wiele. Pozmywam naczynia - powiedziała, wstając.

- Możemy to zostawić na później - zaczął, ale widząc jej spojrzenie, westchnął. - A, ty jesteś ten model. No dobrze, pozmywamy. A może najpierw deser?

- Jeszcze nie wiem, czy będę z tobą spała.

- Ho, ho. Serce mi rośnie. Chodziło mi o taki, który kładziesz na talerzu i jesz. Mamy ciasto.

Odstawiła swój talerz na blat i odwróciła się.

- Jakie?

Otworzył lodówkę i wyjął.

- Cytrynowe z bezą. - Podeszła bliżej i rzuciła mu poważne spojrzenie. - I nie jest kupione.

- Nie.

- Upiekłeś ciasto?

Spojrzał na nią niewinnym i nieco urażonym wzrokiem.

- A czy to takie dziwne?

Pochyliła się nad blatem, wpatrując się w niego.

- Jeśli potrafisz wymienić pięć składników tego ciasta, oprócz cytryny, pójdę z tobą natychmiast do łóżka.

- Mąka, cukier... o kurczę. Poddaję się. Klientka upiekła.

- Płaci ci ciastem?

- To premia. Mam jeszcze torbę chrupek czekoladowych, ale nie poczęstuję cię, dopóki się ze mną nie prześpisz. Możemy je zjeść na śniadanie.

- Rzykujesz odsiadką za próbę przekupienia policjantki.

- A co, nakręcasz się?

Roześmiała się i pomyślała: Do diabła ze zmywaniem! Oparła łokcie z tyłu o blat, wysunęła brodę i oznajmiła:

- No to odłóż na razie to ciasto, Goodnight, i chodź tu się przekonać.

Podszedł, patrząc jej prosto w oczy. Czaiło się w nich wyzwanie i iskierka podniecającego rozbawienia. Gdy ich ciała się dotknęły, poczuł, że jest już twardy. Który mężczyzna zareagowałby inaczej?

Rozłożone ręce nadal opierała o blat, nawet gdy już sięgnął jej ust, a ona szybko wciągnęła powietrze do płuc.

- Masz przy sobie broń? - zapytał z ustami na jej ustach.

Lekko zeszywniała.

- W torebce, a dlaczego?

- Bo jeśli teraz ktoś podejdzie do drzwi, użyjemy jej. Zdążyła tylko się roześmiać, a już chwycił ją w ramiona.

- I naczynia zmywamy później.

- Umh. Stanowczo.

- Jeszcze niczego nie widziałeś. - Ale jemu samemu kolana zmiękły, gdy poczuł na szyi jej ugryzienie. Skup się - nakazywał sobie, wynosząc ją z kuchni. Nie spieprz tego. - I nie będziemy tego robić na podłodze. Nie żebym miał coś przeciwko. - Odwrócił głowę tak, aby mogła widzieć jego twarz. - Ale nie tym razem.

Dotknęła jego włosów i uśmiechnęła się jeszcze cieplej.

- Nie tym razem. Masz zamiar nieść mnie aż na samą górę?

- Dzisiaj, Scarlett, nie będziesz myślała o Ashleyu. Gdy ją wnosił po schodach, oplótła mu szyję rękami i obsypywała jego twarz pocałunkami.

Zapomniał zostawić zapalone światło, a tak chciał wszystko zaplanować. No, ale przecież znał drogę. Poza tym wpadały jeszcze resztki światła zmierzającego dnia.

Kiedy kładł ją na łóżku, nadal go obejmowała za szyję, pociągając za sobą. Usta cały czas mieli złączone. W uszach głośno pulsowało mu bicie własnego serca.

- Czekaj. Jest za ciemno. - Ustami delikatnie smakował miejsce na jej szyi pod brodą. Ręce wprost mu się paliły, żeby dotykać ciała Dziewczyny z Marzen. - Chcę cię widzieć. Muszę.

Oderwał się od Reeny i poszperał w szufladce szafki nocnej. Wyjął paczkę zapalek i zapalił świecę, kupioną z myślą o niej.

Gdy odwrócił się z powrotem, leżała wsparta na łokciach. Jej włosy koloru bursztynu tworzyły wokół twarzy spletaną aureolę.

- Jesteś romantyczny - stwierdziła.

- Przy tobie.

Aureola włosów zalsniła, gdy potrząsnęła głową.

- Na ogół nie ufam mężczyznom, którzy mówią zawsze dokładnie to, co trzeba. Ale muszę przyznać, że u ciebie to działa. Chyba pamiętasz swoją pozycję?

Pochylił się i poczuł jej oddech.

- Taaak, o, już jest.

Marzenia o niej towarzyszyły jego całemu dorosłemu życiu. Sam tworzył wyobrażenie o tym, jaka mogła być. Ale rzeczywistość je przekroczyła. Jej skóra, wargi, zapach, dźwięk. Wszystko to działało na Bo niczym gorąca fala, przepelniająca go rozkoszą i pragnieniem. Był olśniony.

To nie był sen. Ona tu jest, pod nim, rusza się, podaje mu gorące, chętne usta. Jego kobieta wyszła ze snu i była z nim naprawdę.

Sprawiał, że jej puls uderzał jak młotem, a myśli rozpływały się w tańcu zmysłów. Chwytnie się zębami, spotkanie języków, zespolenie oddechów i westchnień. Jego język był rozgorączkowany, a zarazem cierpliwy. Jakby mu wystarczyło, że spała się oboje w ogniu samych pocałunków.

A gdy potem czuła, że już dłużej tego nie zniesie, kiedy jej ciało wyginało się, krzycząc o więcej, ożyły ręce Bo.

Mocne i pewne, najpierw głaszczące kusicielsko, potem chwytające zaborczo. W jej piersiach, udach, biodrach narastał taki żar, że zdawało się jej, iż zaraz cała stanie w płomieniach.

Ściągnął jej bluzkę przez głowę i już jego usta były na tej wypukłości piersi tuż ponad koronkami stanika, a język wślizgiwał się pod materiał, żeby choć spróbować, jak smakują, pobudzić zmysły.

Łapiąc powietrze, przekreśliła się na niego i zaczęła mu zdejmować koszulę, walcząc z guzikami. Odrzuciła włosy do tyłu, usiadła na nim, rozsunęła koszulę i dotknęła dłońmi torsu.

- Jesteś nieźle zbudowany, Goodnight. - Oddychała już ciężko i nierówno. - Naprawdę. Masz tu jakieś szramy. - Przesunęła palcami po jednej z nich, schodzącej po żebrach, i poczuła, jak przeszedł go dreszcz. Potem schyliła głowę i zaczęła muskać ciało Bowena wargami, zębami, językiem.

Uniósł się, przesuwał Reenę tak, że otoczyła go nogami w pasie. Ręce gładzące plecy młodej kobiety były stwardniałe od odcisków, co jeszcze bardziej ją podniecało. Jednym ruchem palców odpiął stanik. Gdy przycisnął usta do wyprężonego ciała, wygięła się do tyłu i jęknęła.

Pod wargami czuł bicie serca Reeny, niemal go dotykał. Jej długie ciało było tak gładkie, tak zwinne. Wąski tułów i biodra, całe mile nóg. Pragnął je poznawać całymi godzinami, dzień w dzień, przez całą wieczność. Ale dziś, po tych wszystkich latach tęsknego oczekiwania, chciał brać, tylko brać.

Odsunął ją w tył i ściągnął nieco majtki, aby dotrzeć tam dłońmi i ustami. Ciało ukochanej falowało, a gdy znów go posmakował pod koronkami bielizny, wstrząsnął nią spazm.

Zacisnęła dłonie na głowie Bo, przyciskając go do siebie, gdy dochodziła, krzycząc i dygocząc. W odpowiedzi jego krew zawrzała. Wyłuskał ją całkiem z koronek i ponownie przyciągnął.

Zakołysała nim, mruczając coś niewyraźnie, i zaczęli się przewracać po łóżku. Jej ręce równie szybko ściągały z niego ubranie. Byli nadzy. Tylko ciała i dusze. Usta Reeny były gorące i głodne, jej ciałem wstrząsały drgawki rozkoszy.

Oplatała go sobą, gdy otwierał opakowanie prezerwatyw, a potem doprowadziła niemal do szaleństwa, kiedy ją wzięła i sama założyła.

Znów na nim usiadła, a on się w nią wpatrywał. Jej skóra, włosy i oczy lśniły złocistym blaskiem świecy.

Wzięła go do środka swojej wilgotnej wspaniałości.

Jeszcze raz jej ciało wygięło się w tył na przyjęcie wstrząsających nim fal rozkoszy. Przepęlniały ją na wskroś skrzącym się jedwabście, gorącym fluidem, aksamitną udreką. Cwałowała, przyjmując go coraz głębiej, olśniewająco piękna, a on w euforii mocno ścisnął jej biodra.

Stając w płomieniach - pomyślała resztką świadomości, gdy rozpałił ją od wewnątrz orgazm. Omdlała w jego ramionach. W głowie jej wirowało; ledwie zdołała zarejestrować umysłem, że obrócił ją i przygwoździł swym ciałem. Był głęboko, wypełniała ją twardość Bowena. Słyszała ciężki oddech kochanka sprzężony z własnym.

Uniosła się, opierając dłonie na jego barkach. Ma intensywnie zielone oczy - pomyślała. Teraz są jak dwa kryształy, lśniące i rozpalone namiętnością.

Wdarł się w Reenę, aż zabrakło jej tchu. Zagłębiał się, a ona wbijała palce w jego ramiona i całym jej odurzonym ciałem wstrząsały drgawki.

Chyba musiała krzyknąć. Słyszała jakieś stłumione jęki, gdy krew uderzyła i zalala ją od środka jak sztormowa fala. Całe ciało prosiło o więcej, brało więcej, nawet gdy rozkosz stała się już niewysłowna.

Czuła, że mięśnie Bo pod jej dłońmi tężeją jak stal. Wybuchając do środka, resztką

świadomości zdała sobie sprawę, że dotarł razem z nią.

Zsuwając ręce bezwładnie z jego ramion, pomyślała w oszołomieniu: samozapalenie.

Leżała pod nim bezwładnie jak trup, jak ktoś, kto poległ w bitwie. Spocona i zmaltretowana. On też się nie ruszał od kilku minut, więc doszła do wniosku, że ta bitwa musiała się zakończyć remisem.

- Czy to telefon? - wymamrotała.

Pozostał tak, jak był, leżąc na Reenie i ukrywając twarz w gęstwinie jej włosów.

- Nie. A co? - zapytał.

- Czekał. - Kilka razy powoli zaczerpnęła powietrza w płuca i spróbowała się skupić. - Boże, to moje uszy. W uszach mi dzwoni. Wow.

- Przestanę cię miażdżyć, jak tylko odzyskam władzę w nogach.

- Nie ma pośpiechu. Wiesz, miałeś rację. Trzynaście lat temu nie byliśmy na to gotowi. Pozabijalibyśmy się nawzajem.

- Nie jestem pewien, czy tego nie zrobiliśmy. Ale w porządku. Mogą nas tak pochować.

- Jeśli jesteśmy zabici, nie będziemy mogli znów się kochać.

- Nieprawda. Jeśli w niebie nie ma dużo dobrego seksu, to co to za niebo?

Czy znałam kiedykolwiek mężczyznę, który by mnie tak łatwo rozweselał? - myślała.

- Sądzę, że za to, co mówisz, możesz wylądować w piekle - stwierdziła.

- A kto wymyślił seks, jak nie Pan Bóg? - Udało mu się unieść na łokciu i popatrzeć na nią. - A to było pioruńsko religijne przeżycie.

- Słyszałam jakiś śpiew, ale nie jestem pewna, czy to chóry anielskie.

- To byłem ja. - Schylił głowę i delikatnie ją pocałował.

Jedli ciasto w łóżku i znów się kochali - z cytrynowym smakiem w ustach i okruszkami na prześcieradle.

Pocałowała go powoli i przeciągle, zanim stoczyła się z łóżka i rozejrzała za ubraniami.

- Idziesz?

- Już prawie druga w nocy. Oboje pracujemy na swoje utrzymanie.

- Możesz spać tutaj. Przecież mieszkasz niedaleko. Pamiętaj, że mam ciasteczka na śniadanie.

- Kuszące. - Wciągnęła spodnie i bluzkę, bieliznę wepchnęła do kieszeni. Była cudownie znużona tym rodzajem zmęczenia, który zdarzał się tylko po dobrym, zdrowym seksie. - Jak myślisz, ile czasu udałoby nam się pospać? Jesteśmy za bardzo na siebie napaleni.

- Chyba nie dałbym rady jeszcze raz - przyznał. - Jestem całkiem zużyty.

Przechyliła głowę, patrząc na jego twarz w blasku świecy.

- Kłamczuch - powiedziała. Roześmiał się.

- Udowodnij to.

Ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Dziękuję za kolację, deser i wszystko pozostałe.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A może jutro wieczorem?

- Jutro? Nie musisz wstawać - zaczęła, widząc, że zsunął nogi z łóżka i sięga po spodnie. - Znam drogę.

- Odprowadzę cię. To jak z jutrzejszą kolacją? U mnie, u ciebie, gdziekolwiek.

- Właściwie mogę dostać dwa bilety na jutrzejszy mecz Orioles. W trzecim rzędzie za ławką rezerwowym. Jeśli to wypali, jesteś zainteresowany?

- Czy deszcz jest mokry? Lubisz baseball? - Wskazał na nią palcem.

- Nie. - Uładziła fryzurę, przeczesując palcami włosy. - Kocham baseball.

- Poważnie? Kto wygrał serię w... dwa tysiące drugim? Na chwilę ściągnęła wargi.

- To był rok Kalifornii. Angels nad Giants i pełne siedem. Zwycięski punkt zdobył Lackey.

- Ach, mój Boże. - Wybałuszając na nią oczy, uderzył pięścią w serce. - Ty naprawdę jesteś Dziewczyną z Marzeń. Wyjdź za mnie, urodź mi dzieci. Ale poczekajmy z tym do jutrzejszego meczu.

- To mi da trochę czasu na kupno białej sukni. Dam ci znać, czy dostanę te bilety.

- Jeśli nie, zacznę coś organizować na następny mecz w domu.

Ujął ją za rękę i zeszli na dół. Wzięła torebkę.

- Bo, nie musisz mnie odprowadzać do sąsiedniego domu.

- Oczywiście, że muszę. Mogą tam być bandyci. Albo kosmici. Nigdy nie wiadomo.

Chwycił swoje klucze, schował do kieszeni i razem wyszli na dwór.

- Widzę, że jesteś romantyczny. I staroświecki.

- Przy tym męski. I z refleksem pantery.

- To się może przydać w starciu z kosmitami.

Zeszli z jego schodków i weszli na jej. Tam pozwoliła mu się całować do utraty tchu.

- Idź do domu - mruknęła.

- Może powinnaś mnie odprowadzić. To ty jesteś policjantką.

- Do domu! - Dała mu małego kuksańca i otworzyła drzwi. - Dobranoc, Goodnight - powiedziała.

Obserwuję ją. Umiem czekać, umiem planować. Nigdy nie myślałem, że to zajmie tyle czasu, ojej, ale czasem coś się tak pieprzy. Zresztą czekanie potęguje efekt. Ta franca się bzyka z sąsiadem. Wygodnie.

Mógłbym go teraz zabić. Pójść, zapukać do drzwi. Otworzy. Będzie myślał, że to ta dziwka. Wsunąłbym mu nóż prosto w bebechy. Niespodzianka!

Lepiej poczekać. I obserwować, jego zalatwisz potem.

Gdy zapłonie miasto.

Zapaliła światło. W sypialni. W swojej sypialni. Założę się, że jest goła. Dotyka się tam, gdzie on jej dotykał. Głupia kurewka.

Będziesz to też miał, o tak, ugryziesz duży kawałek, zanim ją zapalisz.

Światło w oknie zgasło. Poszła spać.

Niech zaśnie. Będzie wtedy więcej zabawy. Nie spiesz się, nic masz nic innego do roboty. Zapal papierosa. Odpręż się.

Wyjmij telefon. Masz przed oczami jej obraz: nagiej, w łóżku. Obudź się, dziwko!

Dzwonek telefonu wyrwał ją ze snu. Najpierw spojrzała na zegar: minęło zaledwie dziesięć minut. Zerknęła na wyświetlacz telefonu i przeszły ją ciarki. Numer lokalny, nieznanym.

- Halo?

- Już prawie czas na niespodziankę.

- Och, na litość boską.

- Gorącą i jasną. Będziesz wiedziała, że to dla ciebie. Jesteś naga, Catarino? Wilgotna?

Gdy nazwał Reenę po imieniu, serce jej zakolało.

- Kto...

Zakłęła, gdy w uchu kliknął jej wyłączany telefon. Ponownie zapisała numer i godzinę.

Z samego rana - pomyślała ponuro - ktoś inny też zostanie obudzony cholernym telefonem.

Wstała z łóżka, wyjęła pistolet i go odbezpieczyła. Sprawdziła drzwi i okna. Potem wyciągnęła się na sofie w salonie z bronią na stoliku obok i próbowała zasnąć.

- Oba komórkowe. - Reena razem z O'Donnellem meldowała kapitanowi o telefonach.

- Każdy zarejestrowany na kogo innego, ale oba to miejskie numery z Baltimore.

- Zwrócił się do ciebie po imieniu?

- W drugiej rozmowie tak.

- Nie rozpoznałaś głosu?

- Nie, panie kapitanie. Mógł go zmienić. Brzmi miękko i trochę chrapliwie. Ale nic mi nie przypomina. Za pierwszym razem myślałam, że to jakiś kretyn bawi się w telefony. Ale to było do mnie.

- Sprawdź to.

- Głupio się czuję, tak cię ciągnąc - odezwała się Reena do partnera, gdy szli do samochodu. - Coś takiego mogłabym sama załatwić.

- Facet groził ci przez telefon...

- Nieprawda.

- W podtekście - rzekł O'Donnell i nadał się odrobinę, gdy go uprzedziła, siadając za kierownicą. - Sugeruje zagrożenie, i to wobec policjantki, używa jej imienia. To oficjalna sprawa.

- Wiele osób zna moje imię. Wygląda na to, że jeden z nich to jakiś dziwak i zboczeniec. - Wyjechała z parkingu. - Bliżej jest adres służbowy właściciela drugiego numeru. Telefon zarejestrowano na nazwisko Abigail Parsons.

Abigail Parsons uczyła w piątej klasie. Była sześćdziesięcioletnią kobietą o obfitych kształtach, w jasnoniebieskiej sukience i trzewikach.

Zdaniem Reeny wyglądała na lekko przestraszona wywołaniem jej z klasy przez policję.

- Moja komórka?

- Tak, proszę pani. Ma pani swoją komórkę?

- Oczywiście. - Otworzyła torebkę wielkości stanu Rhode Island i z jej pedantycznie uporządkowanego wnętrza wyjęła małą nokię. - Jest wyłączona. Nie włączam jej podczas lekcji, ale mam przy sobie. O co chodzi? Nie rozumiem.

- Czy jeszcze ktoś ma do niej dostęp?

- Nikt. Jest moja.

- Pani Parsons, czy pani mieszka sama? - zapytał O'Donnell.

- Od czasu, gdy dwa lata temu zmarł mój mąż.

- Kiedy ostatni raz jej pani używała?

- Wczoraj. Dzwoniłam do córki po wyjściu ze szkoły. Miałam tam iść na kolację, więc chciałam się upewnić, czy nie trzeba czegoś kupić. Co się stało?

Drugi numer zaprowadził ich do fitness klubu, gdzie właścicielka telefonu prowadziła zajęcia z aerobiku. Przerwała i wyjęła telefon komórkowy z torebki schowanej w służbowej szafce. Była to energiczna dwudziestodwulatka. Oświadczyła, że wróciła do domu w nocy po wieczorze spędzonym na mieście. Nikt jej nie odprowadzał. Mieszkała sama.

W pamięci żadnego z tych telefonów nie było połączenia wychodzącego na numer Reeny.

- Sklonował je - powiedział O'Donnell, gdy wyszli z powrotem na zewnątrz.

- Taaak, i to jest dziwne. Kto, kogo znam, zadaje sobie trud i poświęca tyle czasu na sklonowanie numerów telefonów po to, żeby mnie budzić w środku nocy?

- Lepiej zapytaj, kto ciebie zna. Możemy przejrzeć niektóre stare sprawy, a nuż coś zwróci naszą uwagę.

- Niespodzianka dla mnie - przypomniała na głos. - Gorąca i jasna. Podtekst seksualny.

- Dawny chłopak? Nowy chłopak?

- Nie wiem - Otworzyła drzwiczki samochodu. - Ale udało mu się zwrócić na siebie uwagę.

Odłożyła sprawę, lecz przez cały dzień chodziła podenerwowana. Kto by klonował dwa telefony, żeby ją niepokoić? Może nie było to takie trudne, jeśli się miało odpowiedni sprzęt i wiedziało, jak. A dowiedzieć się jest łatwo.

Wymagało to jednak jakiegoś celowego, zaplanowanego działania.

Wiedziała, że chodzi o nią. Czy aby na pewno? Reena oparła się o tył krzesła przy biurku i zamknęła oczy. Gorąca, jasna niespodzianka.

Osobista czy zawodowa?

Większą część popołudnia spędziła w sądzie, gdzie najpierw czekała, a potem zeznawała w sprawie podpalenia dla zemsty z jedną ofiarą śmiertelną. Od znajomego w biurze Wydziału Podpaleń dostała bilety na mecz i wróciła na posterunek. Po plecach chodziły jej ciarki.

Jeśli znał jej nazwisko, mógł ją śledzić. Czuli się obserwowana. Szła teraz znajomą ulicą, wystawiona na atak i bezbronna.

Jeśli znów zadzwoni, postara się przytrzymać go przy telefonie. Już przygotowała magnetofon. Będzie podtrzymywała rozmowę i pracowała nad nim. Wyciągnie z niego coś, co jej da jakąś wskazówkę.

No i zobaczymy, kto będzie miał niespodziankę.

Wyjęła swój telefon i zadzwoniła na komórkę do Bo. Awansował do poziomu poważnych związków. Jego numer miała zaprogramowany.

- Hej Blondyneczko!

Szła dalej, śpiewając mu: „Zabierz mnie na mecz. Zabierz mnie, gdzie te tłumy”.

- Ja kupuję orzeszki i popcorn karmelowy - oznajmił. - O której możesz wyjść?

- Jeśli nic się nie wydarzy - lepiej stukajmy długo w niemalowane drewno - o szóstej trzydzieści.

- Będę gotowy. Co robisz teraz?

- Idę ulicą. Piękny dzień. Właśnie skończyłam zeznawać w sądzie i myślę, że mam swój udział w odizolowaniu pewnego zabójcy na dwadzieścia pięć lat.

- Ooo, ja tylko wiem gzyms. Nie tak fascynujące.

- Zeznawałeś kiedyś w sądzie?

- Byłem zwolniony z zeznawania. Zaśmiała się.

- To nieciekawe. Już się szykuję na ten popcorn.

- W środku będzie niespodzianka. Reena? - dodał, gdy nie zareagowała.

- Tak, w porządku. Przepraszam. - Rozluźniła napięte ramiona. - Do zobaczenia później, dobrze?

Zamknęła wieczko komórki, zatrzymała się przed komisariatem, po czym dokładnie zlustrowała wzrokiem przechodniów i samochody.

Gdy telefon w jej dłoni zadzwonił, podskoczyła i zaklęła. Zerknęła na wyświetlacz i odetchnęła z ulgą.

- Cześć, mamó. Nie, jeszcze go nie pytałam o niedzielę. Zrobię to.

Odwróciła się i weszła do środka, słuchając głosu matki.

Na parkingu w Camden Yards panował straszny chaos. Gdy patrzyła na miotające się wokół samochody, odczuwała zadowolenie, że mieszka tak blisko boiska baseballowego i może tam dojść na piechotę.

Uwielbiała te tłumy, hałas, korki samochodowe i karnawałowy nastrój ludzi zmierzających na duży, piękny stadion. Kochała je prawie tak samo jak same mecze.

Włożyła najwygodniejsze dzinsy, gładki biały T - shirt wsunięty w spodnie i czarną czapkę baseballową z jasną naszywką przedstawiającą symbol klubu - wilgę.

Patrzyła na dzieci w wózkach lub drepczące u boku rodziców. Pamiętała, jak sama tu przychodziła w dzieciństwie. Tylko że wtedy był w tym miejscu stary Stadion Pamięci.

Już czuła zapach hot dogów i piwa.

Gdy znaleźli się za obrotowym wejściem, Bo objął ją ramieniem. Był ubrany podobnie jak ona, tylko koszulkę włożył bladoniebieską.

- Co powiesz na temat barbecue od Boogsa?

- Ostre jak jego gra w swoim czasie.

- Świetnie, chcesz tam najpierw uderzyć?

- No, a jak myślisz? Musimy się dożywić. Na meczu zawsze mam wilczy apetyt.

Szli przez tłum, rozpychając się i zonglując jedzeniem. Walczyła z chęcią patrzenia za siebie, sprawdzania każdej twarzy w ciżbie. Tu łatwo się zlać z tłumem - myślała - i kogoś śledzić. Wystarczy zdobyć byle jaki bilet.

Myśli te sprawiały, że czuła się obserwowana. Starła się jednak, jak mogła, nie poddać temu wrażeniu. Nie pozwoli, żeby taka przykra sprawa zepsuła im wieczór.

Gdy zaczęli podchodzić rampą do swojej bramki, Reena głęboko wciągnęła powietrze i zatrzymała je na chwilę.

- Bardzo to lubię. Ten widok na boisko, jego zieleń i brąz pola bazowego, białe torby, wznoszące się trybuny. I te dźwięki, te zapachy.

- Reeno, bo i mnie łezka kręci się w oku.

Uśmiechnęła się. Na górze zatrzymała się jeszcze na moment i chłonęła wszystko wzrokiem. Płynęły ku niej odgłosy stadionu: ludzie rozmawiali, sprzedawcy zachwalali towar, grała muzyka. Nagle wszystkie jej kłopoty, wredne telefony, godziny spędzone w sądzie i wściekłe wysoki rachunek, który dostała dziś pocztą - rozplynęły się jak mgła w promieniach słońca.

- W baseballu tkwi odpowiedź na wszystkie pytania we wszechświecie - powiedziała.

- Święte słowa.

Odnaleźli swoje miejsca i położyli jedzenie na kolanach.

- Pierwszy mecz, jaki pamiętam... - zaczęła, odgryzając wielki kawał kanapki z pieczonym mięsem. - ...Miałam chyba sześć lat. Nie mogę sobie przypomnieć gry, to znaczy: statystyki. - Przełknęła, patrząc na boisko. - Pamiętam natomiast swoje odczucia zmysłowe. Na przykład ruch na boisku. Typowe odgłosy. To był początek mojego romansu z baseballlem.

- Ja na meczu pierwszoligowym byłem dopiero w szkole średniej. Jeśli chodzi o odczucia zmysłowe, czerpałem je wyłącznie ze sprawozdań telewizyjnych. TV wszystko zmniejsza, odbiera część ducha.

- No, na ten temat porozmawiasz sobie z moim ojcem. Zapraszają cię w niedzielę na kolację. Jeśli, oczywiście, masz czas.

- Naprawdę? - Na jego twarzy pojawiło się miłe zaskoczenie.

- Czy to rodzaj inicjacji? Będzie test?

- Może być. - Odwróciła głowę. - Jesteś na to gotów?

- Zawsze byłem z tego dobry.

Jedli i patrzyli, jak wypełniają się trybuny w błędnym świetle wiosennego wieczora. Zgotowali owację wchodzącym na boisko Orioles i wstali do hymnu.

Przez trzy pierwsze rozgrywki oboje popijali piwo.

Podobało mu się, jak krzyczała, klaskała, gwizdała i klęła. Reena nie wyrażała aplauzu jak dama. Szarpała włosy, kuksała go w bok, wymieniała poglądy z facetem siedzącym obok niej z drugiej strony na temat inklinacji seksualnych sędziego trzeciej bazy, gdy ten wykluczył ich bazowego podczas biegu.

Zgodzili się, że jest ślepym złamasem.

W siódmej rozgrywce jadła batonika Dove (nie miał pojęcia, gdzie to mogła pomieścić) i omal nie umazała Bo kremem, podskakując do góry na dźwięk uderzenia kija i śledząc lot długiej piłki.

- No, i o to nam właśnie chodziło! - krzyknęła, wyskoczyła z radości ze swojego miejsca i usiadła z powrotem. - Chcesz kawałek?

- Już mam dosyć.

Odwróciła się do niego z promiennym uśmiechem.

- Uwielbiam baseball.

- To widać.

Przeegrali jeden trudny bieg, a ona obarczyła za to winą sędziego.

Nie był pewien, czy zdobyłby sobie jej przychylność, gdyby powiedział, że nigdy jeszcze tak go nie zachwyił przegrany mecz. Z radością przystałby na porażki swoich ukochanych Birds przez cały sezon, gdyby mógł patrzeć, jak ona się cieszy każdym meczem.

Gdy wyszli ze stadionu, przycisnęła Bo do drzewa i chwyciła wargami jego usta.

- Wiesz, co jeszcze lubię w baseballu?

- Mam szczerą nadzieję, że mi powiesz.

- Rozgrzewa mnie. - Musnęła mu ucho, poczuł na nim jej oddech, - Może pójdziemy do mnie?

Wzięła go za rękę i weszli na chodnik. Podążali w tłumie najkrótszą drogą do domu.

Zanim otworzyła drzwi domu, był już tak podniecony, że zatrzęsął je za ukochaną, odwrócił ją i przycisnął do nich.

Opuściła z ramienia na ziemię torbę i ściągnęła mu koszulę przez głowę. Lekko ugryzła go w bark.

- Od razu tutaj, tutaj. - Już rozpinęła guziki jego spodni.

Nie zdążył pomyśleć ani jej powstrzymać. Dźwięk uderzania pośladków Reeny o drewniane drzwi, gdy się w nią wbijał, był niesamowicie podniecający.

Wszystko odbyło się gwałtownie, szybko i nadzwyczajnie. Gdy oboje wszystko z siebie wyrzucili, osunęli się bezwładnie na podłogę.

- Jezusie! Jezu Chryste! - Patrzył w sufit jej domu, sapiąc jak lokomotywa. - To co będzie, jeśli wygrają?

Roześmiała się tak donośnie, że ścisnął dłońmi jej żebra. Jakoś zdołała się przeturlać na górę.

- Cholera, Bo. Cholera. Może ty jesteś doskonały.

Zdażyła już z powrotem wciągnąć dzinsy, gdy zadzwonił telefon. Kiedy podnosiła słuchawkę, w głowie jej jeszcze huczało.

- Niespodzianka.

Skarciła się w myślach za własne partactwo. Nie sprawdziła numeru, nie włączyła magnetofonu. Szybko to naprawiła.

- Cześć. Czekałam na twój telefon. - Uniosła rękę, pokazując Bo, żeby zachował ciszę.

- Brendan Avenue. Zobaczysz to.

- Czy tam jesteś? Tam mieszkasz? - Sprawdziła godzinę. Wcześniej jak na niego. Nie ma jeszcze północy.

- Zobaczysz. Lepiej się pospiesz.

- Cholera! - zaklęła cicho, odkładając słuchawkę. - Muszę iść.

- Kto to był?

- Nie wiem. - Pobiegnęła do szafki, gdzie trzymała bron na najwyższej półce. - Jakiś kretyn do mnie wydzwania. Tajemnicze, erotyczne teksty - ciągnęła, przypinając kaburę. - Prawdopodobnie sklonował numer komórki.

- Ej, czekaj. Dokąd idziesz?

- Powiedział, że ma coś dla mnie na Brendan Avenue. Idę sprawdzić.

- Idę z tobą.

- Nie idziesz. - Zrzuciła kurtkę, żeby zasłonić broń. Bo spokojnie wyszedł za nią przed dom.

- Nie pójdziesz tam sama sprawdzać jakiegoś podejrzanego typu. Nie chcesz, żebym poszedł z tobą, dobrze. To wezwij swojego partnera.

- Nie będę budziła O'Donnella z powodu takiego głupstwa.

- OK. - Mówił tonem całkowicie spokojnym i nieprzejednanym. - Chcesz, żebym prowadził?

- Bo, chcę, żebyś mi nie przeszkadzał. Nie mam na to czasu.

- To wezwij O'Donnella lub ten, no... jak mu tam? Radiowóz. Albo jadę z tobą. A jeśli nie, to przykro mi, ale zostajesz w domu.

Złość ścisnęła jej gardło, aż się skrzywiła.

- To moja praca. Tylko dlatego, że z tobą spałam...

- Nie idź tam! - Nagła ostrość jego głosu i zimne oczy spowodowały, że ujrzała go w innym świetle. - Wiem, jaką masz pracę, Catarino. Ale nie polega ona na chodzeniu w pojedynkę, dlatego że zaczepia cię jakiś dziwak. No więc jak?

Rozchyliła poły kurtki.

- Widzisz to? Spojrzał na pistolet.

- Trudno nie dostrzec. No więc jak? - powtórzył.

- Do cholery, Bo, odsuń się. Nie chciałabym zrobić ci krzywdy.

- To samo dotyczy ciebie. Możesz mnie obezwładnić. Mam nadzieję, że nie będzie odwrotnie. Ale nawet jeśli to zrobisz, i tak podniosę biedny, poniżony tyłek, wsiądę w swój samochód i pojedę za tobą. Tak czy inaczej nie pojedziesz sama. Jeśli to jakieś twoje problemy z ego, odłóż je na później. Marnujesz czas.

Rzadko kiedy klęła po włosku. Miała to zarezerwowane na chwile, gdy była maksymalnie wkurzona. Teraz wyrzuciła z siebie stek ordynarnych przekleństw, a on stał spokojnie, patrząc na nią.

- Ja prowadzę - warknęła i dodała stłumionym głosem, gdy otwierał drzwiczki: - Nic nie rozumiesz. Żaden z was nigdy nie rozumie.

- Żadna z was nie jest w tym gatunku samcem - zauważył, gdy omijała go łukiem.

- Mam wzywać mojego partnera mężczyznę do tak bagatelnej sprawy, dlatego że jestem kobietą?

- Nie sądzę. - Usiadł na miejscu obok kierowcy i poczekał, aż ona zamaszystym krokiem obejdzie samochód. - To znaczy, bez wątpienia, jesteś kobietą, ale wydaje mi się, że zwykły zdrowy rozsądek nakazuje nie ścigać kogoś w pojedynkę.

- Umiem sobie poradzić.

- Z pewnością. Ale nie będziesz mi tego udowadniać, podejmując niepotrzebne ryzyko.

Rzuciła mu tylko piorunujące spojrzenie i z piskiem zjechała z krawężnika.

- Nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić - rzuciła gniewnie.

- Kto lubi? A więc ile razy ten facet do ciebie dzwonił? Co mówił?

Stukała palcami o kierownicę, walcząc ze złością.

- Trzeci raz. Ma dla mnie niespodziankę. Za pierwszym razem świntuszył. Za drugim zwrócił się do mnie po imieniu, więc go sprawdziłam. Dzwonił z telefonów komórkowych, najwyraźniej klonów.

- Jeśli zna twoje imię, to osobista sprawa.

- Możliwe.

- Niech to szlag! - Teraz już nie był taki spokojny. - Wiesz, że to osobiste, i to jeden z powodów twojej wściekłości.

- Przeszkadzałeś mi.

- Taaak. Poczekała chwilkę.

- W mojej rodzinie wrzeszczymy, gdy się kłócimy - oznajmiła.

- Ja wolę strategię okopywania się i posuwania do przodu. - Odwrócił się, patrząc na nią chłodno i przeciągle. - No i kto wygrał?

- Tym razem - odparowała.

Gdy dojechała do Brendan Avenue, zwolniła i szukała wzrokiem. „Zobaczysz. Lepiej się pospiesz” - przypomniała sobie jego głos.

A kiedy zobaczyła, serce skoczyło jej do gardła.

- Cholera, cholera. - Chwyciła telefon i wybrała 911. - Tu detektyw Catarina Hale, numer odznaki 45391. Melduję pożar budynku. 2800 Brendan Avenue. Szkoła podstawowa przy Kaplicy Małego Kwiatka. Na oko ogień się całkiem rozprzestrzenił. Zawiadomić straż i policję. Możliwe podpalenie.

Zjechała na chodnik.

- Zostań w samochodzie - poleciała Bo i złapała reflektor. Wskoczyła i połączyła się błyskawicznie z O'Donnellem. - Budynek w ogniu - powiedziała bez wstępów, podała adres i pospieszyła w stronę pożaru. - Zadzwoił i powiedział mi o tym. Jestem na miejscu. Mówiłam ci, żebyś został w samochodzie! - rzuciła ostro Bo.

- Oczywiście moja odpowiedź brzmi: nie. Czy tam w środku są ludzie?

- Nie powinno być nikogo, ale nigdy nie wiadomo. - Wsunęła telefon do kieszeni i

wyjęła broń, posuwając się w kierunku szerokich drzwi na parterze.

Wiadomość napisana była na nich błyszczącym, krwawoczerwonym sprayem.

NIESPODZIANKA!

- To sukinsyn. Bo, zostań z tyłu za mną. Mówię serio. Nie myśl kuśką. Pamiętaj, kto ma pistolet. - Doszła do drzwi, pociągnęła i odsunęła się. - Zamknięte.

Zastanowiła się. Mogła go zostawić tutaj, na samym widoku, albo zabrać ze sobą i razem z nim obejść budynek.

- Trzymaj się blisko - poleciła. Po chwili usłyszeli pierwsze syreny. Zobaczyła rozbite okno. Ujrzała, jak ogień sunie przez klasę, pożerając ławki, pełzając po ścianach i wydostając się na korytarz.

- Nie wchodzisz do środka.

Pokręciła głową, Nie, bez sprzętu nie. Ale widziała, że źródło zapłonu było właśnie tam. Założono lonty, być może ze zgniecionego papieru woskowanego, wychodzące na korytarz i dalej do innych klas. Czowała zapach benzyny i widziała jej strumienie lśniące jeszcze na podłodze.

Czy on to obserwował?

Odeszła do tyłu, aby obejrzeć sąsiednie budynki, i poczuła, że coś zgniata stopą. Poświeciła latarką i kucnęła.

Palce swędziały Reenę, ale nie dotknęła pudełka drewnianych zapalek, które zobaczyła. Serce skoczyło jej do gardła, gdy w świetle reflektora zobaczyła znajome logo Sirico's.

- Mam do ciebie prośbę. W bagażniku samochodu jest mój zestaw sprzętu. W środku są torby na dowody. Przynieś jedną.

- Ale nie wchodzisz do środka - powtórzył.

- Nie, nie wchodzę.

Została tam, gdzie była, myśląc o zapalkach. Potem uniosła wzrok i rozejrzała się po okolicy. No dobrze, więc ją zna i chce się upewnić, że ona to rozumie.

Czy jest tu gdzieś w pobliżu i przygląda się pożarowi?

Z domów powychodzili ludzie, zatrzymywały się auta. Słychać było podekscytowane głosy, a zagłuszał je dźwięk syren w oddali.

Gdy Bo przyniósł torbę, włożyła do niej pudełko zapalek i zapieczętowała.

- Zaczekamy. - Szybko wyszła przed budynek, zawiesiła swoją odznakę na pasku w talii i zaczęła komenderować zebrаныmi gapiami, każąc im się odsunąć.

- Co mogę zrobić? - zapytał Bo.

- Trzymaj się z daleka - zaczęła, chowając torbę z dowodem rzeczowym w samochodzie. - Będę musiała się zameldować u dowódcy jednostki, która tu przyjedzie. Ty masz dobre oko. Uważaj na gapiów. Powiesz mi, jeśli dostrzeżesz coś podejrzanego, jeżeli zauważysz kogoś, kto jest szczególnie zainteresowany zarówno mną, jak i pożarem. To będzie dorosły mężczyzna. Sam. Możesz to zrobić?

- Oczywiście.

Nigdy jeszcze nie oglądał gaszenia pożaru, tylko w filmach. Wszystko działo się tak szybko, było tyle kolorów, dźwięków i ruchu. Jak jakaś przedziwna impreza sportowa - myślał, gdy podjeżdżały wozy i strażacy przystępowali do akcji.

Przypomniał sobie oglądany tego wieczoru mecz. Ten sam rodzaj intensywnej i skupionej pracy zespołu. Tylko zamiast kijów i piłek były węże i toporki, butle tlenowe i maski.

To byli ci, którzy biegli do ognia, podczas gdy reszta świata od niego uciekała. Ich hełmy lśniły w blasku reflektorów, gdy szli w stronę dymu i żaru.

Patrzył, jak strażacy w kombinezonach wyważyli drzwi i weszli do środka, a ich koledzy polewali budynek wielkimi fontannami wody z sikawek.

Policja szybko ustawiła barierki, żeby utrzymać z dala tłum ciekawskich. Tak jak Reena prosiła, obserwował twarze, próbując wypatrzeć typa, którego poszukiwała. Widział płomienie odbijające się w szeroko otwartych, wylęknionych oczach, skórę twarzy połyskującą czerwonożółtą poświatą, i wyobrażał sobie, że sam wygląda bardzo podobnie. Stali w parach lub pojedynczo, były rodziny z dziećmi na rękach, w nocnych strojach i boso. Pojawili się też ludzie całkowicie ubrani, którzy wysiedli z samochodów zatrzymanych na ulicy wskutek blokady.

Bezpłatne widowisko - pomyślał i spojrzał ponownie na budynek. I to widowisko nie z tej ziemi.

Płomienie wystrzeliwały z dachu wielkimi pióropuszcami, lśniąć złościście na tle kłębow gęstego dymu, który piekł go w oczy. W powietrzu tańczyły drobiny popiołów. Gejzery spienionej wody spadały z bryzgiem i chłostały budynek z taką siłą, że dziwił się, jak to wytrzyma jego konstrukcja.

Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i spojrzał w górę. Eksplozja wyrzuciła przez okno deszcz szklanych odłamków. Ktoś w tłumie krzyknął.

Nawet tam, gdzie stał, odczuwał napór gorąca. Jak oni to wytrzymują - dziwił się. Tę potworną siłę, oślepiający żar ognia i duszący gardło dym.

Drabiny uniosły się w górę, na nich strażacy uwieszeni niczym flagi. Potężne węże

wypluwały z siebie wciąż więcej i więcej wody.

Przez tłum przedarł się mężczyzna. Bo wysunął się do przodu, gotów do działania, choć nie był pewien, jak. Zaraz jednak spostrzegł błyszczącą odznakę, a policjanci i strażacy kiwnęli potakująco głowami. Duży, barczysty facet o szerokich biodrach i irlandzkiej twarzy ze srogim wejrzaniem. Podeszedł wprost do Reeny.

O'Donnell - domyślił się Bo i nieco odprężył.

I może by w takim stanie pozostał, ale zobaczył, że ten mężczyzna pomaga Reenie wkładać kombinezon. Przepchnął się przez tłum i już miał przeskoczyć przez barierkę, ale powstrzymali go policjanci mundurowi.

- Reeno! Do jasnej cholery!

Spojrzała w jego stronę, zmagając się z butlami tlenowymi. Dostrzegł na jej twarzy cień rozdrażnienia, lecz powiedziała coś do swego partnera. Ten odszedł od niej i podeszedł do barierki.

- On jest z nami - powiedział szybko. - Goodnight? Jestem O'Donnell.

- Tak? Dobrze. Co ona robi, do diabła? Co wy, do diabła, robicie? - dopytywał się, patrząc na Reenę z oczami zwięzonymi przed gęstym dymem.

- Idziemy do środka. Jestem przeszkolona. - Poprawiła sobie hełm.

- Niezła połykaczka ognia jak na glinę - skomentował jeden ze strażaków, a ona posłała mu uśmiech.

- Miodowe usta. Później ci wszystko wyjaśnię. Muszę iść.

Zanim Bo zdążył znów zaprotestować, O'Donnell klepnął go w ramię.

- Wie, co robi - oznajmił, wskazując brodą na Reenę idącą z dwójką strażaków w stronę budynku. - Ma do tego kwalifikacje.

- Tak samo ma je tych kilkunastu facetów, którzy już są w środku. Po co tam jeszcze ona?

- Bo może to być podpalenie. - Przetoczyła się przez nich chmura dymu i O'Donnell zakasłał. Pociągnął Bo w inne miejsce. - Akcja gaśnicza może spowodować zniszczenie tych wszystkich cholernych dowodów. Jak wejdzie teraz, będzie jeszcze miała szansę zobaczyć coś ciekawego. Ktoś to podpalił, prowadząc jakieś gierki przeciwko niej. Ona tego nie popuści. Z tymi facetami już pracowała. Wierz mi, nie pozwolą jej wejść, jeśli uznają, że nie da sobie rady.

- Nie wystarczy jej być gliną? - mruknął Bo, a O'Donnell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Być gliną to już dużo, ale ona jest gliną od pożarów. Kimś pomiędzy. Więcej wie o

tym sukinsynie niż ktokolwiek, z kim pracowałem. O ogniu - dodał, widząc zaskoczenie w oczach Bo. - Ta dziewczyna zna się na pożarach. A teraz powiedz mi, co ty wiesz.

- Nic. Byliśmy na meczu, wróciliśmy do niej. Ktoś zadzwonił.

Bo nie spuszczał teraz oczu z budynku. Do diabła z obserwowaniem tłumu! Z sercem podchodzącym do gardła usiłował zobaczyć, czy Reena już wychodzi z powrotem.

- Co nieco wiem. Jakiś facet dzwonił do niej trzy razy, użył jej imienia. Sklonował numery komórek. Tym razem powiedział, że ma coś dla niej tutaj. Gdy przyjechaliśmy, już się paliło.

- Jak ci się udało z nią przyjechać?

Na chwilę przeniósł wzrok z powrotem na O'Donnella. W przeciwnym wypadku musiałaby mnie zastrzelić, więc myślę, że nie chciała tracić czasu.

Tym razem O'Donnell się roześmiał i klepnął go przyjacielsko w ramię.

- Powiedziała panu, że napisał na drzwiach wejściowych: „niespodzianka”?

- Tak, wszystko mi zrelacjonowała. - Niedbałym ruchem wyjął z kieszeni paczkę gumy i poczęstował Bo. - Nic jej nie będzie - zapewnił i sam wziął do ust dwie drażetki. - Powiedz, od jak dawna chadzasz na mecze z moją partnerką.

Wewnątrz budynku Reena szła przez gęstą zasłonę dymu. Słyszała własny oddech, syk tlenu z butli i trzask nieugaszonych nadal płomieni.

Trwało jeszcze poszukiwanie ofiar, ale do tej pory - dzięki Bogu - nie znaleziono nikogo.

Łatwa robota dla niego - myślała, przedzierając się przez dym. Dużo czasu, żeby zaplanować i podpalić ten obiekt. Z drugiej strony to, co widziała, było zwykłą amatorszczyzną. Można by przypuszczać, że zrobiły to dzieci albo przypadkowy podpalacz.

Ale to tylko pierwsze wrażenie. Była tego pewna, choć użył prostych materiałów, jak benzyna i papier woskowany.

Znajdzie coś więcej.

Ogień schodził w dół po schodach, rozdzielając się na kilka części wskutek użytej benzyny i lontów. Dom spłonąłby jak pochodnia, gdyby nie telefon, który ją tu ściągnął.

A więc nie chodziło mu o zniszczenie tego budynku.

Pierwsze piętro stało w ogniu. Temperatura była tam wyższa, a dym jeszcze bardziej gęsty. Nie miała wątpliwości, że znajdzie kolejne źródło zapłonu. Widziała sylwetki mężczyzn poruszających się w obłokach dymu jak bezcielesne duchy.

Zauważyła pozostałości lontów. Podniosła zwęglone resztki opakowania po zapalkach, włożyła je do torby i zaznaczyła miejsce znalezienia.

- Wszystko w porządku, asie? - zapytał Steve. W odpowiedzi uniosła kciuk do góry.

- Wypalenia na wschodniej ścianie? Myślę, że to drugie źródło zapłonu. - Ich głosy brzmiały nienaturalnie i metalicznie. - Tutaj ogień wessał się w sufit. - Pokazała w górę. - Tam cofnął się w dół. Jego już tu dawno nie było.

Posuwali się razem, zabezpieczając dowody, zapisując. Próbowali dotrzeć do wciąż żywego serca pożaru.

Ogień lizał ściany, a strażacy heroicznie z nim walczyli. Tańczył nad głową po wypalonym suficie z chrapliwym rykiem, przy którym zawsze przechodziły ją ciarki.

Był wspaniały - przerażająco wspaniały. Kusił blaskiem i gorącem, swoim magicznym płasaniem. Musiała pokonać zarówno instynktowny lęk, jak i wewnętrzną fascynację, żeby skupić się na paliwie i sposobie podpalenia, na pozostawionych śladach.

Tutaj jeszcze bardziej czuć było zapach benzyny przebijający przez ostrą woń dymu i ciężki odór błota. Mężczyźni walczący ze strzelającymi w górę serpentynami płomieni mieli osmalone twarze. W ich oczach dostrzegła ogromną koncentrację. Z zewnątrz przez wybite okna płynęły strumienie wody wypływanej przez węże.

Kolejna część dachu zawaliła się z euforycznym wstrząsem, dając ujście ogniowi i żywiąc go powietrzem, aż buchnął gwałtownie do góry.

Skoczyła naprzód pomóc przy wężu. Przyszła jej na myśl tresura potężnych i groźnych lwów za pomocą pejcza i krzesła.

Jej mięśnie były napięte z wysiłku od czubka głowy do stóp.

Znalazła miejsce, gdzie ściana została zrąbana aż do konstrukcji, a przez błotnistą powłokę przebijał zwęglony wzór.

On to zrobił - pomyślała. Pierwotne źródło zapłonu.

I zrozumiała, z drżącymi rękami patrząc na powoli dogasający ogień, że nie zrobił tego po raz pierwszy.

Gdy zobaczył, że wychodzi, poczuł dziką ulgę, jakby wszystko w nim nagle puściło. Pomimo kombinezonu i wysokiego wzrostu rozpoznał ją natychmiast, gdy wyłoniła się z dymu.

Choć O'Donnell zdawał się całkiem na luzie i wbrew temu, co mówił, Bo usłyszał, jak wzdycha z ulgą, gdy Reena opuściła wreszcie strefę dymu, błota i gruzu.

Twarz miała czarną od sadzy. Gdy zdjęła z siebie butlę z tlenem, z ubrania ochronnego posypał się popiół.

- Oto i nasza dziewczyna - powiedział lekkim tonem O'Donnell. - Zaczekaj tutaj, kolego. Zaraz ci ją przyślę.

Zdjęła hełm, spod którego wysypały się spirale ciemnozłotych włosów, po czym pochyliła się, opierając dłonie na kolanach, i splunęła na ziemię.

Została tak, podnosząc tylko głowę na widok O'Donnella. Potem wyprostowała się, odsunęła sanitariusza i rozpinając kurtkę, ruszyła w stronę Bo.

- Muszę zostać. Potem jeszcze raz wejdę do środka. Poproszę kogoś, żeby cię odwiózł do domu.

- Z tobą wszystko OK?

- Tak. Tam też nie jest aż tak źle. Mógł zrobić coś znacznie gorszego. Nie ma ofiar w ludziach, budynek był pusty, akurat wakacje. To było tylko na pokaz.

- Zostawił te zapalki z waszej pizzerii. Więc ten pokaz był dla ciebie.

- Trudno zaprzeczyć. - Popatrzyła na dwóch mokrych i osmalonych sadzą strażaków, zapalających papierosy. - Zauważyłeś kogoś podejrzanego?

- Raczej nie. Muszę przyznać, że gdy weszłaś do środka, nie bardzo się rozglądałem. Całą uwagę skupiłem na modlitwie.

Uśmiechnęła się z lekka, a potem uniosła brwi, gdy zaczął jej ścierać kciukiem sadzę z policzka.

- Nie wyglądam najlepiej - stwierdziła.

- Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak wyglądasz. Wystraszyłaś mnie na amen. Wyjaśnimy sobie wątpliwości, jak będziesz miała więcej czasu. - Włożył ręce do kieszeni. - Myślę, że mamy sobie nawzajem wiele do powiedzenia, ale wolałbym robić to bez świadków.

Obejrzała się przez ramię. Strażacy już dogaszali pożar, najgorsze mieli za sobą.

- Załatwię ci transport. Słuchaj, przykro mi, że to tak wyszło.

- Mnie też.

Odeszła poszukać kogoś, kto go odwiezie do domu. Pomyślała też, że wypalenie budynku to nie jedyne szkody, jakie wyrządził pożar. Jeśli źle nie odczytała tego, w jaki sposób Bo odsunął się od niej, obrócił on w popiół także ich rozkwitający związek.

Wyjęła z samochodu swój zestaw polowy i butelkę wody. Podszedł do niej Steve.

- Więc to ten facet, o którym mówiła mi Gina? To z nim się spotykasz?

- Spotykałam się. Myślę, iż właśnie doszedł do wniosku, że cały ten korowód z gliną, podpalaniem i pożarami w środku nocy to dla niego zbyt wiele.

- Jego strata, złotko.

- Możliwe. Niewykluczone jednak, że to dla niego ocalenie. Jestem przekleństwem dla mężczyzn, Steve.

Zamknęła bagażnik. Samochód był zasypany warstwą popiołu. Ona sama

niewątpliwie cuchnęła. Oparła się o wóz, otworzyła butelkę i pociągnęła duży łyk, żeby przepłukać gardło.

Podawała wodę Steve'owi i czekała. Po chwili dołączył do nich O'Donnell.

- Za kilka minut zwolnią nam teren i wejdziemy. Co masz?

Reena wyjęła z podręcznego zestawu mały magnetofon, żeby od razu sobie nagrać.

- Telefon od nieznanego osobnika do miejsca zamieszkania o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć - zaczęła, a następnie punkt po punkcie zrelacjonowała wszystkie wydarzenia, własne spostrzeżenia i dotąd zebrane dowody.

Wyłączyła magnetofon i schowała z powrotem.

- Moja opinia? - ciągnęła dalej. - Zrobił to tak, żeby wyglądało na proste i prymitywne. Ale zadał sobie trud zrobienia otworu w ścianie na piętrze i podłożenia ognia w taki sposób, żeby rozszedł się i do środka, i na zewnątrz. Kiedy przyjechałam, było tam już wybite okno. Może to jego sprawka, może nie, ale dzięki wentylacji ogień się rozprzestrzenił. Zastosował podstawowe materiały: benzynę, papierowe lonty i zapalki. Podstawowe, to znaczy takie, które w odpowiednich warunkach dają doskonały rezultat. Nie wygląda to na profesjonalizm, ale pachnie nim.

- Ktoś, kogo już spotkaliśmy?

- Nie wiem, O'Donnell. - Zmęczonym gestem odgarnęła włosy. - Przeglądałam stare sprawy. Ty też. Nic z nich nie wynika. Może to jakiś sfiksowany facet, który kiedyś mnie spotkał i dostał odpór, a teraz się w ten sposób zaleca. To szkoła w naszej okolicy. W mojej okolicy.

Otworzyła samochód i wyjęła torbę ze znalezionymi zapalkami.

- Są z Sirico's, mają mi zasygnalizować, że mnie zna i jest w pobliżu. Zostawił je tak, abym znalazła. Nie w środku - mogły zostać zniszczone, gdyby pożar wymknął się spod kontroli - tylko na zewnątrz, gdzie były większe szanse, iż je znajdę. Na zewnątrz jego „wejścia” albo tego, co chciał, żeby wyglądało jak jego wejście. To sprawa osobista.

Zamknęła torbę z powrotem w samochodzie.

- No i cholernie groźna. Jestem nabuzowana.

- Rozpoznamy teren, rozpracujemy sprawę - dodał O'Donnell. — A jak zadzwoni następnym razem i przyjdzie ci do głowy sprawdzać coś bez zawiadomienia mnie przedtem, nie rób tego. Skuliła ramiona.

- Przechytrzył mnie. - Westchnęła. - I słusznie. Masz rację. Myślałam, że to jakiś dziwak próbuje mnie naciskać i że sobie z tym poradzę. Próbowałam, ale go nie doceniłam. - Popatrzyła na przysłonięty dymem budynek. - Jest groźniejszy. Nie musisz się martwić, że

będę się popisywała.

- Dobrze. To do roboty!

Gdy Reena opuszczała pogorzelnisko, było już po szóstej rano. Pożegnała się z O'Donnellem i razem ze Steve'em pojechała do straży pożarnej. Partner miał wprowadzić do komputera dane dowodowe i napisać raport wstępny. Ona porozmawia z tymi, którzy brali udział w akcji i nie poszli jeszcze spać.

Tam wreszcie będzie mogła wziąć prysznic. Zawsze miała w bagażniku ubranie na zmianę. Poza tym była szansa, że w remizie zje solidny posiłek, a po takich nocach jak ta miała znacznie większy apetyt.

- Więc co to za historia z tym Goodnightem? - Widząc jej spojrzenie bez wyrazu, wzruszył ramionami. - Gina mnie udusi. Wkurza się, jeśli nie znam jakichś szczegółów.

- Udusi też i mnie. Powiedz jej, żeby się zgłosiła do źródła.

- Rozumiem.

- Ona akceptuje twój zawód. To znaczy: nigdy nie było między wami z tego powodu konfliktu.

- Oczywiście, czasem się zamartwia. Ale nie, nie ma z tym problemu. Gdy w zeszłym roku straciliśmy Biggsa, było ciężko. I jej, i mnie. Dużo o tym rozmawiamy. - Pociągnął się za ucho. A co do tego ryzyka związanego z naszą pracą. No wiesz, trzeba się z tym pogodzić. To nie zawsze wychodzi, ale Gina jest silna. Znasz ją. Mamy dzieciaki, następne w drodze. Musi być silna.

- Kocha cię. Miłość jest silna. - Reena zatrzymała się przed remizą. - Jak się z nią skontaktujesz, poproś, żeby zadzwoniła do moich rodziców. Niech im tylko powie, że zajmuję się tą sprawą i wszystko w porządku. Bez szczegółów, dobrze, Steve? Na razie.

- Nie ma problemu.

Dwóch mężczyzn myło motopompę. Steve podreptał do nich, żeby porozmawiać. Reena tylko machnęła ręką, gdy szła z czystym ubraniem do środka.

Zmywała z włosów zapach dymu, aż rozboleła ją ręce, a potem zamknęła oczy i pozwoliła wodzie chłostać jej głowę, szyję, plecy. W zmęczonych oczach „czuła piasek”, ale to minie. Za to smak w ustach pozostanie długo, bez względu na to, ile wypije wody. Swąd spalenizny się utrzymywał, a nawet gdy już ustąpił, nie potrafiła go zapomnieć.

Nie spieszyła się. Odświeżyła skórę i siebie, wcierając pachnący krem. Nie żałowała nawilzacza. Mogła wchodzić do płonącego budynku, ale - do ciała - nie musi poświęcać swojej cery. Ani kobiecej próżności - myślała, starannie nakładając makijaż.

Już ubrana, zarzuciła na ramię torbę i poszła do kuchni coś zjeść.

Tutaj chyba zawsze coś się gotowało. Wielkie garnki potrawki z chili lub gulaszu, ogromny kawał klopsa, misa jajecznicy. Długie lady i blat kuchenny zmywane były po każdym posiłku, ale w powietrzu cały czas unosił się zapach kawy i gorącego jedzenia.

W tej remizie się szkolila, a w wolnym czasie często pracowała na ochotnika. Spała na pryczy, gotowała na tej kuchni, grała w karty przy stole lub szła na telewizję do świetlicy.

Nikt nie był zdziwiony, gdy weszła. Sennie kiwali do niej głowami, pozdrawiali wesoło. Dostała duży talerz jajecznicy na bekonie.

Usiadła koło Gibleya, strażaka z dwunastoletnim stażem, ze schludnie utrzymaną kocią bródką i szramami po oparzeniu wzdłuż obojczyka. Rany wojenne.

- Mówią, że pochodnia dziś w nocy postawiła cię w stan alertu.

- Dobrze mówią. - Włożyła do ust jajecznicę i popiła colą wyjętą z lodówki. - Wygląda na to, że ma coś do mnie. Konstrukcja była już całkowicie w ogniu, gdy tam dotarłam, może dziesięć minut po jego telefonie.

- Kiepski czas reakcji - skomentował Gibley.

- Nie powiedział mi, że coś podpalił, bo byłabym tam szybciej. Następnym razem będę.

jeden z mężczyzn po drugiej stronie stołu podniósł głowę.

- Spodziewasz się następnego razu? Myślisz, że to będzie seryjny?

- Jestem na to przygotowana. Wy też musicie się na to przygotować. Tym razem zrobił łatwiznę. Taka mała próba. Takie wyciągnięcie ręki, żeby nieśmiało złapać za ramię kobiety. Myślę, że sprawdzał moją reakcję. Czy najpierw zapaliła się wschodnia ściana pierwszego piętra?

- Tak. - Gibley kiwnął głową. - Ten odcinek był w pełnym zapłonie, gdy tam dotarliśmy. Część ściany wyburzona, otwory wentylujące w suficie.

- To samo było na parterze - oznajmiła Reena. - Zadał sobie trud. Znaleźliśmy zapalki, jedno opakowanie nie wybuchło.

- Lonty na piętrze schodzące na parter. - Sands, mężczyzna siedzący naprzeciwko niej, podniósł do ust kubek kawy. - Jeszcze się całkiem nie zajęło, kiedy zaatakowaliśmy. Moim zdaniem kiepska robota.

- Tak. - Ale czy to było niedbalstwo, czy maestria?

- To była prawie dziecinada. - Zrelaksowana Reena usiadła na krześle. O'Donnell przyjął taką samą pozycję. - Benzyna, papier i zapalki. Czymś takim mogło się bawić dziecko. Nie licząc celowej wentylacji, to dziecinna robota, amatorszczyzna. Zapalki, które się nie zdążyły zapalić, tak żebyśmy je znaleźli. Czy on myślał, że nie zauważymy wentylacji,

czy chciał, żebyśmy zobaczyli?

- Jeśli próbujesz go rozpracować psychologicznie, uważam, że chciał, abyś ty to zobaczyła. To ty jesteś w centrum zainteresowania.

- Dzięki za uspokojenie moich myśli. - Usiadła prosto i syknęła. - Kto? Dlaczego? Jak się zeszły nasze drogi? A może się zeszły tylko w jego głowie?

- Przejrzymy jeszcze raz stare sprawy. I zaczniemy rozmawiać z zamieszanymi w nie ludźmi. Może to ktoś, kogo wsadziliśmy. Może ktoś, kogo nie wsadziliśmy. A może to ktoś, z kim byłaś i nie podobało mu się, że zerwałaś.

Reena pokręciła głową.

- Z nikim nie byłam na poważnie. Nie pozwoliłam, żeby się cokolwiek rozwinęło od czasu... - Zamilkła i rozmasowała sobie kark, a O'Donnell nie spuszczał z niej oka. - Jesteś przecież na bieżąco. Wiesz, że od czasu incydentu z Lukiem traktowałam te rzeczy na luzie.

- To bardzo długo tak je traktowałaś.

- Możliwe, ale mnie to odpowiada. Jeśli chodzi ci po głowie, że to Luke, zapomnij. On nigdy by nie robił takiej brudnej roboty. Umazałby sobie markowy garnitur.

- Może włożył ubranie sportowe. Nadal mieszka w Nowym Jorku?

- Z tego, co wiem, tak. - Uniosła ręce. - Sprawdź. Nienawidzę, że muszę to robić.

- Myślisz czasem, jak ten facet ostro namieszał ci w życiu?

- Tam do licha, przysporzył mi tylko paru siniaków. Miałam gorsze, grając w futbol.

- Nie mówię o twojej twarzy, Hale. Namieszał ci w głowie. Wstyd, że dajesz mu taką satysfakcję. Pójdę przynieść sobie kawę. - Wstał i wyszedł, dając jej czas na zastanowienie się nad tym.

Zamiast tego zakłęła pod nosem i zaczęła szukać w komputerze aktualnych danych o Luke'u Chambersie.

Gdy O'Donnell wrócił z kubkiem, poinformowała go spiętym głosem:

- Luke Chambers ma adres nowojorski, pracuje w tym samym domu maklerskim, który go przeniósł na Wall Street. Ożenił się w grudniu 2000 roku z niejaką Janine Grady. Bezdzielni. Owdowiał, gdy żona zginęła 11 września. Pracowała na sześćdziesiątym czwartym piętrze pierwszego wieżowca.

- Straszny pech. Coś takiego może powalić mężczyznę. Nie zdarzyłoby mu się, gdybyś się wtedy zgodziła na jego plany.

- Jezu, wieszysz jak pies za kością. Dobrze. Skontaktuję się z tamtejszą policją, żeby sprawdzili, czy był tej nocy w Nowym Jorku.

O'Donnell podszedł do biurka Reeny i postawił przed nią puszkę dietetycznej coli,

którą miał w kieszeni.

- Gdyby sytuacja była odwrotna, nalegałabyś, żebym tak zrobił. W przeciwnym razie sama byś zrobiła.

- Jestem na skraju wyczerpania. To, że masz rację, tylko zwiększa moją chęć, aby ci dołożyć.

O'Donnell wrócił na swoje miejsce, uśmiechając się z satysfakcją.

Kiedy w końcu wróciła do domu, poczuła ulgę. Marzyła o tym, żeby wreszcie znaleźć się w łóżku i porządnie wyspać.

Weszła do środka i powiesiła torebkę na słupku schodów. Przyszło jej jednak do głowy, że matka zmarszczyłaby na to czoło z dezaprobatą, więc zdjęła ją i schowała do szafy.

- Dobrze, teraz zadowolona?

Nie zwracając uwagi na miganie automatycznej sekretarki, poszła prosto do kuchni. Rzuciła na stół pocztę, a obok położyła przyniesione przez siebie kopie akt. Najpierw drzemka - powiedziała sobie, ale złamała się i włączyła nagrane na sekretarkę wiadomości.

Gdy tylko usłyszała, że pierwszą zostawiono o drugiej dziesięć, serce zaczęło jej łomotać.

„Podobała ci się niespodzianka? Na pewno tak, skoro wciąż tam jesteś. Cały ten ogień. Żółty, czerwony i gorący błękit. Założę się, że ci zwilgotniało. Że chciało ci się wejść tam do środka i pieprzyć się z tym swoim sąsiadem, wpatrując się w płomienie. Ja to zrobię lepiej. Tylko poczekaj, poczekaj”.

Oddychała bardzo głośno i bardzo szybko. Zatrzymała odtwarzacz, zamknęła oczy i starała się uspokoić.

Obserwował. Wiedział, że Bo tam z nią był. Wiedział, że podchodziła do okna.

Był na tyle blisko, żeby ją widzieć, a ona go nie zauważyła. Czy znajdował się wśród gapiów, którzy wyszli z sąsiednich domów? Czy to jeden z kierowców przejeżdżających samochodów? Jedna z twarzy w tłumie?

Obserwował ją. Widział, jak ona patrzy na płomienie. Zatrzęsła się. Chciał ją zastraszyć, a ona nie umiała go powstrzymać. Ale potrafi opanować sytuację i działać. Przesłuchała resztę wiadomości. Drugą nagrał o siódmej trzydzięści.

„Jeszcze nie w domu? - Roześmiał się, jakby na wdechu. - Praca, praca, praca”.

- Jesteś odważny, draniu - powiedziała na głos. - A to zawsze błąd.

Trzecia wiadomość została nagrana o siódmej czterdzięści pięć. „Reena”.

Podskoczyła, a potem odetchnęła, poznając głos Bo. No tak, rzeczywiście, musiała przyznać, chłopak był mocno wystraszony.

„Nie ma jeszcze twojego samochodu, więc domyślam się, że ciągle pracujesz. Mam dziś zleconą robotę i wypad po zaopatrzenie. Brzmi nieciekawie w porównaniu z przygodami dzisiejszej nocy. W każdym razie, jak będziesz później w domu, zadzwoń”.

Następną wiadomość zostawiono godzinę później. Giną chciała się spotkać, żeby pogadać o nowym facecie.

- Pewnie już trochę za późno. - Reena świsnęła i strzeliła palcami. - Jest, a potem nie ma.

Zmarszczyła się, gdy usłyszała z kolei nagrany płaczliwy głos Belli.

- Dlaczego nigdy cię nie ma, gdy jesteś mi potrzebna?

I to były wszystkie wiadomości. Reena sięgnęła po telefon, ale w pół ruchu zatrzymała rękę. Czasem musiała rozumować przede wszystkim jak policjantka, a dopiero potem jak siostra.

Skasowała wszystkie nagrania po drugim telefonie, wyjęła taśmę, schowała do torebki i zapieczętowała, po czym włożyła nową.

Zadzwoiła do O'Donnella, żeby mu jak najszybciej o tym donieść.

- A więc tam był.

- Najprawdopodobniej. Albo obserwował mój dom i widział, jak wychodzę z Bo. Mógł mnie śledzić i tu, i tam. Nie zauważyłam nikogo, chociaż się rozglądałam.

- Od rana zaczniemy nowe śledztwo - zapewnił ją. - Zadzwoię i załatwię ci na wieczór wóz patrolowy w okolicy domu.

Już miała protestować, ale się powstrzymała.

- Dobry pomysł. Ktoś z wydziału, dobrze? Jak zobaczy wóz patrolowy, ukryje się. Lepiej nieoznakowany.

- Załatwione. Odpocznij trochę. Pomyślała o telefonie od Belli.

- Tak. - Przetarła zmęczone oczy. - Zadzwoię. Popatrzyła na telefon. Musi oddzwonić do siostry. Oczywiście, że tak. To, że jej frustracja mogła być spowodowana czymś tak nieistotnym jak złamany paznokieć, nie miało znaczenia. Zresztą to niesprawiedliwe myśleć w ten sposób - skarciła się w duchu. Bella nie była aż tak nedorzeczna. Prawie, ale nie aż do tego stopnia.

Może coś się dzieje z dziećmi, chociaż gdyby tak było, już miałyby dziesięć telefonów od rodziny. Jeśliby naprawdę coś się stało, rodzice zadzwoniliby do niej na komórkę.

Ale co się z nią właściwie dzieje, że tak marudzi ze zwyczajnym oddzwonieniem do własnej siostry?

Reena podniosła telefon i wybrała z jego pamięci numer Belli.

Sama nie była pewna, czy jest zadowolona, czy poirytowana, gdy gospodyni poinformowała ją, że siostra wybrała się do salonu piękności. To mogło jednak oznaczać, że coś się tam dzieje - pomyślała Reena, odkładając słuchawkę. Bella pędziła do salonu jak inni na ostry dyżur.

Już miała wejść na górę, ale cofnęła się, słysząc pukanie do drzwi. Przeszło ją mrowie w piersiach, gdy pomyślała, że to może Bo. Jednak przed drzwiami stała rozradowana Gina w szóstym miesiącu ciąży.

- Steve powiedział, że powinnaś być w domu. Musiałam przyjść i zobaczyć, co u ciebie. - Zarzuciła Reenie ramiona na szyję i mocno ją uściśnęła. - Co za noc, he? A jak ty się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś się przespać.

- To niezły pomysł - odparła Reena, wprowadzając Ginę do środka.

- Dobrze, usiądźmy. Mama wzięła dzieci na parę godzin. Niech ją Bóg wynagrodzi wieczną młodością i urodą. - Usiadła i poklepała się po okrągłym brzuchu, a potem rozejrzała się po ścianach pokoju, pomalowanych przez poprzedniego właściciela na dziwną zieleń kiwi.

- Wybrałaś już dla siebie kolory? Powinnaś się tym zająć, póki jest ładna pogoda, żeby móc otworzyć okna i wywietrzyć zapach farby. Steve pomoże ci w malowaniu.

- Dziękuję. Jeszcze się nie zdecydowałam. Myślę o czymś bardziej klasycznym niż to.

- Wszystko będzie OK. Pomogę ci. Uwielbiam wybierać kolory. To jak zabawa lalkami. Czy podtrzymuję cię na duchu?

- A wyglądam, jakbym tego potrzebowała?

- Reeno, Steve coś mi tam opowiada. Nie martw się, nie powiedziałam niczego twojej rodzinie, nikomu. I nie powiem, jeśli sobie nie życzysz. Po prostu sama się martwię o ciebie.

- Nie musisz.

- Oczywiście, że nie. Przecież to tylko jakiś maniakalny podpalacz z obsesją na punkcie mojej najlepszej przyjaciółki jest gotów spalić naszą szkołę podstawową.

Reena westchnęła, a potem wstała i poszła do kuchni nalać im obu po wysokiej szklance wody San Pellegrino.

- Masz coś do tego? - Usłyszała z tyłu Ginę. - Coś z dużą ilością cukru?

Reena wyjęła resztki ciasta kawowego.

- To już kilka dni przeleżało - ostrzegła.

- Tak, tak, to ważne. - Śmiejąc się, Gina odłamała spory kawałek. - Mogę jeść korę drzew, jeśli mi ją posypią cukrem. - Usiadła przy dużym pieńku rzeźnickim, który służył Reenie za stół w kuchni. - No dobra, ja byłam zajęta, ty byłaś zajęta. Teraz pora, żebym poznała wszystkie szczegóły dotyczące tego stolarza. Moja mama dowiedziała się od twojej,

że znałaś go już na uczelni. Nie przypominam sobie jednak żadnego seksownego facia o nazwisku Goodnight.

- Bo go nie znałyśmy. Przynajmniej ja. Zauważył mnie w czasie studiów. Gdy byliśmy na uczelni.

- Moja mama zawsze coś pokręci. - Gina ułamała drugi kawałek. - Usiądź i gadaj.

Tak też i zrobiła, nie czując nawet obezwładniającego zmęczenia, gdyż Gina przerywała jej wyznanie westchnieniami, okrzykami: „O mój Boże!” i dramatycznym uderzeniem się w serce.

- Zobaczył cię z daleka w pokoju i nie mógł o tobie zapomnieć. Nosił cię w sobie cały ten...

- Paskudnik.

- Och, zamknij się. To takie romantyczne. Jak Heathcliff i Catherine z *Wichrowych wzgórz*.

- Oni byli szaleni.

- Na litość boską! No dobra, to romantyczne jak w *Bezsensowności w Seattle*. Wiesz, jak kocham ten film.

- Jasne, wszystko wygląda dokładnie tak samo, z wyjątkiem tego, że nie mieszkamy na dwóch oddalonych od siebie o kilka tysięcy kilometrów wybrzeżach, ja nie jestem zaręczona z kimś innym, a on nie jest dzieciatym wdowcem.

Gina wymierzyła w nią palec.

- Nie zepsujesz mi tego. Od sześciu lat jestem mężatką noszę swoje trzecie dziecko. Nie mam już w życiu tak wiele słodkiego romansu. No więc jest atrakcyjny?

- Bardzo. Harmonijnie zbudowany. Częściowo zawdzięcza to pewnie swojemu zajęciu. Pracuje fizycznie.

- A teraz samo meritum. Jak seks?

- Czy mówiłam, że to robimy?

- Znamy się już dość długo, prawda?

- Cholera. Poddaję się. Wymyka się wszelkim odniesieniom.

Gina w mgnieniu oka odchyliła się do tyłu.

- Jeszcze nigdy tego nie mówiłaś.

- Czego?

- Zawsze mówisz: jest świetnie, super. Czasem: jest fajnie lub średnio. Gdyby to przedstawić na zegarze, powiedziałabym, że tak góra koło ósmej.

Reena zmarszczyła czoło.

- Zdarzało się koło dziesiątej. A ty masz jakąś straszną obsesję na temat mojego życia seksualnego.

- A od czego są przyjaciółki? Co sprawia, że jest to najlepszy seks w twoim młodym, pełnym przygód życiu?

- Nie mówiłam... No dobrze, jest. Nie wiem, co to sprawia. Jest świetny, jest super, jest fajny, jest romantyczny. Nawet jeśli jest dziki. Ale po wczorajszej nocy to już historia.

- Co? Dlaczego? Przecież dopiero się dowiedziałam. Reena dołała jeszcze trochę gazowanej wody, po czym usiadła i tylko patrzyła na bąbelki.

- Zaciągnęła faceta na miejsce akcji, w którą jesteś zaangażowana i osobiście, i zawodowo, pozwolenie mu, żeby patrzył, jak biegasz w ubraniu ochronnym, wydajesz polecenia, w tym niektóre jemu, i gdy jeszcze on wie, że jakiś palant ma ciebie na celowniku - to może zniszczyć cały urok, Gino.

- No to on jest faktycznie drobny fiut. Reena ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Ależ nie. Ani dosłownie, ani w przenośni. Dopiero zaczęliśmy razem tańczyć, Gino. Gdy melodia zmienia się tak raptownie, krok może się pomylić.

Gina westchnęła ciężko i usiadła wygodniej.

- No, ale jeśli takie jest jego podejście, to ja go jednak nie lubię.

- Polubiłabyś go. Da się lubić. Nie zamierzam go winić, jeśli się wycofa.

- To oznacza, że jeszcze się nie wycofał?

- Odniosłam takie wrażenie dziś w nocy. To jeszcze nieoficjalne.

- Wiesz, jaki jest twój problem, Reeno? Jesteś pesymistką. Jeśli chodzi o mężczyzn, jesteś wielką pesymistką. Dlatego... - Przerwała, zmarszczyła brwi i napiła się wody.

- Teraz nie przerywaj.

- Dobrze, nie przerwę, bo cię kocham. To dlatego twoje związki nie są trwałe, nie przeradzają się w nic głębszego. Tak było już na uczelni. Po biednym Joshu. A jeszcze pogorszyło się po Luke'u. To był niesamowity pętał - dodała Gina, gdy Reena prychnęła. - Bez dwóch zdań. Ale to, co się stało, moim zdaniem zamieszało ci w głowie i zablokowało cię na prawdziwe, zażyłe kontakty.

- To nieprawda. - Ale sama usłyszała we własnym głosie brak przekonania.

Gina sięgnęła i ujęła dłoń Reeny.

- Skarbie, słyszę, jak mówisz o tym facecie w taki sposób, w jaki nie mówiłaś o żadnym innym, odkąd cię znam, czyli od dziecka. Widzę tu duży potencjał zażyłości, a ty jesteś gotowa to ugasić. Do licha, odpuść sobie. Dlaczego nie poczekasz i nie zobaczysz, jak to wychodzi, zanim wykreślisz jego imię z pamięci.

- Dlatego, że to się liczy - powiedziała cicho Reena, a Gina ścisnęła jej dłoń. - On na mnie patrzy, a to bardzo ważne. Nigdy czegoś takiego nie czułam. Ani razu, z nikim. I było w porządku, że nie czułam lub nie potrafiłam... Albo nie chciałam... Było w porządku. Mam w życiu dużo. Swoją rodzinę, pracę. Gdy chciałam mieć mężczyznę, znajdowałam ich wokół pod dostatkiem. Ale on się liczy, i to przyszło tak szybko, i jest takie ważne, że nie chcę się załamać, jeśli Bo odejdzie.

- Jesteś w nim zakochana?

- Jestem oszołomiona. I przerażona.

Twarz Giny się rozpromieniła. Zerwała się na nogi i obeszła Reenę dookoła, żeby jej zarzucić ręce na szyję i pocałować w czubek głowy.

- Gratulacje.

- Gino, myślę, że ostatniej nocy to ugasiłam.

- Stop. Poczekaj. Zobacz. Pamiętasz, ile się nagryzłam, gdy między mną a Steve'em zaczęło się na poważnie.

Reena się uśmiechnęła.

- To było cudowne.

- Było straszne. - Wyprostowała się i w zamyśleniu masowała barki Reeny. - Chciałam jechać na rok do Rzymu, mieć romans z jakimś kontestującym artystą. Jak, do licha, miałam tego dokonać, gdy kręcił mnie jakiś cholerny strażak? I wciąż mnie kręci, wciąż przeraża. Czasem patrzę na niego i myślę, co bym zrobiła, gdyby coś mu się stało, gdybym go straciła. Albo gdyby się zakochał w innej? Daj szansę temu chłopakowi. - Przeszła od przodu i położyła dłoń na policzku Reeny. - Nawet go nie znam, ale mówię ci: daj mu szansę. No, a teraz muszę jechać po dzieciaki i z powrotem do naszego własnego cyrku. Zadzwoń jutro.

- Zadzwonię, Gino. Podtrzymałaś mnie na duchu.

- Więc moje zadanie wykonane.

Spała trzy godziny. Obudziło ją łomotanie serca i majaczące w głowie skrawki sennego koszmaru. Ogień i dym, ciemność, przerażenie, zlewająca się w jedno płątanina żywiołów. Pomyślała, że chyba najlepsze, co może zrobić, to zwinąć się w kłębek i poczekać, aż puls wróci do normy.

Od czasu do czasu miewała złe sny, zwłaszcza gdy była w stresie lub przepracowana. Glinom to się zdarzało. Nikt nie oglądał takich rzeczy jak oni, nie dotykał ani nie wahał tego, co oni.

Ale to minie - jak zawsze. Mogła żyć z tymi obrazami, ponieważ jej zawód polegał na walczeniu z nimi.

Usiadła i zapaliła światło. Zje coś i trochę popracuje. To odpędzi bezsenność i niepokój o trzeciej nad ranem.

Wciąż rozespana, zeszła na dół. Gina ma rację - pomyślała, przejechawszy palcami po ścianie. Musi się poważnie zastanowić nad farbą, wziąć trochę próbek, zrobić coś, żeby to był bardziej jej dom.

Lęk przed zaangażowaniem się? - dumiała. Z kupnem domu się ociągała, chociaż to było coś, czego pragnęła od lat. Teraz ociąga się z jego urządzeniem, żeby nabrał jej charakteru i stylu.

No tak, przyznanie się, że ma mały problem, to pierwszy krok. Więc kupi tę cholerną farbę, aby mu się przeciwstawić.

Rozpracuje tę sprawę i doprowadzi ją do końca. Potem weźmie tydzień urlopu i zrobi coś dla siebie. Farba, tapeta, jakieś wypadki do sklepów z antykami, lumpeksów. Zasadzi trochę kwiatów.

Bez większego entuzjazmu snuła się po kuchni. Właściwie nie chciało jej się jeść, tylko rozmyślać. To nie jej wina, że jest policjantką i jej praca bywa nieciekawa oraz niecierpiąca zwłoki. Naturalnie, że to nie jej wina, jeśli on nie jest w stanie tego znieść.

Sam się boi zaangażować, jak bum - cyk - cyk - stwierdziła. Ona już była prawie gotowa zrobić to po raz pierwszy w życiu, właśnie dla niego, a on wyskakuje z powozu, kiedy pojawiają się wyboje.

Pieprzyć to!

To on sam do niej przyszedł. Rozmarzone, zielone oczy, namiętne usta. Skubaniec. Wyjęła pomidory rzymskie i czosnek. Zaczęła go siekać, w myślach siekając na kawałki Bo. Dziewczyna z Marzeń? Bzdury. Nie była niczym marzeniem i nie zamierzała grać takiej roli. Była, kim była, i albo brał ją taką, albo do widzenia!

Rozgrzała oliwę na patelni, wyjęła czerwone wino.

Nie potrzebowała go. Jeśli miała ochotę, wokół było wielu mężczyzn. Nie szukała żadnego czarującego, namiętnego i zabawnego stolarza, żeby wypełnić jakąś lukę w życiu.

Nie miała żadnych luk.

Wycisnęła czosnek i drgnęła, usłyszawszy stukanie do drzwi ogrodowych. Jestem spięta - powiedziała do siebie, ale wzięła pistolet, który leżał na blacie.

- Kto to?

- To ja, Bo.

Odetchnęła z ulgą i schowała pistolet do szuflady z rupieciami. Wyprostowała plecy i otworzyła drzwi.

Czuła ucisk w piersiach i nic nie mogła na to poradzić. Spięta klatka piersiowa, suche gardło i kamień w żołądku. Wszystko to było zupełnie nowym i niezbyt przyjemnym uczuciem związanym z mężczyzną.

Ale otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do niego lekko.

- Potrzebujesz filiżanki cukru?

- Niekoniecznie. Odebrałaś moją wiadomość?

- A, tak. Przepraszam. Byłam w domu dopiero po czwartej. A potem miałam gościa i się zdrzemnęłam. Dopiero wstałam.

- Tak myślałem. Gdy wróciłem do domu, miałaś zaciągnięte zasłony, więc domyśliłem się, że śpisz. Kiedy zobaczyłem tutaj światło, postanowiłem spróbować. Coś ładnie pachnie oprócz ciebie.

- O cholera! - Rzuciła się do kuchni ratować czosnek. - Akurat gotuję makaron. - Dodała pokrojone w kostkę pomidory i odrobinę wina. Może nie była szczególnie głodna, ale cieszyła się, że ma czym zająć ręce. Dodała bazylii, wkręciła trochę pieprzu i postawiła na małym ogniu.

- Domyślałem się, że gotowanie przychodzi ci w sposób naturalny. Ciągłe wyglądasz na zmęczoną.

- Dzięki. - Usłyszała swój głos, kwaśny jak ocet. - Uwielbiam to słyszeć.

- Martwiłem się o ciebie.

- Przykro mi, taka praca.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Należę nam po kieliszku wina.

- Świetnie. Dziękuję. - Patrzył jej w oczy. - Co jeszcze możesz mi powiedzieć o zdarzeniach ostatniej nocy?

- Nielegalne wtargnięcie, podpalenie z wieloma źródłami zapłonu, informacja skierowana do śledczego sprawy podpalenia. Brak ofiar w ludziach. - Podała mu kieliszek czerwonego wina.

- Jesteś taka nieprzyjemna z powodu zmęczenia, dlatego, że ten palant komplikuje ci życie, czy też wściekasz się na mnie?

Jej uśmiech był tak samo cierpki jak ton głosu.

- Wybierz jedno.

- OK. Pierwsze dwa rozumiem. Może mi wytłumaczysz rozdział numer trzy?

Oparła się o ladę.

- Robiłam to, do czego byłam szkolona, co mam obowiązek robić i za co mi płacą.

Odczekał chwilę, skinął głową.

- No i?

- No i co?

- O to właśnie pytam: no i co? Kto tu się kłóci?

Stać ją na cywilizowane maniery - powiedziała sobie. Cywilizowane i dojrzałe. Wyjęła garnek i podeszła z nim do zlewu nalać wody.

- Będzie tego dużo, jeśli jesteś głodny.

- Jasne, Reeno, czy ty się na mnie boczysz dlatego, że ci wczoraj wieczorem wchodziłem w drogę?

- Nie powinienes.

- Muszę się wtrącić, gdy ktoś, na kim mi zależy, zaczyna robić coś nieostrożnego i niebezpiecznego.

- Nie jestem nieostrożna.

- Zazwyczaj nie, wcale tak nie myślę. Ale on zmylił twoją czujność.

- Nic nie wiesz o mojej czujności. - Zniosła garnek na kuchenkę i włączyła palnik. - W ogóle prawie mnie nie znasz. - Ucichła, gdy położył rękę na jej dłoni i odwrócił ją przodem do siebie.

- Wiem, że jesteś mądra, że angażujesz się w to, co robisz, że jesteś związana z rodziną, a kiedy się śmiejesz, robisz to całą twarzą. Wiem, że pasjonujesz się baseballlem i gdzie lubisz być dotykana. Że lubisz ciasto cytrynowe z bezą i nie pijesz kawy. Wiem, że potrafisz wejść w ogień. Powiedz mi coś jeszcze, to będę wiedział i to.

- Dlaczego tu jesteś, Bo?

- Żeby cię zobaczyć i z tobą rozmawiać. A poza tym dostanę makaron.

Odsunęła się i wzięta swoje wino.

- Po ostatniej nocy przypuszczałam, że stracisz entuzjizm.

- Do czego?

- Nie denerwuj się.

Uniósł ręce.

- Staram się. Entuzjizm... do ciebie.

Lekko wzruszyła ramionami i upiła mały łyk.

- Opadnie mi entuzjizm do ciebie, bo?... Dawaj, żadnych zgadywanek - nalegał, gdy nic nie odpowiadała. - Bo ścięliśmy się, że nie pójdziesz sama? Nie, nie to, bo ja wygrałem. Bo musiałem się trzymać z daleka? Też nie, bo nie jestem policjantem ani strażakiem. Zabijasz mi klina.

- Nie podobało ci się, że weszłam do środka.

- Do płonącego budynku? - Wydał z siebie coś w rodzaju histerycznego śmiechu. - Oczywiście, że nie. Ma mi się podobać, że wchodzisz do ognia? No i tu jest problem, bo coś takiego nie zdarzy się nigdy. Biorąc pod uwagę, że było to moje pierwsze doświadczenie tego rodzaju, myślę, że się dobrze zachowywałam. Nie pobiegłam za tobą, nie złapałam cię i nie odciągnęłam stamtąd. Chociaż muszę ci wyznać, że przez krótką chwilę taka możliwość świeciła mi w głowie. Czy polubienie ryzyka, które musisz podejmować, jest warunkiem naszego bycia razem?

Patrzyła mu prosto w twarz.

- Boże, ja rzeczywiście jestem pesymistką.

- O czym ty mówisz? Czy możesz przetłumaczyć swój dziwny kobiecy język na mowę zrozumiałą dla mnie?

- Bo, ty chcesz być ze mną?

Podrzucił ręce gestem zmieszanego, zbitego z tropu samca.

- Przecież tu jestem. Roześmiała się, potrząsając głową.

- Tak, jesteś. Oczywiście. Muszę cię przeprosić.

- Dobrze. A za co?

- Bo podejrzewałam, że jesteś fagasem. Myślałam, iż zerwiesz ze mną dlatego, że nie pasuje ci to, co robię i kim jestem. Zaczęłam się nastawiać, że wszystko mi jedno, jeśli to zrobisz. Nie udało mi się, ale włożyłam w to nieco wysiłku. Zaczynam sobie uświadamiać, że mam problemy w tej dziedzinie... to znaczy związków.

Podeszła do niego, położyła mu dłonie na policzkach i przycisnęła wargi do jego warg.

- Przepraszam.

- Czy mamy za sobą pierwszą kłótnię?

- Najwyraźniej.

- Dobrze. - Teraz on dotknął jej policzków i oddał pocałunek. - Ona jest zawsze najtrudniejsza. Porozmawiajmy o czymś zupełnie innym przy jedzeniu, które - mam nadzieję - znajdzie się na tym stole szybko, bo wszystko, co dziś jadłem, to kanapka z masłem orzechowym.

Odwróciła się, żeby wyjąć makaron.

- To będzie o wiele lepsze.

- Już jest.

POŻOGA

Końcowe stadium rozpalania się ognia

Ledwie zapadła noc, śmiertelnych

Ogni się taniec wszczyna

Samuel Taylor Coleridge

- Chcę wiedzieć coś więcej o tej dziewczynie, z którą się spotykasz.

Bo stukał młotkiem, budując nową szopę ogrodową, która według pani Mallory była jej koniecznie potrzebna. Przerwał tylko, żeby do niej mrugnąć porozumiewawczo.

- Pani M., niech pani nie będzie zazdrosna. Nadal jest pani miłością mojego życia.

Parsknęła śmiechem i postawiła mu na koziołku świeżo zrobioną lemoniadę. Jej rude włosy wprost oślepiały. Do tego nosiła modne okulary przeciwsłoneczne o szklach w kolorze bursztynu. I fartuszek kuchenny w kwiaty.

- Masz coś takiego w oczach, chłopcze, co mi mówi, że znalazłam godną rywalkę. Opowiedz mi o niej.

- Jest piękna.

- Powiedz coś takiego, na co bym sama nie wpadła. Odłożył pistolet do gwoździ, wziął lemoniadę.

- Jest mądra i zabawna, uczuciowa i słodka. Ma oczy lwicy i taki mały pieprzyk, o tu.

- Dotknął się nad wargą. - Ma dużą rodzinę, która prowadzi włoski lokal w moim sąsiedztwie. Tam się wychowała. Hej, pani brat może ją znać. Czy on nie jest policjantem?

- Jest, od dwudziestu trzech lat. Czy ją aresztował? Roześmiał się.

- Myślę, że nie. Sama jest policjantką. Miasta Baltimore. Z Wydziału Podpaleń.

- Mój brat też.

- No nie... Myślałem, że jest... Nie wiem, co myślałem. To muszą się znać. Proszę mi przypomnieć, jak on się nazywa. Zapytam ją.

- O'Donnell. Michael O'Donnell.

W tym momencie Bo odstawił lemoniadę i ściągnął okulary ochronne.

- No to wszystko jasne. To jej partner. Ona nazywa się Catarina Hale.

- Catarina Hale. - Pani Mallory złożyła ramiona. - Catarina Hale. Ta sama, z którą chciałam cię wyswatać parę lat temu.

- Nie. Niemożliwe. Naprawdę?

- Brat mi mówił, że ma nową partnerkę, a ja pytam, czy samotna. Twierdzi, że tak, a ja na to, że znam miłego chłopca, który majsterkuje u mnie w domu. Więc proszę, żeby ją spytał, czy nie chce się umówić z fajnym chłopcem. Ale ona spotykała się z innym. Okazuje się, że wcale nie z takim miłym, ale Mick więcej z nią nie poruszał tego tematu.

- Ojej, to jakieś zaklęte koło między mną a Reeną. A więc krążyliśmy wokół siebie od lat, nigdy się nie spotykając. Widziała ją pani kiedyś?

- Raz, gdy przyszła na przyjęcie do Micka. Bardzo ładna, dobrze wychowana.

- Jutro idę na kolację do domu jej rodziców. Rodzinny posiłek.

- Zanieś kwiaty.

- Kwiaty?

- Kup jakieś ładne kwiaty jej mamie, ale nie w pudełku. - Kręciła palcem, udzielając mu instrukcji. - To zbyt oficjalne. Ładne, kolorowe kwiaty, które jej wręczysz, wchodząc do domu.

- Dobrze.

- Jesteś dobrym chłopcem - orzekła i zostawiła go przy pracy, a sama weszła do domu, żeby zadzwonić do brata i wyciągnąć od niego coś więcej na temat tej Catariny Hale.

Kwiaty. Niech będą kwiaty. Są w sklepie spożywczym, a i tak musi tam zrobić zakupy. Zatrzymał się tam obok domu pani Mallory i wjechał wózkiem do środka. Mleko, zawsze mu go brakuje. Płatki. Dlaczego nie ustawiają ich obok mleka? Czy nie byłoby to sensowne?

Może powinien wziąć ze dwa steki, zaprosić Reenę i upiec je na grillu. Z myślą o tym wziął jeszcze kilka produktów i pojechał w stronę stoiska z kwiatami wystawionymi w ladach chłodniczych.

Stanął, zatknął kciuki w kieszenie i zaczął się zastanawiać.

Pani M. radziła kupić coś wesołego. Te duże, żółte - jak przypuszczał: lilie - wyglądały radośnie. Ale czy nie kojarzą się one z pogrzebem? A to nic wesołego.

- Trudniejsze, niż myślałem - mruknął dość głośno, a potem rozejrzał się dookoła i zmieszał się, widząc obok jakiegoś mężczyznę.

- Też w niełasce?

- Słucham?

Mężczyzna posłał Bo cierpiętniczy uśmiech i popatrzył z ukosa na ladę.

- Myślałem, że może pan też popadł w niełaskę. Tak jak ja. Muszę kupić żonie jakieś kwiaty, żeby ją udobruchać.

- Ach, nie. Jutro kolacja u rodziców mojej dziewczyny. Myślę, że na udobruchanie żony pasują róże.

- Jasny gwint, chyba tak. - Podeszedł do ekspedientki przy ladzie chłodniczej. - Coś mi się zdaje, że potrzebuję tuzina tych róż. Chyba czerwonych. Kobiety - powiedział do Bo, drapiąc się w głowę pod czapką z daszkiem.

- Nie musi mi pan mówić. Myślę, że zdecyduję się na tamte. - Bo spojrzął na ekspedientkę. - Te różnokolorowe z dużymi środkami.

- Gerbery - odpowiedziała.

- Gerbery są wesołe, prawda?

Ekspedientka uśmiechnęła się do niego, wyjmując róże.

- Chyba tak.

- Świetnie. To wielki bukiet tych gerber, jak pani skończy. Mieszankę różnych.

- Chyba żony kosztują więcej niż teściowe - stwierdził mężczyzna ponuro.

Bo jeszcze raz popatrzył na gerbery. Nie były za tanie? Chciał coś ładnego i wesołego, ale nie taniego. Dlaczego to takie skomplikowane?

- Do widzenia.

- Do... - Bo skinął głową z roztargnieniem. - Powodzenia - dodał, po czym powierzył ekspedientce swój problem. - Proszę mi coś poradzić. To ma być rodzinna kolacja u rodziców mojej dziewczyny. Czy gerbery pasują? Tuzin wystarczy?

Kobieta podeszła z powrotem do lady z kwiatami.

- Doskonale pasują. Będą punkty za beztrioskie, radosne kwiaty.

- Ach, wspaniale. Dziękuję. Wykończyło mnie to.

Spoko, spoko, mam oko na ciebie. Zmiana kroku, żeby popatrzeć na chłopca z sąsiedniego domu, przyjrzeć mu się bliżej. Ten dupek pracuje w sobotę.

Mógłbym go dopaść na parkingu. Poczekać, aż wyjdzie ze swoim pękiem kwiatków i zadźgać go tam na miejscu.

Hej, kolego, mógłbyś mi pomóc? Taki typ zaraz przyleci jak pieprzony szczeniaczek. Wbijam mu nóż w bebechy, kiedy dureń jeszcze szczerzy do mnie zęby.

Rzucam róże na siedzenie. Sram na nielaskę, jakbym kiedykolwiek pozwolił rządzić sobą kobiecie. Kurwy i dziwki. Trzeba je trzymać krótko. To polowa zabawy.

W każdym razie czekaj i obserwuj. Patrz, jak wychodzi, idzie do swojej furgonetki z dwiema torbami. Kretańskie gerbery wystają z torby. Pewnie pod spodem to pedał. Może myślał o pieprzeniu w tyłek jakiegoś innego pedzia, kiedy ją trykał.

Zrób światu przysługę i rozpruj mu bebechy. Będzie o jedną ciotę mniej. Co by ona czuła, jakby ta lala, z która się gzi, kipnęła na parkingu supermarketu?

Będzie lepsza okazja.

Wyjedź za nim z parkingu. Niezła fuygoneta. I tu mam pomysł. Fajnie będzie zapalić taki śliczny samochód. A jeszcze fajniej, jak on będzie w środku. Trzeba o tym pomyśleć.

Pani Mallory trafiła w dziesiątkę - stwierdził Bo. Bianca nie tylko się rozpromieniła, gdy w niedzielę po południu wręczył jej kwiaty, ale ucałowała go w oba policzki.

Część rodziny już się zebrała. Xander rozsiadł się na fotelu w salonie, trzymając w

zagięciu łokcia niemowlę. Szwagier Jack leżał na podłodze, bawiąc się z jednym z dzieciaków samochodami.

Najstarsza siostra Fran wyszła z kuchni, masując brzuch, jak to zwykle robią ciężarne kobiety.

Inne dziecko wyglądało zza nóg matki, wpatrując się w niego wielkimi, sowimi oczami.

Reena ruszyła ku nim. Były uściski, całusy, jakby się wszyscy nie widzieli przez pół roku. Potem zgarnęła małą sówkę, której poważna buzia natychmiast się roześmiała z gulgotem.

Wskazano mu fotel i dostał coś do picia. Potem kobiety opuściły pole.

Xander odwrócił wzrok od meczu w telewizji i uśmiechnął się do Bo, odsłaniając zęby.

- Jak już poślubisz moją siostrę, możesz zburzyć ścianę między dwoma domami. Będziecie mieli dużo miejsca na pięcioro albo sześcioro dzieci.

Bo czuł, jak mu szczeka opada, i zachrypiał coś niewyraźnie. Poza tym w pokoju słychać było tylko zdawkowy komentarz sprawozdawcy meczu.

Nagle Xander ryknął śmiechem, trącając swojego ojca stopą w nogę.

- Mówiłem, że będzie zabawa. Wygląda, jakby połknął całą główkę czosnku.

Gib dalej patrzył w ekran.

- Masz coś przeciwko dzieciom?

- Co? Nie. - Rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju. - Ja? Nie.

- Dobrze. To masz moje. - Xander wstał i sztywniejącemu z przerażenia Bo położył dziecko na kolanach. - Zaraz wracam.

- A, no dobrze. - Patrzył na niemowlę z góry, a ono wlepiło w niego swoje długie, ciemne oczy. Ponieważ dosłownie bał się ruszyć, przeniósł wzrok na Giba. Wiedział, że ma w oczach strach, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Co, nigdy nie trzymałeś dziecka?

- Nie takiego małego.

Maluch na podłodze wykazał zainteresowanie.

- One prawie nic nie robią. Moja mama będzie miała jeszcze jedną dzidzie. Lepiej, żeby to był brat. - Obejrzał się groźnie na ojca.

- Robiłem, co mogłem, mały - odezwał się Jack.

- Mam już małą siostrę - chłopiec informował dalej Bo. - Ona lubi lalki dzidzie.

Chwytając ideę, Bo pokręcił głową ze współczuciem.

- To okropne - powiedział.

Najwyraźniej wyczuwając braterską duszę, chłopak wspiął się na poręcz fotela.

- Jestem Anthony. Mam pięć i pół roku i żabę Nemo, ale Nana nie lubi, kiedy ją przynoszę na kolację.

- Dziewczyny są takie dziwne.

Dziecko na jego podołku pisnęło i zapłakało. Według Bo był to raczej wrzask. Bez większej nadziei zakołysał nogami.

- Możesz go podnieść - odezwał się Ryan. - Musisz tylko podłożyć mu rękę pod głowę, bo ma jeszcze wiotką szyję. Potem zarzuć go na bark i poklep po plecach. One to lubią.

Niemowlę darło się dalej, a ponieważ nikt nie pospieszył mu na pomoc (sadyści!), Bo z niechęcią wsunął dłoń pod głowę niemowlęcia.

- Tak, właśnie tak - pouczał go ekspert od niemowląt. - A drugą podłóż mu pod pośladki. Uważaj, żeby ci się nie wysunął.

Poczuł, że pot spływa mu po plecach ze strachu. Dlaczego dzieci rodzą się takie małe? I głośne. Czy nie można lepiej rozwiązać problemu przedłużania gatunku ludzkiego?

Wstrzymując oddech, podniósł, wpasował i ułożył dziecko pionowo, a gdy wycie zredukowało się do kwilenia, położył je z powrotem.

W kuchni Fran ubijała jajka w misce, Reena kroїła warzywa, a Bianca polewała kurczaka olejem. Dla Reeny była to jedna z tych pięknych chwil w przyjaznym i swojskim gronie kobiet z rodziny.

Przez otwarte drzwi kuchenne wpadał ciepły powiew wiatru, kuchnię przepelniały zapachy potraw i perfum. Kwiaty od Bo stały pięknie ułożone w wysokim szklanym wazonie, a siostrzenica Reeny pracowicie bębniła łyżką w dużą plastikową miskę.

Praca i związane z nią stesy zostały w innym świecie. Gdy przebywała w tym domu, jakaś jej cząstka wciąż była dzieckiem - i zawsze będzie. To dawało komfort. Druga część była kobietą - i to napełniało ją dumą.

- An przyjdzie tu, jak tylko skończy w przychodni. - Bianca zamknęła piekarnik i wyprostowała się. - Bella jak zwykle się spóźni. Ale niech popatrzę na ciebie. - Położyła ręce na biodrach najmłodszej córki i przyjrzała się jej. - Wyglądasz na szczęśliwą.

- Dlaczego nie miałabym być?

- Ma blask w oczach - orzekła Fran i odstawivszy miskę na bok, wychyliła się na tyle, na ile pozwalał jej brzuch. - Jak to poważne?

- Powolutku.

- Jest namiętny, co? - Fran odsunęła się, wzduszając ramionami. - Nie mogę myśleć, że jest namiętny? Do tego ma to spojrzenie małego psiny, więc masz jednocześnie i namiętność, i słodycz. Mężczyzna jak cukierek.

- Fran! - wykrzyknęła Reena, śmiejąc się i robiąc wielkie oczy ze zdziwienia. - Co ty wygadujesz?

- To nie ja. To hormony.

- Gdziekolwiek spojrzę, same ciężarne. Parę dni temu widziałam się z Giną. Wtrąbiła ćwiartkę trzydniowego ciasta.

- U mnie to oliwki. Mogłabym zjeść beczkę oliwek. Po prostu biorę słoik za słoikiem i... - Fran pokazała, jak wsypuje je do ust.

- Przy moich wszystkich ciążyach to były chipsy ziemniaczane. - Bianka sprawdziła garnek na kuchni. - Co wieczór paczka ruffles. Przez dziewięć miesięcy razy cztery. Święta Mario, ile to ziemniaków! - Obeszła dookoła blat, ujęła ręką brodę Reeny i leciutko nią potrząsnęła. - Cieszę się, że wyglądasz na szczęśliwą. Podoba mi się ten Bo. Myślę, że to ten jedyny.

- Mamo...

- Myślę, że to ten jedyny - ciągnęła Bianca, niezrażona — nie tylko dlatego, że dodał blasku twoim oczom, nie tylko dlatego, że patrzy na ciebie, jakbyś była najbardziej fascynującą kobietą na świecie, ale dlatego, że twój ojciec patrzy na niego przenikliwym wzrokiem. A on ma radar. „Co, ten facet myśli, że zabierze mi córkę? Zastanowimy się nad tym!”

- A gdzie on mnie zabierze? Na Marsa? Mieszka po sąsiedzku.

- Przypomina ojca. - Uśmiechnęła się, widząc zmarszczone brwi Reeny. - Silny i pewny, namiętny i słodki - dodała, puszczając oko do Fran. - Na to właśnie, moja dziecinko, czekałaś.

Zanim Reena zdołała odpowiedzieć, weszła An z Dillonem na ramieniu.

- Przepraszam za spóźnienie. O czym plotkujecie?

- O chłopaku Reeny.

- Złoty chłopiec. Dillon dał mu porządnie w kość. Zniósł to po bohatersku. - Usiadła na stole, rozpięła bluzkę i nakierowała usta dziecka na pierś. - Tata wypytuje Bo o jego biznes - dodała, ale zaraz powstrzymała Reenę gestem. - Nie, zostaw go. Da sobie radę. Mamo Bi, myślę, że możesz mieć ten taras na tyłach lokalu, o który zabiegasz.

- Och, naprawdę? - Bianca uderzyła łyżką w garnek. - Lubię, gdy moje dzieci przyprowadzają na kolację pożytecznych ludzi.

Xander zajrzał i oznajmił:

- Hej! Idziemy na chwilę do sklepu.

- Jedzenie będzie za godzinę. Jeśli do tego czasu nie wrócicie i nie siądziecie za stołem, znokautuję was tym cedzakiem.

- Tak jest, proszę pani.

- Weźcie dziecko. - Fran pochyliła się i podniosła córeczkę.

- Jasne. - Xander posadził siostrzenicę na biodrze, gdzie sobie podskakiwała i coś paplała. - Reeno, ten facet jest OK.

- Ojej, dzięki - odparła, ale brat już zniknął w drzwiach. - Spotykamy się dopiero od kilku tygodni.

- Kiedy coś jest dobre, to jest dobre. - Bianca przeniosła do zlewu paprykę, żeby ją umyć.

Ulicę dalej Bo stał z Gibem, Xandrem, Jackiem i dziećmi. Oceniał teren na tyłach Sirico's, z jego skąpym obecnie miejscem ze stolikami na zewnątrz, i przestrzeń komunikacyjną między nimi a drzwiami.

- Bianca chce raczej taras - objaśnił Gib. - W stylu włoskim, może kafelki z terakoty. Uważam, że łatwiej, szybciej i taniej byłoby dać prasowane drewno, ale ona nalega na kafelki. Może płytka łupkowa.

- Tak. Bardzo łatwo można zrobić drewniany taras. Wychodziłby stamtąd, pod kątem. Można wykończyć imitacją... czegoś włoskiego, no wiecie, coś w rodzaju fresku ściennego, lub pomalować tak, żeby wyglądało jak kafelki lub kamień.

- Fresk. - Gib ściągnął usta. - To może jej pasować.

- Ale...

- Oho - zaśmiał się Xander, kołysząc się na piętach. - W tym „ale” słyszę brzęk mamony.

- Ale - powtórzył Bo, mierząc krokami powierzchnię ewentualnego tarasu, żeby się pobieźnie zorientować. - Jeśli się na to zdecydujecie, możecie pójść jeszcze dalej, zrobić kafelki i urządzić rodzaj letniej kuchni. Macie otwartą kuchnię w środku, a tu na zewnątrz może być jej odbicie - mniejsze i bardziej swobodne.

- Co rozumiesz przez „letnią kuchnię”?

Bo spojrział na Giba, który słuchał uważnie, lecz trochę nieufnie.

- Możecie tu postawić drugi piec, urządzić stanowisko do gotowania. Oddzielić te dwie strony ażurem ewentualnie zasadzić na tym jakieś pnącze i zrobić rodzaj pergoli, po której pięłoby się ono do góry i na dach. Zwykle listwy. Będą dochodziły promienie

słoneczne, ale rozproszone, więc nawet upał i spiekota nie odstraszą wam klientów.

- To bardziej rozbudowane, niż zamierzałem.

- Dobrze, no to możecie tylko powiększyć to, co już jest, zmienić nawierzchnię lub...

- Ale dokończ tamto. Pergola.

Xander trącił Jacka łokciem i rzucił półgłosem:

- Złapał go.

- No, zaraz... - Bo poklepał się po kieszeniach i ciągnął: - Czy ktoś ma coś do pisania?

W końcu zadowolił się papierową serwetką, którą położył na plecach Jacka, i naszkicował zarys projektu.

- Chryste, mama umrze z zachwytu. Tato, ale cię robią na perłowo.

Gib oparł łokieć na ramieniu Xandra i pochylił się nad rysunkiem.

- Ile coś takiego by mnie kosztowało?

- Taka konstrukcja? Mogę to skalkulować. Ale najpierw muszę dokładnie zmierzyć.

- Tam z tyłu gotowe? Też chciałbym zobaczyć. - Jack odwrócił się i obejrzał serwetkę, po czym podniósł wzrok na teścia. - Na perłowo. Jedyne wyjście to kazać mu zjeść tę serwetkę, zabić go i pozbyć się ciała.

- Już o tym myślałem, ale spóźnilibyśmy się na kolację. - Gib westchnął. - Lepiej chodźmy i pokażmy jej to. - Poklepał Bo po plecach i uśmiechnął się z ożywieniem. - Zobaczymy, jak długo będzie żył po zrobieniu kalkulacji.

- On żartuje, co? - zapytał Bo Xandra, gdy Gib ruszył z powrotem.

- Oglądasz czasem rodzinę Soprano?

- On nawet nie jest Włochem. - I nawet wyglądał jak zwykły, miły facet, niosący wnuczkę chodnikiem w stronę domu.

- Nie mów mu tego, myślę, że sam o tym nie pamięta. Tylko się z tobą droczy. A co do tego miejsca? - Zatrzymał się przed lokalem. - Dla mojego ojca hierarchia ważności to nasza matka, później dzieci i ich dzieci, jego rodzina, a potem to miejsce. To nie tylko biznes. Podobasz mu się.

- Skąd wiesz?

- Jeśli nie podoba mu się ktoś, kogo Reena przyprowadza na niedzielną kolację, jest od razu o wiele bardziej uprzejmy.

- A to dlaczego?

- Gdyby cię nie lubił, nie martwiłby się tobą, bo wytłumaczyłby sobie, że Reena nie potraktuje cię na poważnie. Nie liczyłbyś się. Jeśli tata ma swoje ulubione dziecko, to właśnie Reenę. Między nimi jest coś... specjalnego. O, dotarła już banda Belli. - Pokazał brodą na

najnowszy model mercedesa SUV stojący nieco dalej w ulicy. Pierwsza wyszła smukła dziewczyna, świeżo upieczona nastolatka - jak ocenił Bo - potrząsając lśniąca czupryną pięknych blond włosów do ramion, i ruszyła do domu Hale'ów.

- Księżniczka Sophia - objaśnił Xander. - Najstarsza Belli. Teraz na etapie „jestem piękna i znudzona”. A to Vinny, Magdaleno i Marc. Vince, radca prawny, duży szmal.

- Nie lubisz go.

- Jest w porządku. Daje Belli to, czego ona potrzebuje, pozwala żyć w takim stylu, jaki zawsze uważała za należny sobie. Jest dobrym ojcem. Uwielbia swoje dzieci. To nie typ faceta, z którym siedzi się przy piwie i pieprzy głupoty. I ostatnia, ale nigdy najmniej ważna, Bella.

Bo patrzył, jak Bella wyszła z samochodu, gdy mąż otworzył jej drzwi.

- Macie w swojej rodzinie niezłą kolekcję ładnych kobiet - stwierdził.

- Ano mamy. To nas utrzymuje w formie. Hej, Bella! Pomachał, przebiegł przez ulicę i w uścisku podniósł siostrę do góry.

Poziom hałasu był ogromny. Przypominało to - myślał Bo - wejście na przyjęcie, które osiągnęło swój punkt kulminacyjny kilka lat temu i wcale nie zanosilo się na zmniejszenie natężenia. Podłoga usiana była dziećmi w różnym wieku, między lub ponad którymi przechodzili dorośli.

Reena przycisnęła się do niego i pogładziła ręką po ramieniu.

- Wytrzymujesz? - spytała.

- Na razie tak. Mówili coś, że chcą mnie zabić, ale postanowili tego nie robić, bo zaraz dzwonek na kolację.

- Mamy swoje priorytety - stwierdziła. - A co ty... Przerwała, bo wyszła Bianca, wołając:

- Kolacja!

Nie była to może panika, ale powstało pewne zamieszanie. Najwyraźniej wszyscy byli posłuszni Biance Hale. Posadzono go przy stole między Reeną i An, a potem zgodnie z rodzinnymi zwyczajami podano mu jedzenie, którego by starczyło na tydzień.

Płynęły wino i konwersacja. Nikt się nie przejmował, gdy mu przerywano, zakrzykiwano go lub nawet ignorowano. Każdy miał coś do powiedzenia i musiał to zrobić wtedy, kiedy chciał.

Nie obowiązywały żadne ustalone konwencje. Jeśli chcieli mówić o polityce, to mówili. Tak samo o religii, jedzeniu, biznesie. I bezlitośnie wypytywali go o Reenę.

- No więc... - Bella podniosła kieliszek. - Jak stoisz z Catariną Bo?

- A, jakieś dziesięć centymetrów wyżej. Posłała mu przez stół przewrotny uśmiech.

- Ostatni, którego przyprowadziła do domu...

- Bella - zgromiła ją Reena.

- Ostatni, którego przyprowadziła do domu, był aktorem. Orzekliśmy, że umiał zapamiętywać swoje role, bo nic innego nie miał w swojej pustej głowie.

- Kiedyś chodziłem z taką dziewczyną - odparł wesoło Bo. - Była w stanie powiedzieć, w co kto był ubrany na - powiedzmy - rozdaniu Oscarów, ale nie bardzo wiedziała, kto jest aktualnie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Bella jest dobra i w jednym, i w drugim. Ma wiele talentów - wtrącił Xander. - Vince, jak tam ręka twojej mamy?

- O wiele lepiej. W przyszłym tygodniu zdejmą jej gips. Moja mama złamała sobie rękę - wyjaśnił Bowenowi. - Spadła z konia.

- To przykre.

- Ale mimo to prawie nie wyhamowała tempa. Niesamowita kobieta.

- Wzór - powiedziała Bella z bardzo słodkim uśmiechem. - A jaka jest twoja mama, Bo? Czy Reena będzie musiała z nią rywalizować, a i tak wyjdzie blado?

W lekki nastrój zebrania wdarło się zgrzytem napięcie.

- Właściwie nie widuję często swojej matki - powiedział.

- Reena ma szczęście. Przepraszam. - Bella odłożyła serwetkę i wybiegła z pokoju.

Chwilę później podniosła się Reena i pomaszerowała za nią.

- Pokażę wam, co Bo wymyślił dla sklepu. - Gib wyjął z kieszeni serwetkę i ją wygładził. - Bianco, pamiętaj, że jestem ojcem twoich dzieci i nie możesz ze mną zerwać z powodu tego faceta, który pasjonuje się wymachiwaniem młotkiem. Podaj to dalej - powiedział do Fran.

Bella złapała swoją płaską torebkę i wypadła na zewnątrz przez drzwi kuchenne, a tuż za nią Reena.

- Co się z tobą dzieje, do licha?

- Ze mną nic. Chciałam zapalić papierosa. - Wyjęła papierośnicę zdobioną klejnotami, wysunęła z niej papierosa i zapaliła zapalniczką od kompletu. - Przecież wiesz, że w domu nie można palić.

- Dokuczałaś Bo.

- Nie więcej niż innym. - Zaciągnęła się dymem i szybko go wypuściła.

- Owszem, więcej, wiesz o tym dobrze. O co chodzi, Bellu?

- O nico. Czy ciebie cokolwiek obchodzi? Popieprzysz się z nim przez kilka tygodni i

będzie następny. Jak zwykle.

Reena ze złości odepchnęła siostrę dwa kroki w tył.

- Nawet gdyby to była prawda, to moja sprawa.

- No to pilnuj swoich spraw, w tym jesteś najlepsza. Wyszłaś tu ze mną porozmawiać tylko dlatego, że jesteś wkurzona. Poza tym nic cię nie obchodzi.

- Bzdury. Oddzwoniłam do ciebie, nawet dwa razy. Zostawiłam dwie wiadomości.

Bella jeszcze się odsunęła, choć nieco wolniej. Ręce jej się trzęsły.

- Wcale nie miałam ochoty z tobą rozmawiać.

- To dlaczego zadzwoniłaś?

- Bo wtedy właśnie chciałam. - Odwróciła się i głos jej się załamał. - Potrzebowałam z kimś porozmawiać, a ciebie nie było.

- Nie mogę tam być całutki boży dzień, wyczekując na twój kolejny dołek, Isabello.

Tego nie ma w regulaminie sióstr.

- Nie bądź dla mnie niedobra. - Odwróciła się z powrotem ze łzami w oczach. - Proszę, nie bądź dla mnie niedobra.

U Belli łzy zdarzają się często - pomyślała Reena. Ale ci, którzy ją znają, wiedzą, kiedy to jest ze złości, kiedy na pokaz, a kiedy naprawdę. Te były prawdziwe.

- Skarbie, co się stało? - Podeszła i objęła Bellę w pasie, żeby ją zaprowadzić do ławki na skraju patio.

- Reeno, nie wiem, co robić. Vince ma romans.

- Och Bellu. - Nachyliła się i objęła ją mocniej. - Tak mi strasznie przykro. Jesteś pewna?

- Ma je już od lat.

- O czym ty mówisz?

- O innych kobietach. Miał je prawie od początku. Tylko że... Robił wszystko, żeby to przede mną ukryć. Zachować dyskrecję. Przynajmniej udawać, że mnie kocha. Teraz już mu na tym nie zależy. Wychodzi wieczorami dwa, trzy razy w tygodniu. Kiedy go pytam, mówi, żebym sobie poszła coś kupić i dała mu spokój.

- Bellu, nie musisz tego tolerować.

- A jaki mam wybór? - spytała z goryczą.

- Jeśli on sypia z innymi kobietami i nie zależy mu na waszym małżeństwie, powinnaś od niego odejść.

- I być pierwszą w rodzinie, która weźmie rozwód?

- On ciebie okłamuje.

- Okłamywał. Gdy się okłamuje, próbuje się to przynajmniej ukryć. Teraz on już się z tym afiszuje, robi to na moich oczach. Próbowałam o tym porozmawiać z jego matką, on jej słucha. I wiesz co? Wzruszyła ramionami. Jego ojciec cały czas miał kochanki. Wielka sprawa? Jak jest się żoną, ma się wszystkie korzyści. Dom, dzieci, karty kredytowe, status społeczny. Reszta to tylko seks.

- To idiotyczne. Rozmawiałaś z mamą?

- Nie mogę. Ty też jej nie mów. - Ścisnęła dłoń Reeny, powstrzymując łzy. - Ona... Boże, Reeno, czuję się taka głupia, taka do niczego. Wszyscy są tacy szczęśliwi, a ja... nie. Fran i Jack, Xander i An, teraz ty. Zainwestowałam w to małżeństwo trzynaście lat. Mam czworo dzieci. I już go nawet nie kocham.

- O Boże, Bellu.

- Nigdy nie kochałam. Myślałam, że kocham. Myślałam, Reeno. Miałam dwadzieścia lat, a on był taki przystojny i sympatyczny. No i bogaty. Tego wszystkiego pragnęłam. To przecież nic złego. Ja byłam wierna.

- A może zgłosisz się do poradni rodzinnej? Westchnęła i zapatrzyła się w dal, poza patio i dom, w którym się wychowała.

- Chodzę do terapeutki od trzech lat. Pewne tajemnice potrafię zachować dla siebie. Ona twierdzi, że robimy postępy. Zabawne, ale ja tego nie czuję.

- Bellu! - Reena pocałowała jej włosy. - Bellu, masz rodzinę. Nie musisz tego przeżywać w samotności.

- Czasami muszę. Fran jest tą słodką, ty jesteś tą mądrą. Chociaż Fran jest ładniejsza, ja byłam tą ładną bo więcej się o to starałam. W to zainwestowałam i proszę, co teraz mam.

- Zaslugujesz na coś lepszego.

- Może tak, może nie. Ale nie wiem, czy potrafię z tego zrezygnować. Reeno, on jest dobrym ojcem i umie utrzymać rodzinę.

- Co ty opowiadasz? To oszust i zaszran cudzołożnik. Bella zaśmiała się beznamiętnie, zgasła papierosa i objęła Reenę.

- Dlatego zadzwoniłam do ciebie, że nie mogłam do nikogo innego. Po prostu, Reeno. Bo ty byś mi właśnie coś takiego powiedziała. Może to jest częściowo moja wina, ale nie zasługuję na to, żeby mój mąż wychodził z mojego łóżka i siedł do łóżka innej.

- Do diabła, nie zasługujesz.

- Dobrze. - Wyjęła z torebki chusteczkę ligninową i osuszyła twarz. - Porozmawiam z nim jeszcze raz. - Otworzyła puderniczkę i poprawiła policzki. - Omówię też tę sprawę z moją terapeutką. I może wstępnie skontaktuję się z prawnikiem.

- Ze mną zawsze możesz rozmawiać. Czasem nie będzie mnie w domu, gdy zadzwonisz, ale zawsze oddzwonię. Obiecuję.

- Wiem. Boże, zobacz, co ja z siebie zrobiłam. - Wyjęła szminkę. - Przepraszam, że mu dokuczałam. Obiecuję, że ci to zrekompensuję. I jemu. To miły chłopak - tak mi się przynajmniej wydaje. To właśnie tak mnie nabuzowało.

- Już dobrze. - Reena pocałowała ją w policzek. - Będzie dobrze.

- Powiedz mi jedną rzecz - zapytał Bo, gdy wracali do domu. - Jak wypadłem na tym przesłuchaniu?

- Bardzo cię przepraszam - spojrzała z ukosa - za to przepytywanie, egzaminowanie, żądanie wyników badań krwi...

- Jutro zrobię. Poklepała go po ramieniu.

- Jesteś w porządku, Goodnight.

- Tak, ale czy zdałem?

Popatrzyła na niego i stwierdziła, że pyta poważnie.

- Powiedziałaabym, że śpiewająco. Przepraszam cię, zwłaszcza za Bellę przy stole.

- Nic takiego.

- To było niegrzeczne i niepotrzebne, ale nie skierowała tego do ciebie. Zdenerwowała się z zupełnie innego powodu. Ma teraz duże kłopoty, o których dopiero dziś się dowiedziałam.

- Nic się nie stało.

- Moja mama nie spocznie, dopóki nie będzie miała tej pergoli.

- Czy twój ojciec mnie pobije, gdy dostanie kosztorys?

- To zależy od kosztorysu. - Wzięła go pod rękę. - Wiesz co, jak byłam mała, marzyłam o tym, że idę do domu w ciepłą letnią noc z fajnym facetem, który mówi, że za mną szaleje.

- Na pewno nie jestem pierwszym, który spełnia to twoje marzenie, więc postaram się, żeby tym razem było niezapomniane.

- Jesteś pierwszym.

- Żartujesz.

- Nie. Kiedyś, gdy... - Przerwała. - Ale, ileż ja ci tu zdradzam swoich mrocznych sekretów?

- Wszystkie. Kiedyś, gdy...?

- Gdy miałam jedenaście lat, byłam taka pewna, że kiedy zostanę nastolatką, wszystko mi się poukłada. Moje ciało, chłopcy, życie towarzyskie, chłopcy, chłopcy. Chłopcy. Potem zostałam nastolatką i nic się nie poukładało. Częściowo, jak sądzę, przez tamtą noc, gdy wybuchł pożar w Sirico's.

- Słyszałem o tym. Ludzie w okolicy wciąż o tym mówią. Jakiś facet miał pretensje do twojego ojca i próbował was puścić z dymem.

- To skrócona wersja. Dla mnie tamtego lata wszystko się zmieniło. Chciałam się uczyć i zadreślałam tym Johna Mingerę, inspektora pożarnictwa, który badał naszą sprawę. Kręciłam się przy straży pożarnej. Zanim poszłam do szkoły średniej, byłam już maniaczką.

- Niemożliwe.

- A jednak. Byłam pilna, wysportowana, posłuszna, nieśmiała wobec chłopców - wymarzona koleżanka na zajęciach, do wspólnej nauki, do wysłuchiwania zwierzeń, ale nie do zaproszenia na bal. W szkole średniej zostałam prymuską, ukończyłam ją na trzecim miejscu w naszym roczniku. Ale liczbę zaliczonych randek mogłam policzyć na palcach jednej ręki. I wciąż tęskniłam.

Położyła rękę na sercu i westchnęła wymownie.

- Podobał mi się chłopak, który siadał obok mnie na sprawdzianie z chemii, żeby mi pomógł, albo ten, który zwierzał mi się z kłopotów ze swoją dziewczyną. Chciałam być jedną z tych dziewczyn, które umiały się ustawić, przygadać sobie chłopaków, flirtować i kręcić z czterema naraz. Obserwowałam je, zapisywałam, ćwiczyłam w zaciszu swojego pokoju. Ale nigdy nie zebrałam się na odwagę, żeby odegrać to naprawdę. Dopiero tamtego wieczoru z Joshem, kiedy mnie zauważyłeś. Wreszcie tego dokonałam.

- Dostrzegł to, czego inni nie widzieli.

- Ładnie to ująłeś.

- To proste. Ja też to widziałem.

Za obopólną milczącą zgodą skręcili do jego domu.

- Po Joshu coś się we mnie zatrzasnęło, przynajmniej na jakiś czas. - Bo otworzył drzwi i weszli do środka. - Nie chciałam mieć więcej chłopaka. Ogień chciał już zabrać nasz rodzinny skarb, naszą spuściznę, a teraz zabrał życie pierwszemu chłopakowi, który mnie dotykał. To mnie powaliło. Na wiele miesięcy skoncentrowałam się tylko na studiach i pracy. Gdy miałam odpowiedni nastrój, przygarniałam jakiegoś chłopaka, było nam fajnie. I pa, pa.

Weszła do salonu, sama nie wiedząc, kiedy jej zdawkowe uwagi o przeszłości przerodziły się w tak poważne wynurzenia.

- Nie było ich wielu i nic dla mnie nie znaczyli. Zresztą wcale tego nie chciałam. Pragnęłam pracować, pogłębiać wiedzę w swoim zawodzie. Kursy podyplomowe, szkolenie, praca w terenie, w laboratorium. Ogień był też we mnie i nie pozwalał nikomu za bardzo się zbliżyć.

Głęboko odetchnęła.

- Był jeszcze jeden chłopak, do którego poczułam coś cieplejszego. Właśnie krążyliśmy wokół siebie, zastanawiając się, co z tym zrobimy. I on został zabity.

- Los cię ciężko doświadcza. Aż trudno sobie to wyobrazić.

- Sam widzisz. Gdy się nad tym zastanawiam, myślę, że przez to zgorzkniałam. Jeśli tylko za bardzo się do kogoś zbliżam, na kim mi zależy, zaraz go tracę.

Siedział obok, trzymając ją za rękę i bawiąc się jej palcami. Zabawa z ogniem - pomyślał.

- Czy coś się zmieniło?

- Boję się, że to ty.

- Boisz się?

- Tak, trochę. Coś się zmieniło lub się zmienia, więc muszę ci uczciwie powiedzieć, że to, co się dzieje między nami, powinno wykluczać inne związki. Jeśli chcesz się spotykać z innymi kobietami, to nie ze mną.

Podniósł wzrok z jej rąk i ich oczy się spotkały.

- Spotykam się jedynie z tobą.

- Jeśli to się zmieni, proszę, żebyś mi powiedział.

- Dobrze, ale...

- Wystarczy „dobrze”. - Obróciła się i usiadła mu na kolanach. - Zostawmy to na razie tak.

Wyglądało to jak typowy pożar w kuchni. Straszny bałagan, wszystko zasmolone dymem, niegroźne poparzenie.

- Żona przygotowuje kolację, smaży kurczaka na kuchence gazowej, wychodzi na minutę, tłuszcz się zajmuje ogniem, od niego zasłony. - Steve wskazał głową nadpalony blat, czarne ściany i zwęglone resztki zasłonek w oknach.

- Jak twierdzi, wydawało jej się, że przykręciła gaz, ale musiała go chyba odkręcić, poszła do łazienki, potem odebrała telefon. Nie myślała o tym, dopóki nie usłyszała alarmu pożarowego. Próbowwała sama ugasić, poparzyła rękę, przestraszyła się, uciekła i zadzwoniła na dziewięćset jedenaście od sąsiadów.

- Uhm. - Reena przeszła po pokrytej sadzą podłodze, żeby obejrzeć ślady wypaleń na kafelkach pod szafkami. - Straż pożarna przyjechała około czwartej trzydzieści...

- Czwarta trzydzieści sześć.

- Wcześniej na gotowanie. - Popatrzyła na ladę, na okropny ślad wypalony przez palący się tłuszcz. - A więc? Mówi, że chwyciła patelnię i tłuszcz jej się wylał, po czym ją upuściła. - Pochyliła się jeszcze bardziej nad patelnią, przesiąkniętą zapachem nasączonego tłuszczem kurczaka.

- Coś w tym guście. Mówiła dość niespójnie. Sanitariusze opatrywali jej rękę. Ma

poparzenia drugiego stopnia.

- Pewnie była zbyt przestraszona, żeby użyć tego. - O'Donnell klepnął w podręczną gaśnicę wiszącą na ścianie w szafce na szczotki.

- Dużo płomieni, doszły aż do zasłon - komentowała Reena. - Kurczak smażył się tutaj, daleko od okna. - Stała przy kuchence. - To jakiś cwany ogień, że wyskakuje z patelni prosto na zasłony oddalone o pół metra. I to musi być rzeczywiście niechlujna kucharka. - Pokazała na blat kuchenki. - Tłuszcz spływa aż tu na tył, zakręca i oblewa ścianę. Jakby miał oczy. A potem, o mój Boże, co ja zrobiłam! Chwytam patelnię i macham nią pół metra w drugą stronę, rozlewając jeszcze więcej tłuszczu, zanim ją upuszczam i uciekam.

O'Donnell uśmiechnął się do niej.

- Ludzie robią różne szalone rzeczy.

- Jasne, że tak. Rozpadające się szafki - wyliczała - blat wyblakły, porysowany, sprzęt kuchenny tani i stary. Winyłowa podłoga pamiętała lepsze czasy, nawet przed pożarem.

Rozejrzała się po kuchni.

- Telefon wisi tu, na ścianie. Bezprzewodowy. Gdzie ta łazienka, do której poszła?

- Mówi, że udała się do tej obok salonu - odparł Steve. Skierowali tam swoje kroki.

- Tutaj są ładne meble - zauważyła Reena. - Nowe. Wszystko w dobranym kolorze, czyste i schludne. Tu jest drugi telefon bezprzewodowy, na tym małym stoliku.

Weszła do małej toalety.

- Pasujące ręczniki dla gości, małe fantazyjne mydełka, cytrynowy zapach i urządzone jak z żurnala. Założę się, że ta kuchnia była jej solą w oku.

- Uwierała jak za ciasny but - dodał O'Donnell. Reena uniosła klapę sedesu i ujrzała niebieską wodę.

- Kobieta, która utrzymuje dom w takiej czystości, tak ładnie urządzone, nie zapuszcza w ten sposób kuchenki. Tu się zgadzamy, co, Steve?

- O tak.

- Myślę, że musimy z nią porozmawiać.

Siedzieli w ładnym saloniku, Sarah Greene z obandażowanymi rękami na kolanach i twarzą opuchniętą od płaczu. Miała dwadzieścia osiem lat, jej lśniąca brązowa włosy związane były z tyłu w duży ogon. Obok siedział jej mąż Sam.

- Nie rozumiem, po co tu policja - zaczął. - Już rozmawialiśmy ze strażakami. Sarah ciężko to przeszła. Naprawdę powinna teraz odpocząć.

- Musimy zadać tylko kilka pytań, wyjaśnić parę rzeczy. Pracujemy dla straży pożarnej. Jak ręce, pani Greene? - zapytała Reena.

- Powiedzieli mi, że nie najgorzej. Dali coś przeciw bólowi.
- Gdy pomyślę, co mogłoby się stać... - Sam pogłaskał żonę po ramieniu.
- Przepraszam. - Oczy jej się zaszklily. - Czuję się tak głupio.
- Ogień to straszna rzecz. Pani pracuje w Barnes and Noble, prawda?
- Tak. - Próbowwała się uśmiechnąć do O'Donnella. - Jestem tam kierowniczką. Dziś mam wolne. Chciałam zrobić Samowi niespodziankę i ugotować coś w domu. - Usta jej się skrzywiły. - Niespodzianka.

- Kochanie, proszę.

- Wcześniej pani zaczęła - zauważyła policjantka.

- Chyba tak jakoś odruchowo, naprawdę.

Chyba nie — pomyślała Reena. Opakowanie po kurczaku, które wygrzebała ze śmieci w kuchni, oraz znaleziony przy nim paragon ze sklepu wskazywały, że został kupiony w poprzednią sobotę.

Oznaczało to, że kurczak musiał być przechowywany kilka dni w zamrażalniku, a rozmrożenie go musiało zająć jakiś czas.

- Ma pani piękny dom - powiedziała.

- Dziękuję, Kupiliśmy go dwa lata temu i cały czas urządzamy.

- Ja też niedawno kupiłam dom w szeregowcu. On aż krzyczy, żeby go odświeżyć, urządzić na nowo. To wymaga dużo czasu i wysiłku, już nie mówiąc o kosztach.

- Nie musi mi pani mówić. - Sam wzniósł oczy do nieba. - Robisz jedną rzecz, a już wychodzi sześć następnych. Jak domino.

- Otóż to. Zaczynam się rozglądać za próbkami farby. Jednocześnie uświadamiam sobie, że jak pomaluję, muszę także zmienić zasłony, odnowić podłogi, zacząć kupować nowe meble. Będę miała wtedy na głowie robotników - może całymi tygodniami.

- Jakbym przy tym był - zgodził się Sam.

- Ale jeśli chce się tam mieszkać, dlaczego nie zrobić tego, co się chce? - Mówiąc to, Reena zwróciła się z uśmiechem do młodej kobiety. - To w końcu twój dom.

Sarah zacisnęła wargi i unikała wzroku policjantki.

- Proszę jej nie nakręcać - rzekł Sam ze śmiechem i pochylił się, żeby pocałować żonę w policzek.

- Muszę chyba przygotować jakiś kosztorys, przynajmniej na te rzeczy, których nie zrobię sama. - Reena zdawała się prowadzić swobodną pogawędkę. - Hydraulika, stolarka. No i kuchnia - to zwykle największe obciążenie dla budżetu. Przygotowaliście jakieś kalkulacje dla waszej?

- Tak, dwa tygodnie temu. Dwadzieścia pięć tysięcy. - Sam pokręcił głową. - Gdybyśmy chcieli mieć wszystko robione na miarę, z solidnymi blatami, może być dwa razy więcej. - Machnął ręką. - Proszę mnie nie nakręcać.

- To trudno znieść: prawie cały dom urządzony tak, jak się chce, a kuchnia stara i niemodna, prawda, pani Greene? Okropnie odstaje.

- Myślę, że teraz ją zrobimy - oznajmił Sam, otaczając żonę ramieniem. - Nie ma tego złego... Ubezpieczenie pokryje dużą część kosztów. Szkoda tylko, że Sarah ucierpiała.

Delikatnie uniósł jej obandażowaną rękę za nadgarstek i ucałował bandaż. A ona znów zaczęła płakać.

- No, kochanie, nie jest tak źle. Nie płacz. Czy jeszcze boli?

- Sarah - powiedziała cicho Reena - jeśli nie wystąpi pani o odszkodowanie, można będzie sprawę odpuścić. W przeciwnym wypadku będzie to próba wyłudzenia. To przecież podpalenie. Przestępstwo.

- O czym pani mówi? - W pytaniu Sama pobrzmiwał gniew. - Co to ma znaczyć, do diabła? Wyłudzenie? Podpalenie? Czy tak traktujecie ludzi poszkodowanych?

- Próbujemy wam ułatwić sprawę - odparł mu O'Donnell. - Obojgu. Mamy powody przypuszczać, że ten pożar nie zaczął się dokładnie tak, jak pani to przedstawiła. Jeśli trafi na kolejny szczebel, do waszej firmy ubezpieczeniowej, już nie będziemy mogli wam pomóc.

- Proszę, żebyście już wyszli. Moja żona jest obolała. Siedzicie tu i usiłujecie jej wmówić, że zrobiła to specjalnie. Postradaliście zmysły.

- Ja tego nie chciałam.

- Oczywiście, że nie, kochanie.

- Ja tylko chciałam mieć nową kuchnię. Reena wyjęła z torebki chusteczki i podała jej.

- Więc to pani wznieciła ten ogień.

- Ona nie...

- Byłam wściekła - przerwała Sarah i zwróciła się do zdumionego męża. - Byłam taka wściekła na ciebie, Sam. Nienawidziłam tam gotować i zapraszać znajomych. Mówiłam ci, ale powtarzałeś, że to w tej chwili za wiele i musimy poczekać, i masz już dosyć rozbabranego domu.

- O mój Boże, Sarah!

- Nie przypuszczałam, że tak to będzie wyglądać. Przepraszam. To okazało się takie straszne i byłam tak przerażona. Naprawdę wpadłam w panikę - mówiła do Reeny. - Myślałam, że mogą się spalić zasłonki i część blatu, ale to się działo tak strasznie szybko, że straciłam głowę. Kiedy drugi raz podniosłam patelnię, po tym, jak ją postawiłam na blacie,

była taka gorąca, że poparzyła mi ręce. Bałam się, że cały dom się spali, i uciekłam, pobiegłam do sąsiadów. Byłam okropnie przerażona. Tak bardzo żałuję.

- Sarah, mogłaś umrzeć... Z powodu kuchni? - Przygarnął ją łkającą i znalazł jej głowy zapewnił Reenę: - Nie wystąpimy z roszczeniem. Proszę, nie oskarżajcie jej, dobrze?

- To pana dom, panie Greene. - O'Donnell wstał. - Dopóki nie ma próby wyłudzenia pieniędzy, nie ma też i przestępstwa.

- Sarah, ludzie robią różne głupstwa. - Reena dotknęła jej ramienia. - Ale ogień jest nieubłagany. Więcej nie będzie pani próbować. - Wyjęła wizytówkę i położyła na stoliku. - Proszę dzwonić w razie jakichś pytań lub jeśli pani odczuje potrzebę porozmawiania. Być może to nie moja sprawa, ale gdy już państwo dojrzejecie do zrobienia remontu, znam kogoś, kto mógłby dać tańszą ofertę.

- Ludzie - skwitował O'Donnell, gdy szli do samochodu.

- Czułam się trochę tak, jakbym drażniła kijem szczeniaka. - Obejrzała się na dom. - Być może będą w stanie obrócić to w żart, a tragedia z upływem czasu zmieni się w komedię. Och, jak my uwielbiamy te nasze blaty! Mamy je dzięki temu, że Sarah podpaliła stare. Albo w ciągu dwóch lat się rozejdą. Co sądzisz o rozwodzie, O'Donnell?

- Nigdy go nie brałem. - Usadowił się na miejscu pasażera, - Żona mi nie pozwala.

Reena parsknęła śmiechem i usiadła za kierownicą.

- Okropnie surowa. W naszej rodzinie też jesteśmy pod tym względem bezkompromisowi. To tradycja katolicka, ale też i rodzinna. Niektórzy z naszych kuzynów mieli burzliwe okresy w swoich małżeństwach, ale jakoś do tej pory przetrwali. Trochę przeraża mnie związanie się świętym węzłem małżeńskim - to już brzmi bardzo poważnie.

- Myślisz o zaobrączkowaniu się? Stolarz?

- Nie. No tak, stolarz, ale nie, nie chcę się zaobrączkować. Tak sobie rozmyślałam ogólnie. - Trochę się wahała, ale w końcu partner to partner, jak rodzina. - Moja siostra Bella powiedziała mi, że mąż ją zdradza. Robił to prawdopodobnie od lat, a teraz już się z tym nie kryje.

- Przykre.

- Ty czasem oszukujesz?

- Nie. Żona mi nie pozwala.

- A to jęcza. - Reena westchnęła. - Nie wiem, co ona ma biedna zrobić. Przede wszystkim zaskoczyło mnie, że nie rozpałała wszystkim, tylko do tej pory zachowała to dla siebie.

- To delikatna sprawa.

- W naszej rodzinie żyjemy delikatnymi sprawami. A ona kolejna niespodzianka - chodzi do terapeutki. To mi tylko daje do myślenia, na jaką minę się wchodzi, biorąc ślub. Prawdziwa osobista mina lądowa. Od zdrady po pożar kuchni. Nigdy nie jest nudno.

O'Donnell odsunął siedzenie do tyłu, żeby popatrzeć na jej profil.

- To poważne z tym chłopakiem. Nadeła policzki i wzruszyła ramionami.

- Do tego zmierza, u mnie. Ręce mi się poca, gdy za bardzo o tym myślę. Więc lepiej podumam o czymś innym, na przykład, że mój prześladowca nie dzwonił od tamtej nocy, gdy podpalił szkołę.

- Chyba nie sądzisz, że całkiem skończył.

- Nie, nie. Wcale tak nie myślę. Zastanawiam się tylko, jak długo każe mi czekać. A na razie nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali okrężną drogą? Mam coś do załatwienia.

- Ty trzymasz kierownicę.

Firma prawnicza Vince'a mieściła się w centrum miasta. Z jego biura roztaczał się widok na Inner Harbor. Była tam dotąd tylko raz, ale pamiętała.

Zastanawiała się, czy zdradzał żonę właśnie z tą imponującą brunetką, swoją asystentką administracyjną.

W poczekalni były bardzo współczesne pluszowe fotele w neutralnym odcieniu, w ciapki w kolorze oliwkowym. Nie musiała czekać tam zbyt długo. Zaraz ją zaprowadzono do przestronnego biura Vince'a z szerokimi oknami i ścianami jak w teatrze.

Na powitanie pocałował ją w oba policzki. Na stoliku przy kanapie dla gości przygotowany już był napój chłodzący się w lodzie oraz krakersy i ser na tacy.

- Co za niespodzianka! Co cię sprowadza w moje rewiry? Potrzebujesz prawnika?

- Nie. I nie zajmę ci dużo czasu. Nie będę siadać, dziękuję.

Obdarzył ją pięknym, czarującym i serdecznym uśmiechem.

- Nie spiesz się. Miasto poczeka. Nigdy nie rozmawiamy tak we dwoje.

- Raczej nie. Nie ma cię na wielu rodzinnych imprezach.

Teraz jego uśmiech był pełen żalu.

- Praca tego wymaga.

- I kobiety, z którymi się zadajesz. Vince, ty oszukujesz Bellę. I to byłby problem was dwojga.

- Proszę? - Z jego twarzy znikła serdeczność.

- Ale fakt, iż postanowiłeś się z tym obnosić i poniżyć ją, zdecydował, że to również i moja sprawa. Musisz kombinować na boku? Proszę bardzo. Możesz zrywać śluby

małżeńskie. Ale nie będziesz dłużej mojej siostry dołował psychicznie. Ona jest matką twoich dzieci i masz to uszanować.

Zdołał zachować spokój.

- Catarino, nie wiem, co ci Bella powiedziała, ale...

- Vince, nie powiesz, że moja siostra konfabuluje. - Było to trudne i wymagało potwornego wysiłku, ale i ona zachowała spokój. - Może jest płaczliwa, ale nie kłamie. To twoja domena. Jesteś kłamczuch i oszust.

Nagle wpadł w furję. Wzrok mu zapłonął, gdy wyrzucał z siebie:

- Nie masz prawa przychodzić do mojego biura i mówić do mnie w ten sposób o sprawach, które cię nic nie obchodzą!

- Bella mnie obchodzi. Wystarczająco długo jesteś członkiem naszej rodziny, żeby wiedzieć, iż trzymamy się razem. Szanuj Bellę albo weź z nią rozwód. Wybór należy do ciebie. Zrób to szybko, w przeciwnym wypadku bardzo utrudnię ci życie.

W jego śmiechu brzmiało zaskoczenie.

- Grozisz mi?

- Tak. Grożę. Okazuj matce swoich dzieci należyty szacunek, Vince, albo dopilnuję, żeby się inni dowiedzieli, gdzie spędzasz wieczory. Rodzina uwierzy mi na słowo - dodała - ale ja to udowodnię. Za każdym razem, gdy się wypuścisz na schadzki, ktoś będzie cię obserwował i robił dokumentację. Kiedy skończę, nie będziesz już mile widziany u moich rodziców. Twoje dzieci będą się zastanawiały, dlaczego.

- Moje dzieci...

- Zaslugują na lepszego ojca. Dlaczego o tym nie pomyślisz? Szanuj swoje małżeństwo albo je rozwiąż. Twój wybór.

Wyszła. Tym razem nie była to zabawa patykiem ze szczeniakiem - pomyślała, zmierzając do windy. Nie, ale ciężar gniotący wcześniej jej plecy zmienił się teraz w czystą satysfakcję.

Bo przyszedł do Sirico's z teczką, którą brał, gdy chciał zrobić wrażenie na potencjalnym kliencie - w tym wypadku na rodzicach kobiety, z którą sypiał.

Po przekroczeniu progu odniósł wrażenie, że trafił właśnie na wieczorny szczyt. Chyba powinien sobie wybrać mniej ruchliwą porę dnia. Może tak zrobi - postanowił. A skoro już tu przyszedł, zamówi sobie pizzę na wynos.

Zanim zdążył skrócić w stronę lady, podeszła do niego Fran i cmoknęła w policzki. Nie bardzo wiedział, jak ma to odebrać.

- Cześć, co słychać? Poszukam ci stolika.

- Wszystko dobrze, chciałem tylko...

- Siadaj, siadaj. - Wzięła go za ramię i poprowadziła do boksu, gdzie już siedziała jakaś para, mając przed sobą pełne talerze makaronu. - Bo, to moja ciocia Grace i wujek Sal. To jest Bo, przyjaciel Reeny. Posiedź trochę z rodziną, zanim zwolni się jakiś stolik.

- Ja nie chcę...

- Siadaj, siadaj! - rozkazała mu ciotka Grace, która lustrowała go przenikliwie wzrokiem. - Wszyscy o tobie słyszeliśmy. Chodź, zjedz trochę chleba albo makaronu. Fran! Przynieś talerz chłopakowi Reeny. I kieliszek.

- Ja chciałem tylko...

- A więc - Grace dwa razy klepnęła go lekko w ramię - jesteś stolarzem.

- Tak, proszę pani. Właściwie wstąpiłem tylko, żeby zostawić coś dla pani Hale.

- Pani Hale, jak oficjalnie! - Klepnęła go jeszcze raz. - Będziesz projektował pergolę dla Bianki.

Wieści szybko się tu roznoszą - pomyślał.

- Właściwie przyniosłem tu kilka rysunków, żeby rzucili na nie okiem.

- W tej teczce? - Sal odezwał się po raz pierwszy, pokazując pełnym widelcem na teczkę Bo.

- Tak, miałem zamiar...

- To rzućmy okiem. - Wuj włożył makaron do ust, a jednocześnie machnął ponaglająco wolną ręką.

Fran wróciła, niosąc sałatkę, którą postawiła przed Bo.

- Mama mówi, że jak zjesz tę wspaniałą sałatkę, dostaniesz spaghetti zapiekane z włoską kielbasą. - Uśmiechała się triumfująco, stawiając obok kieliszek do czerwonego wina. - Będzie ci smakowało.

- Jasne, na pewno.

- Powiedz tacie, żeby tu przyszedł - zwrócił się Sal do siostrzenicy, nalewając wino ze swojej butelki do kieliszka Bo. - Oglądamy pergolę.

- Jak tylko będzie miał chwilę. Potrzebujesz czegoś jeszcze, Bo?

- Chyba mam wszystko.

Gdy Sal zrobił miejsce na środku stołu, młody mężczyzna wyjął swoje szkice.

- Tu jest widok z przodu, tu z boku, a tu z góry - zaczął.

- Jesteś prawdziwym artystą! - zawołała Grace, po czym wskazała na wiszący obok niej na ścianie szkic węglem z Wenecji. - Jak Bianca.

- Nawet się nie umyłam, ale dziękuję.

- Na końcach dałeś te kolumny. - Sal zerkał znad okularów do czytania. - Fantazyjne.

- Bardziej włoskie.

- Raczej kosztowne.

Bo podniósł rękę i sięgnął po sałatkę.

- Zawsze można się zadowolić impregnowanymi słupkami. Tak czy owak pomalowałbym je na mocne, wesołe kolory.

- Narysować to jedna rzecz, a wykonać zupełnie inna. Masz jakieś przykłady swoich prac?

- Całą kolekcję.

- W tej teczce?

Skinął głową i jadł dalej, a Sal znów wykonał ponaglący gest.

- Gib jest zajęty, ale przyjdzie za minutę. - Do boksu wślizgnęła się Bianca i stanęła obok brata. - Och, szkice. Jakie wspaniałe, Bo. Masz świetną rękę.

- To artysta - orzekła Grace, energicznie kiwając głową. - Sal go terroryzuje.

- Oczywiście, że artysta - przytaknęła Bianca, odpychając brata i jednocześnie biorąc do ręki jeden szkic. - To przekracza moje wyobrażenia, to więcej, niż planowałam.

- Zawsze możemy dostosować do...

- Nie, nie. - Zrobiła gest, jakby to odsuwała. - To lepsze, niż sobie wyobrażałam. Widzisz, Sal? Na przykład dziś moglibyście już tam siedzieć z Grace. Wokół piękne, małe światełka, winorośl, ciepłko.

- W sierpniu upalnie.

- To sprzedamy więcej wody mineralnej.

- Oddzielna kuchnia. Więcej pracowników, więcej pieniędzy i kłopotu.

- Większy biznes. - Bianca odwróciła się do brata i rzekła ze swadą: - Kto od trzydziestu pięciu lat prowadzi ten lokal? Ty czyja?

Aż uniósł brwi ze zdziwienia.

Spierali się, a przynajmniej tak sądził Bo, gdyż część ich dyskursu odbywała się w szybkiej włoszczyźnie i z ożywioną gestykulacją. Młody mężczyzna nie zabierał głosu i skupił się na jedzeniu.

Po chwili jego talerz został zabrany. Postawiono przed nim drugi, z zapiekany spaghetti. Gib przysunął sobie krzesło i usiadł na skraju boksu.

- Gdzie moja córka? - zapytał.

- E... nie wiem. Jeszcze nie byłem w domu, ale mówiła, że może pracować do późna.

- Spójrz, Gib. Zobacz, co Bo nam wybuduje.

Gibson wziął szkice i wyjął z kieszeni koszuli okulary do czytania. W pewnym momencie ściągnął usta.

- Kolumny? - zapytał.

- Mogą być zwykłe słupki.

- Ja chcę kolumny - oznajmiła zdecydowanie Bianca, mierząc palcem w twarz brata, który już otwierał usta. - *Basta!*

- To więcej, niż myślałem.

- Lepiej - poprawiła Bianca i zmrużyła na niego oczy. - Co, potrzebne ci nowe okulary? Nie widzisz tego, co masz przed oczami?

- Przed oczami nie widzę ceny.

Bo bez słowa znów otworzył teczkę i wyjął arkusz kalkulacyjny. Z satysfakcją patrzył, jak oczy Giba rozszerzają się ze zdumienia.

- O kurczę! - Podał kartkę Salowi, wyciągającemu po nią rękę.

- To najwyższa stawka za robociznę.

- Jestem jej wart - oznajmił spokojnie Bo. - Ale nie mam nic przeciwko handlowi wymiennemu. Spaghetti jest świetne, Bianco.

- Dziękuję, smacznego!

- Handel wymienny? Na co? - dopytywał się Gib.

- Posiłki, wino. - Uśmiechnął się do Bianki. - Mogę pracować za cannoli. Słowo daję. Dopiero się urządzam w tej okolicy. Mogę dać własne materiały. Jeśli wy weźmiecie na siebie pewne prace przygotowawcze, transport i malowanie, wyjdzie jeszcze mniej.

Gib głośno westchnął.

- O ile mniej?

Bo wyjął z teczki drugą kalkulację i podał Gibowi. Ten długo się przyglądał.

- Musisz naprawdę lubić cannoli. - Znów podał kartkę Salowi, ale tym razem przechwyciła ją Bianca.

- Idioto - powiedziała po włosku. - Naprawdę to on lubi twoją córkę.

Gib oparł się na krześle i bębnił palcami po stole.

- Kiedy mógłbyś zacząć? - zapytał, po czym podał mu rękę.

- Bo, nie chcę, żebyś się czuł zobowiązany do ograniczania swoich zysków. Nie możesz pracować poniżej normalnych stawek tylko dlatego, że to moja rodzina.

- Mhm. - Z zamkniętymi oczami gładził dłonią jej gołą nogę. - Mówiłaś coś? Jestem w transie po cannoli skojarzonym z zamroczeniem seksualnym.

Zrozumiałe - pomyślała. Przecież zjadł trzy porcje osławionego dania Bianki, zanim w końcu wypróbowali podłogę w jego kuchni.

- Uczciwie pracujesz i zasługujesz na godziwe wynagrodzenie.

- Otrzymuję wynagrodzenie. Właśnie przejadłem większą część zaliczki. To dobry interes - mówił dalej, uprzedzając ją. - Sirico's to miejsce znane w okolicy. Zareklamuję tam swoje umiejętności, ludzie zaczną mówić. Twój rodzice przodują w dziedzinie reklamy słownej.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy plotkarzami?

- No, z pewnością umiecie mówić. Od kolacji jeszcze dzwoni mi w uszach. W pozytywnym sensie - dodał i ziewnął. - Myślę, że zanim skończyliśmy, przekonałem nawet twojego wuja.

- Sala, najstarszego z rodzeństwa, znanego dusigrosza. Mimo to go kochamy.

- No więc ubiliśmy interes. Będę miał pracę, jaką lubię, i darmową reklamę. No i, Boże, jedzenie twojej mamy do końca życia.

- Zapomniałeś o nagrodzie seksualnej.

- To sprawa osobista. - Tym razem powędrował palcami w górę jej uda i znowu w dół.

- To się nie liczy. Jednak chodzą mi po głowie pewne plany co do twojego domu, więc nie zaszkodzi, jak weźmiesz mnie na górę i trochę przekupisz swoją przychylnością seksualną.

Przetoczyła się na niego, aż jęknął. Bardziej z powodu nadmiaru makaronu niż z pożądania.

- Pracowałeś nad planami dla mnie?

- Z grubsza. Nie miałem za dużo czasu. Ale stół do twojej jadalni jest prawie skończony.

- Chcę zobaczyć. Chcę wszystko zobaczyć.

- Będzie gotowy za jakieś dwa dni. Szkice są dopiero na brudno.

- Pokaż. - Sturlała się z niego i pociągnęła za głowę. - Teraz, zaraz.

Zajączał, ale usiadł i sięgnął po spodnie.

- Połowa planów jest dopiero w mojej głowie.

- Chcę zobaczyć tę drugą połowę. - Wciągnęła swoje spodnie i złapała bluzkę. Potem ujęła w dłonie twarz Bo i przywarła ustami do jego warg. - Dziękuję z góry.

- Podziękujesz mi potem. - Otworzył lodówkę, żeby wziąć wodę, i drgnął na dźwięk telefonu. - Kto, do diabła, dzwoni do mnie o pierwszej w nocy? Lepiej, żeby to nie był Brad, błagający o wyciągnięcie go z aresztu za kaucją. Choć trzeba mu przyznać, zdarzyło się to tylko raz.

- Nie odbieraj jeszcze. Poczekaj. - W bluzce zapiętej do połowy podbiegła do telefonu i spojrzała na wyświetlacz. - Znasz ten numer?

- Jeszcze nie kojarzę. - Ale coś zaskoczyło, widziała to po jego twarzy. - Cholera jasna! Myślisz, że to on?

- Pozwól, że ja odbiorę. - Podniosła słuchawkę. - Słucham?

- Gotowa na następną niespodziankę? Nienawidzę się powtarzać, ale musimy zrobić to, co obiecałem.

Skinęła na Bo i pokazała mu na migi, żeby podał jej papier i długopis.

- Ciekawa byłam, kiedy znów zadzwonisz. Jak się domyśliłeś, że tu jestem?

- Bo wiem, że jesteś dziwką.

- Dlatego, że z tobą spałam? - spytała i zaczęła notować rozmowę.

- Pamiętasz wszystkich, z którymi spałaś, Reeno?

- Nie mam jeszcze sklerozy. Podaj imię albo miejsce. Wtedy zobaczymy, jak mi to zapadło w pamięć.

- Tylko pomyśl, tylko pomyśl o wszystkich mężczyznach, którym pozwoliłaś się stukać. Cofnij się do pierwszego.

Ręka jej zadrżała.

- Kobieta nigdy go nie zapomina. To nie byłeś ty.

- Jeszcze się zabawimy, ty i ja. Ale na razie proponuję, żebyś wyszła na mały spacer. Zobaczysz, co ci tu zostawiłem.

Kliknął wyłączony telefon.

- To łajdak - mruknęła, sięgając po swoją komórkę. - Zrobił coś bardzo blisko, w najbliższej okolicy. Nie odkładaj tego - dodała, biorąc pas z bronią i zakładając go, a jednocześnie dzwoniąc z komórki.

- Tu Hale. Proszę o namierzenie tego numeru - podyktowała. - To komórka, jej posiadacz prawdopodobnie się przemieszcza. Podaję numer, na który dzwonił, i trzymam linię otwartą. - Wyrecytowała numer Bo, wychodząc z kuchni. - Mógł wzniecić pożar w pobliżu mojego domu. Poproszę o dwa patrole. Wychodzę teraz sprawdzić. Możecie mnie

znaleźć...

- To skurwiel!

Usłyszała, jak z tyłu Bo zaklął i szybko pobiegł z powrotem do kuchni.

- Mam pożar pojazdu pod tym adresem! To drań! Sprowadźcie pomoc! - krzyknęła.

Bo przebiegł obok niej z gaśnicą w ręku. Maską furgonetki była podniesiona, silnik buchał ogniem. Z podwozia wałyły kłęby dymu, a pod spodem płomienie pełzały po lśniących plamach benzyny. Opony się tliły, a w powietrzu unosił się gryzący swąd palonej gumy. Nad maską i dachem kabiny tańczyło jeszcze więcej płomieni, podsycanych przyjemną letnią bryzą.

Ich wściekłość przerodziła się w strach, gdy spostrzegli palący się lont ze szmat, poprowadzony do otwartego baku z paliwem. Razem ze szmatami wystawała z niego złożona w trójkąt czerwona lniana serwetka z logo pizzerii Sirico's.

- Odsuń się! - Rzuciła się do Bo i wyrwała mu z rąk gaśnicę. Nie wiadomo, czy wystarczy - pomyślała jak przez mgłę i skierowała ją na bak.

Trysnęła piana. Wskutek powiewu od strony furgonetki dym oślepił i dławił Reenę. Gdy języki płonącej benzyny podpełzły jeszcze bliżej po ziemi, jej usta znów przepelnił smak ognia.

- Zostaw samochód! - Jednym skokiem Bo chwycił ją i odciągnął błyskawicznie na drugą stronę ulicy.

Eksplozja wyrzuciła w powietrze tył furgonetki i cisnęła nim z powrotem o ziemię, a podmuch zwałił ich z nóg. Wystrzelił w górę słup płomieni pełen rozjarzonych kawałków metalu, gorące odłamki spadały deszczem na ulicę i inne pojazdy. W ostatniej chwili Bo zdołał się przetoczyć z Reeną pod jakiś zaparkowany samochód.

- Jesteś ranny? Poparzony?

Pokręcił głową, wpatrując się w piekielny ogień, który trawił jego furgonetkę. W uszach mu dzwoniło, oczy piekły, a ramię paliło jak po pocałunku płomieni. Gdy przesunął po nim dłonią, zobaczył krew.

- Już go prawie miałam. Dosłownie sekundy...

- Omal nie wyleciałaś w powietrze dla głupiej furgonetki.

- On się ze mną bawi. Wyliczył czas. - Jej oczy ciskały błyskawice, gdy uderzała pięścią w asfalt. - Silnik, podwozie, nasza nieuwaga. Gdybym wcześniej zobaczyła lont... Jezu, Bo, ty krwawisz.

- Zadrapałem się o coś, jak upadaliśmy.

- Pokaż. Gdzie mój telefon? Gdzie ten przeklęty telefon? - Wyczołgała się i zobaczyła,

że leży rozbity na ulicy. - Już jadą. - Zawyły syreny, z okolicznych domów powychodzili ludzie. - Usiądź tu, pokaż mi to ramię.

- Nic mi nie jest. Usiądźmy oboje na chwilę.

Nie był pewien, czy to on się trzęsie, czy ona. A może oboje. Poddał się swoim nogom jak z waty i opadł na krawężnik, pociągając ją za sobą.

- Masz tu krwawiącą ranę. - Na ten widok siłą zmusiła się do zachowania spokoju. - Będzie trzeba to zeszyć.

- Może.

- Zdejmij koszulę. Musimy zatamować krew. Zrobię prowizoryczny opatrunek, zanim przyjedzie pogotowie.

Nie rozbierał się, tylko uniósł jedno biodro i wyciągnął z kieszeni bandankę.

- To wystarczy. Przepraszam cię, Bo.

- Nie przepraszaj. - Gdy bandażowała mu ramię, patrzył na swoją furgonetkę. Jeszcze go nie bolało. Pewnie niedługo zacnie. Ale ogarnęła go wściekłość, gdy widział, co się stało z jego własnością. - Tak jakbyś to ty była winna, a nie on.

Strażacy wyskoczyli z wozu i zaczęli tłumić ogień. Gdy skończyła opatrywać ranę, położyła na chwilę głowę na uniesionych kolanach i głęboko wciągnęła powietrze.

- Muszę iść z nimi porozmawiać. Przyślę ci sanitariusza. O ile on nie zdecyduje inaczej, odwiozę cię na pogotowie, żeby to opatrzyli.

- To głupstwo. - Nie był w nastroju na szpitala. Raczej na skopanie komuś tyłka. Wstał i podał jej rękę. - Chodźmy im powiedzieć, co się stało.

Ledwo skończyła opowiadać szczegóły, gdy na ulicy i chodniku zebrała się chyba z połowa ludzi, których znała: rodzice, Jack, Xander, Gina i Steve, rodzice Giny, koledzy i koleżanki ze szkoły i ich rodziny.

Słyszała, jak ojciec rozmawia przez komórkę z Fran, mówiąc, że nikt nie jest ranny, i prosząc, żeby przekazała to An.

Podstawowe sprawy pod kontrolą - pomyślała ze znużeniem i odwróciła się na widok parkującego O'Donnella.

- Mamy lokalizację?

- Pracujemy nad nią. Nic ci się nie stało?

- Nie. Tylko siniaki od uderzenia o chodnik. Bo był bohaterki, osłabił mój upadek. - Przetarła oczy. - Pozwolił mi zabawiać się rozmową, co mu dało czas na odjechanie i urzeczywistnienie swojego planu. Podniósł maskę, oblał ją, na podwozie rzucił kłęb watoliny z materaca, aby spowodować dym. Pod furgonetką i wokół niej kałuże benzyny, żeby

podпалиły opony. Gryzący dym długo utrudniał mi dostęp.

Omali nie za długo - pomyślała. Gdyby Bo jej nie odciągnął, nie tylko furgonetka byłaby poważnie uszkodzona.

- Kiedy spostrzegłam lont w baku - zwieszała się z niego serwetka stołowa z Sirico's - było już za późno. Zaczęłam to gasić, ale Bo złapał mnie jak piłkę, z którą trzeba szybko biec do drugiej bramki. Trudno orzec, czy wskutek tego stracił furgonetkę i Bóg wie ile narzędzi, które miał w tych schowkach wzdłuż podwozia, czy też uratował mi życie.

- Zadzwoił do ciebie u Goodnighta. Sprawdziłaś swój telefon, czy próbował najpierw tam?

- Nie, nie byłam jeszcze w domu.

- Zrób to może teraz.

- Dobrze. Zaczekaj minutę.

Zamieniła jeszcze słowo z bratem i poszła w kierunku domu.

- No dobra, kolego. - Xander podszedł do Bo i poklepał go po zdrowym ramieniu, - Chodźmy do naszej przychodni. Opatrzę cię.

- Ej, doktorku, to tylko zadrapanie.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję.

- Idź z Xandrem, nie dyskutuj! - rozstrzygnęła sprawę Bianca. - Ja wejdę do środka i wezmę ci czystą koszulę.

Bo spojrział na dom.

- Drzwi są otwarte.

Bianca patrzyła na niego ciepło i ze współczuciem, przechylając głowę.

- Masz swoje klucze? Potem zamknę.

- Nie. Wybiegłem bez kluczy.

- Zajmiemy się wszystkim. - Ujęła w dłonie jego twarz. - Troszczymy się o swoich. A teraz idź z Alexandrem, bądź grzecznym chłopcem. A jutro, jak poczujesz się lepiej, spotkasz się z moim kuzynem Salem.

- Myślałem, że Sal to twój brat.

- Ten jest kuzynem i da ci dobrą cenę za nową furgonetkę. Bardzo dobrą cenę. Zapiszę ci wszystko.

- Jack, pomóż Biance, dobrze? - Gib pogłaskał żonę, a sam dołączył do Xandra i Bo. - Pójdę razem z nimi, dopilnuję, żeby pacjent nie uciekł.

- On po prostu lubi patrzeć, jak wbijam ludziom strzykawkę - wyjaśnił Xander, biorąc Bo za zdrowe ramię.

- To mi dodaje otuchy. - Rozejrzał się za drogą ucieczki i stwierdził, że jest otoczony.
- Sanitariusz powiedział, że to tylko kilka szwów. Może poczekać do rana.

- Najlepiej zrobić to od razu - orzekł Xander kpiarskim tonem. - Hej! Byłeś ostatnio szczepiony od tężca? Uwielbiam to wstrzykiwać.

- W zeszłym roku. Trzymaj się z dala ode mnie. - Spojrzał podejrzliwie na Giba. - Nie potrzebuję gwardii honorowej.

- Tylko sobie idę. - Gib odczekał, aż miną grupę sąsiadów, i dodał: - Doszły mnie różne okrucieństwa informacji i wydaje mi się, że dzieje się *coś*, o czym powinienem wiedzieć. Ktoś dzwonił do Reeny u ciebie?

- Tak, ten sam gość. Ten, który ją prześladował... który podpalił szkołę. I ona ci nic o tym wszystkim nie powiedziała?

- Ty mi teraz powiesz.

Jestem nie tylko otoczony, ale i osaczony - pomyślał Bo.

- Lepiej zapytaj ją samą - stwierdził.

- Lepiej, żebym nie musiał cię trzymać, kiedy Xander zajmie się twoją prostatą.

- No, to już żarty - wyjaśnił młody lekarz.

- Rozumiem aluzję. Powinna ci powiedzieć, a teraz się wkurzy, że ja to zrobiłem. Może jednak lepiej być jedynym dzieckiem rozwiedzionych rodziców. Wy jesteście męczący.

Opowiedział im wszystko, gdy szli do przychodni dwie ulice dalej i dokończył w środku. Tam rozbawienie Xandra zmieniło się w kamienne milczenie. Wskazał mu stół do badań.

- Kiedy to się zaczęło? - dopytywał się Gib.

- Z tego, co wiem, zaraz po jej przeprowadzce.

- A ta nic nie mówi. - Gib obrócił się i zaczął nerwowo chodzić.

- Ani Steve - zauważył Xander i zabrał się do czyszczenia rany.

Bo aż syknął, tak go zapiekło.

- Czy wy, lekarze sadyści, nie macie, do licha, czegoś, co by nie wypalało do kości?

- Masz tu niezłe rozcięcie. Warte ze sześć szwów.

- Sześć? O cholera!

- Znieczulę cię.

Bo zerknął na strzykawkę, którą Xander wyjął z szuflady, i zdecydował, że woli patrzeć na rozeźloną twarz Giba.

- Więcej nic nie wiem - oświadczył. - Nie mam pojęcia, w co on gra, ale Reena jest na skraju wytrzymałości. Jakoś sobie radzi, ale to ją wykańcza.

- Ktoś, kogo wsadziła do więzienia - mówił do siebie Gib. - Ktoś, kogo wsadziła i wyszedł. Moja mała dziewczynka musi ze mną porozmawiać.

- Rozmowa to nasz eufemizm na krzyki i przekleństwa, a czasem rzucanie szkłem - wyjaśnił Xander. - Odwagi!

- Odwagi to ona ma aż nadto. Au... aaa... Panie Hale... Gibie, jesteś jej ojcem, więc znasz ją dłużej i lepiej, ale ja nie sądzę, że krzyki i przekleństwa oraz rzucanie szkłem cokolwiek tu zmieni.

Gib odsłonił zęby w uśmiechu.

- Nie zaszkodzi spróbować.

Drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i chwilę później wszedł Jack z koszulą i butami. Obejrzał ramię Bo i rzucił mu współczujące spojrzenie.

- Bianca wybrała ci te. Uuu, szwy?

- Sześć, przynajmniej tak twierdzi ten doktor Jekyll.

- Zamknij oczy i myśl o księżycu - powiedział do niego Xander.

Mogło być gorzej - ocenił Bo po wszystkim. Mógł się upokorzyć i piszczeć jak dziecko. A przecież wracał do domu ze swą godnością osobistą praktycznie nienaruszoną, liżąc wiśniowego lizaka, którego po tych wszystkich torturach dostał w nagrodę od Xandra.

Większość gapiów już się rozeszła, tylko nieliczni nie mogli się oprzeć pokusie obejrzenia do końca czegoś, co dotąd mogli widzieć tylko w telewizji.

Reena, O'Donnell i Steve, razem z paroma facetami - jak się domyślał, z wydziału śledczego - wciąż się kręcili koło tego, co zostało z samochodu.

Ciekaw był, czy jego ubezpieczenie pokryje koszty zniszczeń innych samochodów przez spadające odłamki furgonetki. Rany, będzie musiał za to beknąć.

Reena oderwała się od grupy i podeszła do niego.

- Jak ramię?

- Wygląda na to, że je zachowałem. I dostałem lizaka.

- Dzięki niemu przestał płakać - odezwał się Xander. - A co do furgonetki, wygląda na truposza.

- Jest bardzo źle - potwierdziła Reena. - Dodatkowe zniszczenia samochodów zaparkowanych z obu stron, w tym mojego. Zrobiliśmy już prawie wszystko, co się dało. Bo, możesz tu podpisać, wykorzystamy to jako dowód.

- A co z moimi narzędziami? Któreś przeżyły?

- Jak skończymy, oddam ci to, co zebraliśmy. Mama jest w środku. - Spojrzała na ojca. - Chciała poczekać na ciebie i dowiedzieć się, co z Bo.

- Dobrze. Pójdę i zaczekam z nią.

- To mi zajmie jeszcze trochę. Już późno, powinniście iść do domu.

- Zaczekamy.

Zmarszczyła czoło, patrząc, jak ojciec idzie w stronę jej domu.

- O co chodzi?

- Chodź, Jack, odprowadzę cię do domu. - Xander otoczył ramieniem szwagra i powiedział do Bo: - Nie mocz tego opatrunku, smaruj maścią tak, jak ci poleciłem. Jutro to obejrzę. - Ujął za brodę Reenę i pocałował w policzek. - Dobiorą ci się do tyłka. Dobranoc.

Jack pocałował ją w czoło.

- Uważaj na siebie. Do zobaczenia, Bo.

Reena skierowała wzrok z powrotem na Bowena.

- Co jest grane?

- Nic im nie powiedziałaś. Otworzyła usta i syknęła przez zęby:

- Wszystko wypaplałeś!

- Ty powinnaś to zrobić, a teraz postawiłaś mnie w głupiej sytuacji.

- Wspaniale. - Z irytacją popatrzyła na swój dom. - Po prostu wspaniale. Nie mogłeś po prostu ich zbyć i poczekać, aż sama to załatwię?

- Wiesz co? - powiedział po chwili. - To była kiepska noc i nie mam już ochoty na drugą rundę. Zrobisz, co zechcesz. Ja idę spać.

- Bo... - Ale on już odszedł, unosząc do góry rękę, i została zupełnie sama ze swoją złością.

Zanim dowlokła się do domu, było już po czwartej nad ranem. Marzyła o długim, chłodnym prysznicu i swoim miękkim łóżku.

Rodzice leżeli na kanapie, przytuleni jak dwoje śpiących dzieci. Stwierdziwszy, że to dla niej błogosławieństwo, wycofała się cicho i miała zamiar wejść na palcach na górę.

- Nawet o tym nie myśl!

Głos ojca zatrzymał ją nagle, aż zamknęła oczy i westchnęła. Nigdy, ani razu żadnemu z nich nie udało się wkraść do domu niespostrzeżenie po wyznaczonej godzinie. Ten człowiek miał instynkt węża.

- Już późno. Chciałabym się przespać ze dwie godziny.

- Jesteś już dorosła, więc zachciewanki mogą chwilę poczekać.

- Och, nie cierpię, jak to mówisz.

- Uważaj na swój ton, Catarino - odezwała się Bianca, nie otwierając oczu. - Nadal jesteśmy twoimi rodzicami i będziemy nimi nawet sto lat po twojej śmierci.

- Słuchajcie, jestem naprawdę zmęczona. Nie możemy tego odłożyć do jutra?

- Ktoś ci grozi, a ty nic nam nie mówisz?

No tak, nie ma szans na wytchnienie. Ściągnęła opaskę przytrzymującą jej włosy w tyle, gdy ojciec podnosił się z kanapy.

- Taka praca, tato. Nie mogę, nie jestem w stanie mówić ci o niej wszystkiego.

- To sprawa osobista. On do ciebie wydzwaniał. Zna twoje imię. Wie, gdzie mieszkasz. A dziś próbował cię zabić.

- Wyglądam na zabita? - odparowała. - Wyglądam na ranna?

- A co by się stało, gdyby Bo nie zareagował tak szybko?

- No pięknie! - Wyrzuciła ręce w górę i ciskała się po pokoju. - Więc on jest dzielnym rycerzem, a ja bezradną panienką. Widzisz to?! - Wyłożyła na zewnątrz swoją odznakę i przysunęła ją do twarzy ojca. - Nie dają tego bezradnym paniąkom!

- Za to dają upartym, samolubnym kobietom, które nie potrafią się przyznać, że coś źle zrobiły!

- Samolubnym?!

Krzyczeli teraz z twarzami zbliżonymi do siebie na centymetry.

- Skąd ci to przyszło do głowy?! To moja praca, mój biznes! Czyja się wtrącam do twojego?!

- Jesteś moim dzieckiem. Twoje sprawy są także moimi. Ktoś usiłował cię skrzywdzić i będzie miał do czynienia ze mną.

- Tego właśnie chciałam uniknąć. Dlaczego ci o tym nie powiedziałam? Zapomnij o tej rozmowie. Nie będziesz się w to mieszał. Nie wtrącaj się do mojej pracy, do tej sfery mojego życia.

- Nie mów mi, co mam robić!

- Będę!

- *Basta! Basta! Dość!* - Bianca zeskoczyła z kanapy. - Catarino, nie podnoś głosu na ojca. A ty nie wrzeszcz na córkę, Gibsonie. Zaraz ja na was powrzeszczę. Imbecyle. *Stupidi!* Oboje macie rację, ale to mnie nie powstrzyma przed złapaniem was za te puste głowy i stuknięciem jedna o drugą. Ty... - Wymierzyła palcem w pierś męża. - Ty krążysz w kółko i nie dochodzisz do sedna. Nasza córka nie jest samolubna i masz ją przeprosić. A ty... - Palec wymierzyła teraz w Reenę. - Ty masz swoją pracę i jesteśmy dumni z tego, co robisz i kim jesteś. Ale to zupełnie inna sprawa i doskonale o tym wiesz. To nie dotyczy kogoś obcego. Tu chodzi o ciebie. Czy mówimy ci kiedykolwiek: „Nie wolno, Catarino”, gdy wchodzisz do budynku, który może ci się zawalić na głowę? Czy mówiliśmy: „Nie, nie możesz zostać

oficerem policji”, bo będziemy się martwili dzień w dzień, noc w noc?

- Mamo...

- Nie skończyłam. Jak skończę, to ci powiem. Kto był najbardziej dumny z tego, że zostałam tym, kim zawsze chciałam być? I ty teraz stoisz tu i mówisz, iż to nie nasz biznes, że ktoś chce ci zrobić krzywdę?

- Ja tylko... Ja tylko nie widziałam sensu w martwieniu wszystkich.

- No wiesz? To także nasza sprawa. Jesteśmy rodziną.

- No dobrze, powinnam wam powiedzieć i zrobiłabym to teraz, gdyby mnie Bo nie...

- Chyba nie masz zamiaru go za to winić? - wtrącił się Gib.

Zgarbiła się.

- Tylko on został, a ponieważ sobie poszedł i nie może zaprotestować, chętnie to zrzuć na niego. A co, nagle został waszym nowym najlepszym przyjacielem?

- Został ranny, gdy cię ratował. - Gib ujął dłońmi jej twarz. - Xander mógł dziś w nocy zeszywać cię. Albo jeszcze gorzej.

- Przepraszam - przypomniała mu Bianca, na co Gib wznosił oczy do sufitu.

- Przepraszam, że nazwałem cię samolubną. Nie jesteś, Byłem wściekły.

- No dobrze. Jestem samolubna, jeśli chodzi o cię. Kocham cię, tato - powiedziała, wślizgując się w jego objęcia i wyciągając rękę do matki. - Nie wiem, kto to robi i dlaczego, ale teraz już się boję. W obu miejscach zostawił coś z Sirico's.

- Sirico's - powtórzył Gib.

- W szkole było pudełko zapalek, a dziś serwetka stołowa. On w ten sposób daje znać, że może tu przyjść, do was. Daje znać... - Głos jej zadrżał. - Boję się, że mógłby zrobić wam krzywdę. Nie zniosłabym tego.

- No więc wiesz, jak z kolei my się niepokoiimy o cię. Idź, prześpij się. Zamkniemy drzwi, wychodząc.

- Ale...

Bianca ścisnęła Giba za rękę, zanim zdążył coś powiedzieć.

- Idź odpocząć - powtórzyła. - O nic już dziś się nie martw.

Gdy zostali sami, Gib szepnął do żony:

- Chyba nie myślisz, że ją tu zostawimy samą?

- Właśnie że tak. Powinniśmy w nią wierzyć, a ona musi to wiedzieć. Tak ciężko... - Na chwilę zacisnęła wargi i zniżyła głos. - Nigdy nie przestaje być ciężko wypuszczać w świat dzieci. Ale trzeba. Chodź, zamkniemy drzwi. Pójdziemy do domu i pomartwimy się o nią.

Telefon obudził ją o piątej czterdzieści pięć. Przedarła się przez gęstą mgłę zmęczenia, namacała włącznik lampy, potem magnetofonu.

- Co? - wymamrotała do słuchawki.

- Nie byłaś dostatecznie szybka, co? Nie jesteś taka dobra, jak ci się wydaje.

- Ale ty jesteś? - Stłumiła falę gniewu. - Miałeś z tym mnóstwo kłopotów, poza tym wybuch był o wiele za duży na zniszczenie furgonetki. Przesadziłeś.

- Założę się, że jest wkurzony. - Zaśmiał się cicho. - Chciałbym widzieć jego minę, gdy to wybuchło.

- Powinieneś zostać i zobaczyć. Gdybyś był facetem z jajami, nie uciekłbyś z przedstawienia.

- Mam jaja, ty suko. Będziesz je lizała, zanim skończymy.

- Jeśli to wszystko, czego chcesz, powiedz mi, gdzie i kiedy.

- Nie martw się, sam wybiorę czas i miejsce. Nie rozumiesz, co? Nawet po tym, co się stało dzisiaj, jeszcze nie rozumiesz? Uważasz się za taką mądrą, a jesteś tylko tępą dziwką.

Jej oczy się zwięzły.

- Jeśli tak jest, dlaczego nie dasz mi paru wskazówek. Ta gra jest mało zabawna, jeśli zostaję w tyle. No, śmiało - prowokowała go - grajmy.

- Moja gra, moje reguły. Do następnego razu.

Gdy się rozłączył, usiadła prosto. Jej umysł już otrząsnął się ze snu i pracował szybko.

„Nie rozumiesz, co? Nawet po tym, co się stało dzisiaj, jeszcze nie rozumiesz?”

Co takiego wyszło na jaw dziś w nocy? - pytała siebie. Zastosował inne metody, inny obiekt ataku. Nie trzyma się tego samego *modus operandi* ani takich samych celów, jak by to robił typowy seryjny podpalacz.

Jako swój podpis zostawia coś z Sirico's. Wiadomość dla niej.

Ktoś, kogo tam zabrała w przeszłości? O'Donnell sprawdzał Luke'a, który nie miał sentymentu do naszego sklepu. Ale Luke był w Nowym Jorku. Oczywiście, możliwe, że przyjechał do Baltimore, ale po co by to robił? Po co by ją nękał po tylu latach?

Coś było nie tak w tym rozumowaniu, coś się nie zgadzało. Luke mógłby to zrobić celowo, żeby ją wytrącić z równowagi, ale właściwie dlaczego?

W dodatku zupełnie się nie znał na pożarach czy wybuchach. Oprócz tego, że mu podpalono mercedesa, on...

Nagle wyprężyła się jak struna. O Boże!

To nie było tak samo, nie całkiem. Do furgonetki Bo nikt się nie włamał, nie podpalono jej w środku, nie wyłączono alarmu. A jednak...

Benzyna polana na silnik, opony, pod podwozie, tak samo szmata w baku.

Tyle lat temu. Czy to mogła być ta sama osoba? Ten ktoś, kto zaatakował Luke'a, wcale nie miał do niego jakichś pretensji.

Ale do niej. Cały czas.

Cały ten cholerny czas - myślała, próbując myśleć logicznie. Sześć lat? Czy w tym okresie zdarzyły się jakieś incydenty, których sobie nie skojarzyła? Badane przez nią pożary, które mogły być jego dziełem?

Będzie musiała przejrzeć akta starych otwartych spraw. Wszystko, co przeszło przez wydział, a nie zostało zamknięte.

Jak dawno to się zaczęło? Jak długo zmierzał do tego, żeby nawiązać z nią osobisty kontakt?

Serce zmroził jej zimny dreszcz i na moment sparaliżował. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Potem odwróciła się i zbiegła po schodach.

Ręce jej się trzęsły, gdy brała notatki zrobione w kuchni u Bo - zapiski rozmowy z podpalaczem.

„Tylk pmśl tylk pmśl” - zapisała tym cholernym pismem stenograficznym, jakie stosowała podczas przesłuchań - „o wsz mężcz kt - m pozw - ś się stuk cof - j się do I - go”.

- Pierwszego - szepnęła i powoli opadła w dół, na podłogę. - Josh. O Matko Boska, Josh.

Za pięć ósma Reena dobijała się do drzwi frontowych domu Bo i stukała dotąd, aż otworzył.

Oczy miał zapuchnięte, włosy z jednej strony spłaszczzone, z drugiej nastroszone. Miał na sobie tylko niebieskie bokserki, a na zaspanej twarzy grymas niezadowolenia.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne, jasne, wchodź - mamrotał, gdy go minęła i weszła do środka. - Siadaj. Chcesz coś zjeść? Zaraz ci podam.

- Przepraszam, iż musiałam cię obudzić, i wiem, że miałeś ciężką noc, ale to ważne.

Wzruszył ramionami i zaklął, gdy to zranione odmówiło mu posłuszeństwa. Potem odwrócił się od niej i poczłapał do kuchni.

Wyjął z lodówki puszkę coli i otworzył. Napił się tam, gdzie stał.

- Wiem też, że jesteś na mnie zły - ciągnęła dalej. Mówiła jak afektowana nauczycielka pierwszej klasy. Właściwie go to nawet za bardzo nie raziło. - Ale to nie czas na dziecinadę.

Jego zaczerwienione oczy nad puszką jeszcze się zwężyły.

- To była dziecinada - powiedział, machając dłonią.

- Chcesz się kłócić, ale odłóżmy to na później. To sprawa oficjalna i proszę, poświęć mi trochę uwagi.

Opadł na krzesło i machnął od niechcienia ręką, żeby mówiła dalej.

Widziała w jego oczach żal i zmęczenie. Dostrzegła w nich również pewien ból. Ale teraz nie było czasu na rozpieszczanie.

- Mam powód przypuszczać, że moje powiązanie z podpalaczem sięga o wiele dalej wstecz, niż początkowo sądziliśmy.

Wypił jeszcze coli.

- To znaczy?

- Mam teorię opartą na rozmowach, które z nim odbyłam, łącznie z tą dziś rano.

Jego dłoń zacisnęła się na puszcze tak mocno, że aż zostały ślady.

- Więc on zrobił ci dziś pobudkę telefonem, a ty postanowiłaś się podzielić tą wiadomością i zerwać mnie z łóżka.

- Bo!

- Pieprzyć to - powiedział głosem zmęczonym i pozbawionym energii, po czym wstał i podszedł do szafki. Wyjął z niej buteleczkę z motrinem, wysypał kilka tabletek na dłoń i

wrzucił do ust jak cukierki.

- To boli.

Popijając lekarstwo colą, rzucił jej spojrzenie ostre jak sztylet.

- Nie, po prostu lubię motrin i colę classic. Śniadanie pieprzonych czempionów.

W żołądku coś jej się ścisnęło.

- Naprawdę jesteś na mnie zły.

- Jestem zły na ciebie, na mężczyzn i kobiety, małe dzieci oraz wszelkie gatunki fauny i flory na planecie Ziemia, a może w całym wszechświecie, gdzie, jak sądzę, też istnieje życie, ponieważ spałem około pięciu minut i wszystko mnie boli jak nie wiem co.

Zauważyła na jego ciele mnóstwo siniaków, otarć i zadrapań. Sama też ich miała sporo. Ale jego były bez wątpienia gorsze, bo osłonił ją własnym ciałem.

Miała zamiar załatwić to szybko i profesjonalnie, zaznajomić go ogólnie o całej sprawie bez wchodzenia w szczegóły. Teraz, patrząc na zasepione oczy Bo, włosy w nieładzie i biedne, potłuczone ciało, zmieniła zdanie.

Nawet jej surowa nauczycielka w pierwszej klasie pocieszała ją lepiej, gdy starła sobie kolano na boisku.

- Dlaczego nie usiądziesz? Zrobię ci coś do jedzenia, przyłożę lodu. To kolano jest mocno stłuczone.

- Nie jestem głodny. Tam w środku jest torebka mrożonego groszku.

Miała w życiu wiele sińców i zwichnięć, wiedziała więc, do czego służy mrożony groszek. Wyjęła go z lodówki i podeszła, żeby mu przyłożyć do kolana.

- Przykro mi, że zostałeś pokaleczony. Przykro mi z powodu twojej furgonetki. Przykro mi nawet, że przerzuciłam na ciebie poinformowanie mojego ojca o czymś, o czym sama nie byłam gotowa mu powiedzieć.

Usiadła, opierając łokcie na stole i przyciskając dłonie do oczu.

- Bo, tak mi potwornie przykro - wyszeptwała.

- Daj spokój. Jeśli zaczniesz płakać, zniszczysz doskonałą złość.

- Nie będę płakała. - Ale musiała stoczyć ciężką walkę wewnętrzną, żeby dotrzymać słowa. - Jest coraz gorzej, Bo. I ty jesteś w to wplątany z mojego powodu.

- Na ile gorzej?

- Muszę zadzwonić. - Wyjęła swój telefon. - To mi zabierze trochę więcej czasu, niż planowałam. Mogę wziąć sobie jedną? - zapytała, pokazując na colę.

- Jasne.

- O'Donnell? - Wstała, rozmawiając. - Będę dopiero za jakieś pół godziny. Jestem

trochę do tyłu z czasem. - Otworzyła lodówkę. Były w niej dietetyczne pepsi i cole classic. Wiedziała, że te pierwsze kupił dla niej.

Znów zakręciły się jej łzy i poczuła się głupio.

- Nie, nie będę. Do zobaczenia za pół godziny. Rozłączyła się, znów usiadła. Otwierając puszkę, spojrzała na Bo.

- Kilka lat temu spotykałam się z kimś, byliśmy ze sobą kilka miesięcy. Mniej więcej cztery. On raczej nie był w moim typie. Taki elegant, strasznie wymagający. Potrzebowałam zmiany i on się do tego nadawał. Miał pozycję, jeździł mercedesem, nosił włoskie ubrania i pił właściwe wina. Oglądaliśmy mnóstwo filmów z napisami, których - jestem pewna - tak samo nie znosił jak ja. Lubiłam z nim być, bo czułam się kobietą.

- A kiedy indziej to byłaś czym, pudlem?

- Raczej taką kobietką - poprawiła. - Kapryśną, ale zgodną. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - To była dla mnie zmiana stylu życia. Zabierał mnie do restauracji, snuł plany. Przynosiło mi to chwilową ulgę. W moim zawodzie trzeba być ciągle na najwyższych obrotach i nie da się być kobiecą. Ogląda się i robi dużo rzeczy... Chyba wtedy potrzebowałam odmiany.

- Możemy tu zrobić przerwę? Myślisz, że to ten gość do ciebie wydzwania?

- Nie. Teoretycznie to możliwe, ale to nie on. Jest planistą finansowym, dwa razy w miesiącu chodzi na manikiur. Teraz mieszka w Nowym Jorku. W każdym razie zaczynał mi trochę załazić za skórę. Pozostawiłam to swojemu biegowi, ponieważ... Nie jestem pewna i to nie ma znaczenia. Wieczorem w dniu, kiedy miałam swoją pierwszą sprawę jako detektyw w wydziale, doszło między nami do małej sprzeczki. Uderzył mnie.

- Ooo. - Bo postawił swoją puszkę na stole. - No i?

- Czekaj.

Wyrzucić z siebie to wszystko - mówiła sobie. Cały ten poniżający bagaż.

- Myślałam, że to było niechęć, bo tak twierdził. Wykonywał swoje zwykłe dramatyczne gesty, podeszłam z tyłu, a on machnął rękami. Mogło być niechęć i tak to przyjął. Do następnego razu.

Z jego oczu zniknęła senna mgiełka. Były teraz czyste, zielone, patrzyły twardo.

- Znów cię uderzył.

- Tym razem wszystko stało się inaczej. Zaprosił mnie na uroczystą kolację, a ja nie podejrzewałam. Wspaniała francuska restauracja, szampan, kwiaty - jak w kinie. Mówi, że dostał awans i przenoszą go do Nowego Jorku. Cieszę się razem z nim, trochę to szok, no, ale co masz zamiar zrobić? Plus...

Przerwała, żeby zrobić wydech.

- Plus - myślę sobie w duszy - no, to nawet mi ułatwi sprawę. Żadnych dramatycznych scen rozstania.

- I mówisz to z poczuciem winy, dlaczego?

- Może to się wydać trochę bezduszne. Chłopak, który mnie już trochę męczy, przenosi się do innego stanu, a ja myślę: „Mam szczęście”. Ale gdy staram się ukrywać swoje uczucie ulgi, on mówi, że chce mnie ze sobą zabrać. Potrzeba kilku minut, żeby to dotarło mi do świadomości. To niemożliwe i usiłuję mu powiedzieć, dlaczego.

- No dobrze, czyli facet, z którym byłaś przez cztery miesiące, chce, żebyś wszystko rzuciła: dom, rodzinę, pracę, bo on został przeniesiony. - Jedną ręką pił, drugą wskazywał palcem. - Widzisz, mówiłem ci, że istnieje życie poza naszą wielką, niebieską piłką. Ten facet najwyraźniej został splodzony na planecie Nawet - nie - ma - mowy.

Trochę ją to rozśmieszyło.

- Ale to jeszcze nie koniec. Nagle on mi daje po oczach tym pierścieniem z diamentem wielkości meteorytu i mówi, że się pobieramy i wyjeżdżamy do Nowego Jorku.

Na wspomnienie tego, co wówczas czuła, zamknęła oczy.

- Wziął mnie z zaskoczenia, słowo daję. To spadło jak grom z jasnego nieba. I gdy usiłowałam mu powiedzieć: dziękuję, ale nie, kelner już podaje szampana, ludzie nam klaszczą, a przeklęty pierścionek jest na moim palcu.

- Zasadzka.

- Taaak. - Odetchnęła głęboko, wdzięczna, że ją rozumie. - Nie mogłam mu robić sceny tam, przy wszystkich w restauracji, więc zaczekałam, aż wróciliśmy do mnie do domu. Powiedzmy, iż źle to przyjął. Rzucił się na mnie, że go upokorzyłam, kłamliwa, głupia dziwka i tym podobne dyrdymały. Mnie przestało być go żal i odpysknęłam. Wtedy mnie wyrzwał i dalej z łapami, że pokaże, kto tu rządzi. Gdy chciał poprawić, znokautowałam go, skopałam mu jaja i wyrzuciłam.

- Przyjmij moje gratulacje. No i z tego, co mi właśnie powiedziałaś, wynika, że jest on głównym podejrzanym.

Nie uważał jej za winną - zauważyła Reena. Ani głupią, ani słabą. To ciekawe doświadczenie dzielić się tak wstrętnymi, poniżającymi przeżyciami z mężczyzną, który nie pozwoli, żeby się czuła zła lub poniżona.

Jej serce zabiło żywiej w całkiem nowy sposób.

- Nie sądzę, chociaż też jest z tym związany. Następnego dnia rano zjawiają się u mnie kapitan i O'Donnell, Okazało się, że ktoś podpalił mercedesa Luke'a kilka godzin po tym, jak

wyczołgał się ode mnie. Stałam się główną podejrzaną. Na szczęście przez całą noc była u mnie Gina, a poza tym wierzyli mi.

Widziała po jego twarzy, że nadażał, ale i tak wyjaśniła mu parę szczegółów.

- Zastosowana metoda nie była dokładnie taka jak tej nocy, Bo, ale są duże podobieństwa. A dzwoniąc do mnie dziś rano, podpalacz robił do tego aluzje.

- Ten palant Luke mógł podpalić własny samochód, żeby zadać ci jeszcze jeden cios. A teraz też może to robić z zemsty.

- Możliwe, tylko że... Jak dzwonił w nocy, powiedział jeszcze *coś* innego. A ja kompletnie nie zaskoczyłam. Wszystko potem działo się tak szybko, że dopiero dziś rano mi się poskładało. Powiedział, iż powinnam pomyśleć o wszystkich mężczyznach, z którymi byłam, aż do tego pierwszego.

- I co?

- Pierwszy był Josh. Zginął w pożarze na długo przedtem, zanim poznałam Luke'a.

- Palił w łóżku.

- Nigdy w to nie wierzyłam. - Jeszcze teraz, mówiąc o tym, podnosiła głos. - Musiałam to zaakceptować, ale nigdy nie wierzyłam. Wiem już, że co najmniej trzech mężczyzn, z którymi byłam związana, mieli coś wspólnego z poważnymi pożarami. Jeden z nich nie żyje. Nie mogę tego uznać za przypadek. Już nie.

Bo wstał, pokuśtykał do lodówki i wyjął drugą colę.

- Teraz już jesteś przekonana, że Josh został zamordowany.

- Tak, tak myślę. *Sądzę*, że cały czas celowo był stosowany ogień, ponieważ każdy, kto mnie znał, wiedział, iż kształcę się i praktykuję w zawodzie śledczego od podpaleń. Od czasu...

- Od czasu pożaru w waszej restauracji - dokończył.

- Jezu! To Pastorelli. - Poczwała skurcz żołądka. - To się zaczęło tamtego dnia. Wszystko się zaczęło tamtego dnia. - Odetchnęła ciężko. - Dobrze. Sprawdzę to. Ale na razie mógłbyś sobie zrobić mały urlop?

- Po co?

- Bo Josh nie żyje. Luke wyprowadził się do Nowego Jorku, zresztą z nim przecież zerwałam. Ty mieszkasz tuż obok. Może teraz będzie chciał uderzyć w twój dom albo w ciebie.

- Albo w ciebie.

- Zrób sobie ze dwa tygodnie wakacji, daj nam czas definitywnie zakończyć tę sprawę.

- Dobrze. Dokąd chcesz pojechać?

Jej dłonie na stole zacisnęły się w pięści.

- Jestem zapalnikiem. Jak wyjadę, on przestanie, poczeka, aż wrócę.

- Według mnie oboje jesteście zapalnikami. Chyba że planujesz się zaopiekować innym facetem, gdy ja będę gdzieś jeździł na nartach wodnych. Cenię sobie własną skórę, Reeno, a przynajmniej to, co z niej zostało. Ale nie zamierzam uciec i czekać na wiadomość od ciebie, że niebezpieczeństwo minęło. To nie mój styl.

- To nie jest odpowiednia chwila na udawanie twardziela.

- Dopóki mi nie wyrosną piersi, jestem skazany na bycie mężczyzną.

- Będziesz mnie rozpraszał. Lęk o ciebie nie pozwoli mi się skoncentrować. Gdyby coś ci się stało... - Przerwała, bo gardło jej się zacisnęło.

- Gdybym tak powiedział tobie, odrzekłabyś, że umiesz się sama o siebie troszczyć i nie jesteś głupia ani lekkomyślna. - Nic nie odpowiedziała, więc uniósł brwi. - Może darujemy sobie tę część, że ja to mówię tobie. Mamy oboje takie same argumenty.

Przyjazna natura wyparowała z jego oczu, które zrobiły się lodowato zielone.

- Reeno, ten łajdak mnie zaatakował - powiedział. - Wysadził w powietrze moją cholerną furgonetkę. Myślisz, że z tego powodu ucieknę?

- No, chociaż na kilka dni. Proszę. Trzy dni. Daj mi trzy dni, żeby... - Jej głos drżał coraz bardziej.

- Nie, tylko nie płacz. To chwyć poniżej pasa i nie podziała.

- Nie posługuję się łzami, żeby coś osiągnąć, ty głupi durniu! - Zasłoniła oczy grzbietami dłoni. - Mogę wobec ciebie zastosować areszt zapobiegawczy.

- Aha.

- Nie widzisz, że sobie z tym nie radzę? - Odsunęła się od stołu, podeszła do okna nad zlewem i wyrzała.

- Widzę, że nie możesz czegoś pojąć.

- Nie wiem, co robić. - Przycisnęła pięść do mostka, pod którym kołatało jej serce. - Nie wiem, jak się zachować. Nie wiem, co mam z tym robić.

- Pomyślimy.

- No nie! Czy ty jesteś ślepy, czy głupi?! - zawołała, odwracając się do niego. - Mogę prowadzić tę sprawę. Praca to praca. Masz jakąś układankę do złożenia i składasz ją po kawałku. Trzeba tylko je znaleźć i umieścić we właściwym miejscu. Ale to? Nie potrafię... Nie umiem sobie dać rady. - Biła się pięścią w klatkę piersiową. - Ja... ja...

- Masz astmę? - zapytał, widząc, jak stoi i łapie powietrze.

Zaskoczyła ich oboje, chwytając z blatu kubek i rzucając nim o ścianę.

- Ty głupi idioto, jestem w tobie zakochana!

Zrobił gest, jakby chciał ochronić drugi kubek, choć ona już nic w ręku nie miała.

- Minutkę, dobrze? Tylko spokojnie.

- Och, pieprzyć to! - Skierowała się do wyjścia, ale złapał ją za rękę i przytrzymał.

- Powiedziałem: zaczekaj minutkę.

- Mam nadzieję, że dostaniesz ataku apopleksji i miotając się po kuchni, pokroisz sobie stopy na wstążki tłuczonym szkłem.

- Miłość wyraża się w różny sposób - skomentował półgłosem.

- Nie śmieję się ze mnie. Ty to wszystko zacząłeś. Ja tylko pewnego dnia wyszłam tylnymi drzwiami do ogródka.

- Nie śmieję się z ciebie. Próbuję złapać oddech. - Trzymał ją mocno za rękę, siedząc nadal na krześle z torebką groszku rozmrażającą się na jego posiniaczonym kolanie.

- Mówisz, że mnie kochasz, ale czy to jest miłość przez duże czy małe „m”? Nie bij mnie - ostrzegł, widząc jej drugą rękę zwijającą się w pięść.

- Nie mam zamiaru uciekać się do użycia siły. - Ale była tego bliska. Wprost zmusiła swoją dłoń i całe ciało do rozluźnienia się. - Byłabym ci wdzięczna, gdybyś puścił moją rękę.

- Dobrze. A ja byłbym wdzięczny, gdybyś nie uciekała stąd jak burza i nie zmuszała mnie do wstania i kuśtykania za tobą. Mógłbym też dostać apopleksji i pokroić sobie stopy na wstążki tłuczonym szkłem.

Wargi jej drżały, gdy mówiła:

- Widzisz? Cholera, pewnie właśnie dlatego to musiało się przytrafić mnie. Ty nie jesteś łatwy, Goodnight, ale umiesz być tak cholernie przyjacielski, że łatwo cię posadzić o brak stanowczości. Potrafisz być elastyczny, ale tylko do granic wytyczonych przez siebie. Gdy zakreślisz sobie jakąś linię, trzeba by chyba dynamitu, żeby cię wypchnąć poza nią. Mama miała rację. Ona ma zawsze rację.

Wzdychając, podeszła do szafy gospodarczej, wyjęła szczotkę i śmietniczkę.

- Jesteś jak mój ojciec.

- Nieprawda.

Z uśmiechem na ustach zmiatała skorupy.

- Nigdy do tej pory nie traktowałam nikogo poważnie, bo nikt nie pasował. Żaden z nich nie umywał się do jedynej mężczyzny, którego podziwiam: mojego ojca.

- Masz rację. Jesteśmy identyczni. Rozdzieleni po porodzie.

- Wszystko było pisane małą literą, a to dość zniechęcające. No, a dziś rano otworzyłeś drzwi i była duża, gruba, błyszcząca wielka litera M. A spójrz na siebie. Włosy

masz w kretyńskim nieładzie.

W odpowiedzi podniósł rękę i sprawdził. Skrzywił się.

- Cholera.

- I bielizna ci się rozpada. Dotknął podartego paska majtek.

- Jeszcze tu dużo materiału.

- Jesteś cały posiniaczony i naburmuszony. Przepraszam za kubek.

- Twój brat wspominał, że lubicie rzucać różnymi przedmiotami. Ja jestem w tobie zakochany od mniej więcej dziesiątej trzydzięci dziewiątego maja 1992 roku.

Cały czas uśmiechała się ciepło, wrzucając skorupy do kubła na śmieci.

- Nie, to niemożliwe.

- Łatwo ci powiedzieć. To było pisane małą literą - ciągnął dalej, podczas gdy ona chowała szczotkę. - Ubrane głównie moją fantazją. Kiedy rzeczywiście cię spotkałem, nabrało innej barwy, ale dalej to była mała litera.

- Wiem. Chyba się spóźnię - stwierdziła, spojrzawszy na zegarek. - Przydzielę ci paru gliniarzy, dopóki...

- Ja dojrzałem.

Opuściła rękę, nic nie mówiąc.

- Dojrzałem, Reeno, więc myślę, że oboje musimy się zastanowić, jak sobie z tym poradzić.

Podeszła do Bo i oparła się policzkiem o jego głowę. Poczula - dosłownie poczula - jak jej serce się uspokaja.

- To przedziwna sprawa - powiedziała. - A ja nie mogę tu zostać. Ani chwili dłużej.

- Nie szkodzi. To nigdzie nie ucieknie. Schyliła się i pocałowała go w usta.

- Zadzwoń później. - Pocałowała go jeszcze raz. - Bądź ostrożny. - I jeszcze: -
Uważaj.

Potem wybiegła szybko i była już za drzwiami, zanim zdołał podnieść się z krzesła.

Siedział więc dalej. Przez okna wpadało światło poranka, na stole stała puszka ciepłej coli. Jaka dziwna, przedziwna podróż to życie - myślał.

Ledwo wypił colę, gdy znów ktoś zastukał do drzwi.

- Na litość boską!

Wstał, stwierdził, że tabletki i groszek pomogły, po czym wyszedł z kuchni. Będzie musiał dać tej kobiecie klucze - to nieuniknione. To następny krok do mieszkania razem, co było już bliskie drugiemu potężnemu słowu na M. Ale o tym jeszcze w ogóle nie chciał myśleć.

Gdy tylko otworzył drzwi, natychmiast ujrzał w swych objęciach kobietę, ale nie była to Reena.

- Bo, Chryste, Bo. - Mandy ścisnęła go tak mocno, że aż jego siniaki jęczały. - Przyjechaliśmy, jak tylko usłyszeliśmy.

- Usłyszeliśmy? My, to znaczy kto?

- O bombie w twojej furgonetce. - Odsunęła się i szybko obrzuciła go wzrokiem. - O moje biedactwo! Powiedzieli, że drobne skaleczenia. Ty jesteś cały pokiereszowany. Obandażowany. A co się stało z twoimi włosami?

- Cicho. - Przyczesał się ręką.

- Brad parkuje. W tej okolicy trzeba zaliczyć rajd, żeby znaleźć miejsce do parkowania. A przed twoim domem teren jest wciąż zablokowany.

- Brad.

- Nie dowiedziałam się wcześniej, bo przez pomyłkę wyłączyłam swoją komórkę, a nie byłam w domu, więc nie czytałam gazety. Nic nie wiedzieliśmy do tej pory. Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Brad? - Nie miał problemów z pamięcią, mimo że spał tylko pięć minut. - Ty i Brad? Razem? Mój Brad?

- No tak. Boże, chyba nie nosiłeś się z zamiarem z nim sypiać. To było całkiem niezaplanowane. Chodź, pozwól, że pomogę ci usiąść.

Podniósł rękę gestem policjanta drogowego.

- Zaraz, zaraz, czekaj. Czy ja jestem w jakimś Świecie Bizarro?

- Żadne tam Bizarro. Przecież znamy się od lat. Po prostu się umówiliśmy, poszliśmy coś zjeść, potem kino, i tak jedno do drugiego. - Uśmiechnęła się szeroko i promiennie. - Było wspaniale.

- Milcz! Nie mów mi tego. - Zasłonił uszy dłońmi i zaczął wydawać ustami głośne dźwięki zagłuszające. - Mój umysł nie zniesie tych informacji. Imploduje.

- Chyba nie jesteś jednym z tych fajansiarzy, którzy mówią: „Ja z nią kiedyś sypiałem, więc nikomu z moich znajomych nie wolno”. A może się mylę?

- Co? Nie. - A może jest? - Nie - zdecydował po namyśle. - Ale...

- Naprawdę się dogadaliśmy. A teraz pozwól, że ci pomogę... - Twarz Mandy nagle się rozmarzyła i gdy Bo powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, zobaczył Brada idącego ulicą z męską wersją rozmarzenia na twarzy.

Bo odwrócił głowę, przyciskając ręce do skroni.

- O, moja głowa, moja głowa. To wy, moi najlepsi przyjaciele w tym życiu,

dokończycie chyba dzieła, które ten sukinsyn rozpoczął ostatniej nocy.

- Nie bądź głupi. A jeżeli dotąd nie zauważyłeś, to paradujesz w drzwiach w bieliźnie. I to podartej. Nic mu nie jest! - zawołała do Brada.

- Chłopie, ale nas wystraszyłeś! - Brad wbiegł na schodki. - Wszystko dobrze? Byłeś u lekarza? Nie trzeba cię zawieźć na prześwietlenie?

- Byłem u lekarza. - Mruknął coś, gdy Brad objął go ramieniem.

- Potwornie się martwiliśmy, dlatego tu jesteśmy. A co z furgonetką?

- Grzanka.

- Taki dobry samochód. Co możemy zrobić? Zostawić ci mój wóz? Albo możemy zostać i zawieźć cię tam, gdzie chcesz.

- Nie wiem. Jeszcze nie pozbierałem myśli.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała Mandy. - Chcesz się położyć? Zrobię ci coś do jedzenia.

Poza tym, że trzymali się za ręce, Bo czuł, że przyjechali tu dla niego. Jak zawsze.

- Muszę wziąć prysznic, ubrać się i uporządkować myśli.

- Dobrze, ja przez ten czas zrobię śniadanie. Oboje weźmiemy dzień wolny, tak, Brad?

- Jasne.

- A jak znów zejdziesz na dół - dodała - chcemy wiedzieć, co się stało. Wszystko.

Reena przetarła oczy, żeby lepiej widzieć, a potem znów popatrzyła na ekran monitora.

- Stary Pastorelli przez całe życie przewijał się przez nasze kartoteki. Napady, awantury po pijanemu, napad z zamiarem popełnienia przestępstwa, podpalenie, drobna kradzież. Cztery razy zatrzymany do wyjaśnienia w związku z podejrzanymi pożarami i zwolniony. Dwa przed pożarem w Sirico's, dwa po wyjściu z więzienia. Ostatni znany adres to Bronx. Ale jego żona jest w Marylandzie, tuż za okręgiem stołecznym.

- Syn poszedł dokładnie w ślady ojca - informował ją O'Donnell. - Parę sprawek przed szesnastym rokiem życia jako młodociany.

- O tych wiem. John je dla mnie trzymał na moją prośbę. Zabrali go - powiedziała. - Tak jak i ojca. Tej nocy, kiedy Joey zabił psa i zostawił palącego się przy naszych schodach.

Wstała, obeszła biurka i usiadła przy O'Donnellu, żeby im nie przeszkadzał harmider w pomieszczeniu.

- O'Donnell, on zabił swojego psa. Orzekli, że to była gwałtowna reakcja na aresztowanie ojca z powodu pożaru. Trudne, zagubione dziecko z patologicznej rodziny. Ojciec regularnie tłukł matkę. Od czasu do czasu poturbował i dziecko.

- Ale ty tego nie kupiłaś.

- Nie. Widziałam, jak biegł za samochodem, którym zabrano Pastorellego do aresztu. Uwielbiał swojego ojca. Wiele dzieci żyjących w podobnych warunkach tak się zachowuje. Matka była słaba, nieudolna. Rządził stary Pastorelli. No i zobacz sam - dodała, odwracając się, żeby lepiej dojrzeć wykaz na ekranie O'Donnella. - Aresztowania za napady, napastowanie o charakterze seksualnym, wandalizm, wielokrotna kradzież aut, kilkakrotne złamanie zasad warunkowych zwolnień. Nie tylko idzie w ślady ojca, ale bije go na głowę.

- Nie ma na koncie żadnego pożaru.

- Może jest więc sprytniejszy albo ma więcej szczęścia. Może działają razem z ojcem na zmianę. Może podpalanie zostawił specjalnie dla mnie. Ale za tym stoi on sam albo obaj.

- Nie ma na to żadnych dowodów.

- On sam lub obaj z ojcem zabili Josha Boltona.

- Hale, to duży przeskok od tego, co tu mają na koncie, do morderstwa.

Pokręciła głową.

- Mogły być i inne przestępstwa, ale po prostu ich nie złapano. Teraz mi się wszystko przypomina od dnia, gdy Joey mnie zaatakował. To był ewidentnie napad seksualny, ale wtedy tego jeszcze nie rozumiałam.

Ale wciąż pamiętała, i to bardzo dobrze, jak ją łapał za piersi, krocze i co o niej mówił. I tę dzikość wypisaną na jego twarzy.

- Rzucił się na mnie, a Xander i paru jego kolegów usłyszeli mój krzyk i odpędzili go. Powiedziałam ojcu, a on poszedł prosto do nich i rzucił się do oczu staremu Pastorellemu. Nigdy nie widziałam ojca w takim stanie. Gdyby nie wyszło kilku sąsiadów oraz klientów z Sirico's i nie rozdzieliło ich, mogłoby być źle. Bardzo źle. Mój ojciec groził, że wezwie policję, a ludzie, którzy tam się zebrali i wszystko słyszeli, byli po jego stronie.

- I tej samej nocy Pastorelli podpałił Sirico's.

- Tak. Postawiłeś mi się, skurczysynu, to ja cię urządzę. Robota niechlujna, w pijanym widzie, bez zawracania sobie głowy rodziną mieszkającą na górze. Mogło się wszystko spalić razem z nimi.

- Ale ty zauważyłaś ogień.

- Tak. Więc znów ja. No i mieliśmy kłopot, ale nikt nie został uszkodzony. Ubezpieczenie zwróciło koszty, a wszyscy nam pomagali. Można by nawet powiedzieć, że pożar właściwie okazał się dla naszej rodziny korzystny. Wzmocnił nasze więzi, pozwolił rodzicom rozbudować i zmodernizować lokal.

- To musiało wkurzać kogoś, kto chciał was zniszczyć.

- I został złapany. Jego pies szczekał. To jedna z tych rzeczy, o których powiedziałam Johnowi. Pies szczekał w ich ogródku, gdzie była szopa. Znalaziono w niej pojemnik na benzynę i trochę piwa, które ukradł, a także buty, które miał na sobie.

- I dzieciak zabił psa.

- Tak. Można to odebrać tak, że pies odgrywał istotną rolę w łańcuchu wydarzeń. Przeklęty kundel zrujnował życie jego ojcu.

- Więc musiał zginąć.

- Tak, i co więcej, musiał spłonąć. Zabrali dzieciaka, osadzili, młodociany, został więc odnotowany. Wyszedł, a matka ściągnęła go do Nowego Jorku. Tam też wpadł w tarapaty, ale nadal był nieletni. Trudno nieletniemu przyjechać z Nowego Jorku do Baltimore, żeby jakoś skrzywdzić mnie lub moją rodzinę. Ale spójrz.

Kliknęła, żeby przesunąć stronę.

- Sam zrobił mały skok. Obaj byli na wolności, gdy zginął Josh. Joey już nie był małoletni. Joe mył podłogi. Diabelna degradacja.

Teraz już poznawała całą prawdę; czuła ją w gardle i w żołądku. To były brakujące kawałki układanki.

- Ale Sirico's prosperuje. Nasza rodzina ma się dobrze. A ta mała dziwka, która to wszystko spowodowała, studiuje i pieprzy się z jakimś palantem. Jak Joey się do niej dobierał, wrzeszczała i wszystko popsula. A temu pozwala bez problemu. Czas się jej odplacić, poważnie odplacić. Byłam z nim, z Joshem, tej nocy po ślubie Belli. Jeden z nich zabił tego chłopaka i podpalił go. Dlatego że ja z nim byłam.

- Dobrze, jeśli przyjmujemy takie rozumowanie, to dlaczego on czy oni nie zabili wtedy ciebie? Byłaś tam. Dlaczego nie ukatrupili was oboje?

- Bo to za mało. Gdyby mnie zabili, byłoby po wszystkim. Lepiej zrobić mi krzywdę, sprawić, żebym cierpiała, użyć przeciwko mnie ognia, żebym zachodziła w głowę. Pastorelli senior miał na tamtą noc alibi. Sprawdził to John. Ale mogło być lipne. Joey powinien być w Nowym Jorku i parę osób potwierdziło, że był. Ale ludzie robią takie rzeczy. I popatrz, trzy miesiące po śmierci Josha Joey okradł samochód. W Wirginii, nie w Nowym Jorku.

- Nie twierdzę, że ludzie nie mogą hodować urazy czy obsesji przez dwadzieścia lat. Ale to długi okres.

- W tym czasie atakował. Mogłam też czegoś nie zauważyć, nie skojarzyć. Był jeden incydent zaraz po podjęciu przeze mnie pracy. Zabito strażaka, z którym się czasem spotykałam. Jechał do Karoliny Północnej na długi weekend. Byłam zajęta, więc nie mogłam się zabrać z nim, ale mieliśmy tam wyruszyć ze Steve'em i Giną następnego rana. Znaleźli go

w samochodzie, w lesie przy bocznej drodze. Został zastrzelony, a jego samochód podpalony. Wyglądało, jakby go porwano, obrabowano, zabito i podpalono samochód, żeby zatrzeć ślady. Było to jedenaście lat po pożarze w Sirico's.

O'Donnell usiadł wygodniej.

- Hugh Fitzgerald. Trochę go znałem. Pamiętam, jak zginął. Nie wiedziałem, że byliście razem.

- Niezobowiązująco. Spotkaliśmy się parę razy, kolegowaliśmy się ze Steve'em. Steve i Gina byli razem. Tamten incydent wydawał się przypadkowy. I za taki go uznała lokalna policja.

Ja też - myślała, przeczesała palcami włosy. Nigdy nie badałam tego głębiej.

- Poszła mu jedna opona, była późna noc, ciemna wiejska szosa. Orzekli, że zatrzymał nieodpowiednią osobę albo ktoś do niego podszedł i próbował mu zabrać pieniądze. Zabił go. Zepchnął samochód do lasu i podpałił w nadziei, że ogień zniszczy ślady. To w zasadzie się udało. Ta sprawa jest nadal otwarta.

Wciągnęła w płuca powietrze.

- Nigdy sobie tego tak nie skojarzyłam, nie miałam podstaw. Do licha, byłam wtedy świeżo upieczoną mundurową. Nie mogłam kwestionować opinii doświadczonych gliniarzy tylko dlatego, iż coś mi nie dawało spokoju. Spotkaliśmy się parę razy i oboje myśleliśmy, że może się to rozwinąć. Ale nie byliśmy parą. Zabito go w Karolinie Północnej. Nikt nie posądzał tego, który podpałił restaurację mojego ojca jedenaście lat wstecz. Powinnam się domyślić.

- Taaak, szkoda, że twoja kryształowa kula była akurat niesprawna.

Choć dotarł do niej ukryty w tej wypowiedzi sarkazm i lekki sentyment, nie ostudziła ona jej wewnętrznego wrzenia.

- Ogień, O'Donnell. To zawsze jest ogień. Josh, Hugh, samochód Luke'a i teraz Bo. Zawsze ogień. Może było coś więcej, o czym nie wiedziałam. Ta sprawa jest otwarta.

- Różnica polega na tym, że teraz on chce, żebyś wiedziała.

Laura Pastorelli pracowała za barem w 7 - Eleven w pobliżu granicy stanu Maryland z okręgiem stołecznym. Miała pięćdziesiąt trzy lata, ale jej ciało było rachityczne i zniszczone. Twarz kobiety, poraną zmarszczkami bardziej ze smutku i zgryzoty niż z powodu wieku, okalały byle jak uczesane, przyprószone siwizną włosy. Na szyi zwisał srebrny krzyżyk. To oraz obrączka stanowiły jej jedyną biżuterię.

Gdy O'Donnell i Reena weszli, podniosła wzrok i prześlizgnęła się nim po przybyłych, nie poznając młodej kobiety.

- Słucham? - zapytała obojętnie, jak to robiła odruchowo dziesiątki razy dziennie.

- Pani Laura Pastorelli? - O'Donnell pokazał odznakę, a Reena zauważyła, jak się wzdrygnęła, a potem zacisnęła usta.

- Czego chcecie? Pracuję. Nie zrobiłam nic złego.

- Musimy pani zadać kilka pytań na temat pani męża i syna.

- Mój mąż mieszka w Nowym Jorku. Nie widziałam go od pięciu lat. - Dotknęła palcami chudej piersi i pogładziła srebrny krzyżyk.

- A Joey? - Reena poczekała, aż Laura przeniesie wzrok na jej twarz. - Nie pamięta mnie pani? Jestem Catarina Hale z naszej dzielnicy.

Przypominała sobie powoli, gładząc krzyżyk. Gdy to nastąpiło, odwróciła oczy.

- Nie pamiętam pani. Od lat nie byłam w Baltimore.

- Pamięta pani - rzekła łagodnie Reena. - Może jest jakieś lepsze miejsce, gdzie możemy porozmawiać.

- Jestem w pracy. Chcecie, żebym ją straciła? Nic nie zrobiłam. Dlaczego nie możecie zostawić nas w spokoju?

O'Donnell podszedł do dwudziestoparoletniego młodzieńca o pulchnej twarzy, który nawet nie starał się ukrywać, że słucha z zainteresowaniem. Na jego plakietce widniało imię Dennis.

- Dennis, może staniesz na chwilę za barem, a pani Pastorelli zrobi sobie małą przerwę.

- Mam tu robotę.

- Płacą ci za godziny, prawda? Stań za barem. - O'Donnell wrócił do nich. - Pani Pastorelli, wyjdźmy na dwór, dobrze? Jest piękny dzień.

- Nie możecie mnie zmusić, nie chcę.

- Jeśli będziemy musieli przyjechać tu jeszcze raz, może być o wiele gorzej -

powiedziała Reena spokojnie. - Nie chcielibyśmy rozmawiać z pani pracodawcą ani bardziej tego komplikować.

Laura bez słowa wyszła zza baru i poszła na dwór ze spuszczoną głową.

- On już zapłacił. Joe zapłacił za to, co się stało. To przecież wypadek. Był pijany i zdarzył się wypadek. Twój ojciec go sprowokował. Opowiadał kłamstwa o Joeyu i atakował go, więc Joe się upił, i to wszystko. Nikt nie został ranny. Ubezpieczenie pokryło wam koszty, prawda? My musieliśmy się wyprowadzić.

Teraz podniosła głowę, a w jej oczach zabłyśły łzy.

- Musieliśmy się wyprowadzić, a Joe poszedł do więzienia. Czy nie wystarczy taka kara?

- Joey był tym bardzo załamany, co? - zapytała Reena.

- Zabrali jego ojca. W kajdankach. Przy wszystkich sąsiadach. Był małym chłopcem. Potrzebował ojca.

- To był ciężki okres dla waszej rodziny.

- Ciężki? Rozbił naszą rodzinę na kawałki. Ty... twój ojciec mówił okropne rzeczy o moim Joeyu. Ludzie to wszystko słyszeli. To, co Joe zrobił, nie było dobre. „Zemsta należy do mnie, mówi Pan”. Ale to nie jego wina. Pił.

- Siedział jeszcze dodatkowo za coś innego. Wplątał się w jakąś przykrą sprawę w więzieniu - zauważył O'Donnell.

- Musiał się bronić, prawda? Więzienie okaleczyło mu duszę. Potem już nigdy nie był taki jak wcześniej.

- Pani rodzina ma pretensje do mojej. Do mnie. Laura skrzywiła się.

- Byłaś dzieckiem. Nie można winić dziecka.

- Niektórzy winią. Nie wie pani, czy mąż albo syn byli ostatnio w Baltimore?

- Mówiłam, że Joe jest w Nowym Jorku.

- To niedaleko. Może panią odwiedzał?

- Nie odzywa się do mnie. Odszedł od Kościoła. Modłę się za niego co wieczór.

- Ale musi się widywać z Joeyem.

Lekko uniosła bark z widocznym wysiłkiem włożonym w ten gest.

- Joey tu się nie pokazuje. Jest zajęty. Ma dużo pracy.

- Kiedy ostatni raz słyszała pani o synu?

- Kilka miesięcy temu. Jest zajęty. - Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy, niemal płaczliwy. Reena przypomniała sobie, jak kiedyś wycierała twarz żółtą ścierką. - Wy zawsze coś od niego chcecie. Oni zabrali jego ojca i wywieźli. No więc wdał się w jakieś historie,

zrobił trochę złych rzeczy. Ale teraz jest w porządku. Ma pracę.

- Gdzie?

- Jest mechanikiem. Nauczył się o samochodach, jak był w więzieniu. O samochodach, komputerach i innych rzeczach. Zdobył wykształcenie i ma dobrą, stałą pracę w Nowym Jorku.

- W warsztacie? - pytał O'Donnell. - Zna pani jego nazwę?

- Coś jak Auto Rite. Na Brooklynie. Dlaczego nie zostawicie go w spokoju?

- Z początku mnie nie poznała - powiedziała Reena, gdy wrócili do samochodu. - Ale gdy już to zrobiła, nie była zaskoczona, że jestem policjantką. Ktoś musiał ją informować o tym, co się dzieje na starych śmieciach.

O'Donnell skinął przytakująco głową, dzwoniąc z komórki i zapisując numer.

- Mam Auto Rite na Brooklynie. - Po krótkim namyśle podał Reenie kartkę z notesu. - Ty się zajmij juniorem, ja seniorem.

Gdy Reena znalazła się z powrotem przy swoim biurku, zadzwoniła do warsztatu. Krótką rozmowę z właścicielem odbyła przy akompaniamencie muzyki Black Crowes oraz głośnych łomotów w tle.

- Joey pracował w tym warsztacie - przekazała O'Donnellowi. - Przez jakieś dwa miesiące rok temu. W tym czasie były tam dwa włamania, skradziono maszyny i narzędzia. Po ostatnim ktoś odjechał lexusem. Jeden z mechaników twierdzi, że słyszał, jak Joey chwalił się jakimiś łatwymi zyskami. Właściciel zgłosił to policji, ta zrobiła dochodzenie. Nic mu nie udowodnili, ale został stamtąd wyrzucony. Pięć miesięcy później znów było tam włamanie. Czysty wandalizm. Porozbijane samochody, napisy na ścianach i ogień w koszu na śmieci.

- A gdzie był nasz chłoptaş, gdy trwała ta zabawa?

- Podobno w Atlantic City. Miał na to trzech świadków. O'Donnell, jego świadkowie są z nim powiązani. To rodzina Carbiionellich z New Jersey.

- Czyżby twoja karząca ręka z dzieciństwa miała jakieś koneksje?

- Warto by to sprawdzić. Skontroluję te trzy osoby, które za niego ręczyły.

- A tymczasem senior jest aktualnie bezrobotny. Miał pracę przy sprzątaniu paru barów, ale ją stracił sześć tygodni temu, bo za często się częstował gorzałą.

- Jeden lub obaj - orzekła Reena. - Jeden lub obaj są w Baltimore.

- O tak. Może zadzwonimy do kolegów w Nowym Jorku i poprosimy ich, żeby sprawdzili.

Reena czuła ucisk w żołądku, ale czegoś takiego nie była w stanie wyznać nawet swojemu partnerowi. Próbowwała o tym zapomnieć, koncentrując się na pracy. Zbierała dane,

łączyła fakty, zapisywała, aż wreszcie była gotowa, żeby zdać relację partnerowi i szefowi.

Sprawa. Musiała o tym myśleć jako o sprawie - obiektywnie, z odpowiednim dystansem. Ponieważ nie mogła oficjalnie prowadzić sprawy podpalenia pojazdu, poprosiła Youngera i Trippleya, żeby poszli razem z nią i O'Donnellem do kapitana.

- Wy dwaj powinniście się dowiedzieć, co zebraliśmy - powiedziała im.

Kapitan Brant poprosił ich do środka.

- Pracujemy nad pewną teorią - zaczął O'Donnell i skinął na Reenę, żeby zaczęła.

Zrelacjonowała wszystko - od pożaru w Sirico's tamtego lata, gdy miała jedenaście lat, do zniszczenia furgonetki Bo poprzedniej nocy.

- Młody Pastorelli koleguje się z trzema członkami rodziny Carbionelli z New Jersey. Przez jakiś czas siedział w Rikers razem z Ginem Borinim, kuzynem Nicka Carbionellego. To Carbionelli, Borini i jeszcze jeden z marginesu dostarczyli alibi Pastorellemu na tę noc, gdy zdemolowano warsztat.

Wyglądało to na sprawkę małych dzieci - mówiła dalej. - Było to pięć miesięcy od jego zwolnienia z pracy i zrobione po amatorsku, jak przez jakąś bandę dzieciaków. Zniszczenia, drobna kradzież i byle jaki ogień dla zmylenia. Puścili mu to płazem.

- Lokalni mają zbadać, co się da, na miejscu - dodał O'Donnell. - Nie jest to ich priorytet, ale wyślą dwóch detektywów pod ostatnie znane adresy.

- Zachodzi duże podobieństwo między pożarem samochodu niejakiego Luke'a Chambersa kilka lat temu a tym ostatniej nocy. - Popatrzyła na Trippleya. - Możliwe, że użył tego samego sposobu do spowodowania eksplozji w bakach.

- Sprawdzimy to.

- Panie kapitanie, proszę o ponowne otwarcie sprawy Josha Boltona.

- Niech ją weźmie Younger. Spójrzy świeżym okiem - odparł kapitan. - Ty ją badałaś regularnie od lat. Założymy podsłuch na twój telefon i na telefon Goodnighta. Jeszcze raz przesłuchajcie tę żonę.

Laura Pastorelli zakończyła już swoją zmianę, więc pojechali pod jej adres. Był to mały, schludny domek w wąskiej uliczce. Na podjeździe stała stara toyota camry. Reena zauważyła na desce rozdzielczej figurkę świętego Krzysztofa, a jeden z breloków miał przyczepiony buzzer czujnika parkowania.

Gdy zapukali, drzwi otworzyła kobieta mniej więcej w wieku Laury, ale znacznie mniej zniszczona. Miała okrągłą, starannie umalowaną twarz i włosy od fryzjera. Ubrana była w granatowe spodnie i białą letnią koszulę dokładnie włożoną do środka.

U jej stóp siedział puszysty, pomarańczowy miniaturowy szpic i przeraźliwie ujadł.

- Cicho bądź, Missy, głupolku. Szczypie w kostki - oznajmiła kobieta. - Lojalnie uprzedzam.

- Tak, proszę pani. - Reena wyciągnęła odznakę. - Chcemy rozmawiać z Laurą Pastorelli.

- O tej porze jest w kościele. Chodzi tam każdego popołudnia po pracy. Czy *coś* się stało w sklepie?

- Nie, proszę pani. Który to kościół?

- Świętego Michała, tam na Pershingu. - Jej oczy się zwęziły. - Jeśli nic się nie stało w sklepie, to musi chodzić albo o tego nędznika jej męża, albo nędznika jej syna.

- Wie pani może, czy ona się kontaktowała z Josephem Pastorellim seniorem lub juniorem?

- Nawet gdyby tak było, nic by mi nie powiedziała. Jestem jej szwagierką. Patricia Azi. Żona Franka Azi. Proszę wejść.

O'Donnell spojrzał wymownie na ciągle ujadającą futrzaną kulkę, a Patricia posłała mu wątry uśmiech.

- Zaraz, minutkę. Na litość boską, Missy, zamknij się wreszcie! - Zgarnęła psa i wyniosła. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi i po chwili kobieta wróciła.

- Mój mąż jest zakochany w tej durnej suce. Mamy ją już jedenaście lat, a wciąż jest taka zwariowana. Proszę do środka. Jeśli chcecie porozmawiać z Laurą, to powinna tu być za jakieś pół godziny. Wtedy skończy te swoje Gorzkie Żale. - Westchnęła ciężko i wskazała im mały, przytulny salonik. - Przepraszam, że mówię tak zjadliwie, ale nie jest łatwo mieszkać z męczennicą.

Reena oceniła, na czym stoi, i uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Moja babcia zawsze mówiła, że dwie kobiety nie mogą czuć się komfortowo w jednym domu, bez względu na to, jak się lubią. Każda chciałaby mieć zawsze swoją kuchnię.

- Ona właściwie nie wchodzi mi zbyt w drogę, a nie stać jej na własne mieszkanie. W zasadzie. Mamy pokój. Dzieci dorosły. Ona ciężko pracuje i koniecznie chce płacić czynsz. Powiecie mi, o co tu chodzi?

- Jej mąż i syn mogą mieć informacje dotyczące pewnej sprawy, nad którą pracujemy - zaczęła Reena. - Gdy rozmawialiśmy już dziś wcześniej z panią Pastorelli, utrzymywała, że od jej ostatniego spotkania z jednym lub drugim upłynął jakiś czas. Właśnie to sprawdzamy.

- Jak mówiłam, ona by mi nie powiedziała, gdyby się spotkała lub rozmawiała z którymś z nich. Nie pisnęłaby też słowa Frankowi, zwłaszcza kiedy zaprowadził tu swoje rządy.

Praca policjanta polegała między innymi na dostosowywaniu się do czyjegoś rytmu i podtrzymywaniu go. Toteż Reena uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ach tak?

- Pokazał się ni stąd, ni zowąd w zeszłym roku tuż przed Bożym Narodzeniem. Laura wylewała wiadra łez, jej modlitwy zostały wysłuchane i tym podobne. - Patricia wzniosła oczy do nieba.

- Na pewno była szczęśliwa, że znów widzi syna.

- Lepiej od razu usunąć zadrę niż czekać, aż się wda zakażenie.

- Niezbyt pani lubi siostrzeńca - podchwycił O'Donnell.

- Powiem wprost, on mnie przeraża. Jest gorszy niż jego ojciec, bardziej podstępny i myślę, że o wiele sprytniejszy.

- Pani Azi, czy on kiedykolwiek pani groził?

- Nie bezpośrednio, tylko ten wyraz jego oczu. Chyba wiecie, że był kilka razy w więzieniu. Laura lubi go usprawiedliwiać, ale to zły człowiek. No i zjawia się tu, w moich progach. Nie podobało nam się to, mnie i Frankowi, ale nie odprawia się rodziny. Przynajmniej nie chciałoby się tak robić. No więc on się pojawił... Ale przepraszam, nie zaproponowałam wam nic do picia.

- Nie trzeba - zapewniła ją Reena. - Joey przyjechał zobaczyć się z matką w święta?

- Możliwe. Bardzo się pysznił. Przyjechał wspaniałym samochodem, na sobie miał drogie ciuchy. Dał jej zegarek z diamentami wokół tarczy i diamentowe kolczyki. Nie byłabym zdziwiona, gdyby je ukradł, ale nic nie mówiłam. Twierdził, że ma zamiar rozkręcić jakiś duży interes, jakiś klub z jakimiś „partnerami”. - Powiedziała to z sarkazmem. - Mieli go otworzyć w Nowym Jorku i zarobić mnóstwo pieniędzy. Mój mąż zapytał go, jak chce to zrobić, skoro nie dostanie licencji na sprzedaż alkoholu, bo był karany, i coś w tym stylu. Widziałam, że mu to dopiekło, ale tylko trochę się skrzywił i powiedział, że są na to sposoby. W każdym razie to nieistotne.

Machnęła ręką.

- Został na kolację, opowiadał, że mieszka w hotelowym apartamencie, i chełpił się tak z godzinę. Ale za każdym razem, gdy Frank zadał mu jakieś konkretne pytanie dotyczące tego nowego biznesu, odpowiadał wymijająco i irytował się. Atmosfera zrobiła się gorąca i cóż uczynił Joey? Przejechał ręką po stole, zaczął tłuc mi naczynia i rzucać jedzeniem po ścianach. Kłął i krzyczał na Franka, który go rozdrażnił. Mój mąż nie należy do ustępliwych ani takich, którzy będą tolerować we własnym domu podobne zachowanie.

Kiwnęła zdecydowanie głową.

- Ma prawo w swoim domu zadawać pytania i wyrażać opinie. Laura stanęła w obronie Joeya i ujęła go za ramię, a co on zrobił? Uderzył ją. Uderzył własną matkę w twarz!

Patricia położyła dłoń na piersiach.

- W naszej rodzinie też potrafimy się rozgniewać, to oczywiste, ale czegoś takiego nie widziałam nigdy. Przenigdy. Mężczyzna bijący własną matkę? I nazwał ją skomlącą suką czy coś takiego.

Kobieta, opowiadając, aż dostała rumieńców.

- Doprawdy, mało jest rzeczy gorszych niż to. Już szłam do telefonu zadzwonić po policję, ale Laura zaczęła błagać, żebym tego nie robiła. Stała tak z krwawiącym nosem i błagała, abym nie ściągała nieszczęścia na jej syna. Więc nie zadzwoniłam. On już i tak był w drzwiach - tchórz. Mój Frank jest od niego wyższy, a łatwiej mu było zdzielić tę chudzinę niż wystartować do dziewięćdziesięciokilogramowego mężczyzny. Poszedł za nim i zabronił mu tu więcej przychodzić. Powiedział, że jeśli to zrobi, kopnie go w ten nędzny tyłek, aż doleci do Nowego Jorku.

Głęboko odetchnęła, jakby deklamowała na scenie.

- Mówię wam, byłam z niego dumna. Gdy potem Laurze przeszła już histeria, Frank usiadł z nią i zapowiedział, że dopóki mieszka pod tym dachem, nie wolno jej otworzyć drzwi synowi. Jeśli to zrobi, ma się stąd wynieść.

Westchnęła.

- Mam własne dzieci, a także wnuki. Wiem, że pękłoby mi serce, gdybym nie mogła ich widywać. Ale Frank zrobił to, co powinien. A mężczyzna, który bije własną matkę, to najgorsza kanalia.

- Wtedy widziała go pani po raz ostatni? - zapytała Reena.

- Tak, i z tego, co wiem, Laura także. Ten incydent popsuł nam święta, ale jakoś to przeżyliśmy. Z czasem się o tym, jak zwykle, zapomniało. Od tamtej pory największym przeżyciem był pożar w domu, który mój syn buduje w hrabstwie Frederick.

- Pożar? - Reena wymieniła spojrzenia z O'Donnellem. - Kiedy to było?

- W połowie marca. Właśnie doszli do dachu. Jakieś dzieciaki się włamały i urządziły sobie zabawę. Wstawiły piecyki olejowe, żeby nie zmarznąć. Jeden się przewrócił, ktoś upuścił zapalną i pół domu spłonęło, zanim strażacy zdołali ugasić.

- Złapali te dzieciaki? - zapytał O'Donnell.

- Nie. To straszliwe nieszczęście. Całe miesiące pracy poszły z dymem.

Gdy drzwi wejściowe się otworzyły, Patricia popatrzyła na Reenę i wstała.

- Laura.

- Dlaczego oni tu są? - Oczy pani Pastorelli były zaczerwienione i podpuchnięte. Reena pomyślała, że spędziła ona w kościele tyle samo czasu na płaczu, ile na modlitwie. - Mówiłam, że nie widziałam ani Joego, ani Joeya.

- Nie udało nam się skontaktować z pani synem, pani Pastorelli. Już nie pracuje w tym warsztacie.

- To pewnie znalazł coś lepszego.

- Możliwe. Pani Pastorelli, czy ma pani zegarek i kolczyki otrzymane od syna w grudniu?

- Nie wiem, o czym mówicie.

- Pani Pastorelli. - Reena mówiła łagodnie, patrząc spokojnym wzrokiem. - Właśnie wróciła pani z kościoła. Proszę sobie nie dodawać zmartwień, kłamiąc na temat tych przedmiotów.

- To były prezenty. - Łzy jak na zawołanie popłynęły jej po policzkach.

- Pójdziemy teraz na górę i weźmiemy je. - Reena delikatnie otoczyła Laurę ramieniem. - Dam pani za nie pokwitowanie. I wszystko to wyjaśnimy.

- Myślicie, że je ukradł. Dlaczego wszyscy myślą zawsze najgorsze rzeczy o moim chłopcu?

- Lepiej to wyjaśnić - ciągnęła Reena, prowadząc Laurę po schodach.

- On je ukradł - mruknęła Patricia. - Wiedziałam to.

- Piaget - stwierdziła Reena, obejrzawszy zegarek. - Czterdzieści diamentów o szlifie brylantowym wokół krawędzi. Osiemnastokaratowe złoto. To może być warte w sprzedaży około sześciu - siedmiu tysięcy.

- Skąd się tak znasz na tym cholerstwie?

- Jestem kobietą, więc lubię oglądać wystawy, zwłaszcza rzeczy, na które nigdy mnie nie będzie stać. Kolczyki przypuszczalnie dwa karaty każdy, ładny, czysty szlif kwadratowy w klasycznej oprawie. Nasz chłopiec zaszalał na święta dla mamy.

- Sprawdzimy w Nowym Jorku, czy były jakieś włamania do sklepów jubilerskich lub rezydencji, gdzie zgłoszono zaginięcie podobnych przedmiotów.

- Taaak. - Trzymała diamenty pod światło. - Mam przecucie, że jakaś wytworna kobieta nie dostała w zeszłym roku swoich drogich błyskotek od Świętego Mikołaja. - Powoli otworzyła lusterko i przyłożyła jeden kolczyk do ucha. - Ładny.

- Jezu, ale z ciebie dziewczyna!

- Jak cholera. Przyjechał się popisać przed matką, zaszpanować przed wujem. Drogi samochód, ubrania, prezenty. Nie sądzę, żeby wygrał na pieprzonej loterii. Ale wuj, zamiast

piąć z zachwytu, sprowadza go do parteru i chłoptaś się wnerwia. Robi scenę, wyrzucają go. Ale on im tego nie przepuści.

- Cierpliwy jest. Cierpliwy sukinkot.

- Tutaj przerósł swojego starego. Czeka, planuje, obmyśla. Poza tym zna rodzinę. Jak się zemścić na ojcu? Uderzając w syna.

- Weźmiemy z Frederick akta na temat tego pożaru.

- Podobny jak w szkole podstawowej i w warsztacie w Nowym Jorku. Wygląda, jakby to zrobiły dzieci lub jakiś amator, nic nadzwyczajnego, ale tylko patrząc powierzchownie. On jest w tym dobry, O'Donnell. Jest naprawdę dobry.

Pięknie, pięknie. Dać staruszce telefon komórkowy i numer, żeby zadzwoniła, co i kiedy. Głupia baba. Ciągle jej trzeba pokazywać, jak się tym posługuje. To tylko nasz mały sekret, mamo, ty i ja przeciwko pieprzonemu światu.

Uwierz od razu, jak zawsze.

No i odplacamy. Mała kurewka z sąsiedztwa w końcu się domyśliła! Wiedzieć, że mnie pamięta, to było słodkie, o wiele słodsze.

Teraz wszystko się odkręci. Cały ten pech, wszystkie przeciwności losu. Wszystko się odkręci.

Wszystko się spali, łącznie z tą małą dziwką, która to rozpoczęła.

Z głową pełną informacji, teorii i niepokoju Reena weszła do Sirico's. Zwykle tego właśnie potrzebowała, żeby zmyć z siebie troski ciężkiego dnia. Dziś miała tu specjalną nagrodę w postaci czekającego na nią Bo.

Nie znalazła go od razu wzrokiem, ale zauważyła w boksie rudowłosą... Mandy - przypomniała sobie - przytuloną do mężczyzny około trzydziestki, o jasnobrązowych włosach. On ubrany u J. Crew, ona w stylu posthippisowskim.

Pili firmowe czerwone, przyklejeni do siebie biodrami.

Przy jednym z dwuosobowych stolików wypatrzyła Johna. Tam skierowała kroki, po drodze wymieniając zwykle pozdrowienia i machanie ręką.

- Dokładnie ten mężczyzna, z którym chciałam się spotkać.

- Polecam sos z małży.

- Wezmę to pod uwagę. - Usiadła naprzeciwko niego i gestem ręki odprawiła kelnerkę, która szła w ich stronę. - Sprawa się rozkręca.

Nabrał widelcem jeszcze trochę linguini.

- Słyszałam. Wyprostowała się.

- Tata do ciebie dzwonił - bardziej stwierdziła, niż spytała.

- A nie mógł? Dlaczego sama tego nie zrobiłaś?

- Miałam zamiar. Chcę, żebyś mnie wysłuchał i wspomógł radą, ale nie tutaj i nie teraz. Możemy się spotkać rano gdzieś na śniadaniu? Albo lepiej: możesz przyjść do mnie? Sama ci zrobię śniadanie.

- O której?

- Może być wcześniej? Siódma?

- Jakoś to zmieszczę w rozkładzie dnia. A możesz mi trochę powiedzieć teraz, żebym mógł to przeżyć?

Zaczęła, ale zdawała sobie sprawę, że jak raz zacznie, będzie musiała powiedzieć wszystko.

- Muszę się sama z tym przespać, ułożyć sobie wszystko w głowie.

- Więc o siódmej.

- Dzięki.

- Reeno? - Gdy wstawał, położył rękę na jej dłoni. - Czy muszę ci mówić, żebyś była ostrożna?

- Nie. - Wstała, schyliła się i pocałowała go w policzek. - Nie musisz.

Poszła do kuchni, posłała całusa Jackowi, który właśnie polewał sosem okrągły kawałek ciasta.

- Widziałeś Bo? Mam się tu z nim spotkać.

- Na zapleczu.

Zaciekawiona, obeszła blat roboczy i weszła na tył pizzerii. Stała w drzwiach jak zamurowana, patrząc, jak ojciec daje Bo lekcję robienia pizzy.

- Musi być elastyczne, inaczej się dobrze nie rozciągnie. I nie możesz ciągnąć, bo się zrobi pełno dziur.

- Dobrze, czyli po prostu... - Bo wziął kulę ciasta z posmarowanej olejem tacy w chłodziarce. Zaczął ją rozciągać na zewnątrz.

- Teraz użyj pięści, tak jak ci pokazywałem. Zaczynaj formować.

Skupiony na swoim zajęciu, Bo rozrabiał pięścią ciasto od dołu, delikatnie je wgniatając i obracając. Niezłe jak na początkującego - pomyślała Reena.

- Mogę podzucić?

- Zepsujesz, kupujesz - ostrzegł go Gib.

- Dobrze, dobrze. - Z rozstawionymi nogami i zwięzonymi w skupieniu oczami Bo przypominał Reenie mężczyznę szykującego się do żonglowania płonącymi pochodniami. Rzucił ciasto do góry.

Według niej trochę za wysoko, niż należało, ale zdołał je złapać, odwrócić i ponownie rzucić.

Uśmiechnął się całą gębą, aż musiała przygryźć wargi, żeby stłumić śmiech. Wyglądał jak mały chłopiec, który właśnie po raz pierwszy samodzielnie przejechał się na dwukołowym rowerze.

- To jest super. Ale co mam z tym, do licha, teraz zrobić?

- Masz oczy? - zapytał Gib. - Uformowałeś ją wystarczająco dużą?

- Chyba tak. Tak wygląda.

- Na deskę.

- Boże, no już. Mamy.

Pacnął ciasto na deskę i odruchowo wytarł ręce o krótki fartuch, który miał na sobie.

- Nie można powiedzieć, że jest okrągła.

- Całkiem nieźle wyszła, jeszcze trochę uformuj. Dodaj na brzegach.

- Ile upuścił, zanim zrobił tę jedną? - zapytała Reena i weszła do środka.

Bo odwrócił się przez ramię uśmiechnięty szeroko.

- Tę zaliczyłem. Dwie porwałem, ale nic nie spadło na ziemię - powiedział z dumą.

- Szybko się uczy - oświadczył Gib, całując Reenę na powitanie.

- Kto mógł wiedzieć, że to aż tak skomplikowane zrobić pizzę. Macie tu cholernie duży mikser do ciasta. - Wskazał na stalową maszynę do mieszania ogromnych ilości mąki, drożdży i wody. - Trzeba ze dwóch potężnych chłopów, żeby tę misę zataszczyć na blat.

- Przepraszam, ale robiłam to wiele razy, a nie jestem potężnym chłopem.

- Mów do mnie jeszcze. Trzeba to podzielić, poważyc, wstawić tace do chłodziarki, potem znów pokroić ciasto, jak urośnie. I wszystko to, zanim faktycznie zaczniesz robić pizzę. Od dziś będę bardzo ją cenił.

- Możesz dokończyć tę tam na widoku. - Gib podniósł deskę i zaniósł ją na blat, gdzie Jack właśnie zrobił miejsce.

- Ale nie przyglądaj mi się. - Bo poprosił Reenę. - Spieszysz mnie i porwę ją. Idź tam i usiądź z Mandy i Bradem. - Pokazał na parę.

- Nie ma sprawy. - Wzięła napój gazowany i poszła się do nich przyłączyć.

- Hej! Nareszcie. Reeno, to jest Brad. Brad, to Reena. Poznałam ją w jednej z najbardziej wstydlivych chwil mojego życia.

- Więc ja będę pełen godności i to zrównoważę. Miło mi cię poznać, namacalną, po tylu latach słuchania o Dziewczynie z Marzeń.

- Ciebie też. - Upiła łyk i uśmiechnęła się do Mandy. - Gdy miałam piętnaście lat,

upuściłam niechcący notes, biegnąc do klasy. Otworzył się i pewien chłopak - wysoki, barczysty, długie blond włosy, duże niebieskie oczy - o imieniu Chuck podniósł go dla mnie, zanim zdołałam sama dobiec. A ja tam wypełniłam kartki napisami „Reena i Chuck i serduszkami z inicjałami albo tylko z jego imieniem pisany na różne sposoby, jak to się wtedy robiło.

- O Boże, i on to zobaczył?

- Trudno nie zobaczyć.

- No to rzeczywiście wstyd.

- Normalny kolor twarzy wrócił mi gdzieś tak po miesiącu. Teraz jesteśmy kwita.

Reena stwierdziła, że postąpiła dobrze. Wieczór w Sirico's był dokładnie tym, czego potrzebowała. Wyciszyła umysł i odprężyła zaciśnięty żołądek.

Godzina spędzona w towarzystwie najlepszych przyjaciół Bo była ciekawa i pouczająca.

Rodzina - myślała. Tych dwoje to jego rodzina, tak jak dla niej brat i siostry.

- Lubię twoich przyjaciół - powiedziała, otwierając drzwi domu.

- To dobrze, bo gdybyś nie lubiła, ty i ja bylibyśmy już historią. - Gdy wchodzili do środka, poklepał ją po pośladkach. - Nie, tak poważnie, jestem zadowolony, że wszyscy się polubiliście. Oni są dla mnie ważni.

- I dla siebie nawzajem.

- Zauważyłaś to przedtem czy potem, gdy zaczęli się pożerać wzrokiem?

- Przedtem. - Przeciągnęła się. - Jak tylko weszłam. Zmysłowe fluidy.

- Ciężko mi będzie się do tego przyzwyczaić.

- To dlatego, że traktujesz ich jak rodzinę, przynajmniej od czasu, gdy przestałeś wycierać prześcieradła z Mandy. Ale to, że oni teraz je wycierają razem, nie spowoduje, iż będą mniej twoi.

- Myślę, że powinienem sobie zablokować obraz tych prześcieradeł, przynajmniej na razie. - Położył Reenie ręce na ramionach i zaczął je masować. - Zmęczona?

- Już nie tak bardzo. Mam nowe wyzwanie. - Oparła mu ręce na udach. - Czy masz jakiś pomysł, co powinnam zrobić ze swoją energią?

- Mogę mieć. Chodź, wyjdziemy na tył domu. Mam ci coś do pokazania.

- I chcesz mi to pokazać na zewnątrz? - Zaśmiała się, gdy pociągnął ją za sobą. - A ty co znowu, naturysta?

- Seks, seks i jeszcze raz seks, ta kobieta o niczym innym nie myśli. Dzięki Ci, Boże. - Wyprowadził ją do ogródka.

Na niebie kształtna połówka księżycy świeciła ostrym, białym światłem. Kwiaty, które zdołała już zdobyć i posadzić niemal w biegu, wylewały się z doniczek na patio.

Powietrze było ciepłe, trochę gęste i nasycone ciężkim zapachem letniej zieleni.

A tam, pod listowiem klonu, stała ogrodowa huśtawka.

- Huśtawka? Kupiłeś mi huśtawkę do ogródka?

- Kupiłeś? To herezja. Powinienem chyba na niej zawiesić swój pas z narzędziami.

- Zrobiłeś ją? - Oczy jej się zaszklily i to ona go teraz ciągnęła. - Zrobiłeś mi

huśtawkę? O mój Boże, kiedy? Jaka piękna! Och, jaka gładka. - Przeciągnęła palcami po drewnie. - Jak jedwab.

- Skończyłem ją dzisiaj, pomogła mi nie myśleć o tym wszystkim. Chcesz wypróbować?

- To nie jakiś żart? - Usiadła, rozłożyła ręce na oparciu i zaczęła się bujać. - Wspaniała, cudowna. Kolejne dziesięć kilo stresu opada mi z ramion. Bo! - Wyciągnęła do niego ręce. - Kochanie.

Usiadł obok niej.

- Miałem nadzieję, że to będzie hit.

- Pierwsza klasa. - Oparła głowę na jego ramieniu. - To jak z bajki. Mój własny dom, mój własny ogródek, ciepły czerwcowy wieczór. I wspaniały mężczyzna siedzi ze mną na huśtawce, którą sam zrobił. To sprawia, że wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy, wydaje się nierealne.

- Myślę, że oboje musieliśmy to od siebie odsunąć na kilka godzin.

- I ty poświęciłeś tyle czasu na zrobienie tego dla mnie.

- Jeśli się kocha to, co się robi, to właściwie nie jest praca. Skinęła głową.

- To satysfakcja.

- Otóż to. No i, do licha, zanoszi się, że jutro będę miał nową furgonetkę. - Jego palce bawiły się zakręconymi końcami jej włosów. - Twoja mama też ze mną idzie. Jej kuzyn jest dilerem dodge'a.

- Moja rada: zdaj się na nią. - Coś, co posadziła, pachniało mocno i słodko jak rozpylona w ciepłym powietrzu wanilia. - Obniży ci cenę kuzyna Sala na maksa. Odciągnij ją, gdy zobaczysz w jego oczach łzy, nie wcześniej.

- Zgoda!

- Ty tak dobrze sobie z tym radzisz.

- Nie mam wyboru.

- Oczywiście, że masz. Mógłbyś rzucać gromy, pieklić się, bić pięścią w ścianę.

- To musiałbym zmieniać tynk. Ogromnie ją to rozbawiło.

- Ty, Bowen, jesteś taki opanowany. Wiem, że pod spodem dusisz w sobie emocje, ale trzymasz to pod kontrolą. Nie zapytałeś mnie, czy jest jakiś postęp w całej tej gmatwaninie.

- Myślałem, że dowiem się tego od ciebie.

- Oczywiście. Najpierw muszę z kimś porozmawiać, ale potem powiem ci to, co mogę. Dzięki tobie łatwiej mi to znieść.

- U mnie działa ta miłostna sprawa. Dlaczego miałbym ci utrudniać?

Na chwilę wtuliła twarz w jego ramię, pozwalając, żeby przeniknął ją upojny dreszcz. Reenę onieśmiewała ta miłość, która tak szybko zagnieździła się w jej sercu i promieniowała na nią całą, sprawiając, że czasem - tak jak teraz - pulsowała nawet w czubkach palców.

- To przeznaczenie - szepnęła i musnęła wargami jego brodę. - Jesteśmy sobie przeznaczeni, Bo. Myślę, że jesteś mój.

Odwróciła się i usiadła okrakiem na jego kolanach, zakładając mu ręce na szyję.

- To jest trochę przerażające - powiedziała. - Tak w sam raz, żeby utrzymać miłe napięcie. Ale głównie słodkie i łagodne. Czuję, jakby... - Odchyliła głowę i spojrzała na półkę księżycy oraz rozsiane po niebie gwiazdy. - Nie chodzi o to, abym tego wyczekiwała - ciągnęła, patrząc znów na jego twarz. - Nie tak, jak się stoi i czeka na autobus, żeby cię zabrał tam, gdzie chcesz jechać. Raczej tak, jakbym sama jechała, mając w głowie jakiś cel i robiąc to, co chcę. I w pewnym momencie myślę sobie: „Hej, dlaczego nie wybierzesz tej drogi? Tą właśnie chciałabyś pojechać”. No i ty tam byłeś.

Pochylił się i przycisnął wargi do jej obojczyka.

- Czy trzymałem uniesiony kciuk?

- Myślę, że też szedłeś tą samą drogą do swojego celu. Postanowiliśmy dalej jechać razem. - Ujęła w dłonie twarz ukochanego. - Nie stałoby się tak, gdybyś patrząc wtedy na mnie na przyjęciu, widział tylko dziewczynę w różowej bluzce po drugiej stronie pokoju.

- Widzę ją taką, jaka była. I widzę, jaka jest teraz. Oszalałem na punkcie tej obecnej.

Trzymając dłońmi twarz Bo, zeszła ustami do jego warg i zatopili się w pocałunku. Ogarnęło ich wilgotne ciepło.

- I zrobiłeś pizzę - mruzczała w rozmarzeniu.

- I była dobra, pomimo docinków Brada dotyczących niestrawności czy zatrucia pokarmowego.

- Zrobiłeś pizzę - powtórzyła, pieszcząc wargami jego policzki, skronie, usta, szyję. - I zbudowałeś mi huśtawkę. - Chwyciła zębami dolną wargę Bo, pociągnęła, po czym wsunęła język do jego ust, wyrażając wszystko w tym długim pocałunku. - Mam zamiar wyrazić swoją głęboką wdzięczność.

- Mam zamiar ją przyjąć - powiedział stłumionym głosem. Jego ręce zaczęły po niej błądzić. - Chodźmy do środka.

- Mmm... mmm. Chcę sprawdzić solidność tej huśtawki. - Ściągnęła mu koszulę przez głowę i rzuciła przez ramię do tyłu.

- Reeno, nie możemy...

Zamknęła mu usta wargami. Jej ręce zsunęły się w dół, żeby rozpiąć guzik dzinsów

Bo.

- Ależ możemy. - Ukąsiła go w ramię, rozpięła suwak. Gdy poczuła, że jest spięty, chwyciła obiema dłońmi za oparcie huśtawki, żeby nie mógł jej podnieść. Oczy młodej kobiety błyszczały w ciemności.

- Odpreż się. Jesteśmy tylko ty i ja. - Przygryzała szczękę Bo, sączyła w siebie smak ukochanego, błędząc wargami po jego twarzy. - Wypełniamy cały świat. Poszybujmy - szepnęła, przenosząc jego dłonie na swoje piersi. - Dotykaj mnie. Dotykaj bez końca.

Nie mógł się powstrzymać. Jego ręce powędrowały pod jej bluzkę, ale to nie wystarczyło. Nie teraz. Zmagał się z guzikami, żeby znaleźć i wziąć jeszcze więcej. Pieścił ją i spijał z niej nektar, a huśtawka delikatnie ich kołysała.

Było w tym wszystkim coś czarodziejskiego: w ciężkim powietrzu, w ruchu, w zapachu trawy, kwiatów i kobiety, w jej napiętej gotowości pod jego dłońmi.

W tym momencie byli całym światem, zawieszonym w pachnącej latem przestrzeni pod ciemnym pułapem skropionym gwiazdami.

Jej skóra, srebrzysta w świetle księżycy i cętkowana plamami cieni liści, zdawała się płynąć nad nim. Jego męskością targnęła bezsilna żądza, gdy uniosła się, osadziła na niej i otoczyła ją sobą.

Reena jęczała długo i przeciągle. Patrzyła na niego półprzymkniętymi oczami. Złączeni spojrzeniem, przywarli do siebie ustami i zmieszali oddechy. Podniecenie i rozkosz splatały się w jedno i drżąc, narastały w rytm upajającego kołysania. Powoli, z każdym ruchem, wypełniała ich coraz większa jedwabista słodycz, aż w końcu zalała senną ekstazą.

Stopili się w jedno w błogości tak łagodnej jak kołysanie huśtawki.

- Dobra robota - szepnęła.

- Właściwie to większość ty zrobiłaś. Zachichotała, pocierając nosem jego szyję.

- Miałam na myśli huśtawkę.

Gdy dochodziła siódma rano, Reena miała już chrupiący bekon odgrzewany w piecyku, zaparzoną kawę, pokrojone rogalce i przygotowane jajka na omlet.

Czuła się winna, że musiała wyprosić Bo za drzwi tylko z jednym, zapieczonym w pośpiechu rogalcem. Jednak chciała porozmawiać z Johnem sam na sam.

Była już ubrana do pracy - zapięła nawet pas - gotowa, żeby popędzić tam natychmiast, gdy skończy rozmowę.

Przyszedł punktualnie. Na to mogła u niego zawsze liczyć, podobnie jak na setki innych rzeczy.

- Dzięki, naprawdę.

W drzwiach pocałowała go w policzek.

- Wiem, że jest wcześniej, ale pracuję od ósmej do czwartej. Gdybym potrzebowała trochę więcej czasu, O'Donnell mnie wytłumaczy. Za twoje poświęcenie usmażę ci omlet pierwsza klasa.

- Nie kłopotz się tym. Wystarczy kawa.

- Nie ma mowy! - Zaprowadziła go do kuchni. - Układałam to sobie w głowie przez całą noc. Chciałabym teraz tylko wszystko tobie wyrzucić. - Nalała mu kawy do kubka. Dobrze?

- Wyrzucaj.

- John, to wszystko cofa się w czasie do samego początku.

Mówiła, smażąc omlet. Nie przerywał, pozwalając jej przedstawić sprawę tak, jak to ona widziała.

Porusza się jak matka - myślał. Płynne ruchy, pełne gracji gesty na podkreślenie słów. A rozumuje jak policjantka, ale to dostrzegł w niej, gdy była jeszcze dzieckiem. Logika i spostrzegawczość.

- Sprawdzamy tę biżuterię. - Postawiła przed nim talerz i usiadła do swojego śniadania, składającego się z połówki rogalika i kawałka bekonu. - Być może nie pochodzi ona z Nowego Jorku, ale znajdziemy, gdzie ją ukradł. Pomocne będzie uzyskanie nakazu aresztowania. Postąpił niezbyt rozważnie i choć nie jest głupi, to dla niego typowe. Musi się pokazać, zaszpanować. Wzniesienie pożaru właśnie to mu daje - dodała. - Potrzeba fanfaronady stanowi dużą część wewnętrznej motywacji podpalacza. Ale u niego dochodzi jeszcze zdeklarowanie. Mój ojciec to robił, ja też mogę. Tylko więcej i lepiej.

- I jeszcze coś.

- Tak. To są pożary z zemsty - wszystkie. Jeśli mam rację, a jestem przekonana, że tak, to on. Może robi to z ojcem, może sam. Mści się na mnie i moich bliskich, ponieważ według niego ponosimy odpowiedzialność za to, co się stało z jego ojcem.

- Jest w tym za dobry, żeby zrobił tylko tę odrobinę - stwierdził John. - Za dobrze zorganizowany, skoncentrowany i przygotowany.

- Tak. Ta rodzina z New Jersey mogła go wykorzystywać jako podpalacza albo nawet robi to na zlecenia. Nie boi się czekać, wybiera odpowiedni dla siebie moment. Po tym, jak wuj go wyrzucił z domu, czekał trzy miesiące z odwetem, podpalając dom kuzyna. To też musiał być on.

- W tym mogę ci pomóc. Znam parę osób w hrabstwie Frederick.

- Miałam taką nadzieję. Otworzyliśmy ponownie sprawę Josha Boltona. - Wypiła

trochę dietetycznej pepsi, którą sobie naląa. - Tam też był on, Johnie. Nawet jeśli wszystko inne okazałoby się nieprawdą, tylko za to jedno muszę go przyskrzynić. - Nie mogła powstrzymać drżenia głosu i serca. - Za Josha.

- Reeno, jeśli traktujesz to zbyt osobiście, kierujesz się emocjami, dajesz mu nad sobą przewagę.

- Wiem. Pracuję nad tym. Bez względu na to, jak wszystko aranżuje i zaciera ślady, chce, abym wiedziała, że to on. Ale dlaczego teraz? Czemu czekał tyle lat, żeby zaatakować mnie tak bezpośrednio? Coś się zmieniło, coś zapaliło w nim lont.

Kiwając głową, John nabrał więcej jajecznicy.

- Przez cały czas miał cię na radarze i uderzał w twoich bliskich, żeby trafić w ciebie. Może to coś, co ty sama zmieniłaś - na przykład kupiłaś dom, związałaś się ze swoim sąsiadem.

- Możliwe, możliwe. - Ale kręciła głową. - Miałam już w życiu wielkie chwile. Ja skończyłam studia, a on zdobył wykształcenie w więzieniu. Ja otrzymałam odznakę, a on pracował dorywczo. Ja miałam stałych partnerów, a on najwyraźniej nie może sobie stworzyć żadnego poważnego związku. Nie mógł wejść do mojej duszy i poznać, co czułam do tych mężczyzn, z którymi byłam związana. Z zewnątrz mój związek z Lukiem wyglądał poważnie. No i - ciągnęła, zanim John zdołał coś powiedzieć - wysadził ten jego cholerny samochód, ale nie skontaktował się ze mną. Nie zaczął dialogu.

- Może to kwestia czasu. Dwadzieścia lat. Rocznicę czasem stanowią kamień milowy. Ale znalezienie motywów działania pomoże nam go rozpracować. Musimy unieszkodliwić drania, zanim znudzi mu się zabawa i zaatakuje ciebie. Reeno, wiesz, że to robi. Zdajesz sobie sprawę, jaki jest niebezpieczny.

- Wiem, że jest niebezpieczny. Wiem, że to groźny socjopata ze skłonnościami do mizoginizmu. Nigdy nie puści płazem żadnej zniewagi, rzeczywistej czy urojonej. Ale on mnie nie zaatakuje, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

To dla niego zbyt podniecające, dodaje mu poczucia ważności. Może jednak zaatakować ludzi, których ja kocham. To mnie napawa strachem do szpiku kości, John. Boję się o rodzinę, o ciebie, o Bo.

- Znów dajesz mu przewagę.

- To także wiem. Jestem dobrym gliną. John, czy ja jestem dobrym gliną?

- Tak, jesteś dobrym gliną.

- Większość czasu w swojej pracy spędziłam na badaniu spraw podpaleń. Na rozwiązywaniu zagadek. Znajdowaniu dowodów, szczegółów, obserwacji, psychologii, fi-

zjologii. Nie jestem stójkowym. - Wciągnęła powietrze. - Mogę policzyć, ile razy musiałam wyciągnąć broń w akcji. Ani razu nie zdarzyło mi się wystrzelić. Obezwładniałam podejrzanych, ale tylko w jednym przypadku był on uzbrojony. Doszło do tego w zeszłym miesiącu. I przez cały czas ręce mi się trzęsły. Miałam dziewięćmilimetrowy pistolet, on zwykły nóż i, Chryste Panie, John, ręce mi się trzęsły.

- Obezwładniłaś podejrzanego?

- Tak. - Przeciągnęła ręką po włosach. - Tak, zrobiłam to. - Zamknęła oczy. - OK.

Spędziła dzień na wykonywaniu tysiąca drobnych i niecierpiących zwłoki czynności służbowych: czytaniu raportów, pisaniu ich, telefonowaniu i czekaniu na telefony.

Potem udała się w stare okolice, żeby przesłuchać jednego z dawnych przyjaciół Joeya.

Tony Borelli był o rok od niej starszym, chudym jak patyk chłopcem o posępnej twarzy. Chodzili do tej samej szkoły. Jego matkę pamiętała jako krzykaczkę. Kobieta ta stała zwykle na schodkach domu lub na chodniku i wrzeszczała na swoje dzieci, na sąsiadów, na męża. Czasem na kogoś zupełnie obcego.

Zmarła na skutek komplikacji po udarze w wieku czterdziestu ośmiu lat.

Tony miał na koncie nieco przewinień: kradzież w sklepie, przejażdżka skradzionym autem, posiadanie broni oraz krótka odsiadka w wieku dwudziestu paru lat za powiązania z szajką złodziei samochodów w południowym Baltimore.

Nadal był chudy i kościsty. Nosił poplamione tłuszczem dżinsy i sprany, czerwony T-shirt. Na głowie miał szarą czapkę firmową z napisem „Warsztat Samochodowy Stenson”.

Na podnośniku stała honda accord; wytarł ręce z oleju bandanką, która kiedyś może była niebieska.

- Joey Pastorelli? Jezu, nie widziałem go od dzieciństwa.

- Tony, ty i on byliście dość blisko w tamtych czasach.

- Jako chłopcy. - Wzruszył ramionami i dalej ścigał olej z hondy. - Jasne, przez jakiś czas się kolegowaliśmy. Chyba byliśmy niezłymi draniami.

- Owszem.

Tony spojrzał na nią i uśmiechnął się pod nosem.

- Pewnie tak. To było dawno temu, Reeno. - Przeniósł wzrok na O'Donnella, który kręcił się koło stołu roboczego, jakby zafascynowały go wyłożone tam części i narzędzia. - Kiedyś trzeba dorosnąć.

- Ja wciąż się przyjaźnię z wieloma znajomymi z tamtych czasów. Nawet z takimi, którzy stąd wyjechali. Jesteśmy w kontakcie.

- Dziewczyny są może inne. Joey wyjechał do Nowego Jorku, gdy mieliśmy - ile? - dwanaście lat. Dawno temu.

Nie przerywał pracy, ale zauważyła, że nerwowo spogląda na O'Donnella.

- Tony, ale miałeś przez ten czas trochę kłopotów.

- Tak, trochę. Siedziałem. Jak raz to zrobisz, niektórzy nie mogą uwierzyć, że stać cię na poprawę. Mam teraz żonę i dzieciaka. Jestem dobrym mechanikiem.

- Te umiejętności pomogły ci zdobyć pracę w warsztacie kradzionych aut.

- Chryste, miałem wtedy dwadzieścia lat. Już spłaciłem społeczeństwu ten dług. Czego ode mnie chcesz?

- Muszę wiedzieć, kiedy ostatni raz widziałeś się lub rozmawiałeś z Joeyem Pastorellim. On bywał w Baltimore, Tony. Gdy facet przyjeżdża w swoje rodzinne strony, z pewnością odwiedza starych przyjaciół. Coś przede mną ukrywasz, a jeśli będziesz to robił, możesz mieć kłopoty. Nie chciałabym tego robić, ale będę musiała.

- To wszystko zaczęło się wtedy, gdy on cię molestował, kiedy byliśmy dziećmi. - Uniósł w górę zatłuszczony palec. - Nie miałem z tym nic wspólnego, to mnie nie obciąża. Ja nie biję dziewczyn czy kobiet. Widziałaś coś takiego w mojej kartotece?

- Nie. Nie było tam nic o przemocy, kropka. Zauważyłam też, że nabrałeś wody w usta, gdy cię wsadzono za kradzione części. Nie wydałeś nikogo. Myślisz, Tony, że na tym polega lojalność? Szukamy Joeya w związku z morderstwem. Chcesz wziąć dla siebie kawałek? Odpowiedzialność za ukrywanie przestępcy?

- Uuuh, zaczekaj. - Odszedł od auta, wymachując kluczem nastawnym. - Morderstwo? Nie wiem, o czym mówisz. Przysięgam na życie.

- Powiedz mi o Joeyu.

- No dobrze, może zajrzał tu ze dwa razy. Może byliśmy na piwie. Prawo tego nie zabrania.

- Kiedy? Gdzie?

- Rany! - Zdjął czapkę, ukazując Reenie przerzedzone włosy, tworzące na czole wyraźny „wdowi dzióbek”. - Pierwszy raz odezwał się do mnie po tym cholernym pożarze, zanim się nająłem do tego warsztatu z częściami. Przyjechał i powiedział, że ma jakiś biznes pod opieką. Mówił, iż zna tych facetów, jeśli chciałbym zarobić trochę kasy. Zabrał mnie do warsztatu. Tak się tam dostałem.

- Wsadzono cię w dziewięćdziesiątym trzecim.

- Tak. Pracowałem na tych częściach przez rok, zanim mnie capnęli.

Poczula, jak zaciskają jej się wnętrzności.

- Czyli Joey dopadł cię w dziewięćdziesiątym drugim?

- Zgadza się.

- Kiedy dokładnie? Wiosną, latem, zimą?

- O Boże, jak mam to pamiętać?

- Przypomnij sobie pogodę. Przyjeżdża Joey po tylu latach, więc chyba wstępujecie do paru barów. Idziecie pieszo? Padał śnieg?

- Nie, było ładnie. Pamiętam. Palilem sobie trawkę i oglądałem jakiś mecz. Teraz pamiętam - była wczesna wiosna, ale ładna pogoda. Kwiecień albo maj, tak mi się zdaje.

W warsztacie było gorąco - gorąco i ciasno - ale pot zbierający się kroplami na twarzy Tony'ego miał także inne przyczyny.

- Słuchaj, jeśli on nawet kogoś zabił, nic mi o tym nie wspominał. Nie powiem, iż mnie zaskoczyło, że on coś takiego zrobił albo mógł zrobić, ale nic o tym nie wiem. - Tony zwilżył wargi. - Trochę mówił o tobie.

- Czyżby?

- Takie tam bzdury. Pytał, czy cię jeszcze czasem widuję... czy, no wiesz, kiedykolwiek już miałem coś takiego.

- Co jeszcze?

- Reeno, byłem dość nawalony. Pamiętam tylko, że rozmawialiśmy o takich gównach, jak to zwykle się gada, i że mnie zwerbował do tej pracy. Odsiedziałem za to trzy lata i jestem czysty. Od tamtej pory pracuję tutaj. On pojawił się znowu kilka lat po moim wyjściu.

- W dziewięćdziesiątym dziewiątym?

- Tak. Poszedłem z nim na drinka za stare dobre czasy. Mówił, że ma dużo nęcących propozycji i może mnie stąd wyciągnąć. Ale ja już nie chciałem wracać na tę drogę. Wkurzyłem go i trochę się ścięliśmy. Zrobił wypad i zostawił mnie bez środka transportu w tej szemranej dzielnicy, bo on miał samochód. Omal nie zamarzłem na śmierć, usiłując złapać takse do domu.

- Na dworze było zimno?

- Jak diabli. Poślizgnąłem się na jakimś kawałku lodu, upadłem na tyłek. Kilka tygodni później spotkałem Tracey. To mnie jeszcze bardziej oczyściło. Ona nie uznaje żadnych krętactw.

- To dobrze o niej świadczy.

- To dobrze dla mnie. Wiem to, Reeno. Gdy następnym razem zobaczyłem Joeya, od razu mu powiedziałem, że już mnie nie interesuje takie gówno.

- Kiedy to było?

Tony przestąpił z nogi na nogę.

- Parę tygodni temu. Może ze trzy. Przyszedł do nas pod dom. Nie wiem, jak się dowiedział, gdzie teraz mieszkamy. Była prawie północ. Wystraszył Tracey. Obudził dziecko. Był nagrzany, chciał, żebym z nim wyszedł. Nie wpuściłem go i kazałem mu odejść. Nie spodobało mu się to.

- Był na piechotę?

- Nie. Patrzyłem za nim, aby się upewnić, że sobie poszedł. Widziałem, jak wsiadał do cherokee. Czarnego dżipa. Wyglądał jak dziewięćdziesiąty trzeci.

- Zapamiętałaś rejestrację?

- Nie, niestety. Nie patrzyłem na nią. - Miał teraz w rękach czapkę, ale Reena widziała, że to nie są nerwy winowajcy, tylko strach. - Zdenerwował żonę i dziecko. Teraz wszystko jest inaczej, mam rodzinę. Jeśli on popełnił morderstwo, nie chcę, żeby się zbliżał do mojej rodziny.

- Jeśli znów się z tobą skontaktuje, zadzwoń. Nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie. Gdyby ci się udało, zorientuj się, gdzie się zatrzymał, ale nie naciskaj.

- Reeno, napędziłaś mi strachu.

- Prawidłowo, bo to groźny facet. Jeśli go rozwścieczysz, będzie się mścił. Skrzywdzi twoją rodzinę. To nie wymyśli, Tony, tylko szczerą prawdą.

Wyszła z warsztatu razem z O'Donnellem, ale zaraz się odwróciła, bo Tony podążył w ich ślady i zawołał ją.

- Można jeszcze na chwilę? Prywatnie.

- Jasne. Zaraz cię dogonię - powiedziała O'Donnellowi i przeszła z Tonym na bok budynku.

- On naprawdę kogoś zabił?

- Badamy to.

- Myślisz, że mógłby próbować skrzywdzić Tracey albo dziecko?

- On się specjalizuje w zemstach, Tony. W tej chwili jest zbyt zajęty, żeby zawracać sobie głowę tobą. Ale jeśli go nie złapiemy, może znaleźć czas. Staraj się schodzić mu z drogi i skontaktuj się ze mną, gdyby się odezwał.

- Tak, rozumiem. Ja się z tego wycofałem, gdy Tracey zgodziła się ze mną być. Nie zaryzykuję tego dla niczego ani nikogo. Słuchaj. - Znow zdjęł czapkę i przejechał ręką po tym, co mu zostało z włosów. - Gdy byliśmy dziećmi, zanim, no, zanim się rozpętało to piekło, on się za tobą uganiał.

- Uganiał?

- Obserwował cię w szkole i po szkole. On, eee... wykradał się z domu wieczorem i podglądał was przez okna, może nawet wspinał się na to drzewo za domem, żeby zajrzeć do twojej sypialni. Czasem z nim chodziłem.

- Widziałeś coś ciekawego, Tony? Spuścił wzrok na czubki butów.

- On miał zamiar cię zgwałcić. Nie nazywał tego w ten sposób, ale mówię ci wprost, Reeno. Ja też wtedy tak tego nie nazywałem. Miałem dwanaście lat. Mówił, że cię dopadnie, chciał, abym poszedł razem z nim. Nie chciałem brać w tym udziału, poza tym myślałem, że tylko tak bajeruje. Właściwie uważałem to za obrzydliwe. Ale potem, no, gdy każdy już wiedział, jak on cię przewrócił i... Nie miałem wątpliwości, co próbował zrobić. I nikomu nic nie powiedziałem.

- Mówisz teraz. Podniósł wzrok z powrotem.

- Mam małą córeczkę. Niedawno skończyła pięć lat. Kiedy pomyślę... Przepraszam... że nie powiedziałem nic nikomu, zanim on cię skrzywdził. Chcę, żebyś wiedziała... masz moje słowo... że jeśli znów się ze mną skontaktuje, nie powiem mu, że go poszukujesz. I od razu do ciebie zadzwonię.

- Dobrze, Tony. - Żeby to przypieczętować, podała mu rękę i uścisnęła. - To miło, że masz teraz rodzinę.

- Duża różnica.

- Tak. Tak, duża.

- Mamy potwierdzenie, że Joey P. był w okolicy mniej więcej w czasie śmierci Josha i pożaru samochodu Luke'a. Wiemy także, iż przebywał w Baltimore dwa lub trzy tygodnie temu.

Reena informowała Wydział Podpaleń, Steve'a jako inspektora pożarnictwa i członków Wydziału Kryminalnego.

- Widziano go, jak prowadził czarnego dżipa cherokee, możliwe, że z dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy opuszczał miejsce zamieszkania Tony'ego Borellego. Nie ma żadnego pojazdu zarejestrowanego na Josepha Pastorellego juniora. Ani seniora. Jego matka także nie ma samochodu. Możliwe, że pojazd został pożyczony od kogoś znajomego lub - co bardziej prawdopodobne - ukradziony. Jesteśmy w trakcie selekcjonowania materiałów o skradzionych cherokee. Younger?

Przesunął się na krześle.

- Nadal składamy wszystko do kupy, ale zdaje się, że urządzenie podłożone do baku Goodnighta było tego samego typu co zastosowane do pojazdu Chambersa sześć lat temu. Petarda pływająca w kubku, nasączone szmaty jako lont. Badamy podobne przestępstwa,

zbieramy je z Nowego Jorku, New Jersey, Connecticut i Pensylwanii. Zainteresowaliśmy się znów zabójstwem i podpaleniem samochodu w Karolinie Północnej, którego ofiarą padł Hugh Fitzgerald. Otworzyliśmy ponownie sprawę z orzeczeniem śmierci w wypadku, gdzie ofiarą padł Joshua Bolton.

Jeden z detektywów wskazał tablicę, do której przypięte były policyjne fotografie obu Pastorellich oraz różne zdjęcia z miejsc przestępstw.

- Podejrzewamy, że ten gość wzniecał pożary od dziesięciu lat lub więcej, zabił co najmniej dwie osoby i nigdy do tej pory nie wpadł.

- Tak - potwierdziła Reena. - Jest ostrożny... dobry w tym. Bardzo możliwe, że ma ochronę Carbionellich, mógł też dla nich dokonywać podpaleń. Podejrzewamy też, iż do tej pory nie miał motywacji, żeby się przede mną ujawnić. Jaka to motywacja? Na razie tylko on wie. Ale ciągle tu wraca. Ściągnął z powrotem do Baltimore.

- Częściowo ty jesteś powodem - zauważył Steve.

Ja - zgodziła się - jego ojciec i to, co się zdarzyło w sierpniu osiemdziesiątego piątego. Zapamiętuje urazy i potrafi je chować bardzo długo. Przedtem, według naszej wiedzy, przyjeżdżał, atakował i uciekał. Tym razem jest tu i urzeczywistnia jakiś plan. Znów zadzwoni. Znów coś podpali.

Spojrzała na jego fotografię.

- Tym razem zamierza to skończyć.

Pod koniec zmiany Reena zebrała akta i notatki. Będzie nad tym pracowała - postanowiła - ale chciała to robić w domu, bez biurowego harmideru. I chciała być w domu, gdy on znów zadzwoni.

Wzięła do ręki teczkę, odbierając telefon.

- Wydział Podpaleń, Hale. Tak, dziękuję za oddzwonienie. Z Nowego Jorku - rzuciła O'Donnellowi i odłożyła dokumenty, żeby coś zanotować. - Tak, tak, rozumiem. Macie nazwiska inspektorów straży i od podpaleń? Detektywa prowadzącego sprawę włamania? Będę wdzięczna. Skontaktuję się.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na O'Donnella.

- Zegarek, kolczyki i wiele innych przedmiotów skradziono z apartamentu na Upper East Side piętnastego grudnia zeszłego roku. Budynek ewakuowano z powodu pożaru w sąsiednim apartamencie, pustym, bo właściciele byli na wakacjach. Gdy straż ugasiła pożar i pozwoliła ludziom wejść do mieszkań, okazało się, że ich okradziono. Pieniądze, biżuteria, kolekcja monet.

- Małe, łatwe do wyniesienia.

- W budynku jest portier, ale jeden z lokatorów miał tego wieczoru przyjęcie z dostawą do domu. Ludzie wchodzili i wychodzili. Goście, dostawcy i tak dalej. Nie było trudno wślizgnąć się między nimi, wejść do pustego mieszkania i podłożyć ogień.

- Jaka przyczyna zapłonu?

- Do jutra przyślą kopie akt, ale wiadomo, że było kilka źródeł ognia. Szafa gospodarcza pełna środków czystości, kanapa, łóżko. To mieszkanie też obrabowano. Małe dzieła sztuki, trochę biżuterii, która nie była w domowym sejfie.

- Musiał z nim współdziałać ktoś z wewnątrz.

- Jeszcze nikogo nie aresztowano, nie odzyskano skradzionych rzeczy. Policja nowojorska jest wdzięczna za wskazanie tropu.

- Wzajemnie.

Reena postanowiła przed pójściem do domu wstąpić na odkładaną rozmowę z matką.

Spostrzegła stojącą przed Sirico's nową, lśniącą, niebieską furgonetkę i natychmiast sobie wszystko skojarzyła. Zaparkowała obok i obeszła ją szybko dookoła. Doszła do wniosku, że Bo nabył solidną maszynę.

Klientów nie było dużo; późno na lunch, za wcześnie na kolację. Dyżur miał Pete, a jego córka Rosa, studentka, przebywająca w domu na wakacjach, obsługiwała stoliki.

- Wszyscy są na tyłach! - zawołał Pete. - Cała banda.

- Potrzebujesz pomocy?

- Na razie sobie radzę. - Polał obficie sosem długą bułkę z klopsiem. - Ale możesz powiedzieć mojemu chłopakowi, że mamy dostawę do domu, więc niech zabiera tyłek i wraca. Już prawie gotowa.

- Dobrze, powiem. - Weszła na zaplecze kuchenne i opuściła budynek wyjściem dla pracowników. Jej rodzina, w tym paru kuzynów i wuj Larry, oraz Gina ze swoją matką i dwojgiem dzieci porozstawiali się po całym wąskim podwórku.

To, że wszyscy mówili naraz, wcale jej nie zaskoczyło.

Na wystrzyżonej trawie zaznaczonych było pomarańczową farbą w spreju kilka znaków X.

Pomimo to ojciec pokazywał w jednym kierunku, matka w drugim. Pomiedzy nimi stał Bo.

Reena podeszła do małego stolika, przy którym siedziała Bella, sącząc wodę gazowaną.

- Co tu się dzieje?

- Och. - Siostra machnęła ręką. - Mierzą, zaznaczają, dyskutują o tej letniej kuchni z tarasem jadalnym. Mama oszalała na tym punkcie.

- Dlaczego?

- Czy już teraz nie mają wystarczająco dużo pracy? Od trzydziestu lat są przykuci do tego miejsca. A nawet dłużej.

Reena usiadła i popatrzyła Belli w oczy. O coś jej chodzi - pomyślała.

- Oni kochają to miejsce - stwierdziła.

- Wiem, Reeno. Ale nie będą coraz młodszy.

- Bój się Boga!

- Nie będą. Powinni już to rzucić, cieszyć się życiem, korzystać z cholernego dnia czy

czegoś takiego, zamiast jeszcze dodawać sobie pracy.

- Oni cieszą się takim życiem. Nie tylko tutaj, przy pracy, ale gdy widzą każdego dnia jej efekty kiedy są z rodziną, przyjaciółmi. Ale przecież i podróżują.

- A gdyby nigdy nie było Sirico's? - Bella przekreśliła się na krześle i zniżyła głos, jakby wygłaszała jakieś bluźnierstwa. - Gdyby go nie było, gdyby mama i tata nie spotkali się tak młodo i nie mieli tego miejsca, które je wciągnęło, może poszłyby na studia plastyczne. Może zostałyby prawdziwą artystką. Coś by przeżyła, widziałyby różne rzeczy. Zrobiłaby coś, zanim wpakowała się w małżeństwo i rodzenie dzieci.

- Pozwól, że najpierw zwrócę ci uwagę na oczywisty fakt, że gdyby tak się stało, nie byłoby tu ciebie. A po drugie, ona mogła studiować. Mogła wyjść za tatę i pójść na studia plastyczne. Wybrała jego, to miejsce i takie życie.

Reena przeniosła wzrok na matkę i patrzyła, jaka jest szczupła i ładna z włosami związanymi z tyłu w lśniący ogonek. Jak się śmieje, pukając męża palcem w pierś.

- I kiedy na nią patrzę, Bellu, nie widzę kobiety rozżalanej, pytającej: „Co by było, gdyby”.

- Reeno, dlaczego ja nie mogę być taka szczęśliwa jak ona? Dlaczego?

- Nie wiem. Przykro mi, iż nie jesteś.

- Wiem, że poszłaś porozmawiać z Vince'em. Och, nie patrz na mnie jak policjantka - zachnęła się Bella. - Był zły. Ale też trochę wstrząśnięty. Nie spodziewał się, że moja mała siostra wejdzie mu w drogę. Dzięki.

- Nie ma za co. To był impuls. Nie mogłam się powstrzymać. Bałam się, że możesz się na mnie o to gniewać.

- Nie gniewam się. Nawet gdyby to nic nie zmieniło, nie gniewałabym się, że stanęłaś w mojej obronie. Ograniczył nieco kontakty ze swoją aktualną kochanką. Przynajmniej tak to widzę. Może tak zostanie, może nie. - Wzruszyła ramionami, oglądając się na matkę. - Nigdy nie będę taka jak mama, nigdy nie stanę się częścią takiego duetu, gdzie mąż uwielbia we mnie wszystko. Nigdy nie będę tego miała.

- Bellu, masz piękne dzieci.

- Mam - przytaknęła z lekkim uśmiechem. - Mam piękne dzieci. I myślę, że znowu jestem w ciąży.

- Myślisz...

Ale Bella pokręciła energicznie głową, ucinając rozmowę, gdy do stolika podbiegło jedno z dzieci.

- Mamo! Możemy zjeść lody? Tylko jedną kulkę. Babcia kazała cię spytać. Proszę,

możemy?

- Jasne, że możecie. - Poglaskała synka po policzku. - Tylko jedną kulkę. Tak je kocham - powiedziała do Reeny, gdy pobiegł oznajmić dobrą wiadomość. - Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Nic im nie mów. - Wstała od stolika. - Sophia! Chodź, pomóż mi nałożyć lody.

Bella pomaszzerowała do budynku, a za nią krzycząca z radości dzieciarnia. Sophia zamykała pochód.

Nadašana, ale posłuszna - zauważyła Reena. Wciąż dość mała, żeby po kryjomu marzyć o kulce lodów.

- Nie wiem, dlaczego muszę jej pomagać. Zawsze ja.

- Hej, co ci jest? - zagadnęła ją Reena. - Jeśli będziesz to robiła sama, kto zauważy, że masz dwie kulki zamiast jednej?

Sophia zrobiła minę.

- Ty też chcesz?

- Tam są cytrynowe. Co ty na to? - Reena wyciągnęła rękę i uszczypnęła Sopię w policzek. - Bądź dobra dla swojej mamy. I nie przewracaj oczami. Zrób to. Dobroć przez całą dobę. Myślę, że jej się to przyda.

Pocałowała siostrzenicę w policzek, który przed chwilą szczypała, i poszła do swojej matki. Bianca objęła ją w pasie.

- Jesteś w samą porę. Twój ojciec zrozumiał to, co było oczywiste: że miałam rację.

Reena razem z matką patrzyła teraz, jak Bo, Gib, Larry i paru innych poszło na róg budynku. Bo pokazał coś puszką spreju, ojciec odpowiedział wzruszeniem ramion, więc zaczął malować na trawie łagodną serpentynę.

- Co on robi? - zapytała Reena.

- Urzeczywistnia mój pomysł ścieżki od narożnika. Ludzie będą mogli przechodzić z chodnika na frontie i iść od razu pod moją pergolę. Może oni nie chcą przechodzić przez restaurację, chcąc usiąść przy stoliku na powietrzu, tak jak muszą to robić teraz. Może akurat będą na spacerze, usłyszą muzykę...

- Muzykę?

- Zakładam głośniki. Gdy powstanie pergola, będziemy mieli muzykę. Światła wzdłuż ścieżki. I wielkie donice z roślinami. - Kręcąc się w koło, uderzała dłońmi o biodra. Emanowało z niej zadowolenie kobiety, która wie, czego chce dokonać. - Dekoracyjne drzewka. Cytrynowe. A tam w tylnym rogu mały kącik zabaw, żeby dzieci się nie nudziły. I...

- Mamo! - Reena ze śmiechem złapała się za skronie. - W głowie mi się kręci.

- To dobry plan.

- Tak, to dobry plan. I wielki.

- Lubię wielkie rzeczy. - Uśmiechnęła się, widząc, jak Bo coś wylicza na palcach, a Gib marszczy czoło. - Lubię twojego Bo. Dziś się ubawiłam. Przyprawiłam kuzyna Sala o łzy, więc było zabawnie, a Bo kupił mi hortensję.

- On... on ci kupił krzew?

- I zasadził go. Albo wyjdiesz za Bo, albo go adoptuję, bo nie zamierzam wypuścić takiego skarbu z rąk.

Dzieci przybiegły z lodami, Gina z matką się przechadzały, a Bo zauważył spojrzenie Reeny i uśmiechnął się do niej.

Nie był to czas na rozmowy o seryjnych podpaleniach i morderstwach.

Nie mogła zostać, choć jej wymówki, że musi iść do domu, spotkały się z protestami.

- Chciałbym zapoznać twoich rodziców możliwie jak najdokładniej z moją koncepcją - powiedział jej Bo. - Tak, żeby przetrwali to przez noc i byli pewni, czego chcą. Gdybyś poczekała jeszcze pół godziny, wyszlibyśmy razem.

- Masz własny wóz. I to duży, masywny. Ja mam akta, które muszę przeczytać. Potrzebuję godziny ciszy i spokojnego przemyślenia pewnych spraw.

- Przynieść ci kolację?

- Byłoby cudownie. Cokolwiek. Zrób mi niespodziankę. Xander poszedł za nią, gdy z ciekawości przemierzyła ścieżkę między wygiętymi pomarańczowymi liniami.

- Odprowadzę cię. - Starym zwyczajem pociągnął ją za włosy.

W odpowiedzi zdzieliła go łokciem w żebra.

- Może pojedę z tobą do domu - zaczął - posiedzę trochę? Nigdy nie mamy czasu...

- Nie. Mam pracę i nie potrzebuję mojego małego braciszka na straży.

- Jestem wyższy od ciebie.

- Nieznacznie.

- To oznacza, że jestem młodszym bratem, ale nie małym braciszkiem. Tak czy inaczej, Catarino, on może przyjść do ciebie do domu.

- Tak, może. Wie, gdzie mieszkam. Xand, jestem na to przygotowana. Nie mogę mieć obstawy przez okrągłą dobę. Chcę, żebyś ty był ostrożny. - Odwróciła się i położyła mu dłonie na ramionach. - Joey Pastorelli, jeśli dobrze go rozumiem, pragnie zemsty. Ty, prawie trzy lata młodszy od niego, pospieszyłeś mi z pomocą. Zapewniam cię, że on tego nie zapomniał. Proszę, bądź ostrożny. Uważaj na żonę i dziecko. Nie martw się o mnie, a ja nie będę się martwiła o ciebie. Zgoda?

- Niech tylko ten drań zbliży się do An czy Dillona...

- Masz słuszość. - Jej wzrok wyrażał pełne zrozumienie. - Masz absolutną słuszość.

Nie spuszczań ich z oka. Obaj z Jackiem pilnujcie Fran, Belli i dzieci, a także mamy i taty. Dostałam dodatkowe patrole, ale nikt nie zna tak tej dzielnicy, nikt jej tak nie czuje jak my. Gdyby cokolwiek było nie w porządku, dzwoń do mnie. Obiecuj.

- Nie musisz o to prosić.

- Gorąco - powiedziała po chwili. - Będzie upalna noc. Zaczyna się skwarne lato.

Wsiadła do samochodu i pojechała do domu. Ale gdy tam dotarła, siedziała jeszcze chwilę w aucie, patrząc na dom, ulicę, cały kwartał. Kilka osób mieszkających w tym szeregu domów znała przez prawie całe swoje życie.

To jej rodzinne strony i wybrała je na swój dom. Gdyby poszła w którąkolwiek stronę tą uliczką, zawsze minie kilka osób znających jej imię.

Teraz ani ona, ani ci ludzie nie byli bezpieczni.

Zebrała dokumenty, wysiadła i zamknęła samochód. Obejrzała karoserię pokrytą rysami i wgłębieniami, które jej przypomniały, czym się mogła skończyć eksplozja w samochodzie Bo.

Ile czasu zajęłoby mu podpalenie jej samochodu? - myślała. Dwie, trzy minuty? Mógł to zrobić, kiedy spała, sprzątała, gotowała posiłek.

Ale to byłby zaledwie szturchaniec. Domyślała się, że teraz szykuje potężny cios.

Idąc do drzwi, pomachała Mary Kate Leoni, myjącej białe schodki z marmuru trzy domy dalej. Gospodyni domowa - pomyślała. Życie składało się z takich drobnych spraw, jak prace domowe, obsługa gości w restauracji, jedzenie lodów.

Otworzyła drzwi, położyła dokumenty. Zdjęła pas z bronią. Cokolwiek by sobie wmawiała o pełnej kontroli oraz godzinie w samotności i spokoju, była na tyle podenerwowana, żeby obejść dokładnie cały dom z pistoletem w ręku.

Trochę uspokojona, zeszła na dół po akta i coś zimnego do picia. Czas, żeby wreszcie zaczęła korzystać z biura, które zaczęła sobie urządzać na drugim piętrze. Czas, żeby zrobiła to, co umiała najlepiej: organizować, analizować i wyciągać wnioski.

Włączyła komputer i podeszła do deski na sztaludze, którą tu wniosła zaraz po przeprowadzce. Wybrała z teczki zdjęcia, wycinki z gazet i kopie raportów. Znalazła i wydrukowała kopie zdjęć i raportów ze swojego komputera.

Po ich zawieszeniu na desce odeszła do tyłu i popatrzyła na całość. Potem usiadła przy klawiaturze i spisała po kolei wszystkie wydarzenia, zaczynając od tamtego sierpniowego dnia, gdy miała jedenaście lat.

Zabrało jej to ponad godzinę, ale prawie nie zauważała upływu czasu. Gdy zadzwonił telefon, zaklęła. Była tak zajęta przeszłością, że niemal zapomniała o teraźniejszości. Już miała złapać za słuchawkę, ale się powstrzymała. Spojrzała na wyświetlacz.

Poczekala, aż zadzwoni ponownie, i przysunęła się bliżej. Chociaż wiedziała, że telefon jest na podsłuchu, a gdzieś tam czuwa policjant z aparaturą nagrywającą i wykrywającą, zanim odebrała, włączyła swój magnetofon.

- Halo, Joey.

- Hej, Reeno. Nieprędko do tego doszłaś.

- Och, nie wiem. Myślę, że poszło mi całkiem nieźle, wzięwszy pod uwagę, że przez dwadzieścia lat o tobie nie myślałam.

- Teraz o mnie myślisz, co?

- Oczywiście. Przypominam sobie, jakim małym byłeś łajdakiem, gdy mieszkałeś na naszej ulicy. Najwyraźniej dziś jesteś wielkim łajdakiem.

- Zawsze miałem na ciebie chętkę. Już wkrótce ją zaspokoję.

- Co jest grane, Joey? Nie potrafisz sobie znaleźć kobiety? Czy nadal stosujesz tę samą metodę przewracania ich i gwałcenia?

- Przekonasz się. Ty i ja mamy dużo do uregulowania. Przygotowałem też następną niespodziankę. Wszystko wybrane specjalnie dla ciebie.

- Joey, dlaczego nie zrzucimy z siebie tego gówna? Umówmy się. Powiedz mi, gdzie i kiedy, a załatwimy to od razu.

- Zawsze uważałaś, że jestem głupi, gorszy od ciebie i twojej świętej rodziny. Kto dalej mieszka w dzielnicy i żongluje tłustymi pizzami?

- Och nie, Joey, w Sirico's nie ma nic tłustego. Przyjdź tam, spotkamy się, kupię ci największą.

- Szkoda, że ten gość, który cię teraz obraca, nie był w środku w samochodzie, kiedy wybuchło. - Oddychał teraz szybciej, wyrzucając słowa.

Dobieram mu się do skóry - pomyślała Reena. Dźgam kobrę patykiem.

- Może następnym razem. Albo przytrafi mu się wypadek w domu, gdy będzie leżał w łóżku. Taki syf się zdarza, co? Śmierdział jak smazona świnia. Ten pierwszy. Pamiętasz go, Reeno? Prześcieradła jeszcze tobą pachniały, jak go podpalałem.

- Ty sukinsynu! - Od nagłego ukłucia w brzuchu aż się zgięła w pół. - Ty sukinsynu!

Roześmiał się i zniżył głos do szeptu.

- Dziś w nocy ktoś się spali.

Wyrwanie się z Sirico's zabrało Bo znacznie więcej niż godzinę czy półtorej. Mówiąc

ogłędnie, zanosilo się tu na bardzo ciekawą pracę. W dodatku, gdy mierzył teren, przechodnie zwracali się do niego z pytaniami o reperacje, meble i przebudowy. Rozdał też co najmniej kilkanaście wizytówek, zanim wyszedł z kurczakiem w parmezanie na wynos.

Nawet gdyby tylko jedna trzecia ich zaowocowała faktycznie pracą, musiałby się poważnie zastanowić nad zatrudnieniem pracownika na pełny etat.

To duża różnica - stwierdził. Kolosalna w porównaniu z zatrudnianiem pomocy w niepełnym wymiarze lub po prostu wykorzystywaniem Brada, gdy już sam nie mógł sobie poradzić.

To ogromna odpowiedzialność dla kogoś, kto był całkiem zadowolony, pracując samodzielnie. Musiałby komuś regularnie robić wypłatę, ten ktoś zależałby od niego. Co tydzień.

Musiał się nad tym poważnie zastanowić.

Przechodząc wzdłuż nowej furgonetki, przejechał ręką po masce. Ładna maszyna - przyznał. I kupił ją za lepszą cenę, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Bianca właściwie ją dla niego wyłudziła.

Kurczę, jednak brak mu będzie starego rumaka.

Sięgnął po kluczyki i rozejrzał się po ulicy, gdy nagle usłyszał, że ktoś gwizdże.

Ujrzał mężczyznę stojącego z kciukami w przednich kieszeniach spodni. Czapka z daszkiem, dzinsy, ciemne okulary, szeroki uśmiech. Było w nim coś znajomego, tak że Bo odruchowo podniósł rękę, w której trzymał klucze.

Wtedy sobie skojarzył. Facet od kwiatów, kupujący róże w supermarkecie, żeby udobruchać żonę.

- Hej! - zawołał, otwierając drzwi furgonetki. - Jak leci?

Wciąż wyszczerzając zęby w uśmiechu, mężczyzna podszedł do samochodu i wszedł. Potem otworzył okno i wychylił się. Palcem wskazującym pokazał, jakby strzelał. Gdy przejechał obok, Bo usłyszał, że mówi „bumbum”.

- Dziwne. - Kiwając głową z konsternacją, Bo wsunął torbę z jedzeniem na siedzenie i usiadł za kierownicą. Spojrzał w górę i w dół ulicy, po czym wyjechał i szybko wziął ostry zakręt, by pospieszyć do Reeny.

Wszedł, zawołał, że już jest, i zaniósł torbę do kuchni. Ponieważ przeszedł zapachem czegoś jeszcze oprócz kurczaka, postanowił, iż musi zacząć od miłego, chłodnego prysznica.

Wpadnie do domu i go weźmie, a przy okazji przyniesie Reenie szkice i projekty, które dla niej narysował. Ich oglądanie oderwie ich uwagę na kilka godzin od bardziej poważnych spraw.

Wyszedł z kuchni na schody. Znowu zawołał:

- Hej, wróciłem z polowania z łupem. Pójdę tylko do siebie wziąć prysznic. Ale najwyraźniej mówię sam do siebie - rzekł w końcu, nie widząc śladu Reeny w sypialni.

Usłyszał otwieranie drzwi na górze i wszedł na drugie piętro.

- Hej Reeno, dlaczego tacy ludzie jak ty i ja kupują domy, w których trzeba się wspinać... Hej, co się dzieje?

Stała na zewnątrz pomieszczenia, które - jak wiedział - było małą łazienką. Jej twarz była biała jak ściana.

- Może powinnaś usiąść. - Chociaż kręciła głowę, ujął ją za ramię i podtrzymując, zaprowadził z powrotem do pokoju - biura. - Znowu dzwonił?

Tym razem kiwnęła głową.

- Daj mi minutę.

- Przyniosę ci wody.

- Nie, już się napiłam, w porządku. Tak, dzwonił znowu i trafił mnie. Kontrolowałam się, naciskałam guziki, a potem nagle mnie trafił i wszystko się rozsypało.

Z wielkim trudem zdołała zadzwonić do O'Donnella, zanim dostała torsji. Potwornych torsji.

- Widziałam, jak parkowałeś. - Akurat podeszła do okna, żeby złapać powietrza.

- Co mówił?

Nie chcąc powtarzać, wskazała na magnetofon.

- Puść to. Powinieneś sam usłyszeć.

Tak zrobił, a ona wstała i znowu podeszła do okna. Otworzyła je, choć powietrze na zewnątrz było gorące i ciężkie.

- Nie całkiem na to się pisałeś - skomentowała, stojąc do niego tyłem.

- Nie, chyba nie.

- Nikt nie będzie cię winił, jeśli się zdecydujesz z tego wszystkiego wycofać, Bo. On chce ci zrobić krzywdę. Już cię skrzywdził.

- Więc dla ciebie będzie w porządku, jeśli sobie wyjadę na parę tygodni. Odwiedzę jakieś parki narodowe albo ponurkuję na Jamajce.

- Tak.

- Taka dobra katoliczka jak ty będzie musiała iść do spowiedzi po takim okropnym kłamstwie.

- To nie kłamstwo.

- No, bardzo nisko oceniasz mężczyzn.

- To nie ma nic wspólnego z ocenianiem. - Niecierpliwym pociągnięciem zsunęła okno z powrotem w dół. - Nie chcę, żeby ci się coś stało. Jestem przerażona.

- Ja też.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę za ciebie wyjść.

Dwa razy otworzył i zamknął usta i zdecydowanie poblądł na twarzy.

- No. Wiesz. Uch. W tym pokoju padają wielkie słowa. Muszę usiąść, zanim któreś mnie przygniecie.

- Co o tym sądzisz, Goodnight? Jestem z gruntu dobrą katoliczką. Spójrz na moją rodzinę. Na mnie. Jak myślisz, czego bym pragnęła, gdy w końcu znalazłam kogoś, kogo kocham, szanuję i lubię?

- Nie wiem. Nie wiem. Cała ta, powiedzmy, instytucja nie jest czymś...

- Dla mnie to sakrament. Małżeństwo jest święte, a ty jesteś jak dotąd jedynym mężczyzną, z którym chciałabym przysięgać przed ołtarzem.

- Ja... ja... ja... Cholera, teraz się jąkam. Chyba coś mnie walnęło w czaszkę.

- Nie zależało mi nigdy na małżeństwie ani dzieciach, ponieważ nie znałam nikogo, kogo bym chciała poślubić i mieć z nim dzieci. Ty to zmieniłeś i teraz musisz ponieść konsekwencje.

- Usiłujesz tak mnie przestraszyć, że w końcu pojedę do tych parków narodowych?

Podeszła do Bo, pochyliła się, ujęła z całej siły jego twarz w obie dłonie i pocałowała mocno.

- Kocham cię.

- O rany. O rany.

- Powiedz: „Ja też cię kocham, Reeno”. Jeśli to prawda.

- To prawda. Kocham cię.

Patrzył jej w oczy, a widząc w nich ślad obawy, uśmiechnął się.

- Tylko że ja... Nigdy jeszcze nie układałem sobie takich planów. No wiesz, najpierw jest ta faza „fajnie nam być ze sobą” pomimo lęku i zamętu w głowie. Potem jest etap „może powinniśmy zamieszkać razem”. No, a dopiero po jakimś czasie zastanawiasz się, co dalej.

- To nie ze mną. Bo. Mam trzydzieści jeden lat. Chcę mieć dzieci, twoje dzieci. Pragnę, żeby moje życie było naszym życiem. Powiedziałeś mi, że kiedyś coś zrozumiałeś, bo przestała grać muzyka. Teraz ja ci mówię, że zrozumiałam, bo muzyka zaczęła grać. Nie spiesz się. - Znów go pocałowała. — Pomyśl o tym. Teraz i tak zbyt wiele się dzieje.

- Rzeczywiście, dużo.

- I tak za ciebie wyjdę, nawet jeśli wyjedziesz na jakiś czas, gdzieś daleko od tego wszystkiego.

- Nigdzie nie wyjadę. Nie wiem, jak ty byś mogła... - Nie umiał wypowiedzieć słów „wyjść za mnie”. - Jak byś mogła być z kimś, kto by cię zostawił po to, żeby ratować własną skórę.

Twoja skóra jest dla mnie bardzo ważna. - Odetchnęła głęboko. - No tak, ta zmiana tematu trochę mnie uspokoiła. I to by było na tyle. Złapiemy go. Może nie zdołamy go powstrzymać przed zrobieniem tego, co zaplanował na dziś czy jutro, ale go złapiemy.

- Trzeba wierzyć w siebie.

- Wierzę, iż dobro zwycięży zło, szczególnie że to pierwsze wypruwa z siebie flaki, aby tak było. Tak samo też wierzę w sakrament małżeństwa i poezję baseballu. Dla mnie istnieją pewne stałe, Bo. Niepodważalne.

Rozejrzała się. Czuła się już spokojniejsza.

- On zna mnie lepiej niż ja jego i tutaj ma przewagę. Przez lata mnie obserwował i badał moje słabe punkty. Ale ja się uczę. Chciałabym wiedzieć, dlaczego teraz on czuje, że musi czy też może pokazać mi, kim jest i co zrobił. Ściągnął sobie na głowę policję całego Wschodniego Wybrzeża. Przecież mógł mnie dosięgnąć lub próbować to zrobić wtedy, gdy nikt by nie wiedział, kto i dlaczego.

- Nie byłoby to takie ważne? Nie czułby się ważny?

- Tak, częściowo. To jego „wielki wybuch”, który planuje od dwudziestu lat. Boże, jak może mężczyzna mieć taką obsesję na punkcie kobiety przez dwadzieścia lat? Nie mogę tego zrozumieć.

- Ja mogę. - Stał w miejscu, podczas gdy ona odwróciła się tyłem. - Wiem, czym jest noszenie kogoś w sobie; to tkwi w całym jestestwie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Dla mnie to były czary, u niego to choroba. Ale w pewnym sensie dla nas obu był to rodzaj fantazjowania, tylko że poszedł w innym kierunku.

Reena oglądała tablicę.

- Jego korzenie tkwią w dzieciństwie. Podobnie jak moje. Gwałt nie jest wyrazem seksu, lecz przemocy. Chodzi o siłę i władzę. To, że wybrał sobie właśnie mnie, że próbował mnie zgwałcić, nie tyle dotyczyło mojej osoby, ile tego, kim byłam. Najmłodsza córka rodziny Hale, pewnie najbardziej rozpieszczana.

Chodziła wokół tablicy, jakby oglądając ją pod różnymi kątami.

- Święta rodzina, tak powiedział. Byliśmy szczęśliwi, szanowani, otoczeni przyjaciółmi. Jego rodzina wręcz przeciwnie: brutalna, odizolowana, a on był jedynakiem. W

okolicy mieszkali ludzie podobni do nas, ale my staliśmy bardziej na świeczniku z powodu Sirico's. Wszyscy nas znali - ich praktycznie nikt. A ja byłam prawie w tym samym wieku co on. Jego ojciec pastwił się nad matką, więc nauczył się znęcać nad kobietami. Ale próba zdobycia mnie w brutalny sposób została nie tylko pokrzyżowana - i to w dodatku przez mojego młodszego brata - ale jej konsekwencje wpłynęły na resztę życia Joeya. W jego oczach to moja wina.

Jeszcze raz obeszła tablicę.

- Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego teraz i co dalej. To socjopata. Bez sumienia, bez skruchy. Ale też skoncentrowany na sobie. Gdy dostanie kuksańca, nie tylko oddaje, lecz i podpala. Ktoś dał mu kopa. Ktoś to spowodował.

Cos go skłoniło, żeby tu znów przyjechać i pokazać mi, kim jest.

Bo przestał słuchać. Wstał i podszedł do tablicy, a jej ostatnie słowa były już tylko brzęczeniem w jego mózgu.

- To on? Pastorelli?

- Junior, tak.

- Widziałem go. Dwa razy. Za pierwszym razem stał tak blisko jak ty teraz.

- Kiedy? Gdzie? - wyrzuciła z siebie.

- W sobotę przed umówioną kolacją u was. Wstąpiłem do spożywczego w pobliżu swojej klientki, żeby kupić kwiaty dla twojej mamy. Stał obok mnie. Jasna cholera, ale jestem głupi!

- Nie. Czekaj. Powiedz mi, co się działo. Mówił coś do ciebie?

- Tak.

Dłonie miał ściśnięte w pięści, ale teraz je rozluźnił i usiłował sobie jak najlepiej przypomnieć tamten incydent.

- Ten sukinsyn kupił czerwone róże.

- Śledził cię. Z premedytacją inwigilował. Dom klientki, sklep spożywczy. Rozmowa z tobą dostarczyła mu dreszczu emocji. Poczul się kimś większym, silniejszym. Potrzebna mi tu tablica do pisania kredą. Dlaczego wcześniej nie wpadłam na ten pomysł?

Zamiast tego wygrzebała mapę i przypięła ją do tyłu korkowej tablicy.

- Pokaż, gdzie jest dom klientki i sklep.

Wzięła kolorowe pinezki i wpięła czerwone w obu miejscach na mapie, które wskazał.

- Dobrze. Zaznaczę, gdzie jeszcze go widziano. - Wbiła jeszcze jedną czerwoną pinezkę na ulicy Tony'ego Borellego. - Gdzie go widziałeś po raz drugi?

- Około dwudziestu minut temu - odpowiedział. - Po przekątnej od Sirico's.

Omial nie upuściła pudełka z pinezkami.

- Szedł tam?

- Nie. - Bo położył dłoń na jej ramieniu. - Odjechał. Był po drugiej stronie ulicy, kilka domów dalej. Gdy zobaczył, że go widzę i poznaję ze sklepu, wszedł do auta.

- Marka, model.

- Och... - Musiał zamknąć oczy żeby sobie przypomnieć. - Toyota. Chyba któryś z modeli 4Runner. Granatowa, a może czarna. Pewnie to uwłacza mojej męskości, ale właściwie nie znam wszystkich marek i modeli samochodów na rynku. Ten mogę rozpoznać, bo kiedyś spotykałem się z kimś, kto miał taki. W każdym razie tak jakoś mu machnąłem, jak do kogoś znanego z widzenia. A on przejechał obok i wystawił rękę przez okno, robiąc coś takiego. - Ułożył palec wskazujący i kciuk w kształt pistoletu. - Powiedział „bumbum” i odjechał.

- Bezczelny drań. - Fala suchego gorąca zalała jej gardło na myśl, że mógł mieć broń. - Musiał stać przed swoim domem i obserwować nasz sklep. Powiedział, że dziś w nocy ma dla mnie kolejną niespodziankę. Jeśli myśli, że pozwolę mu zaatakować Sirico's, jest głupi jak but.

Wpięła w mapę pinezkę. Gniew trzymał jej nerwy na wodzy.

- Muszę podzwonić.

W Sirico's rozstawiono policjantów pilnujących restauracji i mieszkania na górze. Dwaj inni korzystali z gościnności jej rodziców, a jeszcze inni pilnowali domu Fran. Chociaż Vince protestował, twierdząc, że wystarczy ochrona domu przez wysokiej jakości systemy alarmowe, Reena wysłała patrol i tam.

- Może próbować zaatakować któreś z tych miejsc, a może żadne. - Przemierzała salon, zatrzymywała się, żeby popatrzeć na plan miasta. - On ma zamiar coś podpalić dziś w nocy.

Na jej prośbę Bo zniósł tablicę na dół. No i tyle było z oddzielenia pracy od życia prywatnego - pomyślała - choćby symbolicznie. Ale teraz w pracy zajmowała się swoim życiem.

Zadzwoiła jej komórka. Wyszarpnęła ją z kieszeni.

- Hale. Czekał. - Złapała notes. - Mów. - I zapisywała coś. - Tak, tak. OK. Musimy wysłać oddział na lotnisko, sprawdzić tam długoterminowe. Najbardziej logiczne miejsce, żeby zostawił jeden, a zabrał inny. Dobrze, dzięki.

Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, podeszła znów do mapy i wpięła żółtą pinezkę w lotnisko.

- Jakaś rodzina wróciła właśnie z wakacji w Europie. Pojechali na długoterminowy parking na Kennedy'ego, a ich dzipa cherokee nie ma. Kradniesz go, żeby przyjechać na południe, odwiedzić starego kumpla i zostać odprawionym z kwitkiem. Możesz go trochę potrzymać. To im przecież zabierze jakiś czas, zanim wysłedzą go aż w Marylandzie. Potem jedziesz nim na lotnisko - krajowe albo międzynarodowe, ale pewnie to drugie - wybierasz inny, zamieniasz i odjeżdżasz. Lubisz suvy. Dużo w nich miejsca na twoje zabawki.

- Idę do siebie wziąć prysznic. Było dziś bardzo gorąco. Oderwana nagle od myślenia na głos, zmarszczyła się.

- Co?

- Powiedziałem, że muszę się umyć.

- Czy mógłbyś się umyć tutaj? Nie oglądasz filmów? Czarny charakter zawsze włamuje się do domu, gdy bierzesz prysznic. Zobacz, co się stało z Janet Leigh w *Psycho*.

- Janet Leigh była kobietą.

- Wszystko jedno. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś wziął prysznic tutaj. W pralni masz czystą koszulę.

- Mam?

- Zostawiłeś. Uprałam ją. No więc zrób to dla mnie, dobrze?

- Jasne. - Położył ręce na jej ramionach i zrozumiał, skąd się wzięło powiedzenie „napięty jak struna”. - Jest jakiś sens w mówieniu ci, żebyś się odprężyła?

- Żaden.

- Więc pójdę się umyć. Słuchaj, gdyby się włamał jakiś facet ubrany w damskie fatalaszki, walcz z nim, dopóki nie włożę majtek.

- Załatwione.

Sama poszła do kuchni po jeszcze jedną butelkę wody, żeby zneutralizować przyjętą dziś dawkę kofeiny. Zobaczyła postawioną przez Bo na blacie torbę z jedzeniem. Nie, nie może się zrelaksować - pomyślała - ale powinna być wdzięczna, że ma kogoś tak dobrze pasującego do jej życia.

Zdecydowanie za niego wyjdzie - postanowiła, wysuwając plastikowe pojemniki. Mógł się więc na haczyku jakiś czas, miał prawo, ale ona i tak nawinie żyłkę na kołowrotek.

Roześmiała się, przypomniawszy sobie, jak kupowała z Giną czerwone pantofle w centrum handlowym i przyjaciółka powiedziała, że wyjdzie za Steve'a. A on jeszcze o tym nie wiedział.

Teraz, po latach, zrozumiała Ginę.

Włożyła kurczaka do piecyka i nastawiła na podgrzanie. Posiłek doda jej bardziej produktywnej energii niż nerwy.

Wzięła wodę z powrotem do salonu i dalej studiowała mapę.

- Gdzie jesteś, Joey? - zapytała na głos. - Gdzie teraz jesteś?

Oni cię szukają tam, a ty pracujesz tutaj. Liczy się nic. tylko odpowiednio wybrany moment. Także dobry plan.

Teraz na pewno jest skołowana. Myśli że porwę się na jej mamusię i tatusia.

Jeszcze nie.

Mity zakątek, Felis Point. Będzie jeszcze miłszy, jak się zaczniesz palić.

Gliny są takie głupie. He razy już to udowodnił? Może go parę razy przyłapali, ale wtedy był młodszy. No i czegoś go to nauczyło. W kiciu jest dużo czasu na naukę. Nie zabrakło go na czytanie i studiowanie, fantazjowanie i planowanie.

Tam doszlifował umiejętności komputerowe. To bardzo przydatne w dzisiejszych czasach. Włamywanie się, przeszukiwanie, klonowanie telefonów.

Albo odnalezienie miejsca zamieszkania wdowy po pewnym gliniarzu.

Szkoda, że ten drugi wyprowadził się na Florydę. I tak się z nim kiedyś policzy, ale byłoby przyjemniej załatwić obu drani, którzy zabrali ojca; wywlekli z własnego domu,

poniżyli. Poniżyli ich obu.

To nieważne, że ten gliniarz już się i tak przekreślił. Wdowa po nim całkiem wystarczy.

Zostawił samochód, tym razem inny cherokee, jedną ulicę dalej na południe i energicznym krokiem poszedł chodnikiem jak ktoś, kto ma pilne sprawy do załatwienia.

Nadal był w dżinsach, ale przebrał się w niebieską rozpinaną koszulę i podwinął rękawy. Na nogach miał niki, a na głowie czarną czapkę baseballową. Niósł mały plecak i lśniący białe pudełko z kwiatami.

Pani Umberio, dla przyjaciół Deb, żona drania Thomasa, mieszkała sama. Jej córka przeprowadziła się do Seattle, więc była teraz poza zasięgiem. Syn mieszkał w Rockville. Gdyby to było bliżej Baltimore - myślał Joey - załatwiłby jego zamiast wdowy. Ale w końcu to miało być przedstawienie dla rodzinnego miasta.

Wiedział, że Deb miała pięćdziesiąt sześć lat, uczyła matematyki w szkole średniej, jeździła hondą civic z dziewięćdziesiątego siódmego roku, chodziła na jakąś babską gimnastykę trzy razy w tygodniu po szkole, a wieczorem prawie zawsze zaciągała zasłony w sypialni o dziesiątej.

Pewnie się masturbuje - myślał, wchodząc do bloku mieszkalnego i wybierając schody, a nie windę, żeby dotrzeć na drugie piętro.

Na każdym piętrze były cztery mieszkania. Rozpoznał już teren. Nie miał się o co martwić. Para staruchów z naprzeciwka w tym samym korytarzu w każdą środę wczesnym wieczorem szła gdzieś na kolację.

Oplaca się odrabiać lekcje, co, pani nauczycielko? - myślał, pukając wesoło do drzwi Deborah Umberio.

Otworzyła drzwi, pozostawiając zabezpieczający łańcuch, więc nie zobaczył jej całej. Brązowe włosy, spiczasta twarz, w oczach nieufność.

- Deborah Umberio?

- Tak jest.

- Mam dla pani kwiaty.

- Kwiaty? - Policzki jej się zaróżowiły. Kobiety były takie przewidywalne. - Kto mi je przysłała?

- Eee... - Odwrócił pudełko, jakby czytał nalepkę na odwrocie. - Sharon McMasters. Seattle.

- To moja córka. Ach, co za niespodzianka! Proszę zaczekać chwilę. - Zamknęła drzwi, zdjęła szcękający łańcuch i otworzyła ponownie. - Co za miła niespodzianka - powtórzyła, sięgając po pudełko.

Uderzył ją pięścią prosto w twarz. Gdy upadła, wszedł do środka, zamknął drzwi, zasunął zamek i założył łańcuch.

- Prawda, jaka miła?

Miał dużo roboty. Musiał zawlec ją do sypialni, rozebrać, związać, zakneblować. Była nieprzytomna, ale zdzielił ją po raz drugi, żeby się za wcześniej nie ocknęła.

Zasłony w sypialni zostały dziś zaciągnięte nieco wcześniej, ale nie sądził, żeby ktoś to zauważył. Zresztą miał to w nosie.

Telewizor zostawił włączony. Boże święty, miała nastawiony kanał Discovery, gdy przygotowywała posiłek w kuchni.

Chyba robiła sobie sałatkę. Zbyt leniwa, żeby gotować - stwierdził, zaglądając do lodówki. No cóż, niedługo coś ugotujemy. Znalazł butelkę białego wina. Tanie gównno, ale czasem trzeba się i tym zadowolić.

Nauczył się pic dobre wina, gdy pracował dla Carbionellich. Cholernie dużo się wówczas nauczył. Wypił wino i zagryzł jajkami na twardo, które naszykowała do sałatki. Choć w plecaku miał rękawice chirurgiczne, już się nie troszczył o odciski palców.

Tę część gry mieli za sobą.

Przejrzał jej szafki, sprawdził zamrażalnik. Znalazł tam kilka mrożonych dań. Na początku poczuł odrazę, ale obrazek na pudełku z klopssem i puree ziemniaczanym nie wyglądał aż tak źle.

Wrzucił go do piecyka, a sałatkę polał sosem włoskim.

Czekając, skakał po kanałach. Czy tej głupiej mendy nie stać na więcej niż standardowa kablówka? Nie nastawiał za głośno, żeby nie zapukał do drzwi jakiś wścibski sąsiad, i nastawił na *Jeopardy*.

Potem zaczęło się *Koto fortuny*. Zjadł klopsa z ziemniakami.

Miał dużo roboty, ale i dużo czasu. Z sypialni dobiegł go niski, stłumiony jęk.

Ignorując to, wypił trochę wina i dalej oglądał teleturniej.

- Kup samogłoskę, dupku - syknął.

Nagle wyraziście przypomniał mu się ojciec, leżący na rozkładanym fotelu w salonie, pijący piwo i podpowiadający któremuś uczestnikowi gry: „Kup samogłoskę, dupku”.

To go zmobilizowało, załało świeżą i czystą furiją.

Chętnie by wyrzwał pięścią w telewizor, kopnął go nogą. Ogarnęła go taka szewska pasja, że omal tego nie zrobił.

„Kup samogłoskę, dupku” - mówił jego ojciec i czasem, czasem uśmiechał się szeroko do syna.

- Kiedy masz zamiar się tam wkręcić, Joey? Kiedy pójdziesz i wygrasz dla nas trochę pieniędzy? Masz więcej rozumu w jednej połowie głowy niż te dupki żołądne.

Mruczał do siebie te słowa, przypominał je sobie, przemierzając maleńki pokój dzienny, i to go trochę uspokajało. Mieli rację - myślał. Wyszliby z tego kryzysu i wszystko by się ułożyło. Potrzebowali tylko trochę więcej czasu. Dlaczego nie zostało im to dane?

Bo ta mała łajza poleciała z płaczem do swojego starego i wszystko zrujnowała.

Na chwilę całym jego ciałem wstrząsnęły furia i żal. W głowie mu wirowało i huczało, dopóki znowu nie odzyskał nad sobą kontroli.

Podniósł do góry wino, upił jeszcze jeden duży łyk.

- No dobra. Czas się wziąć do roboty.

Kto kocha swoją pracę, jest najszczęśliwszym z ludzi - myślał Joey, zapalając światło w ciemnej sypialni. Uśmiechnął się na widok kobiety na łóżku, która zmrużyła oczy, a potem rozszerzyła je z przerażenia.

Jego kumpel Nick wymądrzał się, żeby nigdy nie traktować takich spraw osobiście, pamiętać, że to tylko praca, ale on nie kupował tego syfu. Zawsze podchodził do nich osobiście. Inaczej jaki to by miało, do diabła, sens?

Podszedł do łóżka, a ona śledziła go wzrokiem.

- Siema, Deb. Jak leci? Powiem ci tylko, że jak na kobitkę pod sześćdziesiątkę jesteś w nie najgorszym stanie. Będzie jeszcze przyjemniej.

Trzęsła się, jej ciałem wstrząsały konwulsje, jakby porażał ją prąd. Ręce i nogi przeżyły się i wykręcały pod sznurem do bielizny, którym ją związał. Kusilo go, żeby zerwać kobiecie z ust taśmę izolacyjną, wyjąć knebel i usłyszeć pierwszy bulgocący krzyk.

Ale nie chciał przeszkadzać sąsiadom.

- No to może zaczniemy? - Położył rękę na guziku spodni i patrzył, jak jej głowa się zatrzęsła z rozpaczą, a oczy napęłniły łzami.

Boże, jak on to uwielbiał.

- Ach, czekaj, gdzie moje maniery? Pozwól, że się przedstawię, Joseph Frances Pastorelli junior. Możesz do mnie mówić Joey. Twój pieprzony mąż wywłócił mojego ojca z domu, założył mu kajdanki i ciągnął tak na oczach wszystkich sąsiadów. Wsadził go do więzienia na pięć lat.

Teraz rozpinał spodnie. Ona walczyła ze sznurkiem, ścierając nadgarstki do żywego ciała. Za chwilę pokaże się krew, a to mu zawsze dawało satysfakcję.

- To było dwadzieścia lat temu. No tak, ktoś może powiedzieć, że to kawał czasu, aby trzymać w sobie urazę, ale wiesz co, Deb, ci ludzie to dupki. Im dłużej ją trzymasz, tym

przyjemniejsze uczucie, kiedy odbierasz od tych szuj zapłatę.

Rozpiął suwak, obnażył się i pogłaskał. Kobieta wydawała teraz z siebie cienkie piski, ledwo słyszalne spod knebla i taśmy.

- Ten kutas, za którego wyszłaś? Powinien odpokutować swoją część winy za to wszystko. Ale skoro nie żyje... aaa, przy okazji, moje kondolencje, ty dostaniesz to, co było przeznaczone dla niego.

Usiadł na brzegu łóżka i poklepał je, na co jej nogi drgnęły i zaczęły się wyginać. Zdjął buty.

- Mam zamiar cię zgwałcić, Deb. Ale tego już się domyśliłaś. Chcę to zrobić tak, żeby bolało. - Wypchnął biodra, ściągnął dżinsy. - To naprawdę mnie rajcuje, a ja tu teraz rządzę.

Nadal walczyła, szlochając i krwawiąc. Patrzył bardzo długo na jej twarz, na siniaki i krew, które spowodował. Zobaczył twarz Reeny. To zawsze skutkowało.

Wziął ją brutalnie, a w uszach mu dźwięczał jej pisk.

Gdy z niej zszedł, już tylko skamlała płaczliwie. Skorzystał z łazienki, opróżnił pęcherz, umył się. Nie lubił zapachu seksu, tego kurewskiego zapachu, który zostawiały na mężczyźnie kobiety.

Wyszedł, napił się trochę więcej wina, posurfował w TV, znalazł mecz baseballa i obejrzał kawałek, przegryzając krakersy dietetyczne.

Przekłete Orioles - myślał, gdy robili przegrupowanie. Nie potrafią znaleźć piłki, jeśli im rzucisz prosto w tyłek.

Gdy wrócił do sypialni, ona resztką sił zmagala się z pętami.

- Dobra, Deb, odświeżyłem się. Czas na drugą rundę. Tym razem zgwałcił ją analnie.

Gdy skończył, jej oczy były matowe i niewidzące. Przestała walczyć i leżała bezwładnie. Mógłby ją jeszcze z raz wykorzystać, ale w końcu mężczyzna musi się trzymać swojego planu.

Wziął prysznic, nucąc sobie coś pod nosem i używając jej cytrynowego żelu do kąpieli. Już ubrany, ułożył w szeregu wszystko, co mógł użyć z jej kuchni.

Płyn do czyszczenia, szmaty, świece, papier woskowany. Nie ma potrzeby, żeby to wyglądało jak wypadek, ale też nie powinno zostać odwalone byle jak. Człowiek powinien być dumny ze swojej pracy.

Wyszarpnął z plecaka i włożył rękawice. Gdy nasączał szmaty, zadzwonił telefon. Przerwał i zaczekał, a potem wysłuchał, co mówi czysty kobiecy głos, nagrywający się na sekretarkę.

- Cześć, mam. To ja. Tylko sprawdzam. Chyba masz dziś jakąś ognistą randkę? - Tu

dał się słyszeć dźwięczny śmiech. - Zadzwoń, jeśli nie wrócisz do domu zbyt późno. Jeśli nie, ja zadzwonię rano. Kocham cię. Pa.

- Czy to nie słodkie? - mówił Joey, kontynuując swoją pracę. - O tak, twoja mama ma dziś wieczór ognistą randkę.

Za pomocą elektrycznego wkrętaka, który miał w plecaku, odłupał część płytek winylowych i odsłonił surową podłogę, potem zdjął kilka drzwiczek od szafek, żeby je ustawić w rodzaj kominów dla ognia. Rozbił szybę, aby zapewnić dopływ powietrza, oraz rozmieścił lonty ze szmat i luźno zgniecionego papieru woskowanego.

Zadowolony, wziął świece i szmaty do sypialni.

Kobieta była już jedynie na wpół świadoma, ale widział, że to, co z niej zostało, nadal odczuwa strach. Był wypisany w oczach.

- *Sorry*, Deb. Już nie mam czasu na trzecią rundę, więc przejdziemy od razu do wielkiego finału. Czy twój pieprzony mąż przynosił kiedyś do domu pracę? - zapytał, wyciągając nóż.

Gdy dostrzegła obrócone w świetle ostrze, ogarnęła ją panika. W staruszce wciąż jeszcze tli się życie - pomyślał.

- Czy kiedykolwiek rozmawialiście o tym, co robił w pracy? Czy przynosił do domu zdjęcia, żebyś zobaczyła, jak wyglądają ludzie spaleni we własnym łóżku?

Opuścił nóż nisko, trzymając go złowieszczo o cal od jej bioder. Uniosły się one w rozpaczliwej próbie uwolnienia się z pęt. Nosem wydobywał się ni to gulgot, ni charczenie, a oczy wychodziły z orbit.

Rozpruł materac i wyciągnął jego zawartość na wierzch. Po odłożeniu noża wyjął z plecaka pojemnik.

- W drugim pokoju użyłem niektórych środków z twojej kuchni. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Ale tutaj przyniosłem własny materiał. Trochę alkoholu metylowego. Dobrze się pali.

Nasączył porzrzucającą watolinę, szmaty, pościel, którą z przerażenia zanieczyściła. Ściągnął prześcieradła na ziemię i razem ze szmatami oraz resztą papieru woskowanego użył jako lontów wiodących do zasłon.

Ustawił na podłodze lampę i zagwizdał przez zęby, rozbierając jej nocny stolik.

- Zrobimy tu sobie ognisko - oznajmił, ustawiając namiot z drewna nad ułożonym lontem. - Widzisz alkohol metylowy? Ma temperaturę zapłonu poniżej stu stopni. Olejek sosnowy użyty w kuchni potrzebuje znacznie wyższej temperatury, około dwustu... oczywiście Fahrenheita. Ale ty tu wszystko wspaniale urządziłaś, będzie się dobrze paliło, jak

już się zajmie. Tam dalej przygotowałem drugą falę. Oni nazywają to źródłem zapłonu. Główne przedstawienie odbędzie się tutaj, z tobą, Deb, jako gwiazdą. Ale najpierw jeszcze kilka szczegółów.

Wziął małe krzesło biurowe i stanął na nim, żeby otworzyć obudowę alarmu przeciwpożarowego w sypialni. Wyjął z niego baterię.

Krzesło mu się przydało ponownie. Połamał je i ułożył drugi stos na materacu.

Odstąpił do tyłu, pokiwał głową.

- Nieźle, całkiem nieźle, muszę to sobie przyznać. Cholera, znowu mi twardnieje. - Podrapał się w krocze. - Chciałbym jeszcze raz dać ci posmakować, ale muszę jeszcze pójść w inne miejsca.

Ułożył opakowania zapalek wzdłuż lontów, wewnątrz drewnianych stosów, i uśmiechnął się teraz zimno, patrząc, jak ona się wije i uderza stopami o materac, nie będąc w stanie krzyknąć z zakneblowanymi ustami.

- Czasem najpierw dopada cię dym, czasem nie. Tak to tutaj ułożyłem, że będziesz słyszała, jak skwierczy twoja własna skóra, i wahała, jak się pieczesz.

Jego oczy zrobiły się matowe i zimne.

- Nie dotrą do ciebie na czas, Deb. Nie ma sensu łudzić się fałszywą nadzieją, jasne? A gdy spotkasz w piekle tego swojego pojebanego męża, pozdrów go od Josepha Francesa Pastorellego juniora.

Pstryknął długą, wąską zapalniczkę gazową. Niech popatrzy sobie na jej płomyk, zanim on podpali lont i wkład z materaca, zapalki oraz szmaty staną w ogniu.

Patrzył, jak szmaty powoli zaczynają się tlić i ogień przeskakuje dalej, jak się cicho skrada po ścieżce, którą mu przygotował.

Zgarnął swój plecak i wyszedł podpalić to, co zainscenizował w kuchni. Potem odkręcił tam gaz, zniszczył pilota i zostawił otwarte drzwi.

Ogień zbliżał się do niej, wpelzał po łóżku jak kochanek. Leniwe pióropusze dymu unosiły się do góry. Obszedł łóżko i uchylił okno na pięć centymetrów.

Stał tam przez chwilę, patrząc, jak ogień go otacza, jak mu grozi.

Niczego w życiu nie kochał tak jak tańca płomieni. Kusiło go, żeby zostać i patrzeć - podziwiać jeszcze choć minutę. Tylko jedną minutę dłużej.

Ale wycofał się. Ogień zaczynał już śpiewać.

- Słyszysz, Deb? On teraz żyje. Jest podniecony i głodny. Czujesz ten żar? Prawie ci zazdrosczę. Prawie ci zazdrosczę tego, co będziesz przeżywała. Prawie - powiedział.

Złapał swój plecak, podniósł pudełko po kwiatkach i wyslizgnął się z mieszkania.

Było już ciemno, a w mroku ogień zawsze palił się jaśniej - ten będzie na pewno. Wyjął menu potraw na wynos z Sirico's i rzucił je tuż przed budynkiem.

Gdy dotarł do samochodu, schował plecak i puste pudełko do bagażnika. Sprawdził godzinę na zegarku i obliczył sobie czas, po czym leniwie objechał kwartał.

Widział smugi dymu wydobywające się z okna, które uchylił, i błysk płomienia wznoszącego się w poszukiwaniu powietrza, które mu zapewnił.

Wybrał numer Reeny. Tym razem załatwił to krótko, tylko wyrecytował adres. Wyrzucił telefon za okno i pojechał w stronę domu.

Miał co robić.

Gdy Reena przyjechała, walka już trwała. Fontanny wody lały się na budynek, pokonując strzelające z okien jasne płomienie. Jedni strażacy wynosili na zewnątrz ludzi, inni wciągali do środka węże.

Chwyciła z bagażnika hełm i zawołała do Bo poprzez odgłosy walki z ogniem:

- Trzymaj się z daleka. Porządnie z daleka - dopóki nie ogarnę sytuacji.

- Tym razem w środku są ludzie.

- Wyciągną ich. Właśnie to robią. - Pognała tam wzdłuż barierek, które jeszcze ustawiano. Przez zasłonę dymu dojrzała dowódcę kompanii wydającego polecenia przez podwójny megafon.

- Detektyw Hale, Wydział Podpaleń. Zgłaszam się. Jaka sytuacja?

- Drugie piętro, południowo - wschodni narożnik. Ewakuacja i gaszenie. Po przybyciu czarny dym, aktywne płomienie. Trzej moi ludzie właśnie weszli do środka obiektu. Mamy...

Powietrze rozdarła eksplozja, przebijając się przez ścianę hałasu. Z góry posypały się cegły i szkło - jak zabójcze pociski bombardujące samochody, ulicę, ludzi.

Uniosła rękę, żeby przysłonić twarz, i ujrzała słup ognia przebijający się przez dach.

Strażacy rzucili się w stronę budynku jak na płonący stos ofiarny.

- Jestem uprawniona! - krzyknęła Reena. - Idę do środka!

Komendant pokręcił głową.

- W środku jest jeszcze jeden cywil. Nikt nowy nie wchodzi, dopóki nie będę znał pozycji moich ludzi. - Powstrzymał ją, wykrzykując rozkazy i pytania przez megafon.

Trzeszczący głos zgłosił dwie ofiary.

Noc była skąpana w ogniu - potężnym, przerażająco pięknym. Reena stała jednocześnie struchlała ze strachu i zahipnotyzowana, patrząc, jak z drewna i cegły wznoszą się ku niebu tańczące płomienie.

Wiedziała dobrze, jak szalały one wewnątrz drewnianej i ceglanej konstrukcji, jak

szybko mknęły, pożerając wszystko na swej drodze, i chłostały tych, którzy chcieli je ugasić. Ogień huczał i świstał, pełzał i rozbłyskiwał.

Ile zdoła zniszczyć, zanim go powstrzymają? Drewna i cegieł, a także tym razem ludzkich ciał?

Drugie piętro zawaliło się ze strasliwym hukiem i łoskotem, otwierając dla ognia przestrzeń, którą ten wystrzelił w niebo.

Ratownicy, slaniając się, wychodzili z budynku, niosąc na plecach rannych kolegów. W ich kierunku rzucili się sanitariusze.

Podeszła razem z komendantem do jednego ze strażaków głęboko wdychającego tlen przez maskę. Mężczyzna potrząsał głową.

- Stał już w pełnym ogniu - relacjonował. - Weszliśmy do środka. Ofiara na łóżku. Nieżywa. Już nieżywa. Zmontowaliśmy linię gaśniczą, wtedy wybuchło. Najgorsze poszło na Cartera. Jezu, on pewnie nie żyje. Z Brittle'em źle, ale Carter chyba zginął.

Reena podniosła wzrok, słysząc nowy łoskot. Kolejna część dachu runęła - pomyślała bezsilnie. I większa część piętra pod mieszkaniem, które sobie wybrał.

Kogo zabił dziś w nocy? Kogo spalił na śmierć?

Kucnęła, dotykając ręką ramienia strażaka, który opuścił głowę na kolana.

- Jestem Reena - powiedziała. - Reena Hale. Z Wydziału Podpaleń. A ty?

- Bleen. Jerry Bleen.

- Jerry, musisz mi powiedzieć, co widziałeś tam w środku, dopóki pamiętasz na świeżo. Opisz wszystko, co zdołasz.

- Jestem pewny, że ktoś to draństwo podpalił. - Podniósł głowę. - Ktoś podłożył ten ogień.

- Dobrze. Wszedłeś do południowo - wschodniego mieszkania na drugim piętrze, prawda?

- Drzwiami. Brittle, Carter i ja.

- Czy były zamknięte? Pokręcił głową.

- Nie na klucz, poza tym strasznie się rozgrzały.

- Mógłbyś stwierdzić, czy zostały wylamane?

- Raczej nie, nic takiego nie zauważyłem. Rzuciliśmy strumień na pokój. Sypialnia po... po lewej, cała w ogniu, kuchnia na wprost z tyłu, ciężki, czarny dym. Porobił kominy.

- Gdzie?

- Jeden, może dwa widziałem w kuchni. Okno było otwarte. Ja i Brittle poszliśmy do sypialni. Cały pokój się palił. Widziałem ciało na łóżku. Spieczone. Potem dmuchnęło. Z

kuchni. Poczulem gaz i dmuchnęło. A Carter...

Ścisnęła mu dłoń. Siedząc przy nim, patrzyła, jak strażacy okrążają i zatapiają śmiertelne piękno ognia.

Gdy wstała i podeszła do O'Donnella, jej buty rozgniatyły potłuczone szkło.

- Tym razem zabił dwie osoby. Jedną cywilną wewnątrz mieszkania, w którym wznicił ogień, oraz strażaka, zabitego przez eksplozję, prawdopodobnie gazu z kuchenki. Wyliczył czas. Zadzwoił do mnie tak, żeby wszystko się dobrze rozpało, zanim straż przyjedzie na miejsce.

- Reeno! - Odczekał, aż odwróciła się od wzbijających się wciąż kłębow dymu i upartych języków ognia. - To jest adres Deb Umberio.

- Czyj? - Potarła kark, usiłując sobie przypomnieć, kim jest ta osoba. Gdy nagle skojarzyła, serce skoczyło jej do gardła. - Umberio? Krewna detektywa Umberia?

- Wdowa po nim. Tom zginął parę lat temu w kraksie samochodowej. To było mieszkanie Deb.

O Boże, Boże! - Przycisnęła dłonie do oczu. - A Alistar? Co z jego partnerem, detektywem Alistarem?

- Na Florydzie. Przeszedł na emeryturę i przeprowadził się tam pół roku temu. Dzwoniłem do niego, kazałem mu być czujnym i ostrożnym.

- Dobrze, tak, dobrze, więc my... O słodki Jezu... John! Już sięgała po swój telefon, ale O'Donnell chwycił ją za ramię.

- Wszystko w porządku. Złapałem Mingera przez komórkę. Na szczęście coś go podkusiło, żeby dziś wieczorem pojechać do Nowego Jorku i osobiście sprawdzić Pastorellego. John jest bezpieczny, a ponieważ już się zbliża do rogatek, doprowadzi tę sprawę do końca. Na wszelki wypadek wysłaliśmy grupę do jego miejsca zamieszkania. Trzeba sprawdzić.

- Musimy objąć śledztwem jego opiekuna społecznego od tamtego czasu, psychologa sądowego, psiakrew, również sędziego rodzinnego. Każdego, kto był w to wszystko zamieszany. Ale myślę, że on skoncentruje się na tych, którzy mieli jakiś udział w zamknięciu jego ojca. Potrzebuję ochrony dla mojej rodziny.

- Dostaliśmy ją. Do czasu, póki go nie złapiemy.

- Zadzwoię do domu, to znaczy do rodziców i reszty żeby najpierw to mieć już z głowy.

- Dobrze. Ja porozmawiam z lokatorami, zorientuję się, co kto widział.

Po odbyciu rozmów telefonicznych wróciła do miejsca, gdzie czekał Bo.

- Zabił dziś dwie osoby.

- Widziałem, jak wynosili tego strażaka. - W worku na ciała, pomyślał. - To bardzo smutne.

- Kobieta, którą zabił, była wdową po jednym z detektywów, którzy aresztowali jego ojca za pożar w Sirico's. Teraz zrobił swój pierwszy wielki ruch, inicjujący finał. Nie ma znaczenia, że wiemy, kto to zrobił. Nie szkodzi, że wiemy, dlaczego. Ważne jest tylko to, że potrafi to zrobić. Mam do ciebie jedną prośbę.

- Jaką?

- Nie idź do domu. Zadzwoń do Brada i zostań tam dziś na noc. Albo u Mandy, albo u moich rodziców.

- A może kompromis? Nie pójde do domu, zaczekam na ciebie.

- To zabierze wiele godzin, a ty mi nie możesz w niczym pomóc. Weź mój samochód. Ja się zabiorę z O'Donnellem. Zrób to dla mnie, dobrze?

- Pod jednym warunkiem. Jak skończysz, też nie pojedziesz do domu. A przynajmniej najpierw do mnie zadzwoń, żebym tam na ciebie czekał.

- Dobrze.

Przytuliła się do niego na chwilę i pozwoliła mu się mocno objąć.

Przejechała karetka pogotowia na sygnale. Niesie komuś pomoc, nadzieję. Poszła z powrotem przez smugi dymu, a wszystko w niej łkało.

Prześlągnięty potem zar wisiał ciężką zasłoną na obcych Johnowi ulicach Bronxu, które przemierzał. Telefon od O'Donnella spowodował zmianę jego planu, żeby zatrzymać się w jakimś motelu za rogatkami, przespać się i dopiero rano wyruszyć na poszukiwanie Pastorellego.

Nawet z wydrukowanym z Internetu planem miasta zdarzyło mu się parę razy źle skręcić. Przez własną nieuwagę - przyznał, poprawiając się za kierownicą po czterech godzinach jazdy.

Starzeję się - pomyślał. Czuł się stary i zardzewiały. Oczy już nie widziały tak dobrze w nocy. No i kiedy do licha, tak się porobiło?

Dawniej potrafił pracować przez dwie doby, ratując się kawą i krótkimi drzemkami. Jeśli kiedyś musiał pracować dwa dni bez przerwy, nie było problemu. Ale te czasy już minęły.

Przejsie na emeryturę nie oznaczało dla niego nagrody wieńczącej dobrze wykonaną pracę zawodową. W jego odczuciu była to pustka niekończących się beczynnych godzin, w której majaczyły wspomnienia z pracy.

Może głupotą było jechać taki szmat drogi, ale Reena zwróciła się do niego z prośbą o pomoc. To było ważniejsze niż złoto, ważniejsze niż zasłużony wypoczynek.

Kiedy wreszcie znalazł właściwą ulicę, czuł już piasek pod powiekami, a gdy szukał miejsca do zaparkowania, rozboleła go głowa.

Spacer z parkingu do domu, w którym miał mieszkać Pastorelli, doprowadził prawie do buntu jego nóg, nie zmniejszając wcale tępego bólu w dole kręgosłupa. Pot oblepiał całe ciało jak druga skóra. Zatrzymał się w sklepiku u Koreańczyków, kupił butelkę wody i excedrin. Na chodniku połknął dwa proszki i spojrzał na prostytutkę dochodzącą do porozumienia z klientem, po czym wślizgującą się do jego samochodu. Żeby uniknąć jej koleżanek polujących na klientów, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Pastorelli mieszkał w niskim budynku z cegły, osmolonej i odrapanej wskutek upływu czasu i kolejnego pokolenia niszczycieli. Przy numerze mieszkania na parterze widniało jego nazwisko. John nacisnął guzik domofonu do lokatorów na drugim i trzecim piętrze. Ktoś życzliwy odblokował mu drzwi z brzęczykiem i Minger wszedł do środka.

Jeśli powietrze na dworze przypominało łaźnię parową, wewnątrz budynku było jak w zamkniętym piekarniku nastawionym na ful. Ból głowy promieniował mu z tyłu oczu do czaszki.

Przez drzwi mieszkania Pastorellego słyhać było wyraźnie dialogi z jakiegoś filmu w telewizji. Rozpoznał *Prawo i porządek* i nagle uświadomił sobie z przykrością, że gdyby tak spontanicznie nie podjął się tej wyprawy na północ, siedziałby teraz sobie w przyciemnionym pokoju, oglądając ten sam cholerny serial.

Jeżeli Pastorelli oglądał właśnie, jak wymiar sprawiedliwości usiłuje się poruszać po grząskim gruncie prawa, z pewnością nie mógł być w Marylandzie i bawić się dziewięćdziesiąt minut wcześniej ogniem.

Zacisnął dłoń w pięść i zastukał do drzwi.

Zastukał ponownie, lecz dopiero za trzecim razem drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha, skrzypiąc przy tym przeraźliwie.

Nie poznałbym cię, Joe - pomyślał. Minąłbym cię na ulicy, nie zwracając uwagi. Mocna, przystojna twarz zredukowała się do wychudzonej czaszki o głęboko wpadniętych oczodołach i skórze zwisającej z kości policzkowych, tak jakby roztopiała się i zbierała na dole policzków.

Poczuł zapach papierosów i piwa, ale ich tłem było coś słodkawego, jakby gnijące owoce.

- Czego pan chce, do diabła?

- Pogadać z tobą, Joe. Jestem John Minger z Baltimore.

- Baltimore. - W zapadniętych oczach rozbłysły nikielne światełka. - Joey pana przysłał?

- Można to tak określić.

Drzwi zamknęły się, zazgrzytał łańcuch.

- Jest kasa? - zapytał Pastorelli, otwierając drzwi. - Miał przysłać trochę pieniędzy.

- Nie tym razem.

Dwa wiatraczki mieszały stęchłe, rozgrzane powietrze, rozprzestrzeniając woń dymu, piwa i tego dziwnego fetoru.

Nagle John pojął, co to jest. To nie tylko stary człowiek, nie tylko stary, chory człowiek. To stary, umierający człowiek.

Czarna skórzana sofa wyglądała jak mężczyzna ubrany w smoking w przytułku dla bezdomnych. Na rozklekotanym stoliczku obok niej stała puszka piwa Miller, przepełniona popielniczka i pilot do telewizora - tak samo błyszczący i niepasujący do reszty otoczenia jak kanapa. Oprócz tego stały tam butelki z lekarstwami.

Sofę, która nie rozpadła się jeszcze tylko dzięki taśmom przyklepnym i kurzowi, dosunięto do ściany. Błaty we wnęce kuchennej były poplamione tłuszczem i zarzucone całymi stertami pudełek po różnych posiłkach na wynos. John zauważył, że na menu z ostatnich

kilku dni składały się potrawy chińskie, pizza i kanapki z Subwaya. Po pudełku od pizzy spacerował karaluch, najwyraźniej tu zadomowiony.

- Skąd znasz Joeya? - Pastorelli zażądał wyjaśnień.

- Joe, a ty mnie nie pamiętasz? Może usiądziemy?

Mężczyzna wyglądał tak, jak na to zasługiwał - pomyślał John. Nie wiadomo, jakim cudem udawało mu się poruszać tym workiem kości, jakim się stał, bez grzechotania. Minger wziął metalowe składane krzesło i postawił je naprzeciwko sofy.

- Joey miał mi przysłać pieniądze. Potrzebuję ich, muszę zapłacić czynsz. - Usiadł i podniósł paczkę papierosów. John przyglądał się, jak wyciąga kościstymi palcami jednego i walczy z zapalniczką.

- Kiedy ostatnio go widziałeś?

- Jakieś dwa miesiące temu. Kupił mi nowy telewizor. Trzydziestosześcioro-calowy, z płaskim ekranem. Sony, mucha nie siada. On nie kupuje niczego taniego.

- To świetnie.

- Na ostatnią gwiazdkę kupił mi to krzesło. Skubane, jak zechcesz, to wibruje. - Jego martwy wzrok przylgnął do twarzy Johna. - Powinien mi przysłać pieniądze.

- Nie widziałem się z nim, Joe. A właściwie to go szukam. Rozmawiałeś z nim ostatnio?

- A o co chodzi? Pan jest gliną? - Wolno pokręcił głową. - Nie, chyba nie.

- Nie, nie jestem. Chodzi o pożar, Joe. Joey wpadł w prawdziwe tarapaty tam, w Baltimore. Jeśli go nie powstrzymamy, nie przyśle ci żadnych pieniędzy.

- Chce pan wpłacać mojego chłopaka w jakieś kłopoty?

- On już ma kłopoty. Wywołał w rodzinnym mieście kilka pożarów. Dzisiejszego wieczora dokonał morderstwa, Joe. Zabił wdowę po jednym ze śledczych, którzy pracowali przy sprawie pożaru Sirico's.

- Ten drań, który mnie wyciągnął z własnego domu. - Wypuścił dym i rozkaszał się, aż mu oczy zaszkły łzami. - Z mojego własnego domu. - Podniósł puszkę z piwem, napił się i znów się rozkaszał.

- Ile czasu ci dają, Joe? Ile ci zostało? Gdy się uśmiechnął, wyglądał jak upiór.

- Te dupki lekarze powiedzieli, że już powinienem nie żyć. A ja tu jestem, więc co oni wiedzą, do ciężkiej cholery? Przechytrzyłem ich.

- Joey wie o twojej chorobie?

- Zabierał mnie parę razy do lekarza. Chcieli mi podać truciznę. Pieprzę to. Rak trzustki. Powiedzieli, że nowotwór zżera mi teraz wątrobę i bebechy i że nie wolno mi pić ani

palić. - Wciąż uśmiechał się tym trupim uśmiechem, pociągając papierosa. - Pieprzyć ich, pieprzyć ich wszystkich.

- Joey wrócił, żeby wszystko wyczyścić, zakończyć twoje sprawy.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Rozliczyć się z ludźmi, którzy ciebie gnębili. Zwłaszcza z Catariną Hale.

- Mała kurewka. Obnosiła się po okolicy, jakby była lepsza od innych. Drażniła się z moim chłopakiem. Chciał spróbować kawałek, co to takiego? A ten palant Hale myślał, że może się mieszać do mnie i moich? Pokazałem mu.

- Zapłaciłeś za to.

- Zrujnował mi życie. - Uśmiech znikł z jego twarzy. - Ten palant Hale zrujnował mi życie. Nie mogłem potem znaleźć uczciwej roboty. Musiałem zmywać cudze rzygowiny, do jasnej cholery. Zabrał mi ludzką godność, ot, co zrobił. Zniszczył moje życie. Cokolwiek by mówiły te konowały, zachorowałem przez pobyt w więzieniu. Pewnie zaraziłem tym Joeya - myślę, że tak. Wszystko przez tę małą dziwkę.

John postanowił nie zwracać mu uwagi, że nie można złapać raka trzustki w więzieniu. A jeśli nawet, to nie sposób zarazić nim syna.

- No dobrze, przez dziwkę. Joey też pewnie czuł to samo.

- To chyba mój syn, co? Szanuje swojego ojca. Wie, iż to nie moja wina, że może mieć po mnie geny raka. On ma rozum. Zawsze miał rozum. Nie odziedziczył go po tej głupiej gęsi, swojej matce. Przyśle mi pieniądze, a może zabierze mnie na wycieczkę, żebym się wydostał z tego przeklętego pieca.

Na chwilę zamknął oczy, odwracając twarz w stronę wentylatora. Stęchły powiew powietrza poruszył mu kosmyki włosów.

- Pojedziemy do Włoch, na północ, w góry, tam gdzie jest ciepło. Coś zaczął robić, ale gliny nigdy go nie złapią. Jest za sprytny.

- Dziś w nocy spalił kobietę w jej własnym łóżku.

- Może to zrobił, może nie. - Ale jego oczy rozświetliła straszliwa ojcowska duma. - Jeśli tak, musiała zasłużyć.

- Joe, gdyby syn się z tobą skontaktował, zrób sobie samemu przysługę. - Minger wyjął notes, napisał swoje nazwisko i telefon. - Zadzwoń do mnie. Pomóż mi znaleźć Joeya, tak będzie dla niego lepiej. Jeśli znajdą go gliny, nie mogę ci nic obiecać. Zabił żonę policjanta. Zadzwoń do mnie, Joe, to być może załatwię ci trochę pieniędzy.

Ile?

- Parę stów - powiedział John z niesmakiem w głębi ducha. - Może więcej.

Wstał i położył kartkę z numerem na stoliku.

- To mu przyniesie więcej szczęścia.

- Kto ma rozum, nie potrzebuje szczęścia.

Gdy John wyjeżdżał z Bronxu, Joey otwierał zamek w tylnych drzwiach jego domu w szeregowcu. Wszystko szło zgodnie z planem.

Wyobrażał sobie żonę gliniarza, która piecze się jak prosię. Aż się uśmiechnął do tego obrazu, jednocześnie z finezją rozpracowując kolejne zamki.

Powiedział jej, że musi jeszcze pójść w inne miejsca, gdzie są kolejni ludzie do spalenia. Na jego krótkiej liście był wielkonosy John Minger.

Wślizgnął się na tyły domu i wyjął z plecaka swój pistolet kaliber 22 z zadartą końcówką lufy. Najpierw do niego strzeli. W kolano. Potem sobie trochę pogadają, gdy będzie podpalał dom.

Dostarczę dziś sporo pracy tym miejskim gerojom - pomyślał, idąc ostrożnie przez ciemny dom.

Starszy pan chyba już w łóżku. O tej porze w nocy pewnie już piłuje na cały głos.

Joey wolałby umrzeć niż się zestarzeć.

A dla Mingera wiek nie będzie już dłużej problemem. Zdechnie. Cała ta ich pieprzona banda pozdycha, zanim jego ojciec się przekręci. Taka jest sprawiedliwość.

Zabili jego ojca - to pewne tak, jakby go zaszlachtowali nożem. Każdy z tych zdrańców za to zapłaci.

Szedł na górę po schodach, odczuwając coraz przyjemniejsze podniecenie. W kolana - powtarzał sobie w myśli. Pach, pach! Zobaczmy, jak mu się to spodoba.

Ciekawe, jak mu się spodoba ogień pełznący ku niemu po łóżku. Zzerający go powoli - tak jak rak zżera Joego.

On nie będzie schodził w ten sposób. Taki chuj! Syn Josepha Pastorellego, Joey, nie zejdzie na raka.

Ma jeszcze co robić - przypomniał sobie. Ma dużo do zrobienia, zanim wstąpi w ogień i zakończy to wszystko.

Gdy załatwi Mingera, przejdzie do głównych atrakcji. Noc jeszcze bardzo młoda.

Ale wślizgiwał się i szukał w każdym pokoju, a swojej zdobyczy nie znalazł.

Palec na spuście mu drżał, ręka niemal wyrywała się do podpalenia pustego łóżka.

Poszedł oglądać, jak się smaży dziwka po gliniarzu, ot co. Ludzie lubią się gapić. Być może Reena zadzwoniła z płaczem, więc pojechał trzymać ją za rączkę.

Pewnie przez te wszystkie lata nieraz ją przeleciał.

Mógł jeszcze troszkę poczekać. Tak, noc jeszcze młoda, więc poświęci mu trochę czasu. Dopadnie go, jak wróci do domu. Poczeka jak kot przy norze myszy.

A czas oczekiwania odpowiednio wykorzysta, wszystko przygotowując.

Dym wciąż wypełniał pokój, gdy Reena szła z płaskim butów po mokrym dywanie sypialni, żeby obejrzeć szczątki Deborah Umberio.

Nasiąknięte wodą pozostałości zwęglonego materaca mówiły same za siebie.

- Spaliła się tu, gdzie leżała - rzekł O'Donnell. - Razem z wyściółką.

Lekarz sądowy Peterson, w koszulce z krótkimi rękawami i uniformie khaki, czekał, aż Reena zrobi zdjęcia.

- Mogła już być martwa, kiedy podpalił pokój. Lub nieprzytomna. Jeszcze tego nie stwierdziłem. Zaraz się za to zabierzemy.

- Nie była martwa ani nieprzytomna. - Reena zeszła niżej obiektywem. - Zapewne chciał, żeby była żywa i świadoma. Chciał, żeby wiedziała, co ją czeka. Żeby to czuła. Napawał się tym. Najpierw się nad nią znęcał, to mu potrzebne. Sprawił, żeby cierpiała.

Wciągnęła powietrze w płuca.

- Była kobietą, więc ją wykorzystał. To mu daje poczucie bycia ważniejszym, bardziej męskim. Znam jego historię napadów o podłożu seksualnym, więc sędzę, że prawdopodobnie ją zgwałcił.

- W jej ustach są ślady czegoś, co wygląda jak materiał. - Peterson pochylił się nisko nad ciałem. - A więc była zakneblowana.

- Otworzyła mu drzwi. - Jak Josh, pomyślała Reena. - Dlaczego? Była żoną policjanta przez - ile? - trzydzieści lat. I wpuściła do mieszkania nieznanego mężczyznę? Miał jakiś pretekst: jakaś dostawa, naprawa. Ktoś musiał widzieć, jak wchodził do budynku. Śledztwo powinno coś czy kogoś ujawnić.

- Zaczniemy to przeczesywać - powiedział O'Donnell, a ona skinęła głową.

- Widać, co zrobił. Użył środka łatwopalnego, głównie na łóżku, potem rozłożył lonty po całym pokoju, zbudował kominy, żeby rozniecić ogień. Nie potrzebował drugiego punktu zapłonu, żeby ją zabić. To było dla nas. Dla strażaków gaszących pożar. Dlaczego by nie ukatrupić paru przy okazji? Lepszy towar za te same pieniądze.

Reena ostrożnie przeszła przez zgliszcza obejrzeć kuchnię. Ze ściany wystawała pokrywka od garnka. Kapała z niej woda - podobnie jak z pozostałych strzępów sufitu. Ściany od ulicy nie było w ogóle. W zwęglonych szczątkach szafek brakowało drzwiczek. Weszła do środka i przyknuęła, oglądając zgliszcza przez szkło powiększające i przyświecając sobie latarką.

- O'Donnell, te drzwiczki nie zostały spalone ani wysadzone. Odkręcił je, po czym wykorzystał jako kominy i materiał palny. Jest pomysłowy. - Spojrzała w tył na swojego partnera, marszcząc brwi. - Czyżby przyszedł z pustymi rękami, wierząc, że ona będzie miała wszystko, co konieczne do urzeczywistnienia jego planu? Potrzebował sznurka, środka łatwopalnego, zapalek, a może i broni. To oznacza jakąś torbę, teczkę, worek, cokolwiek.

Wyprostowała się i wyciągnęła dzwoniący telefon.

- To John - powiedziała O'Donnellowi.

- Rozmawiaj. My tu zaczniemy pracę. Zaczęli fotografować.

- Pastorelli jest umierający. - Reena potarła grzbiet nosa. - Rak trzustki. Powiedział Johnowi, że nie widział Joeya od dwóch miesięcy, że obiecał mu przysłać pieniądze. Mają wkrótce jechać na jakąś wycieczkę do Włoch.

- To dlatego tak przyspieszył.

- Jego ojciec umiera. Nie może tego puścić płazem. Z tego, czego się John dowiedział z rozmowy, stary mógł przekonać syna, że spotka go ten sam los. Joey chce, abym wiedziała, kto to wszystko robi, i szykuje zamach na mnie, bo pragnie w ten sposób uhonorować ojca, a także, Chryste, może to być rodzaj samobójczej misji. On wciąż jest tym chłopcem biegnącym za samochodem policyjnym i za swoim ojcem.

- Wymyślił sobie, że dopóki obaj żyją, mogą uciec z kraju po dokonaniu zemsty? Wziąć odwet, oddać hołd ojcu - czy jak on to rozumie - a potem ukryć się we Włoszech?

- Nie ukryć. On nie uważałby tego za ukrywanie się. To by świadczyło o słabości. - Potarła piekące oczy. - Co innego wywinąć się bezkarnie. Cieszyć się wspaniałym życiem gdzieś tam, przez ten czas, który - jak sądzi - im pozostał. Grać na nosie temu, co zostawił za sobą. W grudniu miał trochę pieniędzy. Mógł przeznaczyć część na fałszywe paszporty, opłacenie podróży, wynajęcie lokum w Europie. Pewnie ma tam przyjaciół lub łącznika. Pastorelli powiedział, że północne Włochy, wysoko w górach. Możemy zacząć tam szukać. Ale on nie dotrze aż tak daleko.

Rozejrzała się po zniszczonym, parującym pogorzeliisku.

- Nie pozwolę mu na to.

- Czy John zamierza zostać w Nowym Jorku i obserwować Pastorellego?

- Nie, uważa, że niczego więcej się tam nie dowie. Jedzie do domu. Należałam, aby zatrzymał się gdzieś na noc. Przez telefon można było poznać, że jest zmęczony.

Czekał do północy, a potem zaklął w myślach: „Co jest, do cholery?”. Może jednak przyjdzie po starego złamasa kiedy indziej. Zostawi mu miłą niespodziankę, a jego załatwi innym razem.

Widział, jak gliny podchodzą do drzwi frontowych i tylnych, a potem odjeżdżają. Sprawdzają, trzymając rękę na pulsie. Może więc lepiej będzie wykonać małą robótkę i przejść do następnej.

Sypialnię już wstępnie przygotował, znalazł tam ubrania w szafie. Z niektórych porobił lonty. Wyściółka materaca to prawie specjalność jego firmy. Papier woskowany, alkohol metylowy. Pomyślał, że mógłby się pod tym podpisywać jak pod portretem. Chociaż fajniej byłoby to rozrzucić bardziej po całym domu, szybciej i równie skutecznie można się skupić na jednym pomieszczeniu.

Znalazł fotografie rodzinne. Rozbił ramki i porozrzucił zdjęcia. Może kiedyś dopadnie ich osobiście. Ty zabrałeś moją rodzinę, ja zabiorę ci twoją.

Ale na razie rozniecił płomień i patrzył, jak rodzi się ogień.

Wychodząc, położył na blacie kuchennym papierową serwetkę do potraw na wynos z wesołym logo pizzerii Sirico's.

Reena pracowała w sypialni, wygarniając płyn, który zgromadził się w szczelinach podłogi i pod resztkami listwy przypodłogowej. Zbierała ślady lontów, które nie spaliły się całkowicie, pobierała próbki popiołu.

Trippley przyszedł i kucnął koło niej.

- Znaleźliśmy włosy w otworze ściekowym prysznic. Mogą być Pastorellego.

- Dobrze, dobrze. Jeśli będziemy mieli jego DNA, jest nasz.

- Są też kawałki szkła z butelki po winie w dziennym. Może zostawił odciski.

Było coś jeszcze - pomyślała Reena z wyczekiwaniem. Coś w tonie jego głosu.

- No i? - zachęciła kolegę.

- Na zewnątrz znaleźli menu potraw na wynos z Sirico's.

Zacisnęła palce dłoni i rozluźniła.

- Ciekawa byłam, gdzie to położył. - Z marsową twarzą powróciła do pracy. - Doręczyciel. Mógł udawać chłopca na posyłki. Nie z jedzeniem. Nie wpuściłaby go. Paczka? Musiałaby coś wcześniej zamówić. Co by... Kwiaty - zdecydowała, przypominając sobie, jak Bo natknął się na niego w supermarkecie. - Może kwiaty.

Odchyliła głowę do tyłu.

- Dlaczego żona weterana policji otwiera drzwi obcemu? Ponieważ doręczył jej kwiaty. Trzeba spytać sąsiadów, ludzi z sąsiednich budynków, czy widzieli faceta niosącego pudło z kwaciarni oraz jakiś rodzaj ręcznego bagażu.

- Załatwię to.

Oboje popatrzyli na wchodzącego do pokoju O'Donnella.

- Znów zaatakował. Straż wyjechała do pożaru u Johna Mingera.
- Jego tam nie ma. - Reena wstała, chwytając się na nogach. - Nie mógł już wrócić, nawet gdyby pędził do domu na złamanie karku.

- Jedź - powiedział jej Trippley. - My tu zostaniemy.

Ruszyła natychmiast, po drodze zdejmując rękawice ochronne.

- Jeśli on usiłuje dokończyć wszystko dzisiejszej nocy, może zaatakować moich rodziców, brata lub siostry.

- Są chronieni. Hale.

- Tak. - Ale na wszelki wypadek szybko wszystkich obdzwoniła.

- Nigdzie nie wychodź - powiedziała ojcu. - Niech nikt nie przekracza progu mieszkania. Jadę teraz do domu Johna. Proszę, żeby aż do odwołania nikt nie wyszedł na zewnątrz. Przyjadę do was, jak tylko będę mogła.

Rozłączyła się, zanim zdążył zaproponować.

- On nie mieszka tu w okolicy. Może w hrabstwie, a może w Departamencie Kolumbii.

- Policja pokazuje jego zdjęcia w hotelach i motelach. Jest ich sporo.

- Może wybierać luksusowe. Nie jest splukany i wszystko dokładnie planuje naprzód. Ma dowód tożsamości i pasującą do niego kartę kredytową. Niewykluczone, że udaje podróżującego menedżera. Kilka dni w jednym miejscu i do następnego.

Wyskoczyła z samochodu, gdy tylko O'Donnell zatrzymał się za wozem strażackim. W sercu czuła skurcz, chociaż widać było, że ogień jest opanowany, prawie ugaszony.

Szybko podbiegła do Steve'a.

- Rury gazowe?

- Nie ma wycieków. Mówią, że opanowali pożar w sypialni. Alarm przeciwpożarowy unieruchomiony. Kobieta wyprowadzająca psa zobaczyła dym i wezwała straż.

- Gdzie ona jest?

- O tam. Nancy Long.

- Nancy? Razem z Giną chodziłyśmy z nią do szkoły. - Reena znalazła ją w tłumie i podeszła. Nancy jedną ręką dzierżyła na smyczy podekscytowanego teriera, a drugą trzymała pod rękę męża.

- Nancy!

- Reena! Boże, jakie to straszne! Ale powiedzieli, że pan Minger akurat wyjechał. Nikogo nie było w środku. To ja zobaczyłam dym. Susie tak się dopraszała, że ustąpiłam i wyszłam z nią na spacer. Ona sobie sikała, a ja się rozglądałam. Może coś poczułam, nie

wiem, ale spojrzałam w górę i zobaczyłam dym wydobywający się z okna. Nie wiedziałam, co robić, chyba wpadłam w panikę. Pobiegłam i waliłam w drzwi pana Mingera, wołałam go. Potem wróciłam szybko do domu. Nie byłam w stanie wybrać dziewięćset jedenaście, tak strasznie mi się trzęsły ręce. Krzyczałam do Eda, żeby to zrobił.

- Być może ocaliłaś dom Johna. A gdyby był w środku, ocaliłabyś także jego życie.

- Nie wiem. Czuję się koszmarnie.

- Czy widziałaś kogoś, kto szedł lub odjeżdżał samochodem?

- Nie, nikogo. Wtedy nie.

- Wtedy?

- To znaczy, że nikogo nie było oprócz mnie.

- A może kogoś widziałaś wcześniej?

- Wychowywanie szczeniaka oznacza, że często się wychodzi na dwór. Zanim się położyliśmy, wzięłam Susie na - jak myślałam - ostatni spacer wieczorny. Gdy otwierałam drzwi, żeby wejść z powrotem do domu, zauważyłam przechodzącego faceta. Ale to było wcześniej, bliżej północy.

- Wydał ci się znajomy?

- Nie. Nie zwracałam na to uwagi, tylko że kiedy odezwałam się do Susie, on tak jakby mi pomachał.

- To było około północy.

- Tak.

- Nancy, pokażę ci zdjęcie.

Reena stała w kuchni Johna, patrząc na leżącą na blacie serwetkę z Sirico's. Zaznaczyła miejsce dowodu rzeczowego i schowała go do folii.

- John już wraca. - O'Donnell zamknął swój telefon. - Będzie za dwie, trzy godziny. Chcesz zacząć sama czy poczekaś na niego?

- Możesz ty się na razie tym zająć? Chciałabym sprawdzić, co u rodziny, a potem odwieźć próbki, które dotąd zebraliśmy.

- Weź kombinezon.

- Tak zrobię. On mógł z tym poczekać dzień lub dwa. Upewnić się, iż John jest w domu. Ważniejsze było jednak, aby nas dziś w nocy rozproszyć. Tylko czekał, żeby dać mi do zrozumienia, kto to robi.

- Twojego domu pilnuje teraz cały oddział, ludzie są od frontu i z tyłu.

Udało jej się uśmiechnąć.

- To go zniechęci. - Poczula skurcz w brzuchu, gdy zadzwonił jej telefon. - Hale.

- Szkoda, że nie było go w domu. Teraz by się smażył. Dała sygnał O'Donnellowi.

- To musiałeś się rozczarować, Joey.

- Diabła tam, suka gliniarza wystarczy na dzisiejszą noc. Jak ją rąbałem, myślałem o tobie, Reeno. Za każdym razem, jak ją gwałciłem, myślałem o tobie. Znajdujesz moje sygnały?

- Tak, znajduję.

- Ta twarz w czapce durnego szefa kuchni to twój tatuś, co? Narysowała go twoja seksowna staruszka. - Zaśmiał się, a ona nic nie odpowiedziała. - Jeszcze jeden czeka już na ciebie. W przychodni twojego brata. Lepiej się pośpiesz.

- O Boże! Jasny gwint. - Rozłączyła się i wybrała dziewięćset jedenaście. - Przychodnia, w której pracuje mój brat z żoną. Dwa kwartały dalej.

- Ja prowadzę. - O'Donnell wybiegł razem z nią na zewnątrz.

W rynnice był wykaz win z Sirico's, a budynek stał w płomieniach.

- Ubieram się. - Otworzyła bagażnik i wyciągnęła kombinezon. - Pomogę w gaszeniu.

- Reeno!

Stała jak wryta, zaskoczona, że zwrócił się do niej po imieniu.

- Jesteś na nogach już prawie od osiemnastu godzin. Niech to zrobią strażacy.

- On krąży w pobliżu, chce nas wymęczyć. - Zatrzasnęła bagażnik. - Nie może uderzyć bezpośrednio w Sirico's ani w moją rodzinę, więc zrobił to. Odgrywa się na mnie.

Stała, trzymając palcami hełm, a przed nią tańczył ogień.

- Jest w pułapce - powiedziała stanowczo. - Sam się w nią złapał. Nie może już się zatrzymać, bo jak? To go hipnotyzuje, zniewala.

- Co jeszcze mógłby zaatakować? Wszystko pozostałe jest strzeżone.

Oczy łzawiły jej od dymu.

- Szkoła, potem Bo. Ale w tym drugim przypadku, jak myślę, tylko wykorzystał okazję, żeby mnie trochę podrajcować. Żona Umbria, potem John. Teraz Xander.

- Przeciera sobie drogę do ciebie.

- Ja jestem na zakończenie. To są etapy jego zemsty, ale robi wszystko nie po kolei. Xander powinien być po szkole, potem mój ojciec, restauracja i tak dalej. Trochę przeskakuje, ale to nadal spójny plan.

- Dawny dom Joeya. Tam może uderzyć - dodał O'Donnell, gdy Reena odwróciła wzrok w jego stronę. - Tam przyszli po Pastorellego, który już nigdy doń nie wrócił. Samego chłopaka z domu wyciągnęła matka.

Wrzuciła hełm do samochodu.

- Tym razem ja prowadzę.

Z okien pierwszego i drugiego piętra domu, który kiedyś należał do Pastorellich, wpełzały już płomienie. Nikt nie wezwał straży, nikt nie krzyczał, nie było gapiów. Tylko ognista pochodnia w ciemnościach.

- Wezwij pomoc! - krzyknęła do O'Donella i znów złapała hełm, biegnąc do bagażnika po ubranie ochronne. - Tam w środku są ludzie. Dwoje, prawdopodobnie w sypialni na pierwszym piętrze. Wchodzę do środka.

- Poczekaj na oddział. Wciągnęła na siebie kombinezon.

- Muszę spróbować. Mogą być żywi, uwięzieni. Nie pozwolę, żeby tej nocy jeszcze ktoś się spalił.

Chwyciła gaśnicę, jakąś cząstką mózgu odbierając słowa O'Donnella, który meldował o pożarze i podawał adres. Pędził tuż za nią po schodkach.

- On może tam być. Oślaniam ci plecy.

- Idź na parter! - odkrzyknęła. - Ja pójdę na górę.

Zauważyła, że zostawił drzwi odemknięte. Niczym zaproszenie, żeby wejść i czuć się jak w domu. Spotkali się wzrokiem z O'Donnellem, kiwnęła głową i weszli do środka.

Na parterze było widno. Odbijały się tu światła z ulicy i skrawki srebrnej poświaty księżyca. Cieniste kształty mebli i zarysy drzwi majaczyły groźnymi postaciami, aż serce pochodziło jej do gardła.

Biegła po schodach na górę i widząc pełną pod sufitem dym, czuła w brzuchu lodowate zimno.

W miarę pokonywania kolejnych stopni było go coraz więcej. Gęstniał, tworząc brudnoszare kłęby. Dochodzący trzask ognia przypominał już grzmot rozszałych fal, które za chwilę połączą się w potężny przybój. Sprawdziła, czy zamknięte drzwi są gorące - były chłodne. Szybko odwróciła się i szła dalej korytarzem.

Na suficie nad jej głową pląsał ogień, otaczał drzwi jak złota aureola. Nieśmiało próbował lizać jej buty.

Wymiałała pianą płomienie, słysząc swój własny stłumiony krzyk przerażenia. Dobiegły ją też jęki, ale to były syreny. Nikt nie odpowiadał na jej wołanie. Zebrała się na odwagę, głęboko odetchnęła i ruszyła przez ścianę ognia.

Pokój stał w nim niczym przedsionek piekieł. Z podłogi buchały płomienie, wyciągając szpony ku toalecie, gdzie już ogarnęły wazon z kwiatami. Przez ułamek sekundy stała tak, urzeczona jego pięknem, cudownym zarem, barwami, ruchem i potęgą.

Jej broń przeciwko tej gorejącej namiętności była malutka i żalosna. I - niestety - już się spóźniła.

Nie podpalił łóżka. To dla niej był ten widok; chciał, żeby zobaczyła.

Oczywiście, zostawił ich tam. Najpierw zastrzelił, a potem posadził tak, jakby oglądali pożar. Zniewolona siłą widownia majestatycznego widowiska.

Ruszyła w ich stronę. Część jej świadomości pozostała jeszcze w tym miejscu, zafascynowana i przerażona. Ale podeszła do łóżka, ryzykując poparzenie. Musiała sprawdzić, musiała być pewna, czy naprawdę jest za późno.

- Odsuń się! Uciekaj!

Odwróciła się, słysząc krzyk O'Donnella. Jej oczy zarejestrowały, jak stoi w drzwiach, otoczony rozszalałym wieńcem płomieni. Twarz umazana potem i sadzą, lecz oczy jasne i silne. Wsadził broń do kabury i zamiast niej trzymał domową gaśnicę.

- Nie żyją! - zawołała, przekrzykując huk strzelających w górę płomieni, lecz w jej głosie było już przygnębienie. - Zabił ich w łóżku!

Ich oczy spotkały się na chwilę w przeblysku zrozumienia, pełnym wściekłości i obrzydzenia.

- Ocalimy, co możemy. Podniósł zbiornik. - To nasze zadanie. - I wyszarpnął zawleczkę.

Eksplozja porwała Reenę i rzuciła na łóżko. Leżała pomiędzy ciałami ofiar. Przez moment była ogłuszona, jej umysł przestał cokolwiek rozumieć.

Potem krzyczała imię swojego partnera i ciągnęła z łóżka do drzwi przez ogień zakrwawione prześcieradło.

Wiedziała, że odszedł. Mimo to ciągnęła prześcieradło i własne ciało poprzez ogień, który go zabrał.

Chlusnęła woda, inni wbiegli do czeluści tego jej piekła.

- Wiedział, że wejść pierwsza. - Reena siedziała na krawężniku. Odsunęła maskę tlenową zakładaną jej przez Xandra. - Ci ludzie na górze nic dla niego nie znaczyli. Dlatego ich zastrzelił, zamiast oddać ogniu żywych. Nie byli ważni. Ale wiedział, że wejść pierwsza.

- Reeno, nic nie mogłaś zrobić. Nic nie mogłaś zmienić.

- Zabił mojego partnera. - Zacisnęła oczy i przycisnęła twarz do kolan. Już zawsze, zawsze będzie miała przed oczami, jak płonie. Jego rozerwane ciało w objęciach ognia.

To nasze zadanie. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Teraz sama już nie wiedziała, czy ma w sobie chęć do tej pracy, która jego zabiła. Całe jej wnętrze przepełniały wina i żal.

- Ten drań wiedział, że pójść pierwsza na górę do pożaru. Rozmontował tę domową

gaśnicę, spodziewając się, że O'Donnell lub ktoś inny złapie ją i użyje. W kuchni, pewnie była w kuchni. Widać jak na dłoni. Kierujesz się instynktem. Łapiesz za nią i używasz. Gdybym zaczekała z tym wejściem do środka...

- Sama wiesz najlepiej. - Xander ujął ją za ramiona i podniósł, aż ich oczy się spotkały. - Nie mów, co by było, gdyby, Catarino. Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić, tak samo O'Donnell. Tylko jedna osoba tu zawiniła.

Popatrzyła do tyłu na dom. Wojna z płomieniami jeszcze trwała, a ona czuła się jedną z ofiar. W tamtym pokoju straciła partnera. Straciła całą swoją odwagę i obawiała się też, że ogarnia ją panika.

- Zabił ich tylko po to, aby mi pokazać, że potrafi. Tylko po to, żebym zobaczyła. Z O'Donnellem też to zrobił na pokaz. Pieprzony drań!

- Reeno, potrzebujesz odpoczynku. Snu. Zawiozę cię do mamy i dam ci coś na uspokojenie.

- Nie ma mowy! - Znów położyła głowę na kolanach, walcząc ze łzami. Bała się, że jeśli uрони choć jedną, już nigdy ich nie powstrzyma. Chciała wzbudzić w sobie gniew, czuć, jak pali jej wnętrze, ale jedno, co mogła, to walczyć z potworną, przygniatającą rozpaczą.

Byli młodzi - myślała. Młodszy niż ona. Zabił ich szybko, z zimną krwią, w ich własnym łóżku, a potem posadził jak lalki.

Ten obraz będzie ją prześladował przez resztę życia. Tak samo jak i widok dobrego człowieka, dobrego policjanta, dobrego przyjaciela, całego w płomieniach.

Podniosła głowę i popatrzyła w oczy brata.

- Prosiłam, żebyście nigdzie nie wychodzili. Mówiłam, iż to bardzo ważne, żebyście zostali w domu.

To mógł być jej brat - pomyślała. Jej matka, siostra lub ojciec. Taka była wiadomość dla niej od Joeya przesłana poprzez śmierć O'Donnella. Mógł wybrać, kogo chciał, i nadal może.

- O mnie się zupełnie nie martw. - Xander ujął dłońmi jej policzki. - Jeden z policjantów zawiózł An i dziecko do mamy. Mamy tu swoją osobistą policję.

Dotknął jej twarzy i wtedy sobie przypomniała. Dwadzieścia lat temu, gdy leżała oszołomiona i łkająca po napaści Joeya, brat dotknął jej twarzy. Pachniał winogronowym lodem na patyku.

Uczucie potwornego żalu ścisnęło jej serce i gardło, przepelniało spojrzenie.

- Xander. On spalił twoją przychodnię - wyszeptwała. Pochylił głowę nad siostrą i objął ją ramionami.

- W porządku. Wszystko będzie dobrze.

- O Boże, Xander. Spalił ci lokal. Może zaatakować i ciebie, was wszystkich, jeśli go nie powstrzymamy. O'Donnell prawie należał do rodziny. On o tym wiedział. Dwadzieścia lat temu nie był w tamto zamieszany. To nie zemsta, lecz fakt, że był dla mnie kimś bliskim, doprowadził do jego śmierci. Nie wiem, jak mam to powstrzymać Umieram ze strachu.

Drżenie zaczęło się w palcach stóp i szło w górę, więc chwyciła go za ręce, jakby chcąc się uchronić przed całkowitym roztrzęsieniem.

- Xander, nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia, jak dalej postępować.

- Musimy iść do domu. Po prostu musimy... Przerwał i oboje spojrzeli w kierunku, gdzie przez tłum ludzi i zapory przeciskał się Bo, wołając Reenę. Wstała i zachwiała się trochę, dopiero Xander pomógł jej odzyskać równowagę.

- Zaczekaj tu. Przeprowadzę go.

- Nie. - Reena śledziła wzrokiem Bo. - Nie mogę dłużej siedzieć.

Szła najszybciej, jak mogła, lecz czuła, jakby tkwiła w jakimś gęstym syropie, a tymczasem Bo zmagał się z dwoma mundurowymi, którzy zabraniali mu wejść.

- Jest ze mną. W porządku. On jest ze...

Bo przedarł się do Reeny i powstrzymał dalsze słowa, chwytając ją mocno.

- Powiedzieli, że weszłaś do środka. - Otoczył ją ramionami i wyrzucał z siebie: - Powiedzieli mi, że weszłaś do środka. Że zginął policjant. Jesteś ranna? - Gładził rękami jej plecy i całe ciało. - Nic ci się nie stało?

- Nie. O'Donnell. - Oczy zaszczyły jej łzami. - On... on nie żyje. Nie żyje. Uruchamiał gaśnicę i wybuchła mu w rękach. Wybuchła, a ogień... Nie mogłam go uratować.

- O'Donnell? - Widziała, jak w jego oczach strach przeradza się w smutek. - O Jezu, Jezu, Reeno. - Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. — To straszne, straszne. O Boże! Pani M.

- Co?

- Jego siostra. - Kołysał ją, gdy tak stali na ulicy, otoczeni dymem i śmiercią. - Reeno, tak mi strasznie przykro. To potworne, potworne. I tak dobrze, że to nie byłaś ty. - Żal i ulga zarazem sprawiły, iż przygarnął ją jeszcze mocniej. - Co mogę zrobić?

- Nic. - Znów ogarniała ją bezsilność. Pustka i żal. - Nie ma go już.

- Ale ty jesteś. - Odsunął nieco Reenę, żeby popatrzeć na jej twarz. - Żywa. Tutaj.

- Nie potrafię logicznie myśleć. Nie wiem nawet, czy jestem w stanie cokolwiek czuć.

Po prostu...

Uciał jej znowu, tym razem zamykając usta Reeny swoimi.

- Oczywiście, że możesz - powiedział. - Będziesz myślała i czuła. Będziesz też robiła, co do ciebie należy. - Przycisnęła wargi do jej czoła. - Tak to już jest.

Ocalimy, co się da - pomyślała. I ta myśl pomogła jej odzyskać równowagę.

- Przywracasz mi spokój, Goodnight - szepnęła.

- Co? Potrząsnęła głową.

- A co ty tutaj robisz? Biegasz po ulicy jak szaleniec. Czy już nikt się mnie nie słucha? Wciąż dotykał jej włosów, twarzy, rąk.

- Jestem młodszy i szybszy niż twój ojciec. Udało mi się wymknąć policjantom zgromadzonym wokół domu. Jemu nie.

- Psiakrew. - Odwróciła się, żeby popatrzeć na dogasający ogień.

Strawił dwa górne piętra. Nadpalił sąsiednie domy, zabrał ludzkie życia. Ale już nic więcej tej nocy nie zabierze. Nie tutaj. I ona ma to już za sobą - na razie.

To nasze zadanie - powiedział O'Donnell. Jej zadaniem było coś robić. Obserwować, studiować, analizować. Badać, kto i dlaczego, a nie siedzieć na krawężniku i trząść się z przerażenia i rozpacz.

- Zaczekaj minutę. - Ścisnęła ramię Bo i podeszła do Youngera, który przyjechał, gdy rozeszła się wieść o śmierci O'Donnella. - Skontaktuję się z rodziną, sprawdzę i podtrzymam ich na duchu. Gdyby znów zadzwonił, dam ci znać.

- Zabrał jednego z naszych, - Jego twarz była biała jak śnieg. - Policjanta. Dobrego policjanta. - Spojrzał w niebo. - Teraz to już po nim.

- Tak. Ale z nami mógł jeszcze nie skończyć. Wszystko jest zabezpieczone. Chciałabym się umyć. - Zdjęła kurtkę. - Rozjaśnić umysł. Jeśli też chcesz, chodź ze mną, możesz to zrobić u moich rodziców.

- Może z tego skorzystam. Kapitan już tu jedzie. Zdam mu relację i ustawię ochronę.

- Dziękuję.

Gdy się odwróciła, położył dłoń na jej ramieniu.

- Hale, on cały czas wyprzedzał nas o krok. Na Boga, już tak nie będzie.

Czy rzeczywiście? - myślała Reena. Był jak cholerna kobra, tak samo cierpliwy, tak samo zabójczy. Mógł latami padać i podnosić się, wypelzać i wpełzać z powrotem, kiedy tylko chciał.

Odchodząc, jeszcze raz popatrzyła na dom. Nie, to były złe myśli, wynikające ze skrajnego zmęczenia i zniechęcenia. On zaszedł już za daleko, żeby się zatrzymać lub czekać. Był za blisko celu tej pieprzonej wycieczki.

Zamknęła swoje rzeczy w bagażniku.

- Może tu przyjść detektyw Younger, jak skończy. John już wraca z Nowego Jorku.
- Co robił w Nowym Jorku? - Bo sięgnął po jej dłoń, splelił palce.
- Sprawdzał Joego Pastorellego. Ma raka trzustki, jego dni są policzone.
- Ciężka sprawa. - Z drugiej strony Reeny stanął Xander. - Jest w trakcie leczenia?
- Raczej nie. Joey prawdopodobnie myśli, że też ma nowotwory cykające mu w środku jak bomby zegarowe.

- To genetyczne? - spytał Bo.

- Nie wiem. - Zmęczenie przygniatało ją jak ciężki głaz. - Nie wiem. Xander?

- W dziesięciu procentach przypadków dziedziczne. Główną przyczyną jest palenie.

- To jakaś ironia losu. Dym, ogień, śmierć. Tak czy inaczej poznam szczegóły, jak wróci John. Najprawdopodobniej to właśnie skłoniło Joeya do przyspieszenia, do zakończenia spraw. Słuchajcie, pójdę do domu wziąć czyste ubranie.

- Idę z tobą.

Bo, domu pilnuje policja.

- Idę z tobą - powtórzył i obszedł jej samochód, żeby wsiąść.

Przewróciła oczami.

- Wsiadaj - poleciła bratu. - Podrzucę cię do mamy. Nikt dziś nie może chodzić sam. Powiedz im, że ze mną wszystko w porządku - dodała, uruchamiając silnik. - Będę tam za kilka minut.

Cały dom rodziców był oświetlony. Wysiadła na chwilę porozmawiać z dwoma policjantami parkującymi przy krawężniku. Wróciła do Xandra nieco zdziwiona.

- Fran, Jack, dzieci, Bella i jej dzieci. Nie wspominałeś, że wszyscy się tam zgromadzili.

- Zawsze tak robimy. Ucałowała go w oba policzki.

- Idź tam, uspokój wszystkich. Poproś... poproś mamę, żeby zmówiła różaniec za O'Donnella. Będę tu z powrotem za piętnaście minut.

Wróciła do auta, zanim ktokolwiek z rodziny ją zauważył. Gdyby wszyscy zaczęli do niej wychodzić, nigdy by nie pojechała do domu po to ubranie.

- Trzymają się razem - rzekł Bo, gdy wyjeżdżała. - Masz tam granitową opokę, Catarino. Umierają ze strachu i zmartwienia, ale się nie rozdzielają.

- On chce ich skrzywdzić. Obawiam się, że ta świadomość może mnie od nich oddzielić.

- Nie oddzieli. Myślę, że zdecyduję się na ten wariant małżeństwa. Hej, powiedziałem na głos słowo „małżeństwo”. Jeżeli mam pójść w to i w dzieci, musi to być zbudowane na

dobrych i solidnych podstawach.

- No wiesz, dziwny moment sobie wybrałaś, ale jeśli to są oświadczenia...

- Uuu. To ty się oświadczyłaś. Ja ci teraz daję odpowiedź.

- Rozumiem.

- Ale nie widzę pierścionka. Musisz mi kupić, bo bez niego to się formalnie nie liczy.

Zatrzymała się - po prostu zahamowała na środku ulicy, położyła głowę na kierownicy i się rozplakała.

- Hej, hej, na Boga, nie płacz. - Szarpnął pasem bezpieczeństwa i obrócił się, próbując ją wziąć w ramiona.

- Muszę, choć przez minutę. Bałam się, że stracę panowanie w płonącym domu - najpierw w tej sypialni - na widok tego, co z nimi zrobił. Zastrzelił ich, a potem posadził na łóżku jak lalki.

- Kogo?

- Carlę i Dona Dimarco. Nie znałam ich dobrze. Niedawno kupili ten dom, kilka miesięcy temu. Młode małżeństwo, ich pierwsze gniazdko. Jej matka i mama Giny chodziły razem do szkoły. - Wyprostowała się i otarła łzy. - Nie podpalił łóżka. Mogłam wszystko zobaczyć. Poduszki, których użył, żeby stłumić odgłos wystrzału. Stałam tam, wokół wszędzie ogień, i widziałam, co zrobił. Zakradł się, gdy spali. Przykrył im twarze poduszkami... mały kaliber. Mała dziurka, po prostu mała dziurka.

Bo nic nie powiedział, tylko wziął ją za rękę.

- Ten ogień wszędzie dookoła, dym, żar, światło. To przemawia. Słysząc, jak szepcze, śpiewa, huczy. Ma swój język. To mnie fascynuje. Pociąga. Zawsze tak było, od tamtej nocy, gdy stałam na chodniku ze szklanką napoju imbirowego i widziałam przez szkło, jak ogień tańczy w Sirico's, Rozumiem jego... zauroczenie - powiedziała, odwracając się i patrząc na Bo.

Rozumiem, dlaczego on to wybiera albo to wybiera jego - kontynuowała. - Widzę schody, które nas tutaj przyprowadziły. Nas wszystkich. Ale teraz, po O'Donnellu, czuję się, jakbym stała na ich krawędzi. Zgubiłam wewnętrzną równowagę w tamtym pokoju na górze, gdy patrzyłam na ludzi, którzy nic złego nie zrobili, tylko kupili ładny dom w ładnej okolicy. Zgubiłam ją, kiedy im się przyglądałam i czułam ogień. A potem mój partner stojący w drzwiach ściągnął mnie z tej krawędzi, przypominając, że mamy zadanie do wykonania. Chwilę później za nie umarł.

Wstrząsnął nią dreszcz i westchnęła.

- Widzę, co on robi i z jakiego powodu. Co więcej, dlaczego musi to robić. On też jest

zafascynowany ogniem.

- Czyżbyś wpadła na jakiś niedorzeczny pomysł, że ty i ten szaleniec macie ze sobą coś wspólnego?

- Owszem, i to więcej niż jedną rzecz. Ale mnie chroni ta granitowa opoka i Bogu za to dzięki. A teraz mam ciebie. Mówiłam, że przywracasz mi spokój, Bo. Jeśli stracę równowagę, pomożesz mi ją odzyskać. Czy w przeciwnym wypadku siedziałbyś tu ze mną w tę piekielną noc i mówił o małżeństwie, dzieciach?

- Chcesz wiedzieć, dlaczego? - Uniósł się i wyjął chustkę, którą wytarł jej mokre policzki. - Dużą część tej nocy spędziłem, siedząc, stojąc i chodząc w domu twoich rodziców. Patrzyłem, jak twoja rodzina siedzi, stoi, przechadza się. I zrozumiałem, że jeśli się kogoś kocha, nie wystarczy dryfować w pobliżu. Trzeba zacząć od fundamentów i budować na nich. Jeśli chce się stworzyć coś trwałego, nie można szczerzyć na to sił. - Pocałował ją w rękę. - A ja mam ich dużo.

- Ja też. - I ona pocałowała go w rękę, a potem, odgarnąwszy włosy do tyłu, znów uruchomiła silnik. - Jaki chcesz pierścionek?

- Jakiś bajer, żebym mógł się pochwalić znajomym, wzbudzić ich zawiść i pożądlivość.

Roześmiała się pomimo zaciśniętego gardła.

Zaparkowała za oddziałem policji pod jej domem.

- Porozmawiam chwilę z tymi ludźmi, a potem pobiegnę po rzeczy. Może zaczekasz tu i zaczniesz obmyślać ślub naszych marzeń? Będziesz cudownie wyglądał w długiej białej sukni.

- To może zbyt daleko posunięta koncepcja. Naprawdę nie wypada mi się ubierać na biało.

Wyłożyła na wierzch odznakę, a po chwili, poznając oficera wychodzącego z radiowozu, zawołała:

- Inspektorze Derrick!

- Pani detektyw. Ten drań zabił O'Donnella.

- Tak. - Znów musiała się opanować. - Jak długo tu jesteście?

- Od drugiej. Inny oddział patrolował najbliższą okolicę, ale ponieważ obawialiśmy się, że następnym celem może być pani dom, wycofaliśmy się spod przychodni po pożarze i pilnujemy tutaj. Dwaj oficerowie osłaniają tył domu. Sprawdzają wszystko co piętnaście minut.

- Jaka jest sytuacja?

- Spokój. Sporo ludzi wyległo na odgłos syren, mieliśmy trochę zamieszania na chodniku, rozproszyliśmy się.

- Wejdę do środka po czyste ubranie. Mój... - Chciała powiedzieć „przyjaciel”, ale w porę się poprawiła: - Mój narzeczoną został w samochodzie. Jestem wam wdzięczna za pomoc, panie inspektorze.

- Nie ma za co. Odprowadzić panią i poczekać tam?

- Nie, nie trzeba. Szybko się uwinę. Proszę zawiadomić ludzi na tyłach, że wchodzi na teren.

- Tak jest, zawiadomię.

Szczękając kluczami, przeszła przez chodnik i zaczęła wchodzić po schodkach.

Cztery pożary wzniesione w ciągu sześciu godzin - pomyślała. Zamierzał się dostać do księgi rekordów. Czy oprócz zemsty szukał również rozgłosu?

Znał okolicę - to było jego atutem, ale i tak to szybka robota. Cholernie szybka.

Otworzyła drzwi i wchodząc, zapaliła światło. Położyła klucze i przywołała sobie w pamięci przebieg wydarzeń. Do mieszkania w Felis Point wszedł około szóstej trzydzieści, opuścił je między dziewiątą piętnaście a dziewiątą trzydzieści. Miał dużo czasu, żeby dotrzeć do domu Johna i podłożyć ogień. Musiał go opuścić po północy. Teraz musiał się więc już bardzo spieszyć, aby dojechać do pozostałych miejsc. Ogień palił się już na dobre, gdy dotarli do kliniki kilka minut po jego telefonie. Minuty - myślała, idąc na piętro. A chwilę później już pędzili z O'Donnellem do dawnego domu Pastorellego.

Wyprzedzał nas więcej niż o jeden krok. Nikt nie był taki dobry i szybki. Wspólnik? Nie pasowało, po prostu nie pasowało. To była jego misja, jego obsesja. Nie podzieliliby się z nikim.

Ale podpalił przychodnię, przeszedł dwa kwartały, włamał się do swojego dawnego domu, zastrzelił dwie osoby, zostawił zdemontowaną gaśnicę i wznicił kolejny pożar. Budynek już stał w płomieniach, gdy tam dojechała.

A więc Carlę i Dona zabił wcześniej. Przed przychodnią. Oba pożary wywołał zdalnie, za pomocą timera. Możliwe, że przychodnię podpalił, zanim pojechał do Johna. Oto jego schemat - myślała. Xander, a potem John.

Umknęło jej to. Umknęło, bo biegła w kółko, tak jak on chciał. Zmusił wszystkich do rzucańcia się od pożaru do pożaru, a były one jednocześnie zarówno elementami jego zemsty, jak i opóźnianiem pogoni.

Umknęło jej więcej - uświadomiła sobie - bo poddała się rozpaczycy.

Od drugiej. Tak powiedział Derrick. Byli tutaj od drugiej.

Dłonie jej zwilgotniały. Obróciła się i sięgnęła po broń, gotowa do odwrotu i ucieczki.

Wyszedł z drzwi naprzeciwko niej. Miał na sobie koszulkę firmową Sirico's i trzymał pistolet kaliber 22.

- Czas na wielką niespodziankę. Reeno. Będziesz musiała powoli odłożyć tę broń. Rzuć ją na podłogę.

Podniosła obie ręce do góry. Nie oddawaj broni - myślała. Nigdy nie oddawaj broni.

- Joey, wokół domu jest policja.

- Tak, widziałem. Dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Przyjechali tu z dziesięć minut po mnie. Mielicie pracowitą nockę, co? Masz sadzę na twarzy. Byłaś w moim domu, prawda? Wiedziałem, że tam pójdziesz. Jak ja cię znam! Dotarłaś do nich przed ogniem?

- Tak. Uśmiechnął się szeroko.

- Hej, a gdzie twój partner?

Był rozradowany. A ona za wszelką cenę pośle go za to do piekła.

- Teraz, Joey, zabiłeś policjanta. Już po tobie. Wszyscy gliniarze z Baltimore cię ścigają. Nie zdołasz się z tego wykaraskać.

- Myślę, że mi się uda. Ale gdyby nie, to - do licha - skończyłem, co zacząłem. Pistolet, Reeno.

- Strzelisz ze swojego, a oni tu będą, zanim upadnę. Nie tak chciałeś to zakończyć. Nie o to chodzi, tylko o ogień, prawda? Nie będziesz miał satysfakcji, jeśli nie spłonę.

- I spłoniesz. Założę się, że twój partner spalił się na fest.

Stłumiła przebłysk wspomnienia tego obrazu, ale przez całe ciało przeszedł ją prąd.

O tak, czuła, ale też umiała myśleć. A on jej nie doceniał.

- Wiem o twoim ojcu, o raku. Twarz zapłonęła mu furia.

- Nie mów o moim ojcu. Nie wypowiadaj jego imienia.

- Ty też pewnie myślisz, że go masz. Że on ci przekazał nowotwór. Ale to mało prawdopodobne, Joey. Na palcach możesz policzyć odsetek szans na tak niefortunny zbieg okoliczności.

- A co ty, do cholery, o tym wiesz? Rak go zżera od środka. To widać i czuć. Nie mam zamiaru przeżywać czegoś takiego, i on też nie. Zajmę się nim, zanim to go wykończy. Ogień oczyszcza.

Przeszył ją dreszcz grozy. Zamierzał spalić żywcem własnego ojca.

- Nie pomożesz mu, nie oczyścisz go, jeśli sam zginiesz tutaj.

- Może nie. Ale on mnie nauczył, że przede wszystkim trzeba uważać na siebie. I myślę, że stąd wyjdę. Ty będziesz się paliła, oni przybiegną, a ja wyparuję. Jak dym.

Zrobił krok do przodu, ona się cofnęła.

- Strzał w brzuch chyba cię nie uśmierci, przynajmniej nie od razu, lecz będzie bolało jak diabli. Mogą to usłyszeć. Ale taki mały pistolet nie puka głośno, więc chyba wszystko pójdzie po mojej myśli. W każdym razie i tak będę miał dość czasu. Wszystko dla ciebie już przygotowałem.

Wepchnął ją do tyłu, do sypialni, i zapalił światło.

Na podłodze i na łóżku porozkładane były lonty i kominy.

Złapał ją za włosy i zmusił do ukłęknięcia, przyciskając pistolet do skroni.

- Jeden dźwięk, jeden ruch i wpakuję ci to w mózg, a potem spalę, co z ciebie zostanie - ostrzegł.

Masz być żywa - rozkazała sobie. Nie zamkniesz go, jeśli umrzesz.

- Ty też się spalisz - przypomniała.

- To się zdarza, nie znam lepszego sposobu odejścia. Czekam, żeby się przekonać, jak to jest, od dwunastego roku życia. - Wyszarpnął jej sprzęt policyjny z pasa i cisnął na bok. - Za duże bum - wyjaśnił. - Ty też jesteś ciekawa, jak to jest: zanurzać się w tym, pozwolić, żeby ogień cię ogarnął. No i zobaczysz. Zrobimy tak. Zadzwonisz do swojego starego, powiesz mu, żeby tu przyszedł, bo chcesz z nim porozmawiać na osobności.

Nie wie, że weszłam tu tylko po ubranie - pomyślała. Nie ma pojęcia, że na mnie czekają.

- Po co? - zapytała.

- On się spali, ty się spalisz, i to będzie koniec. Koło się zamknie.

- Spodziewasz się, że ściągnę do ciebie ojca?

- On zabił mojego. Musi za to zapłacić. Masz wybór. Zawołasz i poświęcisz tylko jego albo załatwię was wszystkich. Całą twoją rodzinę. - Okręcił włosy Reeny wokół swojej pięści i szarpnął, aż w oczach rozbłysły jej gwiazdy. - Matkę, brata, siostry. Wszystkie ich bachory. Co do jednego. Wybieraj: ojciec albo cała reszta.

- On tylko mnie bronił, tak jak powinien to zrobić każdy ojciec.

- Upokorzył mojego. Spowodował, że wyciągnęli go z domu i posadzili w celi.

- Twój ojciec sam do tego doprowadził, podpalając Sirico's.

- Nie zrobił tego sam. Nie wiedziałas o tym, co? - Wyszczrzył wszystkie zęby w uśmiechu. - Tamtej nocy zabrał mnie ze sobą. Pokazał, jak wywołać pożar i co robić z ludźmi, którzy zależli ci za skórę! - Uderzył Reenę grzbietem dłoni i usiadł na niej okrakiem.

- Ty drżysz. - Teraz cały zatrząsł się od śmiechu. - Drżysz jak tamtego dnia. Gdy twój ojciec tu przyjdzie, wydupczę cię na jego oczach. Pokażę mu, jaką kurewką jest jego

ukochana córca. - Rozerwał jej bluzkę i przycisnął lufę do szyi pod szczęką.

Coś w niej zakwiliło, musiała walczyć z chęcią bronienia się.

- Pamiętasz, jak zrobiłem to na boisku? Ale teraz to masz cyce. - Złapał ją za pierś i cmoknął niby z zachwyty. - Ładne. Nie współpracujesz, więc zrobię to samo z twoją matką, siostrami, a nawet z tą Azjatką, z którą się ożenił twój brat. No i jeszcze jest ta mała suczka - twoja siostrzenica. Młode są najsmaczniejsze.

- Zabiję cię. - Była w środku zimna i twarda jak kamień. Nie musiała w sobie wzbudzać gniewu. Był tam, czaił się od dawna. - Wcześniej cię zabiję.

- Reeno, kto trzyma pistolet? - Przejechał lufą po jej gardle. - Kto ma władzę? - Wbił ją mocno pod szczękę. - Kto tu, do cholery, rządzi?

- Ty. - Patrzyła mu w oczy, budowała swoją odwagę na opoche z gniewu. Wykonuj swoje zadanie. - Ty, Joey.

- Tak jest, do jasnej cholery. Twój ojciec za mojego, suko. Tracisz go, zostawiam resztę żywych.

- Zadzwoń do niego. - Pozwoliła popłynąć łzom, pozwoliła sobie drzeć. Niech zobaczy to, czego się spodziewa. Słabość i strach. - On by wolał umrzeć niż pozwolić ci tknąć któreś z nich.

- Bardzo dobrze.

Zsunął się z niej. Powoli usiadła. Nie spuszczała z niego zażawionych oczu w nadziei, że widzi w nich tylko błaganie pokonanej.

Roniąc łzy, podniosła rękę, jakby chciała ściągnąć razem rozdartą bluzkę. Zamachnęła się przedramieniem, uderzając w rękę trzymającą pistolet, a drugą walnęła go pięścią w twarz. Usłyszała, jak pistolet spada na podłogę, i zobaczyła przed oczami gwiazdy, gdy Joey upadł na nią.

W samochodzie Bo bębnił palcami. Co, do licha, robi tam tak długo? Spojrzał jeszcze raz w okno sypialni. Światło się paliło. Znów sprawdził godzinę.

Jeśli potrwa to jeszcze dłużej - pomyślał - rozluźnienie, beczynność i fakt, iż była czwarta rano, spowodują, że zaśnie.

Wysiadł, podeszedł do policjanta po stronie pasażera.

- Idę do środka, dobrze? Chyba pakuje kufer zamiast wziąć czystą bluzkę.

- Kobiety.

- Nic na to nie można poradzić.

Wyłowił z kieszeni klucze. Muszą pomyśleć o domach - rozważał, wchodząc po schodkach. Trzeba jeden sprzedać, ale który? A może zatrzymać oba i je połączyć? To byłoby

ciekawe zajęcie, ale dom wyjdzie cholernie wielki. Ziewnął i otworzył drzwi.

- Hej, Reeno, postanowiłaś, że powinniśmy wyjechać, skoro pakujesz wiano? A swoją drogą, co to za wiano?

Zamknął za sobą drzwi, doszedł do podestu schodów i wtedy usłyszał, że go woła.

Nos jej krwawił. Walczyła zaciekle, miała w ustach krew. Chyba ją kopnął, ale nie czuła nic oprócz wściekłości i przerażenia. Orała mu twarz paznokciami, sięgała do oczu.

Nie tylko ona krwawiła.

Ale on był silniejszy i zdobywał przewagę. Na dźwięk głosu ukochanego krzyknęła resztką sił:

- Bo! Uciekaj! Zawołaj ochronę!

Joey odskoczył od niej. Po pistolet, o Boże, pistolet!

Jej wzrok był zamącony, w płucach brakowało tchu. Płynące łzy mieszały się na twarzy z krwią, gdy czołgała się w stronę drzwi po swoją broń.

Łomot jakichś stóp. Czyjej serca? Przetoczyła się, chwyciła pistolet oburącz i truchlejąc z przerażenia, spostrzegła, że wcale nie sięgał po broń.

- Nie! Na litość boską! Przecież sam też spłoniesz jak pochodnia!

- Ty też. - Trzymał w ręku zapaloną zapalniczkę. - Zobaczmy, jak to jest.

Cisnął ją w kałużę na podłodze. Wybuch ognia brzmiał jak ryk wolności. Rzucił się w jego objęcia.

Reena przeturlała się, uciekając przed ścigającym ją płomieniem i krzycząc, gdy dopadł jej nóg. Bo ciągnął ją, gasząc ogień rękami i całym ciałem.

- Bieliźniarka, koce. - Dysząc, ściągnęła tłące się spodnie. - Nie dotykaj gaśnicy, mógł ją uszkodzić. Uciekaj. Szybko!

Wypelzała na czworakach, szczękając zębami.

Zaczął teraz krzyczeć potwornym, nieludzkim głosem, miotając się po pokoju. Ogień wziął go w swoje objęcia.

Zobaczyła coś, co na zawsze zapamięta: wzrok Joeya wbity w jej oczy poprzez płomienie trawiące mu twarz.

Zaczął iść w jej kierunku. Jeden krok, drugi - w stronę drzwi.

Potem upadł, a ogień zalał go wielką rozżarzoną falą.

Już biegli. Policjanci wyważali drzwi. Zaraz usłyszą syreny. Wozy, węże, bohaterowie w kombinezonach.

Przywarła plecami do ściany i patrzyła na pożar.

- Ugaś go - jęknęła, gdy Bo przybiegł z powrotem. - Na miłość boską, ugaś go.

EPILOG

Siedziała okryta kocem przy stole w kuchni swojej matki, sącząc schłodzone wino. Jej brat lekarz nie musiał jej tłumaczyć, że jest w szoku. Nie chciała pomocy lekarskiej ani środków uspokajających.

Potrzebowała tylko być tutaj. Po prostu.

Maść, którą An posmarowała jej oparzenia, działała niebiańsko kojąco.

- Masz posiniaczone żebra, ale nie widzę żadnego złamania. - Xander wzdrygnął się, spojrzawszy na jej zmaltretowaną twarz. - Do licha, Reeno, powinnaś się prześwietlić.

- Później, doktoru.

- Drugi stopień. - An delikatnie obandażowała jej nogi w kostkach. - Masz szczęście.

- Wiem. - Sięgnęła za siebie po dłoń Bo i uśmiechnęła się do ojca. - Wiem o tym.

- Teraz coś zje i odpocznie. W tej chwili nie może pracować - oznajmiła Bianca Youngerowi.

- Oczywiście, proszę pani. Zajmiemy się tym rano - powiedział do Reeny.

- Gdy przeczeszemy teren, znajdziemy timery. Nie sądzę, żeby on chciał umrzeć, w każdym razie nie wcześniej, zanim wszystko skończy. On tylko... nie mógł znieść upokorzenia. Porażki - jak ojciec. Nie był w stanie przyjąć ani tego, ani powolnej śmierci. Więc wybrał.

- Zjedz coś. Ugotuję jajka dla wszystkich. - Bianca otworzyła lodówkę, a potem zakryła twarz dłońmi i zaszlochała.

Gib ruszył w jej stronę, lecz Reena klepnęła go w rękę i pokręciła głową.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Gdy wstała, czuła ból z każdym oddechem, ale podeszła do matki i otoczyła ją ramionami.

- Mamo. Wszystko w porządku. Jesteśmy cali i zdrowi.

- Moje dziecko. Moja córeczka. *Bella bambina*.

- *Ti amo, mama*. Ze mną też wszystko w porządku. I jestem głodna.

- *Va bene*. OK. - Wytarła policzki dłońmi i ucałowała Reenę. - Siadaj, coś przygotuję.

- Pomogę ci, mamo. - Bianca zmarszczyła czoło, spoglądając na Bellę, która mrużyła oczy pełne łez. - Jeszcze pamiętam, jak zrobić śniadanie.

Tak, tego potrzebowała - myślała Reena. Tych znajomych dźwięków, krzątania i zapachów matczynej kuchni. Zjadła, co jej podano, z apetytem, który ją samą zaskoczył i ucieszył.

Potem znalazła ojca i Johna siedzących na schodkach przed domem i pijących kawę. Zaczynało już świtać. Perlita poświata obiecywała kolejny dzień wilgotnego upału.

Była pewna, że nigdy nie widziała nic piękniejszego.

- Dużo czasu upłynęło, odkąd tu pierwszy raz siedziałem - mówił John.

- Wtedy to było piwo.

- Jeszcze kiedyś będzie.

- Byłem wtedy w ponurym nastroju. Trudno mi powiedzieć, w jakim jestem dziś rano. Mówiłeś, że jestem szczęściarzem. Piękna żona i dzieci. Miałeś rację. Mówiłeś, jaka bystra jest Reena. W tym też miałeś rację. Prawie ją straciłem, John. Tej nocy omal nie straciłem mojej małej dziewczynki.

- Ale wszystko skończyło się dobrze. Nadal jesteś szczęściarzem.

- Znajdzie się tu jeszcze jedno miejsce? - Reena wyszła na schodki. - Będzie gorąco.

W dzieciństwie uwielbiałam gorące letnie dni. Trwały w nieskończoność, zanim zapadła noc. Leżałam w łóżku i słuchałam. Fran wraca z randki, starszy pan Franco wyprowadza psa. Johnie Russo przejeżdża z tym swoim hałaśliwym tłumikiem. Ty go ciągle o to męczyłeś, tato.

Schyliła się i pocałowała go w głowę.

- W takie poranki jak ten ludzie wychodzą z domu wcześniej, zanim nastanie upał - mówiła dalej. - Wybierają się do parku albo na targ, plotkują z sąsiadem przez płot na tyłach domu lub na schodkach frontowych. Idą do pracy. Jeśli mają wolne, podlewają kwiaty, słuchają wiadomości. Moim zdaniem wszyscy jesteśmy szczęściarzami.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc, jak świt zmienia się w poranek. Potem John delikatnie poklepał ją w kolano.

- Pójdę do siebie zobaczyć, co tam trzeba zrobić.

- Szkoda twojego domu, John.

- I twojego, skarbie.

- Mamy dużo rąk, które mogą ci pomóc w remoncie - zapewniła go. - I znam dobrego stolarza.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Twój partner byłby z ciebie dumny - powiedział. - Będziemy w kontakcie. Uważaj na siebie, Gib.

- Dziękuję ci, John. Za wszystko. Reena patrzyła, jak odjeżdża.

- To on pomógł mi zostać tym, kim jestem. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Gdy widzę, jaka jesteś, bardzo się z tego cieszę. - W oczach Giba pokazały się łzy.

Widziała, jak błyszczą, gdy patrzył w dal na domy. - Mama i ja możemy być przez parę dni roztrzęsieni, ale dojdziemy do siebie.

- Wiem, że tak będzie. - Przez chwilę siedziała na schodkach, opierając się o niego i patrząc, jak się rozwidnia. - Ty też pomogłeś mi zostać tym, kim jestem - powiedziała. - Ty i mama. *Vi anto. Molto.* - Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. - *Molto.*

Objął ją ramieniem. Potem musnął ustami głowę córki.

- Wyjdiesz za tego stolarza? - spytał.

- Tak. Wyjdę.

- Dobry wybór.

- Tak myślę. Pójdę teraz do domu i pożegnam się ze wszystkimi, powiem, żeby odpoczęli. Ty i mama też powinniście się przespać.

- Przydałoby się.

W kuchni zastała samą Bellę.

- Gotujesz i sprzątasz?

- Fran ma jakieś skurcze. Mama zaprowadziła ją na górę.

- Zaczął się poród?

- Może. Albo tylko bóle przepowiadające. Ma przy sobie dwójkę doktorów, matkę i męża. Jej to dobrze. - Bella machnęła ręką, kiwając głową. - Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. - Rzuciła ścierkę do naczyń. - Jakoś nie potrafię sobie z tym poradzić.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni, Bellu. Masz prawo.

- Zazdroszczę jej. Nie tylko tego spokoju, który obnosi jak dobrze uszyte ubranie, ale sposobu, w jaki Jack na nią patrzy. Można się roztopić. Nie chciałabym, żeby ona miała wszystko. Chciałabym, żeby mi trochę oddała.

- Moje biedactwo.

- Nie, nie. Sama sobie tak pościeliłam. - Położyła rękę na brzuchu.

- Jesteś pewna?

- Teraz to wiadomo bardzo szybko, od samego początku. Jestem w ciąży. Zaszłam specjalnie. To głupie, może i samolubne, ale stało się. Nie martwię się o dziecko.

- Mówiłaś Vince'owi?

- Jest przejęty. Kocha dzieci, nawet jeśli nie kocha mnie tak, jak bym chciała. Przez jakiś czas będzie słodki i opiekuńczy, no i zacznie się trochę bardziej kryć z następnym romanssem. Jeśli odważy się go mieć po twojej reprimendzie.

- Będziesz szczęśliwa, Bellu?

- Pracuję nad tym. Nie rozwiódę się z nim. Nie myślę rezygnować z tego, co mam,

więc postaram się jak najwięcej tym cieszyć. Nie mów jeszcze rodzinie. Fran powinna urodzić to dziecko bez następnego na horyzoncie, które by mu odbierało nieco blasku.

Reena uśmiechnęła się.

- Isabella, jesteś wspaniała. Zawsze byłaś.

Gdy Bo wiózł ich do domu, oglądała swoją okolicę. Tak jak przewidywała, ludzie wstali wcześniej. Szli już do parku pobiegać lub pospacerować, wyprowadzali psy i dzieci na spacer. Pędzili do pracy. Z piekarni dolatywał zapach świeżego pieczywa.

Nawet utrzymujący się mokry swąd dymu już jej nie przygnębiał.

Skinęła głową policjantom wciąż na służbie.

- Muszę się trochę przespać, a potem pójde do kościoła zapalić świeczkę za O'Donnella - oznajmiła Bo. - A ty pewnie będziesz chciał odwiedzić panią M., jego siostrę.

- Tak. - Poglaskał ją po ramieniu. - Zrobię to dziś, trochę później.

- Pójde z tobą i chciałabym, żebyś wybrał się ze mną do jego żony. Ale najpierw muszę wejść do domu.

- Zapakuję cię do mojego łóżka, a później pójdziemy do kościoła, zapalimy świeczkę i odwiedzimy rodzinę O'Donnella. Ale ty powinnaś pojechać do szpitala na kontrolę.

- Nie mam nic złamanego, oparzenia drugiego stopnia. To jednak nie znaczy, że nie uderzę do Xandra o jakieś cudowne lekarstwa, ale po tym wszystkim najbardziej pragnę łóżka - i może być twoje. Ale najpierw tam wejdę. Muszę to zobaczyć.

Otworzyła drzwi. Poczowała zapach dymu i obejrzała, gdzie osmolił ściany. W milczeniu weszła po schodach na górę. W brzuchu czuła znajomy ucisk.

Ogień zwęglił framugę drzwi do sypialni, wypalił podłogę. Toaletka była osmalona, a drewno odkształcone. Wypalony na ścianach wzór pokazywał, jak ogień piął się do góry.

Spojrzała na miejsce, gdzie upadł Joey, dławiąc swoim ciałem płomienie.

- Gdy to wszystko zaczynał, nie był szalony, nie tak jak wówczas, kiedy kończył. To go zżerało - umysł i pewnie całą duszę. Tak jak ogień pożera to, co chce się palić. Jak rak zżera jego ojca. No i go zniszczyło.

- Ty nigdy nie byłaś powodem, tylko pretekstem. Zaskoczona, odwróciła głowę i spojrzała na Bo.

- Masz rację. Mój Boże, ty masz rację. I to było jak..., oczyszczenie z grzechów.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Mam szczęście, wiem o tym. Kilka guzów, siniaków i oparzeń. Ale gdy patrzę na ten pokój, czuję smutek. Nie był idealny, to prawda, ale mój.

- I dalej jest. - Delikatnie i czule objął ją w talii. - Odnowię go.

Zaśmiała się lekko i odprężyła w objęciach Bo.

- Tak, tak, oczywiście.

Odwróciła się i poszła spać do chłopaka z sąsiedniego domu.